

Janet Dailey

BŁ KIT SANTIAGO

*Jerryemu, mojemu instruktorowi latania z 1968 roku, kiedy otrzymałam licencje pilota,
Frankowi, pilotowi F.A.A. (Federal Aviation Administration), u którego zdawałam mój pierwszy egzamin,
i Billowi, mojemu młodzi, menedżerowi, przyjacielowi i kochankowi, ale co najważniejsze w tej chwili,
człowiekowi, który pokazał mi przestworza i zachęcił do latania. Teraz wiem, co to znaczy unosić się wysoko nad
ziemią, kołysać samolotem i śpiewać na całe gardło z czystą radością samotnego latania.*

*Specjalne podziękowania byłej WASP Harriet „Tuffy” Kenyon Call, za jej wspomnienia i pamięćki z tamtych
lat.*

Prolog

Siedziała po ród płótna i kabli, z nogami wycigniętymi przed siebie i spódnicę zamotaną wokół kolan. Łomot serca mógł konkurować z odgłosem 30-konnego silnika poruszającego dwoma śmigłami. Kiedy latająca maszyna braci Wright, Flyer, wzniosła się w powietrze, Edith Berg poczuła tak szaloną radość, że zapomniała zapiąć pasy.

Poza tym wszystko kontrolował Wilbur Wright, ubrany w ten sam co zwykle szary mundur z wykrochmalonym kołnierzem i czapkę automobilisty. Lot nad torem wyścigowym w Le Mans trwał dwie minuty i trzy sekundy, a Edith Berg zapisała się na kartach historii lotnictwa jako pierwsza kobieta pilotująca maszyną latającą. Był to publiczny pokaz możliwości nowego Wright Flyer, przygotowany przez jej męża Harta O. Berga, który był odpowiedzialny za sprzedaż w firmie Wright Brothers.

W 1908 roku Edith Berg wzbudziła podziw swoją odwagą i miało cię. Prasa ją uwielbiała, a Francuzi kręcili głowami i szeptali: „To jest szalona Amerykanka! I pomyśle, że my jej na to pozwoliliśmy”.

Nosiła oszalałymi kombinezon ze lniwkowej satyny z kapturem zasłaniającym kruczę włosy. Na nogach miała owijające od kostki do kolana. Wszyscy mężczyźni z Aero Club of America oczywiście patrzyli na 27-letnią Harriet Quimby z otwartymi ustami, szczególnie gdy poprosiła o licencję pilota - kobieta! (Rząd nie miał czasu, aby się zająć przyznawaniem licencji pilotom aż do 1925 roku).

Zielonooka pisarka z „Leslie's Magazine” zaproponowała, że pokaże, co potrafi. Z niechęcią patrzyli, jak Harriet Quimby wsiada do dwupłatowca i startuje. Przeleciała nad pobliskim polem, potem zawróciła i wylądowała zaledwie cztery metry od miejsca startu, ustanawiając w ten sposób nowy rekord klubu w lądowaniu precyzyjnym.

1 sierpnia 1911 roku Harriet Quimby jako pierwsza kobieta otrzymała licencję pilota.

- Latanie jest chyba łatwiejsze od głosowania - powiedziała kwaśno reporterom.

Dopiero w 1920 roku XIX poprawka do konstytucji dała kobietom prawo głosu.

Usiadła ze skrzyżowanymi nogami u wejścia do płomienne czerwonego, trzysilnikowego samolotu Fokker ze złotymi skrzydłami, zwanego *Friendship*, który dryfował w porcie u wybrzeża Walii.

Kapitan Hilton Railey podpłynął do maszyny i zawołał:

- Jak się czuje pierwsza kobieta, która przeleciała Atlantyk? Jesteś podniecona?

- To było niezwykle doświadczenie - odparła Amelia Earhart, ale to nie ona przeleciała ocean. Bill Stultz był pilotem i nawigatorem. - Ja byłam tylko pasażerką. Pewnego dnia zrobię to sama.

Było to 18 czerwca 1928 roku.

Cztery lata później, 21 maja 1932 roku, Amelia Earhart wylądowała swoim Lockheed Vega na łacie niedaleko Londonderry w Irlandii. Wyczerpana, wyczołgała się z kabiny i powiedziała do wpatrującego się w nią człowieka:

- Przyleciałam z Ameryki.

Stało się to pięć lat po podobnym wyczynie Lindbergha.

12 stycznia 1935 roku Amelia Earhart po raz drugi trafiła na karty historii, tym razem jako pierwsza przeleciała z Hawajów na kontynent amerykański, lądując w Oakland, Kalifornia. Nie poprzestała na tym i wkrótce dokonała pierwszego nieprzerwanego lotu do Mexico City, a stamtąd do Nowego Jorku.

Jako zwolenniczka emancypacji kobiet, Amelia Earhart poradziła grupie studentek na uniwersytecie Purdue w Indianie:

- Dzisiaj dziewczyna musi całkowicie wierzyć w swoje możliwości. Powinna zdać sobie sprawę, że kobieta musi lepiej wykonać samą pracę, aby zyskać tyle uznania co on. Musi być świadoma istnienia licznych form dyskryminacji kobiet w świecie biznesu, zarówno prawnych, jak i wynikających z tradycji.

Amelia dołączyła tego sama w 1929 roku, kiedy Transcontinental Air Transport, które później zmieniło się w Trans World Airlines, zaproponowało jej funkcję konsultantki we współpracy z Lindberghiem. Jednak to on latał po kraju, sprawdzając nowe trasy, a ona podróżowała jako pasażerka, rozmawiając z kobietami, dając wykłady w klubach dla kobiet na temat bezpieczeństwa i przyjemności latania.

W czasie zawodów powietrznych - Bendix Transcontinental Air Race w maju 1935 roku - Amelia Earhart poznała Jacqueline Cochran, której dzieje mogły konkurować z opowieściami Dickensa. Nie знаła rodziców ani daty urodzenia, została wychowana przez rodzinę zastępczą na północy Florydy. Jej życie było łosne i miała Jacqueline często chodziła boso. Kiedy miała osiem lat, przenieśli się do Columbus w Georgii, do pracy w przędzalni bawełny, gdzie Jackie pracowała na dwunastogodzinnej nocnej zmianie. Rok później nadzorowała pracę tania cięgi dzieci w dziale kontroli.

Odeszła z przędzalni, by podjąć pracę w salonie piękności, gdzie wykonywała różne dziwne zajęcia. W wieku trzynastu lat Jackie była jedną z pierwszych osób, które potrafiły zrobić trwałą ondulację. Zaczęła więc jeździć po Alabamie i Florydzie, by propagować technikę w innych salonach. Pewna klientka namówiła ją, aby poszła do szkoły pielęgniarskiej, pomimo iż wcześniej tylko przez dwa lata uczęszczała do szkoły.

W Bonifay, miejscu bardzo podobnej do tej, gdzie sama się wychowywała, pracowała dla wiejskiego lekarza jako pielęgniarka. Niedługo potem, przywsi poród w bardzo trudnych warunkach, porzuciła ten zawód i wróciła do poprzedniego zajęcia. Saks Fifth Avenue zatrudnił ją jako stylistkę w obu salonach, w Nowym Jorku i Miami. W 1932 Jacqueline Cochran poznała w Miami Floyda Bostwicka Odluma, milionera i finansistę z Wali Street. Opowiedziała mu, że marzy o własnej firmie kosmetycznej. Odium poradził jej, aby zdobyła odznak lotniczy, co pomoże jej wysunąć się przed konkurencję i powiększy zasięg działania. Jackie zdobyła podczas wakacji licencję pilota, a potem przeszła kurs latania w marynarce wojennej.

Jednocześnie z powstaniem firmy Jacqueline Cochran Cosmetics Incorporated, Jackie została pilotem. W 1934 ta oszałamiająca blondynka zadebiutowała w powietrznych zawodach na trasie Anglia-Australia. Kłopoty z silnikiem zmusiły ją do lądowania w Bukareszcie.

W zawodach Bendix Transcontinental Air Race w 1935 stanęła do konkurencji obok Earhan, która wystartowała w środku nocy z innymi uczestnikami. Cochran była następną, gdy gwałtownie spadła spowolniona lotnisko w Los Angeles. Samolot przed nią ruszył pasem startowym i zniknął, po chwili rozległ się odgłos eksplozji, a ciemno rozjaśnił błysk wybuchu. Instykt pielęgniarki natychmiast zadziałał. Jackie wskoczyła do samochodu i ruszyła za wozem strażackim. Ale było za późno na ratunek; zanim pożar został ugaszony, pilot już nie żył.

Jackie stała obok swojego samolotu, gdy ciężarówka holowała spalony i pogoty wrak. Wszyscy byli zaszokowani tym strasznym wypadkiem. Usłyszała, jak jakiś urzędnik rzekł, stojąc obok powiedział, że to samobójstwo startowe w tak gwałtowny sposób wiadomo, że ona jest następną do lotu, wywołała mdłości, więc schowała się za hangar, aby nikt nie widział, jak wymiotuje.

Kiedy nogi przestały jej się trząść, zadzwoniła do Nowego Jorku, do swojego przyjaciela i narzeczonego Floyda Odluma i zapytała, co robi.

Ale Odium nie umiał jej doradzić, twierdząc, że wszystko się sprowadza do „filozofii życia”. O trzeciej w nocy

Jacqueline wystartowała na lepo, wznosząc się na wysokość siedmiu tysięcy stóp tylko przy pomocy kompasu.

Amelia Earhart była pilotką w tym wyścigu, a Jackie musiała zawrócić z powodu przegrzania silnika i niebezpiecznych wibracji w ogonie jej maszyny Northrop Gamma.

10 maja 1936 roku odbył się lub szczupłego, jasnowłosego Floyda Odluma z czarującymi i przebojowymi blondynkami Jacqueline Cochran. Marzenie o własnym domu, którego nigdy nie miała, urzeczywistniło się, gdy kupili posiadłość w Connecticut, rancho niedaleko Palm Springs i apartament na Manhattanie z widokiem na East River. Lotnictwo było od dawna pasją Odluma, więc jego zainteresowanie karierami nie było koźczyło się na kibicowaniu. Był on miedzy innymi właścicielem Curtiss-Wright Corporation i Convair Aircraft Company, więc oczywiście państwo Odlum pomogli sfinansować Amelii Earhart lot dookoła świata.

1 czerwca 1937 roku byli w Miami, aby pojechać przed tym ostatnim fatalnym lotem. Przedtem Amelia dała Jacqueline małą, jedwabną flagę amerykańską, co później, kiedy Amelia Earhart zaginęła bez śladu, w argonie wojskowym nazywano „przekazaniem flagi”. Oddając hołd słynnej letniczce, Jacqueline powiedziała:

- Jeśli był to lot do wieczności, to na jedynie opłakiwać jej stratę, lecz nie należałoby wysiłku. Amelia nie przegrała, ponieważ jej ostatnia wyprawa nie została zakończona. W sztafecie postępu oddała pałeczki następnym, aby mogli dokonać nowych wyczynów i przekazać je dalej.

W tym samym roku Jacqueline Cochran wygrała zawody Bendix Air Race, finiszując w trzecim etapie. 4 grudnia 1937 ustanowiła krajowy rekord szybkości, przelatując z Nowego Jorku do Miami w cztery godziny i dwanaście minut. Poprawiła poprzedni rekord należący do milionera Howarda Hughesa. W roku następnym wygrała Bendix Race, przelatując odległość 2042 mil non stop w osiem godzin, dziesięć minut i trzydzieści jeden sekund. Pilotowała samolot P-35 - 1 niocy, podobny do wojskowych maszyn pocigowych. Ustanowiła rekord kobiecy w locie przez kraj, a w 1939 pobiła rekord wysokości. Harmon Trophy - najwyższa nagroda dla lotnika w Ameryce - otrzymała po raz drugi w czerwcu z ręką Eleonory Roosevelt. Nadal latała, biła rekordy, testowała nowe projekty i sprzęt.

Wydarzenia w Europie dominowały na scenie światowej. Państwa osi trzymały kontrolę nad Czechosłowacją, Albanią i Hiszpanią. We wrześniu Hitler zbrojnie zaatakował Polskę. 28 września, dzień po upadku Warszawy, Jacqueline Cochran wysłała list do Eleonory Roosevelt, wyrażając w nim przekonanie o potrzebie zaangażowania kobiet-pilotów w cywilu i zgłaszając gotowość do zorganizowania takiej działalności. Eleonora Roosevelt niewiele mogła zrobić poza udzieleniem poparcia dla tego pomysłu i wyrażeniem wiary w możliwości kobiet.

Przez cały rok 1940 i pierwszą połowę 1941 Jacqueline Cochran starała się rozwijać pomysł utworzenia kobiecych korpusów lotniczych, by umożliwić pilotom męczyznom udział w walce. Po lunchu z generałem H.H. „Hap” Arnoldem, dowódcą sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, i Claytonem Knightem, który kierował rekrutacją pilotów amerykańskich do Brytyjskich Powietrznych Posiłkowych Oddziałów Transportowych, gen. Arnold zaproponował, aby dostawiała bombowce Brytyjczykom. Knight uznał, że to świetny pomysł.

Ale Powietrzne Posiłkowe Oddziały Transportowe z kwater głównych w Montrealu nie były zachwycone. Powiedzieli, że zadzwoni do niej, ale nie zrobili tego. Nie zniechęcona, skontaktowała się z jednym ze swoich przyjaciół w Wielkiej Brytanii, lordem Beaverbrookiem, który akurat został mianowany ministrem zaopatrzenia, wcześniej nazywanym ministrem ds. produkcji samolotów. W drugim tygodniu czerwca otrzymała telefon z Montrealu z propozycją odbycia lotu próbnego.

Po trzech dniach wyczerpujących testów, które bardziej wydawały się sprawdzać jej wytrzymałość niż

umiej tno ci lotnicze, Jackie zaartowała, e boli j rami od u ywania hamulca r cznego, gdy jest przyzwyczajona do no nego. Główny pilot napisał w swoim raporcie, e posiada ona kwalifikacje do latania bombowcem Hudson, ale nie mo e jej zarekomendowa , poniewa jest niezdolna fizycznie do obsługiwania hamulca r cznego w nagłych sytuacjach.

Dowództwo PPOT uznało to zastrze enie za mało istotne i Jacqueline Cochran otrzymała rozkaz dostawienia bombowca Lockheed Hudson z Montrealu do Prestwick w Szkocji, z pilotem nawigatorem i radiooperatorem jako załog . Jednak nie był to koniec kłopotów. Rozgorzały ostre protesty w ród pilotów PPOT, którzy zagrozili strajkiem. Twierdzili, e PPOT b dzie odpowiedzialne za ewentualne zestrzelenie najslynniejszej pilotki ameryka skiej, a tak e narzekali, e ochotniczka lec ca przez Atlantyk umniejsza wa no ich pracy. Uzgodniono kompromis, na podstawie którego Jacqueline Cochran b dzie dowódc lotu przez Atlantyk, ale to drugi pilot b dzie startował i l dował. 18 czerwca 1941 roku Jacqueline Cochran została pierwsz kobiet , która przeleciała Atlantyk bombowcem.

1 lipca powróciła z Anglii. W swoim apartamencie na Manhattanie, w foyer zawieszonym freskami przedstawiaj cymi pierwsze próby latania człowieka, gdzie wisiał niewielki yrandol przypominaj cy balon obserwacyjny, odbyła konferencj prasow na temat tej podró y. Po wyj ciu reporterów zadzwonił telefon i Jackie została zaproszona na lunch z prezydentem i jego on , Eleanor Roosevelt.

Nast pnego dnia policja eskortowała j do Crum Elbow, gdzie znajduje si słynny dwór Hyde Park z królewskimi kolumnami przy wej ciu. Sp dziła z prezydentem dwie godziny, które zaowocowały wysłaniem notki polecaj cej do Roberta Lovetta - sekretarza do spraw lotnictwa. Prezydent wyraził w nim pragnienie, by zbadano plan Jacqueline Cochran dotycz cy organizacji kobiet pilotów w siłach powietrznych armii.

Na pocz tku lipca spotkała si z asystentem sekretarza i została niepłatnym „konsultantem taktycznym”, otrzymała biuro i pracowników w sekcji transportu. W kartotece Administracji Cywilnych Pilotów, znalazła ponad 2700 kobiet z licencj pilota, 150 z nich miało na koncie 200 godzin lotu. Prawie wszystkie zawiadomione wyraziły ch latania w armii.

Jacqueline Cochran przedstawiła generałowi Arnoldowi propozycj nie tylko wykorzystania 150 wysoko wykwalifikowanych letniczek, ale te przeszkolenia ponad 2000 innych. Armia otrzymała podobn ofert od Nancy Harkness Love, absolwentki Vassar i pilota firmy lotniczej Inter-City Airlines w Bostonie, której wraz z m em byli wła cicielami. Proponowała ona zatrudnianie kobiet do dostawiania samolotów z fabryki do punktów ich załadunku.

Ale w lipcu 1941 roku tak drastyczne rodki wydawały si generałowi Arnoldowi przedwczesne. Stany Zjednoczone nie prowadziły wojny i miały wystarczaj c liczb pilotów m czyzn. Nie s dził te , e mo e by tak le, i b d musieli zatrudni kobiety.

Wtedy nast pił atak na Pearl Harbor. Do wiosny 1942 roku armia „przeczesywała lasy” w poszukiwaniu pilotów i przypomniała sobie o planach dwóch pa . Jacqueline Cochran rekrutowała w Anglii kobiety do brytyjskiego PPOT, gdy dowiedziała si , e Nancy Love tworzy dla Dowództwa Transportu elitarne korpusy profesjonalnych pilotek, pocz wszy od oblatywaczek po instruktorki. Jacqueline natychmiast wróciła, by spiera si o swój program szkoleniowy, oferuj c tysięce pilotów, zamiast kilku, i zapewniaj c, e b d tak dobre jak m czy ni, je li nie lepsze. Sytuacja była zła. Alianci przegrywali wojn na wszystkich frontach. Generał Arnold zgodził si na propozycj Jacqueline Cochran. W pa dzierniku 1924 roku intensywnie zaj ła si poszukiwaniem

miejsca na baz treningow . Wkrótce znalazła odpowiednie miejsce dla pierwszych dwóch grup w Howard Hughes Field w Huston, w Teksasie, ale szybko okazało si , e baza w Huston jest za mała dla jej szerokich planów.

Dziewcz ta uczyły si lata na sposób wojskowy.

Cz pierwsza

1

Koniec stycznia, 1943

W rodzinnym domu w Georgetown Cappy Hayward siedziała na sofie, wyprostowana, z r kami zło onymi na kolanach i stopami lekko skrzy owanymi. Na ko cu stołu stało zdj cie jej ojca, ubranego w bryczesy i czapeczka do gry w polo, stoj cego obok swojego ulubionego konia. Fotografia przedstawiała dumnego, przystojnego, u miechni tego m czyzn , który w niczym nie przypominał wojskowego, stoj cego teraz przed ni . Jej twarz nie wyra ała adnych emocji, ycie w armii nauczyło j kontrolowa si , gdy patrzyła, jak ojciec traci panowanie nad sob i ro nie w nim gniew.

Rozległ si hałas wrzucanych do szklanki kostek lodu. Złote li cie na pagonach br zowego munduru majora Haywarda zal niły w blasku styczniowego sło ca wpadaj cego przez okno. Major Hayward nie był przyzwyczajony, by kto podwa ał jego autorytet, a szczególnie członek rodziny.

- S dziłem, e dyskutowali my na ten temat i zgodzili my si , e nie we miesz udziału w tym programie eksperymentalnym. To cholernie głupi pomysł, eby szkoli kobiety na pilotów wojskowych.

Wyj ł korek z karafki i nalał sobie solidn porcj whisky do szklanki z lodem.

- Ty „dyskutowała ” i doszedł do takiego wniosku - poprawiła go łagodnie.

Miała ciemne włosy si gaj ce ramion, kontrastuj ce z bł kitnymi oczami. Zachowywała niezachwian równowag , która dodawała jej powagi i dojrzało ci.

- Nie wym drzaj si , Cappy! - Ojciec pogroził jej palcem.

Kiedy była mała, zawsze błagała, eby mogła ponosi jego czapk kapita sk . Wtedy nazywał j „małym kapitanem”, co zostało skrócone do Cap, a w ko cu przeistoczyło si w Cappy.

- Nie wym drzam si - powiedziała spokojnie. - Informuj ci tylko, e zostałam przyj ta na szkolenie pilota u i jad tam.

- Tak po prostu, jak s dz . - Głos miał ochryply z niezadowolenia, a jego ostro raniła bardziej ni uderzenie pasem. - A co z twoj prac ?

W czasie wojny zdolna maszynistka mogła dobrze zarobi w Waszyngtonie, ale Cappy nie była zadowolona ze swojej pracy. Nie była dla niej wyzwaniem, niczego nie wymagała. Trwała wojna, a ona chciała mie w tym swój wkład. Nie osi gnie tego pisz c dla pracowników biura informacje, których nikt nie czyta, i siedz c całymi dniami w ponurym gmachu - jednym z tuzina prowizorycznych biurówców przeznaczonych na tymczasow kwater głów . Po upalnym lecie sp dzonym w azbestowych cianach, Cappy nie mogła znie my li, e b dzie tam marzn cał zim .

- Zło yłam ju wymówienie.

Spojrzała na dłonie, ale szybko podniosła głow , by ojciec nie pomy lał, e ugina si pod jego argumentami.

- Nie zmienia zdania, ojcz.

Przypomniały jej si czasy, gdy tak si do niego zwracała. Chuda dziewczynka w białym fartuszk, z ró ow kokard , w drowała za wysokim, przystojnym „tatusiem” i miała przykazane mówi do niego „ojcz”.

Odwrocił się gwałtownie od Cappy i spojrzał na kobietę siedząc cicho w fotelu i przysłuchując się uważnie rozmowie. Podniósł szklankę i wypił połowę jej zawartości jednym łykiem.

- To wszystko twoja wina, Sue - mruknął w kierunku Sany. - Nie powinienem był się zgodzić, żeby Cappy wyprowadziła się do własnego mieszkania.

- Nie obwiniaj o to mamy - rzuciła Cappy. - Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Cappy nie pamiętała, by choć raz w życiu jej matka sprzeciwiła się jej. Zawsze była przykładną córką oficera, gotową do spakowania rzeczy na rozkaz i pozostawienia przyjaciół bez słowa skargi. Kiedy nowy dom tapetowała, malowała i zamieniała w istne чудо, tylko po to, by wkrótce opuścić go i zostawić dla innych. Znała cały protokół wojskowy, traktowała Sany pułkowników i generałów z uprzejmością i szacunkiem, przyjmując ich afronty bez słowa. Cappy nie wiedziała, czy nazwa jej jest głupi, czy witalna.

- Kobiety za sterami samolotów wojskowych to najbardziej absurdalny pomysł, o jakim słyszałem - powiedział głośno ojciec. - To się nigdy nie uda. Kobiety nie są w stanie fizycznie sobie z tym poradzić.

- To samo mówili o spawaniu i wielu innych zawodach, które rzekomo tylko mężczyźni mogli wykonywać. Rosie Nitowaczka udowodniła, że to nieprawda - przypomniała mu Cappy. - Powinno być z tego zadowolony. Gdyby nie kobiety takie jak Rosie, ta cała wasza maszyna wojenna nie wychodziłaby teraz z fabryki.

Rosie Nitowaczka była zaprzeczeniem jego wyobrażenia kobiety. Skoro już muszę pracować, to niech będą nauczycielkami, pielęgniarkami, sekretarkami albo maszynistkami. Tak naprawdę to chciał, żeby wyszła za niego i dała mu wnuka, który wynagrodziłby mu brak syna, gdy Cappy była jedynaczką. Niezadowolony z jej decyzji, nawet wybrał dla niej przyszłego męża, majora Mitcha Ryana.

Cappy nienawidziła wojska - tego, że zamienia ludzi w masę koloru khaki i narzuca dyscyplinę na każdy aspekt życia. Według ojca wojsko ma zawsze rację. Ma prawo przenosić ich co cztery lata, nie pozwalając na zawarcie znajomości ani zagranicę, ma prawo nie pozwalać na utrzymywanie stosunków towarzyskich z rodzinami innych oficerów i pozostałego personelu. Kiedy miała dziewięć lat, ojciec złapał ją, jak skakała przez skakankę z córkami siostrami. Cappy nadal pamięta, jaka zabawna była Linda i ile sztuczek znała. Ale pogwałciła regulamin wojskowy i nie wolno było jej się z nimi spotykać ze swoimi przyjaciółkami, straciła te skakanki. Jej matka nie powiedziała wtedy nic na jej obronę, akceptując to jak całą resztę.

Wojskowe życie nauczyło ją, że nie należy się otwarcie buntować. Ale gdy tylko uzyskała pełnoletność i mogła rozpocząć samodzielne życie, natychmiast wyprowadziła się. Był to sposób, żeby odplacić rodzicom. Od tego momentu sama podejmowała decyzje i dobierała sobie przyjaciół, nawet jeśli ojciec ich nie akceptował, jak Rosie Nitowaczki.

- Nie zamydlaj sprawy - odpowiedział z gryźliwie. - Jeśli kobieta nauczy się jakiegoś rzemiosła, to nie znaczy, że jest zdolna do koordynacji fizycznej i umysłowej, jakiej wymaga długi lot. Jakim cudem w ogóle wpadła na taki pomysł?

- Może nie powinno być uczyć mnie latania - mruknęła Cappy z nutką szyderstwa w głosie.

Raz tylko czuła się bliska ojcu. Było to latem, gdy miała siedemnaście lat i przechodziła trzypięcioletni okres. Razem z matką obserwowały ojca wykonującego akrobatyczne ewolucje na niebie. Po locie zawsze był rozluźniony, bardziej przystępny i nie tak zdyscyplinowany. Wystarczyło trochę poprosić, żeby zgodził się zabrać ją do samolotu.

Nagle życie stało się dla niej łaskawsze, gdy ojciec nauczył ją latać. Przez jakiś czas mogli dzielić się

do wiadomości i mieli wspólne tematy do rozmów, ale on wkrótce się tym znudził. Fajnie było uczyć córkę latania, tak jak się uczy psa nowych sztuczek. Póki nie mógł pojąć, dlaczego chciała dalej zajmować się takim niekobiecym zawodem. Zawsze go rozczarowywała, zbyt wysoka i rzucającą się w oczy nie odpowiadała jego wyobrażeniu o córce; drobnej dziewczynce w różowo-białej sukience. Nie była też synem, którego tak chciał mieć.

Jak zwykle zignorował uwagę na temat jego w tym roli, zacisnął zęby, a oczy stały się stalowoszare, bardzo podobne do koloru i wyrazu jej oczu.

- Kiedy podoficer zaczepi młodą kobietę, która pojawi się w bazie. Jak moja córka może pozwolić na takie poniżanie?

- Wychowałam się w bazach wojskowych - przypomniała mu. - Nie widzę żadnej różnicy.

- Jest cholernie wielka różnica! - Zacerwieniła się przy tym wybuchu. - Jesteś moją córką. Gdyby jakimś czynem nie tak na ciebie spojrział, miałby ze mną do czynienia! Samotna kobieta w bazie wojskowej a ty się prosisz, żeby ją zaczepia.

- To nie wiadomo najlepiej o mężczyznach, prawda? - rzuciła Cappy wyzywająco.

- Do diabła, chcę, żeby była rozsądna! - przekonywał ją. - Jeśli koniecznie musisz latać, to wstąp do Cywilnego Patrolu Powietrznego, zamiast wlecieć przez pół kraju na szkolenie do jakiejś zapadłej teksaskiej dziury.

- Wiesz, że to arty - odparła ze złości. - Sam mówiłem, że myśli o inwazji na wschodnie wybrzeże jest niedorzeczna. A szansa na loty bombowcami dalekiego zasięgu jest równie nieprawdopodobna.

- Moja córka nie weźmie udziału w żadnym szkoleniu lotniczym dla kobiet. Nie pozwól, żeby zaangażowała się w jakąś organizację paramilitarną, która wysyła kobiety bez eskorty do różnych baz lotniczych. Będą ci tam traktowane jak jakieś latawiec.

Zachowała pozorny spokój, tak jak przez te wszystkie lata, kiedy musiała powstrzymać się od dania upustu złości.

- Nie masz już nade mną władzy. Mojesz rzucić mamę, ale nie mnie. Przysłałam poinformować was o moich planach, a teraz - wzięła z krzesła płaszcz i szalik - nie widzę powodu, dla którego miałabym dla was zostać.

- Cappy! - Sue Hayward zerwała się na nogi, przerażona obrotem sprawy.

- Niech idzie, Sue - powiedział zimno Robert Hayward. - Jeśli nie ma szacunku dla rodziców i sprzeciwia się ich życzeniom, to nie mam ochoty jej więcej oglądać.

Cappy spojrzała przelotnie na ojca, który tak stanowczo dał jej lojalności od swojej strony, a potem ruszyła w kierunku drzwi, pewna, czyj stroną weźmie matka. Zauważyła błaganie w spojrzeniu, jakie matka rzuciła na nieprzejednanego męża, zanim powiedziała do niej:

- Odprowadź cię do drzwi.

Zaciekawiona, a znajdująca się poza zasięgiem jego słuchu, Cappy powiedziała:

- Nie mam zamiaru przeproszać, mamo. Nie jest mi przykro, z powodu tego, co powiedziałam.

- On mówił poważnie, wiesz o tym - mówiła cicho matka, gdy zatrzymały się przy drzwiach frontowych. - Nie jedź na to szkolenie tylko dlatego, by mu zrobić na złość, Cappy.

- Ale ja chcę tam jechać - upierała się. - Nie sądzę, by to kiedykolwiek zrozumiała. Nie robi niczego po to, by go celowo zdenerwować. Słuchaj, rzeczy, które chcę robić, bo mi sprawiają przyjemność. Czy ty nigdy nie zrobiła czegoś dlatego, że chciała? Czy zawsze było tak, jak on chciał, mamo?

- Kocham go. Chcę, żeby był szczęśliwy.

Ka da dyskusja na ten temat wprawiała matk w zakłopotanie.

- Czy ty nigdy nie chciała by szcz liwa? - zapytała Cappy, ale nie czekała na odpowied . Matka była wiernym odbiciem ojca, nawet odzwierciedlała jego szcz cie.

- Co ty masz, mamó? Nie masz domu, przyjaciół, nie widziała swojej rodziny od wielu lat.

- To było niemo liwe. Wojsko...

- Wła nie, wojsko. - Cappy walczyła z rozsadzaj cym j gniewem. - To nie ma sensu, marto. Ja si nie zmieni . Nie b d taka jak ty.

Wyczuła, e ta uwaga zraniła matk .

- Przepraszam.

- Czy tego wła nie chcesz? - zapytała matka cicho.

- Tak.

Przez chwil patrzyła na Cappy z wahaniem.

- Wi c zrób to - powiedziała.

Cappy nie spodziewała si usłysze słów zach ty. Łzy napłyn ły jej do oczu, wi c szybko u cisn ła matk .

- Dzi kuj - powiedziała łagodnie, a potem dodała ostro nie: - Ale pami taj, e nie przyjd wi cej do tego domu, chyba e on mnie zaprosi.

Z pokoju go cinnego dobiegł szorstki, rozkazuj cy głos:

- Sue! Susan!

- Ju id , Robercie - zawołała i jeszcze raz u cisn ła córka .

Cappy zawin ła długi wełniany szalik szczelnie wokół szyi i chwyciła za klamk .

- Do widzenia, mamó.

Na zewn trz zatrzymała si na chwil , potem ruszyła ostro nie po za nie onych schodach. Id c chodnikiem pomy łała, e jej wizyta przebiegła prawie tak, jak si tego spodziewała. Przewidziała, e ojciec si zdenerwuje i nie zrozumie jej.

Id c ze spuszczon głow , skr ciła w kierunku przystanku autobusowego. Na odgłos zbli aj cych si kroków podniosła głow i poczuła napi cie na widok oficera w długim zimowym płaszczu. Był to major Mitchell Ryan.

- Cze - powiedział z u miechem, wypuszczaj c z ust kł by pary i widz c jej zakłopotanie. - Czy si spó niłem? Wydawało mi si , e major mówił, e kolacja b dzie o szóstej.

To typowe dla ojca, e zaprosił nie onatego majora na kolacj nie mówi c jej o tym. Była na tyle głupia, eby umówi si z nim kilka razy, po tym jak ojciec ich ze sob poznał, Teraz obaj uwa ali, e Mitch Ryan ma pewnego rodzaju prawo własno ci do niej.

Cappy niech tnie zatrzymała si , eby z nim porozmawia . Zapadał zmierzch, rzucaj c lawendowe cienie na biel niegu pokrywaj cego miasto. Patrzyła na trawniki i krzaki Wokół, eby unikn jego wzroku.

- Nie wiem. Nie zostaj na kolacji. Pokłóciłam si z ojcem o moją decyzj wyjazdu na szkolenie lotnicze dla kobiet.

- Nowy projekt generała Arnolda. Tak, pami tam, e mi o tym mówiła . - Przygl dał si jej z lekko pochylon ku niej głow . - Zabrzmiało to sceptycznie.

- Zostałam przyj ta.

Spojrzała na niego, zadzieraj c głow do góry, gdy był du o wy szy od niej. Miał ciemnobr zowe oczy o

ciepłym odcieniu, w których dostrzegała czułość, gdy na nią patrzył, co wprawiało ją w zakłopotanie. To najważniejszy powód, dla którego należała się trzymać od niego z daleka, tym bardziej że ostatnio nawet zaczęła go lubić. Major Mitchell Ryan był zawodowym wojskowym.

- Pojedziesz tam? - Zmrużył lekko oczy.

- Melduj się w Avenger Field w Sweetwater w Teksasie w przyszłym tygodniu.

Zaczęła iść, a Mitch Ryan ruszył za nią. Poły jego grubego wełnianego płaszcza objęły się jej nogi. Patrzył przed siebie tak jak ona.

- Na jak długo?

- Dwadzieścia sześć tygodni, jeśli zostaną do końca.

- A potem?

- Potem, jak się dzieje, dostanę przydział do Dowództwa Transportu Powietrznego, do dostarczania samolotów na terenie całego kraju - powiedziała.

- A gdzie włącznie ciwie w tym wszystkim jesteście my, Cap? - Odwrócił się do niej.

- Nie wiedziałam, że jest jakieś „my”. - Usta jej zaczynały sztywnieć z zimna, co tak też odpowiadało jej nastrojowi.

Chwytał ją za ramiona, zmuszając do zatrzymania się i spojrzenia na niego.

- Nie jedź - powiedział wpatrując się w nią, a opary oddechów mieszały się między nimi.

- Dlaczego?

Zacisnęła usta w cienki kresk, starając się ukryć rozczarowanie i irytację.

- Na pewno major powiedział ci o negatywnym obrazie kobiet zwierzanych z wojskiem.

- Tak, wysłuchałam całego wykładu, ale tak się składa, że to jest grupa cywilna.

Zdawała się nie zwracać uwagi na jego silny nacisk.

- Chyba nie zdołam ci przekonać, żeby nie jechała.

Sztywne miśnie nie szczelnie wiadczyły o napięciu.

- Nie - odparła gładko, bez śladu.

Ile razy widziała się z Mitchem, odkąd ojciec poznał ich ze sobą trzy miesiące temu? Sześć, nie więcej. Jednak co najmniej trzy razy tyle zaproszeń z jego strony musiała odrzucić. Odmowy tylko wydawały się bardziej go determinować. Chciała wyjechać, zanim ulegnie jego uporowi i zaangażuje się wbrew swoim osłom.

Czuła jego palce wbite w jej ramiona przez gruby materiał zimowego płaszcza.

- Toczy się wojna, Cappy.

- Waszyngton jest pełen dziewczyn poszukujących towarzystwa. Nie bódziesz za mną długo tsknić, Mitch.

Zwłaszcza w tym momencie.

Warkot nadjeżdżającego autobusu ucieszył ją, gdy sytuacja stawała się nieznaczna.

- Jedź mój autobus, Mitch. Nie bódziemy mieli okazji więcej się spotkać, więc możemy się teraz poegnać.

Było miło.

Rzucił niecierpliwe spojrzenie na zbliżający się autobus, a potem popatrzył na nią.

- Miło. Czy tyle to dla ciebie znaczyło?

- Tak.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią ponuro, zaciskając zębami. Nagle przychyłną do siebie z nietypową dla

niego gwałtowno ci i pocałował. Mocno i szybko, a zabrakło jej tchu. Kiedy ją puścił, spojrzała na niego oszołomiona.

- Idź - rzucił ostro, wskazując ruchem głowy na autobus.

- To na nic, Mitch.

Typowa zagrywka wojskowa - zdobyć przewagę i kontrolować. Cappy chciała, żeby wiedział, że mu się nie udało. Może on był jak jej ojciec, ale ona nie była taka jak matka.

- Wiem cię tu nie trzyma, prawda? - powiedział z wyzywającym błyskiem w oczach.

Autobus zatrzymał się przy zaspie, a Cappy wahała się tylko przez ułamek sekundy. Dawno postanowiła, że nie pozwoli, by ktoś ją zranił. Lepiej zająć się sobą, co na dłuższą metę oszczędzi jej bólu i rozczarowania. Pomachała na kierowcę, żeby na nią zaczekał, i bez słowa zostawiła Mitcha.

Cappy przyglądała się krajobrazowi Teksasu, a elastyczne kota stukały na nierównej drodze. Jedynym elementem tego monotonnego widoku były płaskowe łąki i wysuszone krzaki toczące się po pustej czerwonej ziemi, a nad nimi szare niebo. Jednak patrzyła na to wszystko z zaciekawieniem.

Obok niej powstało jakieś zamieszanie, po którym nastąpił wybuch miechu. Cappy odwróciła uwagę od zakurzonego okna pociągu i spojrzała na grupę żołnierzy siedzących z przodu wagonu. W pociągu byli różni ludzie, lecz większość stanowili żołnierze, jadący do domu na urlop lub wracający do swoich jednostek. Kiedyś dojechał. Tak było od ponad roku - od ataku na Pearl Harbor. Cappy popatrzyła na rodzinę z Arkansas, siedzącą przy oknie po przeciwnej stronie. Kobieta trójgiem dzieci jechała do Kalifornii, gdzie, jak zwierzyła się Cappy, jej mąż „znalazł się niezłoty robot w jednej z tych fabryk samolotów”. Mówiła z przejęciem, wiadczy o tym, że nigdy nie mieli tyle pieniędzy, ile teraz może on zarobić.

- Mamo, jesteśmy sobie - odezwało się najstarsze dziecko, dziewczynka wyglądająca na siedem lat, choć jej matka wydawała się niewiele starsza od dwudziestodwuletniej Cappy.

Cappy, kiwając się w rytm trzęsącego pociągu, obserwowała tę rodzinę z ciekawością. Kobiecie najwidoczniej brakowało ogłady, ale wyraz niebieskich oczu i kości policzki wiadczyły, że znała dobrze przycięcia.

Wyjęła z torby zawiniętą w papier kanapkę, uważając, żeby nie zbudzić malucha siedzącego na jej kolanach. Rednie dziecko, pięcioletni chłopiec, wpatrywał się w jedzenie szeroko otwartymi oczami, ale nic nie mówił. Kiedy matka rozerwała kanapkę na dwie mniej więcej równe części, starsza dziewczynka cicho zaprotestowała.

- Addie, musisz podzielić się z braciszkiem - upomniała ją matka groźnym tonem, który uciszył dziewczynkę, ale Cappy dostrzegła niechętnie spojrzenie rzucone na chłopca.

Nie warto było walczyć o taką kanapkę. Między dwoma grubymi pajdami chleba krył się cieniutki plasterek sera, jednak dzieci jadły powoli, delektując się karmelkami i podnosząc kandydy okruszek, który spadł. Kobieta znów pochyliła się nad pięcioletnim dzieckiem i szukała czegoś w torbie, tym razem wyjmując małe, trochę zwiędłe jabłko. Gdy się wyprostowała, zauważyła, że Cappy na nią patrzy. Spojrzała zmieszana na jabłko.

- Chce pani jabłko? - zaproponowała z wahaniem. - Słodkie, z naszego drzewa w ogródku. Nie leżą w piwnicy zimne.

- Dziękuję, nie. - Cappy dostrzegła ulgę na twarzy kobiety. - Wsiadam na następną stację.

Kanapki z serem, w których było więcej chleba niż sera i zwiędłe jabłka - Cappy poczuła litość. Nigdy w życiu nie jadła samego chleba czy sera. Życie w wojsku odizolowało ją od problemów wielkiego kryzysu. W domu

zawsze było jedzenia pod dostatkiem, nigdy im niczego nie brakowało.

Marynarka ubrana w marynarski mundur podszedł do niej, patrzył na nią prosto w oczy. Zatrzymał się obok miejsca, które ona zajmowała.

- Czy ktoś tu siedzi? - Wskazał wolne siedzenie.

Cappy pokręciła przeczącą głowę.

- Proszę skorzystaj.

Takie podchody zdarzały się wielokrotnie w ciągu podróży i stały się nudne. Gdy młody marynarski usiadł, zapytała:

- Jedziesz do domu na urlop czy wracasz do jednostki?

- Melduj się na służbę w Kalifornii - powiedział. - Chodź pogłosisz, że wypływamy za parę tygodni. Cel „gdzieś” na Pacyfiku. - Zrobił grymas, który miał przypominać uśmiech.

- Kto musi to zrobić. - Spojrzała kąpieli na jego łosy min.

On miał się krótko, niepewny, czy się artowała, czy nabijała się z niego. Popatrzył na nią, trochę zmieszany dystansem, jaki utrzymywała, tak sprzecznym z czarującym wyglądem ciemnych włosów zakręconych na karku i błękitnych oczu.

- Nazywam się Andrews, Benjamin T. Ben dla przyjaciół. - Próbował się uśmiechnąć. Zwykle mundur pomagał mu poderwać dziewczynę, ale na tej nie robił żadnego wrażenia.

- Hayward, Cappy. - Naładowała jego wojskowy bagażnik.

- Cappy, hm... - Szukał tematu, by poprowadzić rozmowę. - Wiadomo gdzie jedziesz... Cappy?

Hałas stukających kół wzmógł się, gdy ktoś otworzył drzwi dzielące wagon. Wszedł konduktor i ruszył wzdłuż korytarza.

- Sweetwater! Następna stacja Sweetwater! - wołał, przechodząc przez wagon.

- Tu właśnie cię opuszczę. Avenger Field w Sweetwater - powiedziała Cappy do marynarza i spojrzała przelotnie za okno.

Strome, płasko zakończone skały dominowały na południu, nad nimi rozpościerało się blade niebo.

Dojeżdżając do miasta, pociąg zaczął zwalniać. Kiedy Cappy wstała, żeby zjechać z półki walizki, inna dziewczyna na końcu wagonu zrobiła to samo. Spojrzały na siebie ponad głowami innych pasażerów i zdały sobie sprawę, że mają ten sam cel podróży.

- Pomogę ci. - Marynarski sięgnął po niebieską walizkę z inicjałami Cappy.

- Dzięki, poradź sobie. - Chciała mu ją odebrać, ale nie pozwolił.

- Nie w tym - powiedział uśmiechając się. - Ale mama nauczyła mnie, że należy pomóc damie niechcący.

Cappy wzruszyła ramionami i zamilczała.

- Niech ci będzie.

Przeciskali się korytarzem, a Cappy musiała trzymać się po drodze siedzenia, żeby nie stracić równowagi. Przeraźliwy pisk hamulców przywodził na myśl kres wszelkim rozmowom.

- Powodzenia, Ben. - Podała mu rękę na pożegnanie.

- Tak. - Popatrzył przez chwilę na wyciągniętą do niego rękę, potem na jej twarz, a wreszcie pochylił się i pocałował ją w usta. Zadowolony wręczył jej walizkę.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy nadarzy się następna szansa na pocałowanie ładnej dziewczyny.
- Kłamca - odpowiedziała Cappy z szerokim uśmiechem, gdy rozległy się gwizdy innych żołnierzy.

Wojna miała szalony wpływ na mężczyzn, pozwalała odrzucić konwencjonalne zachowania i robić, na co mieli ochotę, co właściwie nie robili.

Drzwi zostały otwarte i Cappy ruszyła do wyjścia. Zauważyła, że ta sama dziewczyna też zamierza wysiść. Było w niej coś szalonego, wyzywającego. Prawie tego samego wzrostu co Cappy, miała włosy koloru piasku, podcięte krótko tworzyły burzę niesfornych loków, i szarozielone oczy.

Konduktor wziął ich walizki, zniósł po schodach i wrócił, by pomóc im wysiść. Ostry wiatr smagnął policzki, gdy Cappy podłała za dziewczynę. Rozejrzała się dokoła, ale nikt więcej nie wysiadł z pociągu. Wyglądało, jakby ten ostry, lutowy wiatr zagonił wszystkich mieszkańców do rodka.

- Słyszałam, jak mówiła temu żołnierzowi, że jedziesz do Avenger Field - powiedziała dziewczyna przyjemnym, choć trochę ochrypłym głosem. - Skoro obie jedziemy w to samo miejsce, to może my zabierzemy razem taksówkę.

Wskazała granatowy samochód, który właściwie nie podjechał przed stacją.

- Czemu nie? - Cappy zgodziła się bez wahania.

Nieprzyjemny wiatr przerwał rozmowę i sprawił, że po pieszyli do taksówki. Kierowca wysiadł, z postawionym kołnierzem i nisko nasuniętym na czoło kapeluszem kowbojskim, i zapakował walizki do rodka.

- Słuchaj, pani, chcę jechać do Avenger Field, jak cała reszta kobiet - stwierdził, mierząc je wszystkowiedzącym spojrzeniem.

- Zgadza się - odparła szorstko dziewczyna i nie czekając, otworzyła jej drzwi, wsunęła się na tylne siedzenie. Cappy zrobiła to samo i zatrzasnęła drzwi. Wreszcie schroniły się przed tym przejmującym wiatrem trzaskającymi zimą.

- Zimno tu. Zawsze myślałam, że w Teksasie jest ciepło - mruknęła dziewczyna.

- Znany jest słynny „błkitny wiatr” teksaski. - Cappy wyjęła z torebki pudełko papierosów. - Masz ochotę?

- Nie, dziękuję - powiedziała dziewczyna, przyglądając się, jak Cappy przypala sobie papierosa. - Jesteś z Teksasu?

- Nie, ale mieszkałam tu. - Wypuszczając obłok dymu, Cappy usadowiła się wygodniej w rogu. - A przy okazji, nazywam się Cappy Hayward.

- Marty Rogers z Detroit, Michigan.

- Ostatnio mieszkałam w Waszyngtonie. - Cappy otworzyła popielniczkę, spoglądając na wsiadającego kierowcę. - Jestem tak zwanym dzieckiem pułku.

Kiedy taksówka ruszyła, Marty pochyliła się do kierowcy i zapytała:

- Jak daleko do Avenger Field?

- Niedaleko. - Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że odległość jest na tyle niewielka, i nie warto jej precyzować.

- Kilka mil - powiedziała Cappy, gdy dowiedziała się tego wcześniej.

- Skąd to wiesz? Byłaś już w tej bazie powietrznej?

- Właściwie to nie jest baza wojskowa. Jest to lotnisko miejskie, przerobione na użytek wojskowy do szkolenia pilotów. - Zacięła się dymem i dodała: - Rada miejska nazwała je Avenger Field (Pole Zemsty) w ubiegłym

roku, by szkolił pilotów do „zemsty” za atak na Pearl Harbor.

- Jesteś prawdziwą kopalnią informacji. Myślałam, że jestem dobra, bo znalazłam Sweetwater na mapie.

W jej głosie zabrzmiała nutka autoironii, potrzeba, by zawsze z czegoś zadrwiła.

- Było tu kilku brytyjskich lotników, ale wyjechali zeszłego lata - rzucił kierowca przez ramię. - Teraz jest tam kilku Amerykanów - dodał z typowym dla Teksasczyków nosowym wymowem.

- Za kilka tygodni koło szkolenie. Chodź pogłaskać, a póki nie w Avenger Field będą tylko kobiety. - Pytała o spojrzenie towarzyszkę zmusiło ją do wyjścia. - Sprawdziłam parę rzeczy po otrzymaniu telegramu od Jacqueline Cochran, że mam się tu stawić. Tylko połowa naszej grupy przejdzie szkolenie tutaj. Reszta melduje się w Howard Hughes Field w Houston.

Taksówka minęła ostatni budynek w mieście. Z tego co zdołała zobaczyć, Marty nie sądziła, żeby wiele się tu działo, natomiast Houston bardziej przypominało duże miasto. Ale cóż, pomyślała, że nie przyjechała bawić się, tylko latać. Nie leżała, bo jedyne co było widać za oknem, to ciemność, szare niebo i pusty krajobraz.

- Nie wcale, chcę tylko latać - powiedziała Marty z przesadnym naciskiem.

- Jak my wszystkie - mruknęła Cappy, gasząc papierosa.

- Twój ojciec jest pewnie pilotem w siłach zbrojnych.

- Pracuje w biurze w Waszyngtonie. Dostał przydział do Pentagonu. To nowy budynek w Waszyngtonie zbudowany dla dowództwa wojskowego. Lata tylko dla przyjemności.

- Czy to on cię nauczył?

- Tak - powiedziała Cappy krótko, nie chcąc rozchodzić się nad sprawami osobistymi. Nie chciała mówić, że teraz jej ojciec przeklinał ten dzień. Udzielił informacji to jedno, ale zwierza się komuś po pięciominutowej znajomości, to już coś innego.

Po latach straciła rachubę, ile razy się przeprowadzali, w ilu miastach mieszkali, ilu ludzi poznali. Pamiętała to ałosne pragnienie, by ktoś ją polubił. Popełniała błędy, zwierza się nowym znajomym, a oni potem rozpowiadali o tym w szkole. Nauczyła się ukrywać swoje problemy, obawy, pragnienia. Lepiej polegać tylko na sobie, wtedy nikt nie może cię zranić.

- Jak się nauczyła latać? - zainteresowała się Cappy.

- Kiedy mój starszy brat David zaczął się lataniem, chciałam też spróbować. Poleciałam raz i mnie wciągnęło. - Uśmiechnęła się kwaśno na to wspomnienie. - Moi starzy kupili mu samolot, małego Piper Cub. On jest wspaniałym synem, więc dostaje, co zechce. Ja się nie liczę.

David był zawsze w centrum zainteresowania, odkąd się go pamięta. Wychowywała się w cieniu starszego brata, raz podziwiała go, innym razem nienawidziła. Rywalizacja między nimi była równie silna, jak ich braterska miłość.

- Nie wcale. - Marty westchnęła głęboko i ciągnęła dalej:

- David pozwalał mi latać jego maszyną, pod warunkiem, że sama płacę za paliwo. Dla mnie był to cholernie dobry interes.

Przekleństwa w jej ustach brzmiały naturalnie i nieobraciwie.

- Powinna była go słyszeć, gdy dowiedział się, że zostałam zakwalifikowana do tego programu szkoleniowego armii. Piekielnie zzieleniał z zazdrości.

- Dlaczego? - Cappy czuła, że powinna zapytać.

- My łał, e z tym swoim samolotem b dzie lepszy od innych, kiedy wst pi do wojska. Był przekonany, e z tyloma godzinami przelatany, jak on, na pewno przyjm go na szkolenie, ale nie zdał sprawdzianu fizycznego.

- Chyba wszyscy si na nim zm czyli my.

- Tak. Wi c David jest w drodze na szkolenie spadochronowe w Fort Bragg w Północnej Karolinie. Stwierdził, e je li nie mo e lata to przynajmniej b dzie skakał. Do diabła, jestem du o lepszym od niego pilotem i on o tym wie - pochwaliła si bez enady. - Moi rodzice nigdy nie zauwa aj tego, co ja robi . - Przerwała tłumie c zło . - Wiesz, mój brat wyjechał par tygodni temu, a matka zu yła wszystkie kupony na mi so, eby kupi dla niego stek. A wiesz, co ja jadłam na moj ostatni kolacj w domu? Makaron. To nie w porz dku.

- Rozumiem ci - powiedziała Cappy smutno.

- Masz braci?

- Nie, jestem jedynaczk .

- Szcz ciara. Twoi rodzice pewnie uwa aj , e wszystko co robisz jest wspaniałe. Wiesz, jak zareagował mój ojciec, kiedy mu powiedziałam, e jad na to szkolenie? Wygłosił mow , e porz dne młode kobiety powinny pozosta na ziemi. Nie mo e zrozumie , e mam dwadzie cia cztery lata i nie potrzebuj jego zgody.

- Mój zabronił mi jecha - powiedziała Cappy.

- artujesz! My łałam, e ojciec oficer poprze co takiego. Poprawiła si na siedzeniu. - Powinna usłysze moich starych, ci gle komentuj cych, jak pal , pij i umawiam si z facetami. Ich ukochany synek te nie jest wi ty. Gdzie, według nich, ja si tego nauczyłam? Cholera, pewnie nie jestem idealn córka - głos jej si załamał - ale nie mog na sił by z kim , kim nie jestem. Poza tym toczy si wojna. - Znów mówiła tym swoim ochryłym, oboj tnym tonem. - To niesprawiedliwe, e David mo e jecha i dobrze si bawi , a ja mam siedzie z zało onymi r kami. Kierowca zwolnił, a Cappy spojrzała za okno, gdzie stała budka stra nicza przy wje dzie do bazy.

- Chyba jeste my na miejscu.

Taksówka zatrzymała si przed długim budynkiem pomalowanym na ten sam co niebo szary kolor. Wojsko u ywało tylko trzech barw: szarego, oliwkowobr zowego i khaki. Obok Stało sze baraków, po trzy w dwóch rz dach. Po drugiej stronie wida było zaokr glone dachy hangarów. Na szczycie jednego znajdowała si wie a, do której prowadziły zewn trzne schodki. Trzeci bok tego trójk ta tworzyły budynki stołówki i szkoły. Wzdłu jednej z krzy uj cych si dróg stał długi budynek, gdzie znajdowały si pomieszczenia, w których kadeci szykowali si do lotu. W jego drugiej cz ci były sale do zaj teoretycznych. Wszystkie drewniane, szare budynki stały ciasno przy pasie startowym, a pomi dzy nimi przecinały si drogi dla samolotów, ł cz ce drogi startowe z ko cem pasów. Z powietrza Avenger Field przypominało map Teksasu.

Kierowca wystawił ich бага e na ubit ziemi , pokryt gdzieniegdzie k pkami suchej trawy. Cappy i Marty zapłacili po połowie, a on wsun ł pieni dze do kieszeni, przygl daj c im si z ciekawo ci .

- Nie wiem, dlaczego wydaje si wam, e mo ecie sobie polata . To nienaturalne.

- Chyba wszystkie jeste my troch szurni te - odparła Marty z szydercz szczeroci , zirytowana jego uprzedzeniem do kobiet i latania.

Najwyra niej podziałało, gdy odwrócił si , kr c c głów . Obie wygl dały na rozgniewane, ale u miechn ły si do siebie. Marty lubiła przygody, wi c gdy taksówka odjechała, nagle zimno przestało jej przeszkadza . To była jej yciowa szansa i nic nie mogło tego zepsu . Z pewno ci Cappy Hayward czuła to samo.

- To jest to. - Marty popatrzyła na budynek administracyjny, przed którym stały.

- Wejd my do rodka. - Cappy z wysiłkiem podniosła ci k walizk i ruszyła do wej cia.

Marty pod yła za kole ank . Kiedy otworzyły drzwi, zimny wiatr wdarł si do rodka, informuj c wszystkich o przybyciu nowych osób. Nagły podmuch zakr cił szaroniebieskim dymem unosz cym si pod sufitem. Wszystkie dziewczyny obróciły si z okrzykami niezadowolenia, ale gdy zobaczyły dwie kobiety, natychmiast przyj ły je z sympati i powrócił gwar rozmów. Skoro przyjechały razem, wydawało si naturalne, ze razem zostan . Precisn ły si przez tłum kobiet i w ko cu znalazły wolne miejsce, eby postawi walizki.

W całym pomieszczeniu pełno było бага y, które znalazły ró norodne zastosowanie - jako wieszaki na płaszcze, oparcie pod plecy dla tych, które siedziały na podłodze lub zamiast stołka. Marty zdj ła ci kie palto i poło yła je na walizce, spogl daj c na trzy kobiety siedz ce nie opodal.

- Cze - zawołała do nich nie trac c czasu. - Jestem Marty Rogers z Michigan.

- Cze , ja jestem z Chicago - odpowiedziała dziewczyna z ciemnymi włosami. - W jakim rejonie latała ?

- Głównie niedaleko Detroit.

- A ty sk d jeste ? - To pytanie było skierowane do Cappy, stoj cej troch na uboczu grupy.

- Cappy Hayward z Waszyngtonu - przedstawiła si krótko, na laduj c styl Marty.

- Czy tam uczyła si lata ?

- Nie. Wi kszo godzin przelatałam pod Macon, w Georgii - odpowiedziała.

- Tak? - zainteresowała si czarnowłosa dziewczyna, na wpoł le c na walizce. Marty zasłaniała jej troch , wi c wyci gn ła si , eby lepiej widzie Cappy. - Stamt d pochodzisz? - zapytała przyjemnym głosem, z wymow wiadcz c o południowym pochodzeniu.

Marty jednak zwróciła uwag na jej wzrost - była du o ni sza od reszty zebranych tu kobiet.

- Niech mnie diabli! - wykrzykn ła Marty. - Załapała si pewnie na minimum.

- Prze lizgn łam si o pół centymetra. - Za miała si . - Metr pi dziesi t pi i pół. Dobrze, e mierzyli mnie rano, bo inaczej bym si nie wyci gn ła.

- Jak ci wida zza pulpitu? Kurcz , a w jaki sposób dosi gasz pedałów? - Marty jak zwykle musiała za artowa . - Chyba siedzisz na stosie poduszek.

- Tylko na dwóch. - Dziewczyna wskazała przywi zane do jej walizki ja ki.

Zauwa ywszy na klapie inicjały MLP, Marty nie oparła si , eby nie zapyta :

- Co znaczy MLP, Mała Lataj ca Panienka?

- Mary Lynn Palmer - odpowiedziała z yczliwym u miechem na zło liwo Marty.

- Witaj, Mary Lynn. - Podała jej r k Cappy. - Mój ojciec stacjonował w Macon pi lat temu. Jest zawodowym majorem w Siłach Powietrznych Armii.

- W takim razie - odezwała si dziewczyna z Chicago - pozwól, e powitam ci oficjalnie w trzysta dziewi tnastym Wojskowym Lotniczym Oddziale Treningowym dla Kobiet, bardziej znanym jako trzysta dziewi tnasty WLOTK.

Zostały przydzielone do klasy 43-K-3, co znaczy, e b d trzeci grup kobiet, które uko cz szkolenie w 1943 roku.

- Bo e, ale napuszone - skomentowała Mary i dodała gło no: - Je li chcecie si czego dowiedzie , to pytajcie Cappy. Ona wie wszystko.

- Jak my lisz, kiedy zrobi z nas oddział wojskowy? Mówi o przyjeździe kobiet z WAAC*, a może i z marynarki. - Dziewczyna z Chicago powa nie potraktowała rad Marty.

Cappy miała na końcu języka jakkolwiek uwagę, ale powstrzymała się i odparła z wojakow powściągliwością:

- Jak na razie jesteście tylko eksperymentem. Dwie grupy, które zaczęły szkolenie trzy miesiące temu w Houston, jeszcze go nie skończyły. Na papierze ładnie wygląda pomysł, żeby szkolić kobiety do transportu samolotów, bym czy nie mogli zająć się walką. Jednak najpierw musimy udowodnić, że się do tego nadajemy.

- Denerwuje mnie wasze lenienie, że po takim samym szkoleniu, my nie potrafimy latać tak dobrze jak oni - poskarżyła się Chicago, jednak z pewną rezerwą w głosie, jakby sama w to nie bardzo wierzyła.

- Nie wiesz, że wszystkie kobiety są roztrzępane, zbyt nieodpowiedzialne, żeby latać? - odparowała Marty.

- Cóż, ja się cieszę, że samolot nie wie, czy pilotuje go kobieta, czy mężczyzna - powiedziała trzecia z grupki dziewczyna, atrakcyjna blondynka, skulona, by zmniejszyć nieco swoje metr osiemdziesiąt wzrostu.

W tym momencie Mary zauważyła wysoką, bardzo modnie ubraną kobietę, przeciskając się pomiędzy nimi tych grup. Marty zawsze była przekonana, że potrafi się dobrze poruszać, ale ta kobieta o kasztanowych włosach szła z niemal królewską gracją.

- Kto to jest? - Marty dyskretnie skinęła głową w kierunku rudowłosej.

- Ma klasę, prawda? - odparła nie miała blondynka z zazdrością w głosie.

- Wygląda, jakby zeszła z okładki paryskiego magazynu mody - mruknęła Marty.

Po chwili kobieta zatrzymała się przy dwóch stojących przy cianie olbrzymich kufrach. Na jednym z nich leżało niedbale rzucone futro z lampartą. Usiadła na nim i założyła nogi na nogi, odsłaniając jedwabne pończochy.

- Dobry Boże - wymknęło się Marty ze zdumienia.

Kiedy kobieta wzięła papierosa i wsunęła go do srebrnej fifki, Marty nie wytrzymała.

- Muszę poznać. Ona tu nie jest na powa nie. - Spojrzała na resztę. - Idziecie ze mną? - rzuciła i ruszyła nie czekając na odpowiedź.

Ciekawo pociągnęła je wszystkie, więc poszły za nią, udając swobodne zachowanie. Na rękę kobiety błyszczała bransoletka wysadzana drogimi kamieniami. Na jej widok blondynka szepnęła do Chicago:

- My lisz, że to prawdziwe diamenty?

Nikt nawet przez chwilę nie wątpił, że wszystko, co miała, było prawdziwe. Kiedy zauważyła je, zmierzając beztrąsko w jej stronę, odwróciła lekceważąco wzrok. Potem znów spojrzała na nie z chłodnym uśmiechem, delikatnie podnosząc wysoko głowę.

- Cześć - powiedziała bardzo kulturalnym, gładkim tonem.

- Cześć, jestem Marty Rogers. Trudno ci nie zauważyć, siedzisz tu całkiem sama.

Obrzuciła pytającym wzrokiem olbrzymie kufry.

- Jestem Eden van Valkenburg z Nowego Jorku. - Podała wskazując na starannym manikiurę. Kolor lakieru odpowiadał odcieniowi szminki.

Przez moment Marty zastanowiła się, czy nie powinna dygnąć przed nią, ale podała jej rękę i poczuła zdecydowany, mocny uścisk.

* WAAC (Women's Army Auxiliary Corps) - Pomocnicze oddziały wojskowe kobiet.

- Przedstawi ci dziewczyny. To jest Cappy Hayward. Przyjechały my tym samym poci giem - wyja niła. - Jej ojciec jest wojskowym, wi c je li masz jakie pytania, zwró si do niej.

Eden nie podała ju r ki, tylko u miechn ła si .

- Mary Lynn Palmer przyjechała z Mobile w Alabamie. A to jest... Chicago, nie wiem, jak masz na imi .

- Gertrud Baxter, ale wszyscy mówi na mnie Trudy. - Poprawiła niezr cznie słabe włosy, jakby zawstydzona swoim wygl dem przy tej szykownej kobiecie.

- Jestem Agnes Richardson, Aggie - wtr ciła wysoka blondynka, wciskaj c głow mi dzy kole anki i dodała zachwycona: - Ta sukienka jest boska. - Patrzyła z zazdro ci na bł kitn wełnian sukienk z poszerzonymi ramionami i szerokim, g sto marszczonym dołem.

- Dzi kuj . Wła ciwie to czuj si zbyt wystrojona. - Ta szczerza uwaga zaskoczyła je.

Nie spodziewały si , e powie to, co one my łały, ale powinny uwa a na dumny błysk w oczach Eden. Wiedziała, e lepiej gło no powiedzie ich my li, ni pozwoli im obmawia j za jej plecami.

- Naprawd ? - odparowała szybko Marty. - To przez t firk . Chyba troch przesadziła , nie s dzisz?

Ta uwaga miała zabole . Marty nigdy nie przejmowała si lud mi, którzy uwa ali si za lepszych od innych. Nast piło pełne napi cia milczenie.

- Czy oba te kufry nale do pani, panno van Valkenburg? - spytała cicho Cappy.

Eden powoli odwróciła si od Marty, ale zobaczyła zaciekawion twarz bez cienia zło liwo ci.

- Tak. Uznałam, e powinnam wzi tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

Przez chwil adna nie była w stanie nic powiedzie ze zdumienia. Nawet Marty spodziewała si miechu na ten art, ale rudowłosa była całkowicie powa na. Wszystkie zrozumiały to prawie jednocze nie, a Chicago pierwsza zachłysn ła si ze miechu.

- Ale wzi ła podomk , prawda? - zapytała Marty.

- Nie. - Eden van Valkenberg wygl dała na zaskoczon tym pytaniem, gdy uwa nie rozejrzała si po twarzach reszty. - A b dzie mi potrzebna?

- O, Bo e - j kn ła Marty i odeszła, nie zauwa ywszy zło ci na twarzy rudowłosej.

Po sali rozszedł si szmer uciszania i kiedy dotarł do ich grupki, odwróciły si zaciekawione. Do budynku wszedł oficer w mundurze, który po ci gni ciu uwagi wszystkich zebranych przedstawił si jako dowódca bazy. Przedstawił im, czego mog si spodziewa w ci gu najbli szych dwudziestu sze ciu tygodni poza wojskowym szkoleniem lotniczym. Złowieszczo zapowiedział, e co trzecia „wyleci”, nie uko czy kursu. Stało si jasne, e b d poddane wojskowym rygorom, ł cznie z karami za ka de przewinienie.

W ród wielu wymienił: „...przekle stwa nie b d tolerowane...”, a Aggie Richardson zachichotała, gdy Marty mrukn ła:

- O, cholera!

2

Zanim dziewcz ta zdołały odnale swoje baga e i dotrze do kolejki, były prawie ostatnie. Mogły same wybra współlokatorki, co według Cappy Hayward było niezgodne z wojskow tradycj . W barakach znajdowały si kwatery, a raczej wn ki, z sze cioma pryzami w ka dej. Cappy, Marty Rogers, Mary Lynn Palmer, Trudy „Chicago” Baxter i Aggie Richardson postanowiły zamieszka razem i zastanawiały si , kogo wzi jako szóst .

- Chyba musimy przyzwyczai si do stania w tych cholernych kolejkach - mrukn ła Marty.

- Tak jest w wojsku - odparła Cappy.
- Ciekawe, gdzie ta bogata van Valkenberg? - wtr ciła Aggie, wygl daj c z kolejki.
- Pewnie szuka бага owego, eby zabrał jej kufry - za artowała Marty i potrz sn ła głow . - Wierzycie jej? To byłoby wzruszaj ce, gdyby nie było tak cholernie zabawne.

- Nie dała jej szansy - odezwała si oskar aj ce swoim południowym akcentem Mary Lynn Palmer.
Za tak reprimend Marty obraziłaby si na ka dego, ale nie na t ciemnowłos , czarnook dziewczyn .
Pomimo i znały si krótko, Marty czuła, e Mary Lynn nie jest ani zło liwa, ani nie yczliwa.

Po chwili namysłu przyznała:

- Mo e zbyt pochopnie j os dziłam, ale wcale nie zamierzałam jej o mieszy .

- Czy by? - wtr ciła Chicago.

- No dobrze, chciałam. Ale ta sytuacja była taka komiczna. - Marty usiłowała si broni , daj c do zrozumienia, e czasami stroi sobie arty, nie my l c, e mo e kogo urazi .

- Mo e ona zamierza napisa ksi k o modzie na wojnie? - podsun ła Chicago miej c si .

Posuwaj c si powoli do przodu, dotarły w ko cu do okienka, gdzie ka da otrzymała prze cieradło, powłoczki na poduszk i koc. Obładowane ruszyły w kierunku baraków.

- Wszystkie kwatery s takie same - poinformowała je Cappy Hayward, - Czy macie jakie specjalne wymagania?

- Mnie jest wszystko jedno - powiedziała Marty, a reszta jej przytakn ła. - Prowad Cappy i zabierz nas z tego cholernego wiatru - dodała dr c z zimna.

- B dziesz musiała uwa a na swoje słownictwo - poradziła jej Cappy. - Od jutra zaczn dawa nagany.

Baraki były nowe, po piesznie zmontowane z elementów, niedbale oszalowane, z dachem pokrytym asfaltem, pomalowane na szaro. Czerwony kurz przyklejony w najmniejszych rowkach wiadczył o wszechobecno ci teksaskiej gleby. Wzdłu budynku biegła w ska zadaszona alejka, gdzie na zmian znajdowały si dwuskrzydłowe okna i drzwi do pokoi.

Gdy dotarły do ko ca alejki, Cappy otworzyła drzwi i weszła do pustego pomieszczenia, a reszta za ni . Stan ły na rodku i wpatrywały si w surowe ciany, pokryte bia łą farb . Wy łobienia, zadrapania, ólte plamy po wodzie, wiadczy ce o przeciekaj cym dachu, sprawiały wra enie, e barak nie jest nowy, pomimo e wszystkie budynki, z wyj tkiem jednego hangaru, wzniesiono zaledwie przed rokiem.

Wzdłu cian stało sze w skich pryczy, po trzy z ka dej strony, na ka dej le ał materac w biało-niebieskie paski i wygl daj ca na twar d poduszka w tych samych kolorach. U stóp ka dego łó ka stała spora skrzynka na drobiazgi, zajmuj ca du o miejsca na drewnianej podłodze. Gdy zapaliły wiatło, ujrzały lamp wisz c pod sufitem z ciemnozielonym metalowym kloszem, a na oknach zasłonki w tym samym kolorze.

- Ale skromnie! - Marty podeszła do ostatniego łó ka i rzuciła na nie swój po ciel, a walizk postawiła obok na podłodze. - Nie ma to jak kochany dom.

Cappy nic na to nie odpowiedziała, tylko wybrała dla siebie prycz i poło yła na niej swoje rzeczy. Reszta z oci ganiem poszła za jej przykładem.

- Te łó ka nie s nawet tak szerokie jak moja kanapa w domu - powiedziała sm tnie Chicago.

- Lepiej si nie kr przez sen, bo wyl dujesz na podłodze - poradziła Aggie.

Czuły pod stopami szorstki podłog , pokryty grub warstw kurzu.

- Mała Mary Lynn ma szczęście - odezwała się Marty. - Te pryczyś na jej rozmiar.

- Nie jestem taka mała - zaprotestowała Mary, wybierając łóżko obok Marty.

Ale Marty nie zwróciła na nią uwagi, gdy zainteresowała się skrzynką, która mogła służyć jako schowek i komoda. Nagle zaczęła się chrapliwie.

- Możecie sobie wyobrazić Van Valkenburg, jak usiłuje wpełznąć do tego zawartości swoich kufrów?

Dziewczyna zareagowała na tę uwagę słabym uśmiechem, gdy próbowała oswoić się ze spartańskim mieszkaniem. Pochodziły z różnych części kraju i wychowywały się w różnych warunkach, ale faktycznie znalazły się w Avenger Field, wiadczą, że prawdopodobnie wszystkie były dostatecznie, gdy inaczej nie byłyby w stanie uzyskać licencji pilota ani wylatać odpowiedniej liczby godzin. Latanie to kosztowne hobby i niewiele kobiet interesowało się nim, a jeszcze mniej miało możliwość jego uprawiania.

Zamiast zająć się rozpakowywaniem, Marty chciała lepiej poznać nowe otoczenie, więc zamknęła skrzynki i rozejrzała się po pokoju. Po drugiej stronie znajdowały się jakieś drzwi.

- Dokąd one prowadzą? - zapytała, idąc w ich kierunku, by to sprawdzić.

- To pewnie łazienka - powiedziała Cappy i ruszyła, by sprawdzić, czy ma rację.

Marty weszła i nagle zatrzymała się, zaskoczona widokiem obcej kobiety, myjącej ręce przy jednej z dwóch białych porcelanowych umywalek.

- Przepraszam, ja... - zaczęła.

- Nie ma sprawy. Już skończyłam. - Dziewczyna otrząsnęła ręce z wody i sięgnęła po ręcznik, aby je wytrzeć.

Obok umywalek znajdowały się dwie kabiny z prysznicami, oświetlone takimi samymi jak w pokoju zielonymi lampami. Marty zauważyła drugie drzwi i zmarszczyła czoło.

- Myślałam, że to nasza łazienka.

- Wygląda na to, że będziemy musiały je dzielić z dziewczynami z następnego pokoju - powiedziała Cappy.

- Tak nam powiedziano. - Brunetka skończyła wycierać ręce i popatrzyła kwaśno na skąpe wyposażenie.

- Artujesz! - zawołała Marty. - Dwanaście dziewczyn ma korzystanie z jednej łazienki i jednego lustra?

- Brzmi absurdalnie, prawda? - powiedziała smutnie dziewczyna i wyszła do przyległego pokoju.

- Absurdalnie bardzo, gdy jutro rano wszystkie naraz będziemy chciały tam wejść.

Marty przeczuwała, że łazienka stanie się placem boju, gdy dziewczyna zacznie walczyć o swój kolejkę. Cappy przyznała jej rację i poradziła, gdy weszły do pokoju:

- Nastaw budzik wcześnie, jeśli chcesz skorzystać z łazienki przed porannym tłokiem.

Wszystkie zajęły się rozpakowywaniem lub ślaniem łóżek z wyjątkiem Marty. Usiadła na pryczy i przejechała dłonią po materacu, sprawdzając, czy jest miękki. Obok Mary Lynn Palmers przekładała swoje rzeczy z walizki do komody. Marty dostrzegła wśród nich oprawione zdjęcia.

- Kto jest na tym zdjęciu? Twój facet? - zapytała.

- Można tak powiedzieć. - Mary Lynn wzięła fotografię, by pokazać Marty. - To mój mąż.

Dopiero teraz Marty zauważyła złoty obrączek na lewej dłoni Mary Lynn. W złoczonej oprawie znajdowała się fotografia pilota wojskowego, przystojnego, uśmiechniętego mężczyzny o brązowych oczach. Ubrany był w lotniczą kurtkę, rozpiętą pod szyję, a spod oficerskiej czapki wystawały ciemne, kręcone włosy.

- Diabelnie przystojny - stwierdziła Marty i przeczytała napis u dołu zdjęcia: - *Mojej najdroższej siostrze Mary Lynn, Kochaj Cię zawsze. Twój mąż Beau.* - Oddała fotografię Mary Lynn i dodała: - On te lata?

- Beau jest pilotem B-17, stacjonuje w Anglii - powiedziała cicho, ciepłym głosem, który zdradzał głębię uczucia. - Lata duży ymi czterosilnikowymi bombowcami, które nazywają Big Friend.

- Szczególnie. Chciałabym kiedyś wejść do kabiny takiego. - Marty oparła rękę na brzegu łóżka i pochyliła się lekko do przodu, dostrzegając, że jakby czuła dotyk Mary Lynn.

- To dzięki lataniu go poznałam. - Za nią się i zaraz poprawiła: - No, niezupełnie. Niedaleko Mobile odbywały się pokazy lotnicze i tata zabrał mnie, żeby popatrzeć. Tam właśnie nie zobaczyłam Beau pierwszy raz i dowiedziałam się, że jest instruktorem pilotażu. Przekonałam tatę, żeby mi pozwolił wziąć kilka lekcji, bo chciałam go poznać. Nie masz pojęcia, jak trudno było pilotować samolot, gdy mówił mi prosto do ucha. - Roze miała się, a Marty razem z nią. - Po prostu Beau drażnił się ze mną, mówił, że to nie Kupidyn trafił mnie swoją strzałką, ale bakcyl latania mnie ukłuł.

- Jak długo jesteście razem? - Marty uznała, że to nowe pytanie, skoro Mary Lynn patrzyła na niego z takim rozmarzeniem. Przewidywała, że kiedyś przejdzie jej. Jednak z powodu wojny może to nastąpi później.

- Dziesięć lat.

- Dziesięć... Zaraz, to ile ty masz lat? - Marty zmarszczyła brwi z niedowierzaniem. - Była dzieckiem wychodzącym z domu, czy co?

- Nie. Miałam siedemnaście lat, kiedy wyszłam za Beau, - Mary Lynn uśmiechnęła się, widząc reakcję Marty i postawiła zdjęcie na komodzie. - Ale od początku wiedziałam, że to ten jedyny.

- Wiadomo, że jeśli ma kogoś takiego, musi być przyjemnym uczuciem - powiedziała Marty, która już dawno przywykła do swojego wolnego stanu. Urodziła się bez instynktu zakładania rodziny i potrzeby osiadłego życia. Za bardzo pragnęła podniecenia i działania. Raz, na początku college'u, poznała kogoś, kto spróbował poskromić jej temperament i dać odrobinę domowego ciepła. Jedynym miejscem, gdzie się nie nudziła, była sypialnia. Po tygodniu skakali sobie do gardła, gdy on chciał, żeby się usatkwiała, a Marty nie miała zamiaru się zmieniać. Po rozstaniu z nim wróciła do przyjaciół, że powinna być wiedzą od początku, że nic z tego związku nie będzie. Jako dziecko zawsze wolała bawić się w doktora niż w domu.

Więc Marty bawiła się. Patrzcie na Mary Lynn pomyślała, że nigdy nie będzie taka jak ona. Drobna, ciemnowłosa, kobieca to typ, jaki mężczyźni lubią, a nie kogoś takiego jak Marty.

- Tęskni za nim. - Mary Lynn przesunęła dłoń po zdjęciu. - Kiedy wysłali Beau do Europy, nie mogłam wytrzymać sama w domu, więc przeniosłam się z powrotem do rodziców. I chyba zrobiłam błęd.

- Ty też nie możesz się dogadać z rodzicami?

- Nie o to chodzi. To znaczy, mój tata jest kochany. Upierał się, żeby mnie odwieźć na stację, a przecież mogłam pojechać autobusem i zaoszczędzić mu straty cennego paliwa. Wiedział, że muszę kupić bilet na pociąg, więc wsunął mi do kieszeni pięć dolarów, żeby miał na drobniaki. On mnie rozpieszcza.

- To musi być przyjemne.

- Jest. - Ciemne oczy zabłyśły, a okręgi buzi rozjaśniły się.

- Wiem, jaki masz problem w domu? - zapytała z ciekawości Marty.

- Nie mogłam znaleźć wspólnego języka z matką. Chyba zbyt długo mieszkałam poza domem. Nigdy nie robiłam nic tak, jak ona chciała, żeby było zrobione. - Wzruszyła ramionami. - Poza tym nie mogłam siedzieć bezczynnie. Chciałam coś robić, choć w małym stopniu wziąć udział w tej wojnie. Jedyną rzeczą, jaką umiałam robić poza prowadzeniem domu, było latanie. Wiedziałam, jak bardzo potrzebni są pilociści... więc stwierdziłam, że jeśli mnie

przyjm , to dobrze. Mama uwa a, e jestem głupia.

- Dlaczego? - dopytywała si Marty.

- Uwa ała, e lepiej mog si przyczyni , id c do pracy w fabryce wojskowej, a przy okazji wi cej zarobi .

Czasami Mary Lynn miała wra enie, e matka nie chce, by ona wyjechała, eby nie straci pieni dzy, które Mary Lynn płaciła za swój cz czynszu. Wiedziała, jak ci ko jest rodzicom finansowo, i miała wyrzuty, e tak my li o swojej matce.

- Ona nie rozumie, e dzi ki lataniu czuj si bli ej Beau. Kiedy jestem w górze, mam wra enie, e on jest blisko.

- A co Beau o tym s dzi? - zapytała Marty.

- Popiera mnie - zapewniła Mary Lynn. - Wie, jak bardzo wojsko potrzebuje pilotów, a ja jestem jednym z nich, skoro sam nauczył mnie lata . On my li tak jak ja. - Jej akcent stał si wyra niejszy, głos spowa niał, co zwróciło uwag Chicago, siedz cej na s siednim łó ku. - Wszyscy musimy robi , co si da, eby skróci t wojn i szybciej sprowadzi naszych m czyn do domu.

- To prawda - wtr ciła Chicago, a Aggie zacz ła si przysłuchiwa z nast pnej pryczy. - Im wi cej kobiet b dzie mogło lata , tym wi cej m czyn pojedzie do Europy i wi cej samolotów polecą nad Niemcy. To, co tutaj robimy, jest bardzo wa ne.

- Wiem, e to wszystko jest wa ne ze wzgl du na wojn . - Wysoka, niezgrabna Aggie spojrzała na kole anki z wahaniem, niepewna, czy mo e wzi udział w rozmowie. - Ale dla mnie liczy si samo latanie, mo liwo robienia tego, co kocham. Tam w górze, pod niebem, w ród chmur, czuj podniecenie, poczucie siły, nie ma nic lepszego. - Zabrakło jej słów, by wyrazi uczucia. - Nic nie mo e ci powstrzyma . Jeste wolna, absolutnie wolna. To pewnego rodzaju obł dna rado i strach razem zmieszane. - Kiedy przerwała, zauwa yła, e wszystkie dziewcz ta w ciszy wpatruj si w ni . Opu ciła głow zmieszana. - Chyba mówi jak wariatka.

Min ła chwila, zanim kto si odezwał.

- Wcale nie - powiedziała cicho Mary Lynn. - My l , e ka da z nas czuje to, co wła nie opisała . Ale adna nie słyszała, eby inna kobieta tak mówiła.

- No, nie wiem. My l , e Aggie troch przesadziła - wtr ciła Marty kwa no. - Z jej słów wynika, e latanie jest lepsze ni całowanie.

Atmosfera natychmiast si rozlu niła, a na twarzach pojawiły si u miechy.

- Masz racj Marty - zgodziła si Chicago. - To nast pna najlepsza rzecz, ale nie lepsza.

Za miały si z artu, ale w gł bi duszy Mary Lynn miała poczucie winy. Bez wzgl du na to, jak tłumaczyła swój decyzj o udziale w programie szkoleniowym, bezpo redni powód był taki sam jak u Aggie - uwielbiała lata . Bł kitne niebo kusiło j , prowokowało, skłaniało do wzniesienia si i do wiadczenia niezwyklej podniebnej ekstazy. Znała pot g tego wezwania, dzikiego poczucia wolno ci, daj cego szcz cie, a tak e uczucie, e Beau jest z ni , tu obok. Gdy znajdowała si w górze, nic poza ni nie istniało, wojna, obawy o Beau, problemy rodzinne - nic. Mogła je zostawi i odlecie , ale zawsze czekały na ni , gdy tylko dotkn ła ziemi.

- Rozpakujmy rzeczy i przygotujmy łó ka - powiedziała Cappy Hayward, przywracaj c je do rzeczywisto ci. Podeszła do swojej pryczy, na której le ała otwarta walizka, a w niej w idealnym porz dku równo poskładane rzeczy. Miała du e do wiadczenie w pakowaniu si .

Cap. Ile ironii było w tym przydomku. Ale, oczywi cie, reszta nie wiedziała o jej niech ci do wojska, jego

zimnej bezosobowo ci i daniu absolutnego posłuszeństwa. Nigdy nie zgodziłaby się tak jak jej matka. Nienawidziła tego wiecznego braku poczucia przynależności do ci, braku przyjaźni czy kontroli nad własnym życiem. Może to ostatnie przyciągało ją do latania. W samolocie miała kontrolę. Aggie miała rację - nic nie może się równać z tym uczuciem.

Zapukano do drzwi tak gwałtownie, a się zatrząsnęły. Aggie ruszyła, by otworzyć, ale spojrzała na Cappy.

- To dwóch facetów w mundurach. Zauważyłam ich wcześniej przez okno. Otworzysz im, Cap?

Cappy nie wahała się długo, gdy pukanie rozległo się po raz drugi.

- Jasne.

Odkładając bluzkę do walizki i podeszła do drzwi. Obrzuciła wzrokiem mundur mężczyzny stojącego przed nią, rozpoznając jego stopień.

- Słucham, sieranie?

Obok niego, poza zasięgiem wzroku dziewcząt stała rudowłosa kobieta w futrze z lampartą. Przy jednym z kufrów stał ochroniarz, sapiący ze zmęczeniem.

- Czy znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby?

Zacięty wyraz twarzy sieranta dowodził, że jego cierpliwość została wystawiona na próbę. Rudowłosa była w nie najlepszym humorze.

- Mamy wolne łóżko.

Jedynie puste miejsce zostało przy łazience, co stanowiło w tym względzie wygodę, gdy przypominało spanie obok windy. Cienkie ściany baraków marnie tłumiły odgłosy wody przepływającej przez rury lub spuszczonej w toalecie, i rozmowy mieszkańców. W momencie gdy Cappy odsuwała się od drzwi, mogli wejść, Marty Rogers przepchnęła się do niej.

Czego on chce, Cap? - Sekundę po zadaniu tego pytania, Marty zauważyła rudowłosą kobietę owiniętą w futro.

- Jeśli przytrzyma pani drzwi, będziemy mogli wnieść ten kufer. - Sierant zignorował jej pytanie i dał znak ochroniarzowi, aby podniósł kufer z drugiej strony.

Eden van Valkenberg cicho jej zawinięła kołnierz wokół szyi. Na dłoniach miała drogie rękawiczki z czarnej skóry. Gdy zobaczyła Marty Rogers, odwróciła się do sieranta i powiedziała:

- Chcę obejrzeć jeszcze jeden ... kwadrat. - Po krótkim wahaniu przypomniała sobie właściwe słowo.

- Wszystkie są tak samo wyposażone, proszę pani - powiedział sierant, z wysiłkiem podnosząc kufer.

- Jej chyba chodzi o towarzystwo, a nie o wyposażenie - zasugerowała zjadliwie Marty.

Sierant jednak nie był zainteresowany konfliktem ich osobowości.

- Proszę zejść z drogi, miłe panie - powiedział z wymuszonym grzecznością, cięgnąc przez drzwi kufer. Marty nie miała wyboru, musiała zejść z drogi albo przewrócićby ją.

Eden z niechęcią zaakceptowała swój los i weszła do korytarza za ochroniarzami, dając im jej bagaż. Ponurym, wyzywającym spojrzeniem obrzuciła twarze dziewcząt, dając do zrozumienia, że podziela ich niechęć do wspólnego zamieszkania. Cappy rozumiała to poczucie wyobcowania, bycia outsiderem, kim nie chcianym i niemile widzianym. Ile razy wchodziła do klasy w nowej szkole i trafiała na obce twarze patrzące na nią chłodno? Zbyt często.

Mężczyźni postawili ogromny kufer obok pustego łóżka. Gdy się odwrócili do wyjścia, Cappy zauważyła, że Eden van Valkenburg otworzyła torebki i czegoś w niej szukała. Kiedy sierant ją mijał, zatrzymała go i wsunęła mu

co do r ki.

- Dzi kuj - powiedziała zamykaj c torebk . Nie zauwa yła zaskoczenia na twarzy m czyzny, gdy poczuł w dłoni zwini ty banknot.

- Niech pani zatrzyma swoje pieni dze - powiedział z niesmakiem i oddał jej banknot. - To nie apartament w Waldorf.

Wyszedł, kr c c głów , a ona zrobiła si czerwona ze wstydu. Cappy zrozumiała, e ta bogata dama, przyzwyczajona do dawania napiwków chłopcom hotelowym i tragarzom, odruchowo dała pieni dze sier antowi. Szeregowiec mo e by je przyj ł, ale sier ant wida nie lubił dam z wy szych sfer.

Kiedy zamkn ły si drzwi za ołnierzami, w pokoju zapanowała grobowa cisza. Przerwało j jedynie stukanie obcasów, gdy Eden szła na swoje miejsce, ci gaj c po jednym palcu skórzane r kawiczki.

- Gdzie si podział drugi kufer? - Marty leniwie poło yła si na swojej pryczy.

- Kazałam go odesła do domu. - Zdj ła kapelusz i poprawiła eleganckim gestem włosy, nie zwracaj c uwagi na Marty. - Okazało si , e zabrałam wiele drobiazgów, które wydawały mi si potrzebne, a nie s .

- To musiała by trudna decyzja - stwierdziła sarkastycznie Marty.

W ciekło gotowała si w Eden pod pozornie oboj tnym zachowaniem. Kpi cy ton miał zatuszowa , jak głupio si czuła. Zgoda, popełniła bł d, ale nie miała zamiaru pozwoli tej szatynce o szorstkim głosie, eby utarła jej nosa.

- Wła ciwie to wcale nie było trudne - odparła ze słodkim u miechem. - Kto z obsługi pomógł mi przejrze kufry i przeło y niepotrzebne rzeczy do tego drugiego.

Rzuciła niedbale futro z lamparta na puste łó ko obok kapelusza i r kawiczek.

- To straszne - mrukn ła Aggie, wpatruj c si w futro, które znów posłu yło za narzut , gdy Eden usiadła na w skim łó ku. Cappy min ła Marty i wróciła na swój prycz , znajduj c si mi dzy Aggie i Eden.

- To wszystko przypomina mi bajk - powiedziała Marty, ruchem dłoni wskazuj c na Eden van Valkenburg. - Mam przecucie, e ksi niczka obudzi si rano i b dzie narzekała, e spała na ziarnku grochu.

Eden otworzyła czarn skórzan torebk i wyj ła złot papiero nic . Z uporem ignoruj c Marty, wzi ła papierosa i pukn ła nim o metal, by zbi tyto .

- Czy kto ma ogie ? - zapytała.

Cappy rzuciła jej paczk zapalek. Eden oderwała jedn , potarła o drask i przysun ła do papierosa, którego drugi koniec, bez fifki, wło yła do ust. Krzywi c si zdj ła z warg przyklejone kawałki tytoniu. Kiepsko zacz ła swój pobyt tutaj, najpierw nieporozumienie co do szkolenia i warunków zakwaterowania, potem sprzeczka ze współlokatorkami. Ale to tylko j mobilizowało, eby wytrzymać . Poza tym mo e by zabawnie. Przecie nie b dzie wiecznie mieszka w takich sparta skich warunkach. Jeszcze raz zaci gn ła si papierosem, po czym zgasiła go, próbuj c zdj z czubka j zyka okruchy tytoniu.

Gdy zainteresowanie jej przybyciem min ło, dziewcz ta zaj ły si swoimi sprawami. Obok Cappy wygładzała prze cierałko na materacu, a Eden przygl dała si jej przez chwil z u miechem. Nigdy w yciu nie słała łó ka ani nie rozpakowywała kufra, ani nie układała swoich ubra .

- Hej, Cap! - Chicago zmarszczyła brwi, patrz c, jak wciska brzegi prze cierałka pod materac. - Czy to ojciec nauczył ci tak sła łó ko? Zało si , e moneta na nim podskoczy.

- I wygrasz, zapewniam.

- Mogłaby mi pokazać, jak to się robi? - poprosiła.

Eden przygłodała się, gdy Cappy tłumaczyła innym sztuk wojskowego siania pryczy. Spróbowała sama, ale rezultat był nędzny.

- Pomóc ci? - zapytała Cappy ostro, nie chcąc się narzucać.

Eden wyprostowała się, trochę zaskoczona przyjaznym gestem.

- Tak. Dziękuj, panno Hayward.

Cappy uśmiechnęła się krzywo.

- Lepiej Cappy albo tylko Hayward. W wojsku nie ma miejsca na maniery ani prywatność, więc lepiej nie czekać, a kto poda ci krzesło lub otworzy drzwi - poradziła, pokazując jednocześnie Eden, jak ułożyć równo przez cierniaki i koc.

- Bądź o tym pamięta - odparła Eden i spróbowała dokładnie zawinąć koc na rogach.

Po paru nieudanych próbach Eden odeszła od łóżka, patrząc z satysfakcją na efekt - ciemny, wojskowy koc mocno nacisgnięty, brzegi dokładnie podwinęte, a poduszka ułożona idealnie na środku. Sięgnęła po torebki i usiadła na kufrze.

- Sprawdźmy, czy moneta się odbije. - Wyjęła dziesięć centów i rzuciła na pryczę. Spadła na koc, odbiła się do góry i spadła z powrotem. Uczucie tryumfu przygasiła pewna myśl.

- Przypuszczam, że będziemy musiały słać łóżka codziennie.

- Co rano i sprawdza przed każdą inspekcją. Wojsko uwielbia inspekcje - ostrzegła ponuro Cappy. - Ich motto brzmi: „Miejsce na wszystko i wszystko na miejscu”. Nie przewiduj miejsca na pamięćki osobiste - zdjęć, maskotki i tym podobne. Oczekuj, że kwatery będą nieskazitelne i sprawdzaj w białych rękawiczkach.

- Pewnie nie mają tu... - Eden przerwała w pół zdania, rozejrzała się po ciasnym pomieszczeniu i sama sobie odpowiedziała na nie zadane pytanie. - Nie, chyba wojsko nie zatrudnia sprzątaczek. My pewnie za nie robimy. - Uśmiechnęła się ironicznie i zaartowała: - A mama narzeka na brak słuchaczy, odkąd wybuchła wojna, bo wszyscy odchodzą do pracy w fabrykach.

Cappy uśmiechnęła się ciepło, gdy spodobało jej się poczucie humoru i charakter dziewczyny, pomimo bogactwa i przywilejów.

- Każde chce mieć własny wkład w tę wojnę.

- Bo ja, nie wiem. Mama zawsze wciągała mnie w jakiś swój nowy pomysł - oznajmiła. - Obojętne, czy to było związanie bandy dla Czerwonego Krzyża, zbieranie darów dla Wielkiej Brytanii, czy... raz nawet pomagałam wozitaczki z jakimś wistwem, żeby mogła założyć sobie ogródek na balkonie.

- adnego oddawania krwi? - Cappy uśmiechnęła się.

- Ale tak. Ja i wszyscy moi przyjaciele, a także dalsi znajomi - zapewniła jej Eden. - Biedny Ham twierdził, że nabawi się anemii, jeśli odda tak wiele krwi.

- Ham?

- Hamilton Steel. - Eden przypomniała sobie niemilego mężczyznę, prawie dwa razy starszego od niej, o ciemnych, rzadkich włosach, w okularach w złotej oprawie. Potomek starej, szanowanej rodziny bankierów z Nowego Jorku, miał wiele zalet, niezależnie od tego, co o nim sędzono. — To zany człowiek i dobry przyjaciel. Pewnie wysłałbym za niego, gdybym nie spotkała Jacqueline Cochran na przyjęciu gwiazdkowym, które wydali moi rodzice. Bo cóż innego pozostało w wieku dwudziestupięciu lat? Zrobiłam praktycznie wszystko. Weszłam do

towarzystwa, ucz szczałam do Vassar, objechałam Europ . Jedyń rzecz , jakiej si ode mnie teraz oczekuje, to wyj za m i mie dzieci. Byłam ju tak znudzona i zrozpaczona, e podj łam stanowcz decyzj .

Eden opisała puste ycie, a Cappy rozumiała jej niezadowolenie.

- Czy to od Jacqueline Cochran dowiedziała si o tym programie szkoleniowym dla kobiet?

- Tak. Prawd mówi c, to jej działania sprawiły, e zdobyłam licencj pilota. Tylko dzi ki lataniu czuj , e naprawd yj .

- My l , e wszystkie czujemy to samo. Eden kurczowo trzymała si tego uczucia. W wiecie opanowanym przez pieni dze jej ycie przepełnione było cynizmem. Wszystko miało ten sam cel, zawsze inny ni ten wła ciwy, nawet wojna. Na przykład masowe kupno obligacji, w którym wcale nie chodziło o zasilenie funduszy wojennych. Zadaniem obligacji serii E było, jak przyznał ojciec, przej cie pieni dzy zwykłych ludzi i powstrzymanie inflacji. Widziała, jak wielki biznes zbiera korzy ci z kontraktów wojskowych, poniewa posiada fabryki, linie produkcyjne i pracowników gotowych do produkcji sprz tu wojennego. Rz d musiał podj pragmatyczne decyzje, a Eden była wiadkiem, jak bogaci stawali si bogatsi, a biedni mieli niewiele lepiej ni przedtem.

- Jacqueline Cochran namalowała niezwykły obraz tego programu na przyj ciu - wspomniała Eden, obrzucaj c niech tnym spojrzeniem pusty pokój. - Ale zmyliła mnie. Powiedziała, e odb d szkolenie w Houston, a nie w jakiej mie cinie na rodku pustkowia. Nasz szofer przyjedzie moim samochodem w przyszłym tygodniu. Gdzie ja nim pojad ?

- Nie wiem. Ale spójr na to z innej strony. Bez samochodu byłaby tu uziemiona - zasugerowała Cappy z nieznacznym u miechem.

- Masz całkowit racj - zgodziła si Eden, zadowolona, e b dzie spała obok tej miłej kobiety.

Do wieczora wszelkie rozmowy ucichły, gdy dziewcz ta były zm czone podró i położy y si na swoich łó kach. Eden, wzi wszy prysznic, weszła do pokoju ubrana w ró ow jedwabn podomk i pantofle w tym samym kolorze.

Cappy jako jedyna nie pisała listu.

- Nie piszesz do domu? - Eden usiadła na łó ku i wzi ła polerk do paznokci, by poprawi ich połysk.

- Nie mam do kogo pisa . - Cappy wzruszyła oboj tnie ramionami. Napisała krótk kartk do matki, informuj c, e dojechała szcz liwie, poza tym nie miała przyjaciół.

- Nikogo? - Eden zmarszczyła brwi zdziwiona. - My łałam, e masz ojca w wojsku.

- Mam ojca, ale on nie ma córki - odparła i przerwała, by spojrze na zdezorientowan Eden. - Wyrzekł si mnie.

- Dobry Bo e, dlaczego?

- Dlatego, e przyjechałam tutaj. - Cappy zawahała si , a potem kontynuowała z udawan oboj tno ci : - Jego córka nie b dzie lata w półwojskowym korpusie. Niewa ne, e to on sam nauczył mnie tego.

- Przejdzie mu. Rodzicom zawsze mija.

- Nie znasz mojego ojca - powiedziała sucho Cappy. - Nie byłby bardziej wzburzony, gdybym mu powiedziała, e przył cz si do objazdowego burdelu.

- Nie tylko twój ojciec tak my li - odparła Eden. - Mój cz sto powtarzał, e inteligencja u kobiet to marnotrawstwo. Według mnie bierze si to ze starego pogl du, i nie mo na nas traktowa serio. M czy ni mog nauczy nas lata i uwa aj to za miłe zaj cie, takie jak tresowanie psa, eby siadał i słu ył, ale wykonywane na

ich yczenie.

- To prawda - mrukn ła Cappy, wyobra aj c sobie ojca.

- A je li chodzi o wojsko - mówiła dalej Eden - to ma najwyra niej negatywny wpływ. Słyszałam w Nowym Jorku, e kobieta w mundurze jest niemoralna. - Roze miała si ironicznie. - Jak poł czysz te dwie rzeczy, to dla wielu ludzi b dzie to to samo co objazdowy burdel.

Cappy za miała si , zapominaj c na chwil o całej nieprzyjemnej sytuacji z ojcem. To zderzenie charakterów jednak było nieuniknione. Oboje mieli zbyt siln wol , a ojciec był przyzwyczajony do narzucania swojej władzy. Długo była lepo posłuszn córka , nigdy nie podwa aj c jego zdania.

Marty przerwała na chwil pisanie listu, by popatrze na przyjacielsk rozmow Cappy i Eden po drugiej stronie pokoju. Mówiły cicho, wi c nie słyszała, o czym mówi . Ale grupka - pomy ła Marty. Trzy łó ka dalej Aggie zawijała papiloty, trzymaj c lusterko na kolanach. Obok niej Chicago le ała na plecach ze zgi tymi nogami i produkowała tomy listu do domu.

Eden van Valkenburg zdj ła podomk i rzuciła j niedbale na komod . Odchyliwszy nakrycie łó ka, zdj ła pantofle z puchem. Jedwabna koszula nocna mogła z powodzeniem udawa strój wieczorowy. Kiedy Marty zobaczyła, jak Eden wkłada ozdobn maseczk do spania z takiego samego ró owego jedwabiu, pokr ciła głow .

- Ale ona elegancko ubiera si do łó ka - mrukn ła, nie zawstydzona z powodu swojej bladoniebieskiej pi amy.

Na s siednim łó ku Mary Lynn Palmer, drobna i kobieca w niemal dziecinnej pi amie, spojrzała znad bloku listowego.

- Mówiła co ? - zapytała, marszcz c brwi.

- Nie.

Nagle silny północny wiatr zawiał, przeciskaj c si przez szpary w drzwiach i oknach, a zrobiło si chłodno w pokoju.

- Bo e, jak tu wieje - poskar yła si Marty, owijaj c si kocem.

- Latem prawdopodobnie b dziemy si z tego cieszyły - stwierdziła Mary Lynn.

- Posłuchajcie. - Marty wystawiła głow , gdy wiatr przyniósł daleki piew. - Słyszycie?

- Tak. - Mary Lynn nasłuchiwała przez chwil . - To musz by ci kadeci w nast pnych barakach.

- Chyba tak - zgodziła si Marty.

Przysłuchiwały si przez moment trudnej do rozpoznania melodii, a ucichła.

- Tak daleko od domu - mrukn ła ponuro Mary Lynn.

Marty nie była pewna, czy chodzi jej o m a w Anglii, osoby za cian , czy o nie same, ale to niewa ne.

- Tak - odparła i wróciła do pisania przerwane go listu do brata.

3

Ostry, wibruj cy d wi k obudził Eden z gł bokiego snu. Usiadła na łó ku i ci gn ła jedwabn maseczk przykrywaj c oczy. Przez moment obce otoczenie zaskoczyło j , nie wiedziała, gdzie si znajduje. Kto wł czył wiatło i zaraz w kierunku sprawcy poleciała poduszka, a Eden zasłoniła oczy przed o lepiaj cym j blaskiem.

Na s siedniej pryczy Cappy Hayward odwin ła nakrycie i spu ciła nogi na podłog .

- Wstawajcie, dziewcz ta. Pobudka.

Eden próbowała si ruszy , ale mi nie zeszywniałe od spania na twardym materacu, odmówiły posłusze stwa.

Mrugaj c oczami, powoli obróciła si i usiadła na brzegu łó ka. Za zielonymi zasłonkami w oknach panowały ciemno ci.

- Jeszcze ciemno - odezwała si zasnym głosem. - Która godzina?

Rozci gn ła ramiona, eby pozby si napi cia.

- Szósta pi tna cie - odpowiedział kto , ale Eden nie była w stanie rozpozna głosu.

J kn ła odruchowo i mrukn ła pod nosem:

- To nieludzkie.

Chyba nikt nie usłyszał, bo inaczej dziewcz ta zgodziłyby si z ni .

- Łazienka! - To Chicago przypomniła sobie o tym miejscu, które musz dzieli z sze cioma innymi dziewczynami. Rzuciły si w pi amach do łazienki. Eden pomy łała, e kawałki materiału wpl tane we włosy Aggie przypominaj małe białe migietka.

- Lepiej zacznij si ubiera - poradziła jej Cappy, kiedy Eden siedziała na brzegu pryczy, czekaj c, a si rozbudzi. - Musimy posła łó ka i sprz tn pokój przed przyj ciem inspekcji.

- O której to b dzie? - Z du ym wysiłkiem Eden przekr ciła głow i spojrzała m tnym wzrokiem na brunetk , która wydawała si zorientowana.

- Zbiórka na niadanie jest o szóstej czterdzie ci pi .

Eden powoli przeliczała czas.

- Pół godziny?! - Otworzyła szeroko oczy. - Ale ja potrzebuj co najmniej godziny na makija i uczesanie!

- Ju nie. - Cappy spojrzała na ni ze współczuciem.

Wiele wysiłku kosztowało Eden powstrzymanie si od uwagi, e barbarzy stwem jest wymaganie od kogo , by funkcjonował o tej porze. Wstała bez słowa, uznaj c, e skoro nikt inny nie narzeka, to najm drzej b dzie te si nie odzywa .

W stołówce dziewcz ta stały w kolejce wzdłu kontuaru po niadanie, z tacami podzielonymi na wgl bienia, by oddzieli produkty. Aggie, nios c pełn tac do jednego z długich stołów, zatrzymała si na chwil , by mała Mary Lynn mogła za ni nad y .

- Prawdziwe masło - powiedziała z zachwytem do kole anki. - W wojsku nie ma ogranicze .

- Wiem. Chyba zapomniałam, jak ono smakuje. - Mary Lynn postawiła tac na stole i przeszła przez ławk , by usi .

Reszta grupy szła tu za nimi. Było troch zamieszania, zanim wszystkie si usadowiły. Chicago rozejrzała si dokoła.

- My łałam, e mo e zobaczymy tych kadetów dzi przy niadaniu - powiedziała z mieszanin rozczarowania i ciekawo ci.

- No. Jak my lisz, gdzie oni s ? - Marty popatrzyła niezadowolona na tłum kobiet, wypełniaj cy stołówk .

- Macie tak szans ich zobaczy , jak znale pchł na nied wiedziu - odparła z ironi Cappy.

- Dlaczego? - zdziwiła si Aggie.

- Poniewa uło nam plan zaj tak, eby my si nie spotkali. Mog si zało y , e je li my b dziemy na jednym ko cu obozu, to oni b d na drugim - zawyrokowała Cappy z pełnym przekonania błyskiem w oczach.

- W yciu nie słyszałam takiej cholernej bzdury - powiedziała Marty ponuro, zanim zdała sobie spraw ze swoich słów. Szybko rozejrzała si z poczuciem winy, czy kto jej nie usłyszał, ale w pobl u nie było nikogo z

przeło onych.

- To nie ma sensu - kontynuowała. - Tyle wysiłku, żeby nas trzymała na odległość, a ich baraki są naprzeciwko naszych.

- Ale po rodku jest ziemia niczyja - ostrzegła Cap.

- Albo raczej „nie dla kobiet” - wtręciła Chicago ze śmiechem.

- Ha, ha! - odparła Marty, wsuwając do ust porcję jajecznicy.

Eden van Valkenburg siedziała naprzeciw niej, popijając kawę i nie zwracając uwagi na leżące na tacy tosty.

- Czy to całe twoje jedzenie?

- Nie jestem głodna rano. - Wzruszyła ramionami obojgą i odsunęła nieapetycznie wyglądający kawałek pieczywa.

Wysoka, kościasta Aggie Richardson wpatrywała się z nieukrywaną zazdrością w doskonale zadbane rudowłose damy.

- Kurcz, wyglądasz dzisiaj cudownie.

- Dziękuj - odpowiedziała Eden z uśmiechem, zaskoczona komplementem.

- Nic dziwnego - wtręciła Marty. - Powinna była zobaczyć bałagan, jaki zostawiła w łazience, gdy po niej przeszłam.

- Przepraszam - powiedziała Eden trochę szorstko.

Mycie brudnych umywalek zawsze należało do pokojówki. Zrozumiała, że tu należy nie tylko słuchać, i spowiadała na myślenie, do ilu rzeczy będzie musiała się przyzwyczaić.

Dzień zaczął się ostro, marudzenie przy niadaniu nie było dozwolone. Siedemdziesiąt pięć kobiet podzielono na dwie grupy, nazwane eskadrami. W każdej został wybrany porucznik eskadry i marszowy. Obowiązkiem porucznika eskadry było zwołanie eskadry na zbiórki rano i zameldowanie marszowym, które ustawiały je w kolumnach do marszu, gdziekolwiek szły. Indywidualnie została sfłamszona przez regulamin. Otrzymały skórzane kurtki wojskowe, spadochrony, czapki lotnicze, gogle, jednakowe kombinezony khaki.

Kiedy wróciły do baraku. Eden rzuciła kombinezon, który dostała, i spojrzała na metkę.

- To jest męski kombinezon - zaprotestowała przed całą grupą.

Aggie zdążyła rozpiąć swój, by go przymierzyć. Weszła w niego i podciągnęła do góry, by założyć rękawy, podczas gdy reszta przyglądała się, jak to wygląda na jej figurze. Szwy na ramionach wychodziły poza linię ramion, na nogach i biodrach materiał wisiał jak oklapły balon.

- To jest za duże - powiedziała ze zdziwieniem Aggie, a pozostałe po piesznie mierzyły swoje kombinezony.

- Bo to drogi, wyglądasz jak te dziwaczne stroje, które Meksykanie noszą w Kalifornii - poskarżyła się Marty, obserwując, jak Eden męczy się z zacienioną paską, by widać było, że w ogóle ma talię.

- Mylisz, że się skurczy? - zapytała Mary Lynn z nadzieją.

- Może. - Marty spojrzała na drobny brunetki i wybuchnęła śmiechem. Rękawy miała tak długie, że zakrywały dłonie, krok w spodniach wisiał na wysokości kolan. Mary Lynn próbowała się przejąć, ale potknęła się o zbyt długie nogawki.

- Oni chyba nie myślą, że będziemy w tym chodzić, prawda? - wyraziła swoje przypuszczenie Eden.

Jedynie prośba Mary Lynn o mniejszy rozmiar została uwzględniona. Reszta musiała sobie radzić, jak potrafiła, z otrzymanymi kombinezonami. Jednak gdy Mary Lynn włożyła ów mniejszy, okazało się, że wciąż wisi na niej

jak worek.

- Mog na nas mówi szalowe dziewczyny - za artowała Eden, zapinaj c paski od spadochronu, które przechodziły niewygodnie mi dzy nogami.

Na razie jedyne, co mogły zrobi , to ponarzeka na nie dopasowane kombinezony, co zostało przerwane wezwaniem na zbiórk . Pomaszerowały w kierunku pasa startowego w nierównych kolumnach, powoli przekształcaj c si w formacj wojskow .

W centrum bazy znajdowała si okr gła sadzawka, otoczona kamiennym murkiem, a po rodku wznosiła si fontanna. Rozległy si szepty, e jest to studnia ycze , a na dnie połyskiwały w sło cu drobne monety. Kadeci, przebywaj cy tu wcze niej, wrzucali je na szcz cie przed lotem sprawdzaj cym.

Jednak prawdziwe podniecenie wywołały stoj ce wzdłu linii startu samoloty. Wszystkie dziewczyny zebrano w pokoju, gdzie miały czeka , a instruktor je wywoła, a okna tego pomieszczenia wychodziły na zaparkowane maszyny. Gdzieniedzie stały krzesła i stoły, w k cie za był automat z coca-col , by zwil y wysychaj ce z podekscytowania usta. Serce Marty waliło w piersi, zdradzaj c jej emocje. Nigdy nie latała niczym wi kszym od Piper Cub, nale cym do jej brata Davida.

- Martha Jane Rogers! - wywołał jej nazwisko dono ny m ski głos. Wstała, krzywi c si na brzmienie swojego pełnego imienia.

- Martha Jane? - Chicago za miała si i klepn ła j po udzie, gdy przechodziła.

Ale nic w tej chwili nie było wa ne. Szła długimi krokami w kierunku wysokiego m czynny, który stał przy drzwiach z list w r ku i uł cygaro. Nauszniki czapki miał podwini te do góry, a paski zwiwały komicznie po bokach, ale surowy wyraz twarzy przypominaj cej buldoga nie zach cał do u miechu.

- Ty jeste Rogers? - Spojrzał na ni chłodno.

- Tak jest. - Marty podniosła wysoko głow nie zra ona jego oschło ci . - Wszyscy mówi na mnie Marty.

- Ja nie jestem wszyscy, Rogers - odparł sucho.

- Tak jest. - Opu ciła troch brod , zaciskaj c z by, by si powstrzyma od k liwej uwagi.

- Dlaczego masz taki zachrypni ty głos? - zainteresował si . - Jeste przezi biona?

- Nie, prosz pana. Zawsze mam taki głos - poinformowała go.

Obrzucił j surowym wzrokiem i spojrział znów na list .

- Nazywam si Turner Sloane i b d twoim instruktorem w pierwszej fazie szkolenia. Jakie uwagi?

- Nie, panie instruktore.

Wzi ła gł boki wddech, by pohamowa niecierpliwo , i zmusiła si do miłego u miechu, gdy na ni spojrział.

- Nawet gdyby miała jakie , to nic by nie dało.

Włó ył list pod pach , a r ce wsun ł do kieszeni.

- Tak wła nie my lałam. - U miechn ła si szerzej, ale mina jej zrzędła, gdy patrzyła, jak on prze uwa cygaro. Wi kszo instruktorów to cywile, którzy byli za starzy do słu by czynnej, tak jak Turner Sloane, lub nie mogli zda trudnego egzaminu sprawno ci fizycznej.

- Ten ostry j zyk przysporzy ci kłopotów, Rogers. - Odchylił głow do tyłu, mru c oczy, a Marty zauwa yła, e jest kilka centymetrów wy sza od niego.

- Tak jest. - Trudno jej było trzyma buzi zamkni t i nawet w tej odpowiedzi zabrzmiała odrobina sarkazmu. Czowała, e celowo si z ni dra ni.

- Gotowa? - Z cygarem w zbach ka de jego zdanie brzmiało jak drwina.

- Tak jest. - Nawet jej własne wojskowe odpowiedzi zaczynały j denerwowa . Ale pragn ła lata bez wzgl du na to, czy ten człowiek chciał j nauczyć , czy nie.

Wyj ł z ust cygaro i warkn ł:

- No to ruszaj si .

Marty stłumiła zło i ruszyła ostro przed siebie, by ostudzi temperament w chłodnym zimowym powietrzu. Na zewn trz zwolniła, czekaj c na niego i przygl daj c si niecierpliwie ustawionym w rz dzie na przedpolu hangaru około trzydziestu samolotom. Dokoła panował ruch, maszyny kołowały, a instruktorzy i uczniowie dokonywali inspekcji, by? oceni ich sprawno .

Turner Sloane machni ciem r ki zasygnalizował trenerowi, e b d lata . Marty z trudem powstrzymała si od pobiegni cia i zwolniła, eby dotrzyma kroku wolno id cemu instruktorowi.

Niech do kłótlwego instruktora min ła, gdy zacz ł opisywa cechy Fairchilda PT-19, jego pr dko przy starcie i l dowaniu, sposób wytracania szybko ci, pr dko lotu, zu ycie paliwa i zasi g. Marty wpatrywała si samolot, którego oba kokpity były otwarte - przedni dla pilota, a tylny dla pasa era, w tym przypadku dla instruktora. Z nerwowego podniecenia zacz ło jej bulgota w oł dku i r ce sw działy, eby dotkn dr ka. Poci gn ła dłoni wzdłu kraw dzi skrzydła, którego metal wydawał si niemal ywy.

- Masz zamiar tu sta cały dzie i gapi si na ten samolot czy co? - warkn ł Sloane.

- Nie - odparła ostro Marty, ura ona jego drwi cym tonem.

- Wi c na co czekasz? Wła na przednie siedzenie. - Wskazał r k otwarty kokpit.

Marty wdrapała si na nisko opuszczone skrzydło i przeszła do kabiny. Usadowiła si nieporadnie w fotelu, gdy przeskadzał jej za du y kombinezon i paski od spadochronu przechodz ce mi dzy nogami. Zanim zd ła si pozapina , Sloane ju stał na skrzydle. Po pokazaniu jej rozmieszczenia instrumentów i omówieniu procedury, upewnił si , e wło yła hełm i słuchawki, by mogła słysze jego instrukcje.

- A je li ja b d chciała co powiedzie ? - zapytała nie widz c swojego mikrofonu.

- Ja jestem nauczycielem, a ty kursantk . Ja mówi , ty słuchasz - wyja nił sucho.

Marty przygryzła j zyk, wpatruj c si w pulpit. Nabierała coraz wi kszego przekonania, e to nie b dzie zabawne. Ale je li Turner Sloane s dzi, e w ten sposób zniech ci j do latania, to si grubo myli.

Ledwo Sloane wdrapał si do kabiny, natychmiast zacz ł warcze jej do ucha. 175-konny silnik zaryczał, a wywołane przez niego wibracje pobudziły mocniej nerwy Marty. Wszystkie zmysły pracowały na najwy szych obrotach.

Gdy ruszyli spod hangaru, pilotowani przez Sloane'a, Marty poczuła pod stopami poruszaj ce si pedały sterownicze. Ten rodzaj samolotu miał szczególnie wysoko dziób, co sprawiało, e z przodu nic nie było wida . Sloane poprowadził go zygzakiem, by mogli zobaczy , co si znajduje przed nimi.

Tubalny głos ci gle przypominał jej, e nie wybrała si na przeja d k . Ale ona tego nie potrzebowała, gdy była mocno skoncentrowana, gdy on wyprowadził samolot na pas startowy. Zacz li si rozp dza , silnik ryczał coraz gło niej, a koła dr ały na nierówno ciach. W gardle j cisono, gdy spozjrzała na szybko id c w gór strzałk pr dko ciomierza.

Gdy wznie li si w powietrze, wibracje ustały, a ryk silnika przeszedł w równomierny warkot. Wtedy wszystkie obawy i napi cie min ły i Marty poczuła si spokojna i pewna siebie.

Samolot łagodnie wzbił się w szare niebo, tu pod chmury. Wskazówka wysoko ciomierza obracała się wskazując wysoko w tysiącach metrów. Po lewej stronie leżało szare miasteczko Sweetwater. Marty dostrzegła fabryk gipsu i małą rafinerię, najbardziej widoczne miejsca w pustynnym krajobrazie Teksasu. Dręko uciszył jej kolano, gdy samolot skręcił na północ. Drogi pod nimi, wyglądające jakby wytyczone przez kompas, biegły z południa na północ albo ze wschodu na zachód. Było tu mnóstwo przestrzeni do latania.

Gdy samolot uzyskał wymagane wysokość, Turner Sloane wyrównał lot. Dotarli do obszaru treningowego, gdzie dwa inne PT-19 wykonały manewry.

- No dobra, Rogers, przejmujesz dręko - padł rozkaz w słuchawkach. - Chcę, żeby zrobiła zwykły, wolny zwrot w prawo.

Poziom adrenaliny podskoczył, gdy chwyciła dręko. Radosne poczucie władzy trochę jej za mało, gdy gładko przechyliła samolot na prawo i poczuła, jak jest jej posłuszny. Zakoczywszy zwrot, łagodnie wyrównała poziom skrzydeł z linią horyzontu.

- Co się dzieje, Rogers? - usłyszała zjadliwy głos. - Czy to było dla ciebie za trudne? Straciła tysiąc metrów wysoko ci, a wskaznik zwrotu nie był na właściwym miejscu. Spróbuj jeszcze raz i tym razem użyj steru.

I tak było cały czas, Turner Sloane bez przerwy wytykał jej błędy. Marty czuła się jak nowicjuszka. Było to najbardziej przygnębiające doświadczenie w jej życiu.

- Wystarczy na dzisiaj, Rogers - usłyszała godzinę później w słuchawkach głos, który zdradzał mocno nadwytłonięte cierpliwość. - Weź kurs na lotnisko.

Na ułamek sekundy Marty zamarła. Zaczęła się rozglądać panicznie, próbując ustalić swoje położenie.

- Co się dzieje, Rogers? Zgubiła się?

- Kiedy powiedział do mnie... - Marty zacisnęła pięści, opowiadając historię współlokatorce. - Chciałam cięgnąć słuchawki i wepchnąć mu je prosto w...

- Uwaga, Marty - ostrzegła ją Mary Lynn.

-...tyłek - dokończyła łagodniej, niż zamierzała.

- Wiedziałaś, gdzie się znajdujesz? - zapytała Aggie.

- Wiedziałam, że lotnisko jest gdzieś na południe, więc tam się skierowałam i zacisnęłam kciuki. Na szczęście, zauważyłam dym z rafinerii i zdołałam ustawić kurs prosto na lotnisko - tłumaczyła Marty zmartwiona niemiłym zdarzeniem. - Chyba poleciałabym w każdym kierunku, a nie przyznałabym się Sloane'owi, że nie wiem, gdzie jestem. Nie mam pojęcia, dlaczego trafił mi się na instruktora taki dupek.

- Mój instruktor postawił spraw jasno, że nie powinnam się spodziewać specjalnego traktowania tylko dlatego, że jestem kobietą. - Cap straciła popiół z papierosa. - Będę teraz pewnie przesadzała, żeby udowodnić, że nie można tego zarzucić.

- Mylisz, że o to chodzi? - Położyła się na bryczy z podwiniętymi nogami. - Zastanawiałam się, czy problemem nie jest fakt, że nie płacimy za szkolenie. Gdybyśmy były klientkami, wynajmującymi ich do uczenia nas, traktowałiby nas z większym szacunkiem.

- Ale nie lubiliby nas przez to bardziej - stwierdziła Marty.

- No, nie wiem. - Chicago zmarszczyła brwi i poruszyła się, zdradzając niepewność. - Ja nie miałam żadnych kłopotów z panem Lentzem. Był dla mnie naprawdę miły.

- Tak, widziałam was, jak wjeżdżała do hangaru. - Aggie szturchnęła krótkowłosą brunetkę w plecy. - Pomógł jej opuścić skrzydła i w ogóle - powiedziała do reszty dziewczyn znacząco mrucząc oko.

- Patrzcie! Chicago się rumieni. - Marty zwróciła uwagę wszystkich na jej rumieniec.

- Daj spokój! - zaprotestowała Chicago. - On po prostu był uprzejmy.

- Wyglądało, że miała mu strasznie dużo do powiedzenia - drażniła się Aggie. - Stała na tym zimnie dobre dziesięć minut.

- Mieszkał w Chicago jako mały chłopiec, na tym samym przedmieściu, gdzie ja. Pytał tylko o parę dawnych miejsc, które pamiętał.

- Jest onaty? - zapytała Marty.

- Nie... - Chicago przerwała nagle, widząc ich rozbawione spojrzenia. - Przypadkiem o tym wspomniał - upierała się.

- Przypadkiem wspomniał - powtórzyła Marty ironicznym tonem. - Jak ten wzór cnot męskich wygląda? Założę się, że jest wysoki, ciemny i przystojny.

Widząc jej niechęć do mówienia, Marty podpuściła Aggie.

- Powiedz nam, Aggie.

- Ma jakieś metr osiemdziesiąt pięć, może siedem. Jest dobrze zbudowany, nie za chudy i nie za gruby - zaczęła Aggie. - Trudno powiedzieć, bo był w czapce, ale ma chyba brzoźwe włosy. Oczywiście ma te brzoźwe... a może niebieskie? Nie pamiętam tam. Jak one są, Chicago?

Najwyraźniej była to pułapka. Chicago popatrzyła dookoła i lekko się uśmiechnęła.

- Niebieskie - powiedziała i wszystkie się roześmiały.

- I co z tego, równie dobrze mogłyby być róże. Całkiem jasno dali dzisiaj do zrozumienia, że nie wolno nam się spoufała z instruktorami.

- Zasady są po to, żeby je łamać, kochanie - wtręciła słodkim głosem Eden. - Wszystko polega na tym, żeby nie dać się złapać.

- Czy wiesz to z własnego doświadczenia? - podpuściła ją Marty.

- Oczywiście. - Eden odrzuciła głowę do tyłu, eksponując kremowoszyję i wypuściła do góry smug dymu.

- Wpakowanie się w kłopoty jest dużo łatwiejsze niż wydostanie się z nich. Chyba, że możesz się wykupić - odparowała Marty ze zjadliwym słodyczem.

- Nie bądź taka złośliwa, Marty - odezwała się Cap.

- Dlaczego cię głębiej broni? - rozżółciła się Marty.

- Nieprawda - odparła Cap zniecierpliwiona, po czym zauważyła, że Mary Lynn wkłada kombinezon. Skorzystała z okazji, żeby zmienić temat.

- Co ty robisz?

- Chcę sprawdzić, czy to się zbiegnie - powiedziała zapinając się pod samoszyję i spojrzała na resztę. - Idzie ktoś wziąć prysznic?

- Hej! To jest wietny pomysł! - Chicago podchwyciła propozycję i wyciągnęła swój kombinezon, by go włożyć.

Wkrótce sześć kombinezonów wisało na sznurku za barakiem. Szedł z liczby ociekających wodą strojów khaki na innych sznurkach, nie był to pomysł nowy.

Cztery dni pó niej we wszystkich drzwiach kwater tłoczyły się dziewczyny, jeszcze więcej ich wygląd dało przez szeroko otwarte okna. miały się i rzucały uwagi konspiracyjnym szeptem, patrzyły na czerwony ziemi, rzadko pokryt trawami.

Z baraków po przeciwnej stronie dochodziły głośne rozmowy. Niewielka grupa mężczyzn, ubranych w kombinezony spadochroniarzy, wchodziła do przydzielonych kwater. Wyglądali na zmęczonych, ale nie na tyle, by nie uśmiechnąć się i nie poflirtować z gromadką dziewcząt, które najwyraźniej były nimi zainteresowane.

- Cześć, dziewczyny! - zawołał wysoki, chudy mężczyzna z jasnym czupryną, która wystawała spod hełmu i gogli. Biały szalik owinięty wokół szyi dodawał mu fantazji. - Może przyjdziecie tutaj?

Zaproszenie spotkało się z gorczym poparciem kolegów.

- Swoi powinni trzymać się razem! - krzyknął któryś.

- Chcecie z nami trzymać? - dodał inny.

- Nie możemy - odpowiedziała im Marty. - Nie wolno nam się z wami zadawać.

- To okropna szkoda - odparł pierwszy z nich.

- Pewnie, jak cholera - zgodziła się Marty.

Siedząc obok Cap mruknęła coś cicho.

- Właśnie zarobiła swój pierwszy nagany, Rogers - odezwał się nagle stanowczy głos.

Szybki obrót i Marty stanęła przed oficerem, który klasnął w ręce, by zwołać wszystkie uczestniczki szkolenia.

- Dobra, dziewczyny, ustawicie się. Czas na siatkówkę.

Gdy leniwie ustawiały się w kolumny, wydając przy tym pomruki niezadowolenia, Marty spojrzała na wysokiego kadeta po drugiej stronie, który podszedł do drzwi, żeby popatrzeć. Wzruszyła ramionami z rezygnacją, a on uśmiechnął się do niej.

Po pierwszym tygodniu zaczął się rysować pewien schemat. Nowicjuszek miały codziennie pięć godzin szkolenia naziemnego, które w pierwszej fazie obejmowało zajęcia z matematyki, fizyki, aerodynamiki, działania silnika i nawigacji. Poza tym cztery godziny dziennie przebywały na pasie stanowym. Wolny czas spędzały w siłowni albo grając w siatkówkę lub baseball. Zmęczenie tłumiło trochę ich entuzjazm z powodu nowej przygody, ale zapal do latania był niezachwiany.

Któregoś wieczoru kręcili się po pokoju, szukając się do snu, rozmowy o lataniu ustały. Początkowo skrępowanie rozbieraniem się przy innych minęło. Chicago wchodziła w białe i boso, nosząc ze sobą szlafrok, który chciała włożyć, ale zapomniała. Mary Lynn leżała na łóżku i pisała wieczorny list do matki.

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na pryczy, Cappy dzieliła włosy na pasma, zawijała je ciasno na palec i przypinała na głowie spinakami, które trzymała w ustach. Eden zebrała swoje rzeczy wraz z saszetkami pełnymi słowników z kremami i tonikami i skierowała się do łazienki na wieczorne zabiegi kosmetyczne.

Marty obserwowała ją.

- Jest taka delikatna i czysta, nie mam pojęcia, jak ona z nami wytrzymuje.

Siedziała z podkurczonymi nogami i paliła papierosa. Potem nagle zirytowała się.

- Myślałam, że to ma być organizacja cywilna, więc po co ta dyscyplina wojskowa? - mruknęła gderliwie, powodującym „cholerne nagany” Marty, jak nazwały to dziewczęta. - Maszerujemy tu, maszerujemy tam,

regulamin tego i mego. Cały czas rozkazy.

- Jak mają utrzymać dyscyplinę bez systemu kar? - argumentowała Cappy, wyjmując z ust spinki. - Jest nas tu o wiele więcej niż ich. Musz nas jako trzymać w ryzach.

- Nienawidzę logiki. - Marty już ubrana w piżamę, opadła do tyłu na poduszkę i wypuściła dym w sufit.

Za oknem rozległ się jakiś szelest, jakby szeptał. Marty oparła się na łokciach i nastawiła uszu, wpatrując się w drzwi. Reszta też usłyszała i teraz wszystkie umilkły, próbując rozpoznać hałas. Ktoś bardzo delikatnie zastukał. Marty natychmiast zerwała się na nogi i ruszyła do wejścia, wkładając szlafrok i trzymając w ustach papierosa. Ujmując klamkę, nachyliła się bliżej framugi.

- Kto to? - zapytała cicho.

- Zgasz światło i wpuszczaj nas - padła odpowiedź szeptem.

- Uwaga, gasz światło - ostrzegła Marty. Aggie pisnęła w protest, ale Marty już uciszyła i ostro nie otworzyła drzwi. Trzy postacie wyłoniły się z ciemności i wślizgnęły przez wąż szpar.

- Kto tam? - dopytywała się Chicago i wyjęła latarkę, by oświetlić trójkę przyklejonych teraz do ściany obok wejścia.

Światła oświetliły przyczernione twarze trzech uczniów i mieczników tych kadetów. W środku siedział przewodniczący z rozjaśnionym śmiechem na głowie.

- Nie bójcie się, dziewczyny. Pomyślcie, że na tym szkoleniu powinniśmy też poćwiczyć nocne rozpoznanie, na wypadek gdybyśmy znaleźli się na terytorium wroga.

- Niezły pomysł - powiedziała Marty rozbawiona.

- To szczęście, że spotkaliście się z przyjaznym powitaniem, prawda?

Uśmiechnęła się zuchwale, ukazując dołki w szczupłych policzkach.

- Nazywam się Colin Fletcher. Ten po prawej to Art Grimsby, a ten drugi to Morley Tyndall.

Początkowe zaskoczenie minęło i dziewczęta zgromadziły się przy drzwiach, gdzie siedzieli chłopcy. Powstało zamieszanie, gdy zaczęły się przedstawiać i podawać sobie ręce.

- Przed przyjściem tu wpadliście jeszcze do kuchni - powiedział Colin i wyciągnął koszyk przykryty szmatką. - Skoro nie mogłyście wpaść do nas dzisiaj na drinka, postanowiliśmy się z wami przekonać.

Gdy zdjęto nakrycie, uniósł się ciepły zapach. Chicago pocięła nosem.

- Hamburgery - stwierdziła rozmarzonym tonem.

Koszyk przechodził z ręki do ręki, by każdy mógł się poczęstować.

- Skąd je macie? - zapytała Marty gryząc pierwszy kęs.

- Mama nam przygotowała - odparł ciemnowłosy, bladej skóry Art Grimsby. - To kochana staruszka. Nazywa nas swoimi chłopcami.

- Złote serce - zgodził się Morley. - Dała nam nawet parę coli, ale chyba bzdury musieliśmy pić z butelki, bo nie dała szklanek.

- Proszę bardzo. - Colin otworzył jedną i podał Marty.

Orzechowe oczy patrzyły tylko na nią. Przyjrzała się uważnie jego twarzy w słabym świetle latarki. Głęboka czupryna jasnych włosów opadała na wysokie czoło, niemal całkowicie je zakrywając. Miał długi, prosty nos i wysokie kości policzkowe. Ale bardziej niż te cechy arystokratyczne spodobał się jej szelmowski błysk w jego oczach.

- Cz sto robicie takie rzeczy? - zapytała ciekawa, czy go cili te w innych kwaterach.

- Nie było powodu, zanim wy tu przyjechały cie - przyznał si . - Nie mogli my uwierzy w nasze szcz cie. Ilu kadetów mo e wspólnie odbywa szkolenie z dziewcz tami?

- Zgadza si . wi towali my wasz przyjazd, gdy nam o tym powiedziano - potwierdził A Grimsby.

Zatopili si w dyskusje o samolotach, technikach latania, instruktorach i kursach naziemnych, a kadeci ostrzegli dziewczyny przed trudno ciami na zaawansowanym etapie szkolenia.

Gdy ch podzielenia si wiedz i do wiadzeniem została zaspokojona, rozmowa przeszła na tematy osobiste.

- Ja jestem z Pensacola - powiedział Colin. - Moi rodzice nadal tam mieszkaj , w wielkim starym domu nad zatok . Tam nauczyłem si lata . Ale znacie armi . Wysłali mnie do Anglii, trzymali w obsłudze naziemnej, potem zdecydowali, e mogliby skorzysta z moich umiej tno ci jako pilota i wysłali z powrotem tutaj na szkolenie.

Z ciemnego miejsca odezwała si Mary Lynn. Pochyliła si do przodu, eby było j wida .

- Mój m został przydzielony do eskadry stacjonuj cej gdzie w Anglii. Jest pilotem bombowca B-17.

- Jak si nazywa? - Spojrzał uwa nie na drobn kobiet . - Mo e go znam.

- Beau. Beau Palmet. - Po piesznie podała mu jeszcze nazw grupy.

- Przykro mi, chyba nie znam - odpowiedział po długim namy le.

Przez cały tydzie Mary Lynn wydawała si przygaszona, wi kszo czasu sp działa wpatruj c si w fotografi Beau. Z nich wszystkich z pewno ci ona była najbardziej samotna, ale te tylko ona miała m a. adna z pozostałych nie miała nawet stałego chłopaka, z wyj tkiem Eden, o ile Hamiltona Steele'a mo na tak nazwa .

Drzwi od łazienki otworzyły si , wpuszczaj c snop wiatła do pokoju. Na jego tle zarysowała si wysoka, kształtna figura Eden van Valkenburg, która zatrzymała si w przej ciu, zaskoczona panuj cymi ciemno ciami.

- Co tu si dzieje? Kto wył czył wiatło? - zapytała.

- Na lito bosk , mów ciszej - sykn ła Marty. - Szybko, zamknij drzwi.

Gdy Eden zamkn ła łazienk , Chicago skierowała na ni latark , by mogła przej przez pokój i doł czy do nich. Nie miała makija u, a rude włosy zawin ła w turban z r cznika. Marty j kn ła w duchu widz c j tak doskonał i tak pi kn w połyskuj cej jedwabnej podomce.

- Prosz , prosz . Dlaczego nikt mi nie powiedział, e mamy go ci? - spytała z lekkim u miechem, siadaj c z gracj na podłodze tak, e prycza słu yła jej za oparcie.

Chłopcy przedstawili si i przeprosili, e nie maj czym pocz stowa , gdy hamburgery i coca-cola sko czyły si . Powtórzono opowie ci, mi dzy innymi Colina.

- Byłe w Londynie? - spytała Eden.

- Tak - odpowiedział Colin.

- Uwielbiam Londyn - powiedziała, wyjmuj c z kosmetyczki papierosy, a trzej kadeci w po piechu przetrz sn li kieszenie w poszukiwaniu zapalek.

- Była tam? - Art Grimsby zwyci sko zapalił zapalek , nagle o wietlaj c półmrok.

Eden pochyliła si do płomienia, po czym dmuchn ła dymem w bok.

- Dziesi tki razy. Nie ostatnio, oczywi cie. Chyba ostatni raz byłam... - Przerwała, by sobie przypomnie . - Zaraz po tym, jak omal nie uciekłam z Nickym, naszym szoferem. Cz sto chodziłam do wietnego nocnego lokalu, taki szalony pub nad brzegiem Tamizy. Nazywał si Pod Dzikiem i Psem czy jako tak. Znasz go? - zapytała Colina z nostalgii w oczach.

- Ten z wypchaną głową dzika z ogromnymi kłami, wiszący nad barem? - Na twierdzenie skinienie Eden, powiedział: - Sądzi się, że nazywał się po prostu Łeb Dzika.

- Co za niezwykły przypadek! Też tam był! - powiedziała zdumiona. - Zwykle wychodziłam...

- Nazywał się Łeb Dzika? - Marty podchwyciła uśmiech przez Colina czasu przeszłego i jego poważny ton. Eden przerwała, gdy dotarło do niej znaczenie tej uwagi.

- Cała człapa nad wodą została zbombardowana przez Szwabów - oświadczył.

W pokoju zapadła cisza. Eden wzdygnęła się, gdy po plecach przeszedł jej zimny dreszcz. Nagle wojna stała się rzeczywistością, a nie tylko nagłówkiem w gazecie, kadrem w kronice czy nawet działalnością jej matki. Tak wiele radosnych wspomnień wiązało się z tym angielskim pubem. wiadomo, że już nie istnieje, że nigdy więcej tam nie pójdzie, że został tylko w pamięci, w której z czasem się zamiera, była trzecią. Wojna zabija ludzi, miejsca, uczucia.

- Robi się późno - powiedział Colin, patrzył na zegarek. - Pora na nas.

- Tak, zanim sprawdzimy, czy nas nie ma. - Morley próbował rozluźnić atmosferę, która zrobiła się ciężką.

- Ja sprawdzę, czy droga wolna - odezwała się Marty, wstała.

Wyłączyli latarkę, gdy Marty otworzyła drzwi i wystawiła głowę. Niebo było usiane tysiącami migoczących gwiazd. Dookoła panowała cisza. Spojrzała w obie strony wzdłuż baraków, ale jedyną oznaką życia było blade światło w oknach. Nic się nie działo.

Marty dała znak gościom, by podeszli do drzwi. W ciszy zbliżyli się do niej i sami jeszcze raz ostro nie wyjrzeliby na zewnątrz. Jeden za drugim przecisnęli się przez ledwo uchylone drzwi i natychmiast kucnęli, by ukryć się w cieniu. Ostatni wychodził Colin. W ciemności nie było widać jego twarzy, ale Marty wyczuła, że patrzy na nią, gdy zatrzymał się w przejściu.

- Uwaga! - szepnęła.

- Dobrze - mruknął. - Jeśli pozwolisz, to wpadniemy tu jeszcze kiedyś.

Koledzy syczełi na niego, żeby się po spieszył.

- Jasne. - Marty popchnęła go lekko za drzwi i wróciła do koleżanek nadal siedzących na podłodze.

- Mówiła poważnie o tej ucieczce z szoferem? - Spojrzała z ciekawością na Eden.

- Niestety, tak. - Uśmiechnęła się blado. - Przechodziłam okres, który mój tata nazwał „plebejskim”. - Wyrwała drwina w głosie zachciała resztę do uśmiechu. - Na szczęście zrozumiałam, że chcę wyjść za niego tylko po to, by zmanifestować wyrzeczenie się pieniędzy. Ale im więcej o tym myślałam, tym trudniej było mi zrezygnować z kredytu u Saksa, więc zmieniałam zdanie.

- Co się stało? - Aggie w napięciu chłonęła opowieść Edena.

- Tata się dowiedział i wylał go.

- Jak możesz być tak niewrażliwa? - zapytała Marty z nutą oburzenia. - Człowiek traci narzeczoną i pracę za jednym zamachem.

- Nieważne. - Wzruszyła obojętnie ramionami. - Po tym do wiadomości tata wysłał mnie do Europy.

- Sam? - spytała Chicago.

- Tak.

- Dziwne, że ci zaufała - mruknęła Marty oschle.

- Najpierw polecały my do Londynu... - zaczęła Eden.

- Zaczekaj - przerwała jej Marty. - Dopiero co powiedziała, że polecała sama. Co to znaczy „my”?

- Moja słuźca i sekretarka, oczywiście - odparła chłodno, jakby to było oczywiste. Sekundę później zdała sobie sprawę, jak snobistycznie to zabrzmiało. - Zawsze je dźiłam z małżonkiem, zanim tu przyjechałam.

- To wcale nie jest takie mieszne - powiedziała Marty, kiedy inne roze miały się. - Dzięki niej nasz pokój jeszcze nie przeszedł inspekcji, a może zapomniały cie? Ona zawsze zostawia wszędzie swoje rzeczy, licząc, że któraś z nas sprząśnie za nią.

- Trudno się pozbyć starych nawyków. - Beztrzęsła odpowiedź obróciła krytykę Marty w żart. — Jak już mówiłam, polecały my do Londynu, gdzie spotkałam Rinalda, włoskiego księcia na wygnaniu. Trzy dni później o wiadomości. Były to kolejne niedoszłe zaręczyny, ale dopóki trwały, było wesoło.

- Była zaręczona z prawdziwym księciem? - znów zapytała Aggie, okazując typowo amerykański respekt wobec tytułu.

- Tak. Tym razem role się odwróciły. Widzicie, posiadłość Rinalda i jego konto w banku zostały skonfiskowane przez włoski rząd faszystowski pod jakimś pretekstem. A on chciał się ze mną ożenić, żeby mógł prowadzić życie, do jakiego był przyzwyczajony.

Eden wrzuciła niedopałek papierosa do butelki. Zasycał wpadając do resztki coli na dnie.

- To nie było miłe z jego strony, prawda? - wyraziła opinię Cappy.

- Ostatnio słyszałam, że widziano go w towarzystwie jednej z utytułowanych dam brytyjskich, której nazwiska nie wymieniła - zaczęła Eden.

W następnym tygodniu przyjechał szofer Eden jej kanarkowym sportowym wozem z otwieranym dachem i białymi skórzanymi tapicerkami. Niestety, nie wolno im było jeszcze opuszczać koszar, więc nie mogły się wybrać na przejażdżkę. Kadeci dwa razy odwiedzili ich kwatery, za każdym razem zostając dłużej. Po ostatniej wizycie Mary Lynn była tak zmęczona, że potknęła się idąc do łazienki.

- Następnym razem powiedz swoim nocnym podrywaczom, żeby przychodzili wcześniej - poskarżyła się do Marty. - Niektóre z nas chciałyby się trochę przespać.

Kiedy rano zabrzmiała pobudka, Mary Lynn schowała głowę pod poduszkę. Gdy Cappy otworzyła oko i spojrzała na zegarek, wydawało jej się, że raptem kilka minut temu się położyła. Podniosła alarm, wyskakując z łazienki, ale było za późno. Wszystkie spódnice były na zbiórce.

Jeśli chodzi o Cappy, dzieła miała paskudny. Była nie przygotowana do egzaminu z fizyki i przekonana, że go obleje. Nie przyszły do niej żadne listy. Matka napisała raz i to wszystko. Przykro jest czuć się zapomnianym, gdy inne dziewczyny obwieszczają swój radość z otrzymania listu od rodziny. Ale starała się to ukryć i jedynie Eden zauważyła jej nastrój. Stały razem, paliły papierosy i słuchając, jak koleżanki czytają na głos fragmenty listów.

W powietrzu tętniło jej najlepiej. Podczas manewrów używała steru albo za mocno, albo za słabo. Nie dośzybko włączala przepustnice przy wytracaniu prędkości. Od swojego instruktora, Rexa Sieversa słyszała wyłącznie słowa krytyki. Ani razu nie podniósł na nią głosu, ale ponury, pełen niezadowolenia ton tym bardziej ją przygnębiał. Kiedy zdecydował się skrócić jazdę i kazał jej wylądować, Cappy wiedziała, że miał do niej niekompetencję. Całkowicie zdruzgotana podjechała pod hangar.

Wirujące łopatki śmigła powoli zatrzymały się. Cappy z ociąganiem sprawdziła i wylądowała wszystkie

urz dzenia, dr c na my l o chwili, gdy b dzie musiała spojrze w oczy instruktorowi.

Kiedy podszedł do przedniego kokpitu, gdzie siedziała Cappy, nie pozwoliła mu powiedzie , jak fatalnie wykonała swoje zadanie.

- Nie mam poj cia, co si ze mn dzieje - stwierdziła z niezadowoleniem. - Potrafi lepiej lata .

- Wiem, e potrafisz, Hayward - zgodził si . - I b dziesz musiała to zrobi zaraz.

- Wiem - mrukn ła ze spuszczon głow .

- Natychmiast, Hayward - powiedział z naciskiem.

Podniosła głow , by na niego spojrze , ledwo mog c uwierzy w to, co usłyszała.

- Sama? - Błysk w jego oczach potwierdził jej przypuszczenie. Zawsze opanowana, teraz czuła niepewno .

- Uda ci si , Hayward! - Mrugn ł i poklepał brzeg kokpitu. - Jest twój.

- Tak jest! - Zasalutowała z szerokim uśmiechem.

Par minut pó niej mkn ła po niebie, a krew t tniła jej w yłach i wiatr owiewał twarz w otwartym kokpicie. Sama w chmurach, Cappy czuła si w swoim ywiole.

To było jak sen. Prawy ster w dół, dr ek do tyłu i łagodnie w prawo, PT-19 wzniósł si ostro do góry. Gdy był w pozycji pionowej, Cappy delikatnie wyszła ze zwrotu i skierowała dziób w dół, i znów samolot spokojnie sun ł w powietrzu. Leniwe ósemki. Wznoszenie i pikowanie, z gracj wykonane zwroty, jak li wiruj cy na wietrze. Tu w górze, w otwartym kokpicie samolotu treningowego była sama, zupełnie sama z wiatrem i sło cem smagaj cym jej twarz. Tutaj czuła si dobrze, nie była samotna. Istniała jaka intymno mi dzy ni i samolotem, l ni ca maszyna reagowała na jej najmniejszy ruch. Była w tym ekstaza, której nie mo na opisa , lecz jedynie do wiadczy .

Kiedy pojawiły si pasy Avenger Field, Cappy westchn ła i weszła na wła ciwy tor. R ce zacz ły jej si poci , wi c wytarła najpierw jedn a potem drug o spodnie kombinezonu. Gdy skr ciła na swoj drog , prostopadł do pasa startowego, wiatr przywiał gromad suchych krzewów. Wydłu yła wi c skr t, by unikn spotkania z tocz cymi si krzakami i uszkodzenia podwozia.

R kaw wskazuj cy kierunek wiatru ustawił si pod k tem do pasa, informuj c o wietrze poprzecznym. Pasy stanowe w Avenger Field najwyra niej nie zostały zaplanowane zgodnie z wiej cym tu wiatrem. Stany i l dowania rzadko odbywały si zgodnie z kierunkiem wiatru - zwykle działo si to pod k tem, jak teraz. Przy ostatecznym podej ciu Cappy z wysiłkiem utrzymywała samolot w linii prostej. Miała szeroko otwarte oczy, by dostrzec niewielkie wiry powietrzne, unosz ce kurz i kamyki, które mogły przechyli skrzydło. Koła podwozia dotkn ły ziemi i gładko potoczyły si dalej, ogon powoli opadł i samolot wyl dował w podr cznikowym stylu.

Rex czekał na ni przed hangarem. Na jego piegowatej twarzy ja niał uśmiech od ucha do ucha. Nie mog c ukry podniecenia, Cappy wygramoliła si z kabiny i zeskoczyła ze skrzydła, zdejmuj c gogle i hełm. Niemal biegiem podeszła do instruktora rozpromieniona, pełna poczucia spełnienia.

- Udało si . - Zatrzymała si przed nim.

- No pewnie. Gratulacje, Hayward. - Uj ł jej dło , u ciska ł obiema r koma i trzymał dalej. - Jeste jedn z najlepszych pilotek, jakie widziałem, masz talent. Czasami za bardzo si starasz, ale b dziesz w ród najlepszych.

Łzy napłyn ły jej do oczu i przez chwil nic nie widziała. Odwróciła głow i opu ciła j , mrugaj c oczami, by mgła przeszła. Bolało j , e nie ma nikogo, z kim mogłaby si podzieli swoj rado ci i dum . Matka by si tym nie przeję ła, a ojca nic by to nie obeszło. Chocia , gdyby była chłopcem, chodziłby teraz dumny. To nie w

porz dku.

- Dzi kuj - powiedziała beznamy tnie.

Podniosła głow i zmusiła si do bladego u miechu, który zdziwił Rexa. Ale gdy tylko kto dostrzegł zbyt du o lub chciał si za bardzo zbli y , Cappy zamykała si w sobie.

Mary Lynn latała tego popołudnia sama. Kiedy reszta uczyła si o znakach nawigacyjnych, dwie z nich zostały wyci gni te z kwatery i zawleczone do studni ycze na „chrzciny”.

Cappy została pierwsza wrzucona do gł bokiej na metr wody - najpierw zanurzono jej głow , a potem reszt .

- Łap pieni dze! - zawołała która , gdy Cappy wpadała. Zgodnie ze zwyczajem, monety wrzucone do fontanny na szcz cie mogły by wyj te przez tych, którzy dost pili zaszczytu ochrzczenia. Cappy wypłyn ła z krzykiem z powodu zimnej wody, a w dłoni trzymała miedzianego pensa. Trz s c si wyszła z wody przy pomocy Eden, która wła nie j wepchn ła.

Potem przyszła kolej na Mary Lynn. W li cie do Beau tak pisała tego wieczora:

...Chcieli razem ze mn wrzuci obie moje poduszki, ale Marty je uratowała, zanim si zmoczyły. Udało mi si złapa dziesięciocentówke i brytyjskiego pena czy pensa, jak go tam nazywaj . Jeden z angielskich kadetów musiał wrzuci go do wody przed lotem sprawdzaj cym, gdy natychmiast poczułam ci blisko siebie, kochany, otrzymam t monet na szcz cie - moje i twoje.

Jutro nareszcie b dziemy mogły wyj do miasta. Do tej pory mogły my porusza si tylko po Avenger Field. Musz kupi par rzeczy i mam nadziej , e znajd jakie pami tki z Teksasu, eby wysia do domu.

T skni za tob , Beau.

Całuj mocno,

Mary Lynn

5

Miasteczko Sweetwater w Teksasie miało zaledwie kilka ulic i teraz jego cz handlowa zapełniła si kobietami z Avenger Field, które rozproszyły si małymi grupkami.

- Panie Bo e, spraw, eby w tym miasteczku był jaki fryzjer - mrukn ła Eden, gdy cała szóstka wysiadła z ótego samochodu.

- Do diabła z fryzjerem - odparła Marty. - Je li ju prosisz, niech to b dzie co warte.

- Na przykład o co? O drinka? - Chicago za miała si .

- To mo e by obszar suchy, ale mo esz si zało y , e znajdziesz co na lewo, je li wiesz, kogo pyta - o wiadczyła Marty. - Colin mi o tym wspomniał.

- Chc tutaj wej . - Mary Lynn ruszyła w kierunku wej cia do niewielkiego sklepu, a reszta pod yła za ni . - Nie musicie i ze mn , je li nie chcecie.

- Mo e sprzedawca powie mi, gdzie znajd kogo , kto uło y mi włosy - powiedziała Eden.

Wszystkie sze wesły do sklepu i rozproszyły si , ogl daj c towar. Na ulicy zatrzymała si ci arówka, boki skrzyni obite były deskami, eby przewozi ludzi, a dzi ki szparom, słu cym jako wentylacja, zyskała nazw „wozu dla bydła”. Kiedy wysypali si z niej paserowie, Marty rozpoznała w ród nich wysokiego, jasnowłosego kadeta.

- Colin jest w mie cie - powiedziała do Cappy, wskazuj c zbli aj cych si kadetów.

Colin szedł w rodku tej hała liwej, roze mianej grupy, gdy mijali sklep. Marty zastukała w dziel c ich szyb , by zwróci jego uwag i pomachała. Maj c impulsywne usposobienie, nigdy nie my lała, e jej zachowanie mo e by zbyt miałe. Te bzdury, e to m czyzna powinien zrobi pierwszy krok, nigdy nie miały dla niej sensu.

Kiedy Colin j zobaczył, u miechn ł si szeroko. Zwolnił, a nawet cofn ł si o dwa kroki, gdy grupa omijała go. Koledzy zacz li wykrzykiwa artobliwe komentarze, których Marty nie mogła dosłysze , a Colin odł czył si od nich i podszedł do sklepu.

Gdy wchodził do rodka, dzwonek nad drzwiami zabrzczał. Marty odwróciła si w jego stron , ale zanim zdolał do niej podej , zagroziła mu drog ciemnowłosa szatynka.

- Colinie, miałam nadziej , e wpadniesz - odezwała si słodkim głosem, wyra nie zadowolona.

Colin posłał jej jeden ze swoich czaruj cych u miechów.

- Cze , Sally - powiedział ciepło, spogl daj c na Marty, która patrzyła rozbawiona na t sytuacj .

- Mama chciałaby, eby przyszedł dzi do nas na kolacj . - Zapął z jakim wypowiedziała to zaproszenie, był mocno przesadzony, przynajmniej według Marty. Patrzyła uparcie w innym kierunku, eby zachowa powag i nie wybuchn miechem.

- Przyjdzie par osób na domowe lody. Ja... mama wie, jak je lubisz, wi c powiedziała, ebym koniecznie ci zaprosiła, je li ci dzisiaj zobacz .

- To bardzo miło ze strony twojej mamy - przyznał Colin, a Marty spojrzła ukradkiem, ciekawa, jak sobie poradzi z t sytuacj . - Niestety - powiedział z czaruj cym u miechem - ale razem z kolegami mamy ju plany na wieczór.

- Och - odparła wyra nie rozczarowana. - Przyjdiesz jutro po ko ciele na niedzielny obiad jak zwykle, prawda?

- Oczywiście, e przyjd . - Kiwn ł głow uprzejmie, ale z rezerw . - Nie mógłbym prze y weekendu bez wspaniałego jedzenia twojej mamy, nieprawda ?

- Tak - odpowiedziała sucho, gdy nie takie wyja nienie chciała usłysze . Po chwili wahania dodała: - Gdyby zmienił zdanie co do dzisiejszego wieczoru, to mo esz i tak wpa .

- Dzi kuj .

Nast pił niezr czny moment, gdy sprzedawczyni czekała, a Colin powie co jeszcze, eby podtrzyma rozmow , ale on si nie odezwał. Mary Lynn podeszła do kasy, daj c dziewczynie powód do odwrotu. Colin patrzył przez moment za ni z pobła aniem i rozbawieniem, zanim podszedł do Marty. W orzechowych oczach czaił si błysk, który dodawał mu uroku.

- Wreszcie spotykamy si w blasku dnia - odezwał si łagodnie. - Bez ciemnych k tów, gdzie nie dociera wiatło latarki.

- Bez przemykania si w cieniu - kontynuowała Marty jego my l, czuj c na sobie zazdrosne spojrzenie Sally. Najwidoczniej uwa ała Colina za swoj własno , a Marty była intruzem.

- Sło ce ci słu y - powiedział z u miechem.

- Pochlebca. Uwa aj, bo ci uwierz .

- Skoro to wasza pierwsza wizyta w mie cie... - zwrócił si do jej kole anek - potrzebujecie kogo do oprowadzenia.

- Przykro mi. - Eden jako pierwsza odmówiła. - Wiem ju , gdzie znale kobiet , która układa włosy. Je li b d

miała szczęście, zrobiła te rzeczy z moimi paznokciami.

Mary Lynn wymówiła się do niego o zakupów, Aggie i Chicago koniecznie o załatwienie paru spraw, więc zostały tylko Cappy i Marty. Eden poddała się pod jego rękę i przyrzekła do nich pójść w hotelu Bluebonnet.

- Gdzie to jest? - zapytała.

- Znajdziesz bez trudu - odparł Colin. - To jedyny hotel w mieście.

Mając Cappy z jednej strony i Marty z drugiej, Colin wyszedł ze sklepu zadowolony. Na ulicy cięgi byli zatrzymywani przez innych kadetów lub dziewczyny ze szkolenia. Coraz to ktoś do nich przyłapał, a potem odchodził w swoją stronę.

Cały biznes skupiony był wokół placu przed stacją - Sweetwater było stolicą hrabstwa Nolan. Gdy obeszli plac dookoła i przylegające do niego uliczki, zatrzymali się przed klubem oficerskim, ale nie wpuszczono tam Marty i Cappy. Cała trójka zapuściła się więc w dzielnicę zamieszkałą przez bogaczy. Colin pokazał im sześćdziesięciu kociów, gdy Marty zasugerowała, żeby cztery pozostałe zostawić na inną okazję. Zaprowadził je do parku znajdującego się w północnej części miasta, nad jeziorem Sweetwater. Zapewnił je, że będą marzyły o tym miejscu, gdy słupek termometryczny wzrośnie do 40 stopni w kwietniu i pozostanie tak do września. Opowiadał im o nocnych spotkaniach z miejscowymi handlarzami alkoholem, starożytnymi, zaniedbanymi kobietami.

Słońce zachodziło, rozjaśniając niebo różowym-pomarańczowym blaskiem, gdy dotarli do hotelu Bluebonnet. Jeden z kadetów wynajmował w nim apartament, gdzie mogli się spotykać. Składał się on z dwóch pokoi, połączonych drzwiami.

Rozeszła się wiadomość o przyjęciu i wkrótce zaczęli pojawiać się kadeci i dziewczyny, wypełniając oba pokoje i korytarz na zewnątrz. Powietrze zgęstniało od dymu papierosowego i słychać było brzęk butelek z coca-cola. Jeden z kolegów Colina przyszedł z butelką przezrystego płynu, schowaną pod kurtkę. Wyciągnął ją, zyskując brawę od tych, którzy rozpoznali zakazany napój. Gdy butelka krężyła po pokoju, doprowadzając do kolacji, kadet opowiadał mroczną historię swojego dziwnego spotkania z handlarzem w drodze z powrotem.

Na łóżkach siedziało po osiem, dziewięć osób, gdy były to jedyne miejsca do siedzenia. Wiskoza zajmowała podłogę, siedząc ze skrzyżowanymi nogami lub kolanami przycięgniętymi do piersi, reszta opierała się o ściany. Nie było żadnego przejścia, więc każdy ruch oznaczał wdręgnięcie się do innych. Trwała rywalizacja o lepsze miejsca, jeśli ktoś opuścił łóżko, mógł się z nim na zawsze poegnować.

Wrzawa wesołych rozmów i śmiechów wypełniała pokoje hotelowe. Marty należała do tych szczęśliwych, którzy siedzieli na łóżku, skulona opierała się o zagłówek. Poduszki już dawno zniknęły, słuchając komuś za siedzenie na twardej podłodze. Colin znalazł kawałek wolnego miejsca obok niej.

Marty włożyła palce do paczki papierosów, ale była pusta.

- Cholera. - Zgniotła opakowanie ze złości. - Nigdy nie paliłam tyle co tutaj - powiedziała do Colina. - Moja matka dostałaby szału, gdyby zobaczyła, jak kopcę. Uważaj, że porządne dziewczyny nie palą. W ogóle według niej porządne dziewczyny nie robią wielu rzeczy.

- Tacy są rodzice. Chcą, żebyśmy wierzyli, że nie robimy żadnych niewłaściwych rzeczy. - Colin sięgnął do kieszonki na piersi i wyjął cienkiego, krótkiego skręta. - Chcesz takiego?

- Jasne. - Marty obserwowała, jak wkłada go do ust. Byli bardzo blisko siebie, ich ciała się stykały, plecami i ramieniem opierała się o jej udo, gdy siedziała z podcięgniętymi pod brodę kolanami. Żadne z nich nie spróbowało

zrobi sobie trochę miejsca, woleli pozostać tak ci ni ci.

Marty zdawała sobie sprawę, w jakim kierunku pobiegły jej myśli, co nie miało nic wspólnego z zawartością alkoholu w jej coca-coli. Podniecenie było dla niej typową reakcją wobec bliskości atrakcyjnego mężczyzny. Jej ojciec lekarz szczerze rozmawiał z nią o seksualności i zawsze uważał swój popęd za coś normalnego. Jeśli facet jej się podobał i wzbudzał szacunek, nie było sensu powstrzymywać się. O ile oboje zgodnie podejmą rodki ostro no ci, by zapobiec ciąży, nie było powodu, aby nie mogli się kochać i zaspokoić naturalnej potrzeby. W kilka po udanym dniu w towarzystwie Colina, wydała jej się logiczną ciekawość, czy równie mile spędziłaby czas w jego ramionach.

Colin zapalił papierosa, wciągnął dym głęboko do płuc i zatrzymał na chwilę, podając skręta Marty. Pocięła z uśmiechem. Przypomniła jej się stary film z Bette Davies, który kiedyś widziała.

Słodki dym wypełnił jej nozdrza, odwróciła się krzywiąc twarz.

- Co to jest?

- Konopie - odpowiedział, uważnie się jej przyglądając. - Jeden z kowbojów z rancza za miastem namówił mnie na to. Pomaga się rozluźnić i zrelaksować. To świetne na uspokojenie przed lotem sprawdzaj cym.

- Naprawdę? - Poza drażniącym słodkim zapachem, Marty nie czuła żadnego odprężenia.

- Sztuka polega na tym, aby zatrzymać dym w płucach i powoli go wypuszczać. - Colin wziął papierosa od niej i zademonstrował.

Marty spróbowała jeszcze raz, marszcząc nos ze względu na smak. Popełniła błąd, próbując połknąć dym i zaczęła kaszlać, machając jednocześnie rękami, by rozprzeczkiłby przed twarzą. Wskazywała jej prób, Colin nalegał, by się zacięła. W końcu Marty udało się za ostatnim pocięciem, tak że niemal nie poparzyła palców, gdy papierosa doszedł prawie do końca.

W oczekiwaniu na efekt Marty siedziała skupiona, zastanawiając się nad swoją reakcją. Poza słodkim uczuciem lekko ci nie czuła kompletnie nic.

- Mówiłem, że z czego jest to zrobione? Konopie? - zapytała go.

- Tak. To roślina, która rośnie tu dziko. - Wpatrywał się w jej niezwykle szarozielone oczy.

Wkrótce przyjęcie zaczęło się kończyć. Goście wychodzili w grupkach po trzy, cztery osoby, niektórzy pomagali i nieco pijanym znajomym. Cappy zatrzymała się przy łóźnie, na którym Marty i Colin raczyli się kolejnym skrętem.

- Marty, my wychodzimy. Idziesz z nami? - zapytała.

- Zaraz do was dojdę. - Marty machnęła ręką niecierpliwie.

Cappy odwróciła się do koleżanek i wzruszyła ramionami. Razem z Mary Lynn i Eden przecisnęły się do drzwi na korytarz. Tłum w obu pokojach wyraźnie zmalał. Colin obrócił się, by usiąść obok Marty i oparł się o zagłówek. Podał jej papierosa, a ona pocięła mocno, nie zwracając uwagi na wychodzące koleżanki.

- To nie jest zbyt higieniczne - powiedziała, podając mu papierosa i obserwując, jak wkłada go do ust.

- Tak jak całowanie - zauważył.

- Teraz już wiem, po co to wszystko. - Zachichotała. - Próbujesz upiąć mój umysł, aby mnie wykorzystać.

- Przejrzała mnie. - Przyznał się do winy z odpowiednim wyrazem twarzy, ale też z szelmowskim błyskiem w oczach. - Co za wstyd. Akurat, gdy wszystko szło dobrze.

Marty odwróciła głowę do niego i popatrzyła uważnie.

- Naprawdę mylisz, że musisz uciekać się do takich sposobów ze mną, Colin?

- Jesteś taka bezpożądna, że nie jestem pewien, jak z tobą postąpię - zauważył ze smutnym uśmiechem.

- Nie jestem wdzięczna ci, Sally, to pewne.

Po tej aluzji do dziewczyny ze sklepu Marty wrzuciła petę do szklanki z resztką napoju.

- No właśnie. - Odchylił głowę do tyłu i patrzył w sufit. - Nie interesuje mnie zostanie czyimś mem, a tego chcę takie Sally w tym momencie. Paru chłopaków z mojej grupy chce mieć seks, żeby zaszła w ciążę i w ten sposób zapewni sobie nieśmiertelność, zanim wyruszą na wojnę.

- Ale ty nie masz ochoty na małżeństwo i wszystko, co się z nim wiąże. - Marty przyglądała się jego twarzy z profilu, siedząc obok, oparta tak jak on o zagłówek. Długi, patrycjuszowski nos i lekko cofnięty podbródek wyraźnie rysowały się pod burzą piaskowobrzowych włosów.

- Przy tobie Marty, czuję, że nie muszę udawać, że tak nie jest - powiedział, lekko odwracając głowę, by ją zobaczyć.

- W college'u, dziewczyny, które to robiły, zawsze usiłowały przekonywać same siebie, że są szalone czy zakochane w facecie. Tak jakby potrzebowały usprawiedliwienia, by uniknąć poczucia winy lub oskarżenia o brak moralności. - Westchnęła, wzdychając palcami w górę i w dół butelki. - Jeśli chodzi o mnie, wystarczy, że facet mi się podoba i lubimy się wzajemnie.

Marty nigdy nie opłakiwała utraconego dziewictwa ani mężczyzny, który je odebrał. Dla niej nie było to nic złego czy niezwykłego. W końcu jej brat też nie był w celibacie. Kiedy tylko David miał okazję być z dziewczyną, korzystał z niej. Ich temperament seksualny był podobny, a skoro on mógł to robić, to i ona też, tyle że bardziej selektywnie. Przekonała się, że znacznie przyjemniej jest kochać się z człowiekiem, a nie tylko z jego ciałem.

Odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Lubię cię, Colin.

Siedział bez ruchu niepewny, czy celowo powiedziała te słowa. Rozbawiona jego zmieszaniem, za nią się pochylała, by go pocałować. Wplótł palce w jej włosy i przytrzymał głowę, by mocniej przycisnąć usta.

- Już zaraz capstrzyk - mruknął z rozaleniem. - Niewiele czasu nam zostało, żeby wrócić do koszar.

- Uhm - zgodziła się, gładząc gładko ogolony policzek. - Byłoby okropne, gdyby my się spóźnili.

Colin czuł, że z niego artuje. Gdy zsunęła się z łóżka, patrzył na nią, niepewny jej następnego ruchu. Wszyscy już wyszli z hotelu z wyjątkiem dwóch kadetów spierających się głośno o wyśrodkowanego Spitfire'a nad Thunderboltem w powietrznym pojedynku z Focke-Wulfem lub Messerschmittem. Marty podeszła do drzwi i zamknęła je. To samo zrobiła z drzwiami na korytarz, potem odwróciła się do Colina i uśmiechnęła leniwie. Robiła wrażenie czarnej siłwicy.

- Tak czy owak, to wstyd pozwolić, żeby łóżko pozostało nie wykorzystane - stwierdziła swym schrypniętym głosem.

- Straszny wstyd. - Skrzywił się.

Kiedy po chwili podeszła do niego w ciemności, a jej nagie, smukłe ciało otarło się o niego, Colin zrozumiał, że ma do czynienia z wyjątkową kobietą. Miała i stanowczą, Marty dobrze wiedziała, czego chce. Ich ciała ogarnęła szaleczała namiętność. Colin pomyślał, że trzeba by wyjątkowym mężczyzną, żeby nie poddał się jej ywiołowemu instynktowi.

Mary Lynn usiadła na pryczy z poduszką za plecami i blokiem listowym na kolanach. Napisała do Beau dopiero dwa zdania i dalej jej nie szło. Przeczytała po raz kolejny ostatni list od niego. Słyszała jego głos, znajomy sposób mówienia. Ból samotno ci narastał.

Dziś po raz pierwszy od wyjazdu Beau spędziła wieczór w towarzystwie innych mężczyzn. Miała się rozmawiać, pochlebiać jej ich zainteresowanie i cały czas czuła się bezpieczna ze złotym obrączką lubną na palcu.

Kiedy starała się napisać mu o tym, pióro odmawiało posłuszeństwa. To wszystko było niewinną zabawą, a jednak miała wrażenie, jakby go zdradziła, bawąc się dobrze z innymi mężczyznami. Ale gdy zabawa dobiegła końca, czuła się pusta i jeszcze bardziej samotna.

Na zewnątrz rozległ się jakiś szelest. Drzwi otworzyły się szybko i do pokoju wbiegła Marty, mijając się z nią i dysząc po biegu. Z jej srebrnozielonych oczu tryskał entuzjazm.

- Ty diabelna szczyciaro. - Cappy potrząsnęła głową z niedowierzaniem. - Udało ci się o włos.

- Wiem. - Marty przeszła przez pokój i opadła na łóżko, zdyszana lecz zadowolona. - Jaki kowboj ujęł cię tyto podwiózł nas swoim pick-upem. Musieliśmy się schować za kabiną razem, gdy puł przez okno. To była najbardziej szalona jazda w moim życiu.

Nikt nie pytał, kto jej towarzyszył, gdy odwiedziły wszystkie domy, a to Colin.

Mary Lynn patrzyła na rozmarzoną i zadowoloną twarz Marty, poczuła ciskając serce samotnością i frustracją. Znała tę minę, wiele razy widziała ją w lustrze po tym, jak Beau z nią się kochał. Do tej pory udawało jej się stłumić swoje podanie, ale teraz skniła za dotykiem mężczyzny, jego pieszczotami, pocałunkami.

Zamknęła gwałtownie bloczek i próbowała odsunąć krzykące wewnątrz pragnienia. Winę za nie obarczyła przyjacielem, na którym otoczona była innymi mężczyznami, choć pragnienia te nachodziły ją od pewnego czasu. Beau był jej pierwszym i jedynym kochankiem.

- Hej, co to, nie kończysz dzisiaj listu do Beau? - Marty zauważyła odstępstwo od wieczornego rytuału.

Mary Lynn obląła się purpurowym rumieńcem.

- Jestem zmęczona - stwierdziła sucho, odkładając blok i szykując się do łóżka.

- Ja też - odparła Marty, przeciągając się z rozmarzeniem, jak zadowolona kotka.

Mary Lynn nie odpowiedziała, tylko wsunęła się pod nakrycie i odwróciła od Marty.

Następnego ranka wielu kadetów i uczestniczek szkolenia siedziało w kocielnym ławkach w całym mieście, krzywiąc się na dźwięk organów z powodu bólu głowy po ostatniej nocy. Wiosko kadetów zaproszono na niedzielny obiad do miejscowych domów, lecz niewiele dziewcząt otrzymało podobne oferty, więc po mszy rozeszły się małymi grupkami.

Wiadomość o przyjeździe dotarła do dowództwa koszar. Dziewcząt musiały wysłuchać wykładu na temat swojego zachowania. Przypomniano im, iż są uczestniczkami lotniczego programu szkoleniowego dla kobiet. Ich postępowanie może wpłynąć na reputację tego przedsięwzięcia.

Znów próbowano im utrudnić nawiązanie znajomości z kadetami. Ich zajęcia w Avenger Field były tak rozplanowane, że rzadko mogli się spotykać. Nie mieli nawet okazji minąć się w powietrzu, gdy mężczyźni odbywali loty z innego lotniska, w Roscoe. Wzmożona dyscyplina przyczyniła się powoli do ograniczenia wizyt Colina w kwaterze dziewcząt. Marty zbyt szybko tym nie przeżyła, czego reszta jej koleżanek nie mogła zrozumieć, ale ona nie próbowała nawet im tego tłumaczyć. Ona i Colin byli dobrymi przyjaciółmi, którzy zostali kochankami,

i zwi zek ten niewiele miał wspólnego z romansem, wi c nie zamierzała rozpacza , kiedy si z nim nie widziała.

Po przerwie na weekend znowu rozpocz ło si szkolenie. Na zaj ciach naziemnych kr ciło im si w głowie od ga ników i kolektorów, zapami tywania i zapisywania kodu mi dzynarodowego, który co miesi c si zmieniał, dyskusji i testów oraz pracy z tabelami i mapami. Pó niej przyszedł czas na latanie, dwa lub trzy PT-19 startowały jeden za drugim. Dziewcz ta najbardziej lubiły czas samotnie sp dzony w przestworzach. W programie szkolenia były te gry sportowe i wiczenia na siłowni, a wieczorami hangar rozbrzmiewał rozmowami.

Jednego wieczora po kolacji powlekły si zm czone do pokoju. Rozci gn ły si na pryczach i zaczę ły pogaw dk .

- Czy nie s dziecie, e gulasz smakował dzisiaj dziwnie? - Chicago rzuciła pytanie do wszystkich. R ce zało yła za głow i bawiła si ko cami włosów.

- Nie zauwa yłam - odparła Eden, le c wyci gni ta na łó ku i zasłaniaj c r k oczy przed wiatłem. Miała krótkie, nie wypolerowane paznokcie, a na głowie zawi zan bandan - zmieniała si z modnej damy sprzed trzech tygodni w zwykłą dziewczyn podobną do reszty. - Nie s dz , eby miało to pobudzi nasze podniebienia.

- O co ci chodzi? Gulasz nie jest dla ciebie do dobry? - Marty była zm czona i zirytowana, wi c szybko rzuciła prowokuj ce pytanie.

- Przydałaby si jaka odmiana. - Eden, nie maj c siły si poruszy , nie podj ła równie sprzeczeki.

- Słyszałam - przerwała Chicago, by ci gn ich uwag , i oparła si na łokciu - e dodaj do tego saletry.

Nast piła cisza, w której ka da trawiła t niezwykle plotk , nie do ko ca jej nie wierz c. Eden odsłoniła oczy i podniosła głow , by spojrze na Chicago.

- Mówisz powa nie? - zapytała.

- Co ty - powiedziała drwi co i z rozbawieniem Cappy. - Nie musz tego robi . Tylko popatrz na nas. Jeste my zbyt zm czone, by my le o czymkolwiek. Gdyby teraz jaki m czyzna wzi ł mnie w ramiona, to nie wiem jak wy, ale ja pewnie bym zasn ła.

Zgodny miech rozległ si w pokoju, niezbyt gło ny, by nie wymagał za du o energii.

6

Latanie było dla dziewcz t najwa niejszym zaj ciem, wszystko inne zostało odsuni te na dalszy plan. Niebo nad Avenger Field to cały ich wiat. Albo szybowały po nim, albo patrzyły w nie, odruchowo zwracaj c uwag na kierunek wiatru i wysoko pułapu chmur, lub obserwowały wiczenia kole anek, czekaj c na swój kolej.

Po miesi cu znały ju zwyczajnie panuj ce w koszarach. Kiedy w kierunku starego hangaru p dził jeep, wszyscy wiedzieli, e kierownik lotów sprawdza sił wiatru na wiatromierzu. Faktyczna wie a kontrolna była nadal w budowie, a tymczasowa, znajduj ca si na hangarze, obok budynku administracyjnego, nie mie ciła całego potrzebnego sprz tu.

Gderania mechaników, naprawiaj cych samolot, uszkodzony przy l dowaniu, były w wi kszo ci ignorowane. Nikt te nie zwracał uwagi na strzały z karabinu. Wszyscy mieli wra enie, e budowa posuwa si , gdy ci gle który pas startowy był wył czony z u ytku. Czasami, z powodu budowy, l dowanie było ryzykowne, ale zwykle przyczyn trudno ci był wzniecany przez wiatr kurz, który zatykał płuca i pokrywał wszystko dookoła.

Zdarzały si rzadkie okresy, kiedy wydawało si , e wszystko idzie wietnie. Niebo było wtedy niesamowicie niebieskie, nie maj ce granic. Błogi spokój ogarniał ziemi , a cudowna cisz zakłócał tylko piew skowronka.

Na niebie samolot wykonywał leniwie i dostojnie akrobacje, wspinaj c si w gór , a potem spadaj c spiralnie w

dół i wychodzą na lot poziomy. Piloci wybierali nawigacyjnie proste trasy, by wyczy „ósemki”, zmuszeni do cięgiego przechylenia maszyny raz na jedną stronę, raz na drugą stronę, pod wpływem zmieniającego się silnego wiatru. Te powietrzne wzory zawsze robiły wrażenie wykonywanych bez trudu - serie następujących po sobie powolnych, łagodnych krzywych i spirali. Jednak były to manewry mogące w razie potrzeby uratować życie.

Ostatnie sześć tygodni spędzone na treningach i szlifowaniu umiejętności ci miało przygotować do „lotu sprawdzającego”. Indywidualni instruktorzy egzaminowali je, ale by przejść do następnego etapu szkolenia i polecieć w samolocie BT-13, musiały odbyć lot z pilotem wojskowym, który miał zweryfikować ich umiejętności. Jeśli obleją ten test, to koniec. Nie ma drugiej szansy ani następnego etapu treningu. Odpadają z dalszego szkolenia.

Kiedy zbliżał się ten czas, napięcie w koszarach stało się niemal namacalne, powodując zaostrzenie temperamentów i otępienie zmysłów. Gdy przyjechali piloci, niepokój sięgnął zenitu.

W poczekalni kłócił się dym z papierosów, palonych jeden za drugim. Dziewczyna zebrane w rodki rozmawiały cicho głosami drżącymi ze zdenerwowania. Bez przerwy spoglądały przez oszklone ściany budynku na stany i lądowania kolejanek. Wkrótce przyjdzie ich kolej, ale najgorsze było to, że nie wiadomo, kiedy padnie czyje nazwisko.

Ręce Eden trzęsły się, gdy otwierała paczkę Lucky Strike Greens i wyjątkowo niezdarnie zapaliła papierosa. Wypuściła dym z niecierpliwości, nerwowo pstrykając paznokciami.

- Do cholery, przestaniesz? - warknęła Marty Rogers. - To mi działa na nerwy.

- Przepraszam. - Eden przytrzymała kciuk, ale w myślach robiła to samo.

Rude włosy, które trochę straciły połysk, związała do tyłu. Wyglądała nieforemnie w luźnym, wiszącym kombinezonie. Nigdy jeszcze nie chodziła w czymś równie okropnym, ale tak przywykła do noszenia go na co dzień, że nie zwracała na to uwagi.

Przy okazji Eden zdała sobie sprawę, że jej kryteria się zmieniły. Mniej teraz się dążyła ludzi według wyglądu, a bardziej według cech charakteru. Przez całe życie miała wszystko na zawołanie, bogactwo i przywileje dały jej wstęp do najlepszych szkół, nazwisko i pozycja otworzyły drzwi do elity towarzyskiej, pieniądze i władza pozwoliły zaspokajać wszelkie zachcianki. Teraz po raz pierwszy musiała na coś zapracować, po raz pierwszy była traktowana na równi z innymi - i podobało jej się to.

Marsze, musztra i inspekcje wojskowe były nudne. Nadal nie rozumiała, dlaczego otrzymywało się naganę za mieci w koszu. A gdzie miała je wyrzucić? Ale koleżeńska atmosfera, bliskość osób, mających tę samą pasję, znowiż wynagradzały jej niewygodę i niedostatki, jakich doświadczała.

Ciężko pracowała, aby osiągnąć dobry poziom, więc rozumiała walkę, jak toczyły inne dziewczyny. Eden wiedziała, że jest cholernie dobrym pilotem. Jednak, pomimo wiary w swoje umiejętności, tak bardzo chciała mieć ten lot już za sobą, że stała się kłębkiem nerwów. Pierwszy raz w życiu coś miało dla niej tak ogromne znaczenie.

Kilka minut wcześniej obserwowała bladą i przerażoną Mary Lynn, wychodzącą za oficera z pokoju pilotów. Drobna dziewczyna straciła rumieniec, zwykle ozdabiając jej okrągłe policzki, a ciemne oczy wyrażały lęk. Ale Eden z zazdrością patrzyła, jak Mary Lynn przyciska do piersi dwie poduszki.

- Oto startuje numer trzydzieści siedem - stwierdziła Chicago cichym, napiętym głosem, mając na myśli numer samolotu PT-19. - Czy to nie tym leci Mary Lynn?

- Chyba tak. - Cappy była jedyną osobą w grupie, która nie padła ofiarą napięcia, gnębącego wszystkie.

Niewzruszona, spokojnie paliła papierosa. Eden uśmiechnęła się do siebie, zauważając, że jeden palił się w popielniczkę. Cappy nie była tak spokojna, jak wyglądała.

Wczoraj tego dnia wszystkie dokonały rytuału odwiedzenia studni i wrzuciły do wody monety, prosząc o pomyślny lot. Niektóre nawet pomodliły się do Fifinelli z filmu Disneya, która była maskotką uczestniczek szkolenia. Wtedy Eden dla żartu wrzuciła do wody półdolarówkę, mając się ze swojego ekstrawaganckiego gestu i mówiąc, że kupuje spełnienie życzenia.

- Van Valkenburg - wywołał jej nazwisko monotony głosem.

Podniosła gwałtownie głowę, serce skoczyło jej do gardła, a nogi stały się miękkie. W jakiś sposób zdołała dźwiękiem zgasić papierosa i zmusić nogi do ruchu. Gdy szła, spadochron objął się jej o uda.

Oficer przy drzwiach rozglądał się po sali, czekając. Kiedy Eden wstała, popatrzył na nią z zimną, zarozumiałą arogancją. Za ile dałby się przekupić? Pieniądze, władza, prestiż, wszystkie rzeczy, które dotychczas rozpieszczały Eden, w tej sytuacji nie miały żadnej wartości. Była to trudna do zniesienia myśl dla kogoś, kto przywykł do zdobywania tego, czego chce, w taki lub inny sposób.

Z nienaturalnie wysoko podniesioną głową, nie wiadomo dlaczego komicznie wrażliwie, idąc przez salę. Wyglądała niezręcznie i mieszknie w wiszącym, za dużym kombinezonie. Stawiając długie kroki, przypominała rytm w galopie. Rozbawiony uśmiech na twarzy oficera był uzasadniony, gdy się przed nim zatrzymała.

- Jestem Eden van Valkenburg - powiedziała.

Idąc za nim na płytę lotniska, trzęsła się z nerwów jak galareta. Gdy robiła obchód przydzielonego samolotu, wiedziała, że popełni jakiegoś głupi błąd. Wszystkie jego pytania wydawały jej się podchwytliwe, a udzielone przez nią odpowiedzi brzmiały niepewnie, nawet jeśli była przekonana o ich poprawności. Czy on próbował złapać ją na błędzie, czy to raczej jej wyobraźnia zbyt intensywnie pracowała?

Siedząc w przedniej kabinie, Eden kilkakrotnie wytarła spocone dłonie, zanim włożyła rękawiczki. Była tak przerażona, że chciało jej się płakać. W czasie procedury sprawdzania urządzeń przed lotem zaczął w niej narastać gniew. Za kogo ten facet się uważa, zastraszając ją w ten sposób? Dużo się uczyła i trenowała przez wiele godzin, aby się przygotować do tej chwili. Zbyt wiele przeszła i zbyt ciężko pracowała, aby teraz to stracić. Do cholery, była dobrym pilotem!

Później, gdy wygramoliła się z kokpitu i zeskoczyła ze skrzydła, stanęła przed inspektorem wojskowym o zaciętej twarzy. Zdjęła kask i gogle, i potrząsnęła głową z radosnym poczuciem wolności. Oparła dłonie na biodrach i nie wiadomo dlaczego przyjął wyzywający pozostawienie.

- No i? - ponaglała go. Pomimo przekonania co do swoich umiejętności, chciała usłyszeć potwierdzenie z bezstronnego, a raczej uprzedzonego, źródła. - Jak mi poszło?

- Daj pani ocenę dostateczną.

Pomimo że powiedział to tak, jakby robił jej łaskę, a nie dawał zasłużoną ocenę, nie udało mu się umniejszyć jej sukcesu.

Z niepowstrzymanym piskiem radości Eden zostawiła go na płycie lotniska i popędziła do wielkiego dzwonu strażackiego, który wisiał przed budynkiem administracyjnym. Uwiesiła się na linie, obwieszając w tradycyjny sposób swój sukces, mając się i płacząc z radości.

Wkrótce potem dowiedziała się, że przed nią dzwoniła Mary Lynn. Przez następne dwa dni jedna po drugiej przeszły przez lot sprawdzający. Drugiego popołudnia Marty wpadła do pokoju jak szalona i odstawiła na środku

taniec wojenny, krzycz c wniebogłosy.

- Leciałam tym male stwem najlepiej, jak potrafiłam. Nawet wielkie, złe wojsko nie mo e mnie teraz zatrzyma ! - piewała, ta cz c wokół niewidocznego punktu na podłodze, potem zatrzymała si łapi c z trudem oddech, by podzieli si swoim zwyci stwem z kole ankami. - Udało si ! To ta pocziwa, szcz liwa trzynastka! - Awansowała z Fairchilda PT-19 na pot niejszy statek powietrzny - BT-13.

Ale gdy w ko cu rozejrzała si po pokoju, zauwa yła, e nikt nie podziela jej rado ci. Przeciwnie, wygl dały niezr cznie i ponuro, z zakłopotaniem bł dziły gdzie wzrokiem. Marty przez moment miała wra enie, e Eden z przyjemno ci j zgasi, ale ta odwróciła wzrok nic nie mówi c.

Zdezorientowana ich reakcj , Marty poczuła ci ar ciszy panuj cej w pokoju. Chicago zmieniła pozycj , pozwalaj c Marty spojrze w gł b pokoju. Aggie siedziała na pryczy, ubrana w spódnic i bluzk , na głowie miała przepask z chustki. Marty otworzyła usta, eby dokuczy Aggie za jej cywilne ubranie, ale w tym momencie zrozumiała i spojrzała zaszokowana na Mary Lynn. Nieznaczone skinienie głow potwierdziło, e Aggie oblała test.

- Aggie... - Przytłoczona poczuciem winy Marty próbowała znale słowa, eby złagodzi ból, jaki jej zadała. - ...przykro mi. - Lecz zabrzmiało to bardzo blado. - Nie wiedziałam - dodała słabo.

- No i jak ci teraz, Rogers? - zapytała ze zło ci Eden.

Marty odwróciła si do niej, wybuchaj c gniewem.

- Sk d, do cholery, miałam wiedzie , e przechlapała?

- Bo e, nie do wiary. - Eden przewróciła oczami.

- Kto mógł mnie ostrzec, kiedy weszłam - protestowała zmartwiona Marty, szukaj c wyj cia z niezr cznej sytuacji.

- Dlaczego po prostu nie zamkniesz buzi? - zaproponowała Chicago.

To wydawało si najlepsz rad . Marty zacisn ła usta. Ci ko oddychaj c, Aggie wstała powoli.

- W porz dku. Marty nic złego nie miała na my li. - Jej oczy były czerwone i zapuchni te od płaczu. - Ma prawo cieszy si , e jej si udało. Wszystkie macie. Ale... - Aggie wydmuchała nos i doko czyła łkaj c: - Nic nie poradz na to, e mi przykro. Tak bardzo chciałam...

Nie doko czyła i gwałtownie si odwróciła. Przez minut adna si nie poruszyła, były sparali owane zakłopotaniem. W ko cu Mary Lynn podeszła, eby j pocieszy .

Marty usiadła na łó ku, dziwi c si , e to Mary Lynn zaj ła si Aggie, a nie Chicago, która była jej najlepsz przyjaciółk . Niezr czna cisza zapanowała w pokoju, gdy Aggie wyjmowała swoje rzeczy z komody i pakowała do walizki. Tak jak wszystkie zapłaciła za przyjazd do Sweetwater i zapłaci za drog powrotn .

Kiedy nadszedł moment po egnania, czuły dziwn niech przed zbli eniem si do niej, jakby si bały, e zarazi je swoim pechem. Nie miały te odwagi spojrze jej prosto w oczy. Aggie rozumiała to i nie oci gała si . Ju tu nie pasowała.

Puste łó ko prze ładowało je przez par dni po wyje dzie Aggie. W innych pokojach te były puste prycze. Około dwudziestu procent ich grupy odpadło przy pierwszym sprawdzianie, rozpoczynaj c proces odsiewania. Pod koniec tygodnia Eden zmieniła łó ko, przenosz c si na zajmowane wcze niej przez Aggie, i opuszczaj c hała liwe s siedztwo łazienki.

Mary Lynn otrzymała tylko jeden list. Poczta przychodziła nieregularnie. Czasami przez dwa tygodnie nie było

wiadomo ci od Beau, a potem jednego dnia dostawała kilka listów z powycinanymi kawałkami. Przez długi czas przeszkadzało jej, że korespondencja jest czytana i cenzurowana, ale w końcu trwała wojna, nawet je li wydawała się bardzo daleko.

Trzeci raz czytała list, siedząc przy stole w wietlicy. Człosto się tam zbierały wieczorami, żeby uczyć się, pisać listy, rozmawiać i uciec od ciasnych, ponurych kwater, jednakowych i pozbawionych osobowości. Tutaj panowała swobodna atmosfera, krzesła stały w grupkach, dziewczyny w drowały z papilotami na głowach, dokoła leżały porzucane magazyny. Marcowy numer *Sweetwater Reporter* otwarty był na najnowszej liście zatopionych okrętów alianckich w bitwie na Atlantyku. W rogu stał człostowy dystrybutor coca-coli, a obok drewniane skrzynki z pustymi butelkami. Na wiszącej na ścianie tablicy z ogłoszeniami przypięte były informacje o wydarzeniach kocielnych, wycięte z gazet dowcipy rysunkowe i bieżące wiadomości.

W końcu sali odbywał się zacięły mecz pingpongowy, w którym Marty i Chicago grały przeciwko parze z innego pokoju. Szum rozmów zakłócał odgłos odbijanej piłeczki, gdy gra nabrała tempa i rozgorzała walka o punkt meczowy. Niska cięta piłka w wykonaniu Marty dała im wygranę.

Zgrzane i zadowolone wróciły do stolika, przy którym siedziały Mary Lynn, Cappy i Eden. Ta pićka rzadko się rozstawiała. Od wyjazdu Aggie zaczęła się nazywać „nierozłęczne”, mając nadzieję, że w pewien magiczny sposób pozwoli im to w komplecie ukończyć szkolenie. Porażka Aggie otrzęwiła je i odtąd traktowały trening poważnie, bardziej zdeterminowane, żeby odnieść sukces.

Marty odsunęła krzesło, klapnęła na niego i odchyliła do tyłu, kiwając się na tylnych nogach.

- Hej, mała, co czytasz? - spytała Mary Lynn.

Pomimo iż Mary Lynn była najstarsza z nich, traktowały ją jak dziecko. Człostowo z powodu wzrostu i dziecinnej okropności buzi, ale przede wszystkim z powodu braku doświadczenia. Wyszła za mąż tak młodo, że nie zasmakowała samodzielnego życia.

- List od Beau.

- Powinam się domyślić - stwierdziła Marty.

Cappy spojrzała znad podręcznika do meteorologii na blok leżący przed Mary Lynn. Przez cały czas słyszała, jak tamta pisze, i myślała, że robi notatki ze swojej książki, ale teraz zobaczyła, że to list.

- Hej, masz się uczyć - przypomniała jej Cappy.

Była niepisany przywódcą grupy, zajmowała się wszystkim, od upewnienia się, że pokój jest gotowy do inspekcji, po dopilnowanie, żeby wszystkie były na czas gotowe do zajęcia.

- Zaraz, tylko skończ ten list do Beau. Pisz mi o tych nowych samolotach, którymi teraz latamy.

Czuła potrzebę opowiadania mu wszystkiego z detalami, dzielenia się z nim informacjami o tym, co się z nią działo, gdy dźwięki temu czuła, że są blisko siebie pomimo odległości.

Opisała mu samolot treningowy BT-13. Podobnie jak PT-19, którym latały wcześniej, miał nisko skrzydła i koła pod ogonem. Ale na tym końcu były podobieństwa. Nazwany przez producenta, Vultee Company, „Valiant”, BT wydawał się olbrzymi ze swoim potężnym 450-konnym silnikiem. Miał przednie i tylne siedzenie, ale w przeciwieństwie do otwartego Fairchilda posiadał zamykane kabiny. Inną ogromną różnicą, o której napisała Mary Lynn, było radio w BT-13. Po raz pierwszy mogły być w kontakcie z wieżą kontrolną.

Operatorzy z wieży dawali pilotom instrukcje i namiary przy startach i lądowaniach. Mary Lynn napisała Beau, że chociaż musiały nauczyć się nowego języka komunikacji, żadna nie miała nic przeciwko temu, żeby jej mówił,

co i kiedy ma robić. Wreszcie miały mikrofon przyczepiony do hełmu i mogły odpowiadać.

- Zostaw ją w spokoju, Cap. - Kiedy trzeba było poprze Mary Lynn, Marty była niezawodna, niezmiennie stała w obronie lojalnej i ufnej dziewczyny, którą wyidealizowała. Naprawdę wierzyła, że nie ma w niej ani odrobiny podłości czy arogancji. Nikt nie ośmielił się powiedzieć czegoś przeciwko Mary Lynn w obecności Marty. - Ona powinna pisać do mnie a codziennie, kiedy są daleko od siebie.

- Ja jej nie zabraniam. - Cap wzruszyła ramionami, jednocześnie myśląc o tym, w jaki sposób wojsko rozdziela małżeństwa, i to nie tylko podczas wojny. Kiedy ona wyjdzie za mąż, jej mąż kiedyś wracał do domu co wieczór. W żadnym wypadku nigdy nie będzie mieszkał oddzielnie.

- Spotkasz się z Colinem w ten weekend, Marty? - zainteresowała się Chicago.

- Jasne - odparła, jakby to było oczywiste.

W weekendy kadeci i uczestniczki szkolenia spotykali się w mieście, lecz głównie w grupach. Niektórzy znikali gdzieś parami, tak jak Marty i Colin. Figlarny błysk zataczał w szarozielonych oczach Marty, gdy z boku spoglądała na Chicago.

- Czy masz zamiar spotkać się z panem Lentzem w czasie weekendu?

Wieczna agitatorka nie mogła powstrzymać się od wprowadzenia małego zamieszania, wspominając byłego instruktora Chicago. Wiedziała, że koleżanka podkochiwała się w nim.

- Nie - odparła Chicago czerwieniąc się.

Zniecierpliwiona bezczynności Marty przestała się bujać na krześle.

- Zróbmy coś zamiast uczenia się - zaproponowała.

- Masz rację. To miejsce trzeba ożywić - nieoczekiwanie zgodziła się z nią Eden.

- Jej wysoko przemówiła - powiedziała ironicznie Marty. - Niech ktoś przyprowadzi nadwornego błazna.

Eden była jej ulubionym obiektem drwin, gdy tylko ona odpowiadała na nie.

- Tak wietnie ci idzie, Marty, że nie potrzeba nikogo innego - odparowała chłodno i zamknęła swoje notatki. - No, chodźcie - ponagliła je, wstając.

Po krótkim wahaniu Cappy wzruszyła ramionami i tędy odłożyła swoje papiery. Reszta zrobiła to samo i poszły za Eden w kierunku pianina. Przyzwyczajona do ciągłego gania na siebie uwagi i znajdowania się w centrum zainteresowania. Eden usiadła przy instrumencie i zaczęła grać w rytmie boogie-woogie, co przyciągnęło mały tłumek.

Po krótkim czasie dziewczęta odkryły, że w podstawowej fazie szkolenia kryją się pewne trudności oprócz nowych kursów, silniejszych samolotów i radia. Najgorsza i najbardziej męcząca psychicznie była potrzeba koncentracji podczas lotów tylko według instrumentów. Kokpit zasłaniała czarna płachta, odbierając możliwość zobaczenia jakiegoś punktu odniesienia. Cierpiały z tego powodu nerwy i zmysły.

- Mogłabym przysiąc, że to był najostrzejszy zwrot w prawo, jaki widzieliście. - Marty kręciła się na krześle, zmieniło się malowało się na jej twarzy. Colin słuchał ze zrozumieniem, siedząc naprzeciwko niej w hotelowej restauracji, gdzie się spotykali w weekendy.

- Te cholerne instrumenty pokazywały coś innego, ale moje odczucia były tak realistyczne, że byłam pewna, że coś się popsuło. Wtedy Frye zaczął mi wrzeszczeć do uszu - powiedziała z ciężkim westchnieniem, niezadowolona z siebie.

- Musisz się po prostu nauczyć ignorować zawroty głowy. Przewyciśz je - przekonywał spokojnie Colin.

- Tak.

- Zgadzasz się - odezwała się Cappy, siedząc przy tym stole razem z Mary Lynn, Eden i Chicago. — Latanie na lepo to nie piknik. Po dwóch godzinach miałam wrażenie, jakby moje oczy były zamocowane na sprężynkach i miały zaraz wyskoczyć z głowy.

- Musicie się do tego przyzwyczaić, dziewczyny - poradził Colin. - Jeden z kolegów zajrzał do waszego planu. Macie więc godzinę latania według instrumentów, nie wymaga tego szkolenie kadetów.

- To nie w porządku - zaprotestowała Marty.

- Jako piloci transportowi b dziecie latać w potencjalnie gorszych warunkach pogodowych niż my, piloci bojowi - argumentował. - U nas wciąż uwaga zwraca się na powietrzne akrobacje. To normalne.

Wokół stołu rozległ się pomruk niezadowolenia. Pilotowanie według instrumentów nie należało do ulubionych zajęć tej pki, która kiedyś wierzyła, że wszystko, co wiąże się z lataniem, jest radością. Po ostatnim miesiącu to się zmieniło, ale determinacja pozostała, umacniająca się w miarę, jak przychodziły trudności.

Widząc ich miny, Colin dodał:

- Poczekajcie, a zaczniecie latać w nocy. Wtedy zobaczycie, co to jest dezorientacja.

- Zaczynamy w nadchodzącym tygodniu - powiedziała Cappy.

- Ciekawe, kiedy będziecie spać - zmartwiła się Eden.

- No tak, bez snu dla pki, Eden zamienia się w czarownicę - wy miała już Marty, jak zwykle nie mogąc powstrzymać się od uszczypliwości wobec zamożnej koleżanki.

- Czy któraś z was robiła już korkociąg? - zapytała Chicago.

- Przestraszyłam się jak diabli - przyznała Marty, a reszta pokiwała zgodnie głowami. — Myślałam, że samolot zaraz się rozpadnie. To znaczy, tak silnie trzęsło, że myślałam, że to koniec.

- Potrzebowałam ponad dwóch tysięcy stóp, żeby go wyprostować - powiedziała Cappy.

Czarnowłosa kobieta, ubrana w dopasowane sukienki, przeszła obok ich stolika. Eden zwróciła na nią uwagę, ponieważ przesadnie kołysała biodrami.

Marty obróciła się na krzesło i spojrzała przez ramię.

- Ona naprawdę miła, że jest niezłą, prawda?

Nie pierwszy raz zauważyła tu kobiety tej profesji, szczególnie w hotelu Bluebonnet.

- To ładna sukienka - powiedziała z podziwem Mary Lynn. - Szkoda, że taka opita.

Nastąpiła cisza, gdy wszyscy spojrzeli na Mary Lynn, by przekonać się, czy mówi poważnie. Ona popatrzyła na nich, mrugając niewinnie ciemnymi oczami.

Marty rozejrzała się.

- Jak na matkę, Mary Lynn, prowadziła z pewnością cię pod kloszem. Czy można cię winić za twoje nieskazitelne wychowanie?

Mary Lynn rozglądała się wokół. Czuliła się ignorantką, lecz nie wiedziała dlaczego.

- Co ja złego powiedziałam?

Przedrzeń ją jej południowy akcent, Marty wyjął:

- Kochanie, myślisz, że określiłabyś te kobiety jako „dam wieczoru”, czy te „nocnego ptaka”.

Oczy Mary Lynn zrobiły się duże, gdy odwróciła się, by spojrzeć na kobiety, a potem popatrzyła przez chwilę

na swoje towarzystwo i zapytała:

- To one tak wyglądasz ?

Wśród miechu, który się rozległ, Marty zadeklarowała:

- My ci jeszcze zdeprawujemy.

Pasy startowe w Avenger Field nie były wyposażone w oświetlenie. Gdy zmierzch zapadał nad lotniskiem, normalnym widokiem stały się ciarówki jadące wzdłuż pasów i rozstawiające lampy naftowe w równych odstępach.

Zważywszy na intensywne zajęcia - „latanie na lepo” za czarną zasłoną, godziny spędzone na ziemi w symulatorze, nocne loty, dziewczęta były przekonane, że podstawowe szkolenie miało sprawdzić ich wytrzymałość i psychikę. Zimne prysznicze i mocna czarna kawa trzymały je na nogach. Prysznic brały przed zameldowaniem się na nocne loty, a kawę piły w pokoju pilotów, czekając na swoją kolej. Zwykle trwało to do drugiej nad ranem.

Przy startach Mary Lynn wciąż nie przyzwyczała się do wrażeń, jakie sprawiała jazda ciemnym pasem. Światła ognie z lamp naftowych migały po bokach, podczas gdy ona obserwowała wskaźniki prędkości, aby wiedzieć, kiedy pociągnąć za drążek. Po oderwaniu się od ziemi, wszystko zniknęło w ciemności. Za każdym razem rozstrajało to jej nerwy.

Lądowanie było równie ryzykowne, ciemność osłabiała zdolność percepcji. Musiała polegać na wysokościomierzu, włączyć go do momentu dotknięcia ziemi, i patrzeć na prędkościomierz, by utrzymać odpowiednią szybkość. Ani razu nie udało jej się gładko wylądować. Niezmiennie uderzała z hukiem i podskakiwała, zanim wylądowała jak zraniona kaczka.

Mnóstwo czasu spędzały na próbach wokół Avenger Field, więc według tego samego schematu — lądowanie, uzyskanie pełnej mocy i ponowny start. Inne samoloty były zaledwie wieżowymi punktami - czerwone i zielone światła nawigacyjne na ich skrzydłach i białe reflektory błyszczały jak niewidoczne oczy przy podchodzeniu do lądowania.

Następnym etapem były ćwiczenia nawigacyjne z pomocą radia. Wtedy wyszło na jaw zauroczenie Mary Lynn nocnym lataniem. Było coś magicznego w tej całkowitej ciemności nieba migoczących gwiazdami nad Teksasem. Pod nim blask księżyca rozjaśniał skrzydła samolotu, pokrywając je srebrem. Szklana pokrywa kokpitu czasami odbijała promienie księżyca, a Mary Lynn była skąpana w srebrnej łunie.

Dziwne światło rancza w bezkresnej ciemności w dole przyćmiło wzrok. Mary Lynn zapamiętała sobie jego lokalizację, by móc odnaleźć przyjazny błysk za dnia. Pociąg pasażerski z rzędem oświetlonych okien, pełzający w czarnym bezkresie, przypominały jej stonogi. Jednostajny szum w słuchawkach, nadawany z radiolatarni, potwierdzał, że leci właściwym kursem. Jeśli zboczyłaby z trasy, dźwięk zamieniłby się w sygnał alfabetu Morse’a. *Da-dit*, co oznaczało literę A, powtarzało się, jeśli zeszła na lewo, a *dit-da*, oznaczające N, na prawo.

Kiedy nadajnik miał własny przydzielony częstotliwość, na której nadawał. Jego położenie było zaznaczone na mapach, więc pilot mógł lecieć od nadajnika do nadajnika, przechodząc z jednej częstotliwości na drugą. Kiedy pilot leciał dokładnie nad nadajnikiem, nastawał moment ciszy, co pozwalało oznaczyć dokładne położenie na mapie. Przerwa w sygnale trwała bardzo krótko i aby jej nie przegapić, trzeba było uważnie słuchać.

Brzeczanie ustało na parę sekund. Mary Lynn zmieniła częstotliwość i skierowała w kierunku drugiego nadajnika, postępując według rozkazów otrzymanych wcześniej od instruktora. Wśród brzeczki w uszach *da-dit*, *da-dit*

rozległ się głos instruktora:

- Co ty wyprawiasz, Palmer? Mówiłem ci, żeby nie leciała do drugiego nadajnika, zanim nie przelecisz nad pierwszym. Nie masz uszu?

A uniosła się ze złości na poduszkach słysząc jego sarkastyczny ton.

- Mam, panie instruktorze, i słyszałam ciszę - odparła i dodała bardzo słodko: - A pan nie?

Brak natychmiastowej odpowiedzi sprawił jej ogromną satysfakcję. Marty mówiła, że niektórzy instruktorzy mieli niewiele więcej godzin przelatanych na BT-13 niż one.

- Prowadzi lepy lepego - artowała.

Mary Lynn podejrzewała, że Marty przesadza, ale jej słowa zaczynały się potwierdzać. W czasie dwóch innych lotów post powała dokładnie według jego instrukcji i zgubili się.

- Po prostu ci sprawdzałem - odezwał się w końcu.

Z ciepłym uczuciem satysfakcji Mary Lynn skierowała BT w stronę gwiazdami ciemno. Kilka minut później naszło jej nieprzyjemne wrażenie. Silnik nie pracował prawidłowo; bardziej mu na to było wyczuć, niż faktycznie stwierdzić, że coś się zmieniło. Zaczęła sprawdzać przyrządy pomiarowe.

Nagle wystąpiły wibracje, a instruktor zaczął na nią krzyczeć. Potem język ognia wypełził z wirującego migła, tańczył i chował się. I jeszcze raz. Płomień. Silnik się palił! Instruktor wykrzykiwał przekleństwa i przejął kontrolę od Mary Lynn, która usiłowała zwalczyć rosnącą panikę na widok miernego pomarańczowego płomienia wypływającego z przedniej części maszyny wprost na kokpit, w którym siedziała.

Była druga w nocy, kiedy Marty i Chicago przywlokły się do pokoju, wykończone fizycznie i psychicznie, wciąż widząc katem okarzdzonych latarni. Cappy właśnie nie kładła się do łóżka, a Eden już leżała z jedwabną maseczką na oczach.

- Mogłabym spać przez tydzień - poskarżyła się Marty, opadając bezwładnie na prycze.

- Wszystkie byśmy mogły - powiedziała Cappy, nakryła się dokładnie i obróciła na bok, przytulając się do poduszki.

Marty z trudem podniosła głowę i spojrzała na puste łóżko obok swojego.

- Gdzie jest Mary Lynn? - Zmarszczyła brwi.

- Chyba jeszcze nie wróciła - odpowiedziała Cappy nie otwierając oczu.

Chicago, nie tracąc czasu, szybko zdjęła kombinezon i włożyła piżamę. Ostatnią rzeczą, która ją interesowała, były nocne dyskusje.

- Dobranoc. - Powlokła się do swojej pryczy i wsunęła pod przykrycie.

Tylko Marty jeszcze nie spała. Patrzyła na puste łóżko przez chwilę, zaniepokojona nieobecnością Mary Lynn. Potem wzruszyła ramionami i odezwała się:

- Pewnie ten głupi instruktor znów zabił dził. - Sięgnęła do suwaka kombinezonu. - Wiecie, nie wiem, czy jest sens się rozbierać. Przecież wstajemy za cztery godziny.

Eden, która wyglądała na pogroźniejszą w głębi bokiem, w końcu odpowiedziała:

- Zamknij się, Rogers.

Następnego ranka prycza nadal stała pusta. Nie można było dłużej lekceważyć nieobecności Mary Lynn. Każde

z nich przeszył niepokój.

- Jak myślisz, co się stało? - Marty badawczo popatrzyła na kole anki, starając się ukryć lęk, lecz bez skutku.

- Nie wiem. - Cappy podzielała obawę, która malowała się na twarzach współlokatorek. - Tak jak powiedziała w nocy, Marty, mogli zabić dziś. Pewnie wylądowali na innym lotnisku i zdecydowali poczekać z powrotem do rana. - Szukała argumentu.

Dopóki nie dowiedzą się czegoś, uznała, że najprawdopodobniej będzie pozostała przy tej pozytywnej wersji. Uśmiechnęła się, by wzbudzić w nich optymizm.

- Prawdopodobnie to nic takiego.

Po zameldowaniu się rano, nie poszły na niadanie, tylko prosto do oficera operacyjnego. Marty dopchała się do samego dowódcy i zadała informacji o Mary Lynn Palmer.

- Jest nasz współlokator - powiedziała Cappy, starając się złagodzić wojownicze zachowanie Marty.

Oficer wahał się przez chwilę, co nie wróżyło nic dobrego.

- Przykro mi, ale rano znaleziono wrak BT-13 na ranczo na północnym skraj. Samolot prawdopodobnie eksplodował przy uderzeniu. Trwają poszukiwania ciała.

- Nie! - Tylko tyle Marty była w stanie powiedzieć, gdy szok odebrał jej mowę. To niemożliwe. Musieli się pomylić, jej umysł nie przyjmował tej wiadomości. Mary Lynn nie mogła zginąć. Nie ona. Marty po prostu w to nie wierzyła.

Podczas gdy reszta omal nie zemdlała, Cappy pozostała opanowana.

- Dziękuję - mruknęła.

Wyszły, podtrzymując się wzajemnie, czując potrzebę bliskości. Jedynie Chicago płakała, łzy płynęły jej po policzkach. Na dworze słoneczko wiesiało na wspaniałym niebie Teksasu. Budziła się wiosna, ptaki rozpoczęły swoje trzaskanie. Zapowiadał się cudowny dzień na latanie, wiał łagodny wiaterek, ale cała czwórka była zbyt ogłuszona wiadomością, aby to zauważyć.

- Nie wierzyłam w to - powtórzyła Marty.

Widziało na jej bladej twarzy szok, ona najbardziej to przeżywała, ponieważ była najbliższa Mary Lynn.

Stały blisko siebie, nic nie mówiąc. Poza stratę kole anki, szok wywołało w nich to poczucie własnej miernotności. Niezależnie od powodu - awaria instrumentów, silnika, błąd pilota, to mogło się przydarzyć każdemu z nich. Chicago znów zaczęła płakać, tłumiąc łkania dłońmi przyciśniętymi do ust.

Jeśli by tak stały dłużej, Cappy obawiała się, że nie ruszy się w ogóle.

- No już, chodźcie - ponagliła je cicho. - Musimy się zameldować do lotów.

Jednak nikt nie zareagował na jej słowa.

- Zapomniałyście? Trwa wojna.

Kamienny wyraz zniknął z oczu Marty, gdy zwróciła wzrok na Cappy.

- Hayward, przygotowiesz mnie omdlenie ci! Mojesz się wypchać tym swoim zimnym opanowaniem.

Odeszła sztywna i urażona, nie mogąc znaleźć dla bólu, który ciskał jej gardło.

Później, idąc do samolotu zaparkowanego na rampie, zgasiła swojego instruktora, Buda Hansona, który przybrał współczujące miny. Nie chciała słyszeć nic, co potwierdzałoby śmierć Mary Lynn.

- Nie chcę o tym mówić, Bud - poinformowała go stanowczym, zimnym tonem.

- Jasne - odparł, przyglądając się jej uważnie.

Czuła się dziwnie, gdy wchodziła do kabiny i zapinała pasy. Zastanawiała się, co czuła Mary Lynn, gdy samolot spadał. Czy jest wtedy czas na strach albo... ból?

- FF osiemdziesiąt jeden. - Wcisnęła guzik mikrofonu, by wezwać wieżę. - Tu sześćdziesiąt dwa na rampie, proszę o instrukcje kołowania. Odbiór.

Po poleceniu popłynęła jej łza, za nią druga i trzecia. Marty słyszała odpowiedź, ale nie była w stanie działać. Łzy zamieniły się w potok, zalewając całą twarz.

- Marty! - rozległ się głos Buda Hansona w słuchawkach. - Wieś dała ci wolną drogę siedemnaście. Nie słyszała?

- Słyszałam. - Pocięła nosem. - Jadę.

Sprawdziwszy, czy nic nie ma po obu stronach, Marty wcisnęła przepustnicę i postawiła stop na prawym sterze.

Nigdy jeszcze latanie nie szło jej tak nagle. Omal nie wyprowadziła z równowagi Buda, popełniając błąd jak nowicjuszka. Wewnątrz czuła pustkę. Kiedy wylądowali, spojrzała na puciołowatego mężczyznę, unikając jednak jego wzroku.

- Przepraszam, Bud - powiedziała.

- Wszyscy mamy prawo do złych dni.

Wychodząc z hangaru, czuła, jakby nogi miała z ołowiu. Zauważyła Chicago, stojącą obok zaparkowanego niedaleko jeepa, i natychmiast spuściła głowę, nie chcąc okazać, że ją zobaczyła. Ból i ból były zbyt wielkie, żeby o tym rozmawiać. To było zbyt bolesne.

- Hej! Marty!

Za pół noce, Chicago ją zobaczyła. Wpierw Marty pomyślała, żeby zignorować wołanie, ale potem niechcinnie skierowała wzrok na Chicago i ruszyła w jej kierunku, przywołana gestem. Gula w gardle zacisnęła się jeszcze mocniej, gdy pomyślała, że Chicago chce jej powiedzieć o odnalezieniu ciała.

- Marty! - zawołał znajomy głos.

W tym momencie Marty zobaczyła niską dziewczynę w za dużym kombinezonie, machając do niej. Na tyle jeepa leżał spadochron, a Chicago miała się od ucha do ucha.

To była Mary Lynn - cała i zdrowa, trochę podrapana po lądowaniu na spadochronie. Miejsce się i płacząc, Marty puściła się biegiem. Gdy się już nacieszyły i naciskały. Mary Lynn opowiedziała im, jak razem z instruktorem katapultowali się z płonącego samolotu, zanim się rozbił. Ponieważ jest lekka, wiatr zniósł ją dalej i rozdzielił z instruktorem, który złamał nogę przy upadku. Po zimnej nocy Mary Lynn ruszyła przed siebie o wicie i spotkała kowboja.

- Kiedy wciągnęłam mnie na grzbiet konia, który zaczął brykać, pomyślałam, że naprawdę jestem zgubiona. - Roześmiała się na to wspomnienie. Ale niechęć ucichła, gdy spojrzała na rękę od linki wyzwalającej spadochron, pamiętkę, którą nadal trzymała w dłoni.

- To czyni mnie chyba oficjalnym członkiem Caterpillar Club, prawda?

Był to ekskluzywny klub dla tych pilotów, którzy katapultowali się i mieli rękę od spadochronu na dowód.

- To ci czyni największą szczęściarą na ziemi - odparła lany.

- Wiem.

Minie wiele czasu, zanim zapomni, co czuła tej nocy - rozbita pokrywa, silny nacisk wiatru i ognisty ar z

płomieni bijących wprost na nią, skok w ciemną przestrzeń i uczucie skrajnego przerażenia, poczucie za link i oczekiwanie, trwające wiecznie, a czas się rozwija, szarpnie Cię i widok płonącego samolotu spadającego w dół. Jak długo to trwało.

- Do diabła! To trzeba uczcić! - stwierdziła Marty, tłumiąc łzy napływające do oczu. - Znajdźmy Cappy i Eden, i chodźmy do kantyny. Płac za colę!

- Tak, musimy się zabawić - zgodziła się Chicago. - Nierozłacznie się znów razem!

7

Mi nie szyi i ramion bolały z napięcia, ale Cappy nie miała czasu, żeby się rozluźnić i złagodzić bolesne skurcze. Całą uwagę skupiła na tablicy rozdzielczej. Obydwoma rękami trzymała drążek między nogami, stopami operowała pedałami sterowymi, wykonując manewry zgodnie z instrukcjami w słuchawkach. Wewnątrz kokpitu zaczynało się robić duszno, co spowodowało lekki zawrót głowy.

- Wystarczy na dzisiaj - odezwał się głos i, jakby po namyśle, dodał: - Dobra robota.

Instrumenty zgasły, ale Cappy nadal kurczowo trzymała drążek, jakby stał się jej nieodłączną częścią. Z ciemnym westchnieniem napięła ramiona i rozluźniła je, naciskała szyję w obie strony i dopiero sięgnięła do zatrząsków, by je rozpiąć.

Za chwilę razem, gdy wystawiła głowę z kokpitu, czuła się zdezorientowana. Miała wrażenie, jakby latała przez tę godzinę, ale po wyjściu z kabiny znajdowała się w sali. Cappy przechyliła się przez breg symulatora i zeszła na podłogę. „Głos” siedział przy stole. Mógł porozumiewać się z „pilotem” i obserwować jego działania, gdy wszystko było automatycznie zapisywane.

Stan wszy na podłodze, Cappy spojrzała na symulator, który znów ją oszukał i sprawił, że uwierzyła, że to rzeczywistość.

Symulator treningowy Link wyglądał dziwnie - pudełko z czymś odstającym po bokach i udającym skrzydła oraz mieszny ogon. Przypominał Cappy rysunków karykatur samolotu, a jedyne, czego mu brakowało, to migło. Ale pomimo komicznego wyglądu spełniał swoje zadanie, którym było umożliwienie zdobycia praktyki w lataniu według instrumentów.

Po zajęciach na Linku, Cappy zawsze czuła się wykończona, jakby z mózgu zrobiła jej się jajecznica. Tym razem tak nie. Od rana równo latała, więc nie mogła być lata. Po zakończeniu zajęć nie było co robić.

Jak stadko zwierząt, dziewczęta z pokoju Cappy jednocześnie nie ruszyły w stronę drzwi. Wszystkie wyglądały na zmęczone i miały puste spojrzenie.

- W piekle musi być tak jak w tym symulatorze - stwierdziła Marty. - Dzisiaj zrobiło się w nim tak duszno, że mi łamało, że się uduszę. Wyobraźcie sobie, jak tam jest latem, kiedy temperatura dochodzi do czterdziestu w cieniu... a my jesteśmy godzinami uwięzione w tej saunie? Kiedy mi się mnie boli. A głowa - to cholera tak pulsuje, że mam ochotę ją odciąć.

- Proszę, zrób to - powiedziała z uśmiechem Eden. - Wtedy już nie będziemy musiały cię słuchać bez przerwy.

Marty zrobiła tylko minę do niej, gdy przechodziły przez drzwi. Deszcz przypominał ciekącą wodę spadającą z nieba. Chowały się pod okapem budynku, o który stukały krople deszczu i spływały z dachu tworząc zasłonę przed nimi. Dziwaczne wiecznie zielone krzewy, niskie i przysadziste rosły rzędem wzdłuż budynku szkolnego. Wydawały się nie na miejscu na tle czerwonego krajobrazu Teksasu.

- Cholera, musimy zapalić. Chodźmy do kantyny po colę i fajki - zaproponowała Marty i popatrzyła wyczekująco

na Cappy.

- Dobrze, ale kto musi iść do pokoju wyla wodę z garnków.

Nie do , e w barakach ci głębiało, to jeszcze dach przeciekał. Zebrały z pół tuzina pojemników i poustawiały je w miejscach, gdzie kapało. Cappy zaplanowała system, według którego każda miała nastawiony budzik na inną godzinę w nocy, aby regularnie opróżniały pojemniki.

- Ja to robiłam ostatnia - powiedziała Marty. - Teraz kolej na Chicago.

- Do zobaczenia później. - Chicago skrzywiła się.

- Nie przyjdiesz do nas do kantyny? - zapytała Cappy.

- Nie. Muszę przeprosić parę rzeczy. - Smutek pojawił się w jej oczach, zanim odwróciła się, postawiła kołnierz kurtki i pobiegła przez deszcz. Cappy zrobiło się jej przykro, gdy patrzyła, jak odchodzi.

- Co się z nią dzieje? - Marty zmarszczyła brwi.

- Myślę, że chodzi o problemy z lataniem według instrumentów. - Cappy wzruszyła ramionami, okazując, że to nie ich sprawa.

- Na którą z nas przyjdzie kolej. - Mary Lynn skuliła ramiona i wyjrzała na ulewę. Woda zbierała się w kałuże, które rozpryskiwały się przy każdej spadającej kropli.

- Tak ponury dzień każe mi demotować humor.

- Na pewno psuje moje włosy. - Eden zawinięła palec opadający kosmyk, po czym puściła go zrezygnowana.

- Popatrzcie, jak zwisa. Wiecie, o czym marzę? O odrywce na włosy i maseczce na twarz, a potem o wycięgnięciu się na stole do masażu, popijaniu dwunastoletniej szkockiej i sprawnych dłoniach, które rozmasują ból i napięcie w plecach.

- Wietny pomysł - mruknęła Cappy.

- Szczególnie szkocka - zgodziła się Marty.

- Ten deszcz ani odrobinię nie osłabił. Dlaczego tu stoimy? - zdziwiła się Mary Lynn.

- Ona ma rację. Chodźmy. - Marty rozluźniła kurtkę i nacięła ją na głowę.

Idąc za jej przykładem, wszystkie schowały głowy pod kurtki i pobiegły w kierunku kantyny. Zostały całkowicie przemoczone.

- Hej, patrzcie! - Marty wskazała budynek administracyjny, a woda spływała jej po twarzy. Przed wejściem zatrzymała się miejscowa taksówka, jej dobrze ubrane pasażerki czekały pod parasolem na wystawienie bagażu i rozglądały się dookoła. Wyglądały na dezorientowane, nie pasując do tu, ale chętnie, by się zdomowić.

- To nowa grupa na szkolenie. Czy my też wyglądamy tak zielono?

- Chyba tak - odparła Cappy, uśmiechając się nieznacznie. Ten szary dzień, w którym przyjechały do Avenger Field prawie sześć tygodni temu, wydawał się bardzo odległy.

- Chyba musimy pokazać im, jak to się robi - powiedziała z diabelskim błyskiem w oku Marty.

- Co ona ma na myśli? - Mary Lynn podniosła głowę, by spojrzeć na wyszła od niej Cappy i została zalana strugami deszczu prosto w twarz. Cappy próbowała ukryć się za plecami, wywołany naiwnością Mary Lynn.

Wyszło słoneczko, chmury rozeszły się i na niebie pojawiła się tęczówka, ozdabiając purpurowy zachód słońca. Wszystkie pojemniki zostały opróżnione i schowane na następny deszczowy dzień. Nierozłączone czekały na znak od Marty, że nadszedł czas.

Na zewnątrz przyłapczyły się do pierwszej klasy i brnęły w czerwonym błocie, ruszyły w kierunku baraków

nowych rekrutów. Mary Lynn wpadła z nimi do pierwszej kwatery. Marty stała na ich czele, warcząc rozkazy i udając ostrą.

- Uwaga! - krzyknęła do zaskoczonych dziewcząt, leżących na łóżkach i piszących pierwsze listy do domu. Gdy podniosły się z pryczy, zaczęły chichotać, zrozumiałszy, że to „wysza klasa” przyszła je podrzączyć.

- Co w tym mieszane? - zapytała Marty bez siadu u miechu, ale oczy błyszczały jej wesoło. - Stać prosto! Ramiona do tyłu, pierś do przodu, brzuch wciśnięty!

Atmosfera szorstkiej inicjacji zupełnie nie przypominała tego, czego Mary Lynn uczono na temat uprzejmości i miłych gestów, którymi powinno się witać nowo przybyłych. Ale dziewczęta wydawały się przyjmować docinki i czasami okrutne żarty jako dobrą zabawę. Posłusznie maszerowały zgodnie z dziwnymi rozkazami i siadały na krzesłach, wiedząc, że w ostatniej chwili zostaną odsunięte. Te, które wybrano do wrzucenia pod prysznic, pisały z radością.

Na początku Mary Lynn nie była pewna, czy jej się podoba ten rodzaj zabawy, ale stopniowo, gdy przechodziły z jednego pokoju do drugiego, wciśnięła ją ta nowa gra. W ostatnim pokoju zniechęcała ją kurek zimnej wody. Ktoś zdążył krzyknąć ostrzegawczo i kompletnie ubrane i przemoczone dziewczyny zdołały uniknąć gorącej wody lecącej z prysznicy.

Kiedy skończyły, wróciły do swojej kwatery, mając się wesoło. Mary Lynn rozczłgnęła się na łóżku, nie zwracając uwagi na ubłocone buty. Czowała się cudownie odprężona, wszystkie frustracje i napięcia minęły.

- Widziałyście, jak wyskakiwały, gdy się gnęłam do kurka zimnej wody? - Zamięła się na to wspomnienie i spojrzała na Marty, główną prowokatorkę wieczornych figlów.

- To najzabawniejszy widok w moim życiu - przyznała Marty ze śmiechem.

Ale następnego ranka nie było tak wesoło, kiedy cała grupa dostała ostrą reprymendę za otrzymane siniaki. Dowódca bazy owiadczył, że jakiegokolwiek próby dręczenia nowych rekrutów w przyszłości surowo zabronione. Jedna z dziewczyn miała problem z kołogonem, po tym jak upadła na podłogę, gdy odsunięto jej krzesło. Nie wiadomo jeszcze, czy nie będzie musiała opuścić szkolenia.

- Moja mama zawsze mówiła, że nic dobrego nie przychodzi z czerpania przyjemności z czyjegoś nieszczęścia - przypomniała sobie poniewczasie Mary Lynn.

- Nikomu nie miało się nic stać - upierała się Marty.

- Zero trzyna cie, masz wolną drogę do lądowania.

Eden nacisnęła guzik mikrofonu.

- Roger, FF osiem jeden. Zero trzyna cie wolne do lądowania.

Eden zrównała tor lotu z pasem i dostosowała prędkość opadania. Miała wrażenie, że grunt zbliża się do niej, rozmazując się, im niżej była. Koła dotknęły ziemi, a ona poczuła satysfakcję z podręcznikowego lądowania, co, czego nie mogła kupić.

Gdy przyhamowała, by skierować na drogę prowadzącą do hangaru, przez radio rozległ się głos.

- Tu Jacqueline Cochran. Podchodź do lądowania. Oczy cię teren - rozkazała.

Eden odkołowała do hangaru, spoglądając w niebo. Samoloty zjeżdżały z drogi zbliżając się do maszyny Beechcraft, na której pokładzie leciała szefowa ich programu szkolenia.

Kiedy samolot wylądował, Eden wysiadła z kabiny i zeskoczyła na ziemię. Spędziwszy dwie godziny samotnie w powietrzu, wyczerpała limit tego dnia. Eden nie wyszła z hangaru, lecz czekała, aby przywitała słynną panią

oficer, poza tym ciekawa była, czy Jacqueline Cochran pamięta ich spotkanie na przyjęciu w grudniu ubiegłego roku.

Całe lotnisko i niebo nad nim były puste, co rozbawiło Eden. Dawno temu nauczyła się, jak wcale nie jest dobre wejść cię. Bez wątpienia szefowa Oddziału Szkoły Pilota u Kobiet dokonała tego we właściwym stylu.

Duży samolot przetoczył się obok niej, niemal go dotykała jej ubrania. Zatrzymał się i silnik umilkł. Eden podeszła do Beechcrafta, nie zdając sobie sprawy z własnego wyglądu - zabrudzonej twarzy i potarganych kucyków, gdy znajoma blondynka wyszła z kabiny.

- Witam, panno Cochran.

Jacqueline ledwie zwróciła uwagę na nią, przechodząc obok.

- Poniżej mi to! - Rzuciła jej długie futro z norek.

Eden stała oburzona i zdziwiona potraktowaniem jej jak jakiejś służącej. W ciemności zawrzała w niej, gdy spojrzała na norki, które trzymała w rękach. Ale zauważyła również swoje pogniecione i poplamione ubranie. Dotknęła miesznych kucyków i wybuchnęła śmiechem.

Na ten dzień Jacqueline Cochran zwolniła kroku i obróciła się, by potraktować ją z przywódczym wyniosłością.

- Czy coś pani bawi?

- Właśnie zdałam sobie sprawę, że nawet moja matka by mnie teraz pewnie nie poznała - odparła Eden nie spieszona.

Dokładnie zarysowane brwi uniosły się pytająco, tworząc zmarszczkę na gładkim czole.

- Czy my się spotkałyśmy? - zapytała, po czym szybko znalazła uprzejme i ostrożne wytłumaczenie, odpowiednie do jej rangi. - Przesłuchałam wiele dziewcząt. Nie mogę pamiętać wszystkich twarzy. Jestem pewna, że pani to rozumie.

- Oczywiście, panno Cochran.

Ich spotkanie dobrze zapadło w pamięć Edeni, ale było tylko jednym z wielu dla latającej blondynki.

- Jestem Eden van Valkenburg. Spotkałyśmy się w grudniu w Nowym Jorku na przyjęciu wydanym przez moich rodziców.

- Tak, oczywiście. - Znaczenie nazwiska zadziało, chociaż Eden powątpiała, czy Jacqueline Cochran ją pamięta.

Fakt, że Eden równa była społecznie swojej przełożonej, nie miał znaczenia, z wyjątkiem tego, że zmienił wyniosłe zachowanie w nieco protekcyjne. Jacqueline odwróciła się i ruszyła do hangaru, spodziewając się, że Eden podąży za nią.

- Proszę mi powiedzieć, panno van Valkenburg, jak sobie tu pani radzi? - zapytała. - Jakie problemy czy skargi?

- Nie - odpowiedziała, chociaż lista była długa, począwszy od przeciekających dachów w barakach po naganę przez niektórych instruktorów, ale Eden domyślała się, że tak naprawdę Jacqueline nie chciała tego usłyszeć. Wciąż niosła norki, nie zauważając, że wsunęła dłoń w ciemne futro, głaszcząc miękki włos i rozkoszując się prawie zapomnianym uczuciem.

- Poza tym, panno Cochran, już się nauczyłam, że wojsko ma bardzo prostą odpowiedź na skargi: - „To trudne”. Jacqueline zaś miała swój niski, melodyjny głos.

- To prawda - zgodziła się i stanęła, by spojrzeć na Eden, gdy dotarli do hangaru. Uśmiech złagodził jej rysy, a

wyraz oczu, gdy przyglądała się Eden, był szczerzy i poważy.

- Jeśli kiedyś pani miała kiedyś kłopoty, proszę przyjdź z nimi bezpośrednio do mnie. Pani będzie która z dziewcząt.

- Tak, proszę pani.

Eden zaciekał powód tej wizyty, chociaż dobrze wiedziała, że ich przełożona regularnie dzwoni do bazy, by sprawdzić, co się dzieje.

- Co pani tu sprowadza, panno Cochran? Czy to tylko rutynowa wizyta?

- Niezupełnie. - W jej oczach pojawił się błysk zadowolenia. - Dzieci miały więcej towarzystwa. Przerzucamy operację Houston i przenosimy całe szkolenie tutaj, do Avenger Field. Zapotrzebowanie na wykwalifikowanych pilotów przekracza możliwości ich znalezienia, więc musimy przejść do służby bojowej, co oznacza więcej kobiet w powietrzu. W Houston nie ma warunków do rozwoju, więc przejmujemy to miejsce.

- Całe lotnisko? - Eden popatrzyła na nią. Wojna. Niemal zapomniała o niej. Latanie, latanie, przez cały czas tylko latanie. Wojna była tak odległą sprawą, że tak naprawdę nie miała dla niej znaczenia. Gazety? Kto miał czas, żeby je czytać? Och, tak, Marty dostawała listy od brata, który był spadochroniarzem w 101 Dywizji Powietrznej, stacjonując w Północnej Karolinie, a Mary Lynn regularnie otrzymywała z Anglii wiadomości od matki, pilota bombowca. Wiedziała o wojnie, ale sama jej nie odczuła.

- Ostatnia grupa kadetów wyjeżdża w przyszłym tygodniu i wtedy my się wprowadzamy z całym kramem - umiechnęła się z dumą. - Nie potrafię wyrazić, jak wspaniały jest wasz wkład, to, że zastępujecie mężczyzn, by mogli wyjechać i walczyć.

- Tak.

- Proszę o moje futro. - To zdanie wytręciło Eden z zamyślenia.

- Oczywiście.

Nie wiadomo, czy ciskała futro tak mocno, że ją pogmiotła. Próbuje wygładzić załamania ręk, niech tylko oddała je właścicielce.

- To mieszne. W domu mam etolę i bolerko z nerek, i futro takie jak to, ale już właścicielce zapomniałam, jakie są miękkości w dotyku.

Jacqueline Cochran wzięła futro z nieznacznym uśmiechem na twarzy.

- Dobrego latania - powiedziała i odeszła.

Wiatło pełni księżycy wpadało przez okno ciemnego pokoju hotelowego i rzucało rozproszony blask na ściany. Colin leżał na łóżku z jedną ręką pod głowę, a drugą wyciągniętą wzdłuż ciała. Był nakryty do pasa, a między klatki piersiowej i nęży w bladej pościeli.

Obok niego Marty zaczęła nagle śpiewać, przedrzeńniać go.

- Gwiazdy nocne ... są wielkie i migoczące ... - klasnęła w dłonie - głębokoo w seeercu Teksasuuu! - Zniżyła głos, by naładować jego wcześniejsze popisy wokalne.

- Do ... - Colin zasłonił jej usta dłonią, by zagłuszyć dalsze próby artystyczne.

Zatrzaśnięta ze śmiechu i nie przestawała nawet, gdy zdołała odsunąć jego rękę. Przez cieradło zsunęła się, odsłaniając jej piersi, ale Marty nie musiała udawać skromnej przed Colinem. Jego ręce i usta czsto jej się przyklejały.

Położyła jego rękę w zagłębieniu między piersiami, nie po to, by go sprowokować, lecz ponieważ uważała to za naturalne.

- Nie mogłam uwierzyć, że faktycznie zaśpiewała tę piosenkę przed mieszkańcami miasta. Trzeba było cholernie silnych nerwów - mówiła rozbawiona. - Została w końcu uznana za hymn Teksasu.

- Myśli, że byli zadowoleni - stwierdził, lekko się uśmiechając.

- Czy by? - zadrwiła znów Marty.

- Tak. Uznali, że wyrażamy nasze podziękowanie za gościnę w ich domach...

- I w ich łóżkach - wtręciła Marty.

- Oj, danielmeni nie rozmawiaj o takich rzeczach.

- To interesujące. - Marty odwróciła się, by lepiej go widzieć. — A o czym rozmawiaj danielmeni?

- O różnych sprawach - powiedział. Wyciągnął rękę i pogłaskał złote pasma włosów rozrzucone na poduszce.

Owinął jeden kosmyk wokół palca, czując jego miękkość.

- Twoje oczy przypominają mi kolor wody w kanale La Manche - oznajmił z rozbawioną miną. - Myśli, że przedziejczył nad nią pikował. Napisz mi, czy z bliska ma ten sam odcień.

- Chciałabym jechać zamiast ciebie.

Cz sto lataję samotnie, Marty zastanawiała się, jak to jest w wirze powietrznej walki.

Jednak nie było jej dane przeżyć tego rodzaju doświadczeń, ponieważ miała nieszczęście urodzić się kobietą. Mogła czasami wchodzić do wiadomości czyn, ale tylko za ich pozwoleniem. Zawsze bolało ją, gdy widziała, ile wiecej niż ona mógł robić do wiadcza jej brat David. To niesprawiedliwe. Teraz był na ćwiczeniach w Fort Bragg. Skakał z samolotów, jako jeden z „orłów” - 101 Dywizji Powietrznej.

- Pewnie, że by chciała. - Colin zachichotał i przewrócił się na plecy, obserwując cienie na suficie.

Marty przekrzywiła się i oparła na łokciu, twarzą do niego. Przez cieradło zsunęło się jej do pasa.

- Pewnie myślisz, że nie potrafiłabym tego zrobić.

- Ty? Ty mogłabyś być podniebna Joann d'Arc, wojowniczą dziewczyną ze skrzydłami - odparł gładko Colin, wziął jej rękę, podniósł do ust i pocałował w rękę dłoni. Spojrzał na nią z powagą.

- Będę za tobą, skni, Marty. Nie sędziem, że to powiem, ale taka jest prawda.

- Proszę, nie róbmy sobie kłaki i sentymentalni i nie psujmy wszystkiego - skarciła go.

- Już nie będę. Przysięgam. - Spojrzał na nią z leniwym uśmiechem. - Wadnych związków uczuciowych, po prostu dobra przyjaźń. Ale i tak będzie mi Ciebie brakowało.

Pochyliła się, by go pocałować.

- Ja też będę tskni. Ostatnie tygodnie spędziliśmy miło.

Pełne piersi zapraszały do pieszczot. Colin wziął jedną z nich w dłoń i delikatnie pocierał twardniejącą sutek.

- Jesteś niezwykła, Marty - powiedział. - Wtedy, czy będmiał kiedyś spotkać tak kobietę jak ty.

- Cholernie dobrze nam razem, prawda? - Poglądziła jego ramiona. - Ciesz się, że znaleźliście czas na wspólne, jak to powinniśmy nazwać? Nasze poegnalne pieprzenie?

Colin wybuchnął śmiechem, chwycił ją w talię i popchnął na materac, kładąc się na niej. Twarz miał szeroko rozciągniętą.

- Czy ktoś ci już powiedział, że w szczególny sposób dobierasz słowa? - Chichotał. - Nie owijasz w bawełnę, tylko walisz prosto z mostu.

Zsun ła r ce w dół jego torsu, przez brzuch, a do k pki kr conych włosów.

- W takim razie... - Zagl dała mu w oczy prowokuj co, kontynuuj c pieszczoty, których efekt czuła pod dłoni .
-...dlaczego tak du o dzi mówimy, a tak mało robimy?

- Czy by? - zapytał Colin z szerokim uśmiechem. Poci gn ł j za kolano, by rozszerzyła nogi i wypełnił t przestrze swoim ciałem.

- Cóż, je li chcesz pieprzenia, mała, to je dostaniesz - obiecał głosem zachrypni tym z podniecenia i po dania.

Obj ła jego głow i przyci gn ła bli ej swojej twarzy. Pocałowała go z czuło ci i uznaniem. W takim zwi zku jak ich nikt nie b dzie skrzywdzony. Marty nie potrzebowała niczego gł bszego. Wreszcie znalazła m czyzn , który my łał jak ona. Jednak b dzie za nim t skniła.

Pó niej wielki kwietniowy ksi yc toczył si po niebie, o wietlaj c dwie postaci, stoj ce przed bram Avenger Field. Marty patrzyła z zadum w oczy szczupłego lotnika.

- Prawdopodobnie nie b d miał okazji si z tob spotka przed wyjazdem - powiedział.

- Wiem.

Nie było łez, tylko ukłucie alu, e musz si rozsta . Skoro nie trzeba płaka , niepotrzebne te s u ciski i potoki słów. Jednak jaki ostatni gest, jaka uwaga, jaki kontakt wydawał si konieczny. Po długiej chwili Marty wyci gn ła r k .

- Pomy lnych lotów, Colin.

- Nawzajem. - U cisał jej dło ciepło.

8

Kolumna kobiet ubranych w workowate kombinezony maszerowała w kierunku płyty lotniska. Chicago pomyliła krok i teraz próbowała dopasowa si do reszty w rytm miarowych okrzyków marszowego.

piewanie w czasie marszu stało si ju zwyczajem, wi c i teraz która zaintonowała melodi „Bell-Bottom Trousers”, do której dorobiły własne słowa, jak i do wielu innych znanych piosenek.

W trakcie pierwszej zwrotki Marty zauwa yła formacj samolotów wojskowych BT-13, zbli aj cych si z południa do lotniska, i pomyliła słowa obserwuj c, jak poszczególne maszyny odł czaj si od reszty i podchodz do l dowania.

Zanim dotarły do płyty lotniska, zd yły ju zauwa y obce samoloty szykuj ce si do l dowania. Kolumna rozdzieliła si i oczekiwała przybywaj cych przed poczekalni .

- To musz by te z Houston - powiedziała Cappy do kole anek. - Słyszałam, e same pilotuj BT, by do wiadczy lotu na du e odległo ci.

- Ale to musi by wra enie - mrukn ła z zazdro ci Marty.

Jedna za drug maszyny l dowwały w popisowym stylu.

- Zało si , e uwa aj si za wspaniałe.

Nikt nie zaprzeczył lekcewa cej uwadze Marty. Wszystkie obserwowały, jak samoloty kołuj , po czym jak wysiadaj z nich kobiety. Wszystkie pod wiadomie odcinały si od nowo przybyłych, pomimo i były w tej samej klasie, tylko wiczyły w innych miejscach.

Najazd obcych twarzy był czym innym od przybycia nowych kandydatek par tygodni wcze niej. Tamte były nowicjuskami, pierwszakami, ale te z Houston były im równe, to druga połowa klasy 43-K-3. W Houston cały program miał swój pocz tek, tam te zostały pierwsze dwie klasy, by doko czy szkolenie. Grupa w Sweetwater

natomiast, jako pierwsza zajęła Avenger Field. Uważały, że mają prawo do tego miejsca. Teraz miały się nim podzielić z obcymi. Atmosfera rywalizacji była nie do uniknięcia.

Jimmy Ray Price, instruktor Cappy podczas szkolenia podstawowego, zatrzymał się przed ich grupką, rzucając im groźne spojrzenie.

- Przestać się gapić i ruszcie się do pokoju pilotów. Jesteście tu, żeby latać. Pamiętajcie?

Odwracając uwagę od zmęczonych, ale podekscytowanych studentek z Houston, pozdrawiając się teraz po długim locie, Cappy, Eden, Mary Lynn i Chicago pomaszerowały dwójkami z resztą grupy do pokoju pilotów. Były ciekawe, jakie to uczucie, gdy się leci tak daleko, lecz duma nie pozwalała im przyznać, że koleanki z Houston dokonały czegoś, czego one nie zrobiły. Poza tym już potworzyły się kliki i nie było tu miejsca dla obcych.

Kiedy grupa z Houston zwiedzała Avenger Field, „nierozważnie” leciały ze swoimi instruktorami, doskonale umiejącymi latanie według instrumentów. Kiedy wylądowały, nigdzie nie było widocznych nowo przybyłych, tylko stojące w hangarze BT-13 ślady o ich obecności.

Zwołano je na zbiórki i pomaszerowały do swoich baraków, gdzie dostały polecenie, żeby się rozeszły. Rozproszyły się, rozmawiając i tworząc grupki.

- To był dopiero widok, te dwie formacje samolotów sunących po niebie - powiedziała Chicago.

Otworzyły drzwi do pokoju i zaczęły wchodzić do korytarza. Mary Lynn nie zauważyła, że się zatrzymały, i uderzyła w plecy Cappy. Drzwi się za nią zamknęły i uderzyły w krzyk.

- Hej, co się dzieje? - zaprotestowała.

Stojąc przed nią ciasno grupka zasłaniała widok i Mary Lynn nie mogła zobaczyć, co było powodem konsternacji. W korytarzu Marty, która blokowała przejście, odsunęła się i Mary Lynn ujrzała wysoką, szczupłą dziewczynę pięciopalcuszkę, które kiedyś zajmowała Eden. Miała długie do ramion jasne włosy, teraz potargane i rozrzucone.

- Co, do cholery, ona tu robi? - zapytała z zaciekawieniem Marty.

Burkliwy ton sprawił, że Mary Lynn parsknęła, zasłaniając usta dłonią. Widząc karcące spojrzenie Marty, wyjaśniła:

- To brzmi jak z bajki o Złotowłosej. „Kto spał w moim łóżku?”

Nikt nie wydawał się ubawiony tą analogią. Mary Lynn uznała, że nie czytały tej bajki tak czysto jak ona, bo inaczej dostrzegłyby w niej humor. Na razie jednak przejście były intruzem.

- Pewnie to która kursantka z Houston - przypuszczała Cappy, gdy podchodzili do pryczy.

- Cóż, to nie tłumaczy, co ona tu, do cholery, robi. - Marty podeszła do łóżka i mocno szarpnęła dziewczynę za ramię. - Obudź się, Złotowłosa!

Silnym szarpnięciem uwolniła się z uścisku Marty i burknęła:

- Zostaw mnie!

- Co ty, do diabła, tu robisz? - Marty była niewzruszona reakcją obcej dziewczyny i kręciła się koło łóżka.

Tym razem blondynka poruszyła się nieznacznie.

- Pięknie. Nie widać?

- W porządku, kim jesteś? - zapytała sarkastycznie Marty.

- Cholernie zmęczona wiołką. - Dziewczyna spróbowała lepiej się ułożyć na pryczy i bardziej skulić.

- Wlotka - powtórzyła Marty, potem spojrzała na resztę i dodała złośliwie: - Jest wiotka, cokolwiek to znaczy.

Blondynka najwyraźniej poddała się. Powoli, z trudem usiadła na brzegu w skiego łódka, miała skulone ramiona, a głowa opadała jej ze zmęczenia. Ale odezwała się wojowniczo, a jej fioletowe oczy wydawały się niemal atramentowoczarne.

- Wojskowy Lotniczy Oddział Treningowy dla Kobiet, idiotko - powiedziała do Marty. - Wlotka, W-L-0-T-K, tak się nazywamy.

- Wiotki, powinnam była zgadnąć - odparła Marty szyderczo. - My tu używamy prostszego określenia: kursantki.

Blondynka obrzuciła Marty jadawym spojrzeniem.

- To widać.

Marty miała ochotę wydrapać te niezwykle ciemne oczy, ale Cappy zastąpiła jej drogę.

- Czy mogłaby nam powiedzieć, co tu robisz? - zapytała Cappy władcym tonem, który zdawał się nie robić wrażenia na dziewczynie.

- Została mi przydzielona ta kwatery i to łódka. Wiercie lub nie, nie podoba mi się to, tak jak wam - oznajmiła sucho.

- Jak się działo, to miejsce nie do końca dobre dla ciebie - odparowała Marty.

- Prawdę mówiąc, to jest Tad Mahal w porównaniu z niektórymi kwaterami w Houston. Mieszkałyśmy w zapleciałych, zarobaczonych domkach turystycznych, zanim w końcu wybudowali dla nas baraki. Jedzenie nadawało się tylko do wyrzucenia. Zorganizowali też świetlicę, ale przedtem najbliższa była oddalona o pół mili. Od witu do nocy nosiłyśmy to samo ubranie, ponieważ nie było gdzie się przebrać, więc chodziłyśmy cały dzień zakurzone, brudne i mierzwiące potem. - Popatrzyła na nie. - Nawet nie wiecie, jak tu macie dobrze.

- Czy to nie cudowne, dziewczyny? - mknęła Marty. - Teraz mamy własnego eksperta. Zamiast rodziców, którzy mówili, jak im było, mamy wlotkę.

- Ja ci się nie podobam, ty mi się też nie podobasz - oświadczyła dziewczyna. - Niech tak zostanie. A teraz tak się składa, że musiałam lecieć przez prawie cały Teksas, więc jeśli nie macie nic przeciwko, to chciałabym trochę odpocząć.

Marty odeszła od pryczy z udawanym respektem.

- Wybacz, że ci przeszkodziłyśmy. Tylko dlatego, że przypadkiem to jest nasz pokój, co ma niewielkie znaczenie. Co nas obchodzi, kto w nim śpi?

- Rachel Goldman z Nowego Jorku. Teraz ci lepiej? - powiedziała blondynka złośliwie.

- Z Nowego Jorku - powtórzyła Chicago i skinęła na Eden. - Eden też jest z Nowego Jorku.

- Tak? - Spojrzała na rudowłosą, mierzwiącą i zmęczoną, lecz ciekawym wzrokiem.

- Mieszkamy na Piętej Alei, naprzeciwko parku przy Siedemdziesiątej Piętej ulicy - powiedziała Eden.

- Cóż, ja jestem z Lower East Side - odparła kładąc się ponownie. Ucisnęła wyciągniętą do niej poniewczasie rękę. Wyciągnęła się na pryczy i odwróciła do nich tyłem. Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, więc nie zostało wiele miejsca nad głowami i w nogach.

Powoli odeszły do własnych łódek, wytrącone trochę z równowagi nagłym pojawieniem się intruza. Ich piątka tworzyła zgraniczone - nie potrzebowały i nie chciały nikogo.

- Kto chyba wpadł na genialny pomysł, żeby zintegrować obie klasy - wyraziła przypuszczenie Cappy

ciszonym tonem.

- To mierzdy! - stwierdziła Marty.

Mary Lynn skrzywiła się na uwagę głosu wypowiedzianą przez koleżankę.

- Marty, mów ciszej - skarciła ją stłumionym głosem. - Ona chce zasnąć.

- No to co? Nie mam zamiaru z jej powodu chodzić na palcach. - Marty celowo nie zniżyła głosu, ale postąpiła na pryczu nie zareagowała.

Nie chodziło o to, że Rachel Goldman nie miała zwyczaju się bronić. Miała ostre pazurki, których potrafiła użyć. Przez lata, często atakowana, zadawała jej naostrzy. Była wyśmiewana i wiele razy dawano jej odczuć, że jest niechciana, była ofiarą mniejszych lub większych prześladowań.

Tylko dwie rzeczy pozwalały jej uciec od tego, choć na krótko. Taniec i latanie. Pomimo wrodzonego talentu i wielu lat wczesnie nie odniosła sukcesów. Po prostu niewielu było tancerzy zdolnych podnieść baletnicę mierząc metr osiemdziesiąt. Z powodu wzrostu trudno jej było o pracę na Broadwayu. Wciąż pracowała głównie w lokalach nocnych jako tancerka.

Po raz pierwszy siedziała w samolocie, gdy leciała do Austrii w odwiedziny do babci, mieszkającej w Wiedniu. Oczywiście było to wiele lat temu, przed okupacją Austrii, kiedy Hitler był tylko pompatycznym fanatykiem, wygłaszającym swoje teorie na temat rasy wyśzej.

Spędziła wtedy cudowny miesiąc z babcią. Wcześniej przez wiele lat prowadziła z nią korespondencję, najpierw pod wpływem rodziców, a potem dlatego, że babcia zdawała się rozumieć jej miłość do baletu klasycznego. Była garderobianką w operze wiedeńskiej. Na początku trudno im było się porozumieć, gdy starsza pani niezbyt dobrze знаła angielski. Rachel równie słabo posługiwała się hebrajskim, a niemieckiego nie znała wcale.

Wie o tym po przylocie, kiedy się spotkały, była niezwykle podniecona tym przeżyciem. Codziennie o tym opowiadała, a w końcu babcia o nią wypytywała:

- Jeśli tak bardzo podoba ci się latanie, naucz się tego.

Niestety wymagało to lekcji, za które trzeba płać, a Rachel już do tego zainwestowała w taniec.

Rodzice nigdy nie podchodzili entuzjastycznie do jej kariery teatralnej, ale poparcie babci stanowiło przeciwwagę. Kiedy przyszło do latania, byli jeszcze mniej zachwyceni tym pomysłem.

- Wyjdź za mnie, ustatkuj się, wychowuj dzieci. Zapomnij o tych bzdurach - namawiała matka.

Ale Rachel wolała radę babci. W końcu rodzice dali jej spokój i Rachel zarobiła własne pieniądze na lekcje latania.

Z czasem nauczyła się kilku gorzkich prawd. Jeśli chcesz być zaakceptowana poza swoją społeczność, nie bądź wyśmiewana; jeśli chcesz dostać pracę w nocnym klubie, nie wyglądasz jak wyśmiewana; jeśli chcesz mieć przyjaciół lub kochanków innej wiary, nie zachowuj się jak wyśmiewana. W niektórych krajach nawet twierdzono, że to żydzi są odpowiedzialni za rozpoczęcie wojny, gdy chcieli na niej zarobić.

Od tego okropnego dnia w 1938 roku, kiedy Austria została praktycznie podana Hitlerowi na tacy, kontakt z babcią znacznie osłabł. Ostatni list, jaki od niej otrzymali, został przemycony przez uciekającą rodzinę, tuż po upadku Warszawy. Później docierały niejasne wiadomości o prześladowaniach, konfiskatach mienia, aresztowaniach, łapaniach i obozach pracy, o których mówiono - obozy mierzdy.

Od samego początku grupa jej ojca przekonywała Kongres i Departament Stanu w Waszyngtonie do przyjęcia większej liczby uchodźców żydowskich. Hitler zaproponował wysłanie żydów do każdego kraju, który ich

przyjmie, ale prawie aden nie chciał - nawet Stany Zjednoczone.

Tak, była rozgoryczona. I czuła nienawić tak silną, że członkowie ugrupowania fanatycznych nie powstydziliby się jej. W końcu kiedy ucisnęła wyciągnięto do niej w przyjaznym geście rękę, zrobiła to z ostrością kota, który już wiele razy się sparzył i teraz kręcił się wokół płomieni, ale nie podchodzi do ciepła. Jej rysy wydawały im się ostre, co sugerowało, że dwadzieścia lat jej życia nie było usłane różami. Ale Rachel była twarda i silna, potrafiła przetrwać. A teraz potrzebowała krótkiego kociego snu.

Następnego dnia ostatnia klasa kadetów opuściła Avenger Field, a wśród nich Colin Fletcher. Ich wyjazd został zaplanowany tak jak rozkłady jazdy, aby nie mogli się spotkać z dziewczętami, więc nie miały okazji zobaczyć ich „szczucia i pomylnych lotów”. Właściwie w ogóle nie widziały, jak wyjeżdżają. Po prostu już ich nie było.

Popołudnie spędziły na płycie lotniska, po czym wróciły do pokoju, by wziąć prysznic i przebrać się przed wieczornym posiłkiem. Baraki po drugiej stronie drogi wydawały się ponure i opuszczone. Zawsze czuły dreszczyk emocji, wiedząc, że tak blisko siebie byli. Teraz, gdy wyjechali, zniknęła ta smaczek zakazanego owocu. Kwatery były puste, a do przyjazdu następnej grupy studentek za parę tygodni.

- Będzie mi brakowało tych chłopaków. - Chicago posłała smutne spojrzenie w kierunku baraków, gdy otwierała drzwi.

- Tak - zgodziła się Eden. - Koniec z nocnymi wizytami Colina i jego bandy. Koniec z rozmowami przy świetle latarki.

Przechodząc przez drzwi Cappy zatrzymała się i schyliła, by podnieść leciec na podłodze kartki.

- Co to jest? - zapytała Marty, tłocząc się za Mary Lynn i Chicago.

- Wiadomo. - Ciekawo Cappy rośla, gdy wchodziła do pokoju i oglądała kopertę. - Zaadresowana do nas wszystkich - dodała.

- Zało się, że to od Colina. Szybko, Cappy, przeczytaj - poganiała ją zniecierpliwiona Marty, rozpinając kombinezon.

Drzwi od łazienki otworzyły się i weszła ich nowa współlokatorka, Rachel Goldman. Od wie ona po kpieli, owinięta była długim, niebieskim tunicem. Mokre włosy miały srebrny odcień, gdy wycierała kapiącą wodę w ręcznik. Kiedy zobaczyła ich piątek, na moment zatrzymała się, a potem ruszyła do swojego łóżka, nadal susząc włosy.

Cappy ostro nie otworzyła koperty, przyciągając mocniej ich uwagę.

- To od Colina, Grimsby'ego i reszty - powiedziała spojrzawszy szybko na podpisy u dołu listu. - *Chcemy wam podziękować - czytała - za te wszystkie noce, które dziękujemy wam nie były dla nas samotne i za ciepłe wspomnienia, które ze sobą zabieramy. Mary Lynn, przyrzekamy wypatrywać Twojego Beau, jeśli dotrzemy do kochanej, starej Anglii. Mamy nadzieję, że zrozumie, kiedy przekażemy mu twoje całusy.*

- To cholery! - wtrąciła Marty, chichocząc.

- Nie robi tego? - Mary Lynn nie wiedziała, czy miała się, czy nie. Nikt jej nie odpowiedział.

- *Aby udowodnić, że nie jesteście tylko czwórka na wpół splukanych facetów, zostawili wam ostatni prezent, abyście mogły się zabrać, ostatni puchar przyjaźni.* - Cappy zmarszczyła czoło, próbując tak, jak reszta rozszyfrować te słowa. - *Skoro nie mogliście wam powiedzieć: „do widzenia”, nie powiemy tego teraz. Tylko: „pomylnych lotów”.* Podpisano: *Colin, Arthur, Morley i Henry.*

- Jaki ostatni prezent? - zapytała Chicago, a wszystkie rozglądały się po pokoju, czy coś gdzieś nie leży - jaka

paczka lub pudełko.

- Hej, Goldman? - zawołała Marty wojowniczo. - Kiedy weszła, czy co tu było?

- Gdyby było, nie wyszłabym stamtąd - odparła.

- Załóż się, gdzie to ukryli - domyślała się Eden. Rozglądała się po pokoju, szukając logicznego miejsca na kryjówkę.

- „Puchar przyjaźni”... pije się go przy Auld Lang Syne*.

Rozproszona przez głos Edeny Marty zaczęła składać kawałki w całość.

- Nieściszone... - zaczęła i nagle błysk olenia wywołał szeroki uśmiech na jej twarzy.

- Na wpół splukani faceci. Chyba wiem, gdzie to schowali. Chodźcie.

- Co gdzie schowali? - dezorientowana Mary Lynn podążyła za grupką prowadzoną przez Marty do łazienki.

Marty podeszła od razu do dwóch kabin, teraz wolnych. Podniosła pokryw pierwszego pojemnika, ale to w drugim znajdowała się butelka markowej whisky. Podniosła mokrą butelkę z tryumfem, a reszta otoczyła ją.

- Nie do wiary. - Eden niemal z czułości patrzyła na wiekowy napój. - Kogo oni przekupili, żeby to zdobyli?

- Ja jestem raczej ciekawa, jak oni to przemycili tutaj - mruknęła Cappy.

- Kogo to obchodzi? - odparła Marty.

- Ale jeśli nas z tym złapią w bazie, automatycznie wylatujemy ze szkolenia. - Mary Lynn nie widziała w tym nic wesołego.

- To prawda - zgodziła się Marty, ale w jej oliwkowoszarych oczach zabłysła szalona iskierka. - Nie mamy wielkiego wyboru, dziewczyno - powiedziała. - Po prostu musimy wypić dowód naszej winy.

Tylko Mary Lynn podeszła sceptycznie do tego pomysłu, reszta zaś poparła plan z całego serca. Chicago pobiegła po coca-cola dla wszystkich. Połowa zawartości każdej butelki została wylana do umywalki, by zrobić miejsce dla whisky. Z konspiracyjnymi minami weszły do pokoju, niosąc swoje doprawione coli. Marty zamknęła butelkę po trunku i schowała pod kombinezon.

Gdy mijały przecz Rachel, Marty szturchnęła Chicago i zatrzymała się. Podczas ich nieobecności Rachel ubrała się w spodnie i bluzkę, a głowę włosy prawie wysuszyła.

- Chce ci się pić, Goldman? - Z niewinnie szeroko otwartymi oczami, Marty podała jej dodatkową butelkę coli, pozornie w geście pojednania. - Proszę wypij to. Mary Lynn nie miała ochoty.

Rachel przez chwilę zastanawiała się, co ma zrobić, w końcu ostro wzięła butelkę.

- Dziękuję.

- Zdrowie. - Marty podniosła swoją butelkę udając toast i obserwowała z uciechą, jak Rachel przykładła swoją do ust i bierze haust coli.

Po sekundzie Rachel dławiała się od palącego whisky, kasłała i pluła, gdy nie mogło jej to przejść przez gardło. Pomimo iż zasłaniała usta ręką, trochę napoju kapnęło na czystą bluzkę, którą przed chwilą włożyła.

Wszystkie zataczały się ze śmiechu, nawet Mary Lynn. Tylko Rachel Goldman nie widziała nic zabawnego w tym arcydziele. W ciekło błyszczała w jej szafirowych oczach, gdy wepchnęła butelkę z powrotem w dłoń Marty.

- Bardzo zabawne! - warknęła zachrypniętym od kaszlu głosem.

- Tak myślałyśmy - odparła Marty naturalnie ochrypłym głosem. - Drink jest twój, jeśli chcesz. - Ponownie

* Auld Lang Syne - piosenka poegnalna.

zaoferowała jej col . - Mary Lynn nie pije nic poza mi tówk .

- Zatrzymaj sobie. - Popatrzyła na nie z pogard . - Mo e wy tu przyjechały cie na zabaw , ale ja eby lata .

Gdy Rachel dumnym krokiem wyszła z pokoju, Marty zmarszczyła brwi, nie przejmuj c si zdemaskowaniem.

- Mała Mary Lynn nie jest jedyn w ród nas abstyentk .

Chicago wygl dała na wystraszon , gdy ich współlokatorka wyszła.

- Co b dzie, je li doniesie na nas?

- Nie doniesie - odparła chłodno Eden. - Nie odwa y si .

Oczywista była gro ba, zawarta w jej uwadze.

- Za naszych chłopców - Marty wzniosła toast. - Niech nigdy nie posmakuj wody w kanale La Manche.

Zanim wiatła zostały zgaszone, skonsumowały „dowód”, a butelk rozbiły na nierozpoznawalne kawałki. Z etykiety została zaledwie kupka popiołu. adna si nie upiła, były na to zbyt ostro ne, ale w nocy spały gł boko i mocno.

Zbyt mocno. Nie słyszały pobudki i gdyby Rachel Goldman nie wrzasn ła na nie, nie zd yłyby na zbiórk na niadanie. Oci ale powlokły si do szeregu, próbuj c otrz sn si z senno ci. Spojrzały na Rachel, tak ra n i niewzruszon , z mieszanin wdzi czno ci i urazy.

Przed porannym posiłkiem marudziły i narzekały, zanim stan ły w kolejce do stołówki. Ale zapach wie o upieczonych p czków podra nił ich powonienie.

- Zabiłabym dla nich - o wiadczyła Marty, kład c sobie cztery sztuki na tacy.

- Patrzcie. One zaj ły nasz stół - powiedziała Chicago, zatrzymuj c si .

Zaskoczone tym stwierdzeniem, spojrzały na odległy koniec długiego stołu, który zajmowały od pierwszego posiłku zjedzonego w bazie. Cz grupy z Houston, ł cznie z Rachel, siedziała teraz na miejscu uznanym za zarezerwowane dla nich. Reszta klasy zawsze respektowała ich prawo do tego.

- Ja si tym zajm - powiedziała Eden i ruszyła przodem, prowadz c je za sob do stołu.

Ich przybycie ledwie zostało zauwa one.

- Przepraszam. To jest nasze miejsce. - Jej chłodna arogancja znaczyła, e mog im wszystko wybaczy , je li natychmiast si usun .

- Jak si nazywasz? - zapytała Helen Shaw, dziewczyna o oczach łani i z kilkoma bruzdami na policzkach.

- Van Valkenburg, Eden van Valkenburg - odparła z wyra nym poczuciem warto ci tego nazwiska.

- Zabawne. - Dziewczyna rozejrzała si po stole. - Nie widz nigdzie twojego nazwiska. - Jej kole anki za miały si pod nosem.

Eden a zeszywniała ze zło ci.

- Faktycznie zabawne - odparowała. - Tak si składa, e to jest nasz stół. Zawsze siedzimy w tym k cie.

- Chyba dzisiaj b dziecie musiały znale sobie inne miejsce - stwierdziła Rachel. - Bo to jest ju zaj te.

Marty przepchn ła si do przodu.

- Chcesz si zało y , m dralo? - zagroziła Marty.

- Daj spokój! - Cappy chwyciła Marty za rami , odci gaj c

- Dlaczego mamy da spokój? - Marty wyszarpn ła si . - My były my tu pierwsze. To one tu si wpakowały.

- My l , e co ci si pokr ciło - zimno poprawiła j Rachel. - Mo e przyjechały cie pierwsze do Sweetwater, ale to klasy z Houston rozpocz ły ten program. My, wiotki, były my królikami do wiadczalnymi.

- I to pewnie dlatego uważacie się za niezwykle osobistości - odparła pogardliwie Marty.

Dyskusja przyciągnęła uwagę innych dziewczyn w pomieszczeniu. Cappy była pewna, że grupa z Houston ustąpi im miejsca tylko pod wpływem siły. Nie było dyplomatycznego rozwinięcia tej sytuacji.

- Chodź, Marty - ponagliła ją cicho. - Nie możesz sobie pozwolić na więcej nagan.

Na razie musiały się wycofać, ale wojna została wypowiedziana. Prawo do stolika stało się symbolicznym powodem ich sporu. Eden, Marty, Cappy i inne uważały grupę z Houston za intruzów, a z kolei przeciwniczki widziały się jako prawowite następczynie pierwszej klasy lotniczego programu szkolenia kobiet.

To, co zaczęło się od personalnego konfliktu w pokoju pomiędzy Rachel i Marty, przekształciło się w ogólną rywalizację. Dziewczyna ze Sweetwater zachowywała się jak właścicielka wszystkiego, co znajdowało się w bazie, a kursantki z Houston nie chciały się z tym pogodzić.

Obecność Rachel w ich pokoju stwarzała niezręczne sytuacje. Nastąpiło zawieszenie broni i przybyszka została tymczasowo zaakceptowana. Ale dla Marty było to niezwykle trudne.

9

Dzień był cudowny, rozjaśnione słonecznym blaskiem niebo rozciągało się aż po horyzont. Na ziemi powietrze było gorące i suche, ale na wysokości tysiąca trzystu metrów było przyjemnie ciepło. Znużona samotnymi ćwiczeniami i obowiązkowymi manewrów, Eden zdecydowała się polecieć na wagar i nacieszyć się tym słonecznym popołudniem.

Otworzyła pokrywę kabiny BT-13, by wpuścić trochę powietrze. Ustawiła samolot tak, że praktycznie leciał sam. Niebo dookoła było błękitne i puste, więc rozpięła bluzkę i ostro nie zsunęła z ramion, by nie potrzebować trzymanego między kolanami.

Koronkowy stanik podtrzymujący jej biust, należał do rodzaju „prawie nic” i ledwie zakrywał różowobrzoze sutki. Był przeznaczony do strojów z głębokim dekoltem, ale Eden uznała tu delikatny i skąpy staniczek za idealny dla siebie, ponieważ nie obcierał ciała i pozwalał na pełną swobodę ruchów. Był również doskonały do opalania.

Złoty bluzkę za plecami, Eden oparła się wygodnie i zamknęła oczy, ponieważ słonece wieciło jej prosto w twarz. Otaczające ją ciepło dawało błogie odprężenie, przyjemny aromat jej nagich skóry tak kojący, tak zmysłowy. Usadowiła się w kokpicie, beztrudnie wsłuchując się w miarowy warkot silnika i jednostajny szum powietrza.

Nagle ten błogostan przerwał ryczący hałas. Eden otworzyła oczy, by sprawdzić stan przyrzędów, ale kiedy tam okazała, dostrzegła odbicie blasku słoneca od metalu. Inny samolot treningowy leciał obok niej, pilotowany przez uśmiechniętego kadeta. Z przerażeniem Eden zdała sobie sprawę, że on doskonale ją widzi, a także koronkowy stanik, który odświeżał więcej niż zakrywał.

Zsunęła się na fotelu i skrzyknęła samolot, żeby się uwolnił od niespodziewanego towarzystwa. Spodziewała się pogoni, ale nie przewidziała, że sprowadzi wsparcie. W kilka minut otoczył ją rój brzęczących maszyn, a kiedy z pilotów próbował zajrzeć do jej kokpitu.

Zwykle opanowanie teraz szybko ją opuszczało. Desperacko usiłowała utrzymać samolot w równowadze, trzymając drążek kolanami i jednocześnie wojując z bluzką. Wiatr nadymał ją i ciągnął, niwecząc jej wysiłki, by włożyć rękaw. Co chwila musiała chwycić drążek i wyrównywać chwiejny lot. Nagle wiatr wyrwał jej bluzkę z ręki. Próbowała ją złapać, ale nie udało się. Przysięgła, że słyszała okrzyki radości otaczających ją

pilotów.

Czerwona ze wstydu Eden skuliła się w kabinie i skierowała samolot ostrym zwrotem na Avenger Field. Gdy zbliżyła się do celu, goniące ją samoloty jeden po drugim odleciały.

Lądowanie oznaczało koniec jednej przepawy, lecz początek drugiej. Jak u diabła, przy wszystkich mechanikach i instruktorach, znajdujących się na płycie lotniska, miała z godnością wyjść z samolotu, na wpół naga?

Odstawiła samolot do hangaru i zgasiła silnik. Kiedy wyjrzała ostro nie przez burtę, zauważyła grupę dziewcząt przed poczekalnią. Z gardłem ciętym z powodu wstydu, zawołała do nich:

- Hej! Czy która z was mogłaby przynieść mi jaką kurtkę?

Wyjrzała jeszcze raz, by sprawdzić, czy ją usłyszały, i schowała się z powrotem.

Po chwili ktoś wspiął się na skrzydło jej samolotu. Gdy ktoś pojawił się nad kabiną, Eden spojrzała w górę z ulgą. Jej twarz jednak zamarła, gdy zobaczyła nad sobą migdałowe oczy Rachel Goldman. Cała nadzieja, że ten upokarzający incydent nie zostanie rozgłoszony, została pogrzebana.

Później, w pokoju po wieczornym posiłku, Eden wzdychała z powodu tego pecha.

- Nie do końca, ale to musiała być akurat jedna z tych wlotek, to na nieszczęście jeszcze Rachel! - mówiła z patosem do zdeglustowanych, lecz tak i rozbawionych koleżanek. - Szkoda, że nie widziały cie, jak napawała się tym widokiem, gdy mi podawała ten koc.

- Jednak ci go dała - zauważyła Mary Lynn.

- Daj spokój, Eden, musisz przyznać, że to trochę mieszane.

Marty widziała tę rudowłosą damę, gdy przechodziła przez płytę lotniska, owiniętą w koc, jakby to był królewski płaszcz, z głową podniesioną nienaturalnie wysoko i płonącymi policzkami. Gdyby Eden nie była już przedmiotem komentarzy wlotek, Marty sama by sobie z niej zażartowała.

- Och, bardzo mieszane - odparła sarkastycznie. - Poza tym to była moja ulubiona bluzka i kosztowała majątek. A teraz pewnie jakiś suchy krzak ją nosi.

Gdy weszła Rachel, nastąpiła cisza. Wysoka, gibka blondynka przeszła przez pokój z kocim błyskiem w ciemnych ametystowych oczach, gdy mijiała Eden.

- Jak tam opalenizna? - zapytała złośliwie.

- Nie jestem opalona - wycedziła Eden przez zęby ze słodyczą.

- Naprawdę? Przy kolacji twoja twarz była bardzo zaróżowiona - odparła Rachel z kocią przebiegłością. - Byłam pewna, że z powodu nadmiaru słońca.

Eden znalazła się w jednej z tych irytujących sytuacji, kiedy chciała odpowiedzieć zjadliwie, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Po prostu nie potrafiła niczego wymyślić. Trafna replika przyjdzie jej do głowy w środku nocy, kiedy będzie za późno.

W szkoleniu pojawił się nowy element, od tej pory miały latać z wybranymi przez siebie partnerkami. Dobieranie par nie było trudne, gdy niektóre dziewczęta zdecydowały się już zaprzyjaźnić. Mary Lynn i Marty postanowiły polecieć razem, Cappy i Eden utworzyły kolejną parę, a Chicago przyłączyła się do Jo Ann North z sąsiedniego pokoju.

Idąc do przydzielonego samolotu, Cappy nie zastanawiała się nad doborom partnerki, a do momentu, gdy

usiadła na tylnym fotelu kabiny. Nagle ogarnęły ją obawy. Podczas wszystkich dotychczasowych lotów w czarnym kapturze, kontrol nad przyrzadami sprawował jej instruktor. Teraz, kiedy zboczy z kursu lub gdy pojawi się w pobliżu inne samoloty, to żeby uniknąć powietrznej kolizji, będzie musiała zaufać Eden. Dosłownie powierzała jej swoje życie.

Po starcie Eden skierowała samolot na obszar przeznaczony do wycieczki. Kiedy zaproponowała, że zacznie pierwsza, Cappy ze zdenerwowania poczuła dziwne bulgotanie w brzuchu. Przejrzała kontrol nad urządzeniami w momencie, gdy opadła czarna zasłona. Gdy tylko Eden była gotowa, Cappy przekazała jej ster.

Nerwowo obserwowała kontrolki i niebo dookoła, pilnując, by nos maszyny znajdował się na wysokości horyzontu, a Eden w tym czasie wyczuła zwroty, nurkowanie i wzbijanie się ostro do góry. Cappy miała dziwną ochotę przejąć kierowanie, zanim Eden popełni błąd i spowoduje niebezpieczną sytuację, ale stopniowo zaczęła dostrzegać profesjonalizm partnerki. Pilotowanie według przyrzadów wymagało precyzji i umiejętności maksymalnej koncentracji. Widząc, że Eden potrafi latać równie dobrze jak ona, zaczęła się uspokajać.

Kiedy nastąpiła zamiana, Cappy naciągnęła kaptur bez obaw. Wierzyła, że Eden poradzi sobie w nagłej sytuacji. Rzadko się zdarza oddawać swoje życie w czyje ręce - zaufa, że zapewni ci bezpieczeństwo - jednak właśnie to teraz robiła. Co więcej czyniła to z pewnego rodzaju ulgą.

Po pierwszym locie, wygramoliwszy się z kabiny, popatrzyły na siebie w całkiem inny sposób niż dotychczas.

- Czy ktoś ci kiedy powiedział, że potrafisz latać, Hayward? - odezwała się Eden z nutką zdziwienia.

- Ty też - odparła Cappy.

Po chwili, mijając się, szły objęte do poczekalni. Cappy miała ochotę krzyczeć. Przez ostatnie kilka tygodni razem jadły, uczyły się, mieszkały w jednym pokoju, ale jeszcze nie czuła takiej bliskości jak teraz. Były to szacunek i podziw, połączone z ciłko zapracowanym zaufaniem.

Wiosenne burze wprowadziły duże zamieszanie w rozkład lotów. Dziewczyna musiała zaliczyć wymagane liczby godzin w powietrzu, co oznaczało, że poświęciła na to więcej kwietniowych niedziel.

W maju w całej bazie zawrzało od wiadomości, że generał George C. Marshall, naczelny dowódca armii Stanów Zjednoczonych, oraz generał Henry „Hap” Arnold, zwierzchnik sił powietrznych armii Stanów Zjednoczonych, przyjadą do Avenger Field na inspekcję. Plotka o ich zbliżającym się wizycie przetoczyła się przez baraki niczym burza gradowa.

- Nie rozumiem, o co tyle zamieszania. - Eden wruszyła ramionami, nie wzruszona rangą gości.

- Zwierzchnik sił powietrznych i naczelny dowódca we własnej osobie. Jak mam ci to wytłumaczyć? - Marty bezsilnie opuciła ręce.

- Musisz rozmawiać z Eden językiem, który do niej przemawia - powiedziała Cappy, dobrodusznie artując sobie z przyjaciółki. - Widzisz, Eden, to jest tak. Generałowie będą chcieli dokonać inspekcji wojska, a my nie mamy się w co ubrać.

- Jak to? - zapytała Eden ostro.

- Kiedy rzędn dawał nam kurtki i kombinezony, kto zapomniał dołożyć czy do tego klasę A, w języku cywilnym oznacza to mundur wyjściowy - wyjaśniła Cappy.

- Wyobraź sobie nas sobie paradujące w moro przed generałami? - Mary Lynn zaczęła się śmiać.

Przez resztę tygodnia krążyły plotki o rozpaczliwych poszukiwaniach mundurów dla wszystkich kursantek. Na

trzy dni przed przyjazdem go ci przysły ubrania, składaj ce si z br zowych spodni, białych bluzek z krótkimi r kawami i fura erek. Trzeba było je poprzerabia , eby dobrze pasowały, a e czasu było mało, dziewczyny musiały to robi same. Zwijały si jak w ukropie, by zd y na czas.

Siedz c na łó ku, Eden walczyła z igł i nitk , próbuju c podszy nogawki spodni. Czubek j zyka wystawiła w k ciku ust, jakby strojenie min mogło w jaki sposób pomóc w szyciu.

- Aj! - Ukłuła si i szybko wło yła skaleczony palec do ust.

Z rozdra nieniem, patrzyła, czy nie pojawi si krew. Kole anki, zaj te własnymi przeróbkami, tylko chrz kn ły rozbawione.

- W moim kciuku jest wi cej dziur ni w poduszce do szpilek - oznajmiła gorzko Eden i popatrzyła na spodnie, le ce na jej kolanach. Udało jej si podszy zaledwie kawałek, ale pomimo du ych stara , ciego były nierówne. Zniech cona, odrzuciła spodnie na bok i wstała z pryczy.

- To niedorzeczne. Po co mam bra igł i nitk do r k, skoro nigdy w yciu niczego sama nie uszyłam i nie mam zamiaru tego robi teraz.

- Tu nie ma słu by - przypomniała jej sucho Marty, która tak e zmagąa si z igł , poniewa , jak dot d, potrafiła tylko przyszy guzik do bluzki.

- Kto musi mi pomóc - nalegała Eden i rozejrzała si po pokoju w poszukiwaniu kandydatki, ale ka da zaj ta była własn garderob . Zatrzymała wzrok na Mary Lynn, która jako jedyna w grupie potrafiła szy .

- Mary Lynn?

- Pomogłabym ci, ale musz doko czy swoje.

Mary Lynn musiała dokona wi kszych przeróbek, by dopasowa spodnie do swojej drobnej figury.

Wyczuwaj c szansy pomocy, Eden podeszła do łó ka Mary Lynn, by j przekona .

- Prosz - namawiała j . - Zapłac ci pi dolarów. Dziesi .

- Nie mów nic, Mary Lynn - poradziła jej Marty. - Mo e zaproponuje pi tna cie.

- Pi tna cie, dwadzie cia, niewa ne - o wiadczyła z niecierpliw ci Eden. - Te spodnie ci gn si po ziemi.

B d wygl da jak sierota. - W tym momencie przypomniała sobie o bol cym kciuku i znów wło yła go do ust.

Kole anki miały współczuj ce miny, lecz były równie troch rozbawione. Wtedy z ostatniego łó ka padła niespodziewana propozycja.

- Je li chcesz, zrobi to za ciebie.

Zd yły si ju przyzwyczai do ignorowania szóstej lokatorki ich pokoju, wi c gdy Rachel Goldman zaproponowała pomoc, pocz tkowo popatrzyły na ni zaskoczone. Trwaj cy konflikt mi dzy grupami sprawił, e Eden nie od razu zgodziła si .

- Potrafisz szy ? - Wzi ła spodnie z pryczy i ostro nie podeszła do Rachel, która wła nie ko czyła swoje.

- Babcia mnie nauczyła. - Zr cznymi ruchami r ki przeci gała igł przez materiał. Zakr ciła supełek i z bami oderwała pozostał ni . Cały ten proces zrobił na Eden du e wra enie.

Jednak nieufno wróciła, gdy Rachel zło ywszy równo swoje spodnie, odło yła je na bok i si gn ła po spodnie Eden.

- Dlaczego to dla mnie robisz? - zapytała trzymaj c wci spodnie. Nie miała powodu, by ufa Rachel.

- Dla ciebie? - Podkre liła zaimek z pogard . - Osobi cie nie obchodzi mnie, jak wygl dasz, ale b dziemy maszerowały w tym samym oddziale i nie mam ochoty, by psuła nam opini , wygl daj c jak ałosna karykatura.

Odpowiedź miała logiczny sens, ale Eden zacisnęła zęby i podała spodnie.

- Właściwa długość jest już zaznaczona.

Oparła się o ciano, zgięła jedną nogę i równie oparła o ciano, i założyła ręce. Obserwowała przemysłowe igły i powstający szybko równy ciegie. Brak zdolności krawieckich, który przed chwilą udowodniła, wywołał w niej tymczasowe uznanie dla koleanki.

- Czy twoja babcia jest szwaczka w Nowym Jorku? - zapytała z myślą o przekazaniu tej informacji swojej mamie. Warto byłoby wiedzieć, szczególnie teraz, gdy nie docierały z okupowanego Paryża nowe modele.

- Nie - odparła Rachel krótko, nie pozwalając się odciągnąć od pracy.

- A gdzie ona pracuje? - Eden uparcie domagała się informacji, głównie po to, by zdenerwować Rachel.

- W Wiedniu.

- Artujesz? - Odpowiedź zabrzmiała tak niedorzecznie, że Eden za nią miała się.

Rachel podniosła głowę i spojrzała na Eden chłodno tymi swoimi fioletowymi jak bratki oczami.

- Była garderobianką w tamtejszej operze - odparła i wróciła do szycia.

Eden zorientowała się, że Rachel mówi poważnie.

- Była? - zapytała, lekko marszcząc brwi.

- Moja babcia jest w jednym z nazistowskich obozów w Polsce - powiedziała nie podnosząc wzroku.

Reszta przez cały czas przysłuchiwała się rozmowie. Ostatnia uwaga wzbudziła ciekawość Mary Lynn.

- O co chodzi z tymi obozami? Chyba nie słyszałam o nich dotąd.

- Z tego, co czytałam, wynika, że jest to wersja Hitlera naszych obozów dla Japończyków - odpowiedziała Eden, po czym zwróciła się do Rachel: - Czy mam rację?

- Może się podobne - przyznała drwiąco Rachel. - W jednych i w drugich są ogrodzenia z drutu kolczastego, strażnicy z psami i karabinami maszynowymi. Ale ludzie, którym udało się stamtąd uciec, powiedzieli nam, że tam się jedzie na miarę. Tych, którzy nie umrzę z głodu, naziści mordują.

- To absurd - zaprzeczyła Marty z drugiego końca pokoju.

- Dlaczego? - Rachel była gotowa do podjęcia wyzwania. - W ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat, wiele państw w różny sposób próbowało pozbyć się żydów. Dlaczego miałyby kogo zdziwić, że Hitler też tego próbuje?

- Myślę, że wyrażasz skrajny pogląd - oświadczyła Eden.

- Czy by? - Rachel lekko przypiężyła swoje ruchy. - To co powiesz na Białe Koszule, Lindberghów, Fordów? A ojciec Coughlin i jego Front Chrześcijański? Nie słyszałaś o atakach na żydowskie dzieci po ewakuacji Irlandczyków z Bostonu, zaledwie dwa miesiące temu? Nie słyszysz, że to ich antysemickie poglądy są skrajne?

Po tym gorczym wystąpieniu Cappy postanowiła uspokoić i załagodzić rozpaloną atmosferę.

- Eden nie chciała ci obrazić.

- Nikt nigdy nie chce - odparła Rachel ciszej. - Ludzie są po prostu dobrym koźłem ofiarnym. Moje cię wyładowało na nas wszystkie swoje obawy i frustracje, obwinia za kryzys, wojnę, za wszystko.

Po tych słowach nastąpiła niezręczna cisza. Rachel nadal była pochylona nad szyciem. Eden, czując się niezręcznie, patrzyła na jej ręce, unikając spojrzenia w twarz.

- Przepraszam. - Eden wyraziła uczucia ich wszystkich, jednak wydało się to niewłaściwe.

- Przepraszam nic nie znaczy.

Zawiązała supełek i lekkim szarpnięciem oderwała nitkę, a następnie spojrzała na Eden.

- Kiedy byłam mała, pamiętam tam, jak słuchałam porannej modlitwy ojca. Jeden z wersetów Starego Testamentu, który często powtarzał brzmiał: „Bóg błogosławiony Panie nasz, Boże, Królu wszech świata, który nie uczynił mnie kobietą”. Kiedy mówiłam, że jestem dziewczynką, ponieważ tytułu rzeczy nie mogłam robić. Ale ja nie mogłam niczego nie zmienić. Jeśli nie mogłabym być żołnierzem i walczyć z Niemcami, to byłabym pilotem, żebyśmy mogli pojechać na wojnę. Na swój sposób byłabym walczyła.

- Wszystkie byłydziesiąty - przyznała Mary Lynn stłumionym głosem.

Rachel wciąż czyła Eden podszycie spodnie.

- Dzięki - powiedziała Eden, biorąc je od niej, ale Rachel dalej trzymała wyciągnięte rękawki.

- Mówiła, że zapłacisz dziesięć dolarów - przypomniała jej chłodno.

Przez chwilę Eden zatkało, że jej oferta została potraktowana poważnie.

- To jest duch kolejeństwa - mruknęła, idąc do swojego łóżka po pieniądze.

Przed zbliżającymi się wizytami wielkich szefów, zdołali wcisnąć w swój rozkład zajęć, między innymi zajęciami teoretycznymi i lataniem, nie tylko czas na przerobienie mundurów, ale też mundurów. Marsz na płytę lotniska i z powrotem, do mesy lub baraków nabrał teraz nowego znaczenia. Wyciągnęły tak długo, a kolumny były proste jak kanty ich nowych spodni. Wtedy nadeszła wiadomość.

- Nie przyjadą? - jąknęła Mary Lynn. - Po całej mrozie, żeby dopasować te cholerne spodnie!

- No, no, takie słowa - zaartowała Marty.

- Plany zmieniły się w ostatniej chwili - poinformowała je Cappy. - To się często zdarza w wojsku. - Cappy знаła to dobrze, ale te dała się ponieść złości.

- Tak po prostu? - dziwiła się Eden. - To znaczy, że po prostu nie przyjadą - bez przeprosin, bez wyjaśnień, bez słów?

- Tak po prostu - odparła Cappy i wzruszyła ramionami. - Podobno jakiś oficer niższej rangi przyjedzie za parę dni, żeby się rozjeździł.

Eden zdjęła turban z głowy i rzuciła go na łóżko, a potem sama na niego opadła.

- Czuj się, jakby mnie chłopak wystawił do wiatru. — Kipiała ze złości. - Nikt dotychczas nie odważył się mi tego zrobić.

Wszystkie podzielały jej uczucia i nie podobało im się to równie jak jej.

Cisza w klasie przerywał szmer ołówków przebiegających po kartkach testów, gumek wycierających pomyłki i szelest przekręcanych kartek. Cappy pochyliła się nad tematem wypracowania z meteorologii, z napięcia pulsowało jej w skroniach.

Określ różnicę pomiędzy cirrostratwem, cirrocumulusem i stratocumulusem, scharakteryzuj typ pogody lub związane z nimi fronty.

Cappy przeczytała pytanie i miała ochotę jąknąć.

Ledwie zaczęła pisać, gdy otworzyły się drzwi do sali i na krótko ich uwaga została odciągnięta od pracy. Wystarczyło jednak, żeby się zorientowała, że przystojny oficer, wprowadzony przez kogoś z kadry, jest majorem

przysłanym na inspekcję. Od rana mówiło się o jego przyjeździe do Avenger Field, więc jego pojawienie się nie było zaskoczeniem dla dziewcząt.

Z wyjątkiem Cappy. Gapiła się na niego, nie zwracając uwagi na instruktora meteorologii, który podszedł do drzwi, by z nim szeptem porozmawiać. Ten ostry profil z mocno zarysowanymi szczękami i dumną postawą poznałaby wszędzie. Cappy nie potrzebowała sprawdzać nazwiska na plakietce przy mundurze. To był major Mitch Ryan.

Gardło jej się ścisnęło od uczucia, do którego niechętnie się przyznawała. Dopóki nie zobaczyła Mitcha, stojącego niedaleko w tym samym pomieszczeniu co ona, nie zdawała sobie sprawy, że jest skiniem za domem i czuje się samotna. Cappy poczuła z podekscytowania przy pieśni, radość połączonej z wewnętrznym bólem. Mitch stanowił jakby kawałek domu. Powróciło wspomnienie ciepłego spojrzenia jego ciemnych oczu i dotyku silnych ramion.

Wypuściła z palców ołówek, który upadł z hałasem na stół. Omal nie zerwała się z krzesła, by podbiec do Mitcha, ale zamarła w momencie, gdy zwrócił oczy w jej stronę, bo zobaczyła surową, obojętną twarz. Zdała sobie sprawę, jak radośnie się uśmiechnęła i poczuła się skarcona za publiczne okazywanie uczuć. On przyjechał tu oficjalnie, przypomniawszy sobie i szybko opuściła głowę.

Cappy poczuła niechęć do wojskowej dyscypliny. Podniosła ołówek i starała się skoncentrować na teście, ale cały czas myślała o tym, co dzieje się przy drzwiach. Rozpoznała znajomy odgłos kroków, gdy przechadzał się po sali pomiędzy dziewczętami.

Kiedy zatrzymał się przy niej, wszystkie nerwy miała napięte. Ołówek wisiał nieruchomo nad kartką papieru przez cały czas, gdy nad nią stał. Umysł odmówił funkcjonowania, nie mogła wymyślić choćby jednej inteligentnej odpowiedzi na któreś z prostych pytań. Kiedy otworzyła oczy, widziała ostre kąty jego spodni i błyszczące brzozy buty. Stał obok niej tak długo, że Cappy pomyślała, iż spodziewa się, że jego obecność zostanie zauważona. Uniosła głowę, ale w tej chwili ruszył dalej wolnym krokiem.

Zamieniwszy szeptem jeszcze kilka słów z instruktorem, Mitch wyszedł z sali. Cappy patrzyła na drzwi przez dłuższą chwilę, nie bardzo wiedząc, dlaczego czuje ból.

Później, w poczekalni, Cappy usiadła na podłodze, z podkulonymi nogami i zwieszoną głową. Jednym uchem słuchała rozmów swoich bardziej rozmownych koleżanek.

- Nie wiem, dlaczego nie mogłyśmy mieć pytań testowych - narzekała Marty, po czym odwróciła się. - Gdybym miała wybór, to zdecydowałabym się na tego surowo wyglądającego majora. Nie sprzeciwiłabym się, gdyby chciał dokonać dokładniejszej inspekcji.

- Marty, jesteś niepoprawna - skarciła ją Mary Lynn ze śmiechem.

- Baczno! - zagrzmiała komenda, na którą wszystkie poderwały się na równe nogi.

Gdy Mitch Ryan wszedł do poczekalni z towarzyszącym mu personelem bazy, Cappy patrzyła uparcie przed siebie, nie poddając się pragnieniu spojrzenia w jego stronę.

- Spocznij - zwołał jej dwuczynny głos.

Pomimo rozkazu, Cappy nie potrafiła się całkiem odprężyć. Cały czas była dla niego wzrokiem, gdy chodził po sali, uśmiechając się z rezerwą na pełne podziwu spojrzenia, i powoli zbliżał się do miejsca, gdzie ona stała. Wreszcie zatrzymał się przy nich, górując nad nimi wzrostem.

- Papierosa? - Potrzebuję paczkę i zaoferował pierwszego Marty.

- Dziękuję. - Wzięła jednego, Mary Lynn odmówiła.

Podał te paczkę Cappy, a ona poczęstowała się.

- Latały cie dzisiaj? - Skierował to pytanie do wszystkich, wyjmując z kieszeni pudełko zapalek.

- Jeszcze nie - odparła Marty, gdy przypalił jej papierosa. - Chociaż dzisiaj jest dobry dzień.

Podał ogień Cappy, a ona pochyliła się, błędnie wzrokiem po jego długich palcach, wiadoma ich siłą. Kiedy wyprostowała się i zdmuchnęła płomyk, jej reakcja była odruchowa.

- Dzięki, Mitch.

W ułamku sekundy cisza zahuczała jak grom, a Marty i Mary Lynn wlepiły w niego wzrok. Ale Cappy już poczuła na sobie jego surowe, oskarżycielskie spojrzenie. Stawiła mu czoło pozornie bez mrugnięcia okiem.

- Dla ciebie jestem major Ryan, rekrutko. - Ostra reprimenda przekreśliła dalszą rozmowę.

- Przepraszam, panie majorze - odparła mu zimno i ze złości. - Wydawało mi się, że pana znam.

Upuściła papierosa i rozgniotła go obcasem, po czym wyszła dumnie na zewnątrz z kamienną twarzą. Odwróciła się do wiatru, pozwalając, by gorące majowe powietrze dmuchało na nią.

10

Parę minut po wyjściu Cappy Mitch opuścił budynek z jednym z jej koleżanek. Gdy przeszli przedpole hangaru, stało się jasne, że Mitch chce polecieć z jednym z nich, by się przekonał, czego je tu uczono. Nawet nie spojrzał w stronę Cappy.

Pragnęła z całego serca, by to z niego poleciał. Ale byłaby to przyjemnie pchnięcie i zaskoczył go. migło zaczęło młócić powietrze, wzbijając do góry wszechobecny rdzawy pył. Kiedy samolot odkołował na pas startowy, chmura kurzu poleciała prosto na Cappy. Przymknęła oczy, mrugając, by się pozbyć wdzierającego się wszędzie pyłu, a jednocześnie nie obserwowała samolotu opuszczającego hangar.

Hałas ryczącego silnika BT-13 malał w miarę oddalania się maszyny w kierunku pasa startowego. Marty i Mary Lynn wyszły z poczekalni i dołączyły do Cappy, stojąc w cieniu hangaru. Uważne spojrzenie Marty wiadczyło o zaciekawieniu.

- To oczywiście, że się znacie, Cap. Nie zamierzasz nam o tym powiedzieć? - podpytała Marty.

- Znałam go. - Udawała, że obchodzi ją jedynie zbliżający się samolot. - To mój samolot. Do zobaczenia później.

Lekko podbiegła do swojej maszyny.

- Zauważyła wyraz jej oczu, gdy tylko wyszły my? - powiedziała Marty do Mary Lynn, obserwując odchodzącą koleżankę.

- Co masz na myśli?

- Była cholernie wkurzona. - Marty gotowa była się o to założyć. - Trudno uwierzyć, co? Opanowana, kompetentna Cappy była wściekła, ale i to jak!

Mary Lynn nie odpowiedziała. Stosunki pomiędzy kobietami i mężczyznami należały do spraw prywatnych, których się nie rozgłasza. Uznawała prawo Cappy do zatrzymania tych informacji dla siebie. Skoro nie chciała rozmawiać o majorze, one nie miały prawa jej pytać.

Po trzech godzinach wieczorem, czując z nich zasłonę, Cappy wylądowała i odstawiła samolot do hangaru, gdzie reszta maszyn nagrzewała się od promieni popołudniowego słońca. Zmęczona intensywną koncentracją, czuła się teraz otępiała, wychodząc z kokpitu.

- Nie my lała dzisiaj o lataniu - skrytykował j Jimmy Ray Price, który doskonale wiedział, e sta j na wi cej.

- Wiem - odpowiedziała. Zgrzana i zm czona, ci gn ła z włosów wst k i zmierzwiła je palcami.

- Podstawowa zasada pilotów mówi: nie zabieraj swoich problemów w powietrze, tylko zostaw je na ziemi. Tam w górze musisz cał swój uwag skupi na lataniu.

Jak zawsze był dla niej szorstki i wymagał, eby dawała z siebie wszystko.

Z wyczerpania i lito ci nad sob napłyn ły jej do oczu łzy, ale powstrzymała je. Dlaczego wszyscy m czy ni, których znała, byli gruboskórni i wymagaj cy - ojciec, instruktor i inni? Mogła zaprzecza , ale, cholera, pragn ła ich akceptacji. Oczekiwano od niej, e b dzie we wszystkim celowa , a nawet kiedy tak si działo, dostawała za to jak marn pochwał .

Przygn biona ruszyła do poczekalni ze zwieszon głow , a instruktor dotrzymywał jej kroku w milczeniu. Cappy marzyła, eby ten dzie si wreszcie sko czył. Zanim doszli na miejsce, z budynku wyszedł dowódca bazy, jego pomocnik i Mitch Ryan. Zatrzymali si na ich drodze. Cappy chciała unikn wzroku Mitcha, zauwa ywszy jego idealnie wyprasowany mundur ze złotymi li mi. Oficerska czapka przysłaniała oczy, ale nadal miał surow min .

- Dobrze si dzisiaj latało, Price? - Dowódca bazy serdecznie zapytał instruktora, po czym usun ł si na bok, by zrobi miejsce dla Mitcha. - Ta młoda dama jest jednym z naszych najlepszych pilotów.

Zmuszona w ten sposób, Cappy, cała sztywna, zatrzymała si koło instruktora. Zmusiła si do uprzejmo ci dla dobra dowódcy Avenger Field i starała si skupi uwag na nim, a nie na Mitchu.

- Bardzo dobrze, jak zwykle - skłamał Jimmy Ray Price. To był najmiłszy gest, jaki zrobił dla niej.

- Miło mi to słysze - odparł Mitch, a Cappy wiedziała, e to te było kłamstwo. Jak na razie nikt jeszcze si nie zwrócił bezpo rednio do niej, za to Mitch odezwał si do dowódcy.

- Tak si składa, e ta kursantka jest córk mojego przyjaciela.

Popatrzyła na niego zdziwiona, e wybrał akurat ten moment, eby si do niej przyzna .

- Za pana zgod , majorze - kontynuował - chciałbym zabra pann Hayward dzi na kolacj , poza baz . Wiem, e podpułkownik i jego ona ch tnie wysłuchaj wiadomo ci od córki.

Podpułkownik. Ledwo zauwa yła informacj o awansie ojca. Ogarn ło j oburzenie na jego pewno , e zechce sp dzi z nim wieczór. Jednak postarała si opanowa ze wzgl du na obecno dowódcy.

- B dzie musiał mi pan darowa t wypraw , majorze Ryan. To był bardzo długi i wyczerpuj cy dzie ...

- Nie przypominam sobie, ebym pytał o zgod , panno Hayward - uci ł krótko.

Miała ochot wrzasn na niego, krzycze , tupa ze zło ci, ale głos uwi zł jej w gardle. Od dawna umiała panowa nad takimi wybuchami. Po paru sekundach wahania dowódca uznał jej milczenie za zgod .

- Je li panna Hayward si zgadza, to oczywi cie ma pan moj zgod . - Sformułował odpowied tak, by da jej szans protestu, ale ona nie skorzystała. Cokolwiek ich ró niło, Cappy nie zamierzała roztrza tego publicznie i Mitch o tym wiedział.

- Dobrze - powiedział z satysfakcj . - B d potrzebował samochodu.

- Oczywiście.

- Mogłaby pani by gotowa na osiemnast , panno Hayward? — Obrzucił j spojrzeniem, daj c do zrozumienia, e powinna si przebra .

- Tak, panie majorze. - Musiała się zgodzić, ale jej niebieskie oczy rzucały ogień.

Punktualnie o szóstej Mitch zastukał do drzwi. Eden poszła otworzyć, a Cappy w tym czasie zapinała naszyjnik z kości, który ojciec przywiózł jej z Alaski. Obecność Mitcha spowodowała zmianę atmosfery, wprowadzając pewne napięcie. Cappy słuchała, jak odpowiadał ożywionym tonem, gdy Eden przedstawiała koleżanki, ale starała się nie patrzeć na nie.

Kiedy się w końcu odwróciła, Mitch stał w drzwiach z czapką pod pachę. Bez niej wyglądał dojrzałej i bardziej męsko, a nie jak zabójczo przystojny oficer z plakatu agitującego do wojska.

- Gotowa? - Wystarczyło jedno słowo, by wywołało wrażenie rzuconego wyzwania.

Cappy po prostu skinęła głową i spuściła oczy, by ukryć wzbierające przeciwstawienie się. Unikając spojrzenia współlokatek, ruszyła do drzwi, które przed nią otworzył. Gdy przechodziła obok niego, poczuła ostry zapach jakiejś wody po goleniu.

Wziął ją sztywno pod rękę, poprowadził do zaparkowanego przed barakiem zielonego jeepa i pomógł wsiąść. Sam obszedł pojazd dookoła i wskoczył za kierownicę.

Zanim włączył stacyjkę, zatrzymał rękę na kluczyku i spojrzał na nią z ukosa.

- Słyszałem, że w Sweetwater chodzi się do hotelu Bluebonnet.

- Maję najlepsze w mieście jedzenie - przyznała sztywno.

- Wiacie nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy tam pojechali?

- Nie. - Cappy włożyła na głowę niebieski jedwabny szal, by podczas jazdy otwartym samochodem jej fryzura nie zburzyła się.

Jeep zapewniał mało komfortową jazdę, więc Cappy chwyciła za brzeg siedzenia, gdy skręcili na główną drogę i przyjechali. Z powodu głośniejszej pracy silnika rozmowa była niemożliwa. W milczeniu, patrząc przed siebie, jechali na skróty do Sweetwater, od czasu do czasu podskakując na nierównościach.

W mieście zwolnili, a Cappy wskazała mu drogę do jedynego hotelu w okolicy. Gdy zaparkował przed sześciopiętrowym budynkiem z cegły, nadal utrzymywała się między nimi sztywna i niezręczna atmosfera. Mitch poprowadził ją do hotelowego hallu, ze ścianami pomalowanymi na kolor różowy i oświetleniem w stylu *art deco*. Z boku stało kilka foteli i stolików z oddzielnym miejscem tylko dla gości hotelowych, do którego prowadziły trzy schodki.

- Jadalnia jest tam. - Cappy wskazała kierunek i Mitch Tuszył przodem.

Sala ta urządzona była w tych samych kolorach i stylu co hali. Na wszystkich stołach leżały obrusy, srebrna zastawa i stały kieliszki, ale gości było niewiele.

- Niezbyt tłoczno - zauważył Mitch.

- W tygodniu jest dosyć spokojnie. Trzeba poczekać do soboty, żeby zobaczyć, jak to miejsce się ożywia.

Była wiadoma blisko niego, gdy pochylił się nad nią, by podsunąć jej krzesło.

- Czemu tu przychodzisz? - zapytał, kładąc czapkę na krzesło obok i poprawiając włosy ręką.

- Czasami. - Otworzyła menu i udawała, że czyta znany jej jadłospis.

- Co zamówisz? - Gdy mu odpowiedziała, złożył kelnerce zamówienie i zapytał: - Czy macie dobrego burgunda?

Kelnerka spojrzała na niego zdziwiona, a Cappy poinformowała go sucho:

- Nie jeste w Waszyngtonie, Mitch. Tutaj panuje posucha, nie ma wina, piwa, nic... z wyjątkiem nielegalnych drinków, je li si wie, gdzie szuka .

Skinieniem głowy odesłał kelnerk i Cappy poczuła na sobie jego surowe spojrzenie.

- A ty wiesz? - zapytał.

- Powiedzmy, e znajomy znajomego wie - odparła i si gn ła do torebki po papierosa. Ignoruj c podsuni t przez niego zapalniczk , Cappy sama zapaliła zapałk i g ło boko zaci gn ła si dymem.

Mitch zapalił swojego papierosa, po czym nast piła długa cisza, przerywana jedynie szmerem strz sania popiołu na wspóln popielniczk .

- Nie zapytasz mnie o awans twojego ojca? - zapytał Mitch z ponur min . - Dostał go w zeszłym tygodniu.

- Czy prosił ci , by mi o tym powiedział? - Cappy przygl dała si umazanemu szmink ustnikowi.

- Nie.

- W takim razie nie musz przekazywa mu gratulacji, prawda? - odparowała, grzebi c nadziej , e mo e ojciec przekazał dla niej t wiadomo w ge cie pojednania. - Jak si czuje mama?

- My l , e niezr cznie, w rodku mi dzy tob i pułkownikiem Haywardem.

- Ona nie jest w rodku. Stoi po jego stronie.

Chc c unikn dalszej rozmowy na temat jej ojca i ich konfliktu, zmieniła temat.

- Porozmawiajmy o czym innym.

Rozmowa toczyła si sztywno, lecz było to lepsze ni napi ta cisza.

W miar jedzenia ich wypowiedzi stały si bardziej szarpane, jakby jedno chciało przelicytowa słowa drugiego. Kiedy Mitch poprosił o rachunek, Cappy niemal biegiem wyszła stamt d, chc c jak najszybciej zako czy ten ałosny wieczór.

Na zewn trz zrobiło si ciemno i troch chłodniej. Na fioletowoniebieskim niebie wieciła gromada gwiazd, a błądy ksi ęc o wietłał drog jeepowi.

Wartownik przy bramie przepu cił ich bez zatrzymywania. Ale Mitch nie stan ł przy barakach, tylko jechał dalej do skrzy owania pasów startowych i dalej do ko ca jednego z nich. Na s siednim pasie paliły si wiatła pozycyjne dla grupy lotników wicz cych wieczorem.

Mitch zatrzymał jeepa i zgasił silnik. Cappy spojrzała na niego marszcz c czoło. Trzymał obiema r kami kierownic i patrzył przed siebie. W ciemno ciach uwydatniły si mi nie szcz k, lekko o wietlone blaskiem ksi ęca, który podkre lił ponury i zły wyraz twarzy.

- Po co mnie tu przywozłe ? - zapytała niecierpliwie Cappy.

Obcesowe pytanie wyra nie pobudziło go do reakcji. Spojrzał na ni surowo, jakby nagle przypomniał sobie o jej obecno ci, i wyskoczył z jeepa.

- Przejd my si .

Odruchowo reagowała posłusze stwem na rozkazy. Wsiadła z samochodu i ruszyła za wysokim umundurowanym m czyzn , trzymaj cym r ce w kieszeniach.

- Nie. - Zatrzymała si . - Nie musz by posłuszna twoim rozkazom.

Mitch zatrzymał si i na wpół odwrócił, patrz c na ni , z twarz w cieniu daszka.

- Mo esz i na spacer, je li masz ochot , ale ja wracam do baraku.

Wyraziwszy swój sprzeciw, Cappy obróciła si na pi cie i skierowała do odległych niskich budynków,

stojących poza linią hangarów. Usłyszała za sobą przytłumione kroki. Kiedy chwycił ją ramię, próbowała się uwolnić, ale on tylko wzmacnił uścisk i obrócił ją.

- Nigdzie nie pójdziesz, Cap, dopóki nie dowiem się, co tu się dzieje. Zmieniła się i wcale mi się to nie podoba.
- Mitch szybko wyrzucał z siebie słowa, a białe światła były w ciemności.

- Ja się zmieniłam? - zdziwiona powtórzyła ze złości.

- Otwarcie dziękuję przyznała, że bywasz w hotelu Bluebonnet. Mylisz, że nie wiem, co się tam dzieje? Mylisz, że to się nie rozeszło?

Z początku zmarszczyła brwi zdziwiona, ale zaraz się zniecierpliwiła.

- To, co mówisz, nie ma sensu.

Oparła dłonie na kieszeniach jego munduru, próbując go odepchnąć. Cisnął ją mocniej i potrząsnął.

- Wie ci się rozeszły do wszystkich baz powietrznych w okolicy. Na każdym postoju w drodze tutaj, kiedy od mechanika porucznika radził mi, że jeśli chcesz się zabawić, to mam iść do hotelu Bluebonnet, gdzie znajmie się mnóstwo z tych „ładnych kobietek z bazy lotniczej”.

- To kłamstwo - odpowiedziała Cap stanowczo.

- Jedno źródło, może dwa, zakwestionowałbym. - Mówił cicho i z naciskiem. - Ale tak opowiadają wszyscy, a kilku osób ci zapewniło, że to prawda.

- Nie wierz. - Zaciśnięta usta z miną nie przyjmującą tego do wiadomości.

- Daj spokój, Cap. Chcesz mi powiedzieć, że nie wiesz, co się tutaj dzieje? - parsknął szyderczo.

Odchyliła się i spojrzała na niego.

- Co ty sobie myślisz, Mitch? Uważasz, że jestem jedną z tych kursantek, które podobno obdarzają swoimi wzglądami każdego napotkanego żołnierza?

- Musiałem ci nieleż ubawić - warknął przez zęby. - Zawsze byłem tak cholernie przyzwoity i pełen szacunku, trzymałem cię za rękę i całowałem przed drzwiami, a naprawdę pragnęłam... - Zawahał się przez moment. - Pójź z tobą do łóżka i Kocha się z tobą do rana. Dlaczego się nie miejesz, Cap? To bardzo mieszne.

- Mieszne jest to, że się ucieszyłam, kiedy zobaczyłam, jak wszedłeś do klasy - powiedziała z goryczą. - A teraz nie możesz się doczekać, żeby cię poegną.

- Do diabła, Cappy, powiedz, że to nieprawda! - Potrząsnął nią mocno.

- Nie. - Łzy zaczęły napływać jej do oczu. - To ty przyjechałeś tutaj z garścią oskarżeń i insynuacji. To ty musisz je udowodnić, nie ja.

Cappy poczuła, że uścisk osłabł, szarpnęła lekko i uwolniła się. Ruszyła przed siebie, tym razem nie słyszała za sobą kroków. Ból i złość przepełniały ją. Baraki stały tak daleko, ledwo widoczne prostokątne kształty w oddali. Miała ochotę biec, ale ambicja, a także niewygodne buty na wysokich obcasach nie pozwoliły jej. Szła więc szybko, wyprostowana, z wysoko podniesioną głową.

Przeszedłszy około stu metrów, usłyszała warkot zapalonego silnika. Po chwili światło reflektorów oświetliło drogę, po której szła, więc zeszła na bok. Kiedy zwolnił obok niej i toczył się w jej tempie, Cappy patrzyła uparcie przed siebie.

- Wsiadaj do jeepa, Cappy - nakazał jej jakby zmierzonym głosem.

- Przejdź się, dziękuję - odparła, nie zwalnając kroku i nie odwracając głowy.

Mitch zmienił gwałtownie bieg, ostro przytłumił i piskiem zatrzymał się na jej drodze. Wyskoczył z wozu i

stan 1 tu przed ni .

- Pojedziesz jeepem, Cappy - powiedział spokojnie.

- O co chodzi, Mitch? Boisz si , e kto mo e zobaczy , e sama wracam do baraku? - zadrwiła. - Mog wywnioskowa , e chciae si za bardzo spoufali ze mn i co wtedy pomy l o panu majorze? e nie zdołał si zabawi z tak zwan dziwk .

- Zamknij si , Cap! - rozkazał przez zaci ni te z by.

- Mam nadziej , e nie spodziewasz si , i uwierz cho by przez chwil , e to o moją reputacj si martwisz.

Zacisn ła pi ci. Silnik jeepa pracował równym rytmem, a snopy wiatła z reflektorów przecinały ciemno .

- Je li nie wsi dziesz, Cappy, wezm ci na r ce i sam wsadz do wozu. B dziesz si ze mn szarpa , ale wygram. Oszcz d my sobie tych zapasów. - Znów jego głos zabrzmiał jak zm czony.

Nie było wyj cia. Lekkim skinieniem głowy, Cappy zgodziła si i podeszła od strony pasa era, wsiadaj c bez jego pomocy. Mitch usiadł za kierownic , zmienił bieg i ruszył przed siebie. Nie mieli sobie nic do powiedzenia przez cała drog do baraku.

W pokoju Cappy zdołała wymiga si od pyta , tłumacz c si zm czeniem. Rano działo si wiele rzeczy, które odwróciły uwag kole anek od jej wieczornego wyj cia. W południe Marty spó niła si na lunch, wi c zaj ły dla niej miejsce w kolejce. Kiedy do nich doł czyła, w jej oczach czaiła si ciekawo .

- Wła nie słyzałam, e twój major ma zamiar zosta tu par dni, Cap.

- Nie jest moim majorem - powiedziała głosem bez wyrazu. - Jest przyjacielem mojego ojca, nie moim.

Marty wzniosła brwi ze sceptyczn min , ale nie kontynuowała tematu. Chłód i rezerwa, z jak Cappy si zachowywała, dawały do zrozumienia, e temat majora jest bardzo delikatny, wi c nie naciskały.

Nast pnego dnia po bazie rozeszły si pogłoski, które Chicago przyniosła swoim współlokatorom.

- Słyzałam, e zamierzaj zabroni nam chodzenia do Bluebonnet.

- Co? Dlaczego? - zaprotestowała Marty.

- Były jakie skargi. - Chicago nie znała szczegółów, wi c wzruszyła tylko ramionami. - My l , e major Cap ma z tym co wspólne.

Marty odwróciła si , przekrzywiaj c głow na bok, a jasne kosmyki włosów wysun ły si spod chustki.

- Wiesz co o tym, Cap? - Wpatrzyła si intensywnie w kole ank , która milczała.

- Nie.

Pomimo stanowczego tonu Marty nie bardzo chciała w to wierzy .

Kiedy Cappy przysła na płyt lotniska trzeciego dnia przedłu onej wizyty Mitcha, zobaczyła smukły dwusilnikowy samolot, który obsługa sprawdzała przed lotem - był to samolot Mitcha. Chwała Bogu, pomy lała. Jednocze nie czuła al za stracon iluzj , e Mitch jest ciepłym, silnym m czynn .

- Hayward! - Jimmy Ray Price przywołał j machaniem r ki.

- Zupełnie, jakby był twoim przyjacielem, nie? - mrukn ła szyderczo Eden.

Cappy u miechn ła si krzywo, zanim odł czyła si od grupy i pobiegła do czekaj cego instruktora. Pragn ła lata i otrz sn si z uczu , które ni targały.

- Pan mnie wołał, panie Price? - zameldowała si .

- Tak, ale to major chce si z tob zobaczy , zanim wyjedzie. - Ruchem głowy wskazał samolot.

Spojrzała na maszynę, stojącą za krępyim instruktorem. Cappy chciała natychmiast odmówić, ale wewnętrzny głos odradził jej. Wyznawała zasadę, że inni nie powinni widzieć, że czuje się urażona.

Przez całą minutę stała bez ruchu, nie zdając sobie sprawy, że instruktor dziwnie się jej przygląda. Zastanawiana odwróciła szybko wzrok.

- Dziękuję - wymamrotała i ruszyła przez hangar.

Dochodząc do samolotu, zauważyła, że Mitch rozmawia ze swoim pilotem. Schyliła się, by przejść pod skrzydłem, czując przy pieśzonym tempie wylądowania. W tym momencie zauważył Mitch, powiedział coś do pilota i odesłał go. Podeszła kilka kroków w jej stronę, a pilot w tym czasie wsiadł do samolotu.

- Pan chciał mnie zobaczyć, majorze. - Starła się zachować kamienną twarz i nie patrzyła na niego.

- Myliłem się, Cappy. Jestem ci winien przeprosiny - powiedział powściągliwie. - Miejsce się zgadza: hotel Bluebonnet, ale pomyliłem się co do osób w to zamieszanych. Jakie... nazwijmy je naciągaczki... założyły w hotelu interes. Mówiły o mnie, że należą do kontyngentu kobiet przebywających na szkoleniu lotniczym w Avenger. Wyciągnęłam niewłaściwe wnioski, Cappy, przepraszam.

- Przeprosiny przyjmuję. A dla pana jestem panna Hayward - odparła lodowato.

- Przyznaj, że popełniłem błąd - powiedział zniecierpliwiony - i przepraszam. Do diabła, czego jeszcze chcesz? - dokończył szorstko.

- Mogłabym wybaczyć zwykły pomyłek, a nawet to, że uwierzyłam innym mężczyznom. Ale nie mogę wybaczyć, że uwierzyłam, i to mnie dotyczy.

Jego zachowanie dowiodło, że trafiła w dziesiątkę. Z satysfakcją odwróciła się i chciała odejść. Powietrze było od upału, sprawiając, że odległe przedmioty wyglądały jak mokre. To samo czuła w oczach, wilgoć i ciepło, jednak były one suche aż do bólu. Nie uszła pięciu kroków, gdy Mitch dogonił ją i odwrócił do siebie. Na jego twarzy malowało się wzburzenie.

- Masz cholerną rację, że chciałem w to wierzyć - przyznał. - Odkąd cię znam, nigdy nie pozwalałaś się do siebie zbliżyć. Chciałem wierzyć, że za tymi oczami kryje się jakaś namiastka. I byłem jak diabolicznie zazdrosny, że ktoś inny może ją odkryć przede mną. Może widzisz we mnie zepsutego drania, ale nie dbam o to.

To nieoczekiwane przyznanie się zaskoczyło Cappy. Patrzyła na niego zmieszana, gdy migiło zaczęło się kręcić i weszło na pełne obroty. Uderzył ich gwałtowny podmuch powietrza i wirujący pył, który kłuł w oczy. Mitch naciągnął mocniej czapkę i objął Cappy, by odciągnąć ją w cichsze miejsce.

- Nic się nie zmieniło, Cappy. - Mitch prawie krzyczał, gdy ryk silnika zagłuszał normalny ton głosu. - Jeszcze się spotkamy.

Kiedy odgarniała włosy z twarzy, by mu zaprzeczyć, Mitch wykorzystał ten moment i złożył na jej ustach długi i mocny pocałunek. Poczowała jego pragnienie i frustrację, choć pozostania z nim i rozterk z powodu wyjazdu. Na chwilę poddała mu się. Czuła ogromną objawiającą się, ale oparła się na niej, rozdarta pomiędzy uczuciami, które w niej rozbudził i gorzką prawdę, którą znała. Wojsko było rywalem, który zawsze wygrywa. W końcu odsunęła się od niego, walcząc z bólem w sercu. Kiedy spojrzał na nią, jego oczy przypominały ciemny miękki aksamit.

Poprzez warkot silnika można było dosłyszeć brawa i gwizdy. Oboje dopiero teraz zdali sobie sprawę, że mają widownię, która z aprobatą ledziła romantyczne sceny. Mitch uśmiechnął się i mrugnął do niej rozbawiony, ale Cappy odsunęła się, odwracając wzrok i uciekając w głąb pustego hangaru.

Stojąc w chłodnym cieniu, Cappy obserwowała, jak maszyna odrywa się od ziemi i chowa podwozie. Słysząc

za sobą odgłos kroków, spojrzała przez ramie i rozpoznała ciemnorudy kolor kucyków. Jedyne Eden odznaczała się tym szczególnym odcieniem włosów.

- Już za nim tęsknisz? - W jej ciemnych oczach wyrażała niebłyszczą ciekawość.

- Ani trochę - odparła Cappy ze smiechem. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie zakochuje się w zawodowym ołnierzu.

- Ale kochamy sercem, a nie głową - przypomniała jej Eden.

- Nie, jeśli ktoś jest mordercą. - Cappy odsunęła się od słupa, o który była oparta. - Czas trochę polatać, prawda?

11

Z wieży kontrolnej nadeszła wiadomość do oczekujących reporterów, że potężne AT-6 i dwusilnikowe AT-17 wlatują w korytarz powietrzny i wkrótce wylądują. Postacie w zakurzonych workowatych kombinezonach obserwowały z boku całe zamieszanie. W przeciwieństwie do reporterów i fotografów bardziej były zainteresowane samymi maszynami niż pilotami.

- Niedługo my też tak będziemy latać. - Eden przyglądała się, jak jeden z jednosilnikowych samolotów treningowych zbliża się do pasa startowego. W jej głosie brzmiała ogromna chęć, by tego spróbować.

Uroczyste zakończenie szkolenia zostało zaplanowane na następnym dniu, gdy trzeba było poczekać na klasę kobiet 43-K-2, która została w Houston i tam ukończyła kurs, podczas gdy grupa Rachel przeniosła się do Sweetwater.

Lot z Houston będzie ostatnim, który wykonają jako kursantki. Jutro zostaną pełnoprawnymi pilotami.

- Nie wszystkie - poprawiła ją Chicago z pewnym przygnębieniem. Wszystkie odruchowo zaprzeczyły, ale z różnymi różdżkami słyszały, że ma kłopoty z lataniem według przyrzędów. - Dobrze wiecie, że to prawda. Nigdy nie zdam lotu sprawdzającego.

Nie może być tego pewna - upierała się Marty, ale i ona miała przeczucie, że potrzebny będzie cud, by Chicago zdała.

Ogromne samoloty zbliżyły się do hangaru, a ryczące silniki wzniewały tumany kurzu. Kiedy kamery kroniki filmowej kręciły ten moment i fotografowie skierowali na nie swoje obiektywy, pilotki jedna za drugą wychodziły z samolotów i wchodziły z głów siatki, by wiatr rozwiał im włosy. Wyglądały pięknie i dumnie, z błyszczącymi oczami i radosnymi twarzami.

- Szkoda, że to nie my. - Marty wyraziła zazdrość, którą wszystkie czuły. Nie chodziło o uwagę po prostu, ale o szczerze, trudny i wymagający wiele pracy program szkolenia. - Tak bardzo tego chcę, że prawie czuję ten smak. - Jej ochrypliły głos zdręptał z pragnienia.

Nikt nie odpowiedział ani nie skomentował tego. Dla nich latanie było najwspanialszą pasją. Pragnęły tego tak bardzo, że nawet sprzeciwiały się konwencjom, postąpiły wbrew woli rodziców, porzuciły rodziny i zignorowały zdziwione komentarze przyjaciół, by osiągnąć to, czego chciały. Latanie w przestworzach było jak magnes i dostarczało im radości, z którymi nic nie mogło się równać. Przebrnęły przez gorące jak piekło samoloty treningowe Linka i wyczerpana na przyrzędach, robiła się siecią z mózgu, dla tych upojnych chwil przebywania w powietrzu.

Wkrótce po wylądowaniu ostatniej absolwentki, do lotniska zaczął się zbliżać Beechcraft, który Eden rozpoznała i szturchnęła koleśki.

- To Jacqueline Cochran.

Gdy szefowa szkoły pilota wysiadła ze swojej maszyny, ruszyła w kierunku budynku operacyjnego. Tym

razem towarzyszyła jej jeszcze jedna kobieta, jak pó niej si dowiedziały, jej słu ca, Francuzka. Niemal natychmiast otoczyły j absolwentki z Houston, które zgromadziły si , by j przywita . Eden potrz sn ła głow , rozbawiona kolejnym widowiskowym wej ciem.

Nadjechały ci arówki, by przewie na noc grup z Houston do hotelu Bluebonnet w Sweetwater, i całe zamieszanie si sko czyło.

Uroczysto zako czenia szkolenia przez klas z Houston dawała okazj kursantkom z Avenger wło enia nowych mundurów galowych i pochwalenia si marszem, wy wiczonym na przyjazd generałów, którzy nie dotarli. Na czele długich, idealnie równych kolumn szedł poczet sztandarowy, za nimi za obozowa orkiestra grała wesoło.

Absolwentki nie nale ały oficjalnie do armii, dlatego nie mogły otrzyma zwykłych skrzydełek. Jednak nie do pomy lenia jest pilot bez skrzydełek, wi c przerobiono odznak bombardiera. Na jej rodku dorobiono tarcz i wst k z wygrawerowanym symbolem klasy: 43-K-2.

Podniecone i pełne wigoru nierozł czne wpadły do pokoju, wszystkie naraz mówic o swoich wra eniach z uroczysto ci. wiczenia pokazowe potwierdziły sens i wa no ich szkolenia, przydaj c im honoru i dumy. M czy ni byli potrzebni na froncie, a one b d zast powa ich w kraju, by mogli walczy .

Nie przerywaj c rozmów, zacz ły si rozbiera z wyj ciowych spodni i białych bluzek. Jedne w spodniach i stanikach, inne w bluzkach i majtkach, przekrzykiwały si wzajemnie.

- Zało si , e w jutrzejszym *Sweetwater Reporter* b dzie artykuł.

- S dzisz, e b d te zdj cia? Wiem, e byłam na jednym z nich. Fotograf był tu przede mn , gdy je pstrykn ł.

- To zale y od tła. Nie mog opublikowa zdj cia, na którym s wi cej ni dwa samoloty. Cenzura na to nie pozwala. Nie wolno wspomnie o bazie, gdzie si znajduje, ani ile osób przebywa na szkoleniu.

- Na pewno wróg chciałby si dowiedzie o nas wszystkiego. Jeste my takim zagro eniem.

miej c si z innymi, Mary Lynn przykl kła na podłódze przed swój komod i otworzyła j , by wyj ubranie na zmian . Na samym wierzchu le ało zdj cie, z którego miała si do niej pogodna twarz Beau. To ni wstrz sn ło. miech i rado znikn ły. Mary Lynn powoli wzi ła fotografi , podeszła do swojego łó ka i usiadła przygl daj c mu si , oboj tna na harmider w pokoju.

- Czy kto zagł dał do komody Eden? - Marty zatrzymała si przed otwart szafk i ujrzała poprzewracane ubrania i bielizn . - Gorzej ni u Fibber McGee. Czy ty nigdy nie składasz ubra , zanim je tam wrzucisz?

- Odwal si , Rogers. - Eden odepchn ła j i pochyliła si , grzebi c w bałaganie w poszukiwaniu ubrania.

- O co chodzi, panno van Valkenburg? - zadrwiła Marty. - Jeste zazdrosna, bo Cochran przywiozła ze sob słu c , a ty nie? - miej c si , wróciła na swoje łó ko. - Bo e, Mary Lynn, powinna zajrze do jej komody.

Brak odpowiedzi, a nawet jakiegokolwiek reakcji zwrócił uwag Marty. Przechyliła głow na bok, próbuj c zajrze w nisko opuszczon twarz Mary Lynn.

- Hej, czy co si stało?

Dopiero to bezpo rednie pytanie przerwało zadum nad zdj ciem m a. Mary Lynn miała zakłopotan min i strach w oczach.

- Cała ta rozmowa o cenzurze wojskowej i wrogu... artujemy sobie z tego, ale to nie jest mieszne. Toczy si wojna. Ludzie walcz i umieraj .

- Nikt nie miał nic złego na my li - po piesznie zapewniła j Marty, nie znajduj c wła ciwych słów, by

pocieszy przyjaciółk . Usiadła obok niej na łó ku i niezdarnie obj ła drobne ramiona.

Pozostała, ł cznie z wysok i szczupł Rachel Goldman, zauwa yły zmian tonu rozmowy i spogl dały z ciekawo ci na skulon par , dyskretnie si przysłuchuj c.

- Beau jest gdzie tam. - Mary Lynn patrzyła na fotografi . - Co b dzie, je li co mu si stanie? A je li jest ranny albo zabity? Co ja bez niego zrobi ? On musi do mnie wróci , Marty. Umr bez niego. - Była przerza ona my l o przyszło ci bez m a. Samotno ju teraz była okropna, ale przynajmniej mogła oczekiwa jego listów i odległej chwili, gdy wróci do domu. - Powinnam by z nim. Ja tu nie pasuj .

- To nieprawda - wtr ciła Rachel.

Zwykle nie wci gano jej do rozmów. Marty zeszywniała na jej nagłe wtr cenie si . Zawsze ostro na wobec Rachel, była jednak gotowa pozwoli jej mówi , dopóki miała racj .

- Mamy wojn , a twój m walczy w obronie spraw, w które wierzymy. W takich czasach wszyscy musimy si po wi ca , odkłada osobiste pragnienia na bok i robi , co nale y.

Mary Lynn podniosła głow , zaskoczona tak mocnym argumentem. Bojowe spojrzenie Rachel przekonało j o szczeru ci dziewczyny.

- Hitler i jego armia musz by zniszczone. Wszyscy musimy walczy , jak tylko mo na, by chroni nasze domy i tych, których kochamy - o wiadczyła Rachel. - Ty mo esz to zrobi lataj c, zwalnij c pilotów do walki, a mo e lec c jako eskorta bombowca twojego m a. Mamy wojn i tu jest twoje miejsce, dla dobra twojego m a i wszystkich innych.

Przez par długich sekund jej słowa brzmiały im w uszach. Wła nie tego Mary Lynn potrzebowała - racjonalnych argumentów.

- Dzi ki - mrukn ła do Rachel, za enowanej swoim wybuchem.

Pó niej, w mroku nocy, le c na łó ku Mary Lynn wsłuchiwała si w równe oddechy pi cych współlokatorek. Przeszywała j okropna, bolesna samotno , gdy próbowała sobie przypomnie noce sp dzzone z Beau.

Niemal czuła na ustach sił jego pocałunku. Zamkn ła oczy, staraj c si uczyni duchowe wra enie bardziej realnym. Całe miesi ce min ły, odk d ostatni raz trzymał j w obj ciach. Potarła ramiona, szukaj c w pami ci dotyku jego silnych, muskularnych r k. To było tak dawno. Przygryzła mocno doln warg , by powstrzyma rosn ce pragnienie.

Dr ała z po dania. Beau. Bezgło nie powtarzała jego imi i wsun ła dło pod biust, czuj c jego tward kr gło . Schowała twarz w poduszk , by stłumi d wi k, który mógł si wyrwa z jej ust. Zaci ni t pi wsun ła mi dzy nogi i cisa ła uda, by j tam zatrzyma .

Powróciły wspomnienia z wczesnego dzieci stwa, kiedy matka mówiła do niej ostrym i karc ym tonem.

- Mary Lynn, co ty robisz? Natychmiast wyjmij r k z majtek! - Nie rozumiała, za co dostaje piek ce klapsy. — Grzeczne dziewczynki nie robi takich rzeczy. Niech ci nigdy wi cej na tym nie przyłapi !

Słowa te sprawiły, e si ukrywała w ciemno ci nocy, pod kocem i dawała upust temu okropnemu napi ciu.

- Beau - szepn ła przepraszaj co, gdy z ulg wtuliła si w poduszk .

Nadszedł czas na lot egzaminacyjny podstawowego etapu ich szkolenia. Te, które zdały loty cywilne ze swoimi instruktorami, przechodziły do sprawdzenia lotów wojskowych. Po zako czeniu egzaminu szeregi klasy znacznie si przerzedziły. W ród oblanych znalazła si Chicago.

Na jej pustym łóżku leżał zwinięty materac, a wszystkie rzeczy osobiste zniknęły.

- Mylisz, że już wyjechała? - zastanawiała się Mary Lynn.

- Tak - odparła Cappy.

- Załóż się, że wyniosła się w parę godzin. Oni nie pozwalają im się tutaj kręcić długo po odpadnięciu z kursu. -

Mówi ci „oni”, Marty miała na myśli dowództwo Avenger.

- Przypuszczam, że oblała latanie według przyrzeczeń. - Eden usiadła na łóżku i przyciągnęła kolano do klatki piersiowej.

- Chyba tak - Cappy przytaknęła, zdając sobie sprawę, że nigdy się tego nie dowiedzi.

Niektórzy inspektorzy wojskowi znani byli z tego, że wystarczyło słowo pilota egzaminującego, że kursantka nie potrafi opanować samolotu w trudnej sytuacji, aby ją oblać. Czasem wystarczało by kobiet.

- Pamiętacie, jak złapali te dwie dziewczyny razem w łóżku? - przypomniła Marty. - Spakowały się i opuściły bazę w ciągu godziny.

Eden pokiwała głową, ale nikt się nie odezwał. Nie było już nierozłęcznych, a pusta pryczka stanowiła niemy dowód tego.

W gorące teksaskie lato południowe grupy 34-K-3 z Houston i Sweetwater weszły w ostatni, zaawansowany etap szkolenia. Koniec z BT-13, zamiast nich teraz będą latały AT-6, znanymi jako Texan, zbudowanymi przez North American Aviation. Bardziej skomplikowany samolot miał o 150 koni mechanicznych więcej niż 450-konny BT-13. Po raz pierwszy, dziewczęta miały do czynienia z wciągającym podwoziem, co nie tylko dawało jednosilnikowej maszynie wyjątkowy wygląd przy startach, ale także pozwalało osiągnąć prędkość ponad dwustu kilometrów na godzinę.

Szkolenie koncentrowało się na długodystansowych lotach, które były bezcennym doświadczeniem dla przyszłych pilotów transportowych. Wiele było trudnych lekcji, co mogli poświadczą piloci, którzy stukali do drzwi domów na farmach, po tym jak skończyło im się paliwo i byli zmuszeni do lądowania na którymś pastwisku lub polu bawełny.

Wielokrotnie pokonywały trasę Sweetwater-Odessa-BigSpring-Sweetwater, same bądź z instruktorem. Po jakimś czasie niektóre przysięgały, że mogłyby ją przelecieć z zamkniętymi oczami.

Przy słowach, jak blisko czterdziestostopniowy wiatr z nieba, kałdał mołiwo w lizgnięciu się do AT-6 i wzniesienia w niebo, była przyjmowana z radością, ponieważ co trzy kilometry w górę temperatura spadała o kilka stopni. Powietrze wiejące z wentylatorów orzebiało niczym podmuch od góry lodowej.

Rachel wyrównała poziom lotu na wysokości ośmiu tysięcy stóp i zablokowała dźwignię, by lecieć prosto i równo. Podmuch chłodnego powietrza wiał prosto na nią, poruszając mapę, której się uważnie przyglądała. Dla odmiany od rutyny postanowiła wybrać inną trasę, wiodącą do San Angelo, potem do Abilene i z powrotem do Sweetwater.

Odcinek ze Sweetwater do San Angelo był łatwy. Skręcając na północ do Abilene, Rachel miała problemy ze zlokalizowaniem kilku pierwszych punktów kontrolnych. Przeliczyła prędkość i czas, by określić odległość, a potem zaznaczyła to na mapie. Siła wiatru mogła wpłynąć na jej prędkość, ale nawet biorąc pod uwagę to mołiwo, powinno być widać Abilene.

Wyciągając szyję, Rachel wyjrzała do przodu przez okno kabiny. Na zamglonym horyzoncie nie było śladu żadnego miasta. Przechyliła samolot na skrzydło, by rozejrzeć się pod i za sobą, na wypadek, gdyby je przeleciała.

Nic.

Bez 1 czno ci radiowej nie mogła sprawdzi swojej pozycji. Niepokój wzrósł, gdy pomy łała, e mogła zboczy z trasy. Jednak za wcze nie było na panik . Wiatr w górze mógł by silniejszy, ni jej powiedzieli. Głupot było zawraca , szczególnie je li cel był tu przed ni . Rachel postanowiła lecie przed siebie jeszcze troch .

Po kolejnych dwudziestu minutach wiedziała, e co poszło le. W jaki sposób min ła Abilene i zabł dziła. Poni ej rozci gał si pusty obszar czerwonej ziemi i wysuszonych krzaków. Nagle zauwa yła tory kolejowe, wiod ce do niewielkiego miasteczka. Natychmiast ostro zni yła lot i poleciała w kierunku składu kolejowego, na którym widniał napis FREDERICK.

Nie znaj c cz stotliwo ci, nie mogła poł czy si z wie kontroln , gdy weszła w korytarz powietrzny. Zdenerwowanie sytuacji , w jakiej si znalazła, a tak e brak do wiadczenia w pilotowaniu tak szybkiej i silnej maszyny, sprawiły, e wyl dowwała z pr dko ci o dwadzie cia mil wi ksz ni zalecana. W ten sposób l duj tylko najlepiej wyszkoleni piloci my liwców.

Straciła pewno siebie po pierwsze dlatego, e zboczyła z kursu, po drugie, poniewa to lotnisko nie było zaznaczone na mapie, a po trzecie takie l dowanie postawiło w w tpliwo jej umiej tno ci. M czy ni w mundurach wybiegli z budynku operacyjnego, gdy ona kołowała na płycie.

Uderzył j pal cy popołudniowy upał, gdy wysiadła i stan ła na skrzydle. Twarze oczekuj cych ołnierzy nie były zbyt przyjazne. Rachel wzi ła gł boki wdech i zesła brzegiem skrzydła, rozpuszczaj c długie jasne włosy.

Kiedy zeskoczyła na ziemi tu przed nimi, zrobili zdziwione miny. Oficer wyst pił naprzód i popatrzył na ni podejrzliwie i ze zło ci .

- A kim e pani, u diabła, jest? I co pani robi z tym samolotem?

- Skoro jestem pilotem, to chyba nim latam - odparowała Rachel, broni c si .

W tym momencie podjechał jeep załadowany członkami andarmerii wojskowej. Nagle uderzyło j , e oni naprawd nie maj poj cia, kim ona jest. Prawdopodobnie gotowi byli uwierzy , e jest sabota ystk , gdy otoczyli j andarmi z broni gotow do strzału.

- To jest wojskowy samolot - powiedział kapitan.

Stała tak obok AT-6, góruj c nad wszystkimi swoim wzrostem ponad metr osiemdziesi t, szałowa blondynka o liwkowych oczach, otoczona uzbrojonymi m czyznami. Nie był to odpowiedni czas na zaczepne reakcje.

- Tak, panie kapitanie. - Rachel potrafiła panowa nad głosem. - Jestem Rachel Goldman, kursantka z 319 Oddziału Szkoleniowego Wojskowych Sił Powietrznych w Avenger Field, w Sweetwater.

- Chyba nie spodziewa si pani, e w to uwierz ? - burkn ł ochryple. - W wojsku nie ma kobiet pilotuj cych samoloty.

- Prosz wybaczy , ale myli si pan. Jest nas par setek w Avenger Field i wszystkie latamy samolotami wojskowymi. Gdyby mógł pan powiedzie mi, gdzie jestem... - Rachel starała si nie traci opanowania. - Troch si pogubiłam, poniewa na mojej mapie nie ma adnej bazy powietrznej koło Frederick w Teksasie...

- Poniewa jest pani w Frederick, w Oklahomie.

Trudno jej było powstrzyma si od otworzenia ust z zaskoczenia. Nie do , e zboczyła z kursu, zabł dziła, to nawet nie miała mapy tak odległych terenów.

- Teraz pani wie, dlaczego nie ma w armii kobiet pilotuj cych samoloty - zadrwił kapitan. - Kobieta nie powinna siada za kierownic samochodu, a tym bardziej dotyka si do pulpitu samolotu.

Dał znak andarmerii.

- Sprawdźcie maszyn - powiedział, po czym zwrócił się do młodego oficera, stojącego obok: - Połóżcie się z oficerem dyurnym i powiadom go o tym. A pani - odwrócił się do Rachel i chwycił ją za ramię - pójdźcie ze mną. Wykręćcie rękę z jego uścisku.

- Proszę posłuchać, panie kapitanie - zdobyła się na sarkazm w odniesieniu do jego stopnia i powstrzymała się od chciwego nazwania go kurduplowatym mieciem. - Jedyne, co musi pan zrobić, to zadzwonić do Avenger Field w Sweetwater, a oni potwierdzą, kim jestem.

- Zadzwonić do nich - przyrzekł, przekonany, że ona blefuje.

- Nie służy pan, że powinniśmy sprawdzić, czy nie jest uzbrojona? - zasugerował jeden z andarmów. - Nie wiadomo, co może się kryć pod tym luźnym kombinezonem.

- Ma pan rację - zgodził się kapitan.

Chciała zaprotestować, ale tylko zazgrzytała zębami i nic nie powiedziała. Nieporuszona jak posąg, stała, poddając się ponownie rewizji. Przez cały czas, gdy czyjeś ręce odpinały jej kombinezon, wsuwały się jej pod ramiona, przelizgiwały przez talię do bioder i ocierały o kręgosłóg piersi, patrzyła na kapitana.

- Nic, panie kapitanie - stwierdził andarm.

- Zamelduj o tym - zapewniła go Rachel lodowato.

Jednak wiedziała, że z jego punktu widzenia mogła być agentką wroga i wobec tego postąpiła zgodnie z wojskową procedurą.

Została odprowadzona pod eskortą do jego biura w budynku operacyjnym, gdzie jeszcze raz została przesłuchana, a jej opowieść poddana w wątpliwość. Wielokrotnie powtarzała, aby zadzwonił do Avenger Field, ale on ją zbywał. Powiedział, że wszystko sprawdzają.

Minęło pół godziny, odkąd wylądowała przed budynkiem. Rachel zaczynała myśleć, że zamknie ją w wartowni, gdy zadzwonił telefon na biurku. Najwyraźniej był to oficer w jej rangi, służący po niemal słuchalnym zachowaniu kapitana. Rachel zauważyła błysk niezadowolenia na jego twarzy, gdy skończył rozmawiać.

- Wygląda na to, że jest jakieś szkolenie lotnicze dla kobiet w Avenger Field - przyznał niechętnie, podnosząc się z krzesła. - Może pani i tak, kursantko Goldman. Radziłbym następnym razem skupić się na lataniu, zamiast bujać w obłokach, to pani nie zabłądzi.

Nie było żadnych przeprosin, nie próbował też ukryć pogardy dla jej płci w kabinie samolotu. Dużo wysiłku ją kosztowało, aby nie powiedzieć, co dokładnie myśli o nim.

- Tak, panie kapitanie.

Wstała, z ogromną satysfakcją przewyszczyła wzrostem kapitana i wyszła z jego biura, wiedząc, że za nią idzie. Przy samolocie stał strażnik, kiedy wyszła z budynku. Chciał zagrozić jej drogę, ale dostał znak od kapitana, aby ją przepuścić.

Rachel siedziała w kokpicie, przypięta pasami, gdy zdała sobie sprawę, że nie otrzymała mapy ani wskazówek, w którą stronę lecieć do Sweetwater. Jednak przede wszystkim zamknął silnik, niż o co ich poprosi.

- Z drogi! - krzyknęła przez otwarty kokpit, po czym przekręciła wlecznik, który wprowadził migł w ruch.

Wystartowawszy z lotniska w Oklahomie, Rachel odnalazła tory kolejowe, które ją tu przywiodły, i poleciała wzdłuż nich na południe. Nadchodzący zmierzch zacierał punkty orientacyjne na obrzeżach Sweetwater. Chwilę później dostrzegła oświetlony pas startowy Avenger Field.

Jej instruktor Joe Gibbs czekał na nią na płycie, kiedy lądowała. Zbesztął ją, ale niezbyt ostro, wyczuwając, że już do odcierpiała swój błąd. Rachel nie powiedziała mu wszystkiego, co się wydarzyło, wystarczyło, że zabiła.

Gdy została sama, z poczekalni wyszła jej przyjaciółka, Helen Shaw, była aktorka hollywoodzka i spoglądała na nią z ciekawości.

- Co się stało?

Rachel opowiedziała jej o całym zajściu, o potraktowaniu przez bezczelnego kapitana i powrotnym locie na miejsce do Sweetwater.

- Mów mi - powiedziała Helen ze współczuciem.

- Parafrazując stare powiedzenie: „Mów mi to zawsze dranie” - odparła z przekonaniem.

Przy barakach rozdzieliły się i każda poszła do swojego pokoju. Kiedy Rachel weszła, panowało zwykle zamieszanie, dziewczęta brały prysznic i przebierały się przed kolacją. Jej późny powrót nie uszedł uwagi Cappy.

- Gdzie była, Goldman? - zapytała z ciekawości. - Miała kłopoty z samolotem czy coś innego?

Po chwili wahania Rachel opowiedziała im całą historię, wciągnięta ze złości za sposób, w jaki ją potraktowano.

Marty z początku zadrwiła.

- Oklahoma?! Jak mogła popełnić taki błąd? - Jednak gdy Rachel skończyła, powiedziała: - Oficer czy nie, myślałem, że walnąłabym go w nos.

12

Nie można było uciec od czterdziestostopniowego lipcowego upału. Baraki stały rzędami w kierunku północ-południe, tak samo jak wiejący wiatr, nie dając możliwości przeciwności w pokojach.

Marty leżała na łóżku w upalną noc, pocąc się z gorąca i braku najmniejszego nawet powiewu. Nogi miała rozłożone, by uda się nie sklejały od potu, a ręce położyła nad głową, by nie dotykały tułowia. Wydawało się, że nic nie jest w stanie przynieść ulgi od okropnego upału, nawet mokry ręcznik, którym się nakryła.

Z zewnątrz dobiegł dręczący szmer lekkiego wiatru. Przemykał się obok otwartych okien i zasłoniętych drzwi, ale ani razu nie wpadł do środka. Marty słuchała go, czując lekkość potu i irytację.

- Och, kurczę! - Usiadła. - Jak można spać w tej rozpalonej dziurze?

- Zamknij się, Rogers. - Głos Eden był stłumiony przez materac, na którym leżała na brzuchu, nieruchoma z rozłożonymi ramionami, podobnie jak Marty.

- Wy możecie tu zostać, jeśli chcecie, ale ja się wynoszę. - Marty podniosła się z łóżka i chwyciła jego krawędź. Zaczęła je ciągnąć, ale nóżki szurały po podłodze, wydając nieprzyjemny dźwięk. - Kto chce mi pomóc z drzwiami?

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - Cappy podparła się na łokciu i spoglądała na nią.

- Idź spać na dwór, gdzie przynajmniej jest trochę przewiewu - oświadczyła.

W ciągu kilku minut wszystkie wychodziły swoje rzeczy na dwór i ustawiły je pomiędzy barakami. Gdy w innych pokojach usłyszano hałas, reszta przyłączyła się do nich i wkrótce wzdłuż baraków ciągnął się rzęd łóżek. Wiaterek był niewielki, ale poruszał powietrze i orzeźwiał.

- Popatrz na te wszystkie gwiazdy. - Marty leżała na wznak i patrzyła na miliony migoczących wiatełek na tle ciemnego nieba. Spojrzała na Mary Lynn.

- Gdzie jest ten kowboj, który chciał mi pokazać Wielki Niedźwiedź? - Zachichotała na wspomnienie zakochanego kowboja, którego poznała na pikniku rodeo zorganizowanym dla dziewcząt przez miejscowego farmera z okazji wstąpienia Czwartego Lipca.

- Piękna noc - powiedziała Mary Lynn i włożyła ręce pod głowę.

Z drugiej strony odezwała się Cappy:

- Niedługo już zaczniemy nas sprawdzać na AT-17.

Pilotowanie dwusilnikowego samolotu będzie ostatnim etapem ich szkolenia, dajcie im wielosilnikową kategorię przed

zakończeniem w pierwszym tygodniu sierpnia.

- Dobry, stary Bamboo Bomber - zaartowała Eden, robiąc aluzję do drewnianej konstrukcji samolotu, nazwanego przez producenta Cessny Bobcat.

- Chciała powiedzieć Bunson Burner - zadrwiła Marty, słysząc ich rozmowę. - To cholerstwo wygląda, jakby miało się zapalić jak zapałka.

Leżąc na swoim łóżku, Rachel słuchała przyciszonej rozmowy o dwusilnikowej maszynie. Słyszała kiedyś, jak wiołki z wyższej klasy rozmawiały o AT-17. W samolocie tym za fotelami pilotów było siedzenie, umieszczone tak nisko, że miało się wrażenie zagłębienia w studni. Nawet najbardziej odporne na choroby lokomocyjne osoby, siadały po papierowe torby, siedząc tam.

Gdzieś daleko w rzędzie łódek rozległ się pisk.

- W! Grzechotnik! - krzyczała któraś. - Niech go ktoś zabije!

Powstało szalone zamieszanie, niektóre dziewczyny uciekły do baraków, inne skuliły się na pryczach, a większość szukała jakiejś broni. Grzechotnik, który tak niemodrze wpełzł na drogę, został szybko zabity.

- Biedny wąż - powiedziała smutno Marty.

- To był grzechotnik - oburzyła się Eden.

- Słyszałam, że one zawsze chodzą parami - poinformowała je inna koleżanka.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem powstało nowe zamieszanie i poszukiwanie towarzysza zabitego wąża. Cztery dziewczyny poddała się i wróciła do baraków, ale Marty ziewnęła i wyciągnęła się na pryczy. Nie znaleziono drugiego wąża, ale większość kursantek spędziła niespokojną noc, wsłuchując się w najmniejszy szelest trawy, który mógł zdradzić obecność wąża pod którymś łóżkiem.

Przed promocją każda z nich musiała wykonać długi samodzielny lot do celu wyznaczonego przez instruktora. Przez czysty przypadek Mary Lynn dostała jako cel swoje miasto rodzinne, Mobile, w zatoce Alabamy. W połowie trasy zatrzymała się na tankowanie samolotu i obliczenie wyznaczonego czasu powrotu, tak by wygospodarować godzinę lub więcej na odwiedzenie rodziny.

Na ostatnim odcinku sprzyjający wiatr pozwolił jej zarobić kolejną godzinę. Tu po wylądowaniu zadzwoniła, że do nich jedzie, i zignorowała narzekanie matki, że ją obudziła. Matka pracowała na nocnych zmianach w porcie, co oznaczało, że w dzień spała, ojciec zaś odwrotnie. Niestety, tym razem Mary Lynn go nie zobaczyła.

Za bazą złapała autobus do miasta. Potem dźwięki w stoczni górowały nad miastem, swój obecny cię przeobrażając pięciopiętne Mobile w tętniące życiem miasto z zatłoczonymi ulicami, nad którym unosił się dym, mieszając się z morską słoną powietrzem.

Mary Lynn wysiadła z autobusu i niecierpliwie czekała na drugi, jadący w okolice jej domu. Z początku nie zauważyła trzech młodych dziewcząt, stojących na rogu przy aptece. Ubrane podobnie, w bluzki i spódnice, skarpetki i buty do jazdy konnej, miały tę mocną makijaż na twarzach i usta w ostrym odcieniu czerwieni. Zmierzyły wzrokiem Mary Lynn, ubraną w brązowe spodnie, białą bluzkę z krótkimi rękawami i furaerkę. Patrzyły na nią z nieufnością, z jakimiś patrzy na starszych od siebie lub na innych kobiet. Mary Lynn miała duże wątpliwości, czy która z nich ukochała szesnastoletnią dziewczynę.

Odwróciwszy się od nich, popatrzyła, czy może nie nadjeżdża autobus i zastanowiła się, czy nie byłoby szybciej, gdyby złapała taksówkę. Po prawie sześciu miesiącach w Teksasie odzwyczaiła się od gorącego, wilgotnego klimatu południa, w którym dusznego upału nie mógł złagodzić powiew od Zatoki Meksykańskiej. Czując jego przytłaczający ciężar, rozglądała się po ruchliwej ulicy. Nic nie jechało, więc Mary Lynn odwróciła się do trójki dziewcząt.

- Kiedy powinien być następny autobus?

Zareagowały wzruszeniem ramion i tylko jedna odpowiedziała przeciągle:

- Nie wiem, proszę pani. Pewnie niedługo.

Mary Lynn uśmiechnęła się, głębiej westchnęła i z rezygnacją nadal czekała na autobus. Na ulicy pojawił się marynarz, wywołując u dziewcząt chichot i uwodzicielskie spojrzenia. Mary Lynn mieszyło ich głupie zachowanie wobec młodego rekruta, dopóki nie zobaczyła, w jak bezwstydnym sposobie do niego podeszły.

- Skąd jesteś, marynarzu?

- Kurcze, słodki jesteś. Chciałabym ci dotrzymać towarzystwa, jeśli jesteś samotny.

- Postawisz mi oranżadę?

Wszystkie trzy prawie rzuciły się na marynarza, łącznie do niego z nie ukrywanym podnieceniem. Takie zachowanie wyglądało na dobrze wychowane dziewczęta Mary Lynn uznała za skandaliczne. Prowokowały mężczyznę, aby poderwał którąś z nich. Niemal się rozpląwały, gdy je ogłodał, by dokonać wyboru.

- Jak ci na imię, kochanie? - Poufale objął w taliu swojej wybranki i wsunął dłoń w zagłębienie między pośladkami.

- Donna May - odparła zadowolona, bez cienia sprzeciwu wobec czekającego ich intymnego zbliżenia.

Marynarz nachylił się i szeptał jej coś do ucha, po czym wyprostował się i powiedział:

- Zabiorę ci do kina. Co ty na to?

- Wietnie.

Cała drżała z podniecenia, triumfując nad koleżankami, które powoli oddalały się zawiedzione, lecz gotowe czekać na swój szansę. Kiedy dziewczyna ruszyła w towarzystwie marynarza, Mary Lynn nie wytrzymała.

- Czy twoja matka wie, że to robisz? - zapytała. - Ile masz lat?

Dziewczyna odwróciła się ze złości, gotowa do obrony, ciskając ramionami mężczyznę, jakby się bała go zgubić.

- To nie pani sprawa.

Mary Lynn spoglądała na marynarza, uznając również jego winę.

- Ona jest jeszcze dzieckiem.

Jednak nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

- Jestem dojrzała - stwierdziła Donna May i kiwnęła głową w kierunku nadjeżdżającego autobusu. - Niech pani wsiada do swojego autobusu i zostawi nas w spokoju. Nikt nie prosił, aby się pani wtrącała.

Hamulce zapiszczały, gdy pojazd wtoczył się i zatrzymał w zatoczce autobusowej. Mary Lynn zawahała się przez chwilę, patrzyła za marynarzem i dziewczyną, po czym wsiadła. W zatłoczonym autobusie unosił się smród spoconych, nie umytych ciał i zestarzałego tytoniu, połączone z gorącym, wilgotnym, lipcowym powietrzem. Jedyne wolne miejsce siedzące znajdowało się na przednim siedzeniu i Mary Lynn wcisnęła się na nie między dwoje innych pasażerów. Autobus ruszył. Przez zakurzone okno popatrzyła na parę idących chodnikiem i zachowywała się jak kochankowie, a nie obcy sobie ludzie, którymi w rzeczywistości byli. Na okrągłej twarzy Mary Lynn malował się wyraz surowego potępienia, który zauważyła siedząca po prawej stronie kobieta, ubrana w strój pracownika fabryki.

- Obrzydliwe, prawda? - przyznała.

- Ona jest za młoda, żeby wiedzieć, co robi - powiedziała Mary Lynn.

- Nazywaj je ołnierki-wariatki - padła cyniczna odpowiedź. - Niektóre z tych dzieciaków wariują na widok munduru. Widziałam je w drogeriach, jak kupowały... wie pani... zabezpieczenie. Ta wojna nam wszystkim wyrządza krzywdę. - Zapaliła papierosa, nieco po mśku zaciągnęła się dymem, i wyrzuciła zapalniczkę. — Nie wiem. Może one mają rację, że powinno się chwycić za wszystko natychmiast.

Mary Lynn nie odpowiedziała, nie chcąc przedłużyć tej przygnębiającej rozmowy. Dopóki autobus jechał, przez otwarte okna wiał wiatr, przynosząc pewną ulgę pasażerom. Jednak nie na długo, gdy zatrzymywał się na kawałek dymnego, by wypuścić z siebie osóbkę i wpuścić innych, a zaduch panujący w środku tylko się wzmacniał. Stare domy, z mansardowymi dachami, elaznymi kratami i wysokimi kolumnadami sprawiały, że miasto wyglądało nędznie, zatłoczone ulice pełne były ludzi, a w rynsztokach gromadziły się śmiecie, przyciągały muchy.

Przed kinem, wokół budki z biletami, tłoczyły się dzieci w różnym wieku, od szkrabającego w ramionach siedmiolatka, do dziewięcioletniego zawiadacza z papierosem, pilnującego stadka rodzestwa. Niewielu dorosłych można było zobaczyć.

- Wiąkszość z nich to wyrzutki - powiedziała kobieta.

- Co?

- Wyrzucono je z domów. Ich matki pracują i nie chcą, by dzieci siedziały same w domu, więc zamykają drzwi i wysyłają je do kina, to najtaniej - wyznała kobieta. - Są jeszcze inne dzieci, kluczownicy. Noszą klucz od drzwi na szyi, żeby go nie zgubiły. To bardzo smutne.

Minęło kino, a wiatr znów dmuchnął przez otwarte okno. Autobus skręcił w zacienione drzewami ulicę i Mary Lynn wyciągnęła głowę, by dojrzebiały dom z długą werandą. Kiedy dotarła do drzwi, powitanie matki było niezbyt serdeczne. Na twarzy przybyło jej zmarszczek, ale oczy pozostały tak samo błyszczące i ciemne jak w giel - złe i chciwe czegoś, Mary Lynn nie wiedziała czego. Matka przyjmowała pensjonariuszy, wynajmowała wolne pokoje.

- Zbyt ci ciężko pracujesz, mamo - powiedziała zaniemowieniem, czując w zachowaniu matki zmęczenie. Dowiedziała się, że było czworo lokatorów, zajmujących wolne łóżka na zmianę. - Chodzisz na noc do pracy, zajmujesz się tym domem i wynajmujesz pokoje...

- Miejsce do spania jest w tym mieście na wagę złota - odparła matka. - Jeśli ta wojna potrwa jeszcze kilka lat, twój tata i ja będziemy mogli spłacić kredyt za ten dom i odłożyć trochę pieniędzy na starość.

Chciwość, która brzmiała w głosie matki, zabolęła jej. Pragnienie, żeby wojna trwała, bo można na tym zarobić, wydało się Mary Lynn samolubne i gruboskórne. W tej wojnie walczył Beau i jeśli się ona przedłuży, to będzie on

dłu jej wystawiony na niebezpieczeństwo.

Ale pomimo gorzkiej niechęci do zachłanności matki Mary Lynn rozumiała ją. Rodzice bardzo wiele stracili podczas kryzysu i ledwie zdołali utrzymać dom. Matka nienawidziła biedy i wyrzekania się wielu rzeczy. Dlatego zgorzkniała, a pieniądze stały się jej obsesją.

Bez zastanowienia Mary Lynn wyjęła z torebki papierosa i stuknęła nim o stół. Matka obserwowała ją ze zjadliwym spojrzeniem.

- Jakich jeszcze okropnych nawyków nabrałaś w Teksasie, poza paleniem i noszeniem mskich spodni? - zapytała z wyrzutem.

- Mamo, trudno jest wsiadać i wsiadać z samolotu w spódnicy. - Mary Lynn broniła praktyczności swojego ubioru, ale nie próbowała usprawiedliwić się z powodu palenia.

- To nie przystoi kobiecie.

Zapaliła papierosa i zacięgnęła się. Smugi dymu uniosły się, gdy odpowiedziała na uwagę.

- Może czas, by spojrzała w lustro na siebie, mamo.

Spotkanie z matką nie należało do przyjemnych. Niemal z ulgą zauważyła, że już czas wraca na lotnisko i z powrotem do Sweetwater. Następnym razem, kiedy przyjedzie do domu, zostanie tu dłużej, a do munduru będzie miała przypięte parę srebrnych skrzydełek.

Nieustanny gorący wiatr dmuchał Rachel kurz w twarz, sprawiając, że piekły jej oczy, ale dawał ulgę od parzącej temperatury lipcowego popołudnia. Srała przed pokojem pilotów z Helen Shaw i dwoma innymi wiórkami, czekając na przybycie ich instruktora. Dwusilnikowe Cessny Bobcat stały na pasie startowym, przygotowane do popołudniowych wycieczek radionawigacyjnych. Dzień egzaminu był tak blisko, że wyczuwało się szczególną atmosferę.

- Moi rodzice przyjadą pociągami z Oklahomy, żeby zobaczyć, jak dostanę te srebrne skrzydełka - powiedziała Helen i dodała z grymasem: - zakładajcie, oczywiście, że zdam loty egzaminacyjne.

- Zdasz - odpowiedziała Rachel z przekonaniem.

Instruktor wyszedł z budynku za ich plecami.

- W porządku, przerwijmy te pogaduszki i sprawdźmy samolot. - Polecenie skierował do Helen i jej partnerki tego dnia, Carli Ellers.

- Wygląda na to, że wystartujemy pierwsze. Możecie lecieć za nami swoim Bunson Burnerem. W ten sposób nie zgubicie drogi do Big Spring - zadrwiła Helen mrugając do Rachel i ruszyła w kierunku samolotu.

Pomimo iż Helen wystartowała pięć minut wcześniej, Rachel dostrzegła jej AT-17 wkrótce po oderwaniu się od płyty lotniska. Obie prawidłowo złapały fale radiowe Big Spring i miały w słuchawkach nie zakłócony sygnał. Prowadziła Helen w dwusilnikowej maszynie. Była cały czas w zasięgu wzroku Rachel, która leciała ze swoim instruktorem, jako drugim pilotem, i koleżanką, Barbarą Frye, siedzącą w pozycji nie do pozazdroszczenia, na tylnym siedzeniu.

Na horyzoncie pojawiło się niskie, nierówne wzgórze, kojarzone zawsze z Big Spring. Cel znajdował się tu przed nimi. Rachel zmniejszyła poziom dźwięku w radiu, by lepiej usłyszeć ten króciutki moment ciszy, kiedy minie punkt kontrolny.

Którymś okiem zauważyła odbicie czegoś na niebie na wprost od niej. Podniosła wzrok na lecący przed nią AT-17,

który nagle eksplodował i zamienił się w masę płomieni, dymu i palących się szczątków.

- O Boże - wyszeptała jej instruktorka Joe Gibbs. Rachel była jak sparaliżowana, nie mogła wydobyć z siebie słowa. Przeraziła ją patrząca na płonące resztki rozrzucone po niebie i kadłub spiralnie spadający w dół. Nie było sensu rozglądać się za spadochronami, nie mieli czasu, żeby się katapultować. Zahipnotyzowana koszmarnym widokiem płonącego wraku, spadającego na ziemię, Rachel wpatrywała się w niego, gdy przelatywała nad nim. Ogień pochłonął go w kilka sekund. Mierzący szybko dopadła załogę, może tuż po eksplozji, albo po ujrzeniu pierwszych płomieni. Jedna sekunda strachu, płomienie i po wszystkim.

Całe ciało oblała jej pot, bała się zamknąć oczy, niemal czując, że ją otacza ogień. Patrzyła, drżąc ze strachu, gdy wstrząsnął nią szloch.

- W porządku, Goldman, otrząnij się - rozkazał ochryple Joe Gibbs. - Skup się na tym, co robisz. Zboczyła z kursu. Co z ciebie za pilot? Nic dziwnego, że się cię gubisz.

Ostra krytyka zmusiła ją do oderwania wzroku od dymiących szczątków. *Da-dit, da-dit*, rozlegające się w słuchawkach potwierdzały, że poleciała zbyt daleko w lewo, ale nic jej to nie obchodziło. Spojrzała na instruktorkę oczami pełnymi łez.

- W tym samolocie była moja przyjaciółka - powiedziała przez zaciśnięte z bólu i złości zęby.

- Pilotujesz ten samolot czy nie? - zapytał zimno.

- Tak! - krzyknęła i sprowadziła samolot na właściwy kurs, lokalizując sygnał, a w tym czasie on przez radio zawiadomił o wypadku baz w Big Spring.

Przed wieczorem Rachel przypomniała sobie, że instruktorka Helen, Frank Lawson, był przyjacielem Gibbsa. Najpewniej krzyczał na siebie równie ostro jak na nią, ale nie mogła mu wybaczyć gruboskórności w tym momencie, tak jak nie mogła zapomnieć ognia na niebie.

Avenger Field było wstrząsnięte śmiercią dwóch dziewcząt i ich instruktorki. Tragedia odsunęła na bok walkę między grupami z Houston i z Avenger. Latanie zawsze było dla nich ekscytującym wyzwaniem, dreszczykiem. W przeddzień promocji, zostały zmuszone do stawienia czoła rzeczywistości, która była niebezpieczna. Pilotowanie mogło się wydawać szczytnym służbą wspierającą działania wojenne, ale ryzykowały tym życiem.

Tego wieczora w pokoju, Cappy namówiła Rachel do opowiedzenia o tym, co się wydarzyło. Po bazie rozszły się już pogłoski, że była wiadomością o eksplozji.

Kiedy skończyła mówić, opuściła głowę i z gorzkością wspomniła:

- Helen błędnie nazwała go Bunson Burner*. Chyba wszystkie tak na niego mówimy.

W dniu promocji, klasa 43-K-3 maszerowała przed jednosilnikowym Texanem w kierunku podium, na którym Jacqueline Cochran czekała, by przypięć jej skrzydełka, a cztery nieliczne klasy przyglądały się uroczystości. Wszystkie pilotki, te w wojskowych siłach powietrznych, na szkoleniu, lub w dywizji transportowej Dowództwa Transportu Powietrznego, podlegały teraz całkowicie Dyrektorowi Kobiet Pilotów, Jacqueline Cochran, której oficerowie urzędowali w nowo wybudowanym Pentagonie. Nancy Harkness Love poprowadziła to dalej jako dyrektor WAF (Kobięcych Sił Powietrznych) w Dowództwie Transportu Powietrznego.

5 sierpnia 1943 roku, piloci i kursantki otrzymały oficjalny przydział Women Airforce Service Pilots (Obsługa Sił Powietrznych). Od tego dnia będą znane pod skrótem WASP.

* Palnik bunsenowski.

Dumnie noszą ci ko zapracowane srebrne skrzydełka, przypięte do kołnierza białej bluzki, Marty podniosła walizki i odeszła od wycofujących się z podjazdu taksówki, w kierunku domu. Detroit zmieniło się. Liczne fabryki sprężtu wojennego przyciągnęły do miasta tysiące ludzi, większość z nich przybyła z południa. W drodze ze stacji zauważyła wiele namiotów, szałasów i wilgotnych piwnic, zwanych „lisimi norami”.

Weszła po schodach na werandę dwupiętrowego budynku, oblana potem od sierpniowego upału. Z okna zwisała flaga - biała z czerwonymi brzegami i jedną niebieską gwiazdą - oznaczającą, że jedno dziecko jest na wojnie. Otworzyła drzwi frontowe i weszła, objęła cię kolanami.

- Halo! Czy jest ktoś w domu?

- Kto to? - odpowiedział jej kobiecy głos.

- Niespodzianka! To ja. Jestem w domu! - zawołała schrypniętym i radosnym głosem.

- Miała przyjechać dopiero wieczorem. - Matka pojawiła się w wejściu do hallu.

- Złapałam wczoraj pociąg. Pamiętasz, pisałam ci o tej bogatej dziewczynie, która mieszkała ze mną w pokoju. Jej szofer wiozł ją do Nowego Jorku i zabrałam się z nimi do Dallas, gdzie złapałam inny pociąg.

Postawiła walizki na podestach schodów i stanęła dumnie, z wypiętą do przodu pierś i w furażerze, spod której wyglądały krótkie loki w kolorze piasku.

- No i co o nich myślisz?

Althea Rogers chciała ją objąć na powitanie, ale zatrzymała się i zmarszczyła brwi.

- O czym?

- O moich skrzydełkach! - odparła Marty zrezygnowana i chwyciła kołnierzyk, by pokazać matce. - Patrz.

- Są bardzo ładne - powiedziała drobna, szczupła kobieta z odrobiną uznania, ale Marty wyczuła lekceważenie w jej głosie. Wiek zmienił ciemne włosy matki na stalowoszare, które czesała w kok, a po bokach układała w fale. Popatrzyła krytycznie ciemnymi oczami na ubiór Marty.

- Martho Jane, nie jechałaś w tym stroju, prawda? Publicznie w spodniach?

- Wiesz, jak nie znoszę tego imienia. Nie chcę, żeby mnie tak nazywała - zaprotestowała Marty. - Tak, jechałam w tym pociągiem. To jest nasz mundur, dopóki nie dostaniemy oficjalnego.

- Czy by? - Do hallu wszedł jej ojciec, lekarz, wysoki, wyprostowany jak strzała, z powściągliwą twarzą, przywykły do hamowania swoich uczuć i nieangażowania się osobiście w sprawy innych.

- Tato! - Marty objęła go i dostała całusa w czoło. - Rzecz oficjalnie nazwał nas WASP - wyjątkowa - co znaczy Obsługa Sił Powietrznych. Wiacie teraz masz dwoje dzieci w wojsku i możesz dodać jedną gwiazdkę do tej flagi w oknie.

- Obawiam się, że nie mogę tego zrobić - odparł z uprzejmym spojrzeniem. - Te gwiazdki oznaczają ludzi w siłach zbrojnych. Ty należysz do organizacji cywilnej, przyłączonej do wojska, ale nie będącej jego częścią.

- Jesteśmy - upierała się Marty. - W tej chwili mamy status oficerski i wszystkie przywileje należne tej randze. Gdyby David był w domu, musiałby mi salutować, ponieważ jest zwykłym żołnierzem.

- Szkoda, że ci nie było, kiedy on był w domu na przepustce, pod koniec czerwca. Wyglądał tak przystojnie w mundurze - powiedziała matka, biorąc ją pod ramię. - Chodź. Chcę ci pokazać zdjęcia, które zrobili my podczas jego pobytu. Miał tyle wstępek i znaczków przypiętych do munduru - medal dla wyborowego strzelca i inne. - Wprowadziła Marty do pokoju gościnnego. - Był straszny upał w czasie wizyty Davida. Przyjechał na przepustkę, chciał wyjść do miasta i się zabawić, a w Detroit był stan wyjątkowy, godzina policyjna i policja federalna

patrowała ulice. To zepsuło mu urlop.

- Słyszałam o tym - odparła, czując narastającą niechęć. Była w domu zaledwie od pięciu minut, a rozmowa już koncentrowała się na Davidzie.

- Czy mama pisała ci, że David wyjechał? - Ojciec usiadł w fotelu, a matka na sofie i otworzyła oprawiony w skórę album do zdjęć. - Cała sto pierwsza dywizja powietrzna została wysłana do Anglii.

- Mam się zameldować u Jacqueline Cochran w Pentagonie. Kilka innych dziewcząt dostało taki sam rozkaz, nie wiemy tylko, co b dziemy robi. To trochę tajemnicze.

- Myślę, że David pójdzie niedługo do akcji - powiedział ojciec.

- Spójrz na to zdjęcie Davida. Zostało zrobione tego dnia, gdy przyjechał do domu. - Matka położyła album na kolanach Marty i wskazała zdjęcie. - Nie widać tu zbyt dobrze, ale na werandzie wisiał ogromny transparent: „Witaj w domu”.

Cały album wypełniały zdjęcia jej brata. Z gorzką rezygnacją Marty rozumiała, że o ile Detroit się zmieniło, o tyle w jej domu nie zaszły żadne zmiany.

W otoczeniu grubych białych dywanów, na środku pokoju stała czarna, marmurowa wanna wypełniona gorącą perfumowaną wodą i obfitującym pianą. Eden poddawała się kojącej pielęgnacji skóry, wyciągała się na całe długo. Włosy spięła na czubku głowy w bezładną masę loków, starannie odgarnięte były tylko na karku, by nie zmoczyły się od piany.

Przez przymknięte powieki zobaczyła wchodzącego starszego mężczyznę o siwych włosach, ubranego w wykrochmalony czarny uniform, w którym najwyraźniej nie czuł się zbyt dobrze. Podeszła do marmurowej wanny i weszła po dwóch schodkach na podest.

- Pani drink.

Oczywiście Eden wzięła szklankę ze szkocką z podanej tacy.

- Dziękuję.

Nie mogła sobie przypomnieć imienia służącego. W czasie jej nieobecności niemal całkowicie zmieniła się służba w apartamencie rodziców na Manhattanie. Pocięgnięła niewielki łyk wiekowego napoju i poczuła przyjemne gorące spływające do gardła.

- Panienko. - Służący nadal stała przy wannie i Eden niechętnie otworzyła oczy. - Jakiś dyment chce się z panią widzieć. Co mu powiesz?

- Powiedz, że jestem niedysponowana, i niech zadzwoni później. Nie, zaczekaj! - Eden podniosła szklaneczkę szkockiej. - Kto to jest?

- Jakiś pan Steele, proszę pani.

- Ham?! Wprowadź go! - rozkazała, ciesząc się na myśl spotkania wiernego adoratora.

Hamilton Steele nie wzbudzał w niej przypięzonego bicia serca, ale był serdecznym przyjacielem. Eden zignorowała zgorzzone spojrzenie służącego, która wyszła z przestronnej łazienki. Wzięła kolejny łyk szkockiej i delektowała się jej smakiem.

Po kilku minutach służący przyprowadziła potomka nowojorskiej rodziny bankierów. Konserwatywny do szpiku kości Hamilton Steele miał na sobie ciemny, konieczny w cienkie paski garnitur i jedwabny krawat. Okulary w metalowej oprawce ściśle przylegały do głowy, a grube szkła powiększały przenikliwie, lecz przyjazne

oczy. Był w niezłej formie, pomimo siedz ce go trybu ycia i przekroczenia czterdziestki, o czym wiadczyły rzędne włosy. Eden za miała si na widok jego zmieszania, gdy zobaczył j zanurzon w wannie pełnej piany.

- Ham, kochany, wejd . - R k , w której trzymała drinka, wskazała wykwintne mosi ne krzesło, z siedzeniem pokrytym białym pluszem, stoj ce w rogu łazienki. Po chwili wahania, oddał kapelusz słu cej.

- Jak przyjdzie masa ystka, niech poczeka - powiedziała Eden i rzuciła rozbawione spojrzenie na Hamiltona. - Napijesz si czego , Ham?

- Nie. Dzi kuj . - Obserwował, jak słu ca wychodzi, a potem podci gn wszy lekko nogawki, usiadł na krze le przodem do wanny. Odzyskawszy pewno siebie, zdobył si na odrobin wymuszonego humoru.

- Moja znajomo historii mo e by niedoskonała, ale wydaje mi si , e od czasów wiktoria skich damy nie przyjmowały d entelmenów w buduarach - zanurzone w wannie.

Eden za miała si i zanurzyła gł biej, rozkoszuj c si k piel w pachn cej pianie i gor cej wodzie.

- Gdyby tylko wiedział, jak marzyłam o tej chwili, po sze ciu miesi cach mycia si pod letnim prysznicem - mrukn ła. Po chwili, poci gaj c łyk drinka, dodała: - Byłabym zapomniała podzi kowa ci za kwiaty. Czekają na mnie, kiedy wczoraj przyjechałam. Było mi szczególnie miło, poniewa w domu nie było ani mamy, ani taty, by mnie przywita .

- Przykro mi. Gdybym wiedział, wyszedłbym po ciebie na dworzec.

Popatrzyła na niego przez gór piany. Zabawne, jak czas potrafi wpływa na pami . Jego ciemne włosy wydawały jej si rzadsze, ni pami tała, cho były starannie zaczesane, by ukry powi kszej c si łysin . Jednocze nie s dziła, e jest ni szy, podczas gdy faktycznie był tego samego wzrostu co ona. Okulary w złotej oprawce nadawały mu intelektualny wygl d, ale ju zapomniała, jak czasami te oczy potrafi błyszczce . Pomimo powa nego usposobienia, był dobrym człowiekiem. Mał e stwo z nim nie było najgorsz rzecz , jak mogła si jej przytrafi . Eden omal si gło no nie roze miała, zdaj c sobie spraw ze swoich my li.

- Gdyby naprawd troszczył si o mnie, Ham, czekałby na mnie z najlepsz whisky w Nowym Jorku - o wiadczyła. - Nie masz poj cia, jak bardzo mi tego brakowało. Ju uprzedziłam tat , e zamierzam si bawi . Zasu yłam sobie na to i mam zamiar to wykorzysta . Teatr, najlepsze restauracje, najmodniejsze stroje i taniec do witu. - Podniosła kieliszek w toa cie dla jej planów. - Nigdy wi cej muzyki z szafy graj cej, nielegalnego alkoholu i gulaszu!

To wyznanie uspokoiło obawy, które dr czyły go w czasie jej nieobecno ci. Fascynacja lataniem nie stłumiła w niej zamiłowania do wygodnego ycia. Cierpliwo ci nadrabiał niedostatek czaru osobistego. Przeczekał jej romans z szoferem i flirt z pewnym zubo ałym włoskim ksi ciem, a tak e paru innych niedoszłych narzeczonych. Zawsze wracała do niego. Hamilton Steele był pewien, e w ko cu zostanie jego on .

Była samolubna i zepsuta, ale nie pozbawiona rzetelno ci. Hamilton rozumiał to, tak samo jak zdawał sobie spraw , e Eden nadal marzy o wielkiej nami tno ci, czy chciała si do tego przyzna , czy te nie. Mógł jej powiedzieć , e to tylko romantyczna bzdura, wiedział o tym, bo był od niej starszy o jakie osiemna cie lat i m drzejszy.

Mogli stworzy zgodne, trwałe mał e stwo, gdy ł czyło ich pochodzenie i upodobania, a ró nica charakterów mogła doda smaku takiemu zwi zkowi. Jej otwarta niepoohamowana natura nie pozwoli mu si nudzi , a jego spokój sprawi, e b dzie bardziej uwa ała na swoje zachowanie. Tworzyli dobran par - on do wiadczonej i dojrzałej, a ona młoda i pełna ycia.

- Bardzo się cieszę, i tak mówisz, droga Eden. - Hamilton sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Przypadkiem mam na dzisiejszy wieczór dwa bilety na przedstawienie *Oklahomy!* Krytycy zachwycali się nim i miałem nadzieję, że zechcesz dotrzymać mi towarzystwa.

- Ham, jesteś kochany! Oczywiście, że chętnie z tobą pójdę. A później możemy zjeść kolację w Twenty-One albo w Stork Club, a potem Copacabana, Latin Quarter... Kto jest w Wedgwood Room? Moglibyśmy tam pójść. - Chęć zajrzeć wszędzie! - zakończyła Eden z entuzjazmem.

Kuszący blask jej mlecznobiałego ciała rozpraszał jego uwagę. Był może był cierpliwy, ale nie był wiarygodny. Nie potrafił siedzieć spokojnie i patrzeć na jej coraz bardziej widoczną nagość, ale nie chciał być arogancki.

- Niech o tym mówi, Eden, ale twoja... piana się rozpuszcza - mruknął dyskretnie.

- Biedny Ham! - Za miała się z jego skromnością, ale przyznała mu rację. - Przynieś mi jeszcze jednego drinka, a ja w tym czasie wyjdę z wanny.

Niemal każdego wieczoru podczas jej urlopu, Hamilton Steele zabierał gdzieś Eden - w ciemne zakątki Broadwayu lub do nocnych klubów z jaskrawym pluszem i wymyślnymi występami. Nie zwracał uwagi na gości w koszulach z krótkimi rękawami, wymachujących książeczkami czekowymi i siedzących w pierwszym rzędzie, oraz gromady odnierzy tłoczonych wokół sceny.

Dopóki Hamilton nie płacił wygórowane ceny, mógł dostać bilety na każde przedstawienie w mieście, a studencki rachunek gwarantował mu najlepszy stolik w każdym nocnym lokalu. Siedzieli przy jednym z takich stolików, podłoga lokalu pokrywał gruby dywan, ściany obito pluszem i jedwabnymi draperiami - ekstrawagancja i zbytek, którego pragnęli ludzie szukający ucieczki.

- To było okropne. - Eden wyraziła swoją opinię na temat *Winged Victory* Mossa Harta, popijając whisky. - Niech nam Bóg pomoże, jeśli nasi odnierze są tak bezmyślni, jak ci w tej sztuce.

- Moja na współczucie ich - odezwał się Hamilton. - Szczególnie kiedy jedna z nich skarży się, że mówi tylko o lataniu.

- Uwaga, że ja tak się zachowuję? - zapytała z niewinnym minem.

- Moja droga, mówisz niewiele mniej. Prawdopodobnie wiem o AT-6 tyle co ty - odparł sucho. - Jak na kogoś, kto tak strasznie narzeka na niewygodę, jakich zaznał, objawiasz niezwykle zamiłowanie do tego. Gdyby nienawidziła tego tak bardzo, jak mówisz, to by zrezygnowała.

- Uwielbiam to - przyznała Eden. - Piasek, słota i reszta. - Z rzadku niej szczerze ci dodała: - Oczywiście, że wiedziałam, że to tylko na jakiś czas i dlatego traktowałam to jak przygodę.

- To prawda. - Hamilton uspokoił się.

- Ty nie lubisz latać, prawda? - Przyglądała mu się spod oka.

- Gdyby człowiekowi dane było latać... - Nie dokończył oczywistego stwierdzenia. - Mówmy dziś o czym innym.

- Na przykład? - Nic innego jej nie interesowało, więc rozejrzała się, szukając czegoś ciekawego. Zatrzymała wzrok na wysokiej blondynce, wychodzącej właśnie nie z kulis bocznym wyjściem. Nie miała na sobie znajomego stroju lotniczego, więc minęła ją chwilą, zanim Eden ją rozpoznała.

- Rachel! - wykrzyknęła zaskoczona, zapominając o ich nienajlepszych stosunkach.

Słyszając swoje imię, Rachel rozejrzała się. Kiedy zauważyła Eden, zawahała się na moment, ale w końcu podeszła do ich stolika. Hamilton uprzejmie wstał, onieśmielony, gdy Rachel znacznie przewyższała go

wzrostem.

Eden dokonała prezentacji i, starając się ukryć ciekawość, zauważyła:

- Nigdy nie spodziewałabym się spotkać tu ciebie. Chyba to dowodzi, że Nowy Jork jest tak naprawdę małym miastem.

- Odwiedziłam paru znajomych za kulisami. - Rachel zachowywała dystans wobec wścibskiego spojrzenia Eden. - Kiedy tutaj ta czytałam.

- Pozwoli pani zaprosić się na drinka? - Hamilton wskazał puste krzesło.

- Jestem z kimś. - Jakby na zawołanie jakiś mężczyzna przecisnął się przez ciasno ustawione stoliki i stanął obok Rachel. Miał czarne włosy i przenikliwe, niebieskie oczy, był trochę niższy od Rachel, ale dobrze zbudowany, więc nie przytłaczała go swoim wzrostem.

- Znowu jacyś znajomi? - zapytał, zmuszając tym Rachel do przedstawienia go.

Zrobiła to z niechęcią.

- Zach Jordan, mój przyjaciel. - Nic wydawała się tego pewna.

- Eden van Valkenburg. Rachel i ja latałyśmy razem w Sweetwater - poinformowała go Eden, przyglądając się oceniająco przystojnemu mężczyźnie nie w mundurze wojskowym. - To jest Hamilton Steele.

- Miło mi. - Z pewnością nonszalancją, Zach Jordan podał rękę Hamiltonowi, kłaniając się lekko.

Hamilton powtórzył swoje zaproszenie.

- Właśnie proponowałem drinki dla wszystkich...

- Odpowiedziałam, że już wychodzimy - przerwała mu Rachel. Zach wyglądał na rozbawionego.

- Może innym razem - powiedział, by złagodzić szorstkość odmowy Rachel.

Eden w zadumie patrzyła, jak idą w kierunku wyjścia. Kiedy zniknęli z pola widzenia, łyknęła drinka i zauważyła, że Hamilton przygląda się jej.

- Co jest nie tak? - zapytała.

- Przystojny ołnierz - stwierdził, wzruszając ramionami.

- Ham, ty jesteś zazdrosny? - spytała Eden z uśmiechem.

- Zazdrosny? - powtórzył, jakby się zastanawiając. - Może liwe. Ale wiem, że nadejdzie dzień, kiedy odkryjesz, że możesz mnie pokochać.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego, nie znajdując odpowiedzi, która nie zraniłaby jego uczuć. Lubiła go, ale przypominało to przywiązanie do ulubionego zwierzątko. Wiele lat temu powinna zakochać się w tym znajomym, ale samolubnie pragnęła jego przyjaźni.

Za prześwietlającą kurtyną orkiestra zaczęła grać pierwsze takty piosenki, sygnalizując początek występu, co pozwoliło Eden uniknąć odpowiedzi.

Była ciepła letnia noc na Manhattanie. Od czasu do czasu pomiędzy wysokimi ścianami budynków wiał lekki wiaterek. Lekkim krokiem tancerki Rachel szła chodnikiem, nie zwracając uwagi na ołnierz idącego obok. Na schodach przed budynkami siedzieli ludzie, młodzi i starzy, rozkoszując się nocnym powietrzem.

Zach odwrócił głowę i patrzył na jej piękny profil,

- Dlaczego mnie ignorujesz?

Rachel zatrzymała się i obróciła, by stawić mu czoło.

- Słuchaj, nie prosiłam ci, żeby poszedł ze mną. Sam się wprosił. Cały czas mówisz tylko o Palestynie. A mój ojciec nic innego nie robi, tylko się modli.

Miała przed oczami obraz ojca z biało-czarnym szalem do modlitwy na ramionach, kołysz cęgo się i rozmawiaj cęgo z Bogiem. Gdy coraz więcej opowie ci o prześladowaniach żydów przez hitlerowców docierało do Stanów Zjednoczonych, jej ojciec stał się bardziej religijny. Jeśli chodzi o Rachel, to wzrósł jej niepokój o bezpieczeństwo babci.

- Adnych pouczę. - Umiechnął się, ukazując dołki w policzkach. - Jesteśmy do siebie podobni, Rachel. Obawy, które ka twojemu ojcu się modli, nam ka podjąć i walk.

Ten człowiek już czył, irytował swoją arogancją, błysk w jego oczach wzniewał niepokój, który klócił się z jej niechęcią. Spotkała Zacha Jordana dwa dni po powrocie. Nie miał domu, więc spędził urlop u rodziny żydowskiej, której syn był jego kolegą z wojska.

Mieszkali w siedzibie rodziców Rachel. Przy pierwszym przypadkowym spotkaniu coś między nimi zaiskrzyło.

- Ja nie walczę. Latam samolotami. - Podkreśliła to, by zaprzeczyć, że cokolwiek mają wspólnego. - W wojsku nie wierzę, że kobiety potrafią walczyć.

- Nigdy nie słyszeli o Deborah - odparł gładko.

- Jakie to ma znaczenie? - Zniecierpliwiona chciała odwrócić się i ruszyć dalej, ale chwycił ją za ramiona. Poczwała ciepły dotyk jego rąk, mocny uchwyt, ale nie za silny. Nagła rozterka nie pozwoliła jej się ruszyć, kazała zmagać się ze sprzecznymi reakcjami emocjonalnymi.

- Ma znaczenie - powiedział Zach. - Kiedy wojna się skończy ty i ja będziemy lub.

- Nie! - wykrzyknęła zaszokowana niedorzecznym przypuszczeniem, że wyszłaby za zupełnie obcego człowieka.

Ale on kontynuował, jakby w ogóle nic nie mówiła.

- Pojedziemy do Palestyny. Nie będziemy już żydami tułaczami, bez kraju ojczystego. - Przyłożył do jej policzka dłoń, delikatnie głaszcząc kciukiem brodę i przyglądając się jej twarzy, a zatrzymał wzrok na ustach. - Nasze dzieci się tam urodzą, jako prawdziwi Izraelczycy.

Lekko przyciągnął ją do siebie i zanim ich usta się spotkały, Rachel poczuła jego ciepły oddech i zapach gładkich policzków. Potem zmysły ni zawaładnęły pod wpływem dotyku jego ust. Podobał się jej ten pocałunek, miały, arliwy, pragnęły odzewu z jej strony.

Kiedy oderwał się od niej, popatrzył na nią uważnie. Umiechnął się z satysfakcją, a błękitne oczy nieco pociemniały. Zach Jordan był tak strasznie pewny siebie, że Rachel poałowała, że ten pocałunek sprawił jej tyle przyjemności.

Znowu przyjęła obojętne postawę, by ukryć swój wrażliwość. Odwróciła się i ruszyła ulicą, patrząc prosto przed siebie.

- Strasznie dużo o sobie wyobraźasz, Zachu - powiedziała ironicznie. - Dlaczego mylisz, że interesuję mnie takie rzeczy?

Szedł obok niej, również patrząc przed siebie i nadal umiechnął się.

- Ponieważ jesteśmy do siebie podobni, ty i ja. Chcemy tego samego. Chcemy walczyć o to, by mogła być żydem.

- To idealizm. - W jej tonie zabrzmiało szyderstwo. - Mam uwierzyć w te bzdury?

- Ka de słowo było powa ne - upierał się łagodnie.

- Innymi słowy - Rachel spojrzała na niego z boku - prosisz mnie, abym za ciebie wyszła?

Z dobrotliwym wyrazem oczu odwzajemnił jej sceptyczne spojrzenie, zauważając w nim wyzwanie i odpowiedział po prostu.

- Tak.

Zmieszana tą bezpośrednią odpowiedzią, gdy spodziewała się go zaskoczy, Rachel przy pieszyła kroku.

- Czy mówisz tak dlatego, że wiesz, że odmówi? - zapytała oskarżycielskim tonem.

- Oczywiście. Ale uwierz, pobierzemy się i urodzisz mi synów - powiedział Zach z przekonaniem.

Rachel była poruszona tym, jak bardzo chciała mu wierzyć. Drzwi otworzyły się, rzucając trochę światła na chodnik. Kiedy ona dostrzegła brązowy kolor jego munduru.

- Jesteś żołnierzem i jedziesz na wojnę - przypomniała mu.

- Przysięgam, że nie zginę - odparł z uśmiechem, biorąc ją za rękę.

Zdenerwowało ją to, że mówi o takiej możliwości z rozbawieniem.

- artujesz! - rzuciła oskarżycielsko.

- Zależy ci na mnie - odparł Zach z aroganckim, zadowolonym wyrazem ciemnej, przystojnej twarzy. Nagle niemożliwe stało się odmówi jego daniu.

- Rachel. Rachel. - Mruczał jej imię z taką słodyczą i czuło się. - Mój urlop się wkrótce skończy i będę musiał się wracać do jednostki. Spędźmy razem ten czas, który mi został.

Okna ciemnego pokoju hotelowego stały szeroko otwarte, wpuszczając kiedyś powiew wiatru, jaki się pojawił. Przez czeradła szeleściły, gdy ich ciała się poruszały, patrzyli na siebie w mroku. Odgłosy miasta - dźwięk klaksonu czy krzyk pijaka - wcale im nie przeszkadzały.

Przyglądając się jego twarzy, gestom czarnym brwiom i nieprawdopodobnie niebieskim oczom, Rachel czuła ciepło, odprężenie i błogość. Ten intymny moment stanowił ciąg dalszy seksualnego zbliżenia, które przeżyli przed chwilą.

- A nie mówiłem, że będzie dobrze? - pochwalił się Zach. Pochylił się nad nią i pocałował w ramię, potem przesunął dłoń i gładził jej biodra.

- Wcale nie pamiętam, bym się zgadzała na cokolwiek - odparła, a uśmiech satysfakcji nie opuszczał jej twarzy.

- To dlatego, że o nic nie prosiłem.

W tak słodkim nastroju Rachel nie potrafiła obrazić się za te typowe męskie uwagi. Szczególnie gdy Zach delikatnie ugryzł ją w ramię, a potem podniecając ją łaskotał dekolt i piersi. Zatopiła dłonie w jego ciemnych włosach, poddając się pieszczotom. Drażnił ją zrykiem nabrzmiałe piersi, doprowadzając ją ponownie do szczytu uniesienia.

Została przyciśnięta jego ciężkim, umiarkowanym ciałem, a ich nogi splótły się. Słowa były niepotrzebne, ale mrucze do siebie słowa miłości, a ręce w drowały po ciałach, pieszcząc najbardziej intymne miejsca. Wkrótce rosnące po daniu wzbudziło potrzebę mocniejszego ucisku, pośczenia.

Mając przy sobie cienie wojny przypominały, że trzeba się spieszyć. Trzeba chwycić kiedyś moment szczęścia i delektować się nim. Rachel było obojętne, że skazuje się na cierpienie. Pomimo zapewne Zach nie mógł

zagwarantowa , e prze yje wojn . Za kilka dni wyjedzie i mo e nigdy nie wróci, dlatego nale ało si cieszy chwilami szcz cia, tym bardziej e były krótkie.

Gdy na niebie pojawiły si pierwsze oznaki nadchodz ego witu, Zach odprowadził Rachel przed drzwi domu jej rodziców.

- Porozmawiam z twoim ojcem o nas.

- Nie. - Rachel nie miała zamiaru udawa , e istnieje dla nich jaka przyszło . - My lisz, e wy l ci na Pacyfik?

- Siódma walczy na Sycylii - odparł po krótkiej przerwie. - Przyczółki na Pacyfiku s w r kach marynarki i marines. Walki artylerii to wojna nerwów. Du a grupa zostanie wysłana do Europy.

Przysun ł si bli ej do niej, głaszcz c jej rami odruchowo, jakby chciał powiedzie , e jeszcze si ni nie nasycił.

- Zostały nam tylko dwa dni.

Tak mało czasu. Rachel miała ochot płaka , ale przecie toczyła si wojna. W gł bi serca, marzyła o tym, by móc pojecha z Zachem i walczy u jego boku. Popatrzyła na drzwi domu rodziców i zaproponowała:

- Chod my co zje .

Wsz dzie w Waszyngtonie panował tłok, a hotel Mayflower przy Connecticut Avenue nie był wyj tkiem. W restauracji go cie siedzieli rami w rami ; stoły i krzesła stały wsz dzie, gdzie tylko znalazło si miejsce, nie zostawiaj c wiele przestrzeni do chodzenia. W sali zwykle wypełnionej m czyznami w ciemnych garniturach, teraz dominowały mundury we wszystkich krojach i kolorach, jakie istniały w wojsku, dobrana kolekcja urz dników pa stwowych - „dolar- rocznie” i „pi cioprocentowców”. Ci ostatni zostali tak nazwani, poniewa tyle wynosił ich udział w kontraktach rz dowych, które negocjowali z biznesmenami. Ludzie „dolar-rocznie” otrzymywali t sum jako pensj rz dow , odpowiednio uzupełnian przez ich firmy. Utrzymywali posady rz dowe i u ywali swoich wpływów, kiedy tylko mogli, na rzecz swojej firmy. Do specjalnej atmosfery restauracji przyczyniał si słyszany wokół obcy akcent, bywaj cych tu dygnitarzy dyplomatów.

Wypuszczaj c ostatni kł b dymu, Cappy zgmiotła papierosa w popielniczkę i spojrzała na matk , siedz c po przeciwnej stronie stołu.

- B d równie uparta jak on - powiedziała, ałuj c, e matka była wci gni ta w konflikt mi dzy ni i ojcem. - Nie przyjd do domu, dopóki on mnie nie zaprosi.

- On jest zbyt dumny. - Matka błagała j o rozs dek.

- Nie ma monopolu na dum - odparła sztywno. Podpisała rachunek, wzi ła torebk i odsun ła si od stołu. - Idziemy?

Nie czekaj c na zgod matki, wstała i ruszyła labiryntem mi dzy stolikami w kierunku kasy. Pokazawszy kasjerowi klucz do pokoju i oddawszy mu rachunek, Cappy poszła dalej do bogato wyposa onego hotelowego hallu, pełnego ludzi. Tam zatrzymała si , by zaczeka na matk .

- Nie rozumiem, jakim sposobem sta ci na pobyt tutaj. - Sue Hayward rozejrzała si dokoła.

Wła ciwie nie było jej sta , ale nie przyznała si do tego przed matk . Przez pierwsze dwa tygodnie urlopu miała szcz cie, zatrzymała si w apartamencie przyjaciółki. Nikt w Waszyngtonie nie mógł sobie pozwoli na takie opłaty. Cappy płaciła wi c swoj cz czynszu podczas pobytu u Annie. Kiedy kole anka znalazła kogo

ch tego do mieszkania na stałe, Cappy przeniosła się do Mayflower.

- To tylko chwilowo - przypomniała matce. - Musz się zameldować za dwa dni w nowym miejscu.

Jej pobyt w hotelu był bardziej tymczasowy, niż się zdawała matka, ponieważ zarząd hotelu ograniczył pobyt jednej osoby do trzech dni. Cappy spędziła tu właśnie trzecią noc. Jeśli nie zdoła przekonać dyrekcji, by przymknęła trochę oko na przepisy - będzie zmuszona znaleźć pokój w innym hotelu.

- Tak się cieszę, że będziesz stacjonować w pobliżu - powiedziała matka. - Bałam się, że wyłazi gdzieś do Kalifornii lub w jakieś inne odległe miejsce.

- Wiem. - Pomimo zaprzeczeń matki, Cappy podejrzewała, że ojciec użył swoich wpływów, by załatwić jej ten przydział w bazie lotniczej niedaleko Waszyngtonu. Wyglądało, jakby robił to, by mieć na nią oko.

W hallu powstało pewne zamieszanie, gdy weszła wysoka, oszałamiająca rudowłosa dama, a za nią niewielkie towarzystwo złożone z dobrze ubranego, lecz skromnego mężczyzny, słuchającego niosącego pudła z kapeluszami i trzech tragarzy z tak samo liczbą kufrów. Rozpoznawszy kobietę, Cappy uśmiechnęła się.

- Eden! - zawołała i pociągnęła matkę przez hali na spotkanie sztywnej kobiety w niebieskiej lnianej sukni. - Kto kiedy mówił o wchodzeniu - powiedziała Cappy, gdy się już ucisnęły. Popatrzyła na kufry. - Niczego się nie nauczyła w Sweetwater?

- Och nie, nie zamierzam znów popełnić tego błędu - zapewniła jej Eden. - Dwa kufry pojedź z powrotem do Nowego Jorku, zanim się zameldujesz. Ham i ja postanowiliśmy przyjechać parę dni wcześniej i chciałam mieć mnóstwo strojów - wyjechała z przebiegłym uśmiechem. - Kto wie, kiedy będzie miała następną okazję nosić.

Chwilę zajęły prezentacje. Cappy przedstawiła Eden matce, a im przedstawiono mężczyznę towarzyszącego cęcej Eden. Znała nazwisko Hamiltona Steele'a i z ciekawości przyglądała się mężczyźnie, który, jak mówiła Eden, chciał ją poślubić. Cappy zastanowiła się, czy ich wspólna podróż ma jakieś znaczenie. Ale Eden najwidoczniej traktowała swojego towarzysza bardzo lekceważąco.

- Prosz mi wybaczyć, pójdę sprawdzić nasze rezerwacje. - Hamilton Steele uśmiechnął się uprzejmie do Cappy i jej matki i odszedł.

- Wydaje się miły - powiedziała badawczo Cappy.

Eden wzruszyła ramionami.

- Słabo za młodzi, albo za starzy - powiedziała z grymasem. - Zdecydowałam, że stary jest lepszy.

- To nie jest miłe. - Cappy była zaskoczona nieczułością Eden.

- Nie jest - zgodziła się. - Ale nie jestem miła dla Hama.

Znaczenie tych uwag umykało pani Hayward, która bardziej była zainteresowana córką.

- Czy pani została przydzielona do tej samej bazy co Cappy, panno van Valkenburg? Latałyście razem w Sweetwater, więc byłoby wspaniale, gdybyście były dalej razem.

- Nic nie wiem o moim przydziale - odparła Eden. - To wszystko jest tajne i tajemnicze. Mój rozkaz brzmi po prostu: zameldować się u Jacqueline Cochran, pokój 4D957, Pentagon. Prawdopodobnie, wszystkie z naszego pokoju - z wyjątkiem Cappy - otrzymały takie same instrukcje.

- To dziwne - mruknęła pani Hayward.

- Tak. Jadłyście lunch? - zapytała Eden, zmieniając temat.

- Tak - odpowiedziała Cappy, a matka spojrzała na zegarek.

- Czas już, żebyśmy złapały autobus do domu, jeśli nie chcemy utknąć w popołudniowych korkach. Miło mi było

pani pozna , panno van Valkenburg. Do widzenia Cappy. - Pocałowała córkę w policzek.

Kiedy odeszła, Eden zapytała domy Inie:

- Nadal nie pogodziła się z ojcem?

- Nie - przyznała Cappy bez wyrzutu.

- Gdzie się zatrzymała ?

- Mam tu pokój. - Cappy wyjaśniła swój kłopot, przepisy hotelowe i niepewność, gdzie będzie spała tej nocy.

Pomimo perswazji Eden i Hamiltona Steele'a, dyrekcja nie zmieniła zdania, upierając się, że nie robi żadnych wyjątków. W końcu Cappy spakowała walizki i wezwała chłopca hotelowego, żeby zniósł je na dół, do hallu.

- Znam paru pracowników w Carltonie - powiedział Hamilton Steele, gdy Cappy wróciła do nich. - Je li chcesz...

- Cappy! - W niskim głosie, który jej wołał, wyraźnie słychać było złość i rozdrażnienie. Cappy odwróciła się i zobaczyła Mitcha Ryana w mundurze majora, przeciskającego się przez tłum w hallu. Po drodze zmuszony był kilka razy się zatrzymać i zaszalutować oficerowi wyszemu rangi. Irytacja nadal brzmiała w jego głosie, gdy do niej dotarł.

- Od trzech dni usiłuję cię znaleźć. Co tutaj robisz? Miała się zatrzymać u Annie Kramer. Poszedłem do niej do pracy i powiedziała mi, że mieszkasz tutaj.

Cappy w skrócie wyjaśniła swoją sytuację, po czym przedstawiła Eden i Hamiltona. Mitch przywitał się i postarał się opanować swoje zniecierpliwienie.

- Przez ostatnie dwa tygodnie byłem na inspekcji - zaczął. Przerwał i obejrzał się za Cappy, salutując na widok generalskich gwiazdek na brązowym mundurze. - Odkąd wróciłem, próbuję cię znaleźć.

- Nie wiedziałam - odpowiedziała.

- Czy to twój bagaż? - Wskazał stos stojący obok Eden i gdy Cappy kiwnęła głową, zaczął zbierać pakunki.

- Na zewnątrz stoi mój jeep - powiedział Mitch i pociągnął Cappy za ramię, przepaszając Eden i Hamiltona. Prowadzą ją do drzwi, minęli kolejnego oficera, tym razem pułkownika, któremu musiał zaszalutować.

- Wyjdźmy stąd - mruknął jej do ucha. - Wyciu nie widziałem tyłu oficerów w jednym miejscu.

Gdy wyszli, Mitch pomógł jej wsiąść do samochodu i zapakował jej bagaż do tyłu.

- Nie miałam czasu, żeby dokonać rezerwacji w innym hotelu - uprzedziła go Cappy.

- Nie szkodzi. Wiem, gdzie możesz się zatrzymać. - Wskoczył do jeepa i usiadł za kierownicą.

Mitch musiał skupić się na prowadzeniu, ponieważ ulice miasta były bardzo zatłoczone. Cappy nie rozpraszała jego uwagi pytaniami o cel ich jazdy, gdy przeciskał się w korku między samochodami i motorami. Minęli pomniki Lincolna i Washingtona, przejechali na drugą stronę Potomacu i zbliżyli się do cmentarza w Arlington.

Ruchem głowy Mitch zwrócił jej uwagę na to miejsce. Na wzgórzu odbywał się właśnie pogrzeb, widać było prostokątną ziemię wykopaną w wypalonym słowem trawie.

- Będzie ich więcej, zanim to się skończy - powiedział ponuro.

Cappy zgadzała się z nim, ale nie skomentowała tej uwagi. „Krotce minęli ogromny budynek Pentagonu, a Mitch skręcił z głównej ulicy w aleję, gdzie stały domy mieszkalne, i zatrzymał się przed jednym z nich.

- Kto tu mieszka? - zapytała Cappy, przyglądając się budynkowi, gdy wysiadała z jeepa.

- Ja. - Mitch wziął jej bagaż i ruszył do wejścia.

- Nie zostanę tutaj. - Poszła za nim do drzwi mieszkania, zaskoczona i niezbyt pewna jego intencji.

- To lepsze niż drogi hotel - powiedział i otworzył drzwi, popychając je walizką.

- A gdzie ty będziesz mieszkał? - zapytała Cappy. W środku było gorąco i duszno, ale dwupokojowe mieszkanie wyglądało na wygodne, szczególnie wielka kanapa z grubym siedziskiem.

Postawiwszy bagaże na podłodze, Mitch zaczął rozpinąć ciemnobrązową kurtkę wojskową i zdjąć ją.

- Otwórz okno, żeby tu trochę przewietrzyło - powiedział i sam podszedł do innego okna, rozpinając guzik kołnierzyka i zdejmując krawat.

W parę minut Mitch włączył wiatrak, podał Cappy zimne piwo i przypalił jej papierosa. Usiadł na kanapie, wygodnie się oparł i położył nogi na długim, niskim stole, stojącym przed nim. Tyle razy już się spotkali, a jeszcze nigdy nie widziała go bez munduru. Jej wzrok zabił dziwnie na opalony fragment torsu i krótkie włosy wystające spod białego podkoszulka. Te szczegóły ją rozpraszały.

- Nadal jesteś na mnie zła za to, co było w Sweetwater? - zapytał Mitch, uważnie się jej przyglądając.

- Nie. - Wpatrywała się w bursztynowy płyn w szklance.

- Czy może postawię ci coś do picia? - zastanawiał się, cały czas ją obserwując. - Czy adorowałem cię zamiast podrywać?

Te pytania ją bardzo zgadzały się z jej ukrytymi myśleniami. Wstała z kanapy i podeszła do okna.

- Wiesz coś więcej na temat mojego przydziału? Za plecami usłyszała, jak Mitch wstaje i podchodzi do niej. Zaciśnięta mocniej palce na liskiej szklance.

- Będziesz woził generałów, pułkowników... i niektórych majorów... - Położył dłonie na jej ramionach i zaczął lekko gładzić. - ...do różnych baz w okolicy. To będzie naprawdę ciękała służba - noclegi w najlepszych hotelach, posiłki w klubie oficerskim.

- Czy to za sprawą mojego ojca dostałam ten przydział?

- Dlaczego tak się dajesz? - Mitch pochylił głowę i zaczął łaskotać jej ucho.

Niemal straciła oddech, więc szybko wyrwała się i odwróciła do niego.

- Czy to on załatwił? - nalegała, próbując zignorować przyśpieszony puls, ale on patrzył tylko na jej usta. Szybko opuściła głowę i odwróciła się znów do okna, zaciągając się papierosem.

- Myślałem, że wiedziałabym, gdyby tak było - powiedział Mitch. - Tylko najlepsi piloci dostają się do takiej służby, Cappy, a ty miałaś jedną z najwyszych not w Avenger Field.

- Skąd wiesz? - Czuliła, jak jego oddech porusza kołnę jej włosów.

- Dowiedziałem się. - Westchnął ciężko. - Cappy, czy nie mogłabyś na mnie spojrzeć? Byłem gotów przewrócić miasto do góry nogami, żeby cię znaleźć. W końcu wywlokłem Annie ze spotkania, używając swoich wojskowych wpływów.

Zmieszana, odwróciła się do niego.

- Mitch, przestań.

- Nie. - Pocałował ją namiętnie.

Zabrał jej papierosa i szklankę z piwem, by włożyć ją w ramiona. Cappy nie próbowała bronić się przed tym pocałunkiem, ale nie chciała tracić panowania nad sobą. Kiedy oderwał od niej usta i odsunął się odrobinę, poczuła jego gorący, przyśpieszony oddech na twarzy.

- Cappy, pragnę cię. - Jego głos był zachrypnięty i szorstki z podniecenia.

Przybliżyła do jego silnego ciała, czuła to, jego ręce błądziły po jej talii i biodrach, potwierdzając jego słowa.

Odsun ła si od niego.

- Wła nie sobie przypomniałam - powiedziała Cappy, stoj c tyłem, z głow lekko odwrócon do niego - e nie odpowiedziałe mi na pytanie, gdzie ty si zatrzymasz.

Mitch znał jej pow ci gliwo , któr si odgradzała od wiata. Za ni krył si ogie i arliwa nami tno . Walczył ze swoim pragnieniem, przywołuj c si do porz dku.

- Znajd gdzie ło ko.

- Nie trzeba. Mog pój do hotelu... - zacz ła.

- Nie. - Mitch ostro nie obrócił j twarz do siebie. Lekki u miech na jego ustach był pełen napi cia. - Zosta tutaj. Chc wiedzie , gdzie jeste .

- W porz dku. - Ust piła, zachowuj c ostro no .

- Skoro ojciec wyrzucił ci z gniazda, to mog wzi ci pod swoje skrzydła na te dwa dni, zanim zameldujesz si na słu bie.

Był w tym ton artobliwy, jakby próba zawarcia umowy i zamaskowania egoistycznych motywów, kryj cych si za tym.

- Na wypadek gdyby nie zauwa ył, to mam własne skrzydła - powiedziała z błyskiem w bł kitnych oczach.

Znów podkre liła sw niezale no , okazuj c, e nie potrzebuje drugiej osoby.

- Wci to samo. - Uwa nie patrzył jej w twarz. - Zawsze uciekasz, kiedy si za bardzo zbli . Dlaczego, Cap?

- Nie ma w tym adnej tajemnicy - odparowała. - Nie interesuje mnie romantyczny zwi zek z tob . Trwa wojna i ka de z nas ma swoje sprawy - powiedziała rzeczowym tonem.

- Mamy te ycie poza słu b - przypomniał jej Mitch. - Có złego w sp dzeniu go razem?

- Chyba nic, pod warunkiem, e przyjmiesz do wiadomo ci, e nie jestem waszyngto sk maszynistk , oczarowan mundurem i chwał wojenn , yj c dniem dzisiejszym i zostawiaj c wyrzuty na jutro. - Wydawała si zimna i rozgniewana.

- Ka dy czego ałuje w yciu. Ale smutniejsze jest nie y wcale. - Mitch trafił lepiej, ni przypuszczał. Odszedł od niej, zapalił papierosa i nie zauwa ył błysku pragnienia, który na krótko pojawił si w jej oczach.

- Mo e zjemy obiad? Gdzie chciałyby pój ?

Pojechali do cichej, poło onej na uboczu włoskiej restauracji, jednego z niewielu nie zatłoczonych miejsc w stolicy. Pó niej spacerowali pod drzewami wi niowymi i usiedli na schodach pomnika Lincolna, rozmawiaj c i cieszc si chwil spokoju. Był to czysto przyjacielski wieczór, bez zbli e . Mitch w tpił, czy długo b dzie w stanie zachowa t platoniczn postaw . Cappy za , cieszc si z jego braku wymaga , zastanawiała si , jak długo b dzie jej to odpowiada , zanim zapragnie czego wi cej.

Cz druga

14

Wchodz c do nowego budynku Pentagonu, uznanego za najwi kszy biurowiec na wiecie, dwadzie cia cztery absolwentki Avenger Field wci nie miały poj cia, jaka rola przypadnie im w tej wojnie. Ostatnie dwa dni sp dziły na zwiedzaniu Waszyngtonu, a raz pojechały do Bolling Field w Wirginii, gdzie przeszły testy w komorze wysoko ciowej i otrzymały uprawnienia do latania na wysoko ci 12500 metrów.

Wszedłszy do rodka, dostały identyfikatory, które przypi ły do koszul, po czym przewodnik poprowadził je labiryntem korytarzy. Pentagon mógł pomie ci liczb pracowników równ niewielkiemu miasteczku - 35 tysi cy

osób. We wn kach korytarzy znajdowało si mnóstwo drzwi do pokojów.

- To gorsze ni mrowisko - mrukn ła Marty. Rzuciła okiem na portret jakiego generała, którego w ogóle nie znała, i lekko potrz sn ła głow . Mary Lynn nic nie powiedziała, tylko patrzyła nieobecny wzrokiem.

Ciekawo doprowadziła je do niezwykłego podniecenia i napełniła przekonaniem, e czeka je co bardzo wa nego. Przez ostatnie dwa dni rozwa ały i odrzucały tak wiele mo liwo ci, e aden przydział nie mógł si wyda zbyt nieprawdopodobny.

Na wprost otworzyły si drzwi i wyszedł z nich oficer. Z lekkim zniecierpliwieniem czekał, a grupa kobiet przejdzie.

Po paru minutach sp dzonych w Pentagonie Eden była bliska przekonania, e wszyscy m czy ni w mundurach s do siebie podobni. Ale ten wysoki oficer z ciemnymi, błyszcz cymi włosami wygl dał znajomo.

- Major Ryan! Nie spodziewałam si pana zobaczy . - Eden zatrzymała si i z ciekawo ci spojrzała na niego, zerkaj c jednak, czy grupa nie odeszła za daleko.

Major miał twarz powa n , nie ujawniaj c adnych uczu .

- Witam, panno van Valkenburg. - Skin ł głow uprzejmie, ale z rezerw .

- Nie miałam wiadomo ci od Cappy. Miałam nadzieję , e zadzwoni i umówimy si na obiad. Czy znalazła pokój w innym hotelu?

- Znalazła odpowiednie miejsce. - K cik ust drgn ły w uprzejmym u miechu. - Pani grupa idzie chyba do sali konferencyjnej. Mo e powinna pani do nich doł czy .

- Dzi kuj . - Ruszyła w stron kole anek, ale zatrzymała si . - Nie wie pan, gdzie nas przydziel , panie majorze?

Za pełn rezerwy uprzejmo ci i chłodn dyscyplin wojskow majora wyczuwała bystry intelekt i władczy charakter. Zbyt du o przebywała z ojcem, eby tego nie rozpozna . Mo e pracował za biurkiem, ale na pewno nie przerzucał tylko papierów. Niemal po ałowała, e zwi zany jest z Cappy, ale z drugiej strony ycie według reguł wojskowych nie bardzo jej odpowiadało.

- Dowiedzie si na odprawie - odpowiedział krótko na jej pytanie.

Eden dogoniła grup . Weszły do sali konferencyjnej; usiadły wraz z dyrektork , Jacqueline Cochran, przy długim stole. Obicia w kolorze wina kontrastowały z dominuj cym tu odcieniami oliwki, khaki i br zu.

Nieco napi t cisz przerwało przybycie generała i szuranie krzesel, gdy wszystkie szybko wstały od stołu. Wysoki i twardy jak skała, generał „Hap” Arnold u miechał si serdecznie do ka dej z dziewcz t. W jego oczach czaił si błysk, mog cy oznacza zarówno poczucie humoru, jak i waleczno , a białe włosy wzbudzały szacunek.

Przywitawszy si , generał pogratulował im. Tylko najlepsze z klasy zostały wybrane do wzi cia udziału w tym programie, poinformował je, nie mówic jednak e, co to za program. Eden nie mogła op dzi si od my li, dlaczego Cappy została wył czona z ich grupy, ale nie było czasu na zastanawianie, gdy generał Arnold przedstawił Jacqueline Cochran, która od tej chwili miała z tytuł dyrektorki kobiet pilotów.

Kiedy wstała, oparła dłonie na stole, jakby chciała zrobi wra enie na nich i podkre li wag chwili. Potem zacz ła mówi , podkre laj c przede wszystkim, e jest to tajna misja, wymagaj ca pilotowania samolotów wi kszych i szybszych, ni te, którymi kiedykolwiek latały.

Nie b d dostarczały samolotów, co wiczyły przez ostatnie sze miesi cy. Otrzymaj jedno z najwa niejszych zada , działaj cych w kraju pilotów. Od tego, jak sobie poradz , zaley, czy kobiety piloci b d mogły wykonywa

inne zadania lotnicze.

Mitch czekał z plikiem dokumentów w r ku, kiedy generał wrócił do gabinetu po zakończonym spotkaniu. Kiedy zatrzymał się przy biurku i przejrzał je, Mitch popatrzył w kierunku drzwi, przez które wychodziły młode, przystojne kobiety. Generał Arnold spojrzął w tę samą stronę.

- Powiedział mi pan, majorze, że one potrafią latać - zauważył generał drwiącym tonem, jakby poniewczasie szukał potwierdzenia tego faktu.

- Tak jest. - Lekki uśmiech pojawił się na ustach Mitcha, ale pozostał nieporuszony, choć nie bardzo był skupiony w tej chwili.

- To nie będzie najpopularniejsza decyzja, jak podjąłbym - westchnął ponuro generał. - Holowanie tarcz dla kanonierów i artylerii naziemnej na ćwiczeniach nie należy do najbezpieczniejszych zajęć, ale jest jedną z najważniejszych służb w kraju. - Zamiął się krótko i chrapliwie. - Ci dni walki piloci, którzy marzą o osiągnięciu pozycji asa, uznają za poniżającą, że przydzielę im to zadanie kobietom.

- Tak jest, panie generale - zgodził się Mitch uprzejmie.

- Potrzeba tych pilotów do misji dowodowych. Jeśli ten eksperyment się uda, będzie miał więcej ludzi w szeregach. - Przerwał i spojrzął na młodego oficera. - Nie bardzo pan wierzy w powodzenie tego programu, majorze?

- Myślę, że to dobry program, panie generale - zapewnił Mitch.

- Zauważyłem, że wy czył pan z grupy t. Hayward i załatwił jej zmianę przydziału. Miała jedną z najwyższych not w tej klasie. Ale to oczywiste, że nie chce pan, by latała, podczas gdy gromada rekrutów będzie strzelała, próbując trafić w tarczę, którą będzie holowała.

- W transporcie równie są potrzebni piloci z wysokimi kwalifikacjami. Jak pan powiedział, panie generale, Hayward jest rzeczywiście jedną z najlepszych w swojej klasie - odparł Mitch, spokojnie wytrzymując badawcze spojrzenie generała.

- Oczywiście - stwierdził w końcu generał ze zrozumieniem, oddając Mitchowi dokumenty.

Zachód słońca z okien DC-3, pasażerskiej wersji wojskowego C-47, był niezwykle, zielone pola Piedmont Range w Wirginii zalane czerwienią i złotem zachodzącego słońca. Rachel zastanawiała się nad celem ich podróży, gdy samolot z dwoma tuzinami WASP na pokładzie leciał na południe, wioząc je do nowych zadań. Na wszystkich twarzach malował się ten sam pełen nadziei entuzjazm, namyślono o nowym wyzwaniu i przygodzie, jak może przynieść.

Zawsze samotna Rachel siedziała na uboczu, nie biorąc udziału w rozmowie. Spośród dwudziestu pięciu WASP, wybranych do tego zadania, trzy były jej współlokatorkami - Marty Rogers, Eden van Valkenburg i Mary Lynn Palmer. Ale nigdy nie zostały przyjaciółkami, a Rachel była zadowolona, że Eden nie wspomniała o przypadkowym spotkaniu w Nowym Jorku.

Podczas długiego lotu Rachel z roztargnieniem słuchała rozmowy toczącej się wokół niej i patrzyła przez okno. Zapadał zmierzch, niebo pociemniało, a w oddali załamywały się wody Atlantyku. Poniżej znajdował się łańcuch wysp, ciągnących się wzdłuż brzegów Północnej Karoliny, zdradzieckich mielizn, które pochłonęły setki statków i istnieją na przestrzeni stuleci. Cienka linia plaży wzdłuż wybrzeża wyglądała jak jasny sznurek na głębokim ciemnym oceanie. Wodne cmentarzysko statków zabrało więcej okrętów na dno w ostatnich miesiącach, gdy okręty transportowe zostały storpedowane przez niemieckie U-Booty i zatoniły u wybrzeży amerykańskich. Rachel

szukała zarysów ciemnych statków wzdłuż wschodniego brzegu, ale niczego nie dostrzegła.

Gdzieś w dole znajdowało się Kitty Hawk, miejsce pierwszego lotu w historii. Rachel spojrzała, zastanawiając się, która z wysp była punktem startu maszyny braci Wright.

Samolot skręcił w głąb lądu, przelatując nad zaciemnionymi osiedlami i zaczął obniżyć lot.

- Camp Davis tu przed nami - zawołał jeden z pilotów z kabiny pasażerów.

W tej bazie, położonej niedaleko Cape Fear, nie wolno było używać żadnych wiatraków do oznaczenia lądowiska. Rachel prawie nie mogła dostrzec pasa. Dwoje dwusilnikowców leciało nisko, mknąc nad zarostami bagien, zanim dotknęło ziemi.

- To chyba tu - powiedział ktoś.

Camp Davis należał do najstarszych i największych baz dla artylerii przeciwlotniczej. Od Wrightsville w głąb lądu, na północ do Cape Fear, było otoczone przez bagna; Holly Shelter i Angola Swamp na północy i wschodzie, Green Swamp na zachodzie i południowym zachodzie. Dalej na północ wzdłuż wybrzeża było Wolf Swamp.

Marty obudziła się następnego ranka w baraku pielęgniarek i usiadła na pryczy, próbując otrząsnąć się z senności. Na zewnątrz słychać było wibrującego ryku silnika zbliżającego się samolotu, a zatrzaśnięte szyby w oknach. Marty wyskoczyła z niewielkiej izby, pewna, że maszyna rozbije się na baraku. Pielęgniarka popatrzyła na szeroko otwarte oczy Marty i uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Przyszycisz się do tego - zapewniła.

- Miałam wrażenie, że startuje tu nad barakami.

- Bo tak było - potwierdziła pielęgniarka. - Znajdujemy się na końcu pasa startowego.

Mając status prawie oficerski, wiotki zjadły niadanie w mesie oficerskiej, a potem zameldowały się na płycie lotniska. Mężczyźni powitali je w pokoju pilotów spojrzeniami pełnymi pogardy i sceptycyzmu. Marty najęła się na jawne lekceważenie, jakie okazywali.

Dowódca eskadry, ciemnej tarczy, do której zostały przydzielone, był niski, łysiejcy, krępy mężczyzna. Major Stevenson mówił z wyraźnym południowym akcentem i reprezentował typowo południową opinię o kobietach i ich tradycyjnej roli.

Ruszyły za dowódcę wzdłuż pasa startowego w blasku porannego słońca. Minęły dwusilnikowe bombowce i transportowce. Kiedy doszli do rzędu małych Piper Cub, dowódca zatrzymał się i poinformował je, że skoro sprawdziły się na L-4 i 5, to może im pozwoli latać w celach administracyjnych.

- On startuje - powiedziała z niedowierzaniem Marty.

- Nieścisza - mruknęła Mary Lynn.

- Mój Boże, czy on nie wie, że latałyśmy my AT-6 i dwusilnikowymi siedemnastkami? - zaprotestowała Eden. - To są samoloty dla dzieci.

- Myślę, że ktoś zapomniał powiedzieć mi o naszym wyszkoleniu - stwierdziła ponuro Marty i ruszyła do najbliższego Cub. Dyskusja niczego nie da. Wyglądało na to, że będą musiały od początku udowadniać kolejnej grupie wojskowych, że potrafią latać praktycznie wszystkim, co ma skrzydła.

Poczuła pewną nostalgię, wsiadając do kabiny Piper Cub. Nie latała takim, odkąd dostała licencję na L-4, należącej do jej brata. wiadoma, że pozostałe wiotki poszły za jej przykładem, Marty pokołowała na wyznaczony do startu pas i odleciała. Po szybkich, lśniących maszynach treningowych, mały samolot

przypominał piłeczkę golfową. Okrężyła lotnisko i zaczęła wiczy szybkie lądowania i starty.

Podchodząc do pierwszego lądowania, Marty postawiła nogi na pedałach sterowych. W głowie zabrzmiał jej dzwoneczek ostrzegawczy, ale nie bardzo wiedziała dlaczego. W momencie gdy koła dotknęły ziemi, a Marty spróbowała pokierować samolotem za pomocą pedałów, przypomniała sobie o niezwykłych cechach tego pojazdu. Hamulce, zamiast u góry, jak w wojskowych samolotach treningowych, którymi latała przez ostatnie dwie godziny, znajdowały się na dole.

Poprawiła swój błąd, używając palców zamiast pięty. Oderwała samolot od ziemi i zrobiła kolejne okrążenie. Z góry obserwowała, jak jej koleżanki lądują, nie wiedząc o tej różnicy technicznej. Ich samoloty podskakiwały i kilka razy były bliskie zarycia dziobem w ziemi. Bez wątpienia robiły wrażenie najgorszych pilotów, jacy kiedykolwiek otrzymali skrzydełka. Marty patrzyła i jej trudno było nie przypomnieć sobie wcześniej, żeby ostrzec inne dziewczęta.

Wyglądały na pokonane i zmartwione. Wokół stali mężczyźni i głośno się śmiali. Wisko wlotek była zdenerwowana niepowodzeniem, ale Marty czuła gorycz. Miała wrażenie, że zostały oszukane. Zaciśnięta z bólem w pięści dłoń włożyła do kieszeni kombinezonu. Jej szarzielone oczy przypominały wzburzone wody Atlantyku, kiedy szła do poczekalni z Mary Lynn i Eden.

- Wygląda na to, że te Cuby są dla was za trudne - odezwał się piegowaty pilot, jeszcze chłopiec według oceny Marty.

Zatrzymała się i pochyliła wojowniczo w jego kierunku przewyszając go wzrostem o dobre kilka centymetrów.

- Mogłoby być gorsze z tych samolotów, które się tu znajdują, i lata dookoła ciebie.

Ale on tylko odsunął się z udawanym respektem i za nią szedł razem z kolegami.

Walcząc z okropnym uczuciem bezsilności, Marty odwróciła się i mruknęła ze złości do Mary Lynn;

- Mam ochotę wywlec go stąd i stłuc.

Na lądowisku zobaczyły więcej podskakujących Piper Cubów. Dziewczęta były w ciekłe, ale nie potrafiły opanować małego samolociku. Oczekiwano, że nie sprawdzą się jako piloci i tak się stało. Postanowiły jednak wygrać z tym samolotem i pokazać mężczyznom, że mają pełne kwalifikacje. Tymczasem musiały znosić liw krytyk, gwizdy i męskie szyderstwa.

Na trzeci dzień Eden miała ochotę wycofać się. Nie lubiła być obiektem drwin. Kolejny L-5 kołował w kierunku lądowiska, więc Eden czekała na nagrzaną płytę, gdy wolała to miejsce od pokoju pilotów, gdzie musiałyby znosić kpiny mężczyzn.

Gdy Cub zatrzymał się w równej linii z innymi, wysiadła z niego długonoga blondynka.

- Dobra robota. - Eden pochwaliła Rachel Goldman za poradzenie sobie z samolotem.

Rachel spojrzała na nią zdziwiona, po czym pochyliła głowę i przejechała ręką po włosach, wypuszczonych spod chustki i obojętnie skierowała się w stronę pokoju pilotów. Eden dotrzymała jej kroku.

- Powinna była widzieć mnie - powiedziała Eden z westchnieniem. - Szło mi świetnie, niemal doskonale, a do momentu, kiedy musiałam się zatrzymać. Próbowałam hamować palcami. Musiałam zrobić jeszcze jedno okrążenie i zatrzymać samolot w linii z innymi.

- To trudne - odparła Rachel ze współczuciem.

Gdzieś daleko słychać było strzały artylerii do płóciennych tarcz przeciwnych przez samoloty. Przypomniało im to o zadaniu, które miały wykonywać w Camp Davis, zamiast latać Piper Cubami, co było najniżejszym szczeblem

drabiny.

Ryk potnego silnika przyciągnął ich uwagę do Beechcrafta kołującego na lądowisku. Samolot wydał się Eden znajomy, z ogromnym, wirującym migłem niemal ryczącym ziemi. Przygryzła dolny warg, obserwując pilota wysiadającego z kabiny.

- Je li to jest osoba, o której myślałam - mruknęła do Rachel, która nie wykazywała większego zainteresowania - to może parę rzeczy się tutaj zmieni.

Z samolotu wysiadła Jacqueline Cochran. Kiedy zobaczyła dwie kobiety, podeszła do nich, żeby się przywitać, z zainteresowaniem przyglądając się im do brzozy oczami. Zachowywała się z rezerwą, lecz uprzejmie. Nic się o niej nie dowiedziała, rozpoznawszy Eden.

- Witam. Jak sobie tutaj radzicie? - zapytała, nie przygotowana na szczerą odpowiedź Eden.

- Nie radzimy sobie.

Trudno ci podczas szkolenia, spartańskie warunki życia w Sweetwater i brak wygód miały pewien urok. Ale o obecnej sytuacji nie można było tego powiedzieć. Eden uważała ją za poniżającą. Nie miała zamiaru na to pozwolić.

- Co to znaczy? - zapytała dyrektorka.

- Major Stevenson każe nam latać Piper Cubami.

W tym momencie wylądował L-5 z piskiem hamulców i szarpnięciem.

- To jedna z naszej grupy - powiedziała sucho Eden, obserwując zdenerwowane spojrzenie przełożonej. - Jeden z wojskowych samolotów treningowych nie posiada hamulców na piaty.

Jacqueline Cochran zacisnęła ze złości usta. - Porozmawiam z nim - powiedziała krótko, odwróciła się i ruszyła w kierunku budynku operacyjnego.

- Może coś się tu zmieni - zadumała się Eden.

Cielonówka wojskowa przetoczyła się obok nich. Była załadowana żołnierzami w mundurach, w pełnym uzbrojeniu. Kiedy zatrzymała się przed pokojem pilotów, z kabiny wysiadł oficer. Gdy Eden i Rachel zbliżyły się, powitały je gwizdy przewieszonych przez burtę żołnierzy, okazujących yczliwe, lecz natarczywe zainteresowanie.

Nie przywykły do zwracania na siebie uwagi przez tłumy żołnierzy w bazie. Najlepszym wyjściem było lekceważyć zaczepki. Eden zrobiłaby to i tym razem, ale dostrzegła żołnierza, który wydał jej się znajomy. Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, po czym spojrzała zdziwiona na Rachel.

- Ten facet w cielonówce wygląda jak tamten żołnierz, z którym była w klubie. Mogłabym przysiąc, że to on - oświadczyła Eden. - Nazywał się Zach... czy coś podobnego.

- Zach Jordan. To nie może być on, ponieważ pojechał do... - Rachel przerwała w pół słowa. Zach siedział na tyle cielonówki.

Wśród okrzyków: „cześć, słodziutkie” i „co dzisiaj robisz wieczorem”, gwizdów i uwag, udało mu się zawołać:

- Rachel, skąd się tu wzięła?

Nie mogła, nie potrafiła mu odpowiedzieć. Z początku poczuła się oszukana. Potem zrozumiała, że dała się nabrać na najstarszy trik w wojsku. Zach zapewnił ją, że jedzie do Europy i może go nigdy więcej nie zobaczy. Jak mogła być tak łatwowierna?

Kiedy mijały cielonówkę, Zach znów zawołał:

- Hej, Rachel, zaczekaj.

Rachel zignorowała go wiedząc, że Eden się jej przygłoda. W myślach wciąż wyrzucała sobie swoją głupotę. Kiedy zbliżyły się do drzwi pokoju pilotów, usłyszała odgłosy kroków.

- Rachel, chciałbym ci to wytłumaczyć. - Zach pobiegł za nią, chwycił za ramiona i odwrócił do siebie.

- Puść mnie! - ostrzegła go Rachel.

- Jordan! - Z poczekalni wyszedł oficer, wołając tonem reprimandy: - Z powrotem do ciarówki!

- Za minutę, poruczniku. - Zach wpatrywał się ciemnymi oczami w Rachel.

- Natychmiast, szeregowy.

- Panie poruczniku, to znajoma z domu. Proszę mi dać parę minut, abym jej coś wytłumaczył.

- Nie w czasie służby, szeregowy! Wracaj do ciarówki, zanim złożysz na siebie raport.

Rachel nic nie powiedziała, gdy Zach niechętnie odsunął się i ruszył do ciarówki. Z goryczą znów nazwała się głupią. Był gorący sierpniowy dzień, parny i łaźny. Piekielne upokorzenie i ból tylko wszystko pogorszyły.

15

Wizyta Jacqueline Cochran w Camp Davis odniosła skutek. Nie kazano im więcej latać na Piper Cubach. Dostały bombowce Douglas Dauntless, A-24. Lot Eden nie był zbyt pouczający. W tylnej kabynie, gdzie zwykle siedzi strzelec, nie było żadnych wskaźników, więc mogła tylko zgadywać, co i kiedy robi pilot.

Cięgle bolała jej głowa, w miejscu gdzie uderzyła się, kiedy samolot tuż przed lądowaniem został poderwany gwałtownie do góry. Ból pulsował, gdy siedziała w kabynie, zapoznając się z położeniem wskaźników i przeglądając instrukcję do Dauntless. Instruktor odszedł i zostawił ją, nie przejmując się, czy ma jakie pytania.

Eden, zirytowana, rozejrzała się dokoła, ale jedyną osobą w pobliżu był mechanik wojskowy, w brudnym od smaru kombinezonie.

- Hej! - Eden zagwizdała przenikliwie. - Chodź tu na chwilę!

Zatrzymał się i spojrzał niepewnie w jej stronę.

- Do mnie pani mówi? - zapytał z typowo teksaskim wymowem, wskazując na siebie z nieco sceptycznym minem.

- Tak, do ciebie - potwierdziła Eden, jej cierpliwość była na wyczerpaniu. Ale trudno było się złościć na tego wysokiego, chudego sieranta, który wskoczył na skrzydło i podszedł do kabiny. Wszystko w nim było szerokie - jak Teksas - szczęki, usta i uśmiech. Zmarszczki od uśmiechu biegły aż do oczu, jak rozchodzące się na wodzie kręgi. Wkładał w to całe serce i uzyskiwał zdecydowanie pozytywny efekt.

- W czym mogę pani pomóc? - Uprzejmość i szacunek typowy dla mieszkańców Zachodu, nie miały nic wspólnego ze szkoleniem wojskowym.

- Moesz powiedzieć mi coś o tym samolocie? - Spojrzała znów na tablicę z kontrolkami, krzywiąc się z irytacji.

Chudy mechanik próbował nie okazywać zaskoczenia, ale spoglądał na nią z boku orzechowymi oczami, gdy wyjaśniał.

- Klapy do nurkowania zachowuj się jak hamulce. Widzi pani, Dauntless został zaprojektowany głównie do użytku marynarki, do szybkiego i krótkiego lądowania. Kiedy podchodzi pani do lądowania, kieruje pani nos prosto na pas, a potem podrywa go tuż przed dotknięciem kołami ziemi.

Pokazał jej, jak się obsługuje klapy hydrauliczne, umieszczone wzdłuż brzegów skrzydeł, powiedział o procedurze startu, lądowania i zawracania, i parę innych ważnych informacji. Jego chęć pomocy sprawiła, że Eden zadała jeszcze kilka pytań na temat szczególnych cech Douglasa Dauntless.

- Sprawdziła pani formularz pierwszy tego samolotu? - zapytał mechanik, gdy Eden skończyła pytania.
- Formularz pierwszy? - W Avenger Field uczyli ich, żeby zawsze sprawdzała formularz w kabinie, żeby weryfikowała sprawność samolotu i notowała jakiegokolwiek naprawy, zalecane przez poprzedniego pilota. Ale było to robione pobieżnie i Eden o tym nie pomyślała. Pokazała go mechanikowi.

- Ma pani szczęście - powiedział zdziwiony.

- Dlaczego? - Eden wyczuła, że coś jest nie w porządku.

- Ten samolot jest w całkiem niezłym stanie. Wiele z nich ma czerwone krechy.

Kiedy samolot został określony jako niezdolny do latania, stawiano czerwone X w formularzu. Połowa X lub ukośnik na czerwonej linii oznaczały, że coś jest nie w porządku, ale można na nim latać.

- Czasami wystarczy, żeby skrzydła i ogon, a silnik pracuje. - Mechanik uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Wierzę. - Eden nie była pewna, czy mu wierzy, czy tylko się nie. Mógł po prostu ją straszyć. Może i wokół niego wykazywali entuzjazm wobec kobiet za sterami.

- Czy to wszystko, psze pani? - Wyprostował się, wycierając ręce w zatłuszczoną szmatkę, wystając z kieszeni.

- Chyba tak. - Potem przypomniała sobie jeszcze jedno, wyjęła plastikową paczkę, którą znalazła w bocznej klapie w kabinie. - Do czego to jest?

- Nie jest to pani potrzebne. - Wziął to od niej i włożył z powrotem do kieszeni, zmieszany, a się zarumienił.

- Ale co to jest? - upierała się Eden.

- To jest... do uwalniania ci nienia w zaworach - wymamrotał mechanik, nachmurzony i niespokojny, i zeskoczył ze skrzydła, by nie zdyktowała mu następnych pytań. Kiedy odchodził od samolotu, zawołał do niej: - Proszę i dowa najdelikatniej, jak pani umie. Te opony są trochę zniszczone.

- Nie można założyć nowych?

- Psze pani, toczy się wojna - przypomniał jej cierpliwie. - Każda dobra opona jest wysyłana za ocean na front. A my nie mamy ich w nadmiarze. Trzeba być ostrożnym z oponami w tych samolotach.

Tego wieczora siedziały w barakach we wspólnym pokoju i wymieniały do wiadzenia. Jedynie Eden miała szczęście, w jej samolocie tylko silnik pracował ciicho, ale nic się wydarzyło podczas lotu. Reszta miała rozmaite kłopoty.

- Mój silnik się popsuł. Zakaszła i zgasł. Ledwo mi starczyło wysoko ci, żeby zawrócić i wylądować.

- Ja właśnie nie wylądowałam. Jechałam pasem i nagle jakby ktoś ciągnął samolot na prawo. Nacisnęłam pedał steru, ale nie zareagował. Zjechałam z pasa na trawę. Pomyślałam, że to koniec, ale w końcu się zatrzymał. Kiedy wysiadłam, okazało się, że rozdarłam oponę. Jeśli chcecie zobaczyć kogoś, kto się wystraszył jak cholera, to ja.

- Te samoloty nie są bezpieczne - oburzyła się Marty, siedząc okrakiem na krześle, przodem do oparcia. - Zaczynam rozumieć, co dowódca miał na myśli, mówiąc, że te samoloty są zbędne, tak jak my. Cholera, nie chciał, żeby my tu przyjechały, a teraz znalazł sposób, żeby się nas pozbyć.

- Może i te muszą latać tymi samolotami. - To było marne pocieszenie.

- Brakuje ci zamiennych i opon. Samoloty używane do walki mają pierwsze stwo. - To wyjaśnienie tego nie zrobiło na nikim wrażenia.

- Mówię o czołwach - wtręciła Eden. - Czy ktoś wie, jak działają te uwalniacze ci nienia w zaworach? - żadna

nie wiedziała, o czym mówi Eden, więc opisała im plastikową paczkę.

Marty wybuchnęła śmiechem.

- Nie wiesz, co to jest? Uwalniacz ci nienią w zaworach, a to dobre! To torebka na urynek dla mężczyzny.

- Nic dziwnego, że mechanik był tak zakłopotany, kiedy go o to zapytałam. - Eden przypomniała sobie jego minę i roześmiała się.

Do pokoju zajrzała pielęgniarka.

- Hej, jest tu Rachel Goldman?

- O co chodzi? - Rachel podniosła rękę. Siedziała na podłodze ze skrzyżowanymi nogami.

- Jaki żołnierz zaczął się na mnie na zewnątrz i poprosił, abym przekazała ci wiadomość - powiedziała pielęgniarka, a Rachel wstała z gracją, nie zwracając uwagi na zaniepokojone spojrzenia koleżanek.

Tym żołnierzem musiał być Zach. Miała małą nadzieję, że spróbuje się z nią skontaktować. Pomyślała, że byłby to dowód, i dowiady dla niej jakie uczucia, a nie tylko zastawił na nią pułapki, żeby ją wciągnąć do łóżka. Jednocześnie nadal była irytowana, i nie miała ochoty wybaczyć mu podstaw. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, to żeby koleżanki, a szczególnie te z Sweetwater, dowiedziały się, jak została potraktowana przez tego dywowskiego Don Juana. Więc nie chciała pozwolić, by wiadomość od Zacha została przekazana w ich obecności. Wyszła na korytarz, by porozmawiać z pielęgniarką.

- Czego on chciał?

- Czeka na zewnątrz, żeby z tobą porozmawiać. - Pielęgniarka zmierzyła ją spojrzeniem pełnym dezaprobaty. - Oboje możecie wpakować się w niezłe kłopoty, jeśli jakiś oficer złapie was razem. Nie powinny cię spotykać z żołnierzami.

- Ja jestem cywilem - powiedziała Rachel, chociaż wiedziała, że nie ma to znaczenia.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

- Mnie jest obojętne, jeśli chcesz się spotykać z tym facetem, ale inni nie będą tak na to patrzyli. To tylko przyjacielska rada: nie dajcie się złapać.

Z przywilejami oficerskimi, jakie przysługiwały WASP-om, były oczywiście również pewne ograniczenia.

- Dzięki.

We wszystkich oknach baraków były zaciągnięte zasłony. W przybrzeżnej bazie wszelkie wiatła były zabronione. Rachel wyszła w sierpniową noc, powiew od morza łagodził upał i wilgoć. Przyjrzała się cieniom po drugiej stronie drogi. Wysokie sosny i obrotowe mchem cyprysy rosły aż do skrajów lotniska, a z góstrwin dobiegały śpiewy ich nocnych mieszkańców. Ciemny kształt wyłonił się tu przed nią i ledwie zdołała powstrzymać okrzyk zaskoczenia.

- Rachel! - usłyszała zadowolony głos i musiała sobie przypomnieć, że jest na niego obrażona. - Nie byłem pewien, czy przyjdiesz.

- Naprawdę? - odparła. Wyczuła satysfakcję i pewność w jego głosie.

- Stwierdziłem, że spróbuję cię odwiedzić: nie przyjdiesz, kaesz mnie aresztować za niewłaściwe zachowanie wobec oficera lub... spotkasz się ze mną. - Zach podszedł i chciał włożyć ją w ramiona, ale Rachel odsunęła się, rozszłoszczona jego arogancją.

- Nie wiedziałeś, gdzie był twój oddział - zadrwiła z goryczą. - Ale byłeś niemal pewien, że na Sycylii. Zabawne, ale to miejsce wcale nie wygląda jak Sycylia.

- Nigdy nie mówiłem, że jadę do Europy natychmiast - przypomniał jej Zach z niezmiernym spokojem.
- Może nie dosłownie - zgodziła się ze złości Rachel. - Ale to miało na myśli. Wyjeżdżasz na wojnę i już nigdy możemy się nie spotkać.
- Obiecałem, że przyjdę - przypomniał, niemal się zniwoczył, rozbawiony jej chłodnym zachowaniem.
- Ale wiedziałeś, że tak wcale nie pomyślisz - rzuciła z pretensją.
- Miałem taką nadzieję - przyznał Zach. - Pragnę cię, Rachel. I nadal pragnę.
- Z pewnością cię chciałoby zobaczyć tam, gdzie skończyli my. - Nie patrzyła na niego, wiedząc, jaki jest pocierający cy. - Uważasz mnie za głupią?

- Trochę naciskałem prawdę, ale jak tylko skończymy szkolenie tutaj, to wypływamy.
- Zach, nie dam się drugi raz nabierać na twoją sztuczkę - ostrzegła go.
- Miałem zamiar napisać ci, że zostałem wysłany na dodatkowe szkolenie - upierał się.
- Tak, z pewnością cię. - Uparcie mu nie wierzyła.
- Jak mam cię przekonać, że to prawda? - Uśmiechał się czarująco.

Z lewej strony dobiegły ich przyciszone męskie głosy i odgłos kroków. Rachel odwróciła się, ale ledwie mogła dostrzec w ciemności postaci. Gdy podeszli bliżej, po kształcie czapek można było rozpoznać, że to oficerowie.

- Kto nadchodzi - szepnęła i popchnęła Zacha w bok.
Ogromne drzewo dawało im ukrycie, ale musieli stać bardzo blisko siebie. Wytężyła słuch, by uchwycić odgłos kroków przechodzących oficerów. Czuli jego muskularne ciało i ostry zapach kremu do golenia. Przystojna twarz, ciemne brwi i przenikliwe niebieskie oczy były tak blisko. Zach opierał się o nią, wykorzystując sytuację.

- Nie jesteś na mnie taka zła, jak udajesz - wyszeptał jej do ucha.
- Cii, usłysz cię - szepnęła Rachel.
Objął ją, a ona próbowała pozostać nieczuła, lecz to mu nie przeszkadzało. Błędził ręką po jej ramieniu, barku i szyi i najwyraźniej ta sytuacja mu się podobała.

Gdy oficerowie odeszli, Rachel załadowała:
- Puść mnie!
Nie chciała mu dać okazji do działania.
- Naprawdę cię obchodzi, prawda? - powiedział.
- Myślę, że jesteś na tyle zarozumiała, żeby w to wierzyć - odparowała.
- To prawda. Gdyby chciała się mnie pozbyć, wydałaby mnie tym oficerom. A może - rzucił leniwie wyzwanie - chciałaby wyjść, dlaczego ukryła się ze mną?
- Nie pozwól, żeby mnie znów wykorzystał. - Była to jedyna obrona, jaka przyszła jej do głowy, lecz marna.
- Rachel, ty głuptasie. - Zach za nią się łagodnie i przysunął twarz bliżej tak, że mogła go widzieć. - Nie wiesz, że cię kocham?

Odnalazł jej usta i namiastkę pocałunek ukoił zranioną dumę. Czuli, jak przechodzą ciarki i oblewa ciepło. Miłość, którą czuła do niego, nie była udawana, lecz szczerą i śmiałą.

Eden siedziała skulona w kokpicie Dauntless i po raz ostatni przejrzała tablicę, czując lekkie drżenie nerwów. Przełączyła radio na interkom i przycisnęła palcem mikrofon.
- Jesteś tam? Jak ci na imię? Frank?

- Tak, prosz pana... pani - zaj kn 1 si .

Eden przypuszczała, e odpowied twierdz ca dotyczyła obu pyta , ale nie próbowała tego wyja ni . ołnierz siedział w tylnej cz ci kabiny najwyra niej pod przymusem. Słyszała o zamieszaniu wywołanym nagłymi pro bami operatorów o przeniesienie, kiedy dowiedzieli si , e b d lata samolotami pilotowanymi przez kobiety.

- Kołujemy za minut , Frank - powiedziała i pu ciła przycisk mikrofonu.

Po sprawdzeniu wszystkiego Eden wł czyła pot ny silnik Curtiss-Wright. Obsługa naziemna usun ła blokady spod kół i odbiegła od samolotu. Eden dodała gazu i rozpocz ła kołowanie. Motor ryczał ogłuszaj co i dr ał tak, e cały samolot wydawał si wibrowa . Eden nie podobał si ten d wi k.

Przeł czyła znów radio na interkom i przycisn ła mikrofon.

- Co jest nie tak z tym samolotem. Zawracam do hangaru, Frank.

- Tak jest! - W głosie dobiegaj cym przez słuchawki wyra nie słycha było ulg z powodu tej decyzji.

Zjechała z powrotem na płyt i kazała operatorowi przyprowadzi mechanika. Nie zgasiła silnika, eby sprawdzi , czy si nie rozkr ci, ale nadal warczał złowieszczo. Frank wrócił z niespełna dwudziestoletnim, uj cym gum mechanikiem.

- O co chodzi? - Bez po piechu podszedł do samolotu i po skrzydle przeszedł do kabiny. Eden odsun ła pokryw i wychyliła si .

- Prosz posłucha silnika. - Nieruchomy samolot tak wibrował, e nie rozumiała, jak mechanik mógł zada tak głupie pytanie.

- Chodzi troch ci ko - przyznał oboj tnie. - Wszystkie tak pracuj .

Kiedy si odwrócił. Eden nie mogła uwierzy , e po prostu zlekcewa ył jej skarg .

- Nie ma pan zamiaru tego sprawdzi ?

- Słuchaj, paniusiu, mam lepsze rzeczy do roboty. Je li si pani boi tym lata , to prosz wpisa to do formularza i znale sobie inny samolot - powiedział i zeskoczył na ziemi .

W ciekła na jego zachowanie i niesubordynacj , Eden zgasiła silnik i wysiadła z kabiny, zanim migło przestało si kr ci . Mechanik zatrzymał si i powiedział co do operatora. Kiedy zobaczył Eden id c w jego kierunku, wygl dał na rozbawionego jej zdenerwowaniem.

- W porz dku, paniusiu... - zaczą ł.

- Nie w taki sposób nale y zwraca si do oficera - powiedziała korzystaj c z przysługuj cego jej statusu.

- Tak jest, panie... prosz pani - poprawił si , udaj c, e si pomylił.

- Chc , eby ten silnik został sprawdzony i to natychmiast! - Wskazała palcem Dauntless, stoj c na szeroko rozstawionych nogach, podparta pod boki.

- A ja pani powiedziałem, e nie ma si o co martwi . Silnik chodzi troch ci ko i to wszystko. Znam si na swojej robocie.

- Troch ci ko, co? Dałby za to głow ? A mo e wsi dziesz ze mn do tego samolotu i zrobimy par kółek nad lotniskiem? - rzuciła Eden.

Ta propozycja najwyra niej mu si nie spodobała, gdy cofn ł si o krok i zmierzył wzrokiem rudowłos , która dorównywała mu wzrostem, a mo e nawet przewy szała.

- Nie mog tego robi , prosz pani - zaprotestował gwałtownie.

Podniesione głosy przyci gn ły uwag innych pracowników obsługi naziemnej. Cz zignorowała ich,

zobaczywszy, kto si kłóci, reszta za obserwowala zaj cie ze le ukrywanym zadowoleniem. Jaki mechanik wysiadł z samolotu, który wla nie naprawiał, i podszedł, by si dowiedzie , co si stało.

- O co chodzi, prosz pani? - Zaci gaj cy, pelen szacunku głos zabrzmiał znajomo.

Eden odwróciła si i rozpoznała silnego m czyzn o szerokiej twarzy, teraz powa nego, ze zmarszczonym czołem, ale z teksaskich rozmiarów u miechem. Cały był wymazany smarem, ł cznie z twarz i czapk , ale to z pewno ci ten mechanik pomógł jej pozna Dauntless.

- Chc , eby sprawdzono silnik w tym samolocie. A ten niby-mechanik nie chce tego zrobi . Twierdzi, e wszystko w porz dku.

- Chodzi troch ci ko... - Mechanik próbował si broni .

- Zajmij si zło eniem tamtego samolotu w hangarze, Simpson, a ja sprawdz silnik tej pani. - Brzmiało to bardziej jak rozkaz ni propozycja.

- Tak jest. - Niezadowolony mechanik powlókł si w stron hangaru.

Tym razem Teksa czyk u miechał si , kiedy spojrzal na Eden.

- Nie mog wbi temu chłopakowi do głowy, e klient ma zawsze racj - powiedział przeprasza co, czym wywołał sk py u miech na twarzy Eden. - Zajrz do pani samolotu.

- Dzi ki - odparła Eden. Zamierzała patrze mu na r ce, nie dlatego, e mu nie ufała, ale po prostu nie chciała, eby kto kr cił si przy silniku po to tylko, by uspokoi jej obawy. Wpierw jednak wydała polecenie swojemu operatorowi.

- Mo esz i do pokoju pilotów napi si kawy. Zawiadom ich, e mamy opó nienie z przyczyn technicznych. Okazał rozczarowanie, słysz c słowo „opó nienie”. Wolałby, eby lot został odwołany.

- Tak jest.

Do wiadczony sier ant szybko znalazł usterk i ods czył ponad filii ank wody z gania.

- Domy liłem si , e to mo e by przyczyn - powiedział. - Kto z obsługi naziemnej mógł zapomnie nakry bak wczoraj wieczorem i para si skropiła. Albo tankowali go z prawie pustego zbiornika, w którym mogło si zebra troch wody - wyja nił. - To wygl da na straszne niedbalstwo.

Widziała cz cie przykładu tego rodzaju oboj tno ci ze strony przepracowanej obsługi technicznej.

- aden z tych samolotów nie jest bezpieczny - powiedziała ze zło ci . - Przez połow czasu instrumenty nie działaj , wi c nie mo na na nich polega . Siedzenia s popsute. Radio tak rozstrojone, e zwykle nic nie słycha . - Lista wydawała si nie mie ko ca.

- Nie mog zaprzeczy temu, co pani mówi - przyznał mechanik. - Nawet gdyby my mogli zdoby potrzebne cz ci zamienne, to i tak nie mamy do ludzi, by utrzymywa samoloty w dobrym stanie. Jedyne, co mo emy zrobi , to stara si , eby silniki działały i nadawały si do holowania tarcz. Nie dostajemy nawet do paliwa. Czasami musimy wlewa ni ej oktanowe, ni zaleca fabryka.

Eden zrozumiała, jak niebezpieczne zadanie dostały. Nic dziwnego, e piloci uchylali si od tego rodzaju słu by - ci gni cia tarcz do wicze artyleryjskich na wpół sprawnymi samolotami.

- Jak ci na imi ? - zapytała nagle.

Spojrzal na ni zaskoczony.

- Sier ant William Jackson, ale przyjaciele mówi na mnie Bubba. - Zmru ył oczy. - Dlaczego pytasz?

- Nazywam si Eden van Valkenburg. - Podała mu dło , po czym wytarła haftowan chusteczk r k ze smaru.

- Zanim wsiad do kabiny którego z tych samolotów, chcę, żeby go wpierw sprawdził, żeby wiedziała, czego się spodziewa, i mogła zdecydować, czy chce nim lecieć, czy nie. - I szybko dodała, widząc jego wahanie: - To ci się opłaci, Bubba.

- Z chęcią je sprawdzę, proszę pani. I nie musi mi pani za to płacić. Zarabia pani chyba niewiele więcej niż ja.

- Stać mnie. Uwierzyć, Bubba, - że miała się na przypuszczenie, że musi się martwić o pieniądze. Nigdy w życiu nie musiała się przejmować cenami.

Wyglądał na zakłopotanego jej odpowiedzi.

- Nie wiem, czy mogę przyjąć od pani zapłatę.

- Będziemy się o to martwić kiedy indziej - powiedziała. - A na imię mam Eden.

- Tak, proszę pani - odparł z szacunkiem.

Był cudowny sierpniowy poranek, słońce błyszczało w wodach Atlantyku, a lekkie fale odbijały się od brzegów plaży wybrzeża Karoliny. Sielanka zakłócała obecność stanowisk przeciwlotniczych rozmieszczonych na ponadmilionowym odcinku plaży.

Rachel włączyła mikrofon, bo daleko jeszcze poza zasięgiem artylerii.

- Słuchajcie tu przed nami - powiedziała do operatora. - Sprawdzimy, czy są przygotowani.

- W porządku - padła nerwowa odpowiedź.

Z krzywym uśmiechem Rachel przypominała sobie, jak ten szeregowiec spojrział na nią głupkowato. Bez wątpienia uznał, że przydzielono go do jakiejś amazonki. Zachowywał się, jakby bał się jej, samolotu i pewnie własnego cienia.

Włączyła radio i skontaktowała się z dowódcą strzelców, przekazując mu swoją pozycję i wysokość. Kiedy zbliżyli się do strefy artylerii, dostrzegła grupki mierzonych wokół olbrzymich dział. Ciekawa była, czy znajdował się wśród nich Zach. Oficer kazał jej rozwinąć tarczę.

- Przyjść łam. - Przełączyła radio na interkom. - Słyszacie?

- Tarcza wychodzi - potwierdził operator.

Był to długi rękaw z perkalu, przyczepiony do kabla, który operator rozwijał za pomocą korby. W miarę rozwijania materiału samolot zaczął zwalniać. Rachel dodała mocy, by utrzymać prędkość, zdając sobie sprawę z napięcia, które czuła z powodu pierwszej misji.

Na szczęście warunki atmosferyczne były idealne. Kilka razy musiała dokonać drobnych korekt z powodu bocznego wiatru. Starła się uspokoić myśli i skoncentrować na długiej linii dział przeciwlotniczych na plaży. W pierwszym szeregu ustawione były duże trzyczalowe działa, za nimi kaliber 40 i 35 milimetrów, a na końcu mniejsze działa, o krótszym zasięgu, dla których musiała obniżyć pułap.

Olbrzymie lufy ciężkich dział nie dawały dużych możliwości manewru. Strzelcy nie mogli podać za tarczę, gdy lufy opornie przesuwają się w skrzyniach korbowych. Uczono ich, jak poprowadzić tarczę i strzelać do punktu przed nią.

Rachel przeleciała nad plażą, ciągnąc za sobą biały materiał. Obserwowała wybuchy białego dymu z dział i słyszała dudniące eksplozje. Cały czas spoglądała na wysokość ciemności, by utrzymać stałą wysokość. Samolot ciął z rykiem powietrze, a silne wibracje przenosiły się z dręka przez dłonie na całe jej ciało.

Maszyn zaczął wstrząsać turbulencje, a hałas wywołany strzałami wzrósł. Potem Rachel zauważyła przed

sob czarne obłoczki dymu. To była niemiecka artyleria przeciwlotnicza! wiadomo tego otrze wiła j . Poczwała dreszcze, zdaj c sobie spraw , co to jest walka w powietrzu. Strach wywołał wzrost poziomu adrenaliny i szalone podniecenie.

Przycisn ła mikrofon i wezwała dowództwo naziemne.

- Ta artyleria rzuca nami po całym niebie - ostrzegła. Par sekund pó niej wszystko ucichło, powietrze oczy ciło si z dymu i padły wyja nienia.

- Przepraszam. Paru strzelców my lało, ze maj celowa przed samolotem, a nie w tarcz .

- Zrozumiałam.

Zbli ały si karabiny krótkiego zasi gu, wi c Rachel obni yła lot, zostawiaj c za sob wybuchy du ych dział. ołnierze stali jak wetkni te w piasek krasnoludki, a oficerowie dowodz cy znajdowali si na ich tyłach. Za nimi rozci gały si wydmy, poro ni te traw morsk , a poni ej ocean mienił si kolorami, od bł kitu na płycznach do turkusowej zieleni na gł binach. Dla Rachel dzika uroda wybrze a nie była odpowiednim miejscem do wicze artyleryjskich.

Na ko cu stanowisk Rachel wykonała powoli zwrot i przeleciała ponownie. Pod koniec dowództwo naziemne kazało jej pu ci tarcz w wyznaczonej strefie. Misja była zako czona.

Przelatuj c nad obszarem zrzutu kazała cicho siedz cemu operatorowi, by zwolnił tarcz . R kaw w kształcie sto ka uwalniała d wignia umieszczona obok stanowiska strzelniczego, które zajmował operator. W momencie odczepienia tarczy nast pił nagły przechyl.

Poderwawszy samolot do góry, zobaczyła jeepa p dz cego po pla y w kierunku strefy zrzutu po tarcz , by sprawdzi celno strzałów. Na odprawie dowiedziała si , e ka dy karabin był załadowany kulami o innym kolorze, tak wi c oficerowie sprawdz kolor oraz liczb trafie .

- Jak si nazywasz? - zapytał przez radio oficer artylerii.

- Goldman. - Poczwała strach, e spaprała swoj pierwsz misj .

- No... dobra robota, Goldman - usłyszała niech tn pochwał , zaprawion odrobin zdziwienia.

- Dzi kuj .

16

Ju pierwszy tydzie w Camp Davis wystarczył, by dziewczyny zorientowały si , e niestety dały si nabra . Zlecone im zadania w bardzo małym stopniu odpowiadały ich wyidealizowanemu poj ciu o roli, jak miały odegra w tej wojnie, które ukształtowało si podczas Szkolenia w Sweetwater. Ich zadaniem nie było transportowanie dla armii pierwszor dnych samolotów z jednego ko ca kraju na drugi, ale pilotowanie najgorszych chyba wraków, jakie były w posiadaniu Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, i uczestniczenie w wiczeniach, podczas których ryzykowały yciem.

Po porannym locie garstka zrezygnowanych pilotek zebrała si na drodze kołowania, oci gaj c si z wyj ciem z rzucanego przez hangar cienia na gor ce sierpniowe sło ce. Ich opuszczone z rezygnacj głowy nie wskazywały na najlepszy nastrój.

- Powinny cie zobaczy mój samolot - odezwała si jedna z dziewczyn, Betty Cole, pochodz ca z Kalifornii - była reprezentantka USA w skokach do wody. Nerwowo wyci gn ła papierosa, próbuj c ukry dr enie r k. - W kadłubie jest chyba pół tuzina dziur, w odległo ci nie wi kszej ni trzydzie ci centymetrów od zbiorników na

paliwo. Czy macie pojęcie, jak mało brakowało, by mój samolot razem ze mną stanął w płomieniach?

- Myślisz, że już wiem, o co w tym wszystkim chodzi - stwierdziła Marty, jedyna spośród nich, która nie dała się ponieść nerwom. - To jest po prostu strzelnica, a my jesteście myrzonkami, do których się celuje.

- Połowa z tych głupców na plaży nie ma pojęcia, jak celować, a druga nie wie nawet, w którym kierunku - skomentowała któraś z dziewczyn.

Marty, gasząc papierosa obcasem, spojrzała przez ramiona na siedzącego tuż za nią Edena.

- Twoja Jacqueline powiedziała nam, że zostałyśmy tu przydzielone w ramach eksperymentu.

- I jesteście my najprawdziwszymi królikami do wiadczenia - z goryczą stwierdziła Betty Cole.

- To zabawne - odezwała się Mary Lynn obserwując niebo nad głowami i przyglądając się lecącym w szyku samolotom. - Zawsze zastanawiałem mnie, co przeżywa Beau lecąc pod ostrzałem artylerii. Teraz już wiem.

Gasząc jednego papierosa, równocześnie wyjęła z paczki kolejnego i zapaliła go, nerwowo wydmuchując dym. Niedawne przeżycia zostawiły wyraźny ślad. Cała dosłownie trzęsła się ze zdenerwowania.

Widomo tego, że nie ona jedna tak cięko to przeżyła, była marną pociechą.

- Nie wiem, co wy o tym myślicie - odezwała się jedna z dziewczyn - ale mnie robi się w niedobre już od samego myślenia, że mam znowu znaleźć się w powietrzu tylko po to, by banda zielonych mundurów potraktowała mnie jak tarczę, do której mogą strzelać.

Dziewczyna odpowiedziała jej wymuszonym śmiechem, usiłując nie przejść się tym, co przed chwilą usłyszały, a co było tak bliskie prawdy.

Miejsce, w którym się znajdowały, zostało bardzo trafnie nazwane Cap Fear*. Trafnie, gdy zapach strachu jakby unosił się w powietrzu, wprost ogarniał je, otaczając tym swoistym chłodem, który sprawiał, że skóra robiła się zimna i wilgotna, a krew w żyłach zaczynała szybciej pulsować.

- Napijmy się coli - zaproponowała któraś.

Wiele z nich odczuwało pragnienie i miało wyschnięte usta, ale to nie gorące popołudnie było temu winne. Nikt już nie miał ochoty na dalsze rozmowy i podzielone na małe grupki dziewczyna wolno poszły w kierunku budynku, gdzie w pokoju pilotów miały czekać na dalsze rozkazy.

W ciemnym rogu pokoju kwitł poker. Skrzydła umieszczonego pod sufitem wentylatora obracały się leniwie, poruszając gorące, pełne papierosowego dymu powietrze, co nie dawało jednak większych efektów. Młodzi piloci siedzący przy stole do gry podnieśli wzrok, gdy grupa pilotek weszła do pokoju. Ich zbiorowa niechęć do dziewczyn była niemalże namacalna. Jeden z pilotów, o twarzy gsto pokrytej piegami, zauważył Marty i nonszalancko kołyszając się na krześle odezwał się z przekąsem:

- Spójrzcie chłopaki, kto do nas wrócił, to nasza ognista pilotka.

Marty nie pozostała mu dłużna.

- Nie widziałam cię ostatnio w pobliżu pasa startowego, piegusie. Chyba mi nie powiesz, że taki silny, odważny facet jak ty próbuje się migać i pozwala wykonywać swoje zadania kobietom.

- Mam pewne techniczne kłopoty - odpowiedział sztywno.

- Techniczne? To się chyba nazywa brak jaj? - zapytała kpiąco.

- To nie fair - powiedziała półgłosem Mary Lynn, wciskając do ręki Marty butelkę z colą.

- Nie fair? Zwróć uwagę, że on wcale nie zaprzecza - pogardliwie stwierdziła Marty.

* Przyldek Strachu (przyp. red.).

- Je li jeste na tyle głupia, by wczłogiwa si do kokpitu jednego z tych samolotów tylko po to, by słu y za cel wiczebny dla bandy tych z artylerii, to ja nie mam zamiaru ci w tym przeszkadza - odpowiedział piegus. - Udaje si nam prze y tylko dlatego, e jaki inny facet albo dziewczyna zostaje ustrzelona. Chciała dosta m sk prac , no to j teraz masz. Nie bardzo rozumiem, na co si skar ysz?

- Jeste odwa ny jak diabli, prawda? - zapytała szyderczo.

- Jestem przede wszystkim ywy.

- To rzeczywi cie powód do dumy - odpowiedziała Marty.

Nagle jeden z pilotów wpadł do pokoju.

- Dusty spadł! Wszyscy mamy natychmiast znale si w powietrzu!

Nikt nie zwrócił uwagi na rozsypane karty, gdy poderwali si na wezwanie. Wszyscy piloci, zarówno m czy ni, jak i kobiety, wypadli z pokoju i pobiegli na lini lotów staraj c si jak najszybciej odnale swoje maszyny.

Poszukiwania pilota były dla m czyzn z eskadry czyst rutyn , ale dla dziewczyn stanowiły co zupełnie nie znanego. Wszystkim pilotom przydzielono okre lony kwadrat powierzchni, nad któr przelatywali wypatruj c w otaczaj cym obóz g szczu cyprysów i wysokiej trawy porastaj cej bagna, odbijaj cych si w sło cu metalowych cz ci rozbitego samolotu. W wypadku przymusowego l dowania pilot powinien stara si osadzi samolot na trawie tak, by l duj c pozostawi na powierzchni szeroki ład, łatwy do zauwa enia z powietrza. Je li było to mo liwe pilot powinien rozło y na ziemi otwarty spadochron jako dodatkowy element, który ułatwiłby poszukiwania. Ale przede wszystkim nie powinien oddala si z miejsca katastrofy.

Poszukiwania trwały ju ponad godzin . Mary Lynn poczuła, e oczy zaczynaj si jej m czy , a mi nie karku dr twie . Jak do tej pory nie zauwa yła w dole nic oprócz nieregularnego wzoru białych plam, b d cych yj cymi na bagnach czaplami. Pod wiadomie cały czas uwa nie wsłuchiwała si w prac silnika samolotu na wypadek, gdyby co niepokoj ce go zacz ło si z nim dzia .

W ko cu, po paru godzinach poszukiwa , zlokalizowano samolot. Wiadomo , e pilot i jego telegrafista zostali odnalezieni, przekazano wszystkim samolotom bior cym udział w poszukiwaniach, które teraz mogły wróci do bazy. Mary Lynn odpr yła si wreszcie i skierowała swój samolot w kierunku l dowiska.

Tego wieczoru wszystkie dziewczyny były całkowicie wyko czone. Podczas posiłku win za brak apetytu obarczono upał. Gor ca sierpniowa aura była odpowiedzialna tego dnia za nerwowo i złe nastroje. Tylko jedna Marty odznaczała si swego rodzaju odporno ci na ci kie i stresuj ce warunki. Pomy lała, e dobrze byłoby troch si zrelaksowa i zaproponowała Eden i Mary Lynn odrobin czego mocniejszego w klubie oficerskim.

W Camp Davis stosunek ilo ciowy oficerów płci m skiej do liczby kobiet był jak sto do jednego. Gdy trzy z tych nielicznych kobiet weszły do klubu, wzbudziło to zrozumiałe zainteresowanie. Orkiestra grała melodi Glena Millera. Dziewczyny usiadły przy stoliku i prawie natychmiast pewien wysoki major przysiadł si do nich.

Po godzinie, podczas której były cz stowane drinkami i namawiane do ta ca przy okazji ka dej kolejnej piosenki, postanowiły wreszcie schroni si w łazience. Eden usiadła przy małej toalecie, aby przed lustrem poprawi makija .

- Jeszcze dwa tygodnie temu narzekałam na brak odpowiednich m czyzn. Za tymi drzwiami ka da dziewczyna mo e znale sobie kogo .

- Kogo ? Po co decydowa si na jednego, gdy mo na mie ca eskadr - odpowiedzia Marty poprawiaj c r k swoje krótkie loki, podobne kolorem do miodu.

- Oni wszyscy musz czu si bardzo samotnie - powiedzia Mary Lynn, my l c o Beau, któremu, jak podejrzewa ła, równie doskwiera ła samotno . - Odnosz wra enie, e s szcz liwi, gdy mog po prostu porozmawia sobie z kobiet .

- Oni chc znacznie wi cej ni rozmowy. - Marty z politowaniem pokr ci ła g łow nad naiwno ci , z jak Mary Lynn interpretowa ła potrzeby m czyzn. - Jeste cie gotowe, by ponownie wej mi dzy wilki?

- Tak - odpowiedzia ła krótko Eden wstaj c sprzed lustra. - Zauwa y ły cie, jak oni du o pij ? - Marty i Mary Lynn kiwn ły g łowami, milcz co potwierdzaj c jej opini .

W jaki czas pó niej, siedz c przy stoliku. Eden dyskretnie zakry ła r k usta, próbuj c ukry ziewanie, którego nie mog ła powstrzyma . Stara ła si wygl da na zainteresowan gadanin jednego z oficerów z wyhaftowanymi na mundurze srebrnymi, d bowymi li mi. By tak przekonany, e wywiera na niej ogromne wra enie, e nie dostrzega ł jej znużenia. B dzi ła wzrokiem po parkiecie, gdzie Marty ta czy ła z przystojnym jasnow łosym porucznikiem, ciasno otoczona jego ramionami. Przez krótk chwil zapagn ła mie tego rodzaju poczucie swobody w stosunku do m czyzn, jak Marty, ale zaraz potem zmieni ła zdanie. Odwróci ła g łow w kierunku swojego pu łkownika, ze sztucznym u miechem uprzejmego zainteresowania na twarzy.

W wojskowym obozie zdolnym pomie ci dziesi tysi cy ólnierzy ka dy, kto chce, mo e znale mnóstwo kryjówek. W jednym z takich miejsc, w nie ucz szczanym przez nikogo zak tku bazy, Rachel i Zach le eli na zniszczonym wojskowym kocu, w ubraniu, cho niewiele guzików pozosta ło zapi tych. Rachel opar ła g łow na jego muskularnym ramieniu, a on delikatnie g łaaska ł jej jedwabiste w łosy. Obróci ła si twarz do niego, kład c d ło na jego piersi tak, e mog ła czu silne uderzenia serca. Czua ła jakie dziwne rozleniwienie i ospa ło spowodowane ciepłym, nocnym powietrzem, które w mi ły sposób ko ło nerwy i t łu mi ło nie do ko ca rozumiane przez ni sam obawy.

- Twoi kumple z artylerii o ma ło mnie dzisiaj nie dostali - poinformowa ła Zacha, le c w zagi ciu jego ramienia. - Trafili cie w lin w odleg ło ci za ledwie metra od ogona mojego samolotu.

- Jeste my gromadk weso łych strzelców - odpowiedzia ł ze miechem.

- To wszystko jest nedorzeczne, sam dobrze wiesz - mrukn ła Rachel rozgl daj c si doko ła. - Za chwil zostaniemy chyba zjedzeni przez moskity.

- To prawda, e warunki s nieco prymitywne - przyzna ł Zach - ale to najlepsze co mam w tej chwili to zaferowania. Wyjd za mnie, Rachel.

Przez krótk chwil pozwoli ła sobie na odrobin rozmarzenia, ale zaraz potem wróci ła do rzeczywisto ci .

- Wiesz przecie , e nie mo esz o eni si bez pozwolenia dowództwa. A oni nigdy nie wyra zgody na ma łe stwo pomi dzy oficerem a zwykłym ólnierzem. Mimo e oficjalnie nie jeste my cz ci armii, przys łu guje nam status oficera i odpowiednio do tego jeste my traktowane.

- A kto powiedzia ł, e musimy prosi o zgod ? Nie potrzebujemy jej. We miemy lub, tak jak to si robi ło w dawnych czasach. Znajdziemy dwóch wiadków i z ło ymy przysi g w ich obecno ci . „W obliczu wiadków po lubiam ciebie zgodnie z prawem Izraela”.

- Zach, wszystko, co mówisz, nie ma sensu. - Krytycznie podsumowa ła jego wypowied . Ale mimo tego, e

zdawała sobie sprawę, i to, o czym mówił, jest nierealne, czuła ogarniającą ją ciepło. Gdy słuchała jego słów, nie zastanawiała się nad rzeczywistością. Wszystko wydawało się takie łatwe.

Dotknął jej podbródka i delikatnie uniósł w górę głowę, aby mógł zobaczyć jej twarz, ja niejąc teraz w bladym świetle księżyca.

- Dlaczego kochanie ciebie nie ma sensu, Rachel? - Jego spojrzenie było tak gorące, że na moment odebrało jej oddech. Wpatrywała się w lazurowo-błękitne oczy, które ją niały w przystojnej, jak gdyby wyrzeźbionej rękami artysty twarzy, okolonej gęstymi włosami koloru hebanu.

- Może dlatego, że wokół jest tyle niepewności. - Objął ją za szyję, czule głaszcząc jego kark. - Kocham cię, Zach. Czasami... Ja po prostu nie wiem, jak bym to zniosła, gdyby stało ci się coś złego - odpowiedziała gwałtownie, drżącym głosem.

Zach z niezadowoleniem zmarszczył brwi.

- Wciąż ci powtarzam, że nic złego mi się nie stanie. Obiecuję - odpowiedział z naciskiem. Mocno pocałował ją w usta, jak gdyby pieczętując obietnicę, po czym delikatnie wypuścił ją z objęcia i usiadł obok, wyjmując z kieszeni na piersi pomiędzy paczkami Camelii. - Chcesz zapalić?

- Tak. Dziękuję. - Gdy zapalona zapalniczka zamigotała przed jej oczami i ujrzała błyski płomienia zbliżającej się w jej kierunku, poczuła nagły strach i gwałtownie odwróciła głowę. Uczyniła to jak gdyby instynktownie i jej własna reakcja wstrząsnęła nią.

- Co się stało? - spytał Zach zdziwiony.

- Przysunęłam twarz zbyt blisko ognia i trochę się sparzyłam. Czy mógłbyś zapalić za mnie? - zapytała podając mu papierosa.

Zapalniczka zgasła już, więc Zach zapalił kolejną. Zauważył, że Rachel szybko odwróciła głowę, nie chcąc patrzeć na ogień. Podał jej zapaloną papierosa i przybliżył twarz do zapalniczki, przypalając swojego. Rachel objęła ramionami kolana i mocno przycisnęła je do klatki piersiowej, jak gdyby kulić się w sobie.

- O co chodzi, Rachel? - spytał łagodnie, widząc jej strach i wiedząc, że chce go przed nim ukryć. - Wyglądasz, jakbyś się bała płomienia zapalniczki.

- Wcale się nie boję - odpowiedziała z pewnym zniecierpliwieniem w głosie. - Po prostu sparzyłam się. Już ci mówiłam.

Przez dłuższą chwilę Zach nie odzywał się ani słowem i z pozornym skupieniem przyglądał się białej smudze dymu, która spiralnie unosiła się z jego papierosa.

- W koszarach niektórzy dużo mówią o tym, jak to jest, gdy się bierze udział w akcji. Opowiadają o tym, co słyszeli, co przytrafiło się chłopakom na froncie. Wygląda to, jakby musieli się wygadać, jakby w ten sposób chcieli pozbyć się swoich lęków i obaw, że pewnego dnia jednego z nich trafi pocisk artyleryjski, który rozniesie go w powietrze w tyłu kawałkach, że nikt nie będzie w stanie odnaleźć nawet jego sznurowadeł. - Kochąc zdanie spojrzał na nią przenikliwie próbując dojrzeć jej reakcję. - Słyszałem, że wielu pilotów boi się ognia.

Zach spodziewał się w odpowiedzi gwałtownego zaprzeczenia, tymczasem, mimo że w dalszym ciągu poruszona, Rachel panowała nad sobą.

- To nie ma nic wspólnego z lataniem, niezupełnie. - Zaciśnięła mocno usta, jakby tłumiała wewnętrzne napięcie. - To było niedługo przed ukończeniem szkoły. Jedną z moich przyjaciółek - była przez jakiś czas aktorką w Hollywood - leciała AT-17 do Big Spring, a ja tuż za nią innym samolotem. I nagle, w miejscu gdzie powinien być

jej samolot, ujrzałam ogromną kulę ognia.

- Rachel...

- Ale ty... niech czułam już wcześniej - odpowiedziała szybko i niecierpliwie, przerywając mu w pół słowa i odrzucając jego ewentualne współczucie. - Wkrótce potem Helen zginęła. Myślałam, że to, co zobaczyłam, było przecuciem, że w pewien sposób przewidziałam jej śmierć, i że na tym się skończy. Ale tak się nie stało. To dziwne uczucie strachu wcale nie zniknęło. - Po raz pierwszy od dłuższego czasu spojrzała na niego, a jej twarz była blada i napięta. - Boj się patrzeć na ogień, by nie zobaczyć w nim siebie... lub może mojej babci.

Zach nie mógł znie rozpaczliwego spojrzenia jej oczu o niesamowitym fiołkowym kolorze i po chwili odwrócił wzrok. Nie odezwał się do niej ani słowem, gdy słowa nie były według niego odpowiednim pocieszeniem. Koniuszek jego papierosa jarzył się w ciemności, pulsując, jak gdyby był swoim własnym, przedziwnym życiem. Wgniół go w ziemię, a potem wyciągnął rękę i przyciągnął do siebie Rachel, która w dalszym ciągu siedziała zwiniona w kłębek. Objął ją mocno przytulił.

- Co robisz? - zapytała zdziwiona, lekko protestując, gdy wyjął jej z palców dopiero co zapalonego papierosa i odrzucił gdzieś w noc.

- adnych papierosów. adnego ognia. adnych płomieni i adnych w nich twarzy. Ważna jest tylko miłość. - U niego drgał na jego wargach, gdy zbliżył się do jej ust. Mocniej przycisnął ją do siebie, po czym delikatnie przechylił się w tył i ułożył ją na kocu. Całował ją namilnie i bardzo długo, zanim podniósł odrobinę głowę, by móc przyjrzeć się jej twarzy i stwierdzić, czy udało mu się usunąć z niej wszelki strach. Czuł słodycz jej ust, która działała na niego jak narkotyk.

Rachel, z odrobiną nieobecny wyrazem twarzy, przeczesła palcami jego czarne, jedwabiste włosy.

- Jesteś szalony - powiedziała cicho. Jej usta łagodnie i miękko uśmiechały się do niego, a po poprzednim, napiętym wyrazie twarzy nie pozostało ani śladu.

- Muszę być szalony - zgodził się Zach - żeby kochać kogoś takiego jak ty. - Mocniej przycisnął ją do siebie, pod wpływem czego dolne guziki jej bluzki lekko odskoczyły, ukazując zgrabny brzuch. Schylił się i lekko go pocałował czując, jak jej skóra zadrżała pod wpływem pieszczoty.

- Nie mogę się doczekać dnia, kiedy nasze dziecko zacznie rozwijać się w tobie - powiedział unosząc się i spoglądając na nią z miłością, czule głaszcząc jej płaski brzuch. - Dlaczego nie mielibyśmy zacząć od razu?

- Nie, Zach, to nierozsądne. Co się stanie ze mną i z dzieckiem, kiedy ty pójdiesz na front? - Jej słowa zdawały się sprzeciwiać jego propozycji, ale twarz mówiła co innego.

- O co chodzi? Nie potrafisz latać samolotem z dzieckiem na kolanach? - powiedział artobliwie i zaczął delikatnie kłaskać w rękawki na pieszczoty skóry jej szyi.

- Zach - szepnęła obejmując go mocniej i gwałtownie przyciągnęła do siebie - Kochaj mnie.

17

Na zewnątrz pokoju pilotów było zupełnie ciemno. Po zachodzie słońca światła były zabronione; obowiązywało całkowite zaciemnienie i nawet na pasach startowych były wygaszone światła.

Jednak na frontach walki toczyły się zarówno w dzień, jak i w nocy. Operatorzy radaru i reflektorów musieli przejść szkolenie w warunkach naturalnych, a więc również w nocy, a piloci musieli latać tak, by można było ich ledwie zobaczyć na ekranie radaru lub po światłach.

- Papierosa? - Eden wyciągnęła do Rachel rękę z paczką Lucky Strike.

Wysoka blondynka odmówiła i odwróciła się, a Eden przypaliła sobie papierosa. Wci gn ła g ło boko dym i wypu ciła go nerwowo. Po piesznie zgnieciony wcze niej pet jeszcze dymił w popielniczce.

Eden niewiele mogła zrobić, by pozbyć się napięcia, które ją ogarnęło. Tam, wokół ciemnego lotniska czaiło się niebezpieczeństwo.

Nie było żadnego zadania do wykonania. Tego wieczoru odbywały tylko loty sprawdzające ich umiejętności pilotowania w nocy. W pewnym sensie był to komplement dla nich, że tak dobrze poradziły sobie w wycieczkach z tarczami, i teraz mogły otrzymać inne zadania, ale Eden zbyt dobrze zdawała sobie sprawę z ryzyka z tym związane, by przyjąć za dobrą monetę okazane przez dowódcę zaufanie.

- Lepiej bym się czuła, gdyby my latały samolotami wielosilnikowymi. Przynajmniej gdy jeden silnik przestaje działać, są inne w zapasie - powiedziała Eden. Przez całe życie była przyzwyczajona do najlepszych rzeczy i wciąż miała trudno ci z przyzwyczajeniem się do gruchota, którym latała.

W nocy w zupełnych ciemnościach było trudne, jeśli nie niemożliwe, określenie kierunku wiatru i znalezienie bezpiecznego miejsca do lądowania awaryjnego. Lotnisko otaczały bagna i sama myśl o lądowaniu na zamieszkałych przez węże mokradłach napełniała strachem.

Rachel nigdy nie była rozmowna. Jeśli nawet dzieliła obawy Eden, to je ukrywała. Zaciągając się boko dymem, Eden zastanawiała się nad sekretami Rachel. Już się domyślała, że Rachel wymknęła się wieczorem, by spotkać się ze swoim przystojnym znajomym. Z lekką zazdrością rozpoznała spojrzenie pełne miłości, które czasami zjawiało się w oczach Rachel. Oczywiście nie zdradziła, że wie o tych schadzkach.

Przybyli instruktorzy, by przetestować grupę wlotek, którym kazano się stawić na pasie startowym. Bezczytno i niemożliwo rozmowy o obawach, które wszystkie dzieliły, zeszły na dalszy plan, gdy zajęły się sprawdzaniem każdego samolotu, którym miały lecieć. Ale wciąż przypominały sobie, że mimo to wykonywali te zadania wcześnie, a one przyjechały tu, by ich zastąpić.

W ciepłym powietrzu pół godziny lata Eden czytała formularz pierwszy swojego dziennika pokładowego. Tylko jedna usterka była wymieniona - zepsute siedzenie, co według Eden nie było zbyt ważne. Poza tym samolot był w dobrym stanie, lecz widok kręcącego się wokół maszyny Bubby Jacksona, uspokajał ją jeszcze bardziej.

Chudy mechanik czekał przy skrzydle, by jej pomóc wsiąść, a instruktorzy jeszcze chwilę rozmawiali z jednym z jego kolegów.

- Strasznie długo pracujesz, prawda? - zauważyła Eden, i uśmiechnęła się, czując siłę podanej jej dłoni.

Zwykle o tej porze na pasie była tylko obsługa naziemna, a mechanicy dawno skończyli pracę.

- Musiałem sprawdzić samoloty dla państwa i upewnić się, że są w porządku - odparł Bubba z ciepłym i szerokim uśmiechem. Był uczynny i szczery z natury, miał poczucie humoru, silną wolę i elastyczność.

- żadnych poważniejszych problemów? - zapytała Eden, wsiadając do kabiny, a Bubba wszedł za nią na skrzydło i pomógł usadowić się w fotelu.

- Nic, w żadnym samolocie - potwierdził i dodał: - Są tylko drobniaczki: zepsute siedzenia, jak twoje, kłopoty z radiem, zacznijca się klamka od pokrywy, ale wszystkie silniki pracują prawidłowo.

- Dzięki - powiedziała z wdzięcznością. Sama wiadomo, że Bubba sprawdził samolot, uspokajała jej obawy. Próbowwała sobie wmówić, że ten wieczór nie różni się od nocnych wycieczek w Sweetwater.

Mrugnęszy do niej, Bubba poklepał metalową powłokę samolotu, jakby na pożegnanie i zeskoczył ze skrzydła. Instruktor zajął miejsce strzelca.

Na końcu szeregu zabłądziła co białego, potem pojawiła się drobna postać Mary Lynn, wsiadając do kabiny A-24, z poduszkami, które pozwalały jej dosignąć pedałów.

Silniki parsknęły, zakaszały, a w końcu rozkręciły się równym rytmem. Odkołowały z rampy. Eden jechała za samolotem Rachel, który kierował się ciemnym pasem na nieoświetlonej drodze startowej. Zamknęła pokryw i przygotowywała się do startu, czekając na swoją kolej. Gdy maszyna Rachel opuściła lotnisko, Eden pokołowała na pas stanowy. To było jak latanie z zamkniętymi oczami, trzeba polegać tylko na instrumentach, żeby się oderwać od ziemi.

W powietrzu miały pozostać w śladzie starty i lądowania na zaciemnionym lotnisku. Były zmuszone lecieć bardzo nisko, by dostrzec drogę startową, jednocześnie nie musiały pamiętać o drzewach rosnących tak blisko lotniska.

Przy pierwszym podejściu Rachel zmarnowała kawałek pasa, gdy leciała za wysoko, co instruktor wytknął jej przy następnej próbie. Trudno było odróżnić długie, czarne kształty budynków w dole, ale w jednym z nich mieszkał Zach. Myślała o nim na moment przerwała jej koncentrację i wywołała uśmiech na twarzy.

- Tym razem zejź nisko, Goldman - poradził jej instruktor, siedzący za plecami. - Nie zobaczysz, gdzie się zaczyna pas, jeżeli będziesz podchodzić jak wystraszona stara baba.

- Tak jest - powiedziała, hamując złość z powodu docinka na temat kobiecej bojaźliwości i zdecydowanie podeszła do wykonania manewru.

Pas do lądowania znajdował się przed nią - szeroka, czarnoszara droga. Skoncentrowana na dokładnym trafieniu w miejsce, gdzie zaczyna się pas, Rachel nie zauważała zbliżających się drzew. Koła zaczęły o ich wierzchołki, a samolotem gwałtownie zatrzęsło.

Rachel usłyszała krzyk, nie zdając sobie sprawy, że to jej własny głos. Nie było czasu nawet na myślenie, gdy Dauntless leciał w dół, dziobem prosto w ziemię. Przy uderzeniu słychać było dźwięk rozrywanego metalu, potężne szarpnięcia rzucały nią z boku na bok. Kiedy hałas rozbijanej maszyny ustał, dopiero po chwili Rachel zdała sobie sprawę, że żyje.

Wtedy ujrzała błękitny płomyk, wypełzający z silnika, wijący się, migoczący, wychodził i chował się z powrotem tylko po to, by pojawić się ponownie. Strach cisnął jej za gardło. Ciągnęła jak szalona za klamkę, by się uwolnić z siedzenia, po czym zaczęła walczyć z pokrywą.

WYCHOD !

Szarpała ją, ale zamek się zaciął. Ogarnęła ją panika, gdy przypomniała sobie, że w formularzu jeden była uwaga, iż pokryw można otworzyć tylko z zewnątrz. Ogień zaczął się rozprzestrzeniać, a Rachel krzyczała i waliła pięściami w pokrywę.

WYCHOD !

Wczepiła się w klamkę w szalonej próbie ucieczki, gdy błękitne płomienie ogarnęły kabinę. Po aruwi zsiadł w rodki i pochłonął miertelny achem.

Eden widziała z powietrza, jak samolot Rachel zachwiał się i zawisł na kilka sekund, a potem runął w bagna na skraju lotniska. Przy uderzeniu rozpadł się na dwie części pomiędzy przednią kabiną i siedzeniem strzelca. Widziała te błękitne języki ognia wydostające się z silnika.

Trasa lądowania przebiegała dokładnie nad płonącym wrakiem. Z przerażeniem spoglądała w dół. Czas wydawał

si sta w miejscu, a ona jakby zawisała nad rozbitym samolotem, słyszała krzyki Rachel i patrzyła na postać w ogniu, zamroczył jej umysł. Eden nie pamiętała, jak wyładowała i odstawiła samolot.

Przeleciała nad wrakiem, w uszach nadal brzmiał krzyk Rachel, a obraz płonących postaci, ręk, nóg i całego ciała w ogniu, zamroczył jej umysł. Eden nie pamiętała, jak wyładowała i odstawiła samolot.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po zatrzymaniu się, było otwarcie pokryw i kilka głębokich oddechów. W oddali słyszała wycie syren pochodzących do wypadku furgonetek ratowniczych i strażackich. Była cała spocona, choć czuła zimno i dreszcze.

Jak przez mgłę słyszała, że ktoś ją woła. Wcisnęła się nieruchomo po pierwszym szoku, zdała sobie sprawę, że ktoś stoi nad nią, na skrzydle.

Zgasła silnik i wyłczyła.

- Eden... - Bubba pochylił się nad nią i obserwował z bliska jej twarz. - Nic ci nie jest? - zapytał, na moment porzucając formalnośc i zapominając o „prosz pani”.

Głęboka troska i zainteresowanie, jakie malowały się na jego twarzy przełamały paraliżujące przerażenie Eden.

- Widziałam to, Bubba. Widziałam to wszystko - powiedziała wpatrując się w niego. - Zaczepiła o drzewa.

- Wiem - odparł i zdecydowanie ponaglił ją, żeby wysiadła. - Chodź.

Jak automat wyszła z samolotu. Jej instruktor stał niedaleko, ale nie zwróciła na niego uwagi. To u Bubby szukała schronienia i pomocy w otrzymaniu się z przerażenia, które ją ogarnęło. Instruktor kręcił się niepewnie, a w końcu Bubba dał mu do zrozumienia, żeby poszedł.

- Ja się nie zajmę. Pewnie bardziej ci potrzebowali w operacyjnym - powiedział cicho. Eden odruchowo zdjęła szalik i rozpuściła błyszczące rude włosy, jakby miało to pomóc w pozbyciu się okropnych wizji.

- Słyszałam jej krzyk - powiedziała do Bubby głuchym głosem, gdy instruktor odszedł. - Silnik zaczął się palić, a ona nie mogła otworzyć pokryw i... - Nie była w stanie dokończyć, gdy było to zbyt straszne, by wyrazić słowami.

- Mój Boże - odezwał się Bubba, z początku cicho, a potem wyraźniej, drżącym głosem. - Mój Boże.

Przypomniał sobie pokrywę z uszkodzonym klamką, którą można było otworzyć tylko z zewnątrz.

- Bubba, to było okropne - powiedziała z płaczem.

Kiedy ją objął, z wdziacznością przytuliła się do niego i ukryła twarz na jego ramieniu. Trzymał ją mocno, tłumiąc silne dreszcze, które wstrząsały jej ciałem. Swoim niskim, miłym głosem mruczał jej coś do ucha, próbując uciszyć brzęczenie w jej głowie przeraźliwych krzyków, a sam cierpiał z powodu poczucia winy i wyrzutów sumienia.

- Gdybym tylko zrobił... - Ale nie zrobił.

Panował hałas i zamieszanie - przeraźliwe wycie syren karetki, samochodów strażackich i ryk silników samolotów lądowych i kołujących na stanowiska. Loty próbne zostały odwołane, maszyny lądowały jedna za drugą. Eden pozostała w ukryciu, w cieniu swojego samolotu, otoczona opieką czujnymi ramionami Bubby.

- Nawet jej nie lubiłam - powiedziała z pewnym mieszaniną poczucia winy i żalu.

- Ciii... - Łagodnie i lekko kołysał nią, przycisnąwszy mocniej jej głowę do siebie.

Zanim udało się ugasić pożar, ciało Rachel było zwiędłe nie do rozpoznania. Dziwnym zrzeczeniem losu instruktor został odrzucony od przedniej części, ogarniętej pożarem i sanitariusze szybko go odnaleźli.

W kilka minut po wypadku i odezwaniu się pierwszych syren, wiadomość rozeszła się po barakach. Zach

doł czył do grupy ołnierzy, stoj cych przed barakiem i patrz cych w odległe wiatło.

Niemal wszystkie zaproszenia na przyj cia w Waszyngtonie zawierały instrukcj , którym autobusem przyjecha . Mitch Ryan jednak miał do dyspozycji samochód wojskowy, co wiadczyło o jego statusie, niezale nym od stopnia.

Kiedy dotarli do Chevy Chase - ekskluzywnego przedmie cia Waszyngtonu, Mitch bez problemu odnalazł ogromn rezydencj . wiatła wieciły praktycznie w ka dym oknie tej dwu i półpi trowej budowli, rzucaj c długie smugi w ciemno ci. Za firankami gdzieniegdzie wida było kr c cych si go ci.

- Wpuszcz mnie w takim ubraniu? - zapytała Cappy, gdy wysiedli z zaparkowanego na podje dzie samochodu. Mitch rzucił okiem na jej br zowe spodnie, biały bluzk i br zow fura erk . W wielu kr gach krzywiono si jeszcze na widok kobiety w spodniach.

- Trwa wojna. Byłoby niepatriotycznie nie wpu ci oficera w mundurze - odparł bez namysłu, po czym zapewnił j : - Nie zostaniemy długo, tylko tyle, ebym si pokazał paru osobom, i wychodzimy.

- Dobrze.

Pomimo i mieszkała niedaleko, tylko dwa razy wychodziła z Mitchem od rozpocz cia słu by prawie dwa tygodnie temu. Za ka dym razem łapała si na tym, e nie mo e si doczeka nast pnego spotkania.

Gor czkowe tempo ycia w Waszyngtonie pozwalało przychodzi na przyj cia w ubraniu codziennym lub słu bowym. Lecz spodnie Cappy ci gn ły na ni kilka krytycznych spojrze . Jednak obfito wojskowych mundurów, szczególnie polowych, uczyniła jej ubiór czym naturalnym.

Kelnerzy kr yli po pokojach z tacami pełnymi drinków i Cappy, ledwo weszła, a ju trzymała w dłoni kieliszek. Albo w Chevy Chase nie ma problemów z zakupami, albo robi si je na czarnym rynku - pomy łała, widz c tartinki i przek ski poukładane na srebrnych paterach. Zwracała uwag nie tylko ich ogromna ilo , ale i rozmaito w dlin, które rzadko mo na było dosta .

Mitch prowadził j przez hała liwy tłum i grupki miej cych si go ci, a Cappy obserwowała plotkuj cych ludzi, przekazuj cych sobie naj wie sze nowinki. Dobrze znała ten obraz. Z jednej strony si przypochlebiaj , a z drugiej wbijaj nó w plecy. Znała te wszystkie gierki, widziała, jak si otrzymuje awanse, które nie maj nic wspólnego z zasługami.

Tak si przyzwyczaiła do widoku mundurów, e prawie nie zauwa yła złotych gwiazdek, zdobi cych pagony oficera, do którego wła nie zwrócił si z szacunkiem Mitch. Usłyszała, e j przedstawia i szeroko u miechni ty generał spojrział na ni z zainteresowaniem.

- Panno Hayward, w ko cu mam przyjemno pani pozna . - Ciepło u cisn ł: jej dło , a błysk w oczach wiadczył, e wiele o niej słyszał. Spojrział na Mitcha, zdradzaj c w ten sposób ródło informacji.

- Jest pan bardzo uprzejmy, panie generale Arnold. - Skłoniła głow z szacunkiem dla jego stopnia, ale nie onie mielona. Przeszła dobre szkolenie w prawieniu miłych słówek przeło onym. - Prosz wybaczyc mój mało kobiecy strój - powiedziała. - Niestety, przyjechałam prosto z lotniska.

- Nie przejmowałbym si tym - odparł swobodnie. - Zało si , e połowa kobiet na tym przyj ciu chciałaby wygl da w spodniach równie atrakcyjnie jak pani.

- Jest pan szarmancki, panie generale - zaoponowała z wyuczon swobod .

Za miał si i spojrział na Mitcha.

- Nic dziwnego, e ta młoda dama ci oczarowała. Byłaby ozdobka dego m czyzny.

- O ile bym tego chciała - mruknęła. Wyprostowała się dumnie, podniosła głowę i odważnie spojrzała mu w oczy. Nie chciała być w cieniu m czyzny, tak jak jej matka.

Generał, rozbawiony, rzucił spojrzenie na Mitcha.

- Kiedy pozwoli się kobiecie włożyć spodnie, to pó niej jest problem z nakłonieniem jej do ich zdania. - Ponownie zwrócił uwagę na Cappy. - Jest pani córka podpułkownika Haywarda, prawda? Słyszałem, e grywa w polo.

- Tak, panie generale.

- Musi być z pani bardzo dumny - zauważył generał.

- Nic mi o tym nie wiadomo, panie generale. - Uśmiechnęła się z rezerwą.

Podszedł adiutant i dyskretnie odwołał generała na bok. Treść przekazanej szeptem wiadomości wywołała zmarszczki na szerokim czole generała Arnolda. Spojrzał powągnie na Cappy, potem trochę dłużej na Mitcha, jakby chciał dać mu do zrozumienia, eby również podszedł.

- Proszę wybaczyć, jest do mnie telefon. Zostanie pan jeszcze przez chwilę, prawda, majorze? - Uprzejme pytanie stanowiło po prostu rozkaz pozostania.

- Tak, panie generale - potwierdził Mitch. - Będziemy tutaj.

- Dobrze.

Gdy generał odszedł, by odebrać telefon, Cappy przygłodała się go ciom, popijając drinka.

- Wydawało mi się, e mówię, e długo tu nie zostaniemy - przypomniała ironicznie.

- Czy mam nadzieję, e narzekasz, ponieważ chcesz być ze mną sama?

- Może. - Kiedy spojrzała na niego, w dużych, niebieskich oczach błyszczała pretensja.

- Czego ode mnie chcesz, Cappy? - zapytał. To pytanie miało wiele znaczeń, ale Mitch wiedział, e ona wybierze jak zwykle to, które jej najbardziej odpowiada.

Jednak tym razem go zaskoczyła.

- Nie wiem. Sama sobie ostatnio zadaję to pytanie.

Chyba nie rozwinęłyby ten temat, ale przyjęcie nie było dobrym miejscem na takie rozmowy. Kto podszedł do nich, przerywał w ten sposób ich dyskusję. Zostali wciągnięci w wir towarzyskich rozmówek na temat wojny, niekończących się spekulacji i przypuszczeń.

Dwadzieścia minut później pojawił się generał. Był imponującej postury, silnie zbudowany i pełen werwy. Kiedy szedł w ich kierunku, sympatyczny uśmiech, który tak łatwo pojawiał się na jego ustach, teraz wydawał się odległy i zatroskany, jak gdyby poważniejsze problemy zajmowały jego umysł. Zatrzymał się przed nimi i spojrzawsz powągnie na Mitcha.

- Wybaczy nam pani na chwilę? - zwrócił się do Cappy, odciągając Mitcha na bok.

Nie oczekiwał od niej żadnej reakcji poza skinieniem głowy. Udawała, e interesuje ją coś innego, a nie rozmowa prowadzona przyciszonym tonem. Kiedy jednak usłyszała, jak wymienił słowa „WLOT” i „wypadek”, po nich jeszcze „Camp Davis”, zrobiła rzecz niewybaczalną - wtręciła się.

- Czyj samolot się rozbił? - zapytała i zobaczyła zaciśnięte usta generała, który nie chciał jej odpowiedzieć. Niecierpliwie i niepokój pojawiły się na jej twarzy, rysując na niej niezwykle napięte. - Słyszałam, jak pan mówił, e jaka pilotka rozbiła się w Camp Davis w Północnej Karolinie. Proszę mi powiedzieć, mam tam

przyjaciółki.

- Prosz wybaczyć, panie generale - wymamrotał Mitch. Chwycił za ramię Cappy próbując ją odciągnąć.

- Nie. - Oparła się, zdając sobie sprawę z jego zachowania przyciągającego uwagę stojących w pobliżu gości. - Generale, powiedział pan, że jakaś WA.SP się rozbiła. Kto? Czy ona... jest ranna?

Przez kilka długich sekund jedynie na niego patrzył, a potem jego surowa twarz przybrała łagodny i smutny wyraz.

- Nie dokonano potwierdzającej identyfikacji. Był po prostu wyjątkowo i nic więcej nie musiał mówić. Cappy zacisnęła zęby, jakby złapał ją jakiś skurcz. - Prawdopodobnie ofiarą jest młoda kobieta o nazwisku Goldman, Rachel Goldman.

Szok zburzył pozory spokoju. Łzy napłynęły jej do oczu, więc szybko opuszczyła głowę, by je ukryć.

- Znała ją pani? - zapytał generał.

- Mieszkałyśmy w jednym pokoju w Sweetwater. - Podniosła głowę wstrząsnięta. - Nie myślałam, że to mogłaby być ona - powiedziała, gdy jej obawy dotyczyły Eden, Mary Lynn i Marty.

- Prosz pójdź ze mną.

Tym razem Cappy nie sprzeciwiła się, aby ją wyprowadzono i pozwoliła, by generał wziął ją pod ramię i przeprowadził przez tłum. Weszli do jakiegoś pokoju, gdzie hałas prawie nie dochodził, dzięki cianom wyłożonym boazerią. Generał Arnold wskazał adiutantowi barek, a sam zaczął oglądać tytuły księzek, ustawionych na półkach.

- Kocham księki - powiedział, celowo zmieniając temat. Popatrzył dookoła, by się upewnić, że ma słuchaczy. - Widzieliście te nowe, niewielkie księki w miękich okładkach? Wydaje się firma, która się nazywa Pocket Books. Poręczne dla żołnierzy, bo można je wszędzie zabrać. Ale ja jednak wolę solidne twarde okładki.

Cappy poczuła zawrót głowy i zachwiała się, lecz Mitch ją podtrzymał. Przyjął jego wsparcie, czując ciepło i siłę, których potrzebowała. Adiutant generała przyniósł jej kieliszek brandy, ale nie miała ochoty,

- Wypij - rozkazał jej generał Arnold.

- Tak jest. - Zmuszona pociągnęła łyk.

- To nieszczyście - powiedział, odnosząc się do wypadku. Nie pytał o ich znajomości ani nie zachcał do zwierzeć.

- Tak, panie generale.

- Będzie komisja, która zbada ten wypadek. - Zwrócił się do Mitcha: - Chciałbym, aby pan tam był... nieoficjalnie. - Innymi słowy, jako oczy i uszy generała, a cokolwiek się dowiedzie, ma zameldować bezpośrednio.

- Może - przerwał na moment, jakby rozważał propozycję, którą chciał przedstawić, zanim powie o niej głośno - panna Hayward mogłaby polecić do Camp Davis... jako pana pilot.

- Dziękuję, panie generale - powiedziała Cappy, wdzięczna za przysługę, choć w głębi duszy wiedziała, że chodzi tu o zwykły wojskowy lojalizm wobec jednej ze swoich, córki szanowanego oficera i przyjaciółki jednego z najlepszych ludzi generała.

- Musz wracać na przyjaciel - powiedział generał i wyszedł.

- Dobrze znała pani Rachel Goldman? - zapytał Mitch, gdy zostali sami.

- Nie - odpowiedziała. - Czy moglibyśmy już się wycofać?

- Oczywiście. - Mitch wyprowadził ją z labiryntu pokoi i ludzi.

W ciepłej letniej noc nawet najmniejszy podmuch nie poruszał powietrza. Cappy jechała samochodem w milczeniu. Nie obawiała się już o los swoich koleżanek, ale gdzie jeszcze czaiło się nieprzyjemne uczucie, które ją dręczyło. Jechali przez ruchliwe ulice stolicy, pełne domów, w których oknach paliły się światła. Cappy spojrzała na Mitcha. Ta trasa wiodła do Bolling Field, gdzie była zakwaterowana.

- Wolalabym nie wracać od razu do baraków. - Czuła na sobie jego spojrzenie, ostro i ciekawie. - Może my pojechajmy do ciebie na drinka?

- Jeśli chcesz - zgodził się Mitch.

Zmienił kierunek i przejechał przez Potomac na stronę Wirginii, gdzie znajdowało się jego mieszkanie. Przez całą drogę panowała niezręczna cisza. Kiedy weszli do mieszkania, milczenie przerywały tylko krótkie pytania i odpowiedzi, gdy Mitch przygotowywał drinki.

Cappy niespokojnie krążyła po pokoju, w końcu zatrzymała się przy oknie i popatrzyła w rozgwieżdżone niebo, ale niewiele mogła dostrzec poza swoim odbiciem w szybie. Kiedy się odwróciła, Mitch stał po przeciwnej stronie pokoju i obserwował ją.

- Dlaczego stoisz tak daleko? - Cappy starała się, żeby zabrzmiało to swobodnie, chcąc rozładować ciężką atmosferę.

- Jeśli podejdziesz bliżej, może się ugryzę - odparł Mitch, wzruszając ramionami.

- To mieszne. - Zniecierpliwiła się nagle.

- To prawda - potwierdził. - Zaskakująco blisko siebie, gdy ktoś się do ciebie zbliża, zaczynasz warczeć, póki go nie odpędzisz.

- Tak myślisz? - Uśmiechnęła lekko brwi.

- Wiem. Chcesz zobaczyć moje blizny? - Pod lekkim uśmiechem kryła się głęboka rana. - Pamiętasz stare przysłowie: kto się na gorącym sparzy, ten na zimnym dmucha? Nie chciałbym wymieniać, ile razy próbowałem się do ciebie zbliżyć, a ty mnie szorstko odpychałaś.

Potrzebowała głową, chcąc zamknąć temat, o którym nie miała ochoty rozmawiać. Oczy piekły jej od łez, więc otworzyła je szeroko, by wyschły. On mówił zbyt cicho, a jego słowa były zbyt bolesne.

- Jak mogła mieszkać z nimi przez sześć miesięcy i nie zbliżyć się do niej? - Mitch zastanawiał się nad tym, czemu tak trzyma ludzi na dystans. - Dlaczego boisz się zbliżenia z kimś, Cap?

- Żadna z nas nie mogła się dogadać z Rachel. Nie wiem dlaczego. - Popatrzyła na swój szklanki pustym wzrokiem. - Wojsko wszystko zabiera. Nie zauważyłeś tego, Mitch? Wojsko cięgle zabiera. Mam tego dość. Teraz ja chciałabym brać.

Cappy zdawała sobie sprawę ze swojego egoizmu. Ale katastrofa, która zabrała Rachel, postawiła jej twarz w twarz z własną śmiertelnością. Pragnęła teraz zagarnąć wszystko, czego chciała, i trzymać tak długo, jak zdoła.

Mitch stał bez słowa, nieporuszony. Trudno jej było przejść pokój - zawsze kryła swoje uczucia głęboko w rodku, gdzie nikt nie mógł ich dostrzec lub odgadnąć, jaka jest wrażliwa. Lecz strach, że może nie być jutra, dodał jej bodźca. Tak długo była sama i samotna.

W połowie drogi przez pokój odstawiła szklankę na stół, by mieć wolne ręce, gdy dotrze do Mitcha. On stał nieruchomo jak skała, z przymkniętymi powiekami, by ukryć miły odbijający się w oczach. Ze spuszczonej głową Cappy wzięła od niego szklankę i odstawiła na bok. Krew pulsowała jej w żyłach.

Z niezmienioną miną, bez słowa, nie reagował, gdy zarzuciła mu ręce na szyję. Przycisnęła jego głowę do siebie,

by dosi gn ust, a on powoli poddał si . Z pocz tku ledwie dotkn ła jego zaci ni tych warg, stopniowo rozpalaj c si m skim zapachem jego skóry.

Przez dług chwil nie ruszał si i to Cappy go całowała, lecz kiedy opór p kł, nast piło to bardzo gwałtownie. Wzi ł j mocniej w ramiona i całował jej usta arliwie.

Kiedy oderwał od niej usta, zacisn ła mu r ce na szyi.

- Obejmij mnie, Mitch - prosiła szeptem, boj c si da upust uczuciom. - Nie chc by dzisiaj w nocy sama.

Zach caj cy napór jej bioder, rozpalone usta, podniecaj ca kr gło piersi robiły na nim wra enie, ale to niezwykle bł kitne oczy go przekonały.

- Zawsze b d głupcem, kiedy chodzi o ciebie - mrukn ł. Wzi ł j na r ce i zaniósł do sypialni. - Nie pozwol ci dzisiaj odej .

W słabym wietle wpadaj cym do pokoju z hallu rozbierali si , obserwuj c si nawzajem. Mundury znalazły si na podłodze, potem reszta rzeczy, a stan li przed sob nadzy.

W łó ku delectowali si swoj blisko ci . Pie cili si nawzajem i obdarzali głodnymi, nami tnymi pocałunkami. Powoli, lecz niecierpliwie zmysły popychały ich dalej, a oni próbowali nie ponagla . Prowadzili gr , któr starali si przeci gn jak najdłu ej.

Kiedy nie mogli ju bardziej przeci ga tej chwili, Mitch pokonał ostatni barier , szepcz c jej do ucha:

- Wpu mnie.

Pó niej, w nocy, Cappy spała zwini ta jak kociak w jego ramionach, a Mitch rozmy łał o wspólnej ekstazie. Dr czyło go lekkie rozczarowanie. Oddała mu swoje ciało i nami tno , ale zatrzymała dla siebie uczucia, nie pozwalaj c zbyt gł boko do nich dotrze . Ale one si gdzie tam kryły, czuł to.

Wprawiała go w zakłopotanie swoim milczeniem, strachem, nieufno ci .

Dobrze znał jej ciało, ka de załamane i kr gło , poznał te smak i delikatno jej skóry, kołysali si jednym rytmem w rytuale poł czenia. Wszedł w ni i poznał fizycznie, ale zabrakło słów. Pragn ła go, a on zaspokoił to pragnienie, lecz chciał wi cej.

18

Eden przemierzała pokój jak zamkni ta w klatce tygrysyca. Panowała napi ta, niespokojna atmosfera, która odzwierciedlała wyraz twarzy Mary Lynn i Marty. Wida było, e adna nie zmru yła oka od wypadku ubiegłej nocy. Cappy nie mogła przyzwyczai si do zmian, które zaszły w jej przyjaciółkach w tak krótkim czasie. Spodziewała si szoku i alu po mierci Rachel, ale nie tak rozgoryczonej zło ci. Spojrzała na Mitcha, jakby ałowała, e poprosiła go, by został. W tpiła, czy Eden rozumie wag zarzutów o zaniedbanie obowi zków, które wysun ła.

- Eden jest zdenerwowana - powiedziała do niego spokojnie.

- Masz cholern racj , e jestem zdenerwowana! - warkn ła.

- Mo e powinienem wyj - zaproponował Mitch, zdaj c sobie spraw , e jego mundur nie był mile widziany w tym pokoju. Nastroje wrzały, a niech si gała szczytu.

- Nie. Prosz zosta - nalegała Marty wojowniczo. - Kto z góry powinien usłysze , co my o tym my limy. Nikt nie chce nas wysłucha , wi c mo e zrobi to pan, panie majorze?

- Mitch nie jest tu oficjalnie. - Cappy nie ujawniła, e przyjechał do Camp Davis, by obserwowa i składa raporty o tym, czego si dowie, generałowi Arnoldowi. Lecz nie chciała równie , by opowiadał historie o jej

przyjaciółkach.

- Oficjalnie czy nie, jest wojskowym, a kto z dowództwa musi wiedzieć, jak brudne sprawy tu się rozgrywają - Eden poparła Marty, chcąc zatrzymać Mitcha. Zaciśnięła usta i stanowczo patrzyła ciemnymi oczami. - Nie widać tu naszej wielkiej przywódczyni, prawda? Wspaniała Jacqueline Cochran prowadzi dyskusję z dowódcą, jakby liczyła, że jej powie, co tu się dzieje - oznajmiła z ironią i goryczą. - Oczywiście cie, zgodziła się z nami porozmawiać, dziś o siódmej. O, przepraszam, o dziewiętnastej - poprawiła się z udawanym szacunkiem.

Cappy zdziwiły komentarze Eden dotyczące ich szefowej, ponieważ zawsze wyrażała się o niej z dużym podziwem. Mitch usiadł z powrotem i uwaźnie nie słuchał, nie tracąc ani słowa.

Cappy myślała, że Eden nauczyła się w Sweetwater, że wojsko ma jedną odpowiedź na ich narzekania: „Trudno”. Nic dobrego im nie da opowiedzenie Mitchowi o warunkach tu panujących. Może to jedynie postawi je w złym świetle.

- Mier Rachel była tragicznym wypadkiem - powiedziała Cappy, przeczytawszy wczoraj wstępny raport, w którym napisano, że uszkodzona klamka przyczyniła się do śmierci, chociaż błąd pilota był oczywistą przyczyną wypadku.

- Tragiczne jest, że to się mogło przydarzyć akurat nam - Eden przerwała, najwidoczniej podniecona. - Nie wiesz, w jak opłakanym stanie są samoloty, którymi musimy latać.

- Eden... - zaczęła Cappy, lecz nie dokończyła.

- Ona ma rację - poparła Eden Marty, co się rzadko zdarzało. - Wczoraj padły dwa silniki i piloci zmuszeni byli do awaryjnego lądowania. Odkąd tu jesteśmy, leciałyśmy jedną za drugą na poszukiwanie samolotów, które spadły na bagna. Opony są tak zużyte, że jednego dnia pięć maszyn złapało gumę. To tylko te większe sprawy. Poza tym radia nie działają, dźwięki klapy nie blokują się lub pokrywy nie dają się otworzyć od wewnątrz. - Ze wzburzonym spojrzeniem przejechała ręką przez jasne włosy. - Może to eksperyment, co?

- Mówisz poważnie? - Cappy była zaskoczona tymi zarzutami.

- Nie chodzi tylko o samoloty. - Mary Lynn wyglądała na bardziej opanowaną, mniej skłonny do krytycznych wybuchów, lecz i na jej bladej twarzy wyraźnie malowało się napięcie. Zwykle ciemne oczy straciły blask. - Wiąkszość instruktorów wie o samolotach mniej niż my, jednak posyłają nas na loty próbne.

- To wyrzutki, wszyscy. - Marty potpiła ich bardziej dosadnie. - Może się założyły, że zostali przydzieleni tutaj, ponieważ wylecieli z jakiegoś innego miejsca. Gdyby byli takimi wietnymi pilotami, lataliby na froncie w Europie.

- Zdajecie sobie sprawę, jak poważne zarzuty wysuwacie? - Cappy wierzyła im, ale jednocześnie nie szokowało ją to, co usłyszała.

- Nie wiercie nam na słowo. - Eden zatrzymała się przed Cappy i Mitchem, wojowniczo na nich patrząc. - Zapytajcie któregoś z mechaników.

- Pewnie - przytaknęła Marty. - Nieraz nam mówili, że jedyne, co robi, to starać się, żeby silniki pracowały. Szkoda czasu na wypełnianie formularza numer jeden. Oni niczego nie naprawiają.

- Nie mogą dostać ci zamiennych - wtręciła Eden. - Na płycie stoją wraki, a od nas się oczekuje, że będziemy nimi latać.

- Albo się pozabijamy, próbując latać, tak jak Rachel - dodała cicho Mary Lynn.

Nastąpiła cisza, której nikt nie starał się zakłócić. Eden wyjęła kolejnego papierosa i ubiła tytoń, stukając

niecierpliwie o paczkę. Zapaliła zapalniczkę, po czym spojrzała na Mitcha.

- Co pan radzi, panie majorze?

- Drogę słuchaj - odparł spokojnie, nie reagując na jej zaczepny ton. - Opowiedzcie wszystko Cochran, kiedy się z nią spotkacie dziś wieczorem o dziewiętnastej.

- Będzie tam pan, panie majorze? - zapytała Mary Lynn, przyzwyczajona do południowego stylu, gdzie dominuje męczyzna.

- Nie - odpowiedział krótko i bezpośrednio, podkreślając swój status obserwatora.

Kiedy zaczęły od nowa powtarzać skargi, o których już mówiły, Mitch przeprosił i wyszedł. Cappy zawahała się przez moment, zanim poszła za nim do drzwi, chcąc zamienić parę słów na osobności. Przed budynkiem panował upał, powietrze było ciężkie i nieruchome. Mężczyźni maszerowali w równych kolumnach, koszule przyklejały im się do pleców od potu, a usta wysychały z gorąca. Wszyscy bez wytchnienia, a będąc w stanie działać automatycznie. W wojsku ołnierz nie myśli, ma być posłuszny, a myśli za niego inni.

Cappy o tym wiedziała, jednak zwróciła się do Mitcha, zmartwiona tym, co usłyszała.

- Co o tym myślisz, Mitch?

Z przystojnej twarzy o wyrazistych rysach nie można było nic wyczytać.

- Myślenie toczy się wojna i nie zawsze jest czas, żeby wszystko robić, jak należy.

- Nie interesuje mnie wojskowa odpowiedź! - wybuchnęła.

- Być może - przyznał Mitch, wzruszając ramionami. - Ale prawdopodobnie tylko tak otrzymasz.

Wiedziała, że nie ma sensu się spierać, więc zapytała:

- Gdzie idziesz?

- Tak mi zależy na mi? - Wzniósł brwi, by otrzymać obietnicę milczenia. - Zadam parę pytań od siebie. Potem posiedzę nad dochodzeniem.

Punktualnie o dziewiętnastej pilotki spotkały się ze swoją dyrektorką w budynku operacyjnym. Minęły prawie dwadzieścia cztery godziny, odkąd samolot Rachel rozbił się przy końcu pasa - tyle, żeby kipiący gniew doszedł do punktu wrzenia. Opowiedziały jej o wszystkich incydentach, przekazały wszystkie pogłoski, zrelacjonowały wszystkie fakty i doszły jednogłośnie do zgody.

Po spotkaniu, kiedy Mary Lynn, Eden i Marty przyszły do klubu oficerskiego, Cappy z ulgą zauważyła, że są już znacznie spokojniejsze. Jednak w powietrzu unosiło się napięcie, atmosfera oczekiwania.

- Co wam powiedziała? - zapytała Cappy, gdy zamówiły drinki.

- Obiecała, że sama sprawdzi wszystkie samoloty - odpowiedziała Mary Lynn.

W porannym chłodziu następnego ranka odbył się krótki pogrzeb Rachel Goldman. Mitch towarzyszył Cappy do małej kapliczki w bazie. Mary Lynn zajęła im miejsce na drewnianej ławce obok siebie, Eden i Marty.

Rachel wydawała im się bliska, chociaż nie odczuwały tego, gdy była. Wysoka i smukła, o kociej gracji, z pasją odpłacała za to, co otrzymywała - przyjaźń lub wrogość. Rachel dumna i ostrońska. Rachel obca.

Mary Lynn łowiła, że nie była dla niej miłsza. Eden nie mogła zapomnieć widoku płomieni ogarniających Rachel. Cappy przyszła do kaplicy z poczuciem obowiązku, a Marty z szacunku dla koleżanki, równie jak ona kochała jej latanie.

Kiedy wychodziły w ciszy z kaplicy po mszy, Eden zauważyła mężczyznę siedzącego w ostatnim rzędzie,

ubranego w mundur szeregowca. Miał zwieszony głowę, a burzę gęstych czarnych włosów o wietlały promienie słoneczne, wpadające przez okna. Ręce trzymał złożone na kolanach i ciskał w nich czapkę. Chociaż nie mogła dostrzec jego twarzy. Eden była pewna, że go zna.

- Przepraszam. - Odesłała resztę przed kaplicę, a sama została i cicho podeszła do ławki. Po chwili wahania usiadła na niej, pochylając się do przodu.

- Ty jesteś Zach Jordan, prawda? - powiedziała cicho. - Rachel poznała nas w Nowym Jorku, jestem Eden van Valkenburg.

Lekko odwrócił głowę w jej stronę i spojrzał, próbując sobie przypomnieć.

- Pamiętam.

Ciemnobłękitne oczy błyszczały od łez, a na dumnej twarzy malował się głębi smutek.

- Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro z powodu Rachel. - W głosie Eden zabrzmiała nutka goryczy, oburzenia, na jakie niebezpieczeństwa były narażone, z powodu niedbałej obsługi i braku sprzętu.

- Stałem przed barakiem zeszłej nocy i patrzyłem na odbłask poranu odbijający się na niebie. - Mocno splecione dłonie nie pomogły opanować drżenia, które trzęsło jego ciałem, lecz twarz zachował kamienną. - Powiedzieli mi, że jakiś samolot rozbił się i spłonął. A ja miałem nadzieję, że Rachel tego nie widziała. Bała się ognia, obawiała się widoku twarzy w płomieniach.

Pod wpływem jego słów obraz, który wyrzył się w pamięci Eden, stał się jeszcze straszniejszy.

- Ona nie powinna była zginąć - powiedziała Eden drżącym głosem, nie mogąc powstrzymać łez.

- Po wojnie zamierzali my mieć dzieci... du o dzieci. Mieliśmy pojechać do Palestyny, do Jerozolimy. Po wojnie. - Jego głos ucichł, tak jak zniknęła przyszłość.

W gardle zaczął go ciskać, więc odwrócił się od niej i wstał. Wyszedł z kaplicy, cięgle ciskając w dłoniach czapkę.

Porannej inspekcji samolotów dokonała Jacqueline Cochran, jej asystent, dowódca eskadry major Stevenson, przedstawiciel Komisji Bezpieczeństwa Powietrznego oraz szef obsługi. Mitch obserwował z boku grup sprawdzających silniki wszystkich A-24.

Sam zdecydował się jednak na inny sposób uzyskania informacji i powdrował do hangaru. Chociaż pracujący w błocie lepiej zna warunki na drodze niż generał latający tysiąc metrów nad nią. Nad silnikiem A-24 stał pochylony wysoki, szczupły mechanik. Jego zabrudzony smarem kombinezon miał plamy od potu pod pachami i na plecach.

- Witam, sieranie.

Mechanik obejrzał się w jego kierunku.

- Przepraszam, panie majorze - powiedział. - Trochę trudno się salutuje, trzymając klucz w ręku i poluzowany sworze. Zaraz to skończę.

- Bez po piechu. - Mitch czekał, obserwując proste, zdecydowane ruchy mechanika.

- Pewnie bardzo pan chciał, żeby wyprowadzić pana samolot - mechanik mówił, nie przerywając pracy.

Mitch nie był zdziwiony, że sierant wie, z kim rozmawia.

- Nie. Chodzi o parę informacji. - Nagle coś mu się przypomniało. - Czy przypadkiem nie jest pan sierantem Jacksonem?

- Tak, panie majorze. - Spojrzał na Mitcha pytając cym wzrokiem.
- Eden wspomniała o panu.
- Panna van Valkenburg? Tak, znam ją, panie majorze. - Przerwał na moment, jakby się nad czym zastanawiał.
- Jak ona się czuje? Tamtej nocy była załamana... widziała wypadek... wszystko.

- Dobrze. - Mitch nie bardzo znał stan emocjonalny Eden, więc nie wdawał się w szczegóły. - Trwa dochodzenie. Jak pan myśli, co oni znajdą?

Sierant przerwał wycieranie ręk, a jego szeroka, silna twarz przybrała poważny wyraz.

- Prawdopodobnie uznają, że dla większości samolotów dawno minął termin remontu silnika.

- Co pan wie o samolocie, który się rozbił?

- Silnik miał na koncie pięćset godzin, zrobił może dwieście lotów z tarczami - przyznał.

- I? - ponaglił go Mitch.

Bubba wzruszył znacząco ramionami, by uniknąć wydania opinii.

- Mamy rozkaz utrzymywać je w takim stanie, żeby latały. Zwykle nam się to udaje, nawet kiedy nie mamy zamiennych albo dostajemy mniej paliwa. - Spuścił na moment głowę. - Ta klamka od pokrywy, taki drobiazg. Cholera.

- Właśnie. - Mitch przytaknął mechanikowi.

Tego popołudnia Jacqueline Cochran odbyła jeszcze jedno spotkanie, by przekazać swoim pilotkom, czego się dowiedziała. Nie było ono jednak tak nieformalne jak poprzednie. Towarzyszyło jej kilka osób z dowództwa bazy. Eden miała przeczucie, że ich dyrektorka stanęła po jednej ze stron i nie była to ich strona.

Jacqueline Cochran przeczytała dziennik pokładowy A-24. Jasno z niego wynikało, że samoloty nie były w tak złym stanie, jak twierdziły dziewczęta. Co prawda wiele maszyn dawno powinno przejść remont kapitalny, jednak przestrzegano tego ściśle w stosunku do sprzętu bojowego. W przypadku samolotów używanych w kraju podchodzono do tej kwestii mniej rygorystycznie.

Eden zdawała sobie sprawę, że otrzymując oficjalne wyjaśnienie i popatrzyła na siedzące na sali kobiety. Nie były zadowolone z tego, co usłyszały, ale musiały to zaakceptować. Oficerowie wyraźnie popierali ich dyrektorkę, więc odwoływanie się od tej opinii nie miało sensu.

Lecz Eden nie miała ochoty kłamać sobie w obecności gromady oficerów, bez względu na to, jak wysoki stopień posiadali.

- To wykręćcie pani o tym wie! - zawołała, otwierając krytykując letniczkę, którą kiedyś podziwiała.

- Mechanicy nie zwracają uwagi na te dzienniki - natychmiast dołączyła się Marty. - W tym, czy są aktualne.

Jednak ich protesty zostały zignorowane. Wszyscy zachowywali się, jakby ich nie słyszeli. Dowódca bazy wstał i wyraził swój radość z obecności kobiet w jego jednostce. Wygłosivszy swój mowę, oddał głos głównemu lekarzowi, a potem oficer od kontaktów publicznych obiecał zrobić im reklamę.

Po zakończeniu spotkania wyszły na zewnątrz, gdzie czekała na nie Cappy. Ich poważne miny wskazywały, że nie są zadowolone z załatwienia sprawy, a Eden uznała zachowanie szefowej za zdradę.

- Główny lekarz wstaje i mówi, że udziela nam zgody na korzystanie z kwater pielęgniarek. Ten palant najwyraźniej nie wie, że my już tu mieszkamy - powiedziała Marty jak zwykle zachrypniętym głosem.

- To jeszcze jeden z tych wojskowych mądrali - stwierdziła Mary Lynn, trochę mniej rozalona niż reszta.

- A wiesz, czym oni się zajmują? - zapytała Marty ironicznie. - Mamiem w głowach tak, żeby wyszło, że

wszystko w porządku.

Eden nie wystąpiła z propozycją rezygnacji ze służby. Ostrzegano ją, że praca ich będzie trudna i niebezpieczna, a poza tym już dawno przekonały się, że muszą być lepsze niż przeciętny pilot. Nie mogły zrezygnować, w grę wchodziła ambicja.

Tego samego dnia samolot UC-78, pilotowany przez Cappy, oderwał się od ziemi i poleciał za AT-17, który prowadziła Jacqueline Cochran. Mitch siedział z prawej strony i nie przeszkadzał, by w milczeniu kierowała maszyną. Zamienili zaledwie parę słów poza tymi, które dotyczyły procedury przed odlotem.

Mitch przyglądał się z boku jej buntowniczej minie - zaciśniętym ustom i błyskom w błękitnych oczach. Była bardzo rozgniewana. Zafascynował go wyraz jej twarzy, na której tak rzadko odbijały się uczucia.

- Dlaczego, Mitch? Dlaczego? - zapytała, wyprowadzwszy samolot na stały kurs. Przelecieli nad Cape Fear i skręcili na północ. Daleko na morzu statki płynęły w konwoju, trzymając się blisko brzegu. - Eden nie kłamała, mówiąc o kiepskim stanie tych samolotów.

- Wiem, że nie kłamała - przyznał.

- Wiem, że na pewno da się coś zrobić. - Był to protest, a także wyraz frustracji. - Była tam. Widziałeś, co się dzieje. Na pewno możesz...

- W jaki sposób? - przerwał Mitch. Nacisk, jaki chciała na niego wywrzeć, wydał mu się obraźliwy, jakby był jakimś bogiem, którym równocześnie nie gardziła. - Słyszysz, że generał mnie wysłucha? Co mam mu zaproponować według ciebie? Aby zamiast na front przysłał tutaj transport części zamiennych i paru mechaników? A może po prostu każe mu odwołać wojnę?

- Twierdzisz, że nie możesz na temu zaradzić? - spytała po chwili namysłu przyciszonym głosem.

- Tak, tak właśnie nie twierdzę. - Westchnął ciężko. - Nie opowiadam bajek, wiem, że szybciej tracimy samoloty, niż możemy je zastąpić nowymi. Udało nam się wygnać Rommla z Afryki, ale wciąż musimy się bronić na Pacyfiku.

- Dlaczego Cochran o tym nie powiedziała? - zapytała Cappy, trochę spokojniejsza, ale wciąż zła. - Dlaczego próbowała zatuszować całą sprawę?

- To proste, naprawdę - odparł Mitch, odruchowo obserwując, czy nie ma w pobliżu innych maszyn. - Chce, aby „jej dziewczęta” dostały jak najwięcej zadań lotniczych w kraju, poza transportowaniem samolotów. Nie masz pojęcia, jak to trudno ci, by przekonać dowództwo do powierzenia tego zadania dziewczętom. Nie możesz teraz przyznać, że to zbyt niebezpieczne, gdyby znałyby to, że brak im odwagi do podjęcia takiego ryzyka. Jeśli ten eksperyment się nie uda, oboje z jakiego powodu, cały plan szkolenia lotniczego dla kobiet zostanie zatrzymany.

- Rozumiem - mruknęła Cappy. Rozumiała sytuację, jednak nadal jej się to nie podobało.

- Zadowolona? - zapytał, spoglądając na nią.

- Tak.

- A ja nie. - Wyciągnął rękę i obrócił jej głowę w swoją stronę. Zaczęła się trochę opierać, gdy pochylił się, by ją pocałować. Patrzył na jej usta, a gdy ich w końcu dotknął, napotkał sztywność, która szybko ustąpiła miejsca cieplej miękkości. Mitch pomyślał, że poddała się nie tyle jego pragnieniu, co swojemu.

Kiedy się od niej odsunął, oczy miała przymknięte, jakby coś ukrywała. Mitch był jednak z tego zadowolony,

ponieważ oznaczało to, że wzbudził w niej uczucie, którego nie chciała mu okazać.

- Zaczęłam się zastanawiać, czy się już nie znudziła - powiedział z samozadowoleniem. - Jestem ciekawy, czy lubisz tamtej nocy.

- Nigdy nie robię czegoś, czego bym później nie żałowała - powiedziała Cappy z naciskiem.

Spojrzał na nią przelotnie i odparł swobodnie:

- A więc najwyraźniej jesteś lepsza ode mnie.

- Najwyraźniej - zgodziła się.

19

Wysiadłszy z samochodu zaparkowanego na drodze przy plaży, Eden przechadzała się po wydmach. Szofer przyjechał jej wozem około dwóch tygodni temu, dwa dni po śmierci Rachel.

Poranne niebo było przejrzyste niebieskie. Nawet mocno wiejące słońce nie mogło ocieplić chłodnego powietrza, napływającego od morza. Miała na sobie jasnoniebieski wełniany sweter z golfem, w którym było jej ciepło. Piasek wsypywał jej się do butów, więc wysypała go, stając jak bocian, raz na jednej, raz na drugiej nodze.

Przyptyw zostawił na plaży kawałki wodorostów, drzewa i popiołki muszle. Wśród tych śmieci znajdowały się też istotne skarby: bajecznie kolorowe skrzydło motyla, kawałek szmaragdowego szkła i niebieskie pióro mewy. Mokry piasek pokrywały przecinające się ślady ptasich łapek, biegnące we wszystkich kierunkach. Niespokojny ocean pasował do jej nastroju, więc wystawiła twarz na słony powiew, który rozwiewał jej rude włosy. Pikujące w dół i wznoszące się mewy wydawały się obecne wszędzie, a ich dziwne krzyki podkreślały rytmiczny szum fal, rozbijających się o brzeg.

Minęły dwa tygodnie od tego tragicznego wypadku. Z początku wszystkie kobiety pozostawiono na ziemi, ale później wróciły do latania i tak jak przedtem odbywały loty próbne na L-4 i L-5, potem na A-24 i w wycieczkach z tarczami. Ze Sweetwater przybyła nowa grupa pilotek, następnego rocznik po nich, dziewczęta nie wiadomo, co jej czeka, i chętnie do pracy. Latały w takich samych niebezpiecznych warunkach. Śmierć Rachel niczego nie zmieniła.

Eden spacerowała samotnie po plaży, wzdłuż linii wody, zamykając ją i cicha. Spienione morze rozbijało fale o brzeg, ubijając mocniej piasek, po czym wycofywało się, by nabrać siły i powrócić. Kiedy woda odpływała, zostawiając pianę, która wsiąkała w piasek, kilka siewek, mew i ciemnych ptaków o mieszanych ogonach goniło ją.

Podniósłszy głowę popatrzyła daleko w morze, gdzie mgła zacierала horyzont. Chwycił ją strach i wypełnił przestrzeń ciemnoniebieskie oczy. Nigdy w życiu nie doświadczyła tego rodzaju morderczego lęku. Szła tak, czekając, a dziki urok wybrzeża przyniesie jej spokój ducha i wyciszenie nerwów.

Ptaki wznosiły się w powietrze, kiedy się do nich zbliżała. Obserwowała, jak robiła koła i zawracając, a potem lądowała trochę dalej od niej. Odgarnęła z twarzy kosmyki włosów i wzdychając dalej, nie zwracając uwagi, że pryskające fale zamoczyły jej wełniane spodnie.

Około dwudziestu metrów przed nią jakiś rybak zarzucał w dół w spienione fale. Eden zahała się, trochę zmieniła kierunek, by uniknąć kontaktu z człowiekiem, lecz nadal szła przed siebie. Bezwiednie obserwowała jego ruchy. Zarzuciwszy haczyk, mężczyzna wbił koniec w dół w piasek i podparł się rozwidlonym patykiem, uwalniając się od konieczności trzymania jej.

Ubrany był w niebieskie dżinsy firmy Levi's, wysokie buty i na wprost rozpięty nieprzemakalny kurtkę. Nie miał nic na głowie, a wiatr rozwiewał jego ciemny czupryn. Kiedy wstał, Eden miała wrażenie, że go zna. Szum fal bijących o brzeg i krzyki rybitw nad głowami zagłuszały odgłos jej kroków. Wciąż zastanawiała się, czy go zna,

kiedy zauważył ją i szybko wstał.

- Witam pani - powiedział uprzejmie.

- Cześć, Bubba. - Uśmiechnęła się. - Nie poznałam cię bez tego usmarowanego kombinezonu.

- Rozumiem, co pani ma na myśli.

Eden unikała jego spojrzenia i patrzyła na spienione fale, odgarniane przez wiatr kosmyki włosów.

- Dlaczego nie jesteś z innymi w mieście? Myślałam, że wy, żołnierze, pobiegliście tam natychmiast po otrzymaniu przepustki.

- Po tylu godzinach w ród spalin i odoru smarów, czuję potrzebę odetchnięcia świeżym powietrzem. A jak się mieszka w kupie, tak jak w naszych barakach, to trudno o jakąś prywatność. Wiąca miło przyjąć tu i pobyć trochę sam na sam z własnymi myślowymi.

- Tak, zgadzam się z tobą - przyznała z delikatnym uśmiechem. Trzymała ręce w kieszeniach kurtki i obserwowała drobniczkę w dół. - Udało ci się coś złapać?

- Nie, ale nawet nie próbuj. Chcę złowić coś do zjedzenia, a jeśli mi się to uda zbyt szybko, to nie będzie miał powodu, żeby tu dłużej zostać - odparł Bubba z błyskiem w oczach.

- To brzmi sensownie - oznajmiła z humorem. - Powiedz, Bubba, skąd właściwie pochodzisz?

Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego jej zainteresowaniem, ale kiedy przyjrzał się przyjaznej twarzy, w twój ci zniknęły.

- Pochodzę z małego miasteczka położonego nad zatoką. Niemożliwe, żeby pani kiedyś słyszała o nim, nazywa się Refugio. - Na jego pytanie spojrzenie Eden potoczyło się w górę, przyznając, że nie słyszała tej nazwy. - Jest tam więcej krów niż ludzi. Jednak mnie zawsze bardziej interesowały motory. Dorastałem majstrując przy samochodach, obojętnych. Moja mama przysięgała, że urodziłem się z brudem za paznokciami. Wydłubuj go, odkładaj tam.

Za miała się, jednocześnie nie zauważając, jak bardzo różni się od człowieka w kombinezonie, którego spotykała na co dzień. Bez pokrywających twarz brudnych plam, osmalona słońcem cera wyglądała zdrowo. Ciemne włosy, zazwyczaj zakurzone i przygładzone od czapki, błyszczały rozwiane. Luźny kombinezon roboczy ukrywał jego sylwetkę, a bez niego widać było, że jego smukłe ciało jest mocno umięśnione i silne. Wydawał się bezpretensjonalny i szczery. Był też bezpołudniowy i inteligentny. Eden przyglądała mu się z ciekawością.

- Skąd się wzięło imię Bubba? - zapytała, ponieważ według niej bardziej pasowało ono do jakiegoś ciemnego, głupawego brutala, niż do mężczyzny, którego miała przed sobą.

- Powiem pani. Sam je sobie wybrałem - powiedział, stojąc z jedną nogą lekko ugiętą w kolanie i głową odchyloną do tyłu.

- Dlaczego? - Eden za miała się zdziwiona.

- Cóż, tam, skąd pochodzę, nikogo nie nazywa się jego właściwym imieniem. Zostałem ochrzczony jako William Robert Jackson. Kiedy dorastałem, rozumiałem, że albo będzie na mnie mówił Billy Bob, albo tak jak na generała Jacksona. Ani jedno, ani drugie mi się nie podobało, ale mój tata miał przyjaciela o imieniu Bubba, który zawsze pozwalał mi grzebać w swoim samochodzie. Lubiłem go, więc wybrałem sobie imię po nim.

- Naprawdę? - Eden popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

Odsunął się, udając zdziwienie.

- Czy ja bym z panią flirtował?

- Nie wiem - odparła, przyglądając mu się z zainteresowaniem.
Twarz mu spowaśniała, a po chwili odwrócił wzrok.

- Kurcz, przecie pani wie, że moim na mi zawsze ufa - oznajmił, ale wydawał się nieswoją przy niej, prawie zły, więc aby to ukryć, sięgnął do kieszeni kurtki po papierosa. - Chce pani zapalić ?

- Dzięki. - Włożyła papierosa do ust i czekała, a poda jej ogień. - Bubba, proszę, przestań do mnie cięgle mówić pani.

- To przyzwyczajenie. Przez całe życie mówi do wszystkich per pani lub pan. - Zasłonił dłoń zapałką, by wiatr jej nie zdmuchnął, i podsunął Eden.

Pochyliwszy się do ogienka, zauważyła idealnie czyste, choć zniszczone od pracy dłonie, a za paznokciami nie było śladu smaru. Wyprostowała się, wypuszczając dym z ust, a wiatr natychmiast go rozwiął.

- Czasami, Bubba... - obserwowała, jak przypalała sobie papierosa - myślała, że udajesz przede mną. Cała ta gadka o brudzie za paznokciami, a tylko spójrz na swoje ręce.

- Niczego nie udaj. Jestem tylko biednym Teksasczykiem - odparł z lekkim uśmiechem.

- Wiesz, o co mi chodzi - powiedziała Eden.

Trzymał papierosa tak, aby był schowany w dłoni, zaciął się nim i wzruszył ramionami.

- Był może, proszę pani, jestem tylko sierantem, w dodatku biedakiem ze wsi, a pani jest oficerem i bogatą z miasta. - Uśmiechał się, lecz w oczach widać było powagę.

- Facet taki jak ja byłby głupi, gdyby na coś liczył. To mogłoby zepsuć dobrą przyjaźń.

Eden długo na niego patrzyła, zdając sobie sprawę, jak bardzo ufa temu silnemu smukłemu mężczyźnie czy nie, na którego opinii tak polegała. Nagle jednocześnie zauważyła drgnięcie w dół.

- Wygląda na to, że coś złapałem! - Chwytny za kij i zaczął ostro nie zwijać rybkę.

Eden z zaciekawieniem obserwowała. Złapała się na tym, że wypatruje w falach błysku schwytej ryby, ale dostrzegła ją dopiero, gdy wyciągnął ją na brzeg. Eden zaczęła się śmiać, kiedy ujrzała małą rybkę, której złowienie wymagało takiego wysiłku.

- Ciekawe, jak przygotujesz z tego posiłek - zakpiła.

- Patrz - odparł Bubba, ostro nie wyjął haczyk z pyska ryby i rzucił ją z powrotem w fale. - Płyń i powiedz swojemu wielkiemu bratu, że ci uratowałem - zawołał Bubba do ryby. - A potem przyłóż go, niech chwyci mój haczyk.

- Powinieneś być zatrzymany. - Eden za nią się śmiała. - Niewykluczone, że nic więcej nie złapiesz.

- Nic podobnego. Ta ryba przyłóżyła tu swojego wielkiego brata. Zaczekaj, to zobaczysz - zapewnił ją z przekonaniem.

- Chyba zostanie - oświadczyła. Skrzyżowała nogi, chcąc usiąść na piasku.

- Hej, nie może pani tam usiąść. - Chwytny ją za łokieć, i pociągnął do góry. - Zniszczy pani te eleganckie spodnie. - Rozpiął kurtkę i zdjął ją. - Chwileczkę. Może pani usiąść na tym.

Ten szczery i szarmancki gest był typowy dla niego.

- Z pewnością ci nie zamierzam zniszczyć twojej kurtki, by oszczędzić swoje spodnie - odparła i usiadła na piasku, zanim zdjął ją powstrzymać. - Poza tym, nawet jeśli je zniszczę, to mam w domu szafę pełną spodni.

- Tak, proszę pani - powiedział pokonany, siadając na plaży obok niej i sprawdzając, czy w dół jest dobrze zabezpieczona. Zastanowiło ją, dlaczego zawraca sobie głowę jej ubraniem.

Dwadzieścia minut później ryłka znów drgnęła. Tym razem wycięgnięła naprawdusztuk.

- Widzi pani? A nie mówiłem? Jest wielki brat!

- Wrzuć go z powrotem i powiedz, żeby przysłał wieloryba - zaproponowała Eden.

- Myślę, że tamta mała rybka ma całą gromadę wielkich braci, którzy zjawiają się tutaj przy okazji czy później. Wiacie proszę usiąść wygodnie i odpręż się. - Umiechnęła się szeroko. - Będziemy mieli całe stado ryb dzisiaj wieczorem. Trzeba zacząć zbierać drewno na ognisko.

Wiatr wiejący od morza rozdmuchiwał dym z nadtęcego ogniska. Rzucili na rozgrzany popiół porcje patyków i ogień na moment rozbłysnął mocniej. Zwalony pień ogromnego drzewa, wyrzucony na brzeg przez ocean, służył częściowo jako osłona przed wiatrem, zarówno dla ognia, jak i dla siedzącej tam pary.

- Morskie powietrze poprawia apetyt, prawda? - stwierdził Bubba z głębokim westchnieniem, odkładając na piasek pokrywki od garnka, słuchając mu za talerz. Zostały na niej tylko ości. Spojrzał, jak Eden dziubie soczyste mięso pieczonej ryby. - Czy coś jest nie tak z moim gotowaniem? Wiem, że to nie to samo, co w eleganckich restauracjach, gdzie mocz się w winie.

- Jest bardzo dobra - zapewniła go Eden i wzruszyła ramionami. - Po prostu nie jestem głodna. - Postawiła talerz na piasku i otarła ręce. - Przepraszam, ale nie mogę więcej zjeść.

- Dziubiesz jedzenie jak ptaszek. Nic dziwnego, że jesteś taka szczupła, przy takim wzroście. - Zauważywszy jej z troską zmrużył oczy i przypatrywał jej się uważnie. Coraz to zapadała w milczenie i pogłębiała się w myślach. - Nadal pani myśli o tym wypadku?

- Nie - zaprzeczyła szybko i zmusiła się do uśmiechu. - Zamyliłam się. Woda, wszędzie woda i ani kropli do picia - zacytowała, obserwując rozbijające się o brzeg fale, które z przypiływem wznosiły się coraz wyżej i wyżej. Słowo za powoli zachodziło.

Bubba nie dał się oszukać. Może się zamyliła, ale na pewno o niczym przyjemnym. Lecz skoro nie chciała mu powiedzieć, nie miał prawa naciskać. Do licha, był tylko mechanikiem w stopniu sieranta, a ona damo najpiękniejszych rudych włosów, jakie w życiu widział. Miała więcej klasy w małym palcu niż on w całym ciele.

- To niezupełnie prawda, proszę pani - poprawił ją Bubba. - Przyniosłem ze sobą kropelkę czegoś do picia. Tylko czekam, żeby zrobiło się dobre i zimne.

Eden podejrzewała, że rozmyślnie podsycił jej ciekawość. Pomimo początkowych zamiarów, nie dokończyła spaceru po plaży. Cały dzień spędziła w towarzystwie Bubby, który zabawiał ją opowieściami o swoim dzieciństwie i nabrał ją na parzyślonych historyjek.

Dobrze znała jego zdolności jako mechanika i przyjazny szeroki uśmiech. Umiejętności dowódcze za zostały nagrodzone belkami na pagonach. Zdradził się również, że jego dowódca zarekomendował go do szkoły oficerskiej. Oczywiście odmówił; przynajmniej w jego mniemaniu było to oczywiste. Lubił pracować z ludźmi przy silnikach i nie widział powodu, dla którego miałby z tego zrezygnować, by zostać wymuskany porucznikiem. Zdziwiła ją jego logika i zdrowy rozsądek. Bez wątpienia Bubba był surowym diamentem - kompletnie nie oszlifowanym, ale prawdziwym.

Z mokrego piasku Bubba wycięgnięła kotwiczki, głębokociętnie, tak że widać było tylko jej czubek. Eden obserwowała, jak zaczął zwijać przyczepioną do niej ryłkę, zarzuconą w ocean. Na końcu znajdowała się siatka rybacka, a w niej butelki. Przyniósł ociekającą zdobycz i uklęknął na piasku przy pniu.

Eden przyglądała się brzozywym butelkom z długimi szyjkami.

- Co to jest? Piwo?

- Załóż się, żeby nie piła tego czysto - powiedział Bubba, wyjmując dwie butelki z siatki. Wyciągnął z kieszeni otwieracz.

- Zwykle piłam whisky - przyznała.

- Wiadomo, pozwól, żeby ci wprowadził w niezwykły sztuczek picia piwa - powiedział i usiadł obok niej, opierając się o pierze. - Musisz się nauczyć smakować ten pyszny napój. - Otworzył jedną butelkę. - Widzisz ten korek w środku? - Bubba pokazał jej, wyjął ją z udawaną powagą. - Musisz sprawdzić, czy jest w dobrym stanie i czy brzegi nie zaczęły się pękać, ponieważ inaczej kawałki korka będą pływały w piwie i będziesz musiała cedzić je przez zby podczas picia. Potem powłóczył korek. - Przysunął go jej do nosa, żeby mogła powłóczyć, a ona próbowała powstrzymać się od miechu. - Dobrze pachnie?

- Cudownie - zapewniła go, rozbawiona.

- Teraz czas na butelkę. - Mokre cianki były wciąż liskie i Bubba, zanim puścił, upewnił się, że ona trzyma butelkę pewnie. - Ostro nie przejedź palcem po brzegu, żeby sprawdzić, czy szkło nie odprysło. Niezdrowo jest pić piwo z kawałkami szkła w środku.

- Te tak się dzieje - zgodziła się Eden, próbując zachować powagę.

- Teraz ostatnia rzecz: trzeba przesunąć butelkę pod nosem, żeby poczuć zapach - poinstruował Bubba. - Chodzi o ten pyszny słodowy, który czuć, gdy piwo jest dobrze sfermentowane.

- Skąd wiesz, że jest dojrzałe? - zapytała, dopasowując się do jego powągnętonu.

- Kiedy wychodzi z browaru, jest odpowiednio do picia - powiedział. - Potrzebuj trochę butelek, trochę nie zakręć i spojrz, czy ma dobrą piankę. - Postawiła według jego instrukcji i wewnątrz brzozywego szkła pojawiła się biała pianka.

- To jest dobre piwo - zapewnił ją. - Mówi ci to prawdziwy znawca. - Stuknął swoją butelką o butelkę. - Pij. Najlepsze jest, gdy ma właściwą temperaturę.

Łyknęła ze miechem. Była to zabawna odmiana snobizmu, który przejawiali niektórzy jej znajomi z Nowego Jorku. Piła piwo. Nie uważała go za równie smaczne jak whisky, lecz miało swój urok.

Rozmawiali i mieli się przy czym przeważnie nie mówił Bubba, a Eden się miała - a słowo schowało się za wydmami. Żłota, jasna luna otoczyła piasek i wodę łagodnym wiatrem.

Eden trzymała w dłoni ostatnią butelkę piwa i patrzyła na ołożony ocean. Strach, który skutecznie zdusiła na jakiś czas, powrócił. Poderwała się niespokojnie na nogi i przeszła kilka kroków w kierunku wody, zapominając o Bubbie, dopóki nie stanął obok niej, wyszły o kilka centymetrów. Patrzył na nią pytająco.

- Wiesz, to mieszne - zaczęła, wpatrując się w ocean. - Nie przyjmuj kobiet do patrolowania wybrzeża, bo to zbyt niebezpieczne, ale kiedy latamy z tarczami, czasami znajdujemy się siedemdziesiąt kilometrów w głąb Atlantyku. W dodatku strzela do nas nasze wojsko. To nie ma sensu, prawda?

- Wojsko nie musi mieć sensu. Ono ma po prostu wygrać wojnę - tłumaczył Bubba, wyczuwając, że ta uwaga ma coś wspólnego z jej nastrojem.

Znow umilkła. Bubba zauważył, jak nerwowo zaciska palce na butelce i spojrzał na niego z lękiem w oczach.

- Chyba tracę nerwy, Bubba. Za każdym razem, gdy wzbijam się w powietrze, zastanawiam się, czy uda mi się sprowadzić samolot na ziemię. - Próbowała mówić spokojnie, jednak głos jej drżał. - Wiem, że sprawdzasz

samoloty dokładnie, ale... ile wypadków mamy tu codziennie? Ile opon puka? Ile silników staje? Ile maszynko czy z poobijanymi kadłubami? Po prostu mam wrazenie, że zbliża się moja kolej. Za którym razem trafi na mnie. Boję się, Bubba.

Próbowała się rozemniać, lecz zabrzmiało to jak szloch. Odwróciwszy głowę, otworzyła szeroko oczy i mrugała, żeby powstrzymać łzy. Poczowała uspokajający dotyk ręki na swoim ramieniu. Odwróciła się do niego, a on otoczył ją ramionami, tak jak tej nocy, gdy zginęła Rachel.

- Nic ci się nie stanie. Nie pozwól na to. - Spróbował poprawić jej potargane, rdzawe włosy i poczuł jednocześnie ciepło jej ciała.

Instynkt życia jest prymitywny, silny i nieodparty. Kontakt fizyczny uświadomił Eden możliwość w szczupłym, umińcionym ciele Bubby. Podobały jej się jego witalność i spokój, które w końcu sprawiły, że zapagnęła poczuć jego usta. Zaczęła muskać ustami jego policzki. Napotkała wahanie, które szybko ustąpiło.

Było w niej tyle napięcia, że wydawało się, że eksploduje, gdy przytuliła się do niego, całując go gwałtownie i jakby ze złości. On przyjmował i odpłacał łagodnie ci.

Kiedy napięcie zelżało, mogła cieszyć się spokojnym, niespiesznym pocałunkiem. Pobudzał ukryte głęboko pragnienia, tak proste i podstawowe, jak podanie.

Bubba powoli odsunął się od niej i patrzył na jej nabrzmiałe usta. Eden spojrzała na jego silną, szeroką twarz z zaciekawieniem. Ujął ją ten szczery, bezpodstępny męczyzna o wrodzonej inteligencji i cudownym, ciepłym poczuciu humoru.

Kiedy poczuła na sobie jego dłoń. Eden spodziewała się, że znów ją pocałuje. Była zaskoczona, gdy łagodnie odsunął ją od siebie.

- Lepiej zgasić ognisko, zanim zajdzie słońce i przyjedzie patrol, żeby nam zwrócić uwagę. - Po tym wyjął nieniu Eden przez chwilę zastanawiała się, o jakim ognisku mówił, a Bubba podszedł do tego, co się w piasku ognia.

Zasypywał popiół piaskiem, a zgasił ognisko dokładnie. Eden przyglądała mu się. Rozległ się warkot silnika i nadjechał jeep, tocząc się po ubitej plaży i wykonując rutynowy patrol. Zatrzymali się, nie wyłączając motoru, by im przypomnieć, że nikomu nie wolno przebywać na plaży po zmroku.

Gdy odgłos silnika umilkł, Bubba spojrzał na wzgórek w miejscu, gdzie znajdowało się ognisko, a potem na Eden.

- Może to dobrze, że przyjechali właśnie nie teraz - powiedział.

- Może - zgodziła się.

- Chyba powinniśmy wracać. - Wydawało się, że zniechęca do ruchu, gdy zbierał pudełko i pokrowiec od wódki, po czym podniósł plecak.

- Podwieziesz? Mój samochód jest zaparkowany przy drodze - powiedziała Eden, machając ręką w kierunku.

- Dzięki, ale zostawiłem rower za wydmami.

- Mam otwierać dach. Możemy włożyć rower do tyłu - nalegała.

Po dłuższym zastanowieniu Bubba kiwnął głowę, że przyjmuje jej zaproszenie, chociaż z pewnym oporem.

Poszli na rower, a potem do samochodu. Bubba z trudem pchał rower po piasku. Gdy spojrzał na otękrownik i jego wnętrze było one białe skórki, zagwizdał z podziwu. Obszedł go dookoła, zachwycając się

ka dym detalem i zadaj c niezliczon ilo pyta o prac silnika.

- Nie do wiary - stwierdziła Eden nieco zde gustowana.
 - Co nie do wiary? - Bubba spojrzal na ni , marszcz c czoło.
 - Jak cz sto dziewczyna proponuje ci, e ci podwiezie, a ty si zakochujesz w jej samochodzie? - zapytała.
- Zabawny grymas pojawil si na jego twarzy. Podrapal si w kark.
- Chyba mnie troch poniosło - przyznał. - Ale to prawdziwe чудо.
 - Chcesz prowadzi ? - Rzuciła mu kluczyki.
 - Pewnie. - Usiadł za kółkiem z czaruj cym, chłopi cym entuzjazmem.

Wiatr rozwiewal jej rude włosy, skr caj c je w popl tane zwoje, gdy Bubba p dził samochodem po drodze wzdlu pla y. wiatło znikn ło, a niebieskie cienie ciemniały z nadchodz cym zmrokiem. Reflektory były zasłoni te, tak by snop wiatła padał nisko, poniewa znajdowali si w obszarze obj tym zaciemnieniem.

Okolo mili od bazy Bubba zjechał do małe; zatoczki i wył czył silnik. Po hałasie motoru i szumie wiatru cisza dzwoniła w uszach.

Bubba przejechał dło mi po kole kierownicy, głaszcz c z nie wiadom czuło ci .

- Ten samochód to jest co .

Rozbawiona i troch niezadowolona Eden usiadła bokiem na białym siedzeniu i oparła si o drzwi.

- A jego wła cicielka?

Bubba spojrzal na ni i u miechn ł si .

- Te jest niezwykła. - Przerwał, a jego spojrzenie stało si powa ne i uparte, gdy j taksował. Zdała sobie spraw ze swojego wygl du. Sło ce i wiatr dodały koloru jej bladej cerze, a słone powietrze wysuszyło j . Ubranie miała całe w piasku.

- Wła cicielka te ma klas - powiedzial Bubba cicho. - Niezwykle wra liwa, z du ym temperamentem, jak dobrze ustawiony silnik wy cigowy. Nie mo na ni poniewiera . Potrzebuje... łagodnego dotkni cia, by wydoby z niej to co najlepsze.

- Naprawd ? - mrukn ła Eden i powoli zwróciła si w jego kierunku. Te słowa uderzyły w czuł strun i przyci gały j do niego.

- Tak...

Przysłoniła palcami jego usta.

- Bubba, je li powiesz do mnie „prosz pani”, to... - Ale nie doko czyła swojej gro by. Otoczył j ramionami i szeptał jej imi bez ko ca.

20

Major Mitch Ryan stał przy biurku w niewielkim pomieszczeniu w Pentagonie i przegl dał akta, wybieraj c te, które go interesowały. Za jego plecami otworzyły si drzwi. Mitch spojrzal przez rami i stan ł na baczno .

- Spocznij - powiedzial generał Arnold, wchodz c do pokoju. Spojrzal na termos z kaw , stoj cy na szafce. - Czy to najmocniejsze, co masz?

- Nie, panie generale. - Z nieznacznym u miechem Mitch otworzył doln szuflad z drugiej strony biurka. Si gn ł w gł b i wyj ł butelk whisky, w jednej trzeciej opró nion . Nalał troch do fili anki, jedyne go naczynia do picia w tym biurze, i podał generałowi. - Jak było na pokazie mody?

- Nie uwierzyłyby , Ryan. - Generał podniósł fili ank do ust i łykn ł zawarto z wyra n przyjemno ci . - To

miał by albo mundur, który odrzuciły piel gnarki, albo nowy projekt, wykonany z zapasów zielonego wojskowego materiału.

- A nie było tak? - zdziwił si Mitch.

- Najpierw weszły dwie nijakie maszynistki, ubrane w takie wła nie mundury, a za nimi profesjonalna modelka w niebieskim akiecie i spódnicy. Spojrzałem na Cochran i od razu zrozumiałem, czyj to był pomysł i któr z nich powinienem wybra . - Za miał si i poci gn ł whisky. - Te jej wiotki b d w ko cu miały swoje mundury, niebieskie, jak niebo, po którym lataj . - Zmarszczył czoło w zamy leniu. - Bł kit Santiago, czy co w tym rodzaju. W ka dym razie adna kobieta nie nazwałaby tego zwyczajnie niebieskim - za artował.

- Chyba nie, panie generale.

- No có , mo esz powiedzie swojej Hayward, e Neiman-Marcus przy le krawca, by wzi ł jej miar . - Spojrzał niemal po ojcowsku na Mitcha. - Widziałe si z ni ostatnio?

- Szczerze mówi c - Mitch wyj ł teczk spod spodu sterty, któr przegl dał i wło ył j do nesesera - widziałem.

- Ma na swoim koncie sporo godzin na samolotach wielosilnikowych. - Generał wykazał niezwykle zainteresowanie napojem na dnie fili anki. - Spodziewałem si znale jej nazwisko na li cie kandydatek do szkolenia na B-17. Nie s dzisz, e si do tego nadaje?

- Tak, panie generale. - Mitch postawił neseser na podłodze i wzi ł pozostałe akta z biurka, by wło y je do metalowej szafki.

- Jeszcze nie jest za pó no, by j dopisa - zauwa ył generał, gdy Mitch otworzył szuflad i zacz ł wkłada teczki. - Chcesz, ebym to zrobił?

- Nie... - Szuflada zamkn ła si z trzaskiem, jakby podkre laj c stanowczo tego zaprzeczenia, a Mitch odwrócił si twarz do dowódcy. Z opó nieniem i bardziej opanowanym tonem dodał: -...panie generale.

- Cochran jest przekonana, e jej dziewczyny poradz sobie z ka dym samolotem, nawet Lataj c Fortec . Do licha, wiem, e Cochran i Love potrafi lata wszystkim, co ma skrzydła. Wiesz, co si stanie, je li dostaniemy gromad WASP z do wiadzeniem na B-17 - powiedział ze miechem. - Zacznie nas przekonywa , eby my pozwolili jej wysyła dziewczyny przez Atlantyk do Anglii. Love o mało tego nie zrobiła. Nadal nie wiem, o czym my lał Turner, kiedy zezwolił na ten lot.

Generał był w Anglii na konferencji z siłami alianckimi, kiedy dowiedział si o planowanym locie. Natychmiast wydał rozkaz, eby zatrzymano samolot z dwiema pilotuj cymi go kobietami w Goose Bay, na Labradorze, Zanim przeleci Atlantyk.

- W rezultacie byłby to straszny precedens. Mo esz sobie wyobrazi wzburzenie w Kongresie, gdyby te cholerne szkopy zestrzeliły B-17, transportowany do Anglii przez e sk załog ? Zawrzałoby, za daliby mojej głowy. - Przerwał i ci ko westchn ł. - Str cają nas jak diabli, Ryan. - Odsun ł fili ank ze zło ci . - Wła nie dostałem dane o stratach po ostatnim ataku na Niemcy.

- Były znaczne, panie generale? - Mitch w ko cu zrozumiał cel tej wizyty.

- Stracili my trzydzie ci procent; dalsze sto samolotów nadaje si do naprawy. - U miech znikn ł z twarzy generała, gdy stan ł przed młodym majorem. - Strzelaj do nas jak do kaczek. Musimy im da jak ochron ... przedłu y zasi g naszych my liwców.

- Tak, panie generale.

Statystyki. Wojna toczyła si w liczbach - listy ofiar w porównaniu z procentem spodziewanych strat. Mitch

wiele razy widział sale operacyjne w Anglii, gdzie umundurowane Brytyjki przesuwają znaczki na mapie, by pokazać postać ataku i przedstawić ruchy wroga. Przypominało mu to grę w szachy, a bombowce z dziesięciu osobami załog były pionkami. W Pentagonie wojna to logistyka i strategia. W Europie i na Pacyfiku była to walka - zabijanie i mierzenie.

Nadeszły nowe rozkazy, informujące Marthę Jane Rogers, że ma się zameldować w Wojskowej Bazie Powietrznej Lockbourne w Columbus, w stanie Ohio. Nie podano żadnych wyjaśnień, dotyczących powodu przeniesienia ani nowej służby. Miała się stawić natychmiast, jak w wojsku.

Nowo ci zawsze podsycali ciekawość Marty, chociaż tym razem błysk ekscytacji w jej oliwkowozielonych oczach przygasił trochę, gdy spojrzała na Mary Lynn. Marty była spakowana i gotowa do wyjazdu. Nadszedł czas, aby się pojechać.

- Aż się nie jedziesz. - Marty objęła Mary Lynn. Przykro było jej się rozstawać. Od czasu, kiedy się spotkały, Marty czuła się jak starsza siostra Mary Lynn. Pocieszała ją, gdy była załamana i kiedy chciała się wypłakać z poczucia samotności i obawy o matkę. Nie chciała zostawić jej samej. Obawiała się, że Mary Lynn nie poradzi sobie bez niej.

- Nic mi nie będzie - zapewniła ją Mary Lynn, ale oczy miała pełne łez.

- Uwaga na nią - powiedziała Marty do Eden, która kręciła się po pokoju.

- Jasne.

Nie była to pusta próba. Kolejna pilotka z ich grupy zginęła w wypadku, kiedy samolot rozbił się w niejasnych okolicznościach. Jako przyczynę jednak podano lepiący się pedał steru.

Nie mogąc sobie poradzić ze ciskającym sercem wzruszeniem, Marty nie przeciągała pojeżdżania. Próbowwała się umieścić, wzięła torbę i ruszyła do drzwi. Mary Lynn i Eden patrzyły, jak wychodzi.

- Ma szczęście, że się wydostała - stwierdziła Eden powątpiewająco, a po policzkach Mary Lynn płynęły łzy. - Gdybyśmy byłyśmy młodsze, to poprosiłybyśmy o przeniesienie.

Przyjechawszy do bazy wojskowej Lockbourne niedaleko Columbus, w stanie Ohio, Marty spotkała pięć innych WASP, które wie o ukończeniu szkolenia w Sweetwater w klasie 43-K-6, i otrzymały identyczne rozkazy jak ona - zameldować się natychmiast w budynku operacyjnym lotów. Widok, który ich powitał na płycie lotniska był niesamowity - niekończący się rząd olbrzymich czterosiłnikowych bombowców B-17. Trzyplątowe migła miały prawie cztery metry wysokości, a rozpięte skrzydła trzydzieści metrów. Marty nie mogła się doczekać chwili, kiedy będzie mogła usiąść w kabinie jednej z tych latających Fortec.

W biurze przywitał je młody porucznik.

- Jestem porucznik Winthrop, wasz instruktor. - Był to wysoki mężczyzna około dwudziestu pięciu lat, o brzoźwitych włosach, wyglądający spod czapki. - Naucz się latać tymi Big Friends, które stoją na zewnątrz.

Siedemnaście pilotek zostało wybranych do szkolenia na B-17. Rozglądając się, Marty stwierdziła, że nietrudno dostrzec powód, dla którego je wybrano. Wszystkie były wysokie, miały około metra osiemdziesięciu wzrostu.

Kiedy przyszedł jej kolej, by zasiąść w fotelu pilota potężnego bombowca, krew z podniecenia pulsowała jej w żyłach. W gumowych słuchawkach na uszach sprawdzała wszystko, dochodząc do momentu, kiedy położyła palec

na przycisku uruchamiającym pierwszy silnik. Naciśnięta została i obserwowano pierwsze drgnięcia jego migła. Samolot był wyposażony w cztery potężne silniki o mocy 1325 koni mechanicznych. Po chwili warkot wszystkich czterech wibrował w uszach.

Siedząc po prawej stronie, instruktor pokładowy na koniec drogi startowej, prowadząc ogromną maszynę na silnikach zewnętrznych, a Marty obserwowała jego ruchy na tablicy kontrolnej. Samolot toczył się jak olbrzymie słoisko i wydawało się, że ma tak samo szansę oderwania się od ziemi, jak to zwierzę.

Instruktor prowadził maszynę według procedury. Marty nacisnęła powoli cztery pedały, a Latająca Forteca zaczęła się rozprządać do startu. Kiedy prędkość wskazała 180 kilometrów na godzinę, Marty pocięła do siebie ster. Gładko jak po jedwabiu, potężna maszyna oderwała się od ziemi. Podwozie schowało się z szumem, a prędkość wzrosła o pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Poczucie siły nie mogło się z niczym równać, silniki dudniły z ogłuszającym hukiem, a niemal zrównały z łomotaniem jej serca. Marty była upojona tym uczuciem. Wypełniała ją całość, miała ochotę krzyknąć z podniecenia. Niech tylko jej brat David się o tym dowie. Nadal siedział gdzieś w Wiltshire, w Anglii, ze swoją dywizją, z dala od wojny.

Kiedy pisała do Mary Lynn, a robiła to regularnie i często, zachwycała się Latającą Fortecą, nie wystraszona jej piętostonowym cięciem i perspektywą manewrowania tak masą i siłą. Nie przerażały ją te trzy miesiące intensywnego szkolenia obsługi tego skomplikowanego bombowca, w tym 130 godzin latania. Jak napisała do Mary Lynn, nie było to bardziej męczące niż w Sweetwater.

Latanie w szyku było równie niebezpieczne, jak podniecające. Zawsze wydawało się, że kolizja jest o włos, kiedy uczyła się zbliżyć do skrzydła coraz bliżej drugiego bombowca, targana prądami powietrznymi, dopóki nie udało jej się złapać odpowiedniego, w którym samolot gładko ciął powietrze.

Marty cieszyła się każdą minutą spędzoną w kabinie B-17, z niezliczonymi dźwiękami i zegarami, gdy uczyła się manewrować olbrzymim samolotem, największym i najstojniejszym bombowcem tej wojny. Wiedziała, że Mary Lynn na pewno rozumiała ten dreszcz podniecenia. Tęskniła za nią, za długimi rozmowami, za fragmentami listów od Beau, opisywającymi wojnę. Marty nie należała do osób, które przyznają się do samotności - nie wtedy, gdy dookoła było pełno pilotów, również przebywających na szkoleniu, którzy chociaż organizowali dla niej dobre zabawy. Ale nic nie mogło zastąpić bliskości, która istniała między nią a Mary Lynn.

W Camp Davis wreszcie dostrzeżono zasługi i skądś eskadry w lotach z tarczami i dziewczyny zostały odznaczone na płycie lotniska. Oficerowie artylerii prosili o kobiety pilotów, aby latały dla strzelców według nudnego schematu. Zbyt wielu mężczyzn znudziło się cięciem wykonywaniem precyzyjnych ósemek i albo odlatywali wiczy akrobacje, albo wykręcili się od misji, wiadomo, że parę takich kobiet zgłosi się na ich miejsce.

Czasami Mary Lynn latała po południu, a tak rano, aby zyskać potrzebny stały godzin. Listów miała dużo do pisania - do Beau, rodziców, a teraz te do Marty. Latanie dało jej wiele. Lecąc pod ostrzałem artylerii przez kilka chwil czuła się jak na wojnie, czuła się jej ciężko, widząc, słysząc i przeżywając czystego tego, co było udziałem Beau. Przez jakiś czas wypełniała to uczucie. Latanie pozwalało uciec od samotności i wypełnić wolno płynący czas. Długie godziny spędzone w powietrzu wyczerpywały ją i pozwalały szybko zasnąć, nie dając czasu na rozmyślanie.

Z coli i papierosem w rękę Mary Lynn usiadła na krześle w pokoju pilotów. Nadal miała na sobie ubranie lotnicze, pochyliła się do przodu i oparła łokcie na kolanach. Zauważyła, że oficer operacyjny już trzeci lub czwarty raz spogląda na zegarek, co zaczął ją irytować.

- Co się stało? - zapytała.

- Carlson miał tu byście dziesięć minut temu, żeby polecieć na pikowanie. Wszyscy strzelcy są gotowi i czekają na niego. Jeśli byś musiał odwołać lot, dostanie mi się - powiedział z niechęcią i rezygnacją, znalazłszy się pomiędzy oficerami, którzy musieli wykonywać normy pilotami, którzy nienawidzili lotów w „trumnie”, jak nazywali A-25 Curtiss Helldiver.

Mary Lynn wiedziała, kto jeszcze dwa tygodnie temu zgłosiłby się na ochotnika - Marty, która zawsze była gotowa spróbować czegoś nowego. Nagle uderzyło ją, że nie ma nad sobą niczyjej opieki czyich skrzydeł - rodziców, Beau ani Marty. Była całkowicie zdana na siebie, mogła robić, co chciała.

- Ja polecę. - Wstała, prezentując swoje prawie metr sześćdziesiąt wzrostu.

Z niedowierzaniem popatrzył na drobną kobietę o ciemnych, żywych oczach, ciemnych włosach i okrągłych policzkach jak u cherubina.

- Robiła już kiedyś pikowanie?

- Nie - przyznała Mary Lynn. - Ale potrzebujesz pilota, więc jestem.

Oficer najwyraźniej przypomniał sobie o czekających na plaży strzelcach i być może przykrociach, jakie spadną na jego głowę, jeśli nie wyśle im samolotu.

- Proszę bardzo - powiedział z gestem, który miał znaczyć, że nie odpowiada za wynik.

A-25 Curtiss Helldiver miał więcej mocy niż A-24 Dauntless, którym zwykle latała. Udało jej się znaleźć na placu samolot bez czerwonej kreski, co było dozwolone. Chociaż nigdy nie wykonywała zadań tego rodzaju, to widziała, jak A-25 pikują na stanowiska strzelców na plaży. Umieszczone tam kamery rejestrowały, czy prawidłowo strzelec podał za pikującym samolotem.

Po starcie Mary Lynn skierowała się w stronę artylerii. Zbliżając się do plaży, dostroiła mikrofon i skontaktowała się z oficerem. Kazał jej wznieść się na wysokość 2500 metrów, a potem pikować na pozycje artylerii, wyrównać wysokość nad nimi i symulować bombardowanie.

Kiedy osiągnęła wymagane wysokość, skierowała dziób samolotu w dół na plażę. Siedmiotonowy samolot z rykiem spadał na ziemię, a Mary Lynn miała dziwne wrażenie, że patrzy na to z boku. Kiedyś ją dostrzegła, że wskazówka wysokości gwałtownie spada. Pociągnęła za drążki, aby wyrównać poziom, lecz poczuła opór. Z całej siły pociągnęła jeszcze raz. Samolot, pochylony do przodu, zareagował powoli. Siła grawitacji przycisnęła ją i zabiła umysł. Potem samolot zaczął wychodzić z pikowania, niemal dotykając spienionych fal.

- To było wspaniałe! Niesamowite! - Podniecony głos oficera grzmiał w słuchawkach. - Zrób to jeszcze raz!

- Tak jest. - Ożywiona wykonanym manewrem, wróciła na poprzednią wysokość i znów zaatakowała plażę.

Wróciwszy do bazy, Mary Lynn dowiedziała się, że eksperyment Jacqueline Cochran ma wkrótce być zaprezentowany na paradzie. Generalowie z Pentagonu, a także z Pierwszego i Trzeciego Dowództwa Sił Powietrznych, w towarzystwie prasy ogólnokrajowej lecieli na przegrodę eskadry. Miała się spełnić obietnica oficera do spraw kontaktów publicznych.

Dzień przed spodziewanym przyjazdem generałów Mary Lynn wykonała popołudniowy lot i wylądowała. Wsiadłszy z samolotu, ruszyła w kierunku pokoju pilotów.

- Mary Lynn, chod tu! - zawołała Eden i pomachała, eby si po pieszyła. - Musisz to zobaczy .

Przy pieszyła kroku i par ostatnich metrów przebiegła, troch tylko zainteresowana.

- O co chodzi?

- Chod ..- Eden poprowadziła j po schodach do drzwi schowka, znajduj cego si nad pokojem pilotów.

Drzwi były otwarte, a pomieszczenie uprz tni te. Zamiast skrzy i pudeł stały stoliki do gry w karty i krzesła. Schowek” zamienił si w mały prywatny pokoik. Eden wskazała napis na drzwiach. *Gniazdo WASP. Trutnie, trzymajcie si z dala albo poznacie gniew Królowej.*

- arty - stwierdziła Mary Lynn, widz c to. - Czyj to pomysł?

- Czuj , e to oficer prasowy podsun ł taki pomysł majorowi Stevensonowi - niezły chwyt dla fotoreporterów na jutro. Ma to na nich zrobi wra enie. - Eden skrzywiła si .

- Co za ró nica? - powiedziała z ironi Mary Lynn. - To mieszne.

Eden wzruszyła ramionami i weszła do rodka za kole ank , gdzie usiadły przy stoliku i zapaliły papierosa. Gdy pozostałe dziewcz ta odkryła „Gniazdo”, przył czyły si do nich i rozmowa zesła na przyczyn tego wszystkiego, czyli zbli aj c si wizyt generałów.

- Szkoda, e nie mamy nowych mundurów - odezwała si jedna z nich.

- Wzi to ci miar ?

- My lisz o tym krawcu z Neiman-Marcus? Tyle si nagadał, próbuj c wyja ni , jak wygl da bñ kit Santiago, e mierzenie mnie zabrało mu cał wieczno - poskar yła si dziewczyna.

- No pewnie, e to długo trwało - powiedziała inna ze miechem.

- Ten facet uwielbia swoj prac - stwierdziła Mary Lynn.

Zanim dostały nowe mundury, musiały wło y stare - br zowe gabardynowe spodnie, białe koszule i kurtki. Nast pnego dnia paradowały przed generałami i swoj szefow , Jacqueline Cochran, potem zatrzymały si i stały na baczno w wyglansowanych do połysku butach wojskowych, przed dwoma ogromnymi bombowcami.

Generałowie i ich wita podeszli do grupy. Eden popatrzyła na ich złote pagony, ciekawa, czy major Cappy jest w ród nich, ale go nie znalazła. Za generałami i Jacqueline Cochran szedł major Stevenson, dowódca szwadronu ci gn cego tarcze, i jego oficerowie.

Oficerowie u miechali si do stoj cych w pierwszym rz dzie i przyciszonym głosem zadawali pytania dyrektorce. Przechodz c pomi dzy rz dami kobiet, generałowie zwolnili troch . Eden odniosła wra enie, e ch tnie przypi liby do kilku piersi jakie odznaczenia.

Po zako czeniu przegl du, niski, przysadzisty major Stevenson, klepn ł ostatni w rz dzie dziewczyn w po ladek i szepn ł zadowolony:

- Le !

I zostały zwolnione.

Kiedy si rozeszły w towarzystwie fotografów i reporterów, Eden mrukn ła do Mary Lynn:

- Gdyby mnie tak zrobił, dałabym mu po g bie.

Przez kilka nast pnych tygodni w wielu gazetach w kraju pojawiały si artykuły o „odwa nych kobietach pilotach”. Lecz nast pnego ranka, kiedy Mary Lynn i Eden zameldowały si na placu, Gniazda ju nie było. Napis został usuni ty, stoły i krzesła te .

Czuj c si wykorzystana i rozgoryczona, Eden poszła do samolotu i z ledwo ukrywan zło ci sprawdziła

maszyn . Lu ny kombinezon i plecak ze spadochronem sprawiały, e wygl dała bezkształtnie.

Gruby ołnierz, który miał by operatorem tarczy, nie pojawił si . Eden miała ochot na papierosa, ale na płycie palenie było zabronione z powodu blisko ci benzyny. Była zła i nawet widok zbli aj cego si Bubby nie poprawił humoru.

- Dzie dobry. Wygl da, e jeste dzi w niezłej formie. - U miechn ł si , widz c błysk w jej ciemnych oczach. Ale Eden nie dała si oszuka pochlebstwem.

- Co znalazłe przy sprawdzaniu tego samolotu?

- To co zwykle - odpowiedział Bubba, przygl daj c jej si badawczo. - Radio przerywa, a silnik zu ywa za du o oleju, wi c powinna uwa a na d wignie. R czka pokrywy jest zepsuta, ale działa.

- Cudownie - stwierdziła zjadliwie.

- Jeste zła, jakby ci osa ugryzła - zauwa ył. - O co chodzi?

Nie wahała si długo, zanim wybuchła.

- To ten Stevenson i jego tani chwyt! Mam dosy takiego traktowania! Mam dosy latania wrakami! - Odruchowo wbiła palce w swoje rami , trz s c si ze zło ci. - Nie musz tego znosi i nie b d ! Składam pro b o przeniesienie.

Przybrał oboj tn min , nie chc c okaza swoich uczu .

- Je li tego wła nie chcesz, to my l , e powinna to zrobi .

Była zaskoczona, gdy zdała sobie spraw , e przeniesienie rozdzieliłoby j z Bubb . Po tym dniu na pla y ich spotkania nie były ju przypadkowe, chocia jego niski stopie zmuszał ich do ostro no ci. Eden uznawała, e ich romansowi smaku dodawał fakt, e było to zabronione. Jednak e pragn ła by z Bubb nie na przekór pieni dzom i statusowi społecznemu. Bubba nie był pró ny ani samolubny, jak ten zubo ały ksi , którego kiedy poznała. Był silny i dobry, co wi cej, kochał j tak , jaka była, a jej pieni dze i pozycja społeczna nic dla niego nie znaczyły.

- To niczego mi dzy nami nie zmieni - próbowała go przekona . Nie chciała go straci , teraz kiedy wła nie si odnale li.

- Skoro tak pani mówi.

- Przesta , Bubba. - Eden zirytował jego formalny ton.

Popatrzył na ni orzechowymi oczami.

- My l , e nie wiesz, ile dla mnie znaczysz. - W kilku prostych słowach było tak wiele emocji. Nie mógł ja niej wyrazi swoich uczu .

- Połowa par w tym kraju została rozdzielona przez wojn . Dlaczego z nami miałoby by inaczej? - Droga kołowania była zbyt publicznym miejscem na wyznawanie sobie uczu , tym bardziej e dookoła byli mechanicy i piloci, pracowały silniki. - Przy tobie czuj , e yj , Bubba. - Bez kwiecistych stówek wyraziła, e uczucie, którym go darzy jest miło i gł boka nami tno .

Atmosfera stawała si pełna napi cia, gdy Eden była tak blisko i patrzyła na niego. Chciała go dotkn , znale si w jego ramionach, posmakowa pocałunku.

- ałuj , e nie jeste my gdzie indziej. - Cał uwag skupił na jej ustach.

- Nie mo esz wzi przepustki na weekend? - zapytała. - Pojedziemy gdzie daleko od rygorów wojska. Mój znajomy ma dom w górach. Na pewno pozwoli nam z niego skorzysta .

- Nie wiem. - Zawahał się .
- Mo emy się spotkać w mieście i wziąć mój samochód.
- W mieście? - Odsunął się , rozglądając się ostro nie. - Drogo by nas kosztowało, gdyby nas zobaczono razem.
- Do diabła z wojskiem - odparła Eden zniecierpliwiona.
- Łatwo ci mówić . To nie ciebie czekałbyś dzień wojenny.

Eden wątpiła, czy poza naganną spotkałaby ich jaka kara, gdyby ich zobaczono razem, co było zresztą mało prawdopodobne.

- Mam szansę spędzić cały weekend razem. Nie chcesz?
- Wiesz, że chcę . - Mi nie na twarzy zadrgały mu.
- Mam załatwić ten domek? - zapytała prowokując, co, ura ona, że nie wykazał entuzjazmu. - Czy pozwolisz, żeby wojsko dyktowało ci, z kim wolno ci się spotykać i co robić ?
- Wezmę przepustkę , a ty załatw ten domek - zgodził się .

Gruby operator jej stanowiska tarczą przywlokł się do samolotu, gotów do działania. Cisza, jaka zapadła między sierżantem i rudowłose pilotką , podsycała jego ciekawość . Zwykle słyszał swobodne rozmowy, ciepłe i przyjacielskie, bez względu na stopień . Ale nie zadawał pytań , tylko wsiadł do kabiny.

Sierżant pomógł Eden wejść do kokpitu i czekał, aż silnik się rozgrzeje. Kiedy A-24 pokołował na pas startowy, Bubba nadal stał i patrzył za nim.

21

Hamilton Steele pochylił się do telefonu uradowany, słysząc znajomy głos w słuchawce.

- Ciesz się , że ci słyszę . Jak się masz?
- Dobrze. - Połknięcie mi dzymiastowe sprawiło, że głos Eden zatrzęszczał. - Ham, kochany. Chcesz ci prosić o przysługę .

- Nie myślałem, że dzwonisz, ponieważ się za mną stęskniła - powiedział z lekkim uśmiechem, blask w oczach nieco przygasł, a powróciła wystudiowana cierpliwość . - Wystarczy, że poprosisz, Eden. Wiesz o tym.

- Chodzi o twój górski kryjówek . Mówiłem , że mogłaby z niej korzystać , kiedy zechce . Czy może to być w następnym weekendzie? - Brzmienie jej głosu przywołało żywy obraz Eden, kobiety pełnej namiętności i uczucia . Umiała panować nad swoim temperamentem, choć jego siła zawsze promieniowała od niej. - Chcemy się wyrwać na parę dni.

- Rano napisz do zarządcy, żeby przygotował dom - zapewnił ją i usiadł na krześle. - Może mógłbym do was dojechać czy ?

Na chwilę po drugiej stronie zapadła cisza, a potem rozległ się gardłowy śmiech.

- Raczej nie, Ham. Mogłoby być niezręcznie.

Za tym artobliwym śmiechem Hamilton wyczuł dystans.

- Ach - powiedział z głębkim westchnieniem, gdy już to znał. - Myślałem, że planujesz ten wypad z koleżankami. Ale, zdaje się , towarzyszy ci babcia czyżna. Czy mogłaby zapytać o twój przyjaciela? Czy jest pilotem?

- Bubba jest mechanikiem samolotowym.
- Bubba? - powtórzył z niedowierzaniem.
- Ham, kochany, zachowujesz się jak snob - skarciła go. Nie chciała słuchać , jak kpi z jej kochanka.

Ale Hamilton rozumiał więc jej się zdawało. Było coś szczególnego w jej głosie, kiedy wymawiała imię Bubby. Dobrze ją to znał, więc westchnął, wydając przy tym dźwięk, który przypominał miech.

- O co chodzi? - zapytała.

- Kusi mnie, żeby zaryzykować wszystkie moje pieniądze z giełdy, kupić sobie farmę w Pensylwanii i zostać z paroma centami w kieszeni - stwierdził.

- Ty? Farmerem? - Eden zaczęła się wyobrażać sobie konserwatywnego Hamiltona Steele'a, noszącego zawsze ciemny garnitur, ubranego w luźny kombinezon. - Czemu, na Boga, miałbyś coś takiego zrobić?

- Wygląda na to, że... niezmiennie interesuje cię albo mój przybytek, albo plebejusz. - W jego łagodnym głosie pojawiła się nutka ironii, ale oczy były pełne smutku, czego ona nie mogła zobaczyć.

- Obawiam się, że to fatalna wada mojego charakteru - przyznała, wyjmując papierosa z paczki Lucky Strike Greens. - Ale nie mów tak, jakbym zawsze wybierała przegranych. Bubba jest inny. - Jednak wołała nie kontynuować dyskusji na ten temat. - Co słychać w Nowym Jorku?

- Robi się zimno.

- Dostałam list od Cappy. Wiozła jakiego pułkownika do Nowej Anglii w zeszłym tygodniu. Powiedziała, że kolory jesieni są niezwykle w tym roku.

- Owszem.

Rozmowa toczyła się jeszcze około minuty, cały czas z tą samą udawaną uprzejmością. W końcu Eden potwierdziła możliwość skorzystania z domku górskiego w następnym weekend, a Hamilton powiedział jej, gdzie znajdzie klucz.

Listopadowy chłód mroził poranne powietrze. Ubrana w przepisowy mundur, składający się ze spodni khaki, białej bluzki i kurtki lotniczej, Cappy podciągnęła swój suwak i wyszła z budynku operacyjnego w Bolling Field, kierując się do zaparkowanego na rampie DC-3, który był pasażerską wersją wojskowego transportowca C-47.

- Ilu dziś mamy pasażerów? - zapytała drugiego pilota, zuchwałego, dwudziestokilkuletniego mężczyzny, który nie krył niezadowolenia, że leci jako drugi pilot kobiety.

- Dziesięciu. - Spojrzał na kartę lotu. - Podpułkownik ze swojej grupy. Nazywa się Hayward, tak jak ty. - Ostatnie słowa wypowiedział z zaciekawieniem i popatrzył na nią podejrzliwie.

- Naprawdę? - Starła się ukryć konsternację, choć jednocześnie nie, że sama wcześniej nie sprawdziła rozkazów. Po prostu nie przyszło jej do głowy, że ojciec może być wśród pasażerów lecących do fabryki wojskowej w Evansville, w Indianie.

- Sprawdź samolot - powiedział drugi pilot, porucznik Franklin.

Chciała powiedzieć, że sama sobie z tym poradzi, ale nie zrobiła tego. Przy pieszonym pulsie dudnił jej w uszach, gdy patrzyła, jak podjeżdża samochód wojskowy, a z niego wysiada podpułkownik Robert Hayward. Nie widziała go od tamtego zimowego dnia dziesięć miesięcy temu, kiedy wyszła z domu w Georgetown.

- Dobrze. - Zgodziła się, by sprawdził maszynę. Jedną z rzeczy, których się nauczyła, odkąd została przydzielona tutaj i cięgle dostawała loty próbne na samolotach wielosilnikowych, był fakt, że każde zaniedbanie było natychmiast zauważone, bez względu na powód. Za każdym razem gdy wsiadała do samolotu, wydawało się jej, że musi udowodnić swoje umiejętności jakiemuś nowemu oficerowi, który uważał, że kobieta nie jest zdolna pilotować samolotu.

Cappy wiedziała, że najtrudniejsza próba czeka ją dziś, wobec ojca. Patrzyła, jak się zbliża, w brzozy marynarce wojskowej i spodniach, w oficerskiej czapce, precyzyjnie umieszczonej na głowie. Gdy się zbliżyła, znajoma sztywna postawa i twarz, którą tak dobrze знаła, wywołały lekki uśmiech na jej twarzy. Ale zauważyła jego chłodne, powściągliwe zachowanie i uśmiech natychmiast zniknął.

- Dowiedziałem się, że masz być naszym pilotem. - odpowiedniego powitania, osobistego słowa.

- Tak, panie pułkowniku. - Cappy ruszyła za nim, kierując jego grupę do samolotu. - Porucznik Franklin koło sprawdzanie samolotu. Jeśli mająpa stwo jakiś bagaż do zapakowania, porucznik się tym zajmie. - Z łatwością wróciła do tonu służbowego. - Ostatnie prognozy mówią, że powinniśmy mieć dobrą pogodę przez całą drogę.

Załadowanie wszystkiego zabrało trochę czasu i odlot nieco się opóźnił. Cappy siedziała zapięta w fotelu i gotowa do startu, kiedy do kabiny wszedł jej ojciec.

- Słucham? - Czekwała na wyjaśnienie jego przyjęcia, a w niebieskich oczach pojawił się błysk irytacji.

Poklepał drugiego pilota po ramieniu, dając mu do zrozumienia, żeby wyszedł.

- Ja polecę w tym fotelu. Możesz usiąść z tyłu i przespacerować się.

Aden porucznik przy zdrowych zmysłach nie spierałby się z podpułkownikiem. Franklin był niezadowolony, że straci kilka godzin, ale zastosował się do polecenia. Wychodząc, spojrzał na Cappy oskarżycielsko, jakby to była jej wina.

Bez wątpienia to ona była przyczyną tej zmiany. Chciałaby, żeby ojciec towarzyszył jej w kabinie ze względu na dawne czasy, kiedy razem latali, ale podejrzewała, że wynika to z braku wiary w jej umiejętności radzenia sobie z dużym samolotem.

Kiedy podpułkownik Hayward zapiął pasy w fotelu, Cappy upewniła się, że mapy i wykresy są w porządku, i podała mu do sprawdzenia list kontrolny. Poczuli nostalgię, kiedy usłyszała jego spokojny głos, i odruchowo zapytała:

- Gotowy jesteś, tato?

- Pozostajemy na formalnej stopie, Hayward - odparł szorstko.

- Tak jest - powiedziała, przysięgając sobie w duchu, że nie zapomni się o niej.

Po starcie wykonała manewr, kierując samolot do Wright Field w Dayton, gdzie mieli zatankować. Osiągnęła wysoko, wyrównała lot. Dookoła było niewiele chmur, w większości rozproszonych. W dole jesienne kolory malowały ostre grzbiety i stoki Apalachów na różnym odcieniu złotego i pomarańczowego.

Wyjrzała przez okno i podziwiała połyskujące wzgórza i doliny pocięte w nieregularne wzory, utworzone przez pola, przecinane małymi miasteczkami z kopalniami. Nie wypowiedziała się głośno na temat tego pięknego widoku. Zwróciłaby na niego kilka demou uwag, lecz ponura mina ojca i cisza nie zachęcały do wymiany uprzejmości. Cappy czuła, że będzie to długi lot.

- Nie zapytasz, jak się czuje twoja matka? - zapytał prowokująco.

- Jak się czuje? - spytała posłusznie. - Chyba jest do zająta teraz w Green Ladies.

- Może gdyby czasem zadzwoniła, to by wiedziała.

- Dzwoni - odparła ze złości. - Prawdopodobnie po prostu ci o tym nie mówi.

- Słyszałem, że była na kilku przyjęciach z Mitchem Ryanem. Czy jest coś miłego z wami?

- Nie.

Po tej krótkiej wymianie zdań rozmowa się urwała. Przez resztę czasu wymieniali tylko uwagi dotyczące lotu.

Szykuje się do wejścia do przestrzeni powietrznej Wright Field, Cappy wezwała operatora z wieży, by uzyskać instrukcje do lądowania. Kiedy nie otrzymała odpowiedzi, spróbowała jeszcze raz, z tym samym rezultatem. Sprawdzący czujność, ponowiła wezwanie. Przeszło jej przez myśl, że radio nie działa. Za czwartym razem odezwał się niezadowolony operator.

- Czy mogłabyś się odlecieć, kobieto? Ta baza jest przeznaczona dla personelu wojskowego i lada moment przylecie tu niezłe szczyty.

- To jest samolot wojskowy - odparła. - Pasażerami są podpułkownik Hayward i jego sztab. Proszę o instrukcje do lądowania. - W jej głosie brzmiała odmowa odpowiedzi.

- Pewnie, a ja tu mam towarzystwo Ike'a i jego ludzi padła szydercza odpowiedź. - Słuchaj, panienko...

- Wieś Wright - wtrącił się ojciec - mówi podpułkownik Hayward. Radzisz spełnić prośbę mojego pilota.

- Tak jest, panie pułkowniku! - rzucił najwyraźniej zaskoczony mężczyzna.

Otrzymałszy konieczne informacje - kierunek i prędkość wiatru, numer pasa, wskazania barometru i kolejno do lądowania - Cappy potwierdziła je. Całą uwagę skupiła na zlokalizowaniu swojego położenia i ustawieniu się do lądowania. Znalazłszy się na ziemi, pokołowała na płycie postojowej. Stanowcze polecenie ojca wciąż brzmiało jej w uszach, słowa „mojego pilota” odbijały się dumnym dźwiękiem. Dziękowała mu z łagodnością.

- Dziękuję - powiedziała do niego.

- Za co? - zaczął przegłaskać list.

W miarę jak odczytywał punkty, Cappy wyliczała po kolei systemy i powtórnie sprawdziła pozostałe. Pomiędzy nimi zdołała wtrącić:

- Za ustawienie wieży.

- A czego się spodziewała? Kobiety nie pasują do samolotów wojskowych. - Sucho wyraził swoją opinię, która od roku nie uległa zmianie.

Cappy zacisnęła zęby rozczarowana i wciąż się nie odezwała. Ojciec był uparty jak osioł. Głupotą było się dziwić, że zmienił zdanie, że jego czarna opinia stała się choć trochę szara.

Gdy tylko samolot został zatankowany, znów wystartowali. Tym razem miejsce drugiego pilota zajął porucznik Franklin, ojciec wrócił do swojej grupy, najwyraźniej uspokojony co do jej kompetencji za sterami. Co dziwne, brakowało jej panującej między nimi ciszy.

Po przylocie do fabryki samolotów w Evansville, Cappy i drugi pilot zostali zabrani do baru na lunch przez jednego z dyrektorów. Ojciec i reszta oficerów odeszli z szefem firmy.

Tego popołudnia oprowadzono ich po fabryce. Jak zauważyła Cappy, większość pracowników stanowiły kobiety, które robiły wszystko, od spawania po składanie części. Patrzyła na nie z poczuciem wspólnoty. Wszystkie wykonywały prace, które dawniej uważane były za typowo męskie, i robiły to dobrze. Wojna zniósła wiele barier, stojących do tej pory przed nimi. Kiedy zabrzmiał popołudniowy dzwonek, młoda kobieta w wieku Cappy skończyła spawanie, wyłączyła spawarkę i zdjęła ochronne gogle. Cappy powiedziała coś na temat jej pracy, a ona spojrzała i wzruszyła ramionami.

- Potrzebuję pieniędzy. Nie mogę żyć z tego, co mi da Ernie. Jest zwykłym szeregowym - wyjaśniła i westchnęła zmęczona. - Bądź siłą cieszyć się, kiedy wróci do domu i nie będzie musiała dłużej pracować.

- Tak. - Może gdybym nie robiła czegoś, co tak bardzo lubi, mówiłabym tak samo, pomyślała Cappy.

Temat ten ani odrobinę nie interesował drugiego pilota, ponieważ rozglądał się znudzony. Nagle ożywił się.

- Hej! Patrz! - Wybuch entuzjazmu zwrócił jej uwagę .

Do hangaru wprowadzano duży, brzydki samolot z ogromnym migłem przymocowanym do pokrywy silnika. Była to maszyna o dużej mocy, P-47 Thunderbolt, myśliwiec, który zdobył nazwę Little Friend (Mały Przyjaciel) Latajcie Fortecy.

- Ile bym dał, żeby wsiadł do jego kabiny - powiedział porucznik Franklin.

- Ja też - zgodziła się .

- Kobiety się nie wpuszczają do rakietowych maszyn - powiedział szyderczo.

Cappy nie sprzeczała się z nim, ale zastanawiała się, co powiedziałby ten młody porucznik, gdyby wiedział, że wojsko uczy kobiety pilotować bombowce B-17. Z pewnością byłoby to coś więcej niż P 47.

Później; zostali zabrani do hotelu, gdzie mieli spędzić noc. Podczas swojej pracy Cappy przekonała się, że w świecie oficerów oznaczało również zatrzymywanie się w najlepszych hotelach i jadenie w najlepszych restauracjach. Wyprawa do Evansville niczym się różniła pod tym względem. Lecz podczas kolacji czuła się nieswojo, widząc, że ojciec przypatruje się jej z kądem razem, kiedy podejdziesz do niej jakimś czynem.

- Potem słałam, że nie zjadłam w pokoju - skarżyła się Mitchowi, opowiadając mu o tym dwa dni później. - Wiem, że się spodziewał, że co chwila ktoś będzie mnie zaczepiał - samotna kobieta w miejscu publicznym. Oczywiście okazało się lekkomyślnie.

- To zwykle nieporozumienie.

W hałasie liwym barze w tle cicho grała pianistka i choć robiła to dość słabo, to przy platynowych włosach i wietnej figurze talent nie jest konieczny. Cappy odwróciła od niej uwagę i wyjęła papierosa, a Mitch natychmiast podał jej ogień .

- Pomyślałam... - Przerwała, by wypuścić dym, a potem potrzęsnęła głowę . - Nieważne.

- Co pomyślała ? - Patrzył na nią z zainteresowaniem i uwielbieniem swoimi ciemnymi oczami. Cappy poczuła pewną błogość, którą wywoływał w niej widok tego przystojnego faceta, więc szybko odwróciła wzrok.

- Pomyślałam, że jak raz mój ojciec przekona się, że jestem kompetentnym pilotem, to da spokój z tymi głupimi uprzedzeniami, co do roli kobiety. Kiedy rozmawiał z wiekiem przez radio, nie dał szacunku dla mnie czy mojej pracy; chciał tego dla swojej córki. Ten lot niczego mu nie udowodnił. Gdyby mógł postąpić zgodnie z moim, to od jutra już bym nie latała. - Była zniecierpliwiona i ura ona, a gorzkie myśli tłukły jej się po głowie. - On jest niemożliwy.

- Kocha cię - stwierdził Mitch.

- Cóż, ma ciekawy sposób okazywania tego. - Dla niej miłość nie oznaczała zaborczości i ograniczenia, lecz akceptację i docenienie drugiej osoby, a nie tłumienie jej.

- Tak czy inaczej kocha cię - powtórzył Mitch spokojnie. - Z kądem razem, kiedy go widzisz, pyta o ciebie.

Poruszyło ją to, ale powiedziała:

- Jednak nie akceptuje tego, co robi, więc nie próbuj mnie przekonać, że jest inaczej.

- Nie bój się. Ale i tak go kochasz.

- Jest moim ojcem. - Zabrzmiało to raczej jak wyjątkowa odpowiedź .

- Zataczmy. - Mitch wsunął dłoń pod jej palce i pogładził je.

Taniec był lepszy niż rozmowa. Zgasiła papierosa i wstała, by poprowadzić ją na zatłoczony parkiet. Pianistka

zaczęła piewać zachrypniętym głosem i Cappy rozpoznała przebrój Franka Sinatry sprzed kilku lat, „I'll Never Smile Again”.

Inne pary kręciły się wolno, gdy zaczęła tańczyć. Objął ją ramieniem i trzymał swobodnie blisko siebie. Oczy miała na wysokość jego ust i czuła zapach jego wody po goleniu. Czuła przyciśnięte do swoich ud jego nogi, kiedy poruszali się w wolnym rytmie ballady.

- Twój ojciec jest dumnym człowiekiem, Cappy. - Mitch kontynuował rozpoczętą rozmowę. - Wszystko, co ma, to wojsko i rodzina...

- W tej kolejności - wtręciła.

Uśmiechnął się lekko, ale mówił dalej, jakby nie słyszał.

- Myślisz, że to normalne, i każda dziewczyna chce mieć na kogoś, komu przekazać nazwisko i tradycje. Czujesz, że twój ojciec żałuje, że nie ma syna, chociaż się do tego nie przyznaje, bo nie chce zranić twojej matki. Ale ponieważ tak bardzo nad tym ubolewa, to prawdopodobnie dlatego nie chce, żeby robiła to, co chciałaby, by robił jego syn. Wiadomo czy nie, nie oczekuje od ciebie tego, czego oczekiwałby od chłopca. Jest dla ciebie surowy, ponieważ mężczyzna chce, by jego córka była wyjątkową kobietą.

Mówił logicznie, lecz ona była uparta jak jej ojciec.

- Chce, by rodzina była wobec niego tak samo lepo posłuszna jak on wobec wojska - odparła Cappy sucho. - Ani odrobinę nie interesuje go to, czego ja chcę.

- A czego chcesz, Cap? - Pochylił do niej głowę z rosnącym zainteresowaniem na twarzy, próbując zrozumieć jej pragnienia.

- Chcę mieć własny dom i przyjaciół, których sama wybiorę. Chcę latać. - Głos zaczynał się jej łamać, więc przerwała.

- To się do łatwego do uzyskania rzeczy. - Mitch przysunął się bliżej. Nie był pewien, co mu odpowie, lecz nie spodziewał się tak prostej odpowiedzi.

- Naprawdę? - odparła z nutką ironii w głosie. - Rozejrzyj się dokoła i co widzisz? Północy, biznesmenów w podróży, sekretarki. Nic nie jest pewne.

Przez chwilę nie mówił nic, tylko przytulił ją mocniej i oparł policzki na jej jedwabistych włosach, wdychając ich słodki zapach. W końcu zaczął rozumieć, co powstrzymywało ją od zaangażowania się.

- Jest wojna - mruknął.

Cappy nie zaprzeczyła.

Ólty kabriolet jechał krętą górską drogą, w ród gęsto rosnących sosn i ogołoconych z liści drzew. Suche liście pokrywały rowy i ciółki w lesie, tworząc kryjówki, gdzie wiewiórki mogły schować zapasy na zimę. Jadący samochód wzniewał chmury liści, wprowadzając je w szalone wirowanie i pozostawiając, by powoli opadły na ziemię.

Niebieska sójka poleciała na skrót po ród drzew, żeby zaczekać na lądniący samochód przy wysokim domu, stojącym w ród drzew. Ciemnobrzozy budynek miał dwa i pół piętra i ogromny taras, z którego rozciągał się widok na góry Karoliny, spowite w listopadową mgłę.

Przed domem skończyła się droga. Bubba zwolnił, zatrzymał się przed wejściem i popatrzył na masywny budynek, marszcząc brwi. Eden zajęła się zbieraniem swojej torebki i zdejmowaniem jedwabnego szala, który chronił jej włosy przed rozwianiem.

- Wydawało mi się, że mówiła, że zatrzymamy się w domku - stwierdził Bubba. - Nigdy nie widziałem domku takich rozmiarów, nawet w Teksasie, gdzie wszystko jest duże.

- Chodź. - Eden za nią miała się i wysiadła z samochodu.

- Mówisz poważnie? To tutaj? - Bubba z niedowierzaniem zrobił to samo co ona, zatrzymując się przy bagażniku, by wyjść bagażem.

- Zostaw to. Haines je przyniesie. - Wzięła go pod ramię i poprowadziła do drewnianych schodów.

- Haines? Czy to twój znajomy? - Bubba spojrzał na nią z góry.

- To zarządca. - Drzwi otworzyły się i przywitała ich z uśmiechem pulchna kobieta o siwych włosach, splecionych z tyłu w kok, i pizyżatych policzkach.

- Witaj, Ido Mae - powiedziała Eden i weszła, nie trudząc się, by przedstawić Bubbę.

Wewnątrz ciany wyłożone były grubymi belkami w tym samym kolorze co na zewnątrz, lecz przestronny pokój gościnnie, z masywnym, kamiennym kominkiem i drewnianą podłogą pokrytą jasnymi chodnikami i skórą, nie wydawał się wcale ciemny. Z wysokiego sufitu ozdobionego drewnianymi belkami zwisały proste lampy o wietlącej czystości pokoju.

Kobieta o miłej twarzy przygotowała barek z trunkami dla Eden i dyskretnie wyszła. Bubba kręcił się po pokoju, w końcu stanął obok Eden, gdy przygotowywała im drinki.

- Kim ona jest? - zapytał półgłosem.

- Ida Mae? Kucharka. - Eden wręczyła mu szklankę, potem wzięła swój i stuknęła lekko jego, jak przy toaście, a delikatny kryształ zadźwięczał cicho.

Popatrzył na nią z diabelskim błyskiem, czając się w orzechowych oczach, który tak ją podniecał. Nie odrywając od niego wzroku, Eden pocięła łyk szkockiej, po czym wspięła się na palce i musnęła jego usta, czując na nich smak whisky.

Wzięła go za rękę i pocięła do kanapy, stojąc przed kominkiem. Popchnęła go na miękkie siedzenie i sama usiadła z podwiniętymi nogami. Jak kotka przytuliła się do jego boku, a spódnica podcięła się do góry, odkrywając kolana w jedwabnych pończochach.

- Co mi mówi - Bubba popatrzył na nią z ukosa i objął ramieniem - że ten weekend będzie niezupełnie taki, jak myślałem.

- Mam nadzieję, że nie spodziewała się, że będzie gotowa - powiedziała z uśmiechem.

- Nie myślałem wiele o jedzeniu - przyznał.

- Tak? - Powodowała palcami po wełnianym swetrze wzdłuż jego klatki piersiowej do podbródka. - A o czym myślała?

- że ty i ja spacerujemy po lesie albo siedzimy przed przytulnym kominkiem - odparł Bubba, wzruszając ramionami.

- Las jest tu za drzwiami, a drewno w kominku tylko czeka na zapalniczkę. - Bardziej interesowały ją jego usta i przyjemność, którą jej dawały.

Otworzyły się drzwi i wszedł szczerzy młody mężczyzna z walizkami. Nawet nie spojrzał w ich kierunku, tylko wszedł na drewniane schody, jakby nie wiedział, że nie opodal, na kanapie siedzi para.

- Ale nie jesteśmy sami. - Obecnie zarządczyni stanowiła różnicę pomiędzy tym, co wyobraził sobie Bubba, a rzeczywistością. - A to nie jest stara chatka w lesie.

- Ale jeste my razem... ze wszystkimi domowymi wygodami - przypomniała mu Eden.

- Mo e twojego domu... ale nie mojego - poprawił j komicznie. - Jestem przyzwyczajony do robienia wszystkiego samemu.

- A có takiego „robisz” tak dobrze? - zapytała, prowokuj co podnosz c głow .

Przytłumiony j k wydobył si z jego ust, kiedy przygarn ł j bli ej i si gn ł drug r k , by odstawi szklank na stolik. Dotkn ł jej ust z sił wiadczy c o jego pragnieniach. Ona wplotła palce w jego g ste włosy, wbijaj c paznokcie, jak kotka wysuwaj ca pazurki. Siła pocałunku rosła, lecz on nie był w stanie si kontrolowa , a ona upajała si nim. Krew zacz ła szybciej kr y i zrobiło im si gor co.

- Jeste moim edenem - powiedział dr cym, zachrypni tym głosem. - Wszystkimi rajskimi cudami. Jeste moim sło cem, które ogrzewa mnie swoim arem i ciemno ci nocy, pochłaniaj c mnie w niesko czono . Bo e, jak ja ci kocham. - Znów j pocałował.

Poderwał si gwałtownie na odgłos kroków na drewnianej podłodze. Tłumił je chodnik poło ony na schodach, gdy gospodarz zszedł i przeszedł do drzwi. Bubba zaczerwienił si , pomimo opalenizny, odsun ł si od niej i odruchowo poprawił włosy. Eden nie mogła ukry rozbawienia z powodu jego zakłopotania.

- Przyzwyczaisz si do nich. W ko cu nawet nie zauwa ysz, e kto jest w pokoju.

Lecz Bubba nie przywykł do wchodz cych i wychodz cych słu cych. Kiedy Ida Mae przyniosła im rano niadanie, nie spojrzła w stron , gdzie siedział w łó ku nagi pod jedwabnym prze cieradłem. Eden artowała sobie z niego, dopóki nie znalazł przyjemnego dla obojga sposobu uciszenia jej.

W drodze powrotnej zgodził si , eby prowadziła, i wysiadł „a terenie bazy, zamiast w mie cie, gdzie musiałby znale jaki wojskowy rodek transportu. Eden kompletnie nie przejmowała si kłopotami, które mogłyby si pojawi , gdyby zobaczono ich razem, pewna, e sobie poradzi. Miała szans to sprawdzi , kiedy dostała polecenie, eby si zameldowa u majora Stevensona.

- Dotarła do mnie informacja, e widziano pani z jednym z ołnierzy - powiedział dowódca oskar ycielsko, stoj c na odległo biurka od niej, eby nie było tak bardzo wida , e jest od niej ni szy. - Chc zna nazwisko tego sier anta, który był z pani .

- Panie majorze, nie byłam z nikiem, e si tak wyra . - W tej sytuacji Eden była bardzo pewna siebie, przyjmuj c chłodny, arogancki ton, który mógł powstrzyma ka dego m czynn od zaprzeczenia jej słowom. - Jechałam wła nie do bazy i zobaczyłam sier anta Jacksona, czekaj cego, eby go kto podwiózł, wi c go zabrałam.

- Sier anta Jacksona? - Uniósł brwi, oczekuj c dokładniejszych informacji o tej osobie.

- To mechanik, który zajmował si paroma samolotami, którymi latałam.

- Wi c przyznaje pani, e była z nim?

- Byłam z nim - przyznała. - Czasami je d na przednim siedzeniu z naszym szoferem. Nigdy nie okre liłabym tego jako bycie z nim i s dz , e pan te tak uwa a.

- Rozumiem - mrukn ł.

Pó niej Eden miała si z tego do Mary Lynn.

- Kiedy przypomniałam mu, e jestem pilotem, a sier ant Jackson tylko mechanikiem, był tak w ciekły, e mało nie p kł. Mo esz sobie wyobrazi , jaki był rozczarowany, e nasze spotkanie było całkiem niewinne. - Ale Mary Lynn nie za miała si , wi c Eden dodała: - Uznałam, e to zabawne. Major jest takim nad tym snobem.

- Tak. - Mary Lynn spróbowała się uciec. - Po prostu przypomniała mi się Rachel. Wszyscy wiedzieli, że wymyślała się na spotkania z tym szeregowcem. - Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjęła kopertę. - To przyszło do ciebie. Od chłopaka Rachel.

Po chwili wahania Eden rozdarła kopertę i przeczytała krótki list od Zacha Jordana. Wyraźnie widoczne za słowa współczucia, które mu ofiarowała po pogrzebie Rachel.

- Jest we Włoszech - powiedziała.

Człoteczka

22

Odrzuciłam wasze prośby o przeniesienie. - Papiery zostały pochwycone przez stół w kierunku dwóch siedzących przy nim kobiet.

- Złoty jest jeszcze raz - stwierdziła Eden, nie ustępując ani odrobiny.

- Nic wam to nie da. - Jacqueline Cochran wstała i obeszła biurko w wynajętym pomieszczeniu, stojąc przed dwiema zbuntowanymi pilotkami. Niezbyt dobrze znosiła sprzeciw. - Po prostu znów je odrzuć.

- Wiem, że złota rezygnacja - odparła Eden.

- Nie przyjmij jej. - Ciemne oczy dyrektorki stały się surowe. - Nie zdajecie sobie sprawy, że wasze działania mogą zagrozić w przyszłości programowi szkolenia kobiet pilotów? - argumentowała stanowczo. - Najmniejsze niepowodzenie którejś z kobiet przyniesie szkodę nam wszystkim. Nie możemy pozwolić, by was zniszczyły, do czego wspólnie doszłyśmy. Warunki może nie są najlepsze, ale mamy wojnę. Tutejsi piloci spełniają kluczowe funkcje ...

- Nie interesuje mnie wykład - przerwała Eden, nie dając Mary Lynn możliwości odezwania się. - A warunki tutaj wcale się nie poprawiły. Ciagle latamy zaznaczonymi na czerwono samolotami. Nie było więcej wypadków, bo w końcu zmordowały nas i zaczęły same o siebie się troszczyć, zamiast polegać na tych z dowództwa.

Jacqueline Cochran rozszalała się, a jej przerwano.

- Bądźcie nad nami...

- Jest pani dyrektorko, panno Cochran, ale nie jest pani nade mną - poprawiała ją Eden.

Mary Lynn była milczącym uczestnikiem tej wymiany zdań, obserwując starcie dwóch silnych osobowości. Sama była z natury spokojniejsza, ale nie mniej stanowcza.

Jacqueline Cochran młodo zignorowała te uwagi.

- Moje stanowisko się nie zmieni, wasze prośby o przeniesienie są odrzucone. Jeśli za miesiąc nadal będziecie tego chciały, wtedy porozmawiamy.

- Nie, panno Cochran. - Ta niejasna obietnica nie podziałała na Eden. - Nie będziemy rozmawiać. Albo dostanę przeniesienie albo zrezygnuję. Bez względu na to, czy się pani zgodzi, czy nie. Co pani zrobi, jeśli opuścisz bazę? Ką mnie aresztować? To mogłoby przyciągnąć publiczność, a ja, proszę wierzyć, potrafię robić sceny.

- To brzmi jak groźba.

- Nasze odejście nie zagrozi eksperymentowi - odezwała się Mary Lynn. - Udowodniłyśmy, że potrafimy latać na wyczeniach z tarczami i mamy doskonałe wyniki. Jedna armia nie da odłóżnika, aby został na froncie przez całą wojnę, panno Cochran. W tych warunkach nasza prośba nie jest nieuzasadniona.

- To słuszny argument - przyznała dyrektorka.

- Czy to znaczy, że przyjmie pani nasze podania o przeniesienie? - Eden chciała bardziej zdecydowanej

odpowiedzi.

- Zastanowi się nad nimi i zobacz, co da się załatwić. Zawiadomi was. - Wróciła za biurko, dając do zrozumienia, że są wolne.

Eden wstała, ale nie opuściła biura.

- Kiedy?

- W ciągu tygodnia - odparła Jacqueline Cochran z lekkim zniecierpliwieniem i niechętnym podziwem.

Opuściły pokój, nie zatrzymując się, dopóki nie wyszły z budynku operacyjnego. W ten grudniowy dzień powietrze było zimne i wilgotne, a niebo nad głowami szare. Zatrzymały się, by zapiąć kurtki.

- Co o tym myślisz? - zapytała Mary Lynn.

- Nie ma wyboru - odpowiedziała Eden zadowolona. - Dostaniemy przeniesienie do dywizji transportowej.

Ponury deszcz syczał się z nieba. Eden przeszła po trawie na skróty do baraku, brudząc buty w błocie. Wpadła do łazienki, zostawiając za sobą mokre ślady w woskowym korytarzu, wiedząc, że do pokoju Mary Lynn.

- Początek! - Ledwo łapiąc oddech i nie mogąc powstrzymać ciekawości, wyjęła spod kurtki kilka kopert i rzuciła je Mary Lynn, zwiniętej na łóżku i piszącej karty w teczkę. - Otwórz najpierw tę. - Eden wskazała oficjalnie wyglądającą kopertę i patrzyła z błyszczącymi oczami, jak Mary Lynn rozdziera papier. - Nowe rozkazy, prawda? - Zgadła.

Spojrząwszy przelotnie, Mary Lynn skinęła głową, twierdząc, że przeczyta dalej.

- Tak.

- Ja też dostałam. - W oczach wyraźnie zabłysł tryumf. - Możesz wyobrazić sobie lepszy prezent gwiazdkowy niż przeniesienie z tego miejsca? - Nie czekała na odpowiedź. - Gdzie ci wysyłać?

- Do Szóstej Grupy Transportowej w Long Beach, w Kalifornii.

- Mnie też - powiedziała Eden zaskoczona i usiadła na łóżku na wprost Mary Lynn. Promieniowała całą z satysfakcją. - Nie mogła się doczekać, kiedy nacieszy się kalifornijskim słoneczkiem. Ta ponura szaruga jest przygnębiająca.

Spojrzenie Mary Lynn padło na inną kopertę i rozpoznała na niej pismo Beau.

- To od Beau - powiedziała, niepotrzebnie wyjaśniając, gdy szybko rozdarła papier i przebiegła wzrokiem tekst. Listy od niego zawsze czytała kilka razy.

- Posłuchaj tego. - W skrócie wyjaśniła, o czym Beau pisze na początku. - Beau brał udział w nalocie i stracił dwa silniki. Musiał lądować w bazie RAF-u. Ale posłuchaj teraz: *Powiedzieli mi, że się odwróciło od tej starej maszyny i zostanie rozebrana na części do B-17. Poszedłem ja obejrzeć. Stało przy niej paru pilotów myśliwców. Jeden z nich podszedł do mnie i zaczął mi rozmawiać. Okazało się, że ci zna.* - Mary Lynn przerwała czytanie, by zakomunikować Eden zaskakującą wiadomość. - To był Colin Fletcher! Wyobraź sobie? Beau pisze, że zjedź razem w teczkę obiady. Przynajmniej on nie będzie sam w Boże Narodzenie. - Westchnęła podekscytowana. - Ale Marty się zdziwi, kiedy jej napiszesz o Celinie!

Eden mruknęła potakując, ale wyglądała na zamyloną i zmartwioną. Mokry kaptur zsunął jej się z głowy, wilgotne kosmyki ciemnorudych włosów skrzyły się na skroniach. W ciemnych oczach kryło się zakłopotanie.

- Co się stało, Eden? - zapytała Mary Lynn, pomimo iż nigdy wcześniej jej nie zwierzała.

- W końcu dostałyśmy przeniesienie. - Westchnęła ciężko. - Koniec z tymi okropnymi samolotami i paskudn

pogod . Czekałam na to od miesi cy, a teraz nie chc jecha . - Eden wstała gwałtownie, zniecierpliwiona i troch zła. - Nie chc zostawia Bubby. - Zwiesiła na moment głow , a potem dumnie spojrzała na Mary Lynn. - Szaleję za tym człowiekiem.

Zawini ta szczelnie w płaszcz, z kapturem na głowie, ociekaj c deszczem padaj cym z ci kich chmur. Eden przeskakiwała liczne kału e, które utworzyły si dookoła. Biegła z opuszczon głow i skulonymi z zimna ramionami. Masywne drzwi hangaru były zamkni te ze wzgl du na pogod , wi c Eden podbiegła do małych bocznych drzwi, chc c szybko uciec przed deszczem.

Zatrzymała si w rodku, zdj ła z głowy kaptur i rozejrzała si po ogromnym wn trzu. Tysi ce kropli wody b bniło po blaszanym dachu hangaru. Wszystkie d wi ki odbijały si echem w pustym pomieszczeniu - brz k metalowych narz dzi, swobodne m skie rozmowy i odgłos kroków na twardym podłó u. Ci kie wilgotne powietrze przes czone było zapachem benzyny, oleju i smaru z rozmontowanych samolotów.

Wreszcie dostrzegła wysok szczupł posta Bubby w lu nym kombinezonie, stoj cego przy stole pod cian . Podeszła do niego szybko. Schowany pod płaszczem pakunek, szele cił przy ka dym ruchu.

Skupiony na zaworze, który trzymał w r ku, Bubba nie usłyszał, jak podeszła. W ostatniej chwili dobiegł go odgłos kroków i odwrócił si . Widz c j , natychmiast si rozpromienił.

- Cze - powitał j z czuło ci w głosie.

- Cze . - Z rado ci serce jej zakołatało i przez chwil przygl dała mu si . - Przyszło moje przeniesienie.

Łagodny wyraz twarzy znikn ł, a brudne od smaru r ce manipulowały przy zaworze.

- Jedziesz? - Starał si , eby jego głos zabrzmiał swobodnie, jednak w gł bi czuł ból.

- Chciałam tego - przypomniała mu Eden i czekała na jaki znak, e chciałby j zatrzyma .

- Uhm. - Zgodził si .

- Wysyłaj mnie do Long Beach... w Kalifornii. - Inny mechanik zatrzymał si przy stole, by wzi jakie narz dzia, i Eden czekała, a odejdzie. - Czy nie ma powodu, dla którego mógłby poprosi o przeniesienie?

Bubba westchn ł, daj c do zrozumienia, e to niemo liwe.

- Mój dowódca postawił spraw jasno, e nie zgodzi si na co takiego. Jestem potrzebny tutaj. Poza tym powiedziano mi, e je li wyjad z bazy, to na Pacyfik. Tam wła nie najcz ciejsz u ywaj tych bombowców.

- Tylko nie Pacyfik. - Eden poczuła ciarki na plecach na my ł o tym miejscu. - Japo czycy mnie przera aj . - Wyj ła spod płaszcza paczk i podała Bubbie. Chciała mu przypomnie , e s w yciu rzeczy, których wojna nie zmieni.

- To prezent gwiazdkowy. Nie wiedziałam, kiedy b d miała okazj , eby ci to da przed wyjazdem.

Bubba odruchowo wytarł r ce, zanim wzi ł zawini t w bibuł paczk , rozgl daj c si , czy kto nie patrzy.

- Co to jest? - zapytał z niewyra nym, chłopci cym u miechem. Próbował dopasowa si do nastroju Eden, ale nie udało mu si .

- Jedwabna pi ama... od Saksa. - Eden odgadła rozmiar i poprosiła Hama, eby wybrał j dla niej w Nowym Jorku i przysłał. Wszystko to wymagało pewnego czasu, wysiłku i wydatków. Oczy błyszczały jej niecierpliwie, czekała na jego zaskoczenie i rado .

Uniósł brwi zdziwiony. Zawsze kiedy znajdował si w niezr cznej sytuacji, Bubba przybierał postaw chłopca ze wsi i zaczynał przeci ga słowa.

- Nie nosiłem piamy, odkąd byłem dzieckiem - zaartował. - Co według ciebie mam z tym robić?
- Byłeś tak zawstydzony, że nie masz nic na sobie, kiedy Ida Mae przyniosła niadanie. Pomyślałam, że powinieneś mi coś włożyć, kiedy następnym razem słusca przyniesie ci niadanie do łóżka - swobodnie odparła Eden, z przyjemnością wspominając tamten weekend.

Spojrzał na nią smutno i powaźnie.

- W moim domu nie ma żadnych słusych. Eden - zauważył z dumą.

- Ale w moim ś... - Zamięła się, nie zauważywszy podtekstu.

Tego dnia, kiedy wyjeżdżały z Camp Davis, Eden załatwiła jeepa i kierowcę, żeby zawiózł ją i Mary Lynn na stację kolejową. Gdy szeregowiec zabrał je z baraku pielgniarek, kazała mu zatrzymać się przy pasie. Niczego mu nie wyjaśniała, a Mary Lynn nie musiała wyjaśnić. Rozumiała pragnienie Eden zobaczenia Bubby ostatni raz.

Jeep podjechał do hangaru, a Bubba zauważył je i wyszedł im na spotkanie. Czapa miał założoną daszką do tyłu i uśmiechnął się szeroko na widok Eden. Wycierając ręce ze smaru, zsalutował im niedbale.

- Co mogła dla was zrobić? - zapytał, widząc siedzącego za kierownicą szeregowca.

- Przyjechałyśmy po egzamin przed wyjazdem - odpowiedziała Eden, tęskniąc uśmiechem.

- Chłopcom będzie was brakowało; To miejsce już nie będzie takie samo, jak wyjedziecie - powiedział Bubba.

- Będziemy za wami tęsknić.

Przygnębienie z powodu rozstania wisiało między nimi, a uśmiechy zniknęły z ust. Patrzyli na siebie z nietajnym podaniem, usiłując zapamiętać każdy szczegół. Mary Lynn cierpiała razem z nimi, rozumiejąc konflikt pomiędzy miłością i obowiązkiem.

W końcu Bubba przerwał to.

- Chyba już powinnyście jechać, bo pociąg wam ucieknie. - Odszedł od jeepa i stanął z boku. - Spokojnego lotu.

- Uwaga na siebie, sieranie - powiedziała Mary Lynn, widząc, że Eden ma zbyt ciężki gardło, żeby się odezwać.

Chciała zsalutować, ale wyszło to mało nie, co tylko Mary Lynn zauważyła. Poza łzami w oczach Eden była zupełnie opanowana. Kazała żołnierzowi ruszać i w tej chwili ktoś z hangaru zawołał Bubbę. Ostatnim rzutem oka zobaczyła, jak odchodzi tym swoim długim krokiem. Będzie znów razem, Eden nie miała co do tego wątpliwości, lecz i tak cierpiała z powodu tego rozstania.

Pociągi były bardziej zatłoczone niż zwykle z uwagi na wieść o Bożym Narodzeniu. Wszystkie wagony pełne były żołnierzy i innych pasażerów. Pomimo przygnębiających wiadomości z Włoch i Pacyfiku, w pociągach przeważała nastrój wiary. Eden i Mary Lynn przyłączyły się do śpiewania kolęd w jednym z wagonów. Zbliżyły się ostatnio do siebie, dzieląc tęsknotę za swoimi mężczyznami.

Pociąg zwolnił, gdy przejeżdżał przez niewielkie miasteczko i Eden wyjrzała przez okno. Na skrzyżowaniu stał ólty kabriolet, oświetlony latarnią, więc szturchnęła Mary Lynn.

- Mylisz, że to mój samochód? - Minął go, zanim zdążyła się upewnić. - Wyglądał jak mój, prawda? Szofer jest w drodze do Kalifornii.

- Czy coś by się stało, gdybyśmy go zostawiły gdzieś po drodze? - zapytała Mary Lynn.

- Jeszcze parę takich wycieczek po kraju i zanim się skończy wojna, będzie potrzebowała nowego samochodu - zaartowała Eden, lecz zaraz spowaśniała.

- Jak zaczniemy transportować samoloty, to przemierzemy wiecej kraju niż twój samochód. - Mary Lynn wypija swojego drinka, niewinnych mieszanek wody sodowej, soku cytrynowego i cukru.

- To prawda - przyznała Eden.

Przybywszy do Kalifornii zameldowały się w Dowództwie Transportu Powietrznego Szóstej Grupy Transportowej w Long Beach. Nowe rozkazy już na nie czekały, miały jechać do Palm Springs do szkoły, gdzie nauczą się latać myśliwcami wojskowymi.

Pierwsze trzy tygodnie spędziły z tyłu kabiny AT-6 Texan, samolotu, którym tak często latały w Sweetwater. Tylna część kokpitu Texana umożliwiała symulowanie warunków w P-47 Thunderbolt. Trening był intensywny, lecz nie mógł być inny. W Thunderbolcie nie było miejsca dla drugiego pilota, więc pierwszy lot myśliwcem był dla niej samodzielny.

Kokpit P-47 pasował do wymiarów Mary Lynn, gdy mierzył mniej więcej metr na metr. W tak małym pomieszczeniu upchnięto całą masę dźwigni, wskaźników, sprzętu nawigacyjnego i komunikacyjnego, nie zostawiając wiele miejsca dla pilota. Lecz Mary Lynn nie zajmowała wiele miejsca.

Sprawdziła wszystko, zapisała ciasno pasy, a serce czuła w gardle. Przed uruchomieniem silników trzeba było ustawić we właściwej pozycji trzynastę guzików i przełączników, które sprawdziła po kolei. Z przyciśnięciem tym drążkiem i zabezpieczonymi hamulcami włączyła silnik.

Z głębi maszyny dobieł się potężny ryk, a migotło drgnęło i powoli wirujące, nabrało prędkości. Tak jak jej puls. Ryk stał się głębszy, w miarę jak silnik nabierał mocy i wprowadził samolot w drżenie. Instruktor dał jej znak, więc zaczęła w pierwszym locie ogromnym samolotem. Skontrolowała jeszcze raz zegary - temperatura i ciśnienie w porządku - i zwolniła pedał, ruszając powoli do kołowania i czując ze strachu ciskanie w ołdoku.

Na komcie pasa stanowego sięgnęła nad głowę i chwyciła dźwignię od pokrywy. Naciśnięta ją i pocięgnęła do przodu, zamykając kabinę.

- Okay, wojskowy trzysta czterdzieści siedem - odezwał się w słuchawkach głos operatora z wieży. - Ustaw się do startu, kiedy będziesz gotowa.

- Przyjmam. - Mary Lynn nacisnęła guzik pod brodem, uruchamiając mikrofon, by potwierdzić wiadomość. Była gotowa, ale przez wysoki nos Thunderbolta nie widziała końca pasa.

Pomimo obaw była zdecydowana wystartować. Powoli popchnęła gałkę gazu do przodu, a potężny silnik zagrzmiął. Zdjęła nogę z pedału hamulca i dalej pchała gaz. Thunderbolt niemal wyskoczył z pasa startowego, ogromne przyśpieszenie wcisnęło Mary Lynn w siedzenie, a niesamowity ryk wypełnił kabinę. Trzymała drążek wysunięty do przodu, by opierać się na nim i podnieść tylne koło. Dodając więcej gazu, starała się utrzymać samolot na wysokości pasa.

Patrząc na prędkościomierz, odruchowo wstrzymała oddech. Wskazówka minęła 120, potem 135 i szła dalej. Przy 180 kilometrach na godzinę Mary Lynn łagodnie pocięgnęła drążek. Ziemia została w dole, a maszyna wzbijała się w niebo, nie dojeżdżając nawet do połowy pasa startowego.

Wcięgnięwszy koła, skierowała maszynę do góry i pomknęła w niebo jak stęskniony anioł. Palm Springs zostało za nią, a błękit morza odbijał się w bezkresnym niebie. Wykonywała liczne manewry, ekscytując się mocą samolotu i łatwością manewrowania. Szkoda jej było wracać do bazy. Tego wieczora listy do Beau i Marty opisywały głównie niezwykle przebieżycia z pierwszego samodzielnego lotu. Tak się złożyło, że dwoje najbliższych

jej ludzi pilotowało bombowce B-17, nazywane Du y Przyjaciel, a ona latała P-47 Thunderbolt, przez niektórych nazywanym Małym Przyjacielem.

Po miesięcznym treningu Eden i Mary Lynn dołączyły do Szóstej Grupy Transportowej w Long Beach i zaczęły latać po całym kraju.

23

Turkusowe wody otaczały ją cuch wysepek, cięgnących się wzdłuż południowego wybrzeża Florydy, jak kamienne schodki prowadzące do Zatoki Meksykańskiej. Szyba z pleksiglasu stanowiła jedyną barierę, która oddzielała Marty Rogers od niebieskiej wody i oświetlonych słonecznym refleksami raf. Czyste, bezkresne letnie niebo ciągnęło się aż po horyzont. Wojskowy B-17, pomalowany na oliwkowo, mknął w kierunku lotniska w bazie wojskowej Buckingham niedaleko Fort Myers, po zakończonym zadaniu.

W szklanym dziobie Latającej Fortecy, po wcześniejszym napięciu, spowodowanym koncentracją, aby wykonać zadanie precyzyjnie, Marty pozwoliła sobie na trochę odprężenia, dzięki rozciągającym się widokom. Drugi pilot przejął kontrolę nad lotem, a ona korzystała z przerwy. Start do lotniska trasa była łatwa.

- Trudno uwierzyć, że miesiąc temu byłam zapięta pod szyję w kombinezon z podpinkami, skórzany kurtki i ocieplane wełniane buty, by nie zmarznął osiem tysięcy metrów nad zimnym Ohio. - Oparła brodę na dłoni, a głos jej grzmiał z głębi piersi, gdy rzuciła okiem na umundurowanego oficera, siedzącego obok niej w ciasnej kabinie.

Ukończenie szkolenia na czterosilnikowych maszynach w wojskowej bazie powietrznej w Lockbourne, oznaczało koniec wyczerpujących siłowych ćwiczeń. Marty z przyjemnością porzuciła ćwiczenia nadgarstka i wzięła gazetę po to, by ją przeczytać, a nie gniewać w rękach w kabinie.

- Rozumiem, co masz na myśli - przyznał ciemnowłosy porucznik. Był jednym z wielu pilotów chwilowo stacjonujących w Buckingham, i oczekujących na przydział poza krajem lub dodatkowy trening na ciężkich bombowcach. Scott Daniels był pilotem bombowca, ale tego dnia polecał, by obserwować trasę i procedury.

Marty odpowiadało, że piloci wcieliby się przyjeżdżali i odjeżdżali, ponieważ nie interesowało ich zawarcie stałego związku. Poza tym tak było rozstrzygnięciem w przypadku pilotów biorących udział w walkach. Lotnicy częściej ginęli niż inni żołnierze. Dobrze się bawiła z wieloma z nich, lecz na zbliżenie pozwalała tylko niewielu wybranym.

Kiedyś obserwowała porucznika Scotta Danielsa, który zwrócił na siebie jej uwagę jasną skórą i błyszczącymi brązowymi włosami. Wiele razy patrzył na nią uwodzicielskim, pytającym spojrzeniem, dając do zrozumienia, że jest nią zainteresowany. Marty nie przejmowała się zbyt obróbką jego palca, tym bardziej że on tego nie robił. Odwrócił się, zobaczył, że mu się przygląda, i uśmiechnął się ze zrozumieniem. Po chwili przesunął wzrok za nią, daleko na niebieskie morze w dole.

- Patrz. - Pochylił się i wskazał małą, białą plamkę na błękitnej wodzie. - Czy to nie łódź? Jak myślisz, co to jest? Może kuter rybacki?

- Być może. - Marty obserwowała kołyszący się punkt, tak mały jak z tej wysokości.

Jednak jej zmysły odbierały inne wiadomości - on lekko dotykał jej ciała, ciepły oddech poruszał jej krótkie, kręcone włosy, a jego gładko ogolone policzki miały ostry zapach kosmetyków. Odwróciła lekko głowę i poczuła trochę przyspieszony puls, widząc jego usta tak blisko swoich.

- Załatwiłem sobie przepustkę na weekend - szepnął. - Kolega pożycz mi swój samochód. Pomyślałem, że może pojedź do Miami. Chciałabyś pojechać ze mną?

- Pewnie - zgodziła się Marty zachrypniętym głosem. - Czemu nie?

- Czemu nie - powtórzył porucznik i pocałował ją. Pocałunek sprawił obojgu przyjemność, był zachęcający i obiecywał więcej. Marty odpowiedziała po prostu na zwykłe pytanie. Wielka namieszana wymagała pewnych zobowiązań, a ona starała się tego unikać. Wołała coś swobodniejszego i mniej zobowiązującego.

Powoli odsunęli się od siebie. Marty oddychała nierówno i nieco szybciej. Patrzyła na niego, przesuwając się trochę na bok tak, żeby znalazła się prawie pod nim.

- Powiedz mi, poruczniku - wymruczała z figlarnym nutem w głosie - czy już kiedyś kochałeś się w samolocie?

Błysk pojawił się w jego brzozywych oczach.

- Należysz do słynnego Mile-High Club, o którym słyszałem? - Zamiął się szyderczo, robiąc aluzję do pewnych kobiet, które uprawiały miłość na wysokości ponad 1600 metrów.

- Jeszcze nie - odparła Marty, zamiatając się i przyciągnęła go do siebie.

Miami Beach, pełne palm i niekończących się plaż, mrowiło się od turystów, ludzi z kieszeniami pełnymi dolarów dzięki wysoko płatnym zajęciom związanym z przemysłem wojennym, umundurowanych poborowych i innych, które koniecznie chciały być blisko swoich mężów wojskowych. Na plażach mieszały się więc cyfusztr kadeci, pracownicy fabryk, którzy cieszyli się słońcem podczas urlopu, i strażnicy przybrzeżni patrolujący plażę na koniach.

Prawie wszystkie hotele zajęte wojsko, tworząc w nich ośrodki rehabilitacyjne i wypoczynkowe dla ofiar wojny. Wśród nich dominowali piloci Air Force powracający z frontów okaleczeni, z rozstrojonymi nerwami. Wszędzie były oznaki wojny, wkradały się do idyllicznego wiatu piasku, fal i słońca, rzucając rosnące na raj. Ciężki ten ciał się w zakamarkach, ludzie mogli się do niego odwracać plecami, lecz nie mogli się go całkowicie pozbyć.

Jasny sierp księżyca rozjaśniał plażę, po której Marty spacerowała z porucznikiem Scottem Danielsem. Słona bryza miała ostry, orzeźwiający i rześki zapach. Niewielkie fale toczyły się leniwie na brzeg.

- Słyszałam, że parę mil od brzegu zostało storpedowanych kilka statków - napomknęła.

Krótkie ciemnomiodowe włosy przykrywała czapka w kształcie łódki, a srebrne skrzydełka lśniły w blasku księżyca na bluzce. Miała na sobie brzozywe spodnie od munduru i niepasujące, ale wygodne buty. Nie potrzebowała marynarki, gdy noc była ciepła.

- Tak, te o tym słyszałem - powiedział Scott i przyłożył do ust butelkę z piwem. Niewiele w niej zostało, więc zmarszczył brwi. Hotele wyglądały jak wysokie, nieregularne ciemne pudła, stojące przy plaży. - Chcesz jeszcze jedno piwo? - zapytał. - Gdzie tu musi być bar.

Marty wzruszyła ramionami obojgnie.

- Pewnie.

Ruszyli w kierunku najbliższego zaciemnionego budynku. W miejscu gdzie taras hotelu wchodził na plażę, Marty zatrzymała się. Choć raz nie miała nastroju na hałaśliwe, zadymione wnętrza baru.

- Zaczekam tutaj.

- Zaraz wrócę - odparł pilot.

Kiedy zniknął w drzwiach, Marty powdrowała do jednego z krzeseł, stojących w cieniu liści palmowych. Potknęła się o stopy wysunięte na chodnik i omal nie upadła.

- Przepraszam - powiedziała do nieznajomego, którego posta ledwie była widoczna w głbokim cieniu. - Nie widziałam, e kto tu siedzi.

- Hotele znów dostały rozkaz zaciemnienia. - Posta podniosła się i na chwilę oświetlił ją blask księżyca. Oficerska czapka zsunięta była na bok, daszek zasłaniał jedno oko i część twarzy, z wyjątkiem uśmiechu, jakby na stałe przyklejonego do twarzy, pełnej twardej, okrutnej goryczy.

- Zauważyłam, e większość samochodów ma zasłonięte górne części reflektorów - pociągnęła rozmowę Marty, chcąc przyjrze się im czy nie i czujcie jednocześnie nie dreszcz na karku. - I czarne zasłony w oknach.

- Ale tylko od strony oceanu - zauważył z szorstką ironią, na wypadek gdyby nie zauważyła, jak ograniczone środki ostro no ci.

Było w tym człowieku coś, czego Marty instynktownie nie lubiła. Nie potrafiła tego określić, ale wyraźnie to czuła. Pomimo iż nie widziała go dokładnie, była pewna, e na nią patrzyła. Usiadła obok niego, ale nie miała zamiaru wstać i odejść.

- Co to za skrzydełka, które pani ma? - Podniósł rękę i gestem wskazał specjalnie zaprojektowane skrzydełka na kołnierzyku jej koszuli, a kostki lodu zadźwięczały w szklance, którą trzymał. Dobiegł jej silny zapach rumu. - Dał je pani latajcy kochanek?

- Nie. Sama je zdobyłam - stwierdziła Marty sucho, lecz zdecydowanie.

Wyprostował się zaintrygowany, a ona dostrzegła w świetle księżyca kapitańskie belki na pagonach.

- Co takiego. - Z pogardliwym szyderstwem zadrwił z jej oszczędności. - A czym e pani lata? Cubami?

- B-17, Latajcie Fortec - odparowała. Zapadła długa cisza, przerywana tylko stukaniem lodu w szklance, gdy wychylił jej zawartość.

- Zdziwiony? - Marty nie mogła sobie darować, eby nie zadrwił z niego.

- Wojsko chyba nie patrzy, kto siada za sterami samolotów - stwierdził obojętnie.

Głową trzymał nisko opuszczoną. Księżyc oświetlał część jego twarzy, odsłaniając kiedy przystojne rysy, teraz zniszczone i pokryte zmarszczkami. On też miał przy mundurze srebrne skrzydła. W armii było niewielu pilotów powyżej trzydziestki, a ten kapitan wyglądał na wiecej. Pomimo leniwej postawy wydawał się kłębkiem niespokojnej energii.

- Czym pan lata? - zapytała Marty.

- Niczym. Już nie latam. - W szyderczym, ironicznym tonie brzmiało coś zbliżonego do nienawiści. - Widzi pani, wykiwałem wojsko. Przeżyłem pięćdziesiąt misji. Kiedy przedturlili je o dziesięć, te przeżyłem. Starali się, ale nie mogli się mnie pozbyć. Teraz muszę wymyślić, co ze mną zrobi.

- Stracił pan nerwy, kapitanie? - zapytała Marty.

- Może. Nie wiem. - Zamilkł i popatrzył w stronę oceanu.

- Czym pan latał?

- Te wielkie maszyny. B-17 Latajcie Fortec - stwierdził z kłębkiem ironii. - Wysyłali całe ich masy na cele państw Osi po to, by sprawdzić, ile wróci. W kółko tam lataliśmy.

- Gdzie pan stacjonował? W Anglii? - Mary Lynn tam był... i Colin. Los rzucił ich w jedno miejsce - los i wojna. Czy nie byłoby dziwne, gdyby...

- Na początku w Afryce Północnej, potem w Anglii.

- Nie zna pan przypadkiem pilota B-17, Beau Palmera... - zaczęła.

- Nie. Wszyscy, których znałem nie - przerwał jej ponuro. - I postanowiłem nie poznawać nikogo nowego. Lepiej nie znać nazwiska pilota lecącego na twoim skrzydle.

Marty zrobiło się nieprzyjemnie na te gorzkie uwagi.

- Pewnie nikt nie zna twojego nazwiska. Jeśli pan zginie, nikt nie będzie za panem tęsknił.

- Właśnie nie tak - zgodził się, nie wzruszony zamiarem zranienia go. - Nadchodzi pani przyjaciel. Na pewno się sknił za pani wesołym towarzystwem.

- Jestem pewna, że nie ma pan nic przeciwko temu, że zostawię pana w swoim towarzystwie. Najwyraźniej bardzo panu to odpowiada. - Wstała z krzesła i podeszła do porucznika Danielsa, wychodzącego z hotelu z dwoma butelkami piwa w rękę.

- Kto jest? - zapytał, zauważwszy człowieka siedzącego w cieniu.

- Jaki pilot - powiedziała z pogard - który stracił nerwy.

- Słyszałem o pilocie-bombowcu, który wrócił z Anglii i nie mógł wytrzymać odgłosu samochodów przejeżdżających autostradami. - Porucznik podał jej butelkę piwa. - Dzięki ten przypominał mi niemiecką artylerię przeciwlotniczą.

Zmęczona, ze zszarpanymi nerwami, Cappy Hayward wlokła się po schodach do baraku pielęgniarek. Leciała cztery godziny nad zachmurzonymi górami, kierując się wyłącznie instrumentami. Nie widziała ziemi, dopóki nie przebiła się przez gęsty mrok, wchodząc w przestrzeń powietrzną Bolling Field. Co gorsza, miała na pokładzie nerwowego pasażera, który cięgle podważał jej umiejętności odnalezienia lotniska.

Zgrzytanie zębami i wymuszone uśmiechy na jego obraźliwe uwagi, spowodowało napięcie między ramionami i karkiem. Ani razu nie powiedziała nic niestosownego, chociaż kusił ją, żeby oznajmić temu wielokrotnie odznaczonemu pułkownikowi, co sobie może zrobić z samolotem.

Wszedłszy do baraku, Cappy została zatrzymana przez jedną z pielęgniarek.

- Hayward. - Zaczekała, aż Cappy odwróci się do niej. - Kto czeka w twoim pokoju. Powiedziała, że cię zna. Razem trenowały gdzieś czy coś takiego. Pomyślałam, że może tam na ciebie poczekać.

- Dzięki. - Zdziwiona i ciekawa, czy to może Eden wpadła po drodze z jakim przydziałem, Cappy otrząsnęła się trochę ze zmęczenia i ruszyła szybciej do pokoju.

Kiedy otworzyła drzwi, ujrzała długonogą dziewczynę w mundurze, z czupryną niedbale zmierzwionych, jasnych loków. To zabawne, ale Marty Rogers była ostatnią z ich grupy, którą spodziewała się zobaczyć. Marty siedziała na pryczy z wycigniętymi nogami, opierając się o poduszkę, którą Cappy położyła przy cianie, by stworzyć bardziej domowy nastrój. Z papierosa, który trzymała w palcach, unosił się dym.

- Zaskoczona? - zapytała Marty z szeroko otwartymi oczami Cappy.

Oznaki sympatii nie były potrzebne. Cappy weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi, zdjęła kurtkę.

- Tak - przyznała, rzucając kurtkę i biorąc swój paczek papierosów. - Co ci tu sprowadza? Myślałam, że wygrzewasz się w słońcu Florydy i latasz Fortec nad błękitną wodą Zatoki.

- Tak było.

Celowo użyła czasu przeszłego. Cappy uchwyciła zmianę w tonie, z naciskiem na czasownik.

- Było? - powtórzyła, chcąc wyciągnąć więcej informacji.

- Nie le mi się oberwało - odparła Marty z pogardliwym prychnięciem. - Usunij mnie z ciękich bombowców.

Chociaż miałam te szczycie. - Wzruszyła ramionami. - O mało nie wyrzucili mnie całkiem.

- Za co?

- Jeden pilot, z którym się spotykałam, przypadkiem był onaty. - Zdziała nogi z łóżka i usiadła opierając się o brzeg.

- Jak się dowiedzieli?

- Scott był głupi. Napisał do ony list z prośbą o rozwód. - Skrzywiła się. - A ona, oczywiście, wysłała zaraz do dowódcy notatkę o tej suce, która ukradła jej męską.

- To kiepsko. - Cappy trochę jej współczuła. - Wiadco teraz?

- Zostałam zdegradowana do dywizji transportowej. Jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Wysłali roni do Long Beach, wiadco pewnie spotkam się z Mary Lynn i Eden. Będzie prawie tak jak za dawnych czasów.

- Pozdrów je ode mnie, dobrze? - powiedziała Cappy, sięgając po popielniczkę, w której leżał pet ze śladami szminki Marty.

- Nie przyjechałam tylko na pogaduszki - stwierdziła Marty i popatrzyła w oczy Cappy. - Potrzebuję przysługi. Zawsze wszystko wiedziała. Pomyślałam, że możesz mi pomóc.

- W czym?

- Znasz wiele osób w mieście. Może dasz mi nazwisko kogoś, kto może załatwić aborcję. Jestem w ciąży.

Gdy pierwszy szok ustąpił, Cappy westchnęła zakłopotana i zmarszczyła brwi.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

- Chcę lata. Zawsze tego pragnęłam - odparła Marty nieugięcie. - Co ja zrobię z dzieckiem? Kurczak, jego ojciec jest już onaty. A nawet gdyby był wolny, nie chciałabym za niego wyjść. Wiadco mam robić? Jak się dowiedz, że jestem w ciąży, wylej mnie.

W szarzielonych oczach widać było zdecydowanie i ani cienia w tępłowości. Cappy jednak zawahała się, gdy nie podobało jej się to, a jednocześnie nie chciała być lojalna w stosunku do byłej współlokatorki.

- Jak szybko? Ile masz czasu do zameldowania się w Kalifornii? - zapytała w końcu.

- Licząc podróż, trzy dni.

Cappy wciągnęła powietrze, zatrzymała na chwilę i powoli wypuściła.

- To niewiele. - Spojrzała jeszcze raz na Marty. - Jesteś pewna?

- Jestem pewna.

- Dobrze - zgodziła się Cappy. - Na końcu korytarza jest wolny pokój. Załatwię, żeby mogła tu zostać, i zobacz, co da się zrobić. - Przerwała. - W Waszyngtonie wszystko jest dostępne, legalnie lub nie, moralnie i niemoralnie.

Wychowanie w wojsku dostarczało również plotek. Cappy dobrze się nauczyła, jak składa je w całość. Kto zasugerował to, inny szepnął tamto, ten podejrzewał jedno, tamten usłyszał co innego. Te rzeczy, o których się nie mówiło, i te znane, stanowiły części informacji o tym, co się działo.

Polegając na zaufaniu dwóch dyskretnych wojskowych pielęgniarek i paru maszynistek, Cappy zdobyła nazwisko i adres szanowanej lekarki - choć była temu przeciwna. Marty sama skontaktowała się z tą osobą.

Kiedy nadszedł czas umówionej wizyty, Cappy nie mogła pozwolić jej samej. Czy jej się to podobało, czy

nie, została w to wci gni ta i musiała dopilnowa sprawy do ko ca. Marty nie sprzeciwiała si - z Cappy czy bez niej musiała przez to przej .

Spodziejaj c si najgorszego, Cappy była zaskoczona, kiedy adres nie zaprowadził ich do slumsów, zajmuj cych prawie połow miasta, gdzie mieszkali głównie Murzyni. Mówiono, e tam w ród domów, gdzie w jednym pokoju mieszkało po kilka rodzin, po ulicach kr ciły si gangi siedmio-, o miolatków uzbrojonych w no e, a ledwie zaczynaj ce dojrzewa dziewczynki były prostytutkami na rogach ulic.

Trafiły do starej dzielnicy miasta, na tyłach dwupi trowego budynku, w którym na dole znajdowała si apteka. W ciasnej, stromej klatce schodowej farba i tynk odpadały od cian. Marty zatrzymała si i spojrzała w gór schodów.

- To cholernie melodramatyczne - mrukn ła sucho i szybko ruszyła po schodach. Cappy poszła za ni , zaciskaj c usta.

Na drzwiach z matow szyb , po prawej stronie na drugim pi trze, widniał tylko numer. Marty wzi ła za klamk i otworzyła. W powietrzu unosił si zapach rodka odka aj cego. W małej poczekalni nie było adnych sprz tów z wyj tkiem popielniczki stoj cej przy drzwiach.

Z s siedniego pokoju dobiegło ich ciche szuranie. Drzwi otworzyły si i stan ł w nich Murzyn w białej marynarce. Wygl dał bardzo schludnie - równo przystrzy one siwe włosy i okulary w drucianej oprawce nadawały mu inteligentny wygl d. Cappy zwróciła uwag , e jego buty skrzypiały, kiedy szedł.

- Czym mog słu y ? - zapytał.

- Jestem panna Smith. - Marty zrobiła krok do przodu.

- Oczywi cie. - Nazwisko nie miało znaczenia dla nikogo. Usun ł si z przej cia. - Zechce pani wej ?

- Chciałabym wej z ni - powiedziała Cappy, staj c obok Marty.

Ciemnoskóry d entelmen zawahał si , potem uprzejmie skin ł głow na zgod .

- To nie jest konieczne, ale mo e pani si przygl da , je li pani sobie tego yczy. - Jego intonacja wiadczyła o wykształceniu, chocia pozostały lady południowego akcentu.

Nast pny pokój był wi ksy. Z pocz tku wydawało si , e to magazyn rodków farmaceutycznych. Jednak za półkami stał długi stół, a nad nim wisiała jasno wiec ca lampa. W powietrzu unosił si intensywny zapach lekarstw. Przy stole stała Murzynka w długim białym kitlu, w takim wieku, e mogła by siostr lub on m czynny, który je wprowadził.

Skromno i godno nie były tu potrzebne. Marty jak zwykle zachowywała si swobodnie, rozbieraj c si i wchodz c na stół bez skr powania. Cappy nie wiedziała, co ona czuje - wyrzuty sumienia, strach, samotno - i nie chciała wiedzie .

Cappy stała przy stole i trzymała Marty za r k , raczej dla własnego lepszego samopoczucia, gdy Marty nie wygl dała na zmartwion . Cały czas patrzyła na twarz Marty, nie chciała wiedzie , co te ciemne r ce robi mi dzy nogami dziewczyny.

Minuty mijały powoli. Słyszała przyciszone głosy i poczuła gor co. Kiedy kobieta w kitlu odeszła od stołu. Cappy spojrzała na ni . Jej wzrok padł na zakrwawiony płód w naczyniu, nie przypominaj cy nic ludzkiego. Była wstrz ni ta tym widokiem, lecz starała si tego nie okaza .

Całe to do wiadczenie wydawało si dziwne jak sen, co , co naprawd si nie działo. Kiedy Marty obudziła si , bardziej osłabiona narkoz ni zabiegiem, Cappy pomogła jej wyj z pokoju i zej po stromych schodach na

ulic .

Wróciwszy do kwater piel gniarek, Marty położyła się, by odpocząć i odespać pozostałe w jej organizmie znieczulenie. Pozbywszy się niechcianego cięcia, niemal odzyskała swój zwykły pewny siebie.

- Nie pochwalasz tego wszystkiego, prawda, Cappy? - zapytała, siedząc na łóżku. - Niczego nie mów. Po co masz tu siedzieć ?

Cappy wyszła bez słowa i poszła do swojego pokoju dziennego dla piel gniarek. Nie powinna była na to pozwolić, ale stało się. Kto był winien. Marty. Ten oficer, który zrobił jej dziecko. Wojsko z jego cholernym, dyskryminującym systemem. Małe nie narodzone dzieci. Cappy przycisnęła rękę do oczu.

Pomimo odseparowania od otoczenia, Cappy wiedziała, że wokół siebie ludzie rozmawiają, chodzą. Kto podszedł, naruszył tę niewidoczną osłonę wokół niej. Kiedy opuszczała rękę, dotknął jej ramienia. Obejrzała się z niechęcią, chciała być sama i nie życzyła sobie towarzystwa.

Mitch podciągnął nogawki, usiadł na krześle obok i pochylił się ku niej. Patrzył na nią ciepło i badawczo.

- Cześć. Wszystko w porządku?

Co zbliżonego do gniewu i zniecierpliwienia zabłysło w niebieskich oczach. Wstała szybko, żeby nie zobaczyć jej przyjrzenia.

- Nic mi nie jest - powiedziała stanowczo.

Mitch wstał powoli, przyglądając się jej z zainteresowaniem i zauważając niespokojne gesty, kiedy odwróciła się do niego. Nie zamierzała się z nim dzielić swoimi uczuciami i sprawami.

- Czego chcesz? Co tu robisz? - rzuciła wyzywająco.

Ale Mitch nie zareagował. Nauczył się już, że nie tak należy z nią postępować.

- Zapomniała? Mieliśmy zjeść razem kolację.

Cappy spuściła oczy.

- Przepraszam. Rzeczywiście, zapomniałam. - Ale w jej głosie zabrzmiało więcej zniecierpliwienia niż żalu.

To go zabolowało.

- Dzięki - powiedział ironicznie. Trudno czasami było je zrozumieć, ale to nie było do niej podobne. - Co się stało, Cap? - Nie dał jej czasu na odpowiedź i ciągnął: - Przed przyjazdem dzwoniłem, żeby upewnić się, czy wróciłaś z lotu. Powiedziano mi, że zamieniła się z kimś innym. Co się dzieje?

- Nic. Moją koleżanką, Marty Rogers, z którą mieszkaliśmy w Sweetwater, dostała parę dni urlopu i przyjechała mnie odwiedzić.

- W takim razie zabiorę was obie na kolację - zaproponował Mitch.

- Chyba nie. - Unikała jego spojrzenia. - Marty się położyła. Nie czuje się dobrze.

Mitch wyczuł, że jest blisko ródła zmartwienia Cappy. Przyglądając się jej, zastanawiał się, co przed nim ukrywa.

Kto pojawił się w polu widzenia i zwrócił jego uwagę. Jedno spojrzenie na wysokość, szczupłą kobietę idącą w ich kierunku - i nagle sobie przypomniał. Nazwisko Marty Rogers nic mu nie mówiło, dopóki nie zobaczył tej jasnowłosej dziewczyny o wyjątkowej twarzy i błyszczących szarzielonych oczach. Wadeniada czyżna nie mógłby zapomnieć tej wyjątkowości, tego temperamentu, tak szczerego i naturalnego.

- Witam. Majorze Ryan, miło pana spotkać - powiedziała Marty. - Pamięta mnie pan? Marty Rogers ze Sweetwater.

- Oczywiście. - Mitch ucisnął jej rękę i znów spojrzał na Cappy. - Myślałem, że nie czuje się pani dobrze.

Spojrzenia dwóch kobiet spotkały się na moment, a potem Marty stwierdziła bez zająknięcia:

- Cokolwiek to było, już jest poza mną. Teraz musisz coś zjeść i odzyskać siły. Może zjemy razem kolację i uczymy się okazji?

- Właśnie to zasugerowałem. - Odwrócił się do Cappy, ciekaw jej reakcji.

Zacisnęła usta z wyrazem ponurego niezadowolenia. Mitcha zaskoczyła nie ukrywana niechęć w jej oczach, gdy spojrzała na koleżankę. Kiedy Cappy zauważyła, że się jej przygląda, szybko przytuliła oboje.

- Jeśli czujesz się na siłach, to pójdziemy - powiedziała do Marty, ale coś się kryło pod tymi słowami.

- Nigdy zbytnio nie przejmuj się drobiazgami - odpowiedziała Marty. - To lepsze niż przeżycie tak jak ty, by zawsze unikać najmniejszego bólu i nigdy nie być w pełni.

Mitcha bawiło to małe wysunięcie pazurków, odrobina złości. Popatrzył na Cappy i zobaczył, że zastanawia się nad trafnością uwagi Marty.

- Parę minut zajmie mi przygotowanie się i możemy iść - powiedziała Cappy.

Idąc do swego pokoju Cappy prawie nienawidziła Marty. Co innego uznałabym za jedyne wyjście, a zupełnie co innego cieszyć się z tego. Cappy z obrzydzeniem myślała o zamiarze Marty uczczenia tej okazji. Nie mogła zrozumieć takiej bezdusznej obojętności.

Ale Cappy zbyt głośno wpadła w sidła swojego własnego nastawienia, by dostrzec, że nieczułość Marty jest tylko pozorem. Chociaż nigdy nie była tego świadoma, nie pozbyła się uczucia straty. Ogarniał ją nie tyle ból, co uczucie porażki. We własnych oczach była niezdolna by idealną kobietą, wierną, kochającą matką i szczerą gospodynią. Urodziła się bez instynktu rodzinnego.

Ale dostrzegała go u innych. Podczas kolacji widziała to między Cappy i Mitchem. On ją adorował, próbował zwrócić jej uwagę, a lepa Cappy odrzucała i lekcewżyła go.

Wieczór nie był udany. Marty czuła to, nawet gdy miała się zbyt głośno, piła zbyt dużo i zbyt często flirtowała z przystojnym majorem. W pewnym sensie robiła to, by zdenerwować Cappy, może z zazdrości. Ale Cappy po prostu siedziała cicho, zasłaniając się murem obojętności. A Mitch - Marty mu współczuła. Wydawało się, że traci kontakt z Cappy zamiast robić postępy.

- Dziękuję za wieczór, majorze - powiedziała Marty, kiedy odprowadził ją do baraku. — Mój pociąg odjeżdża jutro rano, więc nie zobaczymy się już przed wyjazdem. Poegniam się teraz i zostawię pana z Cappy, żebyście mogli sobie powiedzieć dobranoc.

Jego brzozy oczy zabłysły wdziękowo, za te parę chwil sam na sam z Cappy. Nocne powietrze było orzeźwiająco chłodne, ale Marty nie sidiła, że on to zauważył. Zbyt dobrze znała mężczyznę, by nie rozpoznać podania, kontrolowanego, choć do czasu. Major był silnym, przystojnym mężczyzną, o dużym uroku osobistym i bystrej inteligencji. Gdyby nie miała długiego wobec Cappy, może zajęłyby się nim.

- Ciesz się, że czuła się pani dobrze, żeby nam towarzyszy - powiedział Mitch uprzejmie i widząc jej spłonie, spojrzał zdziwiony na Cappy.

- Ten milczek nigdy panu nie powie, majorze, ale myślę, że powinien pan znać powód mojej wcześniejszej „niedyspozycji”. Miałam zabieg aborcji - oświadczyła Marty beztrosko. - Między kobietą a mężczyzną nie powinno być tajemnic. I nie ma potrzeby, żeby pan się zastanawiał, czy Cappy skłamała wcześniej, mówiąc, że jestem chora i jakim cudem tak nagle ozdrowiałam. - W jej głosie brzmiała nuta autoironii. To zwierzenie było rodzajem

splacenia długu wobec Cappy, usuwało wszelkie niejasności. - Dobranoc, majorze. - Spełniwszy dobry uczynek Marty zostawiła ich i weszła do budynku.

Mitch spowaśniał. Kiedy drzwi zamknęły się, wybuchnął przytłumionym tonem.

- Bo e, pozwoliła jej? - powiedział z pretensją.

- Załatwiłam to! - warknęła Cappy, przygotowana na ten atak. W jaki sposób wiedziała, jak on zareaguje. - Przyszła do mnie. Co miałam zrobić?

- Mogła odmówić - odparł Mitch sztywno.

- I pozwoli, żeby wpadła w ręce jakiegoś rzeźnika? - rzuciła prowokującą, urągającą tonem. - Jest moją przyjaciółką. Nie chciała tego dziecka. Co miałam jej radzić? Uycie drutów do dziergania czy wchanie oparów farby? - Zniecierpliwiona odwróciła się od niego. - Co masz czy nie o tym wiesz? To nie wasze życie i nie wasze ciało. Zwykle te nawet nie chcecie się przyznać do odpowiedzialności. Bierzesz stronę wojska - jeżeli dziewczyna jest w ciąży, to koniec. Wiesz, co by się stało, gdyby się dowiedzieli, że b dzie miała dziecko? Uziemiliby ją albo wyrzucili, ponieważ nie jest matką.

- Czy latanie znaczy więcej niż nie narodzone dziecko?

- Dla niektórych tak - rzuciła Cappy.

Chwytnął ją za ramiona i odwrócił twarz do siebie.

- A dla ciebie? - Wbił w nią wzrok.

- Nie. - Nie mogłaby zrobić tego co Marty, nie taka byłaby jej decyzja.

- Wiedziałem - powiedział cicho, radośnie, pełen satysfakcji.

Wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie, po chwili, a ona zareagowała z takim arliwociem.

Kiedy się odsunął, jego ciepły oddech owiewał jej twarz, a niespokojny wzrok błędził po niej.

- Kocham cię, Cap. - Głos mu drżał. - Zawsze cię kochałem. - Poglaskał drobne kędziorowate, ciemne pasma jej włosów, czując ich miękkość. - Chcę się z tobą ożenić, Cap. Chcę, żeby została moją żoną.

Słowa te chłodno przebiegły przez jej umysł i wywołały opór wobec tego, co jej zaproponował. Odepchnęła go.

- Nie - powiedziała ze spokojem, nie gardłem.

Mitch nie wierzył w jej odmowę po tym chętnym i pełnym namiętności pocałunku. Dlatego domyślał się innej przyczyny i próbował to załagodzić.

- Nie mów, żebyśmy się pobrali zaraz - szepnął, nie puszczając jej i nadal pieszcząc ją. - Wiem, co czujesz przez tę wojnę i niepewną przyszłość. Zaczekamy ze sobą, a to się skończy. A na razie chcę, żeby nosiła mój sygnet. Ja...

- Nie! - Biła go pięściami w pierś zaskakującą siłą, wyciupując ją. Cappy odepchnęła się, wydostając się ze złości z jego ramion. - Nie wyjdź za ciebie, ani teraz, ani tym bardziej później! Nie wyszłabym za ciebie, nawet gdybyś był jedynym mężczyzną na ziemi!

Mitch gapił się na nią zaskoczony, marszcząc brwi.

- Co ty mówisz? Przecież tak nie myślisz.

- Myśl - upierała się, cięko oddychając. - Nigdy za ciebie nie wyjdę, Mitch.

- Dlaczego? - zapytał ponuro.

- Jeżeli wyjdę za ciebie, to wyjdę za armię, a przecież umrą na to. - Wyrzucała z siebie słowa z bolesną złością. - Byłam dzieckiem pułku, nigdy nie miałam domu ani przyjaciół i przysięgałam sobie, że nigdy nie będę

on oficera. I nie b d ! Je li chcesz mnie... je li mnie kochasz... wyst pisz z wojska.

- Jest wojna... - zacz ł Mitch zdenerwowany.

- Po wojnie! - rzuciła gwałtownie.

Zapadła cisza i w ko cu poczuli zimowy chłód. Spojrzał na ni powa nie z zaci ni tymi ustami. Cappy znała jego odpowied w chwili wypowiedzenia ultimatum. Patrz c teraz na niego, nie potrzebowała słów, eby to potwierdził.

- Nie mo esz da od m czynny, eby porzucił karier , i oczekiw , e b dziecko razem szcz liwi.

- A ty nie mo esz wymaga od kobiety, by prowadziła ycie, którego nienawidzi - odparła zachrypni tym głosem.

- Cholera, Cappy - zakł ł Mitch, odwrócił głow , by ukry pieczenie w oczach. - Kocham ci .

- Nie tak bardzo, jak kochasz wojsko.

- Dobrze ci było w wojsku - wypalił. - Było dobre dla ciebie.

- Wojsko nigdy niczego mi nie dało. Wszystko, co mam, zdobyłam sama. - Niska temperatura zmieniła jej oddech w obłoki pary.

- Mylisz si - stwierdził Mitch. - Ta praca, te loty tutaj, nie zasłu yła na nie sama.

- Ale... powiedziałe , e mój ojciec nie miał z tym nic wspólnego - przypomniała mu, patrz c na niego podejrzliwie.

- Nie miał. Ja poci gn łem za sznurki. - Powiedział to przez zaci ni te z by. - Chciałem ci mie blisko siebie, ebym mógł ci widywa .

- I to był twój bł d, Mitch - powiedziała. - Ale zobacz , czy nie uda mi si go naprawi .

24

Powietrze południowej Kalifornu błyszczało drobnymi załamaniem z powodu wysokiej temperatury. Podekscytowana lotem siln i szybki maszyn P-47, Mary Lynn pozostawała wci pod urokiem najlepszego samolotu. Kiedy dostrzegła posta Marty, stoj c w sło cu przy pasie, pomy lała, e to przywidzenie. Ale po chwili przekonała si , e to prawda, i ruszyła biegiem.

- Nie do wiary! Co ty tu robisz? - zawołała z rado ci .

W ród u cisków i powita Marty opowiedziała jej w skrócie, w jaki sposób musiała porzuci prac na samolotach czterosilnikowych. Złagodziła troch spraw , robi c z tego raczej nieporozumienie, eby nie przedstawi si w zbyt złym wietle.

- No i sko czyło si na tym, e mnie tu przysłali.

- On był onaty? - To najbardziej martwiło Mary Lynn, cho daleka była od krytykowania Marty.

- Scott i ja byli my przyjaciółmi - upierała si Marty, rozmy lnie podkre laj c swoj niewinno . - Zrobili z tego wielk spraw . - Opu ciły lotnisko i schroniły si przed sło cem w budynku operacyjnym. - Widziałam si z Cappy w Waszyngtonie - dodała Marty, ale nie wspomniała o zabiegu.

- Co u niej słyca ?

- W porz dku. Nie zmieniła si za bardzo. - Marty wzruszyła ramionami. - Wci trwa obok ycia, zamiast z niego korzysta . Chyba dlatego lata - chce si wznie ponad problemy w idealnie czyste niebo.

- Tak jak my wszystkie - mrukn ła Mary Lynn.

- Ja nie. - Marty wrzuciła monet do automatu z coca-col i słuchała odgłosu metalu, wpadaj cego do

pojemnika na monety. - Mo esz by pewna, e ja nie pozwoliłabym temu majorowi, by chodził głodny, gdyby był mój.

Mary Lynn nie chciała dyskutowa na temat prywatnych spraw Cappy. Zbyt wielk pustk czuła w swoim yciu. Tak dawno nie była w towarzystwie m czyzny. W niektóre noce czuła bolesne pragnienie tego, potrzeb odczuwan przez tysi ce kobiet, których m owie poszli na wojn ; zwykł ch poczucia m skiego dotyku i ciepła jego ciała w łó ku. Potrz saj c lekko głow , próbowała pozby si takich my li.

- Czy jest gdzie Eden? - Marty podała jej col i odwróciła si znów do automatu, eby wzi drug dla siebie.

- Nie. Par dni temu poleciała dostarczy P-38 do Newark. Nie wiadomo, kiedy wróci. Nie zawsze dostaje si co w drog powrotn . Zwykle wygl da to tak, e wiezie si samolot do Farmington, Indiany, Great Falls czy Dallas i odbiera inny. Je li ma si pecha - dodała Mary Lynn - trzeba wraca poci giem.

- Cudowne ycie pilota transportowego - zauwa yła Marty sucho i napiła si coli.

Odeszły od automatu, nie zwracaj c uwagi na innych pilotów i personel bazy. Niektórzy siedzieli nad podr cznikami technicznymi lub mapami, a inni po prostu odpoczywali. Było to ruchliwe miejsce, główna izba rozrachunkowa jednej z najwi kszych dywizji transportowych, a wkrótce miała to by baza dla najwi kszeo zgrupowania kobiet pilotów w kraju.

- Nie zostan tu długo - powiedziała Marty z błyskiem w szarzielonych oczach, widz c pytaj ce spojrzenie Mary Lynn. - To typowa wojskowa wpadka. Złapali mnie, pilota z do wiadzeniem na bombowcach, i wysyłaj mnie na szkolenie do Palm Springs.

- Wylatuje st d mnóstwo P-47 Thunderbolt i P-51 Mustang. - Potrzeba pilotów z kwalifikacjami na te samoloty wystarczała Mary Lynn jako wytłumaczenie. - Zaczekaj, a si przelecisz jednym z nich. W Thunderbolcie jest miejsce tylko dla jednego pilota, wi c od pocz tku lata si samodzielnie. Ale spodoba ci si . - Promieniała rado ci . - Sto sze dziesi t, sto siedemdziesi t to dobra pr dko dla wi kszo ci samolotów, którymi latałam. P-47 traci szybko przy stu sze dziesi ciu pi ciu.

- Tak, mówi , e piloci bombowców musz mie du o odwagi, wytrzymało ci i zdolno ci przywódcze, a piloci my liwców s samotnymi wilkami-szale cami. Słyszałam, e kiedy sprawdzaj pilota w po cigu, oblewaj go, je li policzy do dziesi ciu, bo za du o my li. - U miechaj c si ze swojego dowcipu, Marty spojrzała na przechodz c ciemnowłos kobiet , ubran w szarzielone spodnie i jasno szar koszul . Tr ciła Mary Lynn łokciem i skin ła w stron kobiety w dziwnym mundurze.

- Kto to jest?

- WAF, z grupy Nancy Love, zanim wszystkie przeszły my pod parasol WASP. - WAF były grup elitarn do wiadczonych pilotek, byłych instruktorek lotnictwa, pilotów wy cigowych, oblatywaczek, bezpo rednio wcielonych do oddzielnej grupy transportowej. - Maj własne mundury.

- Ciekawe, kiedy my dostaniemy nasze. - Marty westchn ła.

Mary Lynn przechyliła głow na bok i potarła napi te mi nie karku. Jej wzrok min ł grup pilotów siedz cych przy stole i zatrzymał si przypadkowo na m czy nie siedz cym w k cie pokoju. Jedn nog opierał na s siednim krze le i odpychał si do tyłu, kołysz c si na swoim. Wydawał si uosobieniem lenistwa, oficerska czapka zsuni ta była na bok, przekrzywiony daszek opadał na jedno oko.

Było w nim co - leniwe zachowanie czy przekrzywiona czapka - co przez ułamek sekundy przypomniało Mary Lynn o Beau. Ale na tym ko czyło si ich podobie stwo. Wygl dał na grubo po trzydziestce, miał zniszczon

twarz, dziobaty, z wieloma bliznami. W słabym uśmiechu, który pojawił się na jego ustach, wydawał się czai brutalny humor, a w ciemnych oczach zabłysło zainteresowanie.

Zmierzył ją beczelnie wzrokiem, zwracając uwagę na każdą zakamienioną część jej ciała. Odwróciła się, a serce przyśpieszyło pracę. Wśród hałasu rozmów i licznych kroków usłyszała stuknięcie krzesła.

Po chwili odezwał się niski głos, przeciągając sylaby.

- Co taki drobiazg, jak ty, tutaj robisz? - Mary Lynn nie odwróciła się, kiedy Marty spojrzała za siebie, gdy słyszała zbliżenie czegoś niskiego. - Tylko mi nie mów, że lataśz tymi wielkimi wstrętnymi samolotami.

Ta celowo protekcyjna uwaga miała sprowokować reakcję.

- Do mnie mówisz? - Mary Lynn spojrzała na niego z udawaną obojętnością.

- Do nikogo innego - powiedział przeciągle.

Marty przyjrzała mu się uważnie, wiedząc, że jego uwaga skupiona jest na Mary Lynn. Zauważyła belki kapitańskie na jego ramionach i miała wrażenie, że gdzieś ją go widziała.

- Czy ja pana znam? - Zmarszczyła brwi.

Spojrzał na nią przelotnie i zlekceważył.

- Nie.

Znow skierował swoje zainteresowanie na Mary Lynn, zsuwając czapkę na tył głowy. Głębokie ciemne włosy opadły mu na czoło.

- Co powiesz, małżonko?

Od początku coś mówiło Marty, że ten facet oznacza kłopoty, i to przez duś K, a to, jak zagadywał Mary Lynn, potwierdzało jej przecucie. Wzbudzał w niej instynktowne niechęć, gdy patrzyła, jak Mary Lynn poruszona unika jego spojrzenia. Wyszła młodo za niego, za swój jedyny miłośnika i nigdy nie miała do czynienia z takimi facetami jak ten.

- Za daleko się pan posuwa, kapitanie - poinformowała go Marty.

- Walker. Kapitan Samuel Jamieson Walker - przedstawił się z drwiącym ukłonem Mary Lynn. - Ale mówisz do mnie Walker.

- Ona jest małżonką - powiedziała Marty.

- Naprawdę? - Wydawał się raczej rozbawiony tym odkryciem niż niezadowolony. - Obiecuję nie brać tego pod uwagę przy kolacji dziś wieczorem.

- Kolacji? - wyrwało się Mary Lynn ze zdziwienia.

- Powiedziałam panu, że ona nie jest zainteresowana, kapitanie - wtręciła Marty zimnym, jak zwykle zachrypniętym głosem.

- Czy ona zawsze mówi za ciebie, małżonko? - zadrwił. - A może nie masz języka? To by była szkoda.

- Proszę pana - Mary Lynn czuła gorąco, a złość rosła przez jego tupet - jestem małżonką i nie jestem zainteresowana.

- Ładna mała onka - zachwycił się. Czubkiem palca podniósł jej brodę do góry i dodał: - Czy może na tylko patrzeć na te liczby ci?

Patrzył z podziwem na to, z czego się śmiał. Ale za tym sarkastycznym humorem kryła się gorzkość. Mary Lynn uchyliła się od jego dotyku, urażona i wściekła z powodu takiego zachowania. Marty natychmiast stanął przy niej, zasłaniając ją przed zdecydowaniem.

- Dlaczego nie znajdzie pan sobie kogoś swoich rozmiarów, kapitanie? - rzuciła prowokująco.

Zmierzył ją surowym, sztywnym wzrokiem, a potem wzruszył ramionami.

- Bo to by nie było zabawne - powiedział, wycofując się, a Marty wpatrywała się w niego. Miała wrażenie, że robił podchody, czekając na kolejną okazję.

- Chodź. Wyjdźmy stąd - powiedziała do Mary Lynn i obie wyszły z pokoju pilotów.

W pełnym umundurowaniu, z medalami przypiętymi do piersi generał „Hap” Arnold usiadł za swoim dużym, drewnianym biurkiem i rozsiadł się w wielkim fotelu. Jego spotkanie z komisją do spraw wojskowych na Kapitolu nie przebiegło tak gładko, jak się tego spodziewał. Napotkał opozycję ze strony komisji kongresowej wobec proponowanej ustawy dotyczącej zmilitaryzowania WASP, tak jak to zrobiono z WAC* i WAVES** rok wcześniej. Propozycja ustawy została przedstawiona w Kongresie w lutym. W przeszłości, wszystko, czego chciał dla wojska generał, było akceptowane.

- Nie zadali mi nawet kilku pytań o WASP - powiedział się generał. - Typowe dla Kongresu, interesowały ich tylko dwie rzeczy - czy płacono kobietom i czy latały w warunkach bojowych. Wyjaśniłem, że nie wysyłano ich do stref walk, że zastępowały mężczyzn w zadaniach krajowych, by ich zwolnić do operacji wojennych. Powiedzieli, że to wystarczy. Potem zaczęli zadawać pytania o szkoły lotnicze dla kadetów, które zamknęliśmy w styczniu.

Krótkimi, szybkimi ruchami Mitch Ryan stuknął papierosem w oparcie fotela, ubijając tyto i wyładowując napięcie wywołane tematem rozmowy. Kobiety piloci stanowiły bolesny temat, jak wszystko, co przypominało mu o Cappy.

Dwa tygodnie temu ktoś z pracowników departamentu powiedział mu, że Cappy złożyła prośbę o przeniesienie. Łatwo byłoby zablokować sprawę, jak wiele wcześniej. Tym razem jednak nie wtrącał się, pozostawiając decyzję o przyjęciu lub odrzuceniu komuś innemu. Czuł, że od tego, jak los wybierze, zależy, czy między nimi sprawy ułożą się, czy nie.

Kiedy Mitch dowiedział się, że prośba została przyjęta, zacisnął zęby, żeby nikt nie zauważył, jak duże to miało dla niego znaczenie. Ale mimo czyło go to, stał się zgorzkniały i zły.

- Wszyscy wiedzieliśmy, że będą problemy z tymi cywilnymi pilotami - powiedział w odpowiedzi na stwierdzenie generała. Około czternastu tysięcy mężczyzn, instruktorów i trenerów, straciło pracę i odroczenia z wojska, i zostało powołanych do czynnej służby w zadaniach naziemnych.

- Tak. A ci, którzy się nadają, są wysyłani jako piloci. Niech mnie diabli, jeżeli obniżą kryteria fizyczne i intelektualne dla nich. Dziwi mnie, że teraz, kiedy ci piloci stracili swoje bezpieczne, cywilne posady instruktorów, nagle domagają się bardziej niebezpiecznych zadań, których podjęły się WASP - jak holowanie tarcz i testowanie samolotów wychodzących po naprawach z warsztatów. Spójrz na problem morale, który mieliśmy z pilotami na B-26. Bali się wsiąść do tej przeklętej „Latajcie prostytutki” dopóki kobiety nie usiadły za jej sterami i nie pokazały, jak to się robi. Kurczę, jednostka mojego syna nigdy by nie zdobyła kwalifikacji do przydziału poza krajem, gdyby WASP nie zgodziły się poświęcić dla nich tarcz na wiczeniach. Mężczyźni w Camp Irvin odmówili wykonania tego.

- Tak, panie generale. Wiem - odpowiedział Mitch z szacunkiem.

* WAC (Women's Army Corps) - żeński Korpus Wojskowy.

** Women Accepted for Volunteer Emergency Service - Oddział Ochotniczek w Marynarce Wojennej.

Manewry wymagały uzbrojonych pojazdów, które mogły przedzierać się przez teren z przodkiem ci osiemdziesiąt kilometrów na godzinę ze strzelcem, celującym z zamontowanego w tył pięćdziesiąt milimetrów karabinu do tarcz powietrznych. Była to szalona jazda po wybojach, wertepach, dziurach i wzgórkach, co wyraźnie odbijało się na jakości i celności strzałów.

- Cholera, te dziewczyny zasługują na takie same przywileje i korzyści, jak piloci wojskowi - upierał się generał zniecierpliwiony. - Komisja twierdzi, że poprze przyjęcie ustawy, ale obawiam się, że to nie jest ostatni raz, kiedy słyszymy o tych pilotach.

- Owszem. - Mitch zgniótł niedopałek papierosa w popielniczkę, patrzył, jak spalony papier rozsypuje się w popiół.

- Cała ta wojna zaczyna wyglądać inaczej. - Krzesło zaskrzypiało, gdy generał poruszył się. - Idziemy do przodu. Nasi chłopcy są u wybrzeży Anzio i torują sobie drogę do Rzymu. Nasze naloty zniszczyły ich przemysł lotniczy i momek zaczęła koncentrować się na niemieckim transporcie i rafineriach ropy. I na lotniskach we Francji. Wielka Brytania powstrzymała odwołanie Ike'a, szykujących się do operacji Overlord. Nie tylko musimy osłabić tych drani, ale też trzeba dać naszym chłopcom wsparcie z powietrza, kiedy tam wejdą.

- Chciałem z panem o tym porozmawiać, panie generale. - Mitch spojrzał poważnie na zwierzchnika. - Wtedy miałem natarci... chcę brać w tym udział. Chcę tam być, kiedy to nastąpi, a nie... tkwić w jakimś biurze. Proszę o przeniesienie.

- No pewnie, że chcesz - odparł generał prowokująco i bezceremonialnie. - I nie w tym, że nie ty jeden.

- Będzie pan potrzebował dobrych pilotów, zdolnych do wykonania tych zadań. Widziałem dane o stratach po nalotach na rafinerie w Rumunii, Hamburgu i Zagłębiu Ruhry - oponował Mitch.

- Odnierz najlepiej przysługuje się krajowi tam, gdzie jest potrzebny. A pan jest potrzebny tutaj. Proba odrzucona - warknął generał niecierpliwie. - Zadziwiasz mnie, Mitch. Nigdy ci nie powiedziałem o tak heroiczne gesty. Dobrze wiesz, że masz tu robotę do wykonania, cholernie ważną. Pierwszy przyznam, że nie ma nic chwalebniejszego w przekładaniu papierów, ale trzeba to robić.

- Tak jest. - Mitch poddał się niechętnie i wcale tego nie ukrywał.

- Nie chcę cię słyszeć o żadnych przeniesieniach. - Generał podniósł z biurka stertę papierów i zaczął je przeglądać, mrużąc pod nosem z niezadowoleniem. - Jeszcze pomyśl, że to przez jakichś dziewczyn. - Przerwał, by spojrzeć na Mitcha. - Nie widziałem ostatnio z tobą tej Hayward.

- Nie, panie generale - przyznał. - Wygląda na to, że ona nie lubi wojska.

- Prawdopodobnie z wzajemnością. - „Hap” Arnold spojrzał z powrotem w papiery. - Po dzisiejszym dniu, obawiam się, że trudno będzie wciągnąć... i resztę kobiet pilotów... do lotnictwa wojskowego.

Mary Lynn dostała rozkaz dostarczenia nowiutkiego P-47 Thunderbolt do centrum załadunkowego w Newark, ale takie loty samolotami, które zeszły prosto z taśmy montażowej nie należały do łatwych. Zawsze znalazło się w nich parę usterek i Mary Lynn miała problem z systemem hydraulicznym lotek, co zmusiło ją do lądowania w Tulsie.

Kiedy jej Thunderbolt został odstawiony do hangaru do naprawy, Mary Lynn otrzymała nowe rozkazy dostarczenia P-39 Airacobra do Great Falls w Montanie, przez ciową bazę dla samolotów przeznaczonych na Alaskę. Z Great Falls poleciała PT-19 do Nevady, a potem przez góry Sierra w P-51 Mustang. W czasie tej

podróży, która trwała cztery dni, przewiozła cztery samoloty i pokonała około pięć tysięcy kilometrów.

Ledwie weszła do baraku WASP w Long Beach, gdy dopadła jej Eden.

- Chodź. Muszę ci coś pokazać.

- Co kupiła tym razem? - Mary Lynn się dziła, a Eden wpadła w kolejny szal zakupów, co działo się regularnie, odkąd przyjechały do Los Angeles.

Ale Eden tylko za nią miała się i popchnęła Mary Lynn do pokoju, gdzie kazała jej usiąść na łóżku. Potem rzuciła się do drzwi swojego pokoju z szelmowskim błyskiem w ciemnych oczach. Mary Lynn potrzebowała głowicy i uśmiechnęła się ze zmęczeniem, opierając się o ścianę i spodziewając się pokazu mody.

Otworzyły się drzwi i Eden ogłosiła:

- A oto Cappy Hayward. - Mary Lynn spojrzała spod zmęczonych powiek w kierunku drzwi. Jej oczy natychmiast otworzyły się szeroko z zaskoczenia. - Proszę zauważyć, że ma na sobie wełniany płaszcz z paskiem i dopasowaną do tego spódnicę w najmodniejszym kolorze, błękitnie Santiago. Stroju dopełnia ciemnoniebieski beret. Nie nubiła bluzka stanowi kontrast dla munduru, ozdobionego srebrnymi skrzydełkami i złotym znaczkiem WASP.

- Co ty tu robisz? I w naszym nowym mundurze? - Mary Lynn zachłysnęła się zaskoczona widokiem Cappy prezentującej mundur, powoli obracając się, podnosząc ramiona i przyjmując zabawne pozy.

- Panna van Valkenburg, jak widać, ma na sobie - Eden kontynuowała artobliwy pokaz, wchodząc do ciasnego pokoju - spodnie i kurtkę w stylu Eisenhowera, przebieg tego sezonu, w kolorze błękitu Santiago.

Mary Lynn zerwała się z łóżka.

- Wyglądasz zachwycająco, Cappy. Kiedy przyjechała? Przywiozła kogo tutaj?

Eden pospieszyła się z wyjaśnieniem.

- Została tutaj przeniesiona. Czy to nie cudowne? Przydzielili ją do Szóstej Grupy Transportowej.

- artujesz.

- To prawda - potwierdziła Cappy. - Będą lata C-47 Skytrain z fabryki McDonella Douglasa do różnych baz w kraju.

- Znów będziemy latać razem - ucieszyła się Mary Lynn. - Marty mówiła, że widziały ciebie w Waszyngtonie, więc wiesz, że ona też do nas dołączy. Jest teraz w Palm Springs, koło szkolenia.

- Tak, wiem - przytaknęła Cappy, nie mówiąc nic więcej.

- Nie do wiary. - Mary Lynn znów pokręciła głową. - Jesteś tutaj... i nasze mundury.

- Poczekaj, a zobaczysz kombinezony lotnicze - powiedziała Eden, wyciągając swój w tym samym kolorze, który miał się stać ich wizytówką.

- Czy ja też dostałam? - zapytała Mary Lynn poniewczasie.

- Odebrałyśmy go dla ciebie - zapewniła jej Eden, potem spowaśniała. - Tylko się za bardzo nie podniecaj. Na wypadek gdyby nie zauważyła, dali nam mundury zimowe. Wełna... w słonecznej południowej Kalifornii. - Absurdalnie sytuacja była oczywista. - Letnie mundury są prawdopodobnie w drodze.

Ale zimowe mundury to lepiej niż nic. Dla Mary Lynn sama myśl, że ma strój szyty na miarę, wiele znaczyła. Wszystkie trzy stłoczyły się w pokoju Mary Lynn, a ona mierzyła płaszcze, spódnicę, spodnie i kombinezon. Zachowała do nowego munduru jedne buty z przydziału.

Stojąc przed lustrem Mary Lynn przyglądała się swojej drobnej postaci i czapce w stylu angielskim na kruczonych

włosach. Dotknęła srebrnych skrzydełek w klapie, mniejszych niż te, które nosili piloci, ze srebrnym rombem na rodku, zamiast przepisowej tarczy.

- Chyba będniesz mi za moimi starymi skrzydełkami. Tamte były szczególne - powiedziała, nie muszę tego tłumaczyć Eden i Cappy. - Z tamtymi zaczynałyśmy my.

- Wiem - odparła Cappy z uśmiechem w oczach. - Słyszałam, że romb ma reprezentować tarczę amazonek.

- Co my jesteście my? - burknęła Eden. - Mityczne wojowniczkę?

- Chyba tak. - Cappy uśmiechnęła się lekko.

Mary Lynn odwróciła się od lustra.

- A może pójdziemy to uczcić ?

Tego wieczoru wzięły toważy w klubie oficerskim, raczej siatekami i winem. Nie było żadnego gatunku francuskiego, więc Eden zdecydowała, że spróbuje burgunda z jednej z kalifornijskich piwnic. Trzy samotne kobiety w zdominowanym przez mężczyzn klubie wywołały sensację i liczne propozycje dotrzymania im towarzystwa. Ale pozostały same.

- Kiedy byłam w Great Falls - Mary Lynn przerwała, by pociągnąć łyk trunku, który Eden zamówiła dla nich po kolacji - jedna dziewczyna z Romulus Base w Michigan powiedziała mi, dlaczego nie wolno nam latać z Great Falls do Fairbanks na Alasce.

- Zawsze myślałam, że obawiali się, że któraś z nas mogłaby tam spać i zamrznąć na miejscu. - Cappy zmarszczyła brwi zmieszana i spojrzała na Mary Lynn.

- Ja też - zgodziła się Mary Lynn. - Ale okazuje się, że wiesz o tym, że męscy stacjonują na Alasce od dwóch lat. Wiem, że nie chodzi o to, że możemy tam zginąć. Obawiam się, co mogłoby się nam przytrafić... w bazie z mężczyznami, którzy nie widzieli kobiety od wielu miesięcy.

- To z pewnościnię wiadczą dobrze o mężczyznach tam stacjonujących - Eden za nią się uśmiechnęła.

- W drodze z Waszyngtonu - wtręciła Cappy - wylądowałam w bazie, gdzie nie było kwater dla pielęgniarek i zatrzymałam się w kwaterach oficerskich. Na siednim łóżku spałam z mężczyzną i tylko zasłona nas oddzielała. - Potrzebna była głowa, że niech cię. - Połowa z tego, co się dzieje w wojsku, nie ma sensu.

- Wypij za to - zgodziła się Eden, podnosząc kieliszek.

Po kolacji przeniosły się do sali klubowej, gdzie niewiele stolików było wolnych. Kiedy się pojawiły, oficerowie rzucili się, by podstawić im krzesła. W końcu, wybrały stół. Kiedy usiadły, mężczyźni skwapliwie zajęli najbliższe stoliki.

Z wyjątkiem jednego, jak zauważyła Mary Lynn, rozpoznawszy ponurego kapitana, siedzącego nieco dalej z rozbawioną miną. Spojrzał na nią leniwie.

- Wiemy tu? - Lekko bełkocząc głos pozwalał przypuszczać, że drink w jego ręku nie był pierwszym tego wieczoru.

- Czy dlatego pan tu jest, kapitanie? - zrewanowała mu się.

- Zawsze tu jestem. Od otwarcia do chwili zamknięcia. - Popatrzył na Mary Lynn. - Cóż takiego zajęło twojemu mózgowi, że spuścił cię z oka, maleńka? Gdyby była moja, trzymałbym cię pod kluczem.

Niewielu odnosiło się z takim brakiem szacunku do jej stanu małżeńskiego. Mary Lynn unikała jego spojrzenia, niepewna, czy powinna się obrazić, czy też powinno jej schlebiać jego zainteresowanie.

- To byłoby trudne, skoro lata w ósmej Powietrznej. - Wzięła papierosa z pudełeczka na stole paczki.

Zanim zdążyła go przypalić, Walker podał jej płonącą zapalniczkę. Chwiała się trochę i Mary Lynn przytrzymała jego rękę. Niemal zapomniawszy o dotyku szorstkiej męskiej dłoni.

- Twój mój jest pilotem w Ósmej? Gdzie? - Wpatrywał się w dym wylatujący z jej ust.

- W Anglii.

- A dokładnie? Też tam stacjonowałem. Może go znam. Odchylił się na krześle, a na ustach pojawił się pełen zadowolenia uśmiech, wiadomy przynajmniej, który zarzucił.

- W okolicy Cotswold, chyba gdzieś niedaleko Gloucestershire. - Beau nigdy nie mógł dokładnie sprecyzować miejsca pobytu, bo cenzura by tego nie przepuściła. Mary Lynn spojrzała na Walkera, nie miała przypuszczenia, że mógł znać Beau.

- Czy to nie zbieg okoliczności? - mruknął.

- Był pan tam?

- Niedługo. - Jego półuśmiech stał się wyraźniejszy, lecz zawierał mniej ciepła i radości. - Ale wykiwałem wojsko i przeżyłem wszystkie loty nad Niemcami.

To ostre gorzkie stwierdzenie wyjaśniło niektóre rzeczy, których Mary Lynn nie rozumiała. Bruzdy na twarzy i cynizm w oczach były wynikiem jego doświadczeń wojennych. Stąd te siwe pasma wśród ciemnych włosów i wygląd starszy niż faktyczny wiek.

Patrząc na niego, zastanowiła się, czy Beau też taki wróci. Poczuli chłód przebiegający jej ciało i odruchowo potarła ramieniem, by pozbyć się tego uczucia. Odepchnęła nieprzyjemne myśli i pochyliła się do przodu.

- Poznał go pan? Mojego męża, Beau Palmera. - Zapomniała o dopalającym się w popielniczce papierosie.

- Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, wydałaś mi się znajoma. - Walker wdrapał wzrokiem po jej twarzy. - Założyłaś się, że widziałem twoje zdjęcie. Pewnie ma jakieś, prawda?

- Tak. Zrobione na plaży. Ma je w kabinie.

- No właśnie - powiedział Walker, pstrykając palcami. Muzyka w tle zmieniła tempo, gdy zespół składający się z żołnierzy, zaczął grać wolniej. Biorąc ją za rękę, zmusił ją do wstania. - Zatańczmy.

Poprowadził ją przez labirynt stolików na parkiet. Tysiące pytań o Beau kłębiło jej się w głowie, gdy wzięła go w ramiona.

- Kiedy go pan ostatnio widział? Jak wyglądał? - Przerwała widząc rozbawioną minę na jego twarzy i zdała sobie sprawę, że klepie jak dziecko. - Pewnie brzmi to głupio, kapitanie. Ale nie wie pan, jaka jestem szczęśliwa, że mogłam spotkać kogoś, kto rozmawiał z Beau.

- Darujmy sobie tego kapitana. Mów do mnie Walker - zaproponował i objął ją w tali, mocniej przyciskając jej biodra do swoich ud. - A ty nie wiesz, jaki ja jestem szczęśliwy z tego powodu. - Jego uśmiech sugerował wiele rzeczy, ale żadna nie była związana z jej mężem.

Mary Lynn poczuła się nieswojo, gdy pochylił głowę, wzięła jej rękę i podniósł opuszki palców do ust.

- Jak się czuła? - Przeszła znów na temat Beau.

- Dobrze, o ile mi wiadomo. - Obserwował jej rosnące zmieszanie z pewną satysfakcją. - Ta fotografia nie oddaje rzeczywistości ci, małżonko.

Poza nieznacznym przesuwaniem stóp, prawie nie poruszał się w rytm muzyki. Czuło się od niego mocny zapach rumu.

- A Beau... - spróbowała jeszcze raz.

- Co z nim? - Walker obrócił jej dłoń i łaskotał ustami wewnątrz trzonka.

Zmysłowe działanie wywołało lekki dreszcz przyjemności, który przebiegł jej ciałem. Jednak Mary Lynn zaraz naprężyła się i zabrała rękę. Walker podniósł głowę, widząc jej opór.

- Przepraszam. - Ale nie zabrzmiało to, jakby mu było przykro. - Trochę mnie poniosło. To łatwe, gdy trzymam w ramionach tak wiele liczników.

- Opowiedz mi o Beau. - Postanowiła ignorować jego uwagi.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytał ze znużeniem.

- Cokolwiek. Wszystko. - Trudno było powiedzieć dokładnie, kiedy kiedykolwiek był wam, kiedy fragment życia Beau miał znaczenie, wszystko, co mogłoby go przybliżyć. - Jak tam jest? - Mary Lynn miała nadzieję, że Beau jest od tego bliżej, baz lotniczy, baraki, miejsce gdzie mieszkał.

Ale Walker zinterpretował pytanie po swojemu i jego twarz przybrała zimny i posępny wyraz.

- A jaka jest taka wojna? - rzucił szorstko. - To zabijanie i umieranie. Wrogowie bez twarzy, strzelający do ciebie, bomby spadające na ofiary. To istne piekło.

Z bliska mogła dostrzec ślady blizn na jego twarzy, widoczne rany, ułożone w przypadkowy wzór, jak rozbite szkło. Starła się nie myśleć, jak mogło do nich dojść, ale pewnego rodzaju przerażenie cisnęło jej za gardło. Jej umysł wzbraniał się przed przyjęciem obrazu wojny, jaki przedstawił Walker. Miała nadzieję, że Beau jest od tego z daleka.

- Przykro mi. - Zrobiło jej się zimno.

Wtedy na policzku poczuła wilgotne ciepło jego zaprawionego rumem oddechu.

- Jesteś do piwnicy, bym zapomniał o tych okropnościach. - cisnął jej mocniej ramieniem i zatopił usta w delikatnych lokach jej ciemnych włosów.

Przez chwilę Mary Lynn nie protestowała, pozwalając sobie przypomnieć uczucie męskiego ciała przytulił ją do siebie i zgadzając się, by jego ucisk roztopił lodowaty strach, że może Beau już nigdy jej tak nie obejmie.

- Mówiłeś o Beau. - Odepchnęła się od niego i opuściła głowę, by się trochę odsunąć.

- Ach tak, Beau. - Ironicznie zareagował na jej wzmiankę. - Zastanówmy się... co o nim pamiętam? - Wzruszył bez troski ramionami, potem pochylał głowę w kierunku jej ust.

- Proszę - sprzeciwiła się Mary Lynn i odwróciła głowę.

- Co, proszę? - powiedział prowokująco Walker, z lekkim rozbawieniem, nie podnosząc głowy. Był kilka centymetrów od jej odwróconej twarzy.

- Nie powinieneś czynić awansów małce - powiedziała szorstko.

- Nic nie poradzę na to, żeś działa, i gdyby Beau wiedział, że błąd się z tobą widział, poprosiłby, abym ci to dał. - Kiedy zbliżył do niej usta, odwróciła się lekko do niego.

Ale Mary Lynn nie poczuła łagodnego, słodkiego pocałunku, przypominającego tego Beau. Nacisk ust Walkera zamazał wszelkie wspomnienia o delikatności jej ciała, zastępując je brutalniejszym rodzajem bliskości, który nie miał nic wspólnego z czułością i miłością. Zmieszana, Mary Lynn przerwała pocałunek, nie przypuszczając, że mogłaby całować się z kimś, kochając innego.

- Dawno tego nie robiła, prawda? - Patrzyły na siebie te leniwe, chytre oczy.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Wołała skłamać i przyznać się do potrzeb fizycznych, pragnienia, aby ją ktoś

dotykał, które nie miało nic wspólnego z uczuciami.

Piosenka się skończyła, ale on nadal ją trzymał, nie pozwalając odwrócić się.

- Owszem wiesz - powiedział Walker. - Twój Beau przechodzi to samo, tylko dla niego jest gorzej, bo potrzebuje zapewnić cię, zanim pójdzie na spotkanie z miernymi. Ale zawsze jest jakaś kobieta, która zaspokoja jego dziesięć. Ony zwykle nie mają tego szczęścia.

- Chcesz mi powiedzieć, że Beau jest niewierny? - Wydawało się to tani sztuczek, by igrać z jej strachem i zazdrością.

- Naprawdę wierzysz, że był w celibacie przez cały czas waszej rozłąki? - zaszydził Walker.

- Nie twoja sprawa, w co wierzysz.

Uważnie przyjrzał się jej zbuntowanej minie, zanim odpowiedział.

- Może nie - przyznał. - Ale wiem swoje. Co dobre dla ciebie, powinno być dobre dla ciebie. Dlaczego masz kłopoty spać, skoro on tego nie robi?

- Przestała. - Nie mogła dłużej znieść jego okrutnych insynuacji na temat niewierności Beau. Wyrwała ramię z jego uścisku i ruszyła nieprzytomnie do stolika.

Walker patrzył bez celu, jak ucieka. Takie liczne stworzenie o kruczonych włosach i oczach. W końcu... przybiegnie do niego. Wiedział to.

25

Złowieszcza nawałnica ciemnych chmur pojawiła się na drodze przed tego P-51 Mustanga. Eden odwróciła od nich zaniepokojony wzrok i spojrzała na mapy leżące na kolanach. Na ostatnim postoju ostrzegano ją o zbliżającym się letnim frontie burzowym, wzdłuż jej trasy z Fort Myers do New Castle, ale postanowiła lecieć, dopóki pogoda nie zmusi jej do lądowania. Obawy zniknęły, gdy zobaczyła bazę wojskową, zlokalizowaną niedaleko jej obecnego położenia. Mogła dostać się do Camp Davis w Północnej Karolinie, zanim dotrze tam burza.

Szybkim Mustangiem Eden zrobiła podejście do otoczonego bagnami lotniska. Nie patrzyła na wypalone miejsce po wypadku Rachel. Wylądowała i pokłówała na plac postojowy. Piloci wylegli z budynku, by się przyjrzeć myśliwcowi, którym wszyscy pragnęli latać. Zgasivszy silnik, odsunęła pokrywę i wysiadła z kabiny na skrzydło.

Silny powiew przed ciemnymi chmurami rozwiał jej tycjanowskie włosy. Usłyszała pomruki pilotów zaskoczonych, że to kobieta siedzi za pulpitem potężnego myśliwca, ale nie zauważyła zaskoczonej miny Bubby i bólu w jego oczach, gdy zobaczył ją na skrzydle Mustanga.

Piloci z eskadry holującej tarcze, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, stłoczyli się wokół samolotu i Eden, zadając masę pytań. W ogóle nie miała okazji, aby porozmawiać z Bubby. Pierwsze ciężkie krople deszczu przegnały wszystkich do budynku, tuż przed rozpoczęciem się burzy. Eden zabrała swój walizkę z kabiny i pobiegła do biura operacyjnego.

Powiedziano jej, że nie zanoszą się na poprawę pogody. Na najbliższe trzy dni, a więc cały weekend, zapowiadano zachmurzone niebo i potężne ulew. Wypełniła odpowiedni formularz, wpisując kod pogody, jako przyczynę opóźnienia. Wszystkie ruchy samolotu uznawano za ściśle tajne i piloci używali kodu, informując bazę o tym, gdzie się znajdują i dlaczego musieli się zatrzymać.

Po pierwszej ostrzegawczej ulewie deszcz ustał. Niebo stało się ciemne i złowieszcze. Eden przebiegła przed

hangarem, przemykając wzrokiem wśród pracowników obsługi naziemnej, w pośpiechu zabezpieczających samolot na placu. Bubba stał w drzwiach i rozmawiał z jednym z mechaników. Widząc Eden, powiedział coś do młodego kaprala i tamten odszedł.

Czuła coś gorącego w włosach, Eden zatrzymała się przed Bubba, a jej brzozy oczy błyszczały na widok znajomej bliskiej twarzy. On uśmiechał się, a w kącikach oczu pojawiły się zmarszczki.

- Wiele czasu minęło - powiedziała.

- Tak.

Miejsce było zbyt publiczne, zbyt otwarte, zbyt wiele oczu mogło zobaczyć ich spotkanie. Eden nie ukrywała swojej niechęci z tego powodu.

- Znosi się na to, że zostaniesz tu na weekend - oznajmiła mu. Rozejrzawszy się dookoła, czy nikt nie może ich usłyszeć, zniżyła głos. - Możesz wziąć przepustkę?

- Zabij, jeśli będziesz musiał, żeby ją dostać. - To stanowcze zapewnienie zmniejszyło trochę napięcie i wywołało uśmiech na obu twarzach.

- Spotkamy się w Wilmington o dziesiątej w sobotę. Tylko gdzie? - zapytała.

- Greenfield Lake - zaproponował Bubba.

- Dobra. - Kiedyś tam ją dostrzegła zbliżających się dwóch członków ekipy naziemnej. Wycofała się, zanim nabrali podejrzeń. - Do zobaczenia.

Powietrze po deszczu było ciężkie od wilgoci. Niskie chmury, niosące groźbę dalszego deszczu, zmieniły kolor nieba na przejrzyście szary. Eden stała na brzegu jeziora Greenfield, a przed nią wznosiły się z wody porośnięte mchem drzewa cyprysowe na swoich długich, silnych korzeniach. Diamentowe krople deszczu wisały na szkarłatnych owych kwiatach azalii i spadały na krzaki, obficie obsypane kwiatami, wiodącymi z powodu zbliżającego się lata i zasypującymi czerwonym dywanem mokrych ziemi.

Przyciszony głos w oddali nagle zamienił się w piskliwy kobiecy śmiech. Eden na wpół odwróciła się, by spojrzeć. Trzech ołnierzy najwidoczniej powiedział coś zabawnego do dwóch idących przed nimi nastolatki z bardzo czerwonymi ustami i zachęcającą kołyszącymi biodrami. W końcu dziewczyny zatrzymały się, by mogli je dogonić.

Obserwując tę scenę, Eden usłyszała szum kół roweru na mokrym gruncie. Odwróciła się, a Bubba podjechał i zatrzymał się obok niej. Znowu musieli uważać na potencjalnych widzów, więc ich pocałunek był nieznośnie krótki.

Ruszyli, rozmownie ocierając się o siebie, a Bubba prowadził rower. Rozmawiali o różnych niezbyt ważnych rzeczach. Ważniejsze było to, co mówiły ich spojrzenia.

Eden ciężko westchnęła i rozejrzała się dookoła, spodziewając się zobaczyć blask słonecznego światła i natychmiast samą energię słońca, którą odczuwała. Zamiast tego zobaczyła drzewa obrosnięte szarozielonym mchem i panujące wszędzie swoiste martwość. Spojrzała na dwie nastolatki, flirtujące z ołnierzami w parku.

- Te dziewczyny... - zaczęła, kiwając głową w ich kierunku, a Bubba obrócił głowę.

- Mówisz o tych dziewczynach-W? - zapytał.

- Dziewczynach-W? - Zmarszczyła brwi, słysząc dziwną nazwę. - Co to znaczy?

- W jak Wiktoria - powiedział, potem zrobił ruch głową. - Nie ważne.

- Dlaczego je tak nazywacie? - upierała się Eden, zaintrygowana widocznym zmieszaniem Bubby.

- Zapomnij, e to powiedziałem - nalegał.

- Dlaczego?

- Bo to nieprzyzwoite, eby rozmawia o tym z dam

Eden za miała si na my l, e potrzebuje ochrony przed rozmow o czym najwidoczniej nieprzystojnym.

- Co to jest dziewczyna - W? - droczyła si z nim, patrz c z boku. - Nie jestem jedn z waszych południowych pi kno ci, które rumieni si przy niedelikatnym słowie.

- Jeste tward jankesk sztuk , to pewne - przyznał Bubba, ale jego spojrzenie pełne było uczucia. - My l , e najgrzeczniej b dzie je nazwa fankami wojska. Znajdziesz je wsz dzie, gdzie pojawi si garstka ołnierzy.

- Mówisz powa nie? - Eden znów popatrzyła na dziewczyny, zastanawiaj c si nad jego słowami.

- Szalej za ka dym facetem w mundurze - stwierdził ze wzruszeniem ramion. - Zabierzesz je na ta ce... cholera, postawisz im col i mo esz dosta od nich wszystko, czego chcesz. To amatorskie dziwki... lepsze od zawodowych, bo przynajmniej nie s oboj tne, ale... najgorsze jest to, e... ołnierz mo e łatwo od nich co złapa .

- Jakie... to smutne - stwierdziła Eden.

- Tak. - Zmieniaj c temat i nastrój, Bubba powiedział: - Có , wiem, e mój wóz nie jest tak szalowy i szybki jak twój - wskazał rower - ale to jedyny rodek transportu, jaki mamy. Je li zechcesz usi na tych rogach - poklepał zagi t kierownic - to podwioz ci do miasta.

Bubba trzymał rower, a Eden wspi ła si na kierownic i oparła nogi na błotniku. Nie czuj c si zbyt pewnie, jedn r k chwyciła si za sob , a drug próbowała utrzyma na kolanach walizk . Za miała si , troch przestraszona, gdy Bubba ruszył chwiejnie.

- Trzymaj si - ostrzegł j .

- Trzymam si !

Pochylił si do przodu, naciskaj c silniej na pedały z powodu wi kszego ci aru.

- Jeste diabelnie eleganck ozdob maski - powiedział.

- Dzi ki.

- Miejmy nadziej , e nie zacznie pada . Ten kabriolet nie ma dachu.

To była szalona jazda do miasta, poło onego nad rzek Cape Fear. Obawiaj c si o ycie, Eden to piszczła, to miała si przez cał drog . Kiedy dotarli na ruchliwe ulice, za dała, eby si zatrzymali i zeszła na dr cych nogach, ledwo łapi c oddech po szale czej je dzie.

Bubba znów zacz ł prowadzi rower, gdy ruszyli chodnikiem, mijaj c liczne wystawy sklepowe po drodze. Eden patrzyła na nie oboj tnie, a zobaczyła m sk tweedow kurtk sportow wisz c w witrynie.

Złapała Bubb za rami i zwróciła jego uwag na kurtk .

- wietnie by w niej wygl dał.

- Tak my lisz? - Wydawał si zainteresowany, gdy uwaga ta schlebiała mu.

- Wejd my do rodka. - Popchn ła go z błyszcz cymi oczami.

Po chwili wahania Bubba oparł rower o cian i wszedł z Eden do sklepu. Sprzedawca przyniósł tak sam kurtk w jego rozmiarze i Bubba przymierzył j .

Kurtka poszerzała jego szerokie ramiona, zacieraj c jego tyczkowaty, chłopski wygl d, i podkre łała muskularn budow . Mi kki wielbł dzi br z tweedu wzmacniał to ciemnozłot barw pasm jego włosów i pogł biał br z. Napi ł ramiona, sprawdzaj c swobod ruchów, i obserwował si w lustrze.

- Co o tym mylisz? - zapytał, a Eden patrzyła z błyskiem zadowolenia w oczach.
- We miemy j - powiedziała do sprzedawcy.
- Zaczekaj. Ile ona kosztuje? - Bubba odwrócił metk przyczepion do guzika przy r kawie.
- To nieważne. - Cena nigdy nie była dla Eden istotna. - To prezent... ode mnie dla ciebie. - Otworzyła torebki, aby zapłacić.

- Nie - powiedział zwyczajnie. Zrzucił z ramion kurtkę i wrzucił ją sprzedawcy. - Zmieniłem zdanie. Nie podoba mi się. - Spojrzał na Eden, a w jego oczach czaił się gniew. - Chodź. Idziemy.

Eden zamilkła zaskoczona tą demonstracją. Bubba zawsze wydawał się taki wyrozumiały, nigdy go nic nie zło cięło. Nie protestowała, gdy wyprowadził ją ze sklepu.

- Co się stało? - Spojrzała na niego uważnie. - Na pewno nie...
- Zapomnij o tym - uciął szorstko, potem przerwał z wyrazem żalu na twarzy, gdy opuścił głowę. - Po prostu zapomnij - powtórzył ciszej.

Eden chciała coś powiedzieć, ale zamknęła usta. Może lepiej będzie zostawić to na razie, postanowiła. Bubba wziął rower i ruszyli.

Gdy doszli do następnej ulicy, zapytała:

- Gdzie idziemy?

Zawahał się, potem spojrzał na nią.

- Wiem, że tu niedaleko jest pewien hotel. - Przerwał, jakby czekał na sprzeciw z jej strony, ale nic takiego nie nastąpiło. - Leży trochę na uboczu. Ale chyba najwłaściwsze, że nie zadajesz pytania.

- Wiem, że chodzę tam. - Wsunęła rękę w jego szorstką spracowaną dłoń. Jej dotyk uspokoił go i przywrócił ciepły blask jego oczom.

Dwadzieścia minut później Bubba otworzył drzwi pokoju hotelowego i wniósł jej walizki i swój niewielki torbę. Pokój był mały i wyposażony tylko w niezbędne łóżko i toaletkę. Brzeg dywanu nie miał obszycia, a kolor i wzór wyblakły. Położył rzeczy na łóżku i odwrócił się do Eden.

- Skromnie tu.

- Z pewnością ci nie jest to Waldorf - zgodziła się, z uśmiechem podchodząc do niego i zarzucając mu ręce na szyję. - Dzięki ci.

Skupił spojrzenie na jej ustach, próbując zachować panowanie nad sobą. Oparł dłonie na jej biodrach.

- Ja też skniłem o jeden raz więcej.

Powstrzymane pragnienia wybuchły, gdy dotknął jej ust, całując je z gorczkowymi nutami. Na miażdżący ucisk jego ramion zareagowała oplatając go z całych sił swoimi. Kilka razy musieli chwytać oddech, podczas pocałunku, zanim oderwali się od siebie.

Eden odsunęła się, odwracając się do niego plecami i zdjęła niebieski beret. Ten mechaniczny burzył jej spokój bardziej niż ktokolwiek inny. Zwykle kontrolowała bieg spraw, ale teraz nie.

Położyła beret na toalecie i rozpięła akty. W szafie wisiały druciane wieszaki, wzięła jeden i zarzuciła na niego kurtkę. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Bubba ją obserwuje.

- Jeśli chcesz się wyglądać choć trochę przyzwoicie w czasie tych podróży, trzeba dbać o ubranie. - Nie było z niej pokójówki, która by się tym zajmowała. - Nigdy nie wiadomo, ile to potrwa... albo jak długo trzeba będzie nosić mundur, zanim się go odda do prania. W kabinie myłwca jest miejsce tylko na neseser. Po włożeniu do niego

instrukcji technicznych, rozkazów, szczoteczki do zębów i kosmetyków zostaje niewiele miejsca na czysty bluzki.

Uśmiechnęła się do niego, ponieważ było to do zabawy. Miała opinię osoby dbającej o ubranie. Otworzyła neseser, by go rozpakować.

- Zdziwiłbyś się, gdybym ci opowiedziała o sztuczach, jakich się nauczyłyśmy, aby wyglądać schludnie - powiedziała Eden. - Pierzemy bieliznę wieczorem i rozwieszamy na kaloryferze albo poręczach, aby wyschła przez noc. Jeśli nie możemy na liczy na zdobycie elazka, to czy ci się tylko kołnierzyk bluzki i wkładka pod bieliznę, wtedy wysycha już uprasowany. Spodnie kładziemy pod materac i następnego ranka mają idealne kanty.

Zachichotał, a Eden uśmiechnęła się szerzej, wzięła kosmetyczkę i zaniósła do małej łazienki. Przynajmniej mieli oddzielne łazienki i nie musieli korzystać ze wspólnej na korytarzu.

- Co to jest? - usłyszała za sobą głos Bubby. Wróciła do pokoju, a on stał przy łóżku, trzymając w ręku pistolet kaliber 45, który nosiła w neseserze. - Dlaczego nosisz broń?

- Samoloty, którymi latamy, mają na pokładzie skomplikowany sprzęt. - Eden zabrała mu naładowany pistolet i włożyła z powrotem do walizki, razem z instrukcjami, mapami i rozkazami. - Broń, nadajniki i te czujniki PCW - Przyjaciel czy Wróg. W niektórych apteczkach jest nawet morfina.

- Ale po co pistolet? - Bubby zmarszczył czoło. - Wojsko chyba nie spodziewa się, że będziesz strzelać do ludzi?

- Nie - zapewniła go ze śmiechem. - Ale jeśli będę zmuszona, w „podejrzanych okolicznościach”, takiego terminu używaj, mam strzelać w bak. Przypuszczam, że wysadziłabym w ten sposób w powietrze cały samolot.

- To niebezpieczne. - Popatrzył na nią surowo.

- A Camp Davis to była bułka z masłem, jak artyleria strzelała z dział pięćdziesięciomilimetrowych do kawałka materiału przyzcpionego do samolotu - przypomniała mu ironicznie. Podeszła i stanęła przed nim, po czym zaczęła rozpinąć jego koszulę khaki.

W połowie tej czynności wsunęła rękę do rękawa, by dotknąć jego ciepłego, silnego ciała. Poczowała dreszcz, który go przebiegł, i z satysfakcją krew zaczęła w niej szybciej płynąć - rozgrzewając ją jak stara szkocka whisky i równie upajając.

Wziął w dłoń jej twarz.

- Czy ty mnie kochasz, Eden?

- Tak - szepnęła.

- Nie. - Potrzebuję głosu, co jeszcze kryło się w jego spojrzeniu. - Czy ty mnie kochasz, tak jak ja ciebie?

- O co ci chodzi? - mruknęła Eden. - Mówisz o tej kurtce? Tam w sklepie...

- Nie chcę, aby kupowała mi rzeczy - powiedział. - Wiem, że masz mnóstwo pieniędzy, ale ja płacam sam. Nie chodzi o to, że... tylko... zastanawiałem się, czy nie próbujesz mnie zmienić. Eden, ja jestem mechanikiem. Nie mam luksusowych domów, samochodów ani modnych ubrań.

- Teraz nie - powiedziała. - W jaki sposób? W wojsku nie możemy na niczego osignąć.

- A jeśli ja nie chcę niczego osiągnąć. Eden? - odparł Bubby. - Jeśli lubi siebie takim, jaki jestem? Możliwe, że z tym szczęśliwa?

Nie podobało jej się to, co mówił. Nie podobały jej się pytania, które zadawał. Nie chciała, by cokolwiek zepsuło cenny czas spędzony razem.

- Jak to ma znaczenie? - zapytała niecierpliwie i przycisnęła się do niego. - Czy to coś zmienia?

- Nie - przyznał ochryple i pozwolił, by jego obawy odpłynęły pod wpływem arliwego pocałunku.

Chwilę później wsiadł na rękę i położył na łokciu. Pogniecione mundury przestały ich interesować.

Było spokojne kalifornijskie popołudnie, lekki, orzeźwiający wiaterek i czyste, błękitne niebo. Mary Lynn uznała, że nie wyobraża sobie doskonalszego dnia. Nawet po wzięciu niezakochanym długim locie czuła się wesoło i radośnie. Wzięła neseser i ruszyła w stronę budynku operacyjnego, zostawiając samolot, który wzięła nie dostarczyła.

- Hej, Marty! - zawołała do długonogiej blondynki w niebieskim kombinezonie. Była to jedna z rzadkich okazji, kiedy dostały rozkazy wysyłające je w to samo miejsce. - Idziesz?

Marty przyłożyła dłoń do ust, stojąc przy samolocie obok mechanika.

- Musz dopilnować, żeby zrobili mi podwozie! - zawołała tubalnie. - Idź sama. Niedługo dojdę.

Mary Lynn pomachała, że zrozumiała, i przeszła przez szeroki pas do budynku operacyjnego. Był w nim wikszy niż zwykle tłok, kręciło się tam więcej cywilów niż zazwyczaj. Wikszość z nich rzuciła się na nią z nieukrywaną niechęcią.

- Co ty tu robisz? - warknął jeden z nich, zaskakując Mary Lynn brutalnym tonem.

- Wzięła nie przyleciałam P-47 w...

Ale nie interesowały go jej wyjaśnienia. Reszty też.

- Dlaczego nie pojedziesz do domu, gdzie twoje miejsce? - prowokowali ją.

- Nikt nie potrzebuje ciebie i reszty tych zgrabnych dupków. Nie chcemy cię tu, więc czemu się nie zmyjesz!

- Nie masz nic do roboty w kabinie samolotu!

Nie będąc w stanie odeprzeć tych obraźliwych ataków, Mary Lynn próbowała odejść, ale mężczyźni stłoczyli się wokół niej, nie pozwalając jej przejść. Biła od nich przeraźliwa wrogość. Mary Lynn była jakby przygnieciona napierającymi ciałami.

- To wszystko są bzdury! Nie jesteście niczym więcej niż gromadką ładnych panienek.

- Wracaj do domu!

Mary Lynn patrzyła na nich bezradnie, nie wiedząc, co robić. Nie rozumiała, dlaczego ją atakują.

Do grupy przedarł się oficer.

- Zostawcie ją w spokoju! - warknął znajomy głos. Mary Lynn z ulgą rozpoznała Walkera. - Spływa! Wszyscy! - rozkazał niskim, stanowczym głosem, dając im posłuchu i respektu.

Rozeszli się wolno, niechcinnie i z pomrukiwaniem. Mary Lynn została sama, roztrzęsiona i zdezorientowana.

- Nie rozumiem. Co ja robiłam? - zapytała.

- Nic nie musiała robić. - Ze zwykłym sobie lekceważeniem rygorów mundurowych, Walker miał koszul rozpiętą pod szyję, odsłaniając błyszczące blaszki identyfikacyjne na łańcuszku. W ustach trzymał papierosa i mrużył oczy, patrząc na nią przez wznoszący się dym. - Nie przejmuj się. To byli instruktorzy lotnictwa, zdający testy Dowództwa Transportu Powietrznego. Chyba nie zdali. Potem zjawiała się ty i pewnie to było za dużo dla ich uraonej dumy, że taka drobna kobieta została przyjęta, a oni nie. Masz pracę, którą oni chcieliby dostać, ale się nie nadają.

- Rozumiem. - Opuściła głowę, zmartwiona napastliwymi, która ją spotkała tak niesłusznie. - To dlatego powiedzieli, że w samolocie nie ma miejsc dla mnie.

- Hej! - Starał się ją rozchmurzyć, dotknął palcem kciuka jej ust, próbując wywołać uśmiech. - Nie wszyscy tak

my 1 . Mo esz lata w kabinie mojego samolotu, kiedy zechcesz.

Zaczerwieniła si na t dwuznaczn uwag . Usun ła si od dotyku jego r ki i chciała odej , ale chwycił j błyskawicznie w tali, wyrzucaj c papierosa. Zmusił do zatrzymania si i odwrócenia twarz do niego. Oczy pociemniały mu, gdy pieszczotliwie pogładził j po policzku.

- Zjedz ze mn dzi kolacj - powiedział.

Spu ciła wzrok, próbuj c wyzwoli si od u cisku jego r ki.

- Nie, dzi ki. Ty wypijasz swoj kolacj , ja swoj wol je .

Odeszła szybko ze spuszczon gów , mijaj c Marty, która wła nie weszła do budynku. Marty spojrzwała ostro na Walkera. On jednak zignorował j , pochylił gów , by zapali kolejnego papierosa i patrzył za Mary Lynn, gasz c zapałk . Marty rzadko kogo nie lubiła, ale dla niego czuła pogard .

- Dlaczego nie odczepisz si od niej? - warkn ła.

Walker spojrzwał na ni z szyderczym u miechem.

- S dzisz, e ona chce by chroniona przede mn ?

- Co za idiotyczne pytanie. - Marty była zła. - Ona kocha swojego m a.

- Ty... wszyscy... powinni wiedzie , e to nie ma nic wspólnego z miło ci .

Nie wiedziała, co odpowie , wi c obróciła si na pi cie i wyszła z budynku. Na zewn trz dogoniła Mary Lynn.

- Wszystko w porz dku?

- Oczywiście. - Mary Lynn szła przed siebie z podniesion gów , patrz c na wprost.

- Ten facet nie ma za grosz ogłady. Kto powinien go nauczy manier - powiedziała Marty.

- To nie całkiem tak - broniła go Mary Lynn. - Kilku pilotów przyczepiło si do mnie, poniewa wykonuj prac , która, jak uwa aj , nale y si im. Kapitan Walker przyszedł i zrobił z nimi porz dek.

- A potem sam zacz ł ci dokucza . - Cały czas ten m czyzna wydawał si jej znajomy, ale nie mogła skojarzy , sk d go zna. - Na twoim miejscu trzymałabym si od niego z daleka.

- On zna Beau - wspomniała Mary Lynn, jakby to miało doda Walkerowi wiarygodno ci.

- Co? - Marty zatrzymała si , zaskoczona tym o wiadzeniem.

- Kapitan Walker był pilotem B-17 w Anglii razem z Beau. Wie o nim wszystko.

- A co on tutaj robi? - Marty nie podobało si to, co słyszała.

- Tak jak Cappy lata C-47 do ich miejsca załadunku, kiedy schodz z linii produkcyjnej w zakładach Douglasa.

- Dlaczego armia miałaby bra do tego pilota B-17? - zapytała, nie dowierzaj c tej historii.

- A co tobie ka robi ? - Mary Lynn zacz ła i , zmuszaj c te Marty do ruszenia.

Ale Marty za witało w głowie.

- Mam! - stwierdziła, wstrzymuj c oddech, by si bardziej skupi . - To tam go widziałam. Przysi gam, e to on.

- O czym ty mówisz? - Mary Lynn stan ła, zanim doszły do zaparkowanego przed budynkiem operacyjnym jeepa, który miał je zawie na kwater .

- Zało si o miesiczn pensj , e to ten pilot bombowca, którego spotkałam w Miami Beach. Te blizny na twarzy. Ten głos. To na pewno on! - Patrz c z boku na Mary Lynn, dodała: - Był tchórzem, próbował doda sobie odwagi, upijaj c si . A co wa niejsze, nie zna Beau. On ci okłamuje, Mary Lynn. Pytałam go.

Zm czona po serii długich lotów, Cappy siedziała w kantynie bazy niedaleko Waszyngtonu i dziubiła jedzenie w talerzu. Odk d została przeniesiona, straciła apetyt, a z nim wiele innych rzeczy, jak na przykład zadowolenie. Kiedy dostała przydział do tej samej grupy transportowej co Eden, my lała, e wszystko b dzie dobrze. Mijały ju trzy miesi ce i nic nie było w porz dku.

Koperta z nowymi rozkazami le ała zamkni ta obok talerza. Jeszcze ich nie czytała, niezbyt zainteresowana, co b dzie przewozi i dok d. Od opuszczenia Long Beach cztery dni temu, Cappy zaliczyła olbrzymi liczb godzin. Czwała, e zasłu yła na t przerw i par chwil z rodzin , a szczególnie z matk , która siedziała na przeciwko.

Prawie cały czas mówiła matka, zdaj c jej relacj z wizyty na Kapitelu. Zebrała si tam Komisja Izby Reprezentantów do Spraw Słu b Cywilnych w zwi zku z programem WASP, który uznano za strat pieni dzy i czasu.

- Generał Arnold spierał si z nimi przez ponad godzin - powiedziała. - Upierał si , e kobiety-piloci s niezbdne. Jacqueline Cochran siedziała obok niego i nie odzywała si . Komisja była za rozwi zaniem całej organizacji. Mog to zrobi odmawiaj c finansowania, bo jest to program cywilny. Wszystko przez tych instruktorów lotnictwa, którzy stracili dobrze płatne kontrakty szkolenia pilotów dla wojska. Komisja zmusiła generała Arnolda do zapewnienia, e usługi tych instruktorów zostan natychmiast wykorzystane. - U miechn ła si lekko. - Boj si , e zostan wci gni ci do piechoty.

Cappy nie chciała mie nic wspólnego z wojskiem. Jedyne, czego pragn ła, to lata . Je li o ni chodzi, wojsko mo e i do diabła. Gardło jej si cisn ło i w piersi poczuła ból. Dławiło j jakie nieokre lone uczucie.

- Czy wspominałam, e widziałam Mitcha na zebraniu komisji? - zapytała matka.

Oczy Cappy miały ten sam ciemnoniebieski kolor, co jej mundur, i teraz płon ły.

- Nie, nie wspominała - odparła zduszonym głosem. - Co u niego? - zapytała oboj tnie.

- Och, jest wci tak szata sko przystojny - stwierdziła matka ze miechem. - Szkoda, e nie mo esz si z nim spotka .

- Nie mam zbyt wiele czasu - zacz ła Cappy sztywno.

- Mitcha tutaj nie ma - po pieszyła matka z wyja nieniem, potem zni yła głos. - Jest w Anglii z generałem Arnoldem... z powodu tej inwazji we Francji.

- To ona nast pi?

- Wkrótce - odpowiedziała matka i rozejrzała si , czy nikt ich nie podsłuchuje.

Mitch. Trudno jej było powstrzyma ły. Nale ał do sztabu, wi c pewnie nie b dzie wystawiony na niebezpiecze stwo. Ale nie to było powodem bólu, przygniataj cej frustracji, niemal gniewu. Post piła wła ciwie, upierała si sama przed sob . Nie udałoby si im. Przycisn ła palcami nasad nosa, próbuj c powstrzyma Izy.

- Cappy, czy co si stało?

Pokr ciła głow , potem wzi ła gł boki wdech i zmusiła si do u miechu.

- Jestem po prostu zm czona - powiedziała i próbowała si za mia , ale zabrzmiało to sztucznie. - Mówiłam ci, e sprz taczka w toalecie wzi ła mnie za hydraulika w tym kombinezonie lotniczym? Nie wiem, o co tyle zamieszania w Kongresie. Dziewi dziesi t procent ludzi nie ma poj cia o naszym istnieniu.

26

Nasi synowie, duma naszego narodu... - Gdy prezydent Franklin Delano Roosevelt rozpoc ł modlitw , Mary Lynn usiadła obok radia i pochyliła głow . Ona, Marty i Eden zgromadziły si razem z innymi WASP-ami we

wspólnym pokoju, by wysłucha najnowszego raportu o inwazji aliantów na pla e Normandii. Teraz prezydent modlił si za chłopców tam walcz cych. - Poprowad ich prosto. Daj sił ich ramionom i sercom, stało ich wierze. B d potrzebowali Twojego błogosławie stwa. Czekają ich długa i ci ka droga, a wróg jest silny. Mo e odeprze nasze oddziały. Sukces mo e nie przyj tak szybko, ale b dziemy wraca , znowu i znowu...

Wcze nie rano 6 czerwca Walter Winchell ogłosił wiadomo o inwazji za zachodnie wybrze e. Mówił o wojskach ameryka skich walcz cych w Utah Beach i Omaha, a Brytyjczycy bili si w Sword, Gold i Juno. Marty pochyliła si napi ta do radia. Słyszała o spadochroniarzach zrzuconych za liniami Niemców, przed uderzeniem marines na pla e. Był w ród nich jej brat i teraz walczył gdzie tam z innymi.

-...Daj nam wiar w Ciebie; wiar w naszych synów; wiar w siebie nawzajem; wiar w nasz krucjat ... - modlił si prezydent.

Kiedy sko czył, po pokoju rozeszło si powtórzony wielokrotnie: amen i szum rozmów po optymistycznym raporcie. W ród obaw i modlitw była równie potrzeba wi towania. Marty, Eden i Mary Lynn ruszyły do klubu oficerskiego. Wygl dało na to, e wszyscy wpadli na ten sam pomysł. Pomieszczenie pełne było oficerów, rozmawiaj cych ywo o przewidywanym zwyci stwie.

- Mój brat David tam walczy - oznajmiła dumnie Marty. - Jest spadochroniarzem, wi c brał udział w pierwszym ataku.

Kapitan Sam Walker powoli zbli ył si do ich stolika i Mary Lynn podniosła niech tnie głow . W r ku trzymał kieliszek; zawsze trzymał w r ku kieliszek. Postukała papierosem w blat, by ubi tyto .

- Paskudny nawyk. - Podsun ł jej zapalon zapałk . Spojrzała mu przelotnie w oczy i pochyliła si do płomyka.

- Tak jak picie. - Mary Lynn wyprostowała si , wypuszczaj c nonszalancko dym. - Ale, jak widz , przesadzasz z jednym i drugim.

- Wszedłem na grzeszn i zł drog . - Przysun ł sobie krzesło i usiadł pochylaj c si ku niej, - Mo e powinna spróbowa mnie zmieni ? - Obracała szklank w dłoniach, próbuj c stłumi niepokój. Sam Walker ledził najmniejszy jej ruch i wyraz twarzy. - A mo e to ja powinienem sprowadzi ci na manowce?

Marty oparła si o stół z ostrzegawczym wyrazem twarzy.

- Walker, mo e dasz jej wreszcie spokój!

- Zajmij si swoimi sprawami, Rogers. - Walker nawet nie spojrzeł na obro czyni Mary Lynn.

- Moje spraw jest trzymanie takich hien jak ty z daleka od niej.

Zało ył kosmyk włosów za ucho Mary Lynn i zauwa ył, jak przymkn ła oczy pod wpływem jego delikatnego dotyku.

- Uważasz, e potrzebujesz ochrony przede mn , male ka? - zapytał przecięgle.

- Nie. - Patrzyła w dół z napi ciem na twarzy.

Marty zmieniła taktyk .

- Masz szcz cie, e Ike dał rozkaz inwazji na Francj . Teraz wszyscy pomy l , e pijesz dla uczczenia tego i nie domy la si , e ze szklanki czerpiesz swoj odwag .

Walker nie przeje ł si jej słowami.

- Czy przeszkadza ci, e pij , male ka?

- Przestałby , gdybym powiedziała, e tak? - odparła Mary Lynn z niezwykłą dla siebie ironi .

- Nie. - Powoli u miechn ł si .

Ale Mary Lynn nie zareagowała tak, jak tego się spodziewał. Odsunęła się z krzesłem od stołu.

- Przepraszam, nie mam na to nastroju.

- Nie odchod. - Złapał ją za rękę, przytrzymał ją z lekkim naciskiem. Był zbyt mędry, żeby próbować zatrzymać ją siłą, zamiast tego popatrzył na nią przeciętnie. - Niedobrze, kiedy mężczyzna pije sam.

- W ogóle nie powinieneś pić. - W jej głosie zabrzmiała niechęć. Odpowiadała na jego zaczepki wbrew własnej woli.

- Wiadomo odciągnij mnie od tego paskudnego rumu i zatańcz ze mną. - Pociągnął jej rękę i wsunął swój dłoń pod jej palec.

Na parkiecie wzięła ją w ramiona i przycisnął mocno do siebie. Jej zapach pobudził jego zmysły. Była taka dobra i słodka - za dobra dla niego, ale jej pragnął. I błądził. Wiedział, co jest w nim złego. Gdy ją zdobył, pocieszył ją za sobą w dół. Oparła głowę na jego ramieniu, a dłonie na muskularnych barkach. Nie patrzyła na niego na belki na pagonach, a on upajał się słodkim zapachem jej włosów.

- Mylisz, że jestem tchórzem, maleńka? - zapytał łagodnie.

- Staram się nie myśleć o tobie - zgasiła go.

- Udaje ci się? - Walker przechylił głowę na bok, próbując zajrzeć jej w twarz.

- Na ogół tak.

- Ale czasami mylisz, choć przez chwilę. To już coś. - Uśmiechnął się, ale oczy zachowały powagę, całkowicie trzeźwy wyraz, pomimo wypitego alkoholu. - Ja myślę o tobie cały czas.

- Pomiędzy pić i pokerem.

- I koszmarne sny - dodał bez zastanowienia.

Popatrzyła na niego, zaskakując go szczerym spojrzeniem ciemnych oczu.

- Dlaczego nie ci się kosmary?

W tym momencie musiał uważać, żeby nie zamknąć oczu i nie przywołać obrazu myśliwców z czarnymi krzykami na skrzydłach, mknących po niebie, plujących mierniczymi rakietami, lub widoku latającej Fortecy wypadającej z szyku z odstrzelonym skrzydłem lub ogonem, krwawiącej gęstym dymem, z dziesięciu osobowozłog, może przyjaciół a może obcych. Ponad wszystko Walker chciał się pozbyć bolesnego poczucia bezsilności, kiedy samolot spadał spiralnie w dół.

Wróciła gorzka, ta okropna, w ciekła gorzka.

- Nie wiesz, że jest wojna? - Zabrzmiało to brutalnie.

- Tak, wiem - odparła cicho ze spuszczonego głowa.

Rozmyślnie szukał bolesnych miejsc, by sprawdzić, czy są wciąż wrażliwe - w nim samym i w niej.

- Dostałaś ostatnio list od matki?

- Bo co? - Zesztywniała. - Nie znasz go. - Popatrzyła na niego. - Mary w końcu sobie przypomniała, gdzie ci spotkała. To było w Miami Beach. Powiedziały jej, że go nie znasz.

- Tak? Co podobnego - mruknął Walker wcale nie przejęty. - Musiałem się pomylić.

- Celowo skłamałaś, prawda? - zapytała oskarżycielsko.

- Od dawna czujesz się samotna, prawda, maleńka? - mruknął, ignorując jej zarzut. - Całe to latanie... i ta niespokojna energia sprawiają, że jesteś napięta jak struna. Odprężenie przynosi ramiona kochanki. Tego potrzebujesz, kogoś, kto będzie się z tobą kochał i rozwijał w zły sposób w tobie.

- Dlaczego mnie okłamała ?

Zniecierpliwił si .

- Potrzebowała wymówki, eby by ze mn , wi c ci j dałem. Bawili my si w małe udawanie. Chciała móc powiedzieć : „On zna mojego m a”, eby wyja ni , dlaczego sp dzasz ze mn tyle czasu. Dlaczego ta czymy i dlatego pozwalasz mi trzyma ci w ramionach. Ty tego chcesz, taka jest prawda.

Zatrzymała si na rodku parkietu.

- Marty miała racj . Jeste kłamc i tchórzem. Musiałam by lepa, eby tego nie zauwa y .

- Nie chciała widzie - warkn ł Walker. Je li zamierzała go zrani , to jej si udało. Pomimo gruboskórno ci miał swoj dum .

- Kocham mojego m a - o wiadczyła, jakby si tym zaśłaniała.

- Jego tu nie ma, a ja jestem. I to jest ró nica.

Mary Lynn odsun ła si od niego.

- Jeste kłamc , oszustem i tchórzem. - Wyczuwszy, jak go zrani , uderzyła mocno i przy okazji odzyskała troch szacunku dla siebie.

Przez moment stał nieruchomo, potem u miechn ł si z okrutnym szyderstwem.

- W takim razie kim ty jeste , male ka?

To był silny cios poni ej pasa. Zbladła i odwróciła si od niego w momencie, kiedy Eden pojawiła si w pobl u. Wygl dała na zmartwion .

- Wszystko w porz dku, Mary Lynn? - zapytała, a jej partner nie wykazał adnego zainteresowania.

- Ja... boli mnie głowa. Powiedz Marty, e wychodz . - Mary Lynn opu ciła parkiet, id c szybko do wyj cia, a Walker tu za ni .

W kilka sekund dogoniła ich Marty i rzuciła si na Walkera z wyzywaj cym błyskiem w oczach.

- Zostaw j w spokoju, Walker!

- A ty kim jeste ? Jej opiekunk ?

- Tak. To porz dny dzieciak i chc , eby tak zostało - odparła.

- Co to znaczy? e nie jestem dla niej do dobry? - zadrwił Walker.

- Jeste draniem, Walker - powiedziała, jakby to wszystko wyja niało. - Co jej powiedział?

Walker spojrział na ni przymru onymi oczami.

- Nie twój cholerny interes. - Ruszył w kierunku baru.

Przez nast pne par dni regularnie nadchodziły raporty z Normandii, ale prawie wszystkie plotki były wci w drodze. Marty przeleciała rodkowy zachód, popatrzyła t sknie na B-17 w Las Vegas i wróciła do Long Beach 8 czerwca. Nigdy nie przestało j zadziwia , jak dobrze zakamuflowane były lotniska na wybrze u Pacyfiku. Gdyby nie wiedziała, gdzie si znajduj , nigdy by ich nie zauwa yła.

Wróciwszy po trzydniowej nieobecno ci, wetkn ła głow w drzwi pokoju Mary Lynn.

- Cze , wróciłam.

- Jak min ł lot? - Mary Lynn odło yła na bok papeteri , wstała z łó ka i pod yła za Marty do jej pokoju.

- Nie le. Wpadłam w jakie wi stwo w południowym Colorado, ale udało mi si z tego wylecie , zanim pogoda si pogorszyła. - Rzuciła neseser na w skie łó ko i przejrzała poczt , która zebrała si podczas jej

nieobecno ci. Wzi ła jedn kopert . - Prosz , a to co? - spytała zdziwiona i usiadła na łó ku z podwini t nog . - Telegram od moich rodziców. - Spojrzała na Mary Lynn otwieraj c kopert . - Od dawna nie miałam od nich wiadomo ci. - Wyj ła telegram i przeczytała go. - Nie - powiedziała cicho, zaszokowana.

Mary Lynn chciała si odezwa , ale zobaczyła, e Mary zbladła, kiedy podniosła głow znad telegramu.

- Mój brat... David. - W jej głosie brzmiało zaskoczenie i niedowierzanie. - Zostali zawiadomieni... - zacz ła jeszcze raz, patrz c na telegram, jakby musiała go znów zobaczyć . -...zgin ł w akcji.

Zapadła cisza. To nie mo liwe, by David, jej brat... Nie przestawała my le , e mo e zaszła jaka pomyłka. Szok pozbawi j wszelkich uczu , poczuła si pusta. Był jej starszym bratem, jej idolem i rywalem; to jemu zawsze chciała dorówna albo go przewy szy . Miał wróci do domu jako bohater, z odznaczeniami na piersi. To niesprawiedliwe, e musiał zgin .

Mary Lynn rzuciła okiem na telegram, którego tak si obawiały matki i ony. Przeszył j strach. Po raz pierwszy piorun uderzył tak blisko. To ju nie był syn s siadki z bloku, ani m dalekiej kuzynki. To był brat Marty.

- Marty. - Mary Lynn zrobiła krok w kierunku milcz cej, zapatrzonej postaci na łó ku, chc c j pocieszy .

- Nie. - Marty wstała z łó ka i odwróciła si tyłem do niej, obj wszy si ramionami. - Ja... - Dławiła si z alu. - Mama i tata... b d mnie potrzebowali. Chyba... załatwi sobie wolne na ten weekend i pojed do domu.

- Pomog ci - zaproponowała Mary Lynn.

- My l ... raczej załatwi to sama. - Pragn ła si czym zaj . Nie mogła si uspokoi , gdy jedno zdanie brzmiało jej w głowie: „zgin ł w akcji”, David Allen Rogers III zawsze odgrywał tak wielk rol w jej yciu. Jego mier pozostawiła pustk . - Wybacz mi. Chc zosta sama.

Lecz Mary Lynn nie mogła znie my li, e zostanie sama.

Chciała by w otoczeniu ludzi, miej cych si , kochaj cych, ywych. Wyszła z prawie pustego baraku. Wi kszo dziewcz t była gdzie na trasie, a te, które zostały, robiły zaległe pranie lub odsypiały.

Przyci gn ł j szum na placu postojowym. Przed chwil stała z boku, słuchaj c rozmów i pracuj cych silników. Jednak potrzebowała czego wi cej, by zapełni pustk , wi c weszła do budynku operacyjnego.

Piloci chodzili po pokoju, grali w karty, gaw dzili, palili papierosy, artowali, lecz ona w tym nie uczestniczyła. Chciała by cz ci wiata ywych, a nie obserwatorem.

Mary Lynn nie wiedziała, jaka siła sprawiła, e odwróciła si w momencie, kiedy wszedł Walker. Ciemny zarost po całym dniu pokrył jego policzki, zasłaniaj c blizny. W oczach wci czał si ironiczny błysk, cho w k cikach były bruzdy ze zm czenia. Spod zsuni tej na tył głowy czapki wychodziły g ste, wiecznie potargane ciemne włosy. Skórzana kurtka była rozpi ta, a na szyi wisiały swobodnie ko ce białego szalika.

Zatrzymał si , by przypali sobie papierosa. Przez płomyk zauwa ył drobn milcz c kobiet , która patrzyła na niego z rogu pokoju. Ciemne oczy wpatrywały si w niego.

Przez moment była dla niego jedyn yw istot w pokoju. Podniósł powoli głow i strz sn ł zapałk . Nadal patrzyła na g niego, nie odwróciła si ani nie okazała niech ci.

Był w tym sygnał, co do którego pragn ł... si upewni .

Ruszył w jej stron bez po piechu.

- Cze , male ka.

Odezwała si bez wst pu, cichym głosem.

- Marty dostała telegram. Jej brat zginął w akcji.

Bez poczucia winy Walker wziął ją w ramiona i trzymał, dopóki napięcie nie ustąpiło. Pochylił głowę i dotknął ustami jej delikatnych kruczonych włosów. Niepewnie i powoli podniosła głowę i spojrzała na niego.

Walker nie potrzebował niczego więcej. Namiotny pocałunek zaspokajał jej potrzeby. Nie był pewien, czy specjalnie to zrobiła, ale w pełni odwzajemniła jego pocałunek.

Oddychał znacznie szybciej, kiedy oderwał od niej usta.

- Dziś wieczorem - po tym pocałunku pragnę obietnicy - przyjadę po ciebie o dziewiętnastej.

Przez chwilę wyczuł, że zmaga się ze sobą, ale ostateczna odpowiedź padła bez wahania.

- Tak.

Mary Lynn czekała w korytarzu hotelowym przed pokojem, gdy Walker otwierał drzwi kluczem, otrzymanym od recepcjonisty. Wszedł do łazienki, szybko lustro w drzwiach, i dopiero wtedy wprowadził ją i zamknął drzwi.

W niewielkim pokoju znajdowało się łóżko i komoda, która nie na wiele się przydawała. Mary Lynn podeszła do okna, unikając spojrzenia na łóżko, ale widok ograniczał się do bocznej uliczki Los Angeles.

Zaszeleciała papierowa torba i zabrzmiały butelki. Słyszała ruchy Walkera za plecami. Stała przy oknie i słuchała odgłosu ustawianych butelek i otwierania kapsli.

- Czego się napijesz, coli z rumem czy rumu z colą? - W leniwie przeciągającym słowach głosie nie było zwykłej ironii.

- Niczego, dziękuję - odparła.

- Wybacz, że nie przyniosłem dla ciebie whisky. Wiem, że właśnie nie to pijesz - kiedy pijesz - powiedział i nalał do szklanki płynu, który cicho zasyczał.

Kiedy ona dostrzegła, jak wieszka kurtkę na oparciu krzesła, odwróciła się, a on właśnie rozluźniał krawat. Mówił coś, ale jego słowa do niej nie docierały. Podeszedł do łóżka, pociągnął po drodze łyk drinka i odstawił szklankę na komodę.

Rozwiązał krawat, rozpiął guzik kołnierzyka, wyciągnął koszulę ze spodni i rozpiął całą. Rzucił ją na brzeg łóżka i ciągnął przez głowę podkoszulek, trzymając blaszki identyfikacyjne, które zabrzmiały.

Wstał, by rozpiąć spodnie, nagi do pasa i zauważył, że Mary Lynn stoi cicho przy oknie. Przyjrzał się jej uważnie i przechylił głowę na bok.

- Czy coś jest nie w porządku?

Spojrzała na drzwi z wyrazem zakłopotania na twarzy.

- Kiedy się meldowaliście, recepcjonista wiedział, że nie jesteście małżeństwem, prawda?

- W tym, czy to go obchodziło, skoro zapłaciliście za pokój. - Wzruszył ramionami. - Jakże to ma znaczenie?

- Pewnie nie ma żadnego. - Spuściła wzrok. - Ale to jak na nas patrzył... sprawiło, że to jest... plugawo i tanie.

Walker zrozumiał, że nie polepszył sytuacji, rozbierając się, jakby był ze zwykłego dzik. Zaklął w myśli na swój głupot i podeszedł do niej, łagodnie odwracając ją od okna.

- Mylisz się, małżonko - powiedział z naciskiem. - Jesteś zbyt piękna i dobra, żeby cię skalało. - Słyszał swoje górnolotne słowa, wypowiedziane szczerze. Wydawały się prawdziwe w jego ustach. Za miał się cicho i pogładził zagłębienie pod jej uchem.

- To brzmi patetycznie. Ale to prawda.

Spojrzała na niego z odrobiną żalu w ciemnych oczach.

- Nie jestem taka dobra, jak myślisz, Walker.

Pomyślała, że to prawda; inaczej nie byłaby z nim w tym pokoju hotelowym. W tej chwili nieważne było, czy to ona zniżyła się do jego poziomu, czy on wzniósł się do niej. Ukryty lepszy człowiek swej duszy zrozumiał, że nigdy przedtem tego nie robiła.

Delikatnie odciągnął ją od okna, wziął jej twarz w dłonie i pocałował powoli i żarliwie. Kiedy napięcie i zawstydzenie ustąpiły, zaczął ją rozbiierać, pieszcząc niespiesznie miejsca, które odstąpił, zanim posunął się dalej. Chciał zaspokoić swój głód, czuć smak jej skóry na jej zębach i dotyk twardych sutków pod palcami. Oparła mu ręce na piersi i poczuła silne bicie jego serca.

Długo powstrzymywane podanie rozgrzało ich ciała i przyśpieszyło oddech. Kiedy została naga, Walker wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko.

Tutaj stali się uczestnikami najbardziej pierwotnego aktu - mężczyzna i kobieta odkrywają sposoby łaczenia się. Odczuwają cudownie krótkich chwil - zawsze chcących więcej.

Czwarta

27

Prześcierało dokładnie zakrywało jej piersi i trzymała je, by się nie zsunęło. Mary Lynn nie potrafiła wyjść, nawet sobie, potrzeby ukrycia własnego ciała. Z pewnością nie przed Walkerem - on poznał je dokładnie... i dał satysfakcję. Czy o to chodziło? Czy wolała, żeby nie było tak dobrze jak z Beau?

Zmysłowa, słodka przyjemność minęła i inne uczucia zaczęły ją dławić. Papieros, który paliła, stracił smak, więc przekrzyknęła się na bok, by zgasić go w popielniczce. Kiedy odwróciła się z powrotem, Walker leżał na boku i patrzył na nią. Z jego papierosa unosił się dym. Widoczna w jego oczach ironia trudna była do zniesienia.

- Myślisz o nim, prawda?

- O kim? - Mary Lynn udawała, że nie wie, o co chodzi.

- Nie udawaj, małżonko. - W jego głosie zabrzmiał gniew. Usiadł, przechylił się w bok, sięgnął po butelkę rumu i nalewał sobie do szklanki. - O twoim mężu, oczywiście. - Napił się i zaczął przyglądać się szklance. - To dręczące poczucie wstydu i winy nie potrwa długo. Minie, jak wszystko inne, a do następnego razu.

- Skąd wiesz? - zapytała zła, że wdarł się do jej umysłu, jak do ciała.

Walker obejrzał się przez ramię. Rozciągnął usta w niewesołym uśmiechu.

- Ponieważ byłem tam, kochanie. - Delikatnie pogładził ją po policzku, potem odwrócił się. - Byłem tam. - Znowu podniósł szklankę do ust.

Pokój oświetlała jedna lampa, rzucając cienie z pojedynczej żarówki. Kiedy Walker podniósł ramię, przymglone światło padło na nagą skórę napiętą na umiarkowanych plecach. Całe ciało pokrywały liczne czerwone blizny. Nie były stare, lecz wiek zagojone. Minie wiele czasu, zanim zaczerwienione kreski zmienią barwę na różową, a potem zbledną.

- Niech ci to nie spada z powiek - poradził jej Walker. - On się nie przejmuje. Jest wiele rzeczy, które nie pozwolą mi spać spokojnie, ale na pewno nie to, że szuka pociechy w czyich ramionach. Może poczucie winy przez moment, może wtedy gdy ona zrobi coś, co mi przypomni Ciebie? Czy tak było z Tobą? - Odwrócił głowę i spojrzał na nią. - Przypomniałem ci jego?

Czasami nim gardziła za jego brutalność; ten temat nie był dla niej; niczego dyskretnie nie omijał.

Gorzej, erował na jej w tpliwo ciach wobec Beau.

- Ty nie jeste taki jak on.

- Naprawd ? - zapytał, ale dał temu spokój.

- Ty nawet nie znasz Beau. - Mary Lynn nie wiedziała, czemu upiera si przy tym temacie, chyba e był to rodzaj kary. - Po prostu zgadujesz.

- On jest m czyzn , prawda? - powiedział twardo ze zniecierpliwieniem. - Czego chce ka dy m czyzna, kiedy jest spragniony? Je li jest daleko od domu, napije si z najbli szej studni. Mo e b dzie t sknił za smakiem wody w domu, ale napije si , by zaspokoi pragnienie. Tak to ju jest. Mo e dlatego jeste my ulepieni z gliny, poniewa impulsy, które nas pobudzaj s nieczyste.

- Nigdy bym nie przypuszczała, e jeste filozofem. - Jego słowa uspokoiły j , ale wydawało si dziwne, e wła nie on broni Beau, tłumacz c jego niewierno . A mo e dawał jej usprawiedliwienie? Albo sobie?

- Taka jest wojna. - Walker gapił si w szklank , jakby tam kryła si odpowied . - Na pocz tku próbuje si zrozumie wszystkie jej powody, ale jest to taki absurd, e po bli szym zbadaniu, ka dy powód jest bez sensu. Wi c albo idziesz dalej ze lep wiar w ludzi, którzy ci prowadz , albo bierzesz butelk i pijesz, dopóki wszystko si nie rozplynie i straci znaczenie.

- Jak tam jest? - Przytrafiły mu si rzeczy, których nie rozumiała. Zastanawiała si , czy wszyscy piloci bombowców wróc do domu tacy jak Sam Walker.

- Jak w piekle. - Nast piła długa cisza, a Walker zatopił si we własnych my lach. Potem mówił dalej, płaskim, beznamy tnym głosem: - Tam nie jest tak, jak to opisuj albo pokazuj na ekranie. W filmach widzisz wroga, czy jest to ółek, czy szkop. Walka m czyzny przeciw m czy nie jest honorowa, chwalebna. Ale tam nie walczy si z lud mi; walczy si z maszynami. Na tym polega okropno tej wojny. Ta strona, która ma wi cej i lepsze maszyny, wygra.

- Niemo liwe, eby to było tak proste.

- Dlaczego? - zapytał prowokuj co. - Poniewa słuszno jest po naszej stronie? Poniewa jeste my lepsi od nich? Albo odwa niejsi, czy silniejsi? Wygramy, bo mamy surowce i fabryki, które potrafi produkowa czołgi i samoloty niemal tak szybko, jak oni mog je zestrzeliwa .

- Nie s dzisz, e mamy powód, by walczy ? - Nie przyjmowała do wiadomo ci tego, co mówił.

- Tak. - Westchn ł z gorycz . - Tak, musimy walczy , ale czy musimy tyle traci ? Kiedy wracamy z nalotów na Niemcy, nasi generałowie nie licz strat w ludziach. Tylko maszyny; ile maszyn stracili my? Wysyłaj nas w gór - mo e dwadzie cia formacji, w ka dej sze dziesi t samolotów. Zapełniaj niebo. - Gapił si w gór , ciskaj c szklank w dłoni. - Nad głow my liwce lec w eskorcie, ale niedługo. Potem ko czy si im paliwo i zawracaj , a my zostajemy na łasce... oni nie maj łaski. Czeka na ciebie. Wiedz , e si zbli asz, i czekaj - ich my liwce i artyleria przeciwlotnicza. Ale ty znów lecisz. Nie mo na zboczy z kursu, eby zmyli wroga. Musisz dotrze do celu, zrzuć bomby i modli si , eby adna rakiet z ich my liwców nie trafiła twojej Fortecy. - I cały czas słyszysz w słuchawkach ostrze enia: krzyki załogi w twoich uszach... twój własny głos w ród nich... ostrze enia o zbli aj cych si samolotach. Dookoła wybuchy, uderzenia kuł rozrywaj cych metal... i ten ból, kiedy czujesz, e twój samolot został trafiony, ale nie wiesz, jak powa nie. Próbujesz go po prostu utrzyma w powietrzu i na kursie do celu - zawsze na kursie. Nie mo esz wypa z formacji. Uszkodzony samolot jest jak zraniona kaczka, a my liwce rzuc si na niego jak stado wilków.

Krople potu pojawiły się na jego czole, a Mary Lynn poczuła chłód z przerażenia od jego wizji.

- Zbliż się do ciebie z czarnymi krzykami na skrzydłach, strzelaj z karabinów. Widzisz, jak inni zostają trafieni, silniki płoną, maleńkie języki ognia zbliżają się do zbiorników paliwa, czarny dym unosi się z silnika. Forteca traci skrzydła i patrzysz, jak pilot próbuje wyprowadzić z pikowania i wyrównać lot, żeby załoga mogła wyskoczyć, zanim maszyna wybuchnie. Może ich znasz, a może nie, ale liczysz spadochrony i wrzeszczysz na tego dziesiątego, żeby skakał.

...Chociaż nie zawsze. Czasami nikt nie wyskakuje. Leci w dół i wiesz dlaczego. Kto z załogi jest ranny lub spadochron poszedł w strzępy i inni nie chcą zostawić kumpla, więc giną wszyscy. - Wyszczerył się i cedził przez nie słowa, oczy mu zwilgotniały, był rozpalony i rozgoryczony. — Wtedy patrzysz, jak niemieckie myśliwce celują do spadochronów i widzisz chłopaków rzucających się w ciekle na linkach, by uniknąć kuli. Albo tych, których spadochrony się pali i mają mil do ziemi, by myśleć o tym, jak umrzeć.

...To są właśnie nie myśliwce - powiedział gwałtownie. - Chłopcy mają do czego strzelać. Ale artyleria przeciwlotnicza to już coś innego. Niemiecka artyleria zna twój zasięg i wysokość. Siedzisz na ziemi i strzelają do nas, zasypują niebo eksplozjami, a powietrze robi się szaroczarne. Milla po mili, im dalej lecimy, tym głośniejsze się ono staje. Coraz więcej bombowców wypada z formacji, niektóre wybuchają w powietrzu, zamieniając się w ogniste kule, inne są zbyt uszkodzone, by lecieć dalej. Ale reszta leci wciąż do celu.

...Kiedy tam dotrzesz i zrzucisz bomby, zawracasz do domu. I musisz znów przelecieć przez piekło. Szansa, że przebrniesz przez nie bez obrażeń, są zerowe. Samolot zostanie trafiony, może nie zbyt groźnie. Albo ktoś z załogi zostanie ranny, może powierzchownie, a może poważnie. Czekasz na ochronę myśliwców, żeby odprowadziły cię do domu i może nawet się uśmiechniesz, kiedy zobaczysz kanał La Manche, bo znów pokonałeś los.

Walker odwrócił się od niej. Chciała płakać, kiedy zobaczyła wyraz jej twarzy, ale strach chwycił ją za gardło. Przeraziła ją ta brutalna wizja wojny.

- Ale nie to jest prawdziwym piekłem, maleńka. To nie naloty, trasy do celu i z powrotem. Nie. Piekłem jest wiadomo, że musisz tam wrócić, znowu i znowu. Nie lecisz tam tylko raz. Tylko znów i znów i znów. A twoje szanse powrotu wyrywają się jak dym razem, a w końcu człowiek wie, że jesteś martwy. Wiem jak mogą go zabić, skoro i tak już nie żyje?

- Nie! - Mary Lynn poczuła okropne zimno i przerażenie, więc przytuliła się do jego ciepłego ciała.

Sprawił, że mierzyła się tak blisko, a ona chciała żyć. To właśnie ten instynkt czynił ich wzajemny pociechą tak silnym. Połknięcie mężczyzny i kobiety było czynnikiem prokreacji - a prokreacja zapewniała przetrwanie. Ludzie mogą żyć dalej dzięki swoim dzieciom. Dlatego nic dziwnego, że strach wywołuje podniecenie seksualne, że przed bitwą mężczyzna potrzebuje kobiety, a kobieta mężczyzny.

I jeżeli dwoje ludzi znajdzie pocieszenie i ciepło w ramionach drugiego, mają szanse żyć.

Później kiedy Mary Lynn zasnęła, Walker wpatrywał się w sufit, z ręką założoną pod głowę. Palił papierosa i pił kolejną szklankę rumu. Butelka była prawie pusta. Spojrzał na nią, na jej twarz otoczoną ciemnymi włosami. Pamiętał miękkość jej oczu, tak bezdennie i nieodpartą.

Zastanawiał się, czego mężczyzna szuka w oczach kobiety - co ma nadzieję zobaczyć? Pragnął jej, miał ją, ale wciąż nie był zadowolony. Dlaczego nie mógł być szczęśliwy z tym, co zyskał? Może nie było nic poza przyjemnością ciała, przez ten krótki czas. Czy mogliby stworzyć coś, co trwałoby dłużej?

Kolejny łyk rumu. Wiele razy nad Niemcami wdychał ten ostry zapach siarki. Wylądował w piekle i przywiózł je tu w sobie. To sprawiło, że stał się ponury, a równocześnie nie pragnął dobrych rzeczy. Ale kiedy wylądował w piekle, czy może na oczekiwania, czy może się usłyszy pieśń aniołów?

Popatrzył na nią z takim głębią pragnieniem, że miał ochotę krzyknąć. Poznał szczerą i spontaniczną miłość, którą mu dała, i poczuł rosnące zazdrość o miłość, którą zachowała dla matki. Niełatwo było poprzestać na tym, co mógł dostać, i nie dać więcej.

Kiedy Marty stanęła na werandzie domu rodziców w Michigan, łzy popłynęły jej po policzkach. Z okna zwisała flaga ze złotych gwiazd, oznaczająca miłość i poświęcenie w rodzinie. Dziwne, ale przez to miłość Davida stała się bardziej prawdziwa.

Za szybko ktoś się poruszył. Marty wytarła twarz i podeszła do drzwi frontowych. Weszła do domu, a w korytarzu pojawił się jej ojciec. Postarzał się z wiekiem, ramiona miał opuszczone, a twarz pustą, jakby pozbawioną życia. Nie od razu ją poznał, ubrany w oficjalny letni mundur.

- Martha - powiedział niepewnie.

- Przyjechałam najszybciej, jak mogłam, tato. - Objął ją, pragnąc pocieszenia, ale on przytulił ją mechanicznie. - Przykro mi, tato.

- Nie możesz nic zrobić. - Jego głos brzmiał głucho, jak u kogoś, kto się zgubił i nie zależy mu, by go odnaleziono. - Nikt nie może nic zrobić.

W domu panował ponury mrok, chociaż na zewnątrz wieciało wspaniałe czerwcowe słońce. Marty zauważyła to, gdy odsunęła się od ojca. Było duszno, jakby nikt już tu nie mieszkał.

Z pokoju gościnnego dobiegł cichy szmer i Marty obróciła się. W drzwiach stała matka, cała ubrana na czarno.

- Powiedziała jej? - zapytała matka Althea Rogers. - Nawet nie przyłapała jego ciała do domu. Pochowali go we Francji. Tak daleko.

Nie spojrzawszy ani razu na Marty, odwróciła się i cofnęła się w głąb pokoju. Marty została sama, gdy ojciec podał za pogrzebioną w łóżku matkę. Poszła za nimi. Wszedłszy do salonu, natychmiast zwróciła uwagę na fotografię Davida z czarną przepaską, stojącą samotnie na stole. Miała wrażenie, że stoi przed ołtarzykiem.

Rodzice siedzieli obok siebie na kanapie blisko zdjęcia. Ojciec objął matkę ramieniem i oboje wpatrywali się w fotografię. Marty miała dziwne wrażenie, że im przeszkadza, gdy usiadła w fotelu naprzeciw nich. Gdziekolwiek spojrzała, znajdowały się pamiątki po nim - album ze zdjęciami, zeszyt z wycinankami, dziecięce buciki.

- Mówili mi, jak to się stało? - zapytał ojciec ze łzami w oczach.

- Nie - odparła cicho, ochryple.

- Został zabity, kiedy próbował ratować rannego kolegę. Chciał go odciągnąć w bezpieczne miejsce i wtedy strzelił do niego snajper. Zginął na miejscu. - To wydawało się pocieszeniem dla jej ojca lekarza.

- W miejscowości, które nazywa się Mezieres. - Matka wzięła leżący na stole atlas świata, otwarty na mapie Francji. - To tutaj. - Wskazała jeden z setki punkcików na półwyspie Cotentin, a Marty posłusznie spojrzała. - Był takim dobrym chłopcem, takim dzielnym.

- Może byś z niego dumna, Althea - stwierdził ojciec. - Został przedstawiony do odznaczenia przez swoich kolegów.

Marty spojrzała na rodziców, otoczonych fotografiami i pamiątkami po Davidzie, i zrozumiała, że pomyliła się

s dz c, i b dzie im potrzebna. Nigdy nie mogła konkurowa ze swoim bratem, kiedy ył; nie mogła mie nadziei, by z nim wygra teraz, gdy stał si martwym bohaterem.

To był samotny, gorzki weekend, podczas którego Marty samotnie opłakiwała swojego brata. Jej te go brakowało, ale zdawało si , e jej rodzice nie bior tego pod uwag . Cieszyła si , wsiadaj c do poci gu, e wraca do Kalifornii.

Przybywszy do baraków WASP, zauwa yła, e pokój Mary Lynn jest zamkni ty.

- Czy kto wie, kiedy wróci Mary Lynn? - zapytała dziewcz t, siedz cych we wspólnym pokoju.

Wi kszo wzruszyła ramionami i tylko jedna si odezwała.

- Zapytaj kapitana Walkera. On mo e wiedzie .

- Dlaczego on miałby wiedzie ? - zapytała zaczepnie Marty.

- Sp dzili razem weekend, wi c my l , e wspomniała mu, kiedy wróci. - Informacja padła oboj tnie. - Jest w klubie oficerskim, je li chcesz go zapyta .

- Czemu s dzisz, e sp dzili razem weekend? - dopytywała si Marty.

- Có , jedyne, co wiem, to to, e Walker przyjechał po ni w pi tek i odwiózł w niedziel . Domy lam si , e sp dzili ten czas razem. To wszystko.

Kłopot, wiedziała, e ten facet sprawi kłopot od pierwszej chwili, gdy na niego spojrzeła. Marty stała jeszcze przez chwil , a potem wypadła z baraku i poszła do klubu oficerskiego.

Widz c j kapral na słu bie stan ł na baczno i zasalutował, jak nakazywał regulamin, ale Marty zignorowała go i pop działa po schodach do klubu. Wszyscy usuwali si jej z drogi, widz c wojowniczo min i ostry błysk w jej oliwkowoszarych oczach.

Zatrzymała si w rodku, by rozejrze si po sali. Spozrzegła m czyzn z belkami kapitana na ramieniu, siedz cego samotnie w rogu. Było jeszcze wcz e nie, ale dobrze si ukrył. Marty ruszyła prosto do jego stolika.

Walker zauwa ył, e si zbli a, ani nie zdziwiony, ani nie przej ty jej pojawieniem si . Pij c kolejn col z rumem, zwrócił oboj tnie uwag na jej gniew, który zaraz mógł eksplodowa .

K ciki ust lekko drgn ły w słabym u miechu, kiedy stan ła przy jego krze le z rozwianymi miodowymi włosami, gotowa do walki.

- Cze , Martho Jane. - Walker powitał j znienawidzonym przez ni imieniem, nawet nie patrz c.

Wytr ciła mu z r ki szklank , która potoczyła si po stole i spadła na podłog , a zawarto rozlała si .

- Ty cholerny draniu! - Nie starała si mówi cicho ani ukrywa w ciekło ci. - Ty zepsuty, mierz cy sukinsynu! Jak mogłe jej to zrobi ?

Walker wzi ł serwetk , by zetrze rozlany na stole napój, i skin ł, by mu przyniesiono nast pnego drinka.

- Chcesz czego ? - W ko cu podniósł głow i spojrzeł na ni .

Zaci ni ta pi poleciała na jego twarz, trafiaj c w szcz k . Uderzenie zabolowało i poczuł na j zyku smak krwi. Prysno jego pozorne opanowanie i wpadł w zło . Krzesło upadło na podłog , kiedy wstał, by stan przed kobiet , która go zaatakowała.

Zrobił krok w jej kierunku, ale kto przytrzymał go za ramie.

- Hej, Walker, opanuj si - odezwał si czyj głos. Ale tylko on zauwa ył, e Marty nie cofn ła si ani o milimetr. Wpatrywali si w siebie bez mrugni cia okiem.

Napił mi nie, by wyzwolił się z ręk, które go przytrzymywały.

- Nie znasz tej tu Marthy Jane - powiedział do oficera za plecami. - Potrafi walczyć bardziej zajadle niż wielu m. czyn.

Na ustach Walkera pojawiła się struga krwi z rozcięcia tej wargi. Wyciągnął rękę, spojrzawszy przelotnie na plamę i popatrzył na Marty. Poza wyciekło ci na jej twarzy zabłysła iskierka satysfakcji.

Oficerowie patrzyli jeden na drugiego, czując się nieswojo w atmosferze naładowanej wrogością, i zaczęli wychodzić. Ryzyko ponownego starcia wydawało się być zaognane, chociaż oficer zdziwił się, że Marty nie podziękowała mu za pomoc.

Minęła chwila i Marty zaczęła znów obrzucać go błotem.

- Jesteś gorszy niż szumowina. Jesteś ...

- Oszczędź sobie. - Walker przerwał jej w pół słowa. - Nie w tym, że potrafisz kleić jak szewc, ale nie interesuje mnie słuchanie epitetów, którymi raczysz mnie obrzucać. Jeśli tylko o to ci chodzi, to możesz sobie iść.

Kelner przyszedł zebrać potłuczone szkło i wytrzeć podłogę. W jego obecności Marty powstrzymała jego zły. Walker podniósł krzesło i usiadł na nim przy stoliku. Przyniesiono mu następnego drinka. Ale Marty nie mogła zareagować. Odsunęła krzesło i cięko na nim usiadła.

- Dlaczego? - dopytywała się. - Dlaczego to zrobiła? Dlaczego nie mogła zostawić jej w spokoju?

- Jeśli nie ja, to byłby ktoś inny. - Oparł się na stole, trzymając szklankę w obu dłoniach.

- Nie! - Marty nie przyjmowała takiego wyjaśnienia. - Była namolny. Cięgle za nią łączyła. - Patrzyła na niego z nienawiścią. - Załóż się, że jesteś z siebie bardzo dumny. Pijesz, by to uczcić, prawda?

- Uczcić - powtórzył, jakby zastanawiał się nad tym słowem. - Nie mam czegoś wiśtowa, Martho Jane.

- Nie mów, że ci jest przykro - odparowała szyderczo.

- Nie, niczego nie żałuję. - Wiedział, co Mary Lynn przyćmiła do niego. Widziała w nim swojego męża, takiego jaki, by może, wróci do domu po wojnie. Ale to przypuszczenie Walker zatrzymał dla siebie. Nie zawsze jest m. drze zbyt analizować pewne sprawy, a szczególnie zwińki między ludźmi. Czasami to, co kryło się pod powierzchnią, było bolesne.

- Jesteś zwykłym pijanym, zdegradowanym pilotem, który kiedyś dobrze latał - zakpiła Marty. - Wojsko wykopało ci, żebyś mógł sobie bezpiecznie latać małymi samolocikami pasażerskimi. Nie jesteś człowiekiem, jesteś tchórzem.

- Ocalałem skórę, nie dzięki wojsku, i chcę ją zachować. Ty możesz sobie być napalonym pilotem. Ja chcę po prostu przeżyć wojnę.

- Kapitalne nastawienie. Myślę, że to przez takich facetów jak ty kobiety wykonują najbardziej niebezpieczne zadania: loty próbne, holowanie tarcz. Kobieta zawsze dostaje głównian robot! - powiedziała prowokująco.

- Jeśli ci się nie podoba, możesz zrezygnować.

- Nie jestem tchórzem i dezerterskim, jak ty - odparła sztywno. - Ani kłamcą i oszustem, i szcurem, i wszystkim innym wiśtwem, którym ty jesteś. Nigdy nie zrozumieć - dodała porywczo - nigdy nie zrozumieć, dlaczego ktoś taki jak ty żyje, a mój brat musiał zginąć!

- Słuchaj. - Walker przeniósł wzrok na papierosa. - Było mi przykro, kiedy usłyszałem o twoim bracie. - Dziwnie zabrzmiały te wyrazy współczucia.

- Nie mów o nim! - zachrypiła. - David nigdy w życiu niczego się nie bał.

Zacisnął ją piści, lecz Walker nie odpowiedział. Rozumiał tę niechęć do niej, choć rzadko kto się do niej przyznawał. Zawsze dziwne poczucie winy przeładowało tych, którzy przeżyli, gdy ich koledzy zginęli.

Marty odsunęła się od stołu i wstała.

- Trzymaj się z daleka od Mary Lynn, kiedy mnie nie ma, Walker. Jeśli ją skrzywdzisz, przysięgam, że mi za to zapłacisz.

Walker uśmiechnął się oschle. Nie było odwrotu od tego, co zaszło. Zawsze, kiedy spojrzy na Mary Lynn, ogarnie go poczucie własności. Należała do niego i będzie należała znowu. Zakończymy razem, kiedy popatrzy na siebie, oboje pomyślowo tej intymności, która ich połączyła. Potrzeba dotyku była ludzko słabość. Ale Walker nigdy nie twierdził, że jest silny. Kiedy Marty odchodziła, gapił się w swój szklankę.

Waszyngton przaył się w okropnych letnich upałach, choć czerwiec dopiero się rozpoczynał. Major Mitch Ryan otarł krople potu nad górną wargę. Na galerii dla gości w Izbie Reprezentantów powietrze było duszne i nieruchome, a gorąco utrudniało koncentrację na toczącej się debacie.

Mundur przyklejał mu się do ciała i Mitch tęsknił za łagodniejszym klimatem Anglii, którą niedawno opuścił. Generał Arnold został tam jeszcze na rozmowy z dowódcami alianckimi. Strategia powietrzna, zaplanowana na spotkanie w Casablance rok wcześniej, okazała się skuteczna. Naloty bombowe, dokonywane w dzień przez Amerykanów a w nocy przez RAF, wprowadziły chaos w systemie transportowym wroga, powstrzymując posuwanie się nazistowskiego wsparcia do Normandii. Uderzenia na fabryki samolotów praktycznie zniszczyły niemiecką Luftwaffe, pozostawiając ją niezdolną do stawienia oporu inwazji. Alianci dysponowali większą siłą powietrzną.

A zatem generał Henry Harley Arnold został w Anglii, a Mitchowi rozkazał wracać do Stanów, by ledzi debatę nad ustawą militaryzującą WASP. Wyglądało na to, że Mitch nie może uciec od spraw, które przypominały mu Cappy.

„Washington Post” przepowiadał bitwę płci o tę ustawę. Dwa dni wcześniej kongresman z Luizjany James Morrison oddał pierwszy strzał, krytycznie wyrażając się o WASP, jako elitarnych formacjach, które ubierają się w eleganckie, szykowne mundury szyte u Neiman-Marcusa. Morrison protestował przeciwko temu, że przypuszczalnie lepiej wykwalifikowani cywilni piloci mogą dostać najwyższe prace przy myciu szyb. Od początku jasne było, że dyskusja osiągnie temperaturę równą tej na zewnątrz. Mitch miał także własne problemy związane z tą sprawą.

Następnego dnia siedział na galerii, a wokół niego zwolennicy cywilnych pilotów zgłaszali swoje obiekcje wobec ustawy o WASP, bez przerwy przerywając członkowi Komisji Prawnej. Zamieniło się to w czterdziestopięciminutowy proces. Kiedy przyjęto zasady, rozpoczęła się debata i głosowaniem, Izba odroczyła posiedzenie do następnego ranka, 22 czerwca 1944 roku, pierwszego dnia lata.

Reprezentant Charles Elston z Ohio, członek Komisji do Spraw Wojskowych i wnioskodawca ustawy, zabrał głos:

-...Instruktorzy muszą zdać tylko egzamin drugiej klasy, który jest równoznaczny testowi pilota liniowego. Z drugiej strony, WASP musi zdać egzamin bojowy...

Mitch zamysł się nad czym innym. Wszystkie argumenty za lub przeciw ustawie koncentrowały się na kontrowersji wokół cywilnych pilotów, których usługi nie były już potrzebne w szkoleniu pilotów wojskowych.

Jednak e w tocz cej si w Europie wojnie piechota potrzebowała ludzi. Wi c nie chodziło o to, czy kobiety s pilotami o wysokich kwalifikacjach, wykonuj cymi kluczowe dla wojska zadania, lecz czy odbieraj prac m czynom.

Przypomniały mu si czasy, kiedy siedział za fotelem pilota, a Cappy prowadziła samolot. Pochylał si do niej i całował jej szyj ...

I znów powrócił ból, gn bi c go wizj jej twarzy. Mitch pragn ł jej, kochał j nie mniej ni przedtem, lecz pozostała pustka. Cappy nie uznawała kompromisów.

- Jakim sposobem te kobiety mog robi to, czego nie mog robi cywilni piloci? - dopytywał si Compton White, kongresman z Idaho.

John Costello, były prawnik z Kalifornii, odpowiedział:

- Cywilni piloci prawdopodobnie posiadaj kwalifikacje do wszystkich tych zada , ale armia potrzebuje teraz m czyn na front.

Mitch spojrział na przeciwnika Costella, który rzucił wyzwanie.

- I szanowny pan chce zabra tych ludzi z lotnictwa i przenie do piechoty?

- Nie.

- O to chodzi, prawda? - upierał si White.

- Nie - odpowiedział Costello. - Je li m czy ni maj kwalifikacje do pilotowania, chcemy im powierzy samoloty wojskowe. Je li nie nadaj si jako piloci, chcemy, by byli nawigatorami i bombardierami. Chcemy wykorzysta ka dego, kto si nadaje.

Upał, debata, uprzedzenie widzów, wszystko to razem zirytowało Mitcha. Odpowied White'a nie ró niła si od innych komentarzy, które ju padły. Cały czas powtarzano argumenty ju przedstawione.

Głos znów miał Costello.

-...Naley to zrobi , poniewa obecnie tym kobietom odmawia si hospitalizacji; odmawia si im ubezpieczenia i innych rzeczy, do których powinny mie prawo, jako personel wojskowy. Z racji pracy, któr wykonuj , powinny otrzymywa ...

Mitch spojrział na zegarek i zastanowił si , jak długo jeszcze to potrwa. Debata dalej trwała, a on wyszedł z galerii, by rozprostowa nogi. Kiedy wrócił, swoj opini przedstawiał Karl Stefan.

- Bez wzgl du na to, co Izba my li o kobietach w naszych siłach zbrojnych, panie przewodnicz cy, teraz kiedy dyskutujemy na ich temat, nie mog oprze si obronie ich sprawy - powiedział deputowany z Nebraski. - O ile wiem, kwalifikacje tych kobiet, je li idzie o pilotowanie powietrznych potworów przez burze i chmury, by dostarczy je, gdzie nale y, po wielu tysiach kilometrów lotu, s najwyszej próby. Ich umiej tno odczytywania map i obsługiwania radia, ich zdolno ci radzenia sobie w sytuacjach wyj tkowych - wszystko to stanie si powszechnie wiadome, kiedy wojna si sko czy...

Oni wszyscy mówi , jakby koniec wojny był nieuchronny - pomy lał z niech ci Mitch. Wojska dopiero wkraczały do Cherbourg, by zabezpieczy półwysep Cotendn, a marynarka walczyła z flot japo sk na Morzu Filipi skim, niedaleko Marianów.

Debata toczyła si , dopóki deputowany Edward Izak nie przyznał otwarcie, e pragnie obali ustaw .

- Na pla ach Kalifornii przesiaduje ponad dwa tysi ce m czyn. - Był to stan, który reprezentował. - Przez cztery lata byli instruktorami, najlepszymi lotnikami w tym kraju. Armia o wiadzcza: „Nie zdali cie egzaminu, wi c

wyno cie si , ale my ubierzemy w mundury kobiety i damy im wasz prac ". Czy to nie pi kna sytuacja?

To było sedno sprawy.

Po prawie pi ciogodzinnej debacie Mitch nie był zaskoczony, e w rezultacie, stosunkiem głosów 188 przeciwko 169, zdecydowano o niewł czeniu kobiet pilotów do Wojskowych Sił Powietrznych.

Bez w tpienia Cappy b dzie zadowolona, kiedy si dowie, e nie zostanie wcielona do wojska.

W poniedziałek generał Arnold wrócił do swojego biura w Pentagonie, gdzie spotkał si z Jacqueline Cochran. Uznała, e Kongres nie chce, by w Avenger Field w Sweetwater nadal szkolono kobiety. Generał zgodził si z tym. Jeszcze tego samego dnia zostały wysłane telegramy informuj ce o zako czeniu programu. Szkolenie, które jeszcze trwało, zostanie doprowadzone do ko ca, lecz nie b d ju tworzone nowe grupy.

Do ko ca czerwca 1944 roku w wypadkach samolotowych zgin ły dwadzie cia trzy kobiety. Główn przyczyn były usterki techniczne, chocia zdarzały si te kolizje w powietrzu, gdy kontroler z wie y przez nieuwag dał zgod na l dowanie dwóm my liwcom jednocześnie. Kilka kobiet zgin ło w czasie szkolenia w Avenger Field wraz ze swoimi instruktorami.

28

Marty wbiegła po schodach do baraku, wesoło machaj c neseserem i gwi d c jak melodi , i o mało nie wpadła na wychodz c Mary Lynn. Popatrzyły na siebie w napi ciu, a lipcowe sło ce oblewało je bursztynowym blaskiem.

Przez dwa tygodnie, odk d Marty wróciła z Michigan, rozkład lotów nie dał im szansy spotkania. Dobrze si zło yło, poniewa Marty miała czas, by upora si z szokiem i bólem z powodu tego, co uznała za upadek Mary Lynn. Próbowwała cał win obarczy Walkera, przekonana, e Mary Lynn po prostu nie widzi, jaki to podły człowiek.

Oczy zabłyły jej z irytacji, kiedy zauwa yła kruczoniebieski blask na wie o umytych włosach Mary Lynn i przyjrzała si jej. Rz sy pomalowała tuszem, podkre laj c ciemne oczy, które zawsze j wyró niały, ale kolory na policzkach były naturalne. Omin ła wzrokiem Marty, chc c przej obok niej.

- Wybierasz si gdzie ? - zapytała Marty, celowo chc c wywoła u Mary Lynn poczucie winy. - Z Walkerem, jak s dz ?

Mary Lynn odpowiedziała chłodno i bardzo spokojnie.

- Nie s dz , eby to była twoja sprawa, dok d id i z kim.

- Czy by? - Ura ona i zła, Marty uderzyła w czuły punkt. - A co z Beau? Pewnie to te nie jego sprawa! My lałam, e go kochasz!

- Kocham - stwierdziła Mary Lynn i dodała prowokuj co, by si broni : - Ale jestem te człowiekiem. Nie s dzisz, e i ja czasem odczuwam samotno ?

- Masz nas - odparła Marty, maj c na my li siebie, Cappy i Eden. Jej zdaniem było to wystarczaj ce towarzystwo dla m atki.

- Ty te - odparowała Mary Lynn. - Wystarcza ci tylko nasze towarzystwo?

- To nie to samo. - Nie chciała przyj do wiadomo ci, e Mary Lynn ma takie same potrzeby fizyczne, jak ona.

- To, co ja robi , nikogo nie krzywdzi. Jak mogła tak post pi ?

Mary Lynn odczuwała pragnienia, jak ka dy inny. Dlaczego nie miała prawa ich zaspokoi ? Dlaczego musiała

ze wszystkiego rezygnowa? Jednak wiedziała, że nie ma żadnego usprawiedliwienia poza czysto egoistycznymi powodami. Czuli się winni, ale nie wiedzieli, jak się z tego wydobyć.

Marty patrzyła za nimi, jak schodziła po schodach. Wiedziała, że niczego nie osiągnęła, jednak nie zamierzała się poddać. Mary Lynn bardziej jej potrzebowała niż kiedykolwiek. Odwróciła się i chciała wejść do rodka, ale w drzwiach stała Cappy, patrząc na nią z pogardą.

- Masz duży tupet, Marty, żeby rzucać w nich kamieniami - powiedziała ze złości. - Może ty mi powiesz, dlaczego grzesznicy są źli, a wiedzący o moralności nie są?

Marty zaczerwieniła się i przeciśnieła do rodka budynku.

We wczesny sierpniowy poranek Douglas C-47 Skytrain dokonywał lotu krajoznawczego nad Parkiem Narodowym Yellowstone w północno-zachodnim Wyoming. Po prawej stronie w przełomie między górami widniał drewniany domek myśliwski, starożytny, masywny budynek, dopasowany do majestatu otaczających gór. Nieopodal kwitła fontanna pary i wody, nad którą unosiła się falująca chmurka wilgoci.

- Widziałaś to? - wykrzyknęła podniecona Fran Davenport z fotela drugiego pilota, na sekundę rzucając okiem na Cappy i z powrotem na cudowny widok. - To był Old Faithful! Mamy szczęście, że przelatujemy akurat, kiedy nastąpiła erupcja! Nie mogłyśmy lepiej trafić!

Zarazliwy entuzjazm Fran i jej umiejętność znajdowania przyjemności w prostych rzeczach, wywołał uśmiech na twarzy Cappy. Po raz pierwszy leciały razem. Pierwszy etap nie został zakończony, ale Cappy spokojnie mogła powiedzieć, że rutynowy lot zamieniał się niemal w przygodę dzięki Fran.

- Czy planujesz swoje trasy według atrakcji, które możemy zobaczyć po drodze? - zapytała z humorem.

- O ile to możliwe - przyznała szczerze Fran Davenport wyglądając cały czas za okno na sterburcie. Letnie niebo odbijało się szafirowym blaskiem w jeziorze Yellowstone. - Zanim zostałam przyjęta do WYSP i pojechałam do Teksasu na szkolenie, nigdy nie opuszczałam stanu Iowa. Teraz latam z jednego końca kraju na drugi. Mogłabym nigdy nie mieć takiej szansy podróży i zamierzam zobaczyć, ile zdołam, dopóki mogę.

- Rozumiem cię.

Wróciły na pułap i przemieknęły obok Saddle Mountain i pomiędzy Windy Mountain i Sunlight Peak, wpadając tylko w niewielkie turbulencje. Głębokie lasy Yellowstone ustąpiły miejsca jałowej ziemi Wyoming.

- Co to? - Fran wskazała skupisko budynków na samym środku pustkowia. - Wygląda jak miasto albo jaka baza, ale na moich mapach nic takiego nie ma.

Cappy przechyliła samolot, by spojrzeć w dół. Wielka zielona łąka ostro kontrastowała z wypalonym dookoła ziemi i marnie wyglądałymi budynkami, otoczonymi drutem kolczastym.

- To musi być obóz internowania dla Japończyków w Heart Mountain - domyliła się.

- Naprawdę? - Fran wyciągnęła się, by lepiej widzieć. - Myślałam, że oni są w jakichś wioskach. To nie wygląda na wioskę.

- Jest ogrodzone i strzeżone - przypomniała jej Cappy. - W tym, czy jest to coś ważnego. - Ramiona zaczynały jej sztywnieć od siedzenia w jednej pozycji. Przeciwnie się. - Przejmij na chwilę ster, Fran - zaproponowała.

Miały przed sobą długą drogę do celu, do Wright Field w Dayton w stanie Ohio. Nie było sensu się spieszyć, skoro mogły się zamieniać po drodze. Fran przejęła stanowisko pilota, a Cappy oparła się wygodnie.

Pó nym popołudniem wyl dowwały w Wright Field i odstawiły dostarczony samolot na plac postojowy. W tej bazie monitorowano badania, testowano maszyny i dostarczano sprz t dla lotnictwa wojskowego. Wykonywano tu eksperymenty i próby nowych silników, przyrz dów i prototypów.

Kiedy szły w kierunku budynku operacyjnego, Fran musiała biec tyłem, by nad y za Cappy i jednocze nie patrze na niezwykły kolekcj maszyn, stoj cych na placu.

- To japo ski Zero! - wykrzykn ła. - Patrz! Tam stoi Messerschmitt.

Nagle rozległ si gło ny pisk, potworne wycie. Cappy i Fran gwałtownie si zatrzymały. Gapiły si , usiłuj c zlokalizowa ródło, a d wi k wci si nasilał.

- Co to jest? - zaciekała si Fran, marszcz c brwi.

- Nie wiem - mrukn ła Cappy.

- Testuj prototyp silnika odrzutowego. - Kobiocy głos zaskoczył je obie i szybko obróciły si , by spojrze na kobiet w niebieskim mundurze. U miechała si przyja nie. - Cze . Sk d jeste cie?

- Dywizja Transportowa z Long Beach - odpowiedziała automatycznie Cappy, zaintrygowana informacj . - Odrzutowy. Zasilany nowym systemem nap dowym. Słyszałam o atakach rakiet odrzutowych na Angli i zastanawiałam si , jaki d wi k wydaj te niemieckie wiszcz ce bomby. Teraz wiem.

- Widziała to? - zapytała Fran.

- Chciałabym - odparła WASP. - Rzuciłam par razy okiem na niego, ale to wszystko. Z przyjemno ci wsiadłabym do kabiny odrzutowca.

- Latasz dok d ?

- Jestem jednym z pilotów testuj cych nowe systemy tlenowe, stanowiska strzeleckie i inny sprz t eksperymentalny, albo nowe silniki.

- To brzmi ciekawie - zauwa yła Cappy i wszystkie trzy ruszyły do budynku operacyjnego.

- Bo jest - przyznała. - To jest naprawd futurystyczne miejsce. Miał racj ten, kto powiedział, e niebo jest bez granic. Niektórzy in ynierowie tutaj mówi o podró y na Ksi yc.

W budynku rozstały si . Cappy i Fran poszły w jedn stron wypełni swoje papiery, a dziewczyna w drug . Kiedy sko czyły, darowały sobie jedzenie w stołówce i poszły na obiad do klubu oficerskiego.

Pierwsz osob , któr Cappy zauwa yła wszedłszy do rodka był Mitch Ryan. Poczwała, jakby ziemia si pod ni zatrzała i krew zacz ła pulsowa . Przez chwil nie wiedziała, co robi , ale nogi same j zaprowadziły do niego.

- Cze , Mitch. - Zatrzymała si przy jego krze le, u miechaj c si , niepewna, jak j przywita. Chciała go jednak zobaczy , porozmawia z nim.

Odwrócił si i spojrzał w jej oszałamiał co niebieskie oczy. Zdradził si na ułamek sekundy, ale szybko si opanował i ukrył rado . Ból wci był okrutnie wie y. W ci gu tej sekundy Cappy poczuła ekscytacj , któr jego u miech kiedy wywoływał. Potem znikn ło ciepło, a on przybrał surow , powa n min .

- Cze , Cappy - powiedział oboj tnie.

- Byłam zaskoczona widz c ci tutaj.

- Nie rozumiem dlaczego. - Mitch strzepn ł popiół z papierosa do popielniczki. - To jest baza wojskowa. Gdzie mam by ? - Jego ciemne oczy błyszcząły prowokuj co.

Cappy odsun ła si i dopiero teraz zauwa yła kobiet w mundurze WAC, siedz c z nim przy stoliku.

- Mitch i ja jeste my starymi znajomymi - powiedziała na pytaj ce spojrzenie blondynki.

- Tak, byli my dobrymi przyjaciółmi. - Mitch zmienił czas na przeszły.

- Wybaczcie, moja koleżanka czeka - powiedziała nagle Cappy, ponieważ sytuacja stała się niezręczna. Odeszła, nienawidzę go za to, że przez niego poczuła się jak intruz.

Fran czekała na nią przy stoliku.

- Czy to twój stary znajomy? - Spojrzała zachwycona na Mitcha.

- Był. - Cappy uśmiechnęła się do czasu przeszłego, jak on.

- Aha - domyśliła się Fran. - Dawny płomień, co?

Cappy usiadła, nie potwierdziwszy ani nie zaprzeczywszy temu, i wzięła menu, ale spojrzała w stronę stolika, gdzie siedział Mitch. Obserwowała, jak pochyla się blisko kobiety, mówi coś do niej i śmieje się. Zaciśnięta zębami w gwałtownym przypływie zazdrości.

W czasie obiadu Cappy starała się ignorować parę, ale było to trudne, gdy Mitch wykazywał coraz więcej zainteresowania swoją towarzyszką. Wyglądała na tyle lat co Mitch, o ile nie więcej - pomyślała Cappy zjadliwie.

Im bardziej starała się nie patrzeć na nich, tym bardziej ją korciło, by spojrzała. Złościło ją uczucie zazdrości, które ją skręcało, gdy widziała, jak Mitch wpatruje się w jaskrawoczerwone usta kobiety.

Parę minut później wstali i poszli tam czy. Jednak nie mogła już znie widoku ich przytulonych tak ciasno i rękami Mitcha powoli głaszczących plecy partnerki.

- Jesteś dzisiaj bardzo towarzyska - mruknęła sucho Fran.

- Przepraszam. - Cappy gwałtownie wstała od stolika i poszła do toalety, by nie patrzeć na tulące się i całujące parę.

Ochlapała rozpaloną twarz zimną wodą, która pomogła jej powstrzymać łzy napływające do oczu. Cappy udało się opanować, przekonywać sam siebie, że powinna była się tego odziewać i poradzić sobie. Została w toalecie, dopóki nerwy się nie uspokoiły.

Wychodząc na zewnątrz, wpadła na Mitcha opuszczającego toaletę. W kciuku jego ust została smułka jaskrawoczerwonej szminki, na której widok wróciły wszystkie gorące uczucia, które próbowała stłumić.

- Nie wytarłem dokładnie szminki, Mitch - poinformowała go i ze złości obserwowała, jak odruchowo podniósł rękę do ust.

- Nie wytarłem i co? - odparł nie spieszony i otarł usta chusteczką.

- Chciałem, żebyś to zobaczyła, prawda? - mówiła przez zaciśnięte zęby, zmagając się z bólem, który czuła, i szukając ostrej odpowiedzi.

Nie zmienił swojego zachowania pełnego dystansu. Złoty powoli chusteczkę i schował ją do kieszeni.

- Widziała raport, który przedstawiła wasza słynna dyrektorka prasie na początku miesiąca?

- Tak, widziałam parę artykułów - przyznała kwaśno.

- Popęłniła ten sam błąd co ty. Faktycznie postawiła generałowi Arnoldowi ultimatum, stwierdzając, że jeśli jej WASP zostaną zlikwidowane, to oznacza to koniec tego programu. - To stwierdzenie wywołało u Cappy napięcie, a Mitch uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Kongres nie ma ochoty wciągać do wojska gromady kobiet pilotów. A generał Arnold jest człowiekiem pragmatycznym. Nie zamierza dyskutować o przesądzonej sprawie. Założył się o moje życie i twoje, a już niedługo sobie polatacie. Ale ty nie powinnaś się tym przejmować. W końcu odmienna decyzja oznaczałaby wcielenie was do armii. A ja wiem, jak wstrętna jest ci ta myśl.

- Nie winię cię, że chcesz mi odpłacić za to, że ci zraniłam - oświadczyła sztywno. - Ale nienawidzę cię za to,

Mitchu Ryanie.

Chwył ją za ramiona i przytrzymał. Przez długi czas patrzył na nią z góry z zaciętymi zębami. Przyglądał się, jakby próbował zapamiętać jej rysy.

- Naprawdę? - warknął ostro. - Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałabym powiedzieć: „Szczerze mówiąc, moja droga, nie obchodzi mnie to!...” Ale najgorsze jest, że wcale mnie nie obchodzi!

Puścił ją z gwałtownością, która wskazywała, że równie łatwo chciałby o niej zapomnieć. Cappy patrzyła zakłopotana na jego szerokie ramiona, gdy odchodził.

Poza bólem, zadrętwieniem i niechęcią, poczuła ukłucie strachu na myśl o niemożności latania, utracie skrzydełek i munduru, który nosiła z taką dumą. Je li je rozwinie, gdzie ona pójdzie?

Nieźwiasto widziało się bombowiec B-17 na lotnisku w Long Beach. Dlatego widok potężnego ptaka o skrzydłach rozpiętych na blisko trzydzieści metrów przyćmił Martę i wywołał w niej wspomnienia, kiedy latała podobnym Fortecem.

- Cześć, Big Friend - powiedziała, cięgnąc rękę po kadłubie i pieszcząc metalową skórę. Spojrzała na dziób z pleksiglasu i trzyskrzydłowe migłociągowe bombowca. - Stracił cię dla mój czynny - mruknęła kwaśno. - Nie był tego wart, zapewniam.

Pracownik obsługi naziemnej nachylił się, by spojrzeć, czyje to nogi są po drugiej stronie.

- Mówisz do mnie?

Marta schyliła się nie wiadomo, czy kto tam był.

- Tak - skłamała. - Czy mogłabym zajrzeć do rodka?

- Jasne. Mnie to nie przeszkadza. Możesz sobie tam nawet urządzić przyjęcie, jeśli chcesz - powiedział wspaniałomyślnie. Nie po raz pierwszy któraś z tych pilotek chciała wejść do kabiny samolotu.

Nie potrzebując dalszej zachęty, Marta podeszła do luku. Wspięła się do rodka. Powoli ruszyła naprzód, rozglądając się dookoła i przypominając sobie detale. Zbliżyła się do kokpitu, zauważyła jakiegoś kapitana siedzącego w fotelu pilota. Chciała wrócić rozczarowana, ale mój czynny usłyszał jej kroki i odwrócił się. Spojrzała na Walkera i przez jej ciało przebiegł dreszcz złości.

- To ostatnie miejsce, gdzie spodziewałam się cię spotkać, Walker. - Weszła do rodka i wcisnęła się w fotel po prawej stronie. Popatrzyła na znajome tablice kontrolne, przypominając sobie te wszystkie testy w czasie szkolenia, kiedy musiały z zamkniętymi oczami wskazać przyrządy.

- Proszę, Martha Jane - zdziwił się sucho.

- Skąd znalazłaś odwagę, by tu znowu wsiąść? - zapytała sarkastycznie.

- Minęło trochę czasu, odkąd siedziałem w kabine takiego samolotu, - Walker odruchowo pocierał rękę, wspominając i patrząc na układ dźwigni i przełączników. - Chciałem sprawdzić, jak będzie tu znów czuć. - Odwrócił się do niej. - A jak ty masz wymówek?

- Tak samo - przyznała. - Tylko że mnie to nie przeraża. Gdyby te silniki zaczęły pracować, załóż się, że narobiłbyś w majtki.

- Nadal mnie gardzisz, prawda? - Przyglądał się jej surowym, chytrym spojrzeniem. - Nadal siedzisz, że zdemoralizowałem Mary Lynn, tak?

Patrz c przed siebie, chwyciła ster i zacisn ła na nim r ce w przypiływie gniewu.

- Wolałabym o niej nie mówi .

- Jeste tward kobiet , Martho Jane. Prawdziw samiec . Jeszcze nie wiesz, dlaczego ona si ze mn spotyka? - Prowokacja w jego głosie zabrzmiała gorzko. - Boi si , e jej m mo e wróci do domu pokr cony jak ja. Miała kiedy racj mówi c, e go kocha.

- Z pewno ci jeste ekspertem w tej kwestii - odburkn ła sarkastycznie - ale nie interesuje mnie twoja opinia.

- A co ci interesuje?

- Latanie.

- Tylko latanie?

- Czasami my l , e m czy ni nie s warci kłopotów, które sprawiaj - mrukn ła. - Nigdy nie miałam cierpliwo ci do tchórzy i oszustów.

- Znasz to dobrze, prawda, Martho Jane? - zadrwił. - S dzisz, e jeste wietnym pilotem, nie?

- Wiem, e jestem.

- Tak? Có , ch tnie si dowiem, jak dobra jeste . - Wstał.

- To znaczy? - zapytała Marty.

Zatrzymał si i pochylił nad ni .

- To znaczy, e we miemy tego Big Frienda na przeja d k . Chc si dowiedzie , na ile jeste naprawd wietnym pilotem, a na ile to puste gadanie. - Przycisn ł r k jej rami , wypychaj c j mocniej w fotel drugiego pilota. - Zaczekaj tu, a ja pójd po zezwolenie na lot. Je li ci nie b dzie, kiedy wróc , to znaczy, e stchórzyła .

Nie bardzo wierzyła, e on wróci, ale gdy wyszedł, Marty dokonała rutynowego sprawdzenia przyrz dów. Mniejsza o ambicj . Poleci z tym szatanem, je li to pozwoli jej znów pilotowa Lataj c Fortec .

Dwadzie cia minut pó niej Walker biegi przez plac, daj c jej znak, e dostali zezwolenie. Z rado ci i podnieceniem Marty u miechn ła si pod nosem i wyci gn ła list kontroln , by przygotowa samolot do startu. Spod kadłuba usłyszała tupanie, gdy Walker wsiadał do samolotu. Wszedłszy do kabiny, poklepał j po ramieniu, daj c do zrozumienia, eby usiadła w fotelu pilota.

- Ty lecisz - powiedział i szybko usadowił si w fotelu, który przedtem zajmowała. - Tylko, na lito bosk , nie dotykaj radia. Wiesz, jak traktuj załogi mieszane. My l , e mój pilot nazywa si Martin Rogers.

- Kurcz , nawet gdybym co powiedziała, nie domy liliby si - o wiadczyła Marty grubym głosem, przeł czaj c guziki, które uruchamiaj pompy hydrauliczne. - Jak to załatwił e ? - cisn ła guzik i 1200-konny silnik Wright zakaszłał.

- S sposoby, Martho Jane - odpowiedział Walker, przekrzykuj c warkot, zanim silnik zaskoczył i rykn ł równym g tonem, a pot ne migło zacz ło wirowa .

Wkrótce wszystkie cztery silniki pracowały z ogłuszaj cym hukiem. Pot na siła i podniecenie wprawiły w dr enie dr ek steru, gdy Marty pchn ła go i zacz ła kołowanie. Czekał c na pozwolenie na start na ko cu pasa, spojrzła krzywo na Walkera.

- Wygl dasz troch błado, Walker - stwierdziła. - Je li zamierzasz si rozmy li , poczekaj, a b dziemy w powietrzu.

- Martw si o siebie - odparł.

Chwytem, jakiego j uczono, Marty ruszyła dr ki do przodu i wielki bombowiec potoczył si po pasie,

nabieraj c pr dko ci. Kiedy pr dko ciomierz wskazał 176 kilometrów na godzin , poczuła, jak długie skrzydła łapi wiatr. Poci gn ła koło kontrolne do siebie i B-17 oderwał si od ziemi, nabieraj c gracji w miar wznoszenia si . System hydrauliczny zaszumił, gdy podwozie i tylne koło zostały wci gni te do rodka.

Rado z lotu a dudniła jej w yłach. Skierowała Fortec wysoko w chmury i skr ciła w kierunku pustyni. Wszystko wróciło. Czua si , jakby nigdy nie wysiadła z kabiny Boeinga B-17. Wyrównała lot na wysoko ci dwóch tysi cy metrów. Wrze niowe niebo dookoła było czyste.

- No, poka emy, co ta maszyna potrafi - powiedziała do Walkera. - Zobaczmy, czy wytrzymasz prawdziwe latanie.

Przez nast pne dwadzie cia minut Marty wykonywała masywnym czterosilnikowym bombowcem cyrkowe popisy akrobacji powietrznych, korkoci gi, p tle z niezwykł precyzj - wszystko dla czystej przyjemno ci. Obecno Walkera na s siednim fotelu przestała mie znaczenie.

- Sko czyła te popisy? - przerwał jej.

- Jeszcze tam jeste ? - odparła ironicznie.

- Tak. I teraz moja kolej - oznajmił.

Oddała mu stery niech tnie. W chwil pó niej była wiadkiem pokazu umiej tno ci, jakich dot d nie widziała. Walker przewy szał jej poziom doskonało ci. Zwykły pilot mógłby poczu si przy nim jak amator.

Kiedy wyl dowali w Long Beach, Marty wyszła lukiem i czekała na Walkera. Gdy stan ł obok niej na ziemi, przyjrzała mu si ze szczerym, cho niech tnym szacunkiem.

- Jeste wietnym pilotem - musiała przyzna , chocia nie podobało si jej, e jest w nim co , co mo na podziwia .

- Ty te - odwzajemnił komplement z tak sam rezerw . - Zabawne, prawda?

- Co? - Napi ła si .

- Oboje kochamy to samo: te wielkie bombowce i Mary Lynn, ale nie mo emy si nawzajem znie - stwierdził Walker.

- Tak. To prawda - zgodziła si . Chciała odej , ale si zawahała. - To było wietne tam, w górze.

- Było.

Podniosła r k i zsalutowała z uznaniem, a Walker zrobił to samo. Marty wsun ła r ce do kieszeni spodni i odeszła od wielkiego samolotu i kapitana stoj cego w jego cieniu.

29

W pierwszy wtorek pa dzielnika skopiowane listy wstrz sn ły wszystkimi w koszarach. Pierwszy z nich pochodził od dyrektorki kobiet pilotów. Marty otworzyła oficjalnie wygl daj c kopert z Kwatery Głównej Lotnictwa Wojskowego w Waszyngtonie i przeczytała tylko pierwsze linijki zimnego, oficjalnego tekstu:

Do wszystkich WASP:

Generał Arnold nakazał, by program WASP został anulowany z dniem 20 grudnia 1944 roku. Dla ka dej osoby doł czamy list, w którym wyja nia si okoliczno ci...

List był dłu szy, ale Marty nie czytała dalej. Wybiegła z pomi tymi kartkami w r ku i pop dziła do pokoju Eden, wpadaj c bez pukania.

- Czy ju ... - Marty nie musiała mówić nic więcej.

Przekrzywiona głowa i oszołomienie malujące się na twarzy Eden wyjaśniały wszystko. Powoli podniosła wzrok, pełen oburzenia.

- Jak oni mogli nam to zrobić ?

W drzwiach stanęła Mary Lynn. W opuszczonej ręce trzymała listy, a czarne oczy lśniły jej od łez.

- Ty te dostała - powiedziała.

- Tak. - Eden znów wpatrzyła się w słowa napisane na maszynie, oznaczające początek końca.

- Na pewno jest coś, co możemy zrobić - protestowała Marty, oburzona przyjęciem przez koleżanki decyzji jako ostatecznej. - Czy pozwolimy im pogłaskać nas po głowie i odesłać do domu. „Bądź grzeczną dziewczynką i idź do domu, ci nie potrzebujemy”. Oto co nam mówi !

- Jeśli chodzi o pieniądze, to mogłoby być za darmo - oświadczyła Eden.

- Oni już postanowili - wtręciła Mary Lynn, by zakończyć próbę walki z wiatrakami. - Niczego nie zmienicie. W listach wszystko jest jasno przedstawione. - Spuściła oczy, by ukryć wzburzenie. - Doprawdy, powinniśmy być zadowolone, że zwyciężamy w tej wojnie. Połowa grudnia, Beau może już jest w drodze do domu z paroma innymi pilotami, których mają zwolnić ze służby.

Jednym z powodów, dla których pojechały do Sweetwater półtora roku temu, była potrzeba czynnego udziału w walce o zwycięstwo. Ale teraz jakby coś się zmieniło. Poczuli się już nieważni, chociaż ponad wszystko pragnęły latać.

- Hej, van Valkenburg. - W drzwiach pojawiła się kobieca głowa. - Kto czeka na ciebie przy bramie.

- Ktokolwiek to jest, powiedz mi, czy sobie poszedł - odburknęła Eden.

- Sama mu powiedz. - I już jej nie było.

- Ostatecznie mogłoby być - mruknęła Eden, podnosząc się z pryczy. Odwróciła się, by rzucić listy na koc, i głośno zamylała się: - Czyś dzisiejsze Cappy wie o wszystkim? - Wyleciała tydzień wcześniej w sprawie transportu samolotów i jeszcze nie wróciła do Long Beach.

- Cappy wie wszystko - odparła Marty. - Ona prawdopodobnie wiedziała, co armia zamierza z nami zrobić, już wcześniej, zanim te listy zostały napisane.

- Powiedziała by coś o tym. - Eden porzuciła tomy, chwyciła kurtkę i włożyła ją na siebie.

Nie miała ochoty widzieć się z nikim, a szczególnie w tej chwili. Eden miała paru „znanych” znajomych w Kalifornii, którzy uważali, że „fajnie” jest mieć kogoś ze swoich, kto lata samolotem w czasie wojny. Przypuszczała, że to jeden z nich, taki, co to chce, żeby wziął udział w jakimś spotkaniu towarzyskim.

W oddali Eden ujrzała mężczyzn z ramionami do tyłu. Sposób, w jaki był ubrany, wskazywał, że nie jest Kalifornijczykiem, przyzwyczajonym do ciepłej, słonecznej pogody, utrzymującym się przez cały rok. Był ubrany w garnitur, a w dodatku miał na sobie kamizelkę i krawat. Promienie słońca odbijały się w jego okularach.

- Ham! - zawołała Eden zdziwiona i pobiegła go przywitać. - Co ty tu robisz? - Pochwyciła jego rękę. Nagle poczuła się zadowolona, że przyjechał. Potrzebowała wsparcia i pociechy, które zawsze jej dawał. W przypływie rzadko okazywanej, choć szczerzej sympatii, puściła jego rękę i zarzuciła mu na szyję ramiona.

Przytuliła policzek do jego twarzy, mówiła:

- Dobrze, że cię widzę.

Przez chwilę konserwatywny Hamilton Steele był zbyt zaskoczony, by zareagować. Po chwili objął ją ostro.

- Gdybym wiedział, że zostanę tak ciepło powitany, przyjechałbym wcześniej.

Kiedy udawał swobodne zachowanie, Eden zastanowiła się, czy nie wprawiła go w zakłopotanie. Zrobiła krok do tyłu, przekrzywiając lekko głowę.

- Nie mogłem się pojawić wcześniej w porę, lub nie w porę. Zależy, jak na to patrzysz. - Krótkie westchnienie wyrwało jej się z piersi. - Przyszła dziś wiadomość, że zwalniam nas do domu... 20 grudnia.

- O to właśnie chodzi. - Hamilton nie okazał rozczarowania. - Kiedy otrzymuje się złe wiadomości, potrzebny jest ktoś, kto by cię pocieszył. Proponuję obiad u Browna Derby... ze mną oczywiście.

- I duży szkockiej, żeby utopił w niej smutki. - Wymuszony uśmiech pojawił się na jej twarzy. - Kochany Ham, ty zawsze wiesz, czego potrzebuję.

W znanym klubie Hollywood, przy drinkach i obiedzie, Ham opowiedział jej o swojej podróży w interesach, która zawiodła go na zachodnie wybrzeże. Eden słuchała nieuwzięta, chociaż widziała, że Ham próbuje odciągnąć jej uwagę od niemiłych myśli. Rozglądała się po klubie, podziwiała pluszowe wnętrza, ściany ozdobione karykaturami sławnych ludzi, lecz nie udało jej się zmienić złego nastroju i dopasować do otoczenia.

- Może chcesz o tym porozmawiać? - zachęcał ją delikatnie.

Po chwili namysłu Eden potrząsnęła głową.

- To by nic nie zmieniło, tylko wpadło mi w jeszcze większą i przygnębiającą. - Trzymała kieliszek Cointreau za obrzebie i patrzyła, jak wirujący w środku likier mieni się bursztynowym blaskiem.

- Może to pomoże - zasugerował tajemniczo i sięgnął do kieszeni, wyciągając coś małego, a następnie położył na stole. Kiedy cofnął rękę, Eden zobaczyła wieciec jasnym blaskiem tysiące załamanych brylantów. Kamień umiejscowiony w środku pierścienia był dużym półtorakaratowym amerykańskim diamentem, otoczonym małymi diamentami ułożonymi w kształcie gwiazdy.

- Kupiłem to kiedy przypadkowo u Tiffanego - powiedział Ham od niechcienia. - Pomyślałem, że może ci się podobać.

- Jest fantastyczny - przyznała Eden. Lecz propozycja, którą sugerował pierścieniem, sprawiła, że odpowiedziała z rezerwą. - Ham, ja...

Ham podniósł rękę.

- Na razie nic nie mów - poprosił. - Nie ma w tym nic zaskakującego, że chciałbym się z tobą oeni. Słysz, że mówiłem o tym nieskończoną ilość razy. Pomyślałem tylko, że korzystając z okazji przedstawię ci moją propozycję, zanim ten... hm... mechanik sprzątnie mi cię sprzed nosa.

- Ale...

- Eden. - Hamilton wziął ją za rękę. - Wiesz, że mogę ci zapewnić takie życie, jakiego ci potrzeba. Byłaby szczęśliwa ze mną... byłoby nigdy tak szalenie... ale byłaby szczęśliwa. Widz, że ja i twój mechanik walczymy o wielkie stawki, o ciebie. - Umilkł i uśmiechnął się błado. - Według mnie jesteś za dobra dla niego.

- Wołałabym, żeby dał sobie z tym spokój - protestowała Eden łagodnie.

- Nie musisz dawać mi odpowiedzi natychmiast. - Ham sięgnął dalej, jakby prowadził rozmowę o interesach. - Chciałabym, żeby rozważyła tę propozycję jako jedną z wielu możliwości, kiedy będziesz decydować, co zrobi ze swojego przyszłości. Ponadto wojsko nie zamierza pozwolić ci latać, kiedy skończy się grudzień, więc będziesz musiała znaleźć sobie jakieś zajęcie.

- To prawda. - Nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdy słuchała jego suchych wywodów. Ham odwoływał się do

praktycznej strony sprawy, co czyniło go miesznym.

- Na wszelki wypadek chciałbym, aby zatrzymała ten pierścienek. - Położył go na jej dłoni i zamknął ją. - Jest twój... jako pierścienek zaręczynowy lub wiano, gdyby miała wyjść za kogoś innego... albo po prostu błyskotka na twoim palcu.

Całkowicie pokonana, Eden spojrzała na błyszczący pierścienek z brylantem.

- Czasami, Ham, myślisz, że jesteś dla mnie zbyt dobry.

Wiadomo o zwolnieniu ze służby wojskowej kobiet, sprawiła, że dowódcy bazy zaczęli rozglądać się za innymi czynnikami pilotami, którzy przejęliby funkcje pełnione przez kobiety. Pilotów wykwalifikowanych do lotów po cigowych było bardzo mało, podczas gdy liczba dostarczanych samolotów nie zmniejszała się. Eskadra WASP z Long Beach wysyłała telegramy do prezydenta Roosevelta, generała Arnolda i innych, w których zawiadamiała, że jest gotowa latać za jednego dolara rocznie, aby tylko rozwiązać problem. Ale nikt nie odpowiadał na ich propozycje.

Wszystko to napełniało Marty i inne dziewczęta gorzko. Ich umiejętności ci były nadal potrzebne, ale zwolniono je tylko dlatego, że są kobietami. Nawet wojna jeszcze się nie skończyła. Wprawdzie w październiku 1944 roku Francja została wyzwolona, MacArthur wrócił na Filipiny, a Rosjanie byli w Norwegii, lecz chcieli się ich pozbyć stamtąd, kiedy przyjdzie ostateczne zwycięstwo. Kiedy wojna się skończy, kiedy powróci do domu, a one muszą odejść już teraz - zanim wypełnią swoje zadanie.

Kiedy w końcu jako zaakceptowały to, co miało nieuchronnie je spotkać, zaczęły rozglądać się za pracą. Ze swoim doświadczeniem, liczbą przelanych godzin na najrozszybszych samolotach posiadały wyjątkowe kwalifikacje. Wśród walczących pilotów latała na jednym, podstawowym typie samolotu, a czasami wręcz na jednym tylko samolocie. Zнали wtedy każdy odgłos maszyny, każdy jej kaszelnik tak, jak zna się dobrego starego przyjaciela. Ale Marty latała na wszystkim, od B-17 i Mustanga począwszy, a na bombowcu Dauntless skończywszy. Przesiadała się z jednego samolotu do drugiego, nigdy nie znając ich szczególnych cech.

W Karolinie Południowej, Lockheed, Douglas, Północnej Afryce i Consolidated-Yultee były lotnicze zakłady przemysłowe. Marty wszędzie wysłała podanie o pracę, ale nigdzie nie chcieli jej przyjąć. Nie potrzebowano pilotów. Inne dziewczęta otrzymywały podobne odpowiedzi. W całym kraju nikt nie chciał ich zatrudnić.

Cała czwórka - Marty, Eden, Cappy i Mary Lynn - zebrała się w pokoju Cappy i z wielką uwagą czytała oferty pracy ubrane w wiadomościach nadesłanych listownie przez WASP, który stacjonował w Alabamie. Marty pierwsza dała za wygraną.

- Nikt nie zamierza nas zatrudnić jako pilotek - oświadczyła. - Linie lotnicze zaproponowały nam pracę stewardes. Państwowa Administracja Lotnicza potrzebuje kontrolerów lotów. Albo pracowałybyśmy jako eksperci do badania wypadków samolotowych czy te instruktorzy latania.

- To nie wygląda zbyt obiecująco, prawda? - mruknęła Cappy.

- A może pohandlowałabyś tym medalem, którym zamierzają ci odznaczyć za latanie? - zaproponowała zjadliwie Marty.

- Byłoby to bardziej pożyteczne.

Prawdopodobnie Medal Lotnictwa miał być jej przyznany za bohaterski wyczyn, kiedy to przetransportowała drogą powietrzną P-51, dwa P-47 i C-47 Skytrain w ciągu pięciu dni, czterdziestu godzin lotu, przemierzając przy

tym osiem tysięcy mil. Chociaż wyrózniono tylko Cappy, uważała, że medal ten jest gestem uznania dla wszystkich kobiet pilotów. W czasie czerpania medalu miało odbyć się w Avenger Field w Sweetwater, podobno razem z zakończeniem szkolenia ostatniej klasy, 44-K-10... miała to być oficjalna pochwała, ostatnie pogłaskanie po głowie.

- Jedyną wiadomością zasługującą na uwagę jest lista spółek lotniczych na Alasce - w tym cięta Eden, a następnie zaartowała zgrybiwie. - Przynajmniej miałabym powód do kupowania stosu futer.

- Nie wiedziałam, że do tego potrzebny jest ci powód - odparowała Marty.

- Mylisz, że mogłaby mieszkać na Alasce? - odezwała się Mary Lynn sceptycznie.

- Jeszcze się nie zdecydowałam, czy mogłabym mieszkać w Teksasie - powiedziała, wzduszyła ramionami. - To mi o czym przypomniało, czy mówiłam wam, że Bubba jest w Teksasie na urlopie? W San Antonio mam między innymi parę dni rozmów w sprawie pracy jako instruktor latania. Dowódca pozwolił mi wziąć samolot i polecieć na trzy dni. Bez względu na to, czy dostanę pracę, czy nie, chyba spotkam się z Bubba i dziękujemy mu za to, że przynajmniej jeden dzień na wyspie Padre.

Na południe od San Antonio okolica stała się płaska, gdzieś usiana opuncjami i gęstym krzaczastymi zarostami, dobra dla bydła i, według Eden, dla nikogo więcej. Jechali wiele mil po zakurzonych drogach, przez napół opuszczone miasteczka i samotne krzyżówki dróg.

- Jeśli nie chcesz się zatrzymać i poznać mojej rodziny, to w porządku - Bubba przekrzykiwał szum wiatru, który wiał przez otwarte okna samochodu, niosąc ze sobą dym i kurz i jakby upragniony pod powietrzem. - Pojedziemy prosto na Padre.

- Chciałabym ich poznać - zaprzeczyła Eden, próbując przy tym ukryć ogólne zniechęcenie. - Jak jest Refugio? Czy tak się nazywa twoje rodzinne miasto?

- Tak. - Uważaj, nie odrywaj wzroku od pustej drogi i spójrz na Eden. - To mała miejscowość... niewiele różni się od tych, które mijali. Przeważnie jest spokojna. Oczywiście, sobotni wieczór jest wielkim wydarzeniem w miasteczku.

Wiatr rozwiewał jej włosy, więc przytrzymała je z boku i siedziała z twarzą wystawioną do wiatru. Z ciętym sercem wpatrywała się w drogę, nie mówiąc.

- W ogóle mi nie powiedziała, jak ci poszła rozmowa w sprawie pracy - zaczął Bubba, by przerwać ciszę.

- Nie poszła dobrze. - Lecz coś innego gnębiło Eden. - Najpierw uważała, że jej zatrudnią na stanowisku instruktora, więc kobiety by chciały się uczyć latać, ale okazało się, że studentki wolą męczyzn. Więc zdecydowali się zaangażować męczyzn, a mnie nawet o tym nie zawiadomili.

- To niedobrze.

- Bubba - zapytała, patrząc na niego - czy planowała powrócić do Teksasu po wojnie?

- Tutaj jest mój dom.

Ponownie spojrzała bezmyślnie przez okno, jakby szukając czegoś, czego nie mogła znaleźć. W końcu zrezygnowana westchnęła.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zatrzymasz samochód, Bubba. Czas najwyższy, żebyśmy przestali się oszukiwać.

Bubba, zobaczywszy jej miernie powąsanie, natychmiast zjechał z drogi. Cięgnąc się za nimi chmura

pyłu zawirowała wokół samochodu i osiadła na kaktusie. Bubba popatrzył przez chwilę na Eden i zacisnął ręce na kierownicy, starając się opanować.

- Myślisz, że masz rację - powiedział w końcu, patrząc przed siebie zmrużonymi oczami. - Ty nie pasujesz do tego miejsca, a ja nie pasuję do twojego świata.

- Kocham cię, Bubba. - Głos jej drżał od bólu i zawiedzionych nadziei.

- Wiesz, że ja ciebie też kocham - powiedział i wciągnął głęboko powietrze, by zmienić ton rozmowy na nieco weselszy. - Myślisz, że poeci myślą sobie, że miłość wszystko zwycięża. - Sięgnął do kluczyka w stacyjce. - Odwioz cię do San Antonio.

Eden chciała go zatrzymać - spędzić z nim przynajmniej te dwa dni, ale co by to dało? Tylko więcej bólu i żalu. Wiadomo, że nic nie powiedziała, kiedy zawrócił samochód na rondzie drogi i pojechał tam, skąd ją przywiózł.

Na lotnisku zaniósł jej walizki do samolotu i załadował je na pokład. Stali naprzeciw siebie skrępowani. Eden miała łzy w oczach.

- Byłbym i mój tata kupił linię lotniczą, więc miałbym u niego pracę - zaartowała nie miała. - Gdyby kupił, mógłby pracować jako główny mechanik.

- Jasne, oczywiście. - Ale obydwójce wiedzieli, że to tylko takie gadanie.

- Nigdy cię nie zapomnę, Bubba. - Głos zaczął jej się łamać. - Chciałabym...

- Nie.

Objął ją, a ona wtuliła się w jego ramiona. Całowali się namiętnie, pełni bólu, że wszystkie przyszłe dni nie będą należały do nich. Po chwili Eden odsunęła się i weszła do samolotu. Bubba stał na ziemi i patrzył po raz ostatni, jak Eden startuje.

Nowa szkoła w Avenger Field była zatłoczona od oficerów armii, przyjaciół i rodzin, którzy przybyli, żeby popatrzeć na defiladę i uroczystą prezentację absolwentek WASP. Podczas gdy 66 absolwentek maszerowało do szkoły, szkolna orkiestra Big Spring Bombardier grała „Pieśń Korpusu Lotniczego”. Cappy wydawało się, że kiedy ona kończyła tu szkolenie, ton był jakby mocniejszy, wzniolejszy. *Daleko odlatujemy, hen, w daleki błękit, wznosząc się ku słońcu*. Kiedy wszystko miało się wkrótce skończyć, słowa tej pieśni nabrały dziwnego znaczenia, którego nie miały przedtem.

Na tej okazji przyjechała orkiestra dęta. Byli obecni generałowie, a także dyrektorka WASP, Jacqueline Cochran i sam generał H.H. Arnold. Mitch też przyjechał. Cappy zauważyła go wcześniej, kiedy przybył naczelny dowódca Wojskowych Sił Powietrznych. Gdzieś wśród publiczności siedzieli jej rodzice, by zobaczyć, jak ich córka zostaje odznaczona medalem. Oczywiście wojsko zawiadomiło rodziców o tej uroczystości, a Cappy swoją drogą napisała do matki. Nie była pewna, czy ojciec przyjedzie, ale widziała ich oboje w oddali.

Dziś mijała trzecia rocznica Pearl Harbor. Myśli Cappy były dziwnie, podczas gdy komendant szkoleniowy armii przemawiał do zgromadzonych. Avenger Field zmieniło się od czasu, gdy się tu szkoliła; wykończono pasy startowe, wybudowano dwa nowe hangary i basen. Człowiek z obsługi naziemnej powiedział jej, że same elektryczne wiatła na pasach startowych i nie ma już urządzeń pomiarowych o zmierzchu, by zapalić lampy naftowe. Tylko wymalowana podobizna Finfinelli z Walta Disneya, maskotki WASP, która życzyła pilotom szczęśliwego lotu z wierzchołka budynku administracyjnego, nie zmieniła się wcale.

...A teraz w 1944 roku - ciągnął dalej generał Arnold - ponad dwa lata od czasu kiedy WASP po raz pierwszy

zaczęła latać z Air Force, moim wyznacznikiem tylko jeden wniosek: cała operacja była wielkim sukcesem. Okazało się, że kobiety potrafią latać tak samo dobrze, jak mężczyźni. W czasie wycieczki, w trakcie operacji wyprawy, kobiety, jesteście tak dobre jak ci, którzy biją rekordy w lataniu na terenie USA. Wymagano od was latania nad naszym kontynentem, lecz gdyby istniała potrzeba, byście latały za ocean, jestem przekonany, że wykonałybyście to zadanie równie dobrze.

- Okazało się, że nie skonstruowaliśmy jeszcze takiego samolotu, z którym nie potrafiłybyście sobie dać rady. Począwszy od AT-6, a skończywszy na B-29, w każdej maszynie czułybyście się jak weteranki. Jedną z was przeprowadziła nawet próbny lot naszym nowym samolotem odrzutowym.

W tym momencie Cappy przypomniała sobie dziewczynę, którą spotkała na pasie startowym tamtego dnia w Wright Field. Do dziś pamięta ryk silników odrzutowych.

- Pracowałyście bardzo ciężko - powiedział generał. - Cały czas napływają pochwały od generałów, których rozkazy wykonywałyście. Te pochwały mówią, z jakim zapałem wykonywałyście monotonna, rutynową pracę, tak nie lubianą przez naszych młodych mężczyzn, których odsyłano na front, lub którzy wcale nie stamtąd wrócili. W wypełnianiu niektórych zadań jesteście lepsze niż mężczyźni.

Cappy poszukała w tłumie twarzy Mitcha. Przedtem było tyle rzeczy, których nie rozumiała, których nie wiedziała o sobie, kiedy spotkali się ostatnim razem. Teraz chciałaby mu powiedzieć, jak bardzo się myliła w wielu sprawach - w sprawach wojska i innych. Była mu to dłużna.

Generał skończył mówić i na podium weszła Jacqueline Cochran. Po paru wstępnych uwagach Jacqueline zaczęła mówić o Medalu Lotnictwa i o tym, jak Cappy na niego zasłużyła. Kiedy Cappy usłyszała swoje imię, podeszła, by odebrać order za zasługi. Dystyngowany siwy generał Arnold przypiął jej do piersi order, a jej policzki zaróżowiły się nieco zakłopotania.

Kiedy ceremonia się zakończyła, cały tłum rozszedł się po bazie. Matka Cappy została, by ucisnąć córkę i podziwiać jej medal. Za matką stał ojciec, siwiejący coraz bardziej. Cappy zauważyła blask w jego oczach, kiedy się do niego odwróciła.

- Powinna być bardzo dumna - powiedział, wysuwając do przodu podbródek w żołnierski sposób.

- Jestem.

Podpułkownik Robert Hayward spuścił głowę, próbując znaleźć słowa, by wyrazić to, co czuł, lecz było to trudne.

- Dawno temu marzyłem... że mój syn... pójdzie, że tak powiem, w ślady ojca. Ale los mnie i twojej matki nie obdarzył synem. Lecz dzisiaj - podniósł głowę, a oczy napełniły się łzami - ty sprawiła, że moje marzenie się spełniło. Ty, moja córka.

Cappy ucisnęła ojca. Wiedziała, że on nie może sobie pozwolić na nadmierne okazywanie uczucia, bo było to sprzeczne z jego zasadami surowego wychowania. Dzisiaj zyskała jego szacunek i to było najważniejsze. Lecz Cappy wiedziała również, że wszystko to zawdzięcza wojsku, które wyraziło uznanie dla jej zasług. W ciągu ostatnich miesięcy, od czasu gdy otrzymała list o rozwinięciu WASP, wiele zrozumiała i nauczyła się akceptować rzeczy, których nie mogła zmienić, jak również bywało za to, co osiągnęła. Jedną z takich rzeczy był dla niej szacunek ojca.

Kiedy Cappy się odsunęła, ojciec szybko się opanował i znów przyjął swój wojskowy postaw.

- Kiedy zamierzasz wrócić do domu?

- Nie wiem. - W tym momencie zobaczyła Mitcha, który stał niedaleko generałów. - Przepraszam ci, tato, na chwil. Zaraz wróc.

Wysoki, opalony, muskularny, stał w mundurze i patrzył na zbliżającą się Cappy. Szła coraz wolniej, a serce waliło jej jak młotem.

- Cześć, Mitch.

- Moje gratulacje - powiedział.

- Dziękuję. - Cappy wahała się przez chwilę, a następnie zaproponowała z udawanym spokojem: - Może się przejdziemy? Chciałabym porozmawiać z tobą o czymś... na osobno ci, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Stwierdziwszy, że nie będzie potrzebny generałom, Mitch skinął głową i odszedł dorównując jej kroku. Kiedy mijali rozchodzący się z wolna tłum, Cappy rzucała ukradkiem spojrzenia na Mitcha.

Koło studni jeszcze nie było nikogo. Cappy zatrzymała się przy kamiennym brzegu, błyszczącym od wody. Ze rodka tryskała fontanna, a na dnie błyszczały monety. Na kamiennym płycie od generała Arnolda widniał napis: *Najlepszym kobietom pilotom na wiecie*. Cappy bezmyślnie rzuciła monetę do sadzawki, nie wypowiadając żadnego życzenia. Moneta plusnęła i zmarszczyła taflę wody.

- To przywodzi na myśl mnóstwo wspomnień - powiedziała, a następnie dodała ze smutkiem: - Wkrótce to wszystko będzie za nami.

- Czy zdecydowałaś już, co zamierzasz robić? - Głos Mitcha nie wyrażał zainteresowania, a kiedy Cappy spojrzała na niego, stwierdziła, że rzeczywiście nie wygląda na zainteresowanego rozmową.

- Cięgle szukam nowej pracy w lotnictwie... ale bez rezultatu.

- Na twoim miejscu nie byłbym takim pesymistą. Spójrz na Jacqueline Cochran. Wyjeżdża do pracy w Północno-Wschodnich Liniach Lotniczych... jako kierownik, w nadziei, że zwabi swój osobisty pasażer. A przecie jest asem lotnictwa, ma na swoim koncie liczne wiatowe rekordy.

- Tak samo jak Amelia Earhart - zadumała się Cappy, ale nie chciała mówić z Mitchem o lataniu, a na pewno nie o pracy.

Usiadła na kamiennym murku wokół sadzawki, a Mitch stanął koło niej.

- Niełatwo jest przemóc własną dumę i przyznać się do popełnionego błędów. Pod tym względem nie różni się w niczym od innych ludzi - powiedziała Cappy potrząsając lekko głową. - Kiedy odmówiono nam przyznania rangi oficerskiej, zajęło mi trochę czasu, by zdać sobie sprawę, jak bardzo tego pragnę.

Spojrzała na Mitcha, chcąc zobaczyć jego reakcję i sprawdzić, czy jej słowa wywarły na nim jakieś wrażenie. Ale on spokojnie patrzył na nią.

- Nie chcę zwracać tego mundurku, Mitch - powiedziała cichym, drżącym z przejęcia głosem. - Te dziewczęta są dla mnie jak siostry. Mówiłam, że nigdy nie miałam domu... rodziny, przyjaciół. Nie miałam racji. Kiedy budynek koszarowy, w którym mieszkałam przez ostatnie półtora roku był moim domem. - Cappy przerwała na chwilę. - Widzisz, chciałabym ci powiedzieć, że aby to wszystko zrozumieć, musiałam się stać częścią tego życia tutaj. I musiałam to stracić, aby zdać sobie z tego sprawę. Ja już nie nienawidzę wojska, Mitch.

- I?

- To wszystko. - Spojrzała znowu w taflę wody z lekkim bólem serca.

- Czy to ma dla mnie coś znaczyć? - zapytał Mitch.

Miała nadzieję, że będzie go to obchodziło, ale najwyraźniej było mu wszystko jedno. Szybko wstała,

zastanawiaj c si , jak by tu zaraz uciec. Podniosła dumnie głow .

- Chciałam tylko, eby wiedział. - Zignorowała jego Pytanie. - Do widzenia.

Chwycił j za r k .

- Czy chciała mi co przez to powiedzie , Cappy? - Je li tak, to, do licha - powiedz mi! - za dał Mitch.

Jej oczy były bardziej niebieskie ni wszystko, co w yciu widział, a usta jej dr ały. Była pełna aru, uległo ci i oddania.

- Tak, tak - odpowiedziała zduszonym szeptem.

- My l , e wiem, gdzie jest twoje miejsce, je li tego zechcesz - powiedział Mitch.

Cappy ukryła swoje pragnienie i t sknot , staraj c si przybra oboj tny wyraz twarzy i wpatruj c si w niego z nadziej .

- Gdzie?

- Przy mnie - powiedział.

- Mitch. - Zabrzmiało to jak odpowied .

Cappy wtuliła si w jego ramiona i przywarła mocno gor cymi ustami do jego warg. W tym pocałunku było wszystko. Nikt nigdy nie otrzymał od niej tyle co Mitch. Cappy była dumna i uparta, swoje uczucia i nami tno ci skrywała zawsze tak gł boko jak on. Dawniej Mitch słyszał gorycz w jej głosie i widział al w jej oczach. Teraz Cappy u miechała si , pełna wiary w siebie i w niego.

30

Powolny, bolesny proces podpisywania formularzy i oddawania mundurów zaj ł wi kszo czwartkowego poranka, 19 grudnia, dzie przed oficjalnym rozwi zaniem WASP. Cztery przyjaciółki razem w drowały do ró nych biur, wzajemnie podtrzymuj c si na duchu.

- Chciałabym j zatrzyma - powiedziała Marty, głaszcz c mi kk skór kurtki lotniczej.

- Gdzie by w niej chodziła? - zainteresowała si Eden. Była to bardzo praktyczna rzecz, lecz niezbyt modna. Na palcu przyszłej pani Steele l nił diamentowy pier cionek.

- Zimy w Michigan s chłodne. - Marty wzruszyła ramionami.

- Wi c zdecydowała si wróci do domu - zauwa yła Cappy. Marty jako jedyna z nich nie miała sprecyzowanych planów na przyszło .

- Nie wiem. Kiedy nie ma Davida... - Wci nie potrafiła rozmawia o mierci brata. - Pomy lałam, e równie dobrze mog wróci do Detroit. W Willow Run jest fabryka bombowców. Je li nie pozwol mi nimi lata , to mo e dostan prac przy monta u.

- Powodzenia. - Jednak Eden nie wierzyła w jej szans .

- Nikt mnie nie zatrzyma na ziemi - burkn ła schrypni tym głosem. - Znajd sposób, by znów lata , nawet gdybym miała dostarcza samoloty pozostałe po wojnie do ich nowych wła cicieli.

- Wiesz, w jakim stanie one s - zaprotestowała Mary Lynn. - Wszystkie maj czerwone krzy yki. Ile si rozbiło w czasie transportu do magazynów wojskowych? Słyszysz si o tym.

- I co? - odparła Marty. - A czym latały my w Camp Davis?

Okolo osiemdziesi ciu WASP stacjonuj cych w Long Beach musiało przej formalno ci, przez co czekały długo w korytarzach. Cztery z nich stały oparte o cian w wolno posuwaj cej si kolejce.

Do ko ca dnia musiały odda wszystko, co im wojsko wydało - mundury, spadochrony, bro - ale zatrzymały

swoje skrzydełka, te srebrne znaczki, dzięki którym przez chwilę były wolne. Resztę czasu spędziły na pakowaniu swoich rzeczy i po egzaminacjach z koleżankami, trochę obco wyglądającymi w cywilnych ubraniach.

Kiedy po raz ostatni wychodziły z budynków koszarowych z walizkami w rękach, kalifornijskie słonce wieciało, jakby ten dzień nie różnił się od innych. Wokół panowała dziwna cisza, a one czuły się zakłopotane.

Eden popatrzyła na swoje dwie walizki i zastanowiła się:

- Dwie walizki zamiast dwóch kufrów, które przywiozłam do Sweetwater. Chyba czegoś się nie nauczyłam.

Ledwie się udało im się na ten dowcip i nawet Marty go nie skomentowała. Szły przed siebie ociągając się w kierunku bramy, czując się dziwnie w ubraniach podróży, sukienkach zamiast mundurów w kolorze błękitu Santiago, który tak dumnie nosiły. Musiały minąć drogi kołowania i liczne samoloty, zaparkowane na rampie.

- Słyszałam, że mają sześćdziesiąt samolotów do dostarczenia do stref walk - zauważyła Cappy, kiedy razem popatrzyły na błyszczący w słońcu samolot. - I nie ma ich kto pilotować.

Nie miało to już znaczenia. Z drogi kołowania zbliżały się do nich mężczyzna w czapce oficerskiej i rozpiętej kurtce. Marty rozpoznała Walkera i szybko rzuciła okiem na Mary Lynn, czy ona też go zauważyła.

Marty dostrzegła trochę żalu i niechęci w twarzy Mary Lynn. Przez ostatnie dwa tygodnie mijały się, jedna wylatywała, gdy druga wracała. Opinia Marty na temat ich romansu nie zmieniła się. Teraz, gdy Mary Lynn wyjeżdżała do domu, Marty nie chciała, by Walker wpłynął na zmianę jej planów.

Zaczepiła go, zanim doszedł do Mary Lynn.

- Zostaw ją w spokoju. - Dziś jego ciemne oczy były poważne, choć próbował nadrobić minę.

- Mojesz się uspokoić, Martho Jane. Nie przyszedłem jej ukarać - zapewnił ją spokojnie. - Chcę się tylko poegzać.

- Zaczekamy na was przy bramie. - Cappy i Eden poszły dalej, a Marty zatrzymała się z boku, czujna i ostro na.

Jak zwykle Walker czapkę miał zsuniętą na tył głowy, a z przodu burzyły się kawowe włosy. W jego oczach była łagodność, taktowność i żal, ale nie próbował jej dotknąć, trzymał ręce głęboko w kieszeniach kurtki, jakby chciał zapobiec takiej możliwości.

- Pewnie jedziesz do domu. - Podziwiał jej wspaniały urod. Była doskonała, pełna gracji i siły - wszystko o czym marzy mężczyzna i nie spodziewa się znaleźć.

- Tak - odparła ciepło i melodyjnie. - Będzie tam na Boże Narodzenie. Mam całą walizkę prezentów dla rodziców.

- Ucieszą się - powiedział.

- Beau napisał w ostatnim liście, że prawdopodobnie odejść do domu po Nowym Roku.

Skrzywił się. Niepotrzebna była ta subtelna informacja.

- Zawsze wiedziałem, że do niego wrócisz, maleńka. Wiesz - przerwał, odwrócił głowę do słońca i zmrużył oczy, by ukryć pieczenie w nich - przez całe życie brałem, co chciałem. Życie może złapać człowieka w pułapkę. Teraz chcę dawać ... tylko nie mam nic do zaoferowania.

- Przykro mi - powiedziała czule.

Potrzebuję głowę; nie chciał jej współczucia.

- Egzaminuj, maleńka. - Patrzył na nią wilgotnymi oczami. - Powiedz temu swojemu mężczyźnie, żeby się tobą opiekował.

- Egzaminuj. - Mary Lynn szybko odeszła od niego.

Walker patrzył za nią przez dłuższą chwilę, potem odwrócił się do Marty i zadarł głowę, krzywiąc się.

- No i? - zapytał ironicznie.

- Może nie jesteś tak zepsuty, jak my lałam, Walker - powiedziała Marty.

- Wygląda na to, że wyjadę stąd za parę miesięcy - rzekł. - Słyszałem, że jest rynek na samoloty w Ameryce Południowej. Pomyślałem, że może zarobi tam trochę pieniędzy. Oczywiście potrzebowałbym paru dobrych pilotów. Co o tym myślisz?

- Daj znać.

- Zrobi to.

Podali sobie ręce, by przypieczętować umowę, potem Marty podniosła swoją walizkę i ruszyła za resztę do bramy.

Odwlekały ten moment, ale w końcu trzeba było się poegnąć. Zmuszały się do uśmiechu, obejmując się i płacząc.

- Będziemy w kontakcie - przyrzekły, ale wiedziały, że tak się nie stanie.

Ogromna część ich życia została wycięta. Pozostała luka. Dopóki nie znajdą czegoś, co ją zapełni - matkę, rodzinę, kariery, spotkania i wspomnienie tego, co utraciły, będzie bolesne.

W końcu pojechały do domu.

Wojskowa flaga zwisała z okna, kiedy Marty weszła po schodach na werandę domu rodziców w Detroit. Była na niej złota gwiazda, oznaczająca stratę syna na wojnie. Weszła do domu i poszła prosto do kredensu, gdzie jej ojciec trzymał alkohol.

Eden wsunęła ręce pod kołnierz sobolowego futra, którego ciemny blask kontrastował z jej ognistorudymi włosami. Obszyte futerkiem buty na wysokim obcasie skrzypiały na ubitym błocie na skraju drogi kołowania, gdy próbowała dotrzymać kroku idącemu szybko Hamiltonowi Steele.

- Co my tu robimy? - Na żadne pytanie nie uzyskała odpowiedzi, ale nadal próbowała.

Za zadowolony z siebie minął się tajemniczy mężczyzna. Hamilton zatrzymał się i otworzył boczne drzwi hangaru, ruchem ręki zapraszając go do środka. Eden weszła.

- Wesołych wam!

Odnowiony AT-6 Texan lśnił od wiejskiej farby w łagodnym odcieniu błękitnego nieba. Na nim widniał napis: „Skrzydłata Dama”. Eden gapiła się na niego, potem spojrzała na Hamiltona.

- Mój? - szepnęła. Na jego skinienie, zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała. - Psujesz mnie - stwierdziła i podeszła przyjrzeć się maszynie.

Nad Mobile unosił się pomruk samolotów treningowych. Brzęczenie ich potężnych silników przenikało do pokoju, gdzie Mary Lynn kołysała się w kołysce. Samoloty zawsze będą częścią jej życia, obojętne, czy ona będzie latała, czy Beau. Prezenty dla niego czekały pod drzewkiem niecierpliwie - tak jak ona.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie masz gotową porcję dla naszych lokatorów. - Matka zamasztywała ruchami wycierała kurz z biurka. Z drobnej kobiety zmieniła się w pulchną, nieco przysadzistą w domowej sukience. - Mogłaby pomóc, jak tu jesteś.

- Mamo, je li chcesz podawać posiłki swoim lokatorom, to twoja sprawa, ale nie oczekuj, że b d to robiła dla ciebie. - Mary Lynn odwróciła się od choinki, by spojrzeć na matkę, z szacunkiem, lecz stanowczo odmawiając.

- Nie masz nic innego do roboty, poza oczekiwaniami na powrót matki do domu. - Spojrzała ponownie na Mary Lynn. - Równie dobrze mogłaby zrobić coś, co przyniosłoby trochę pieniędzy.

- Nie zamierzam tu zostać tak długo, mamo - odparła. - Jak tylko wróci Beau, poszukamy czegoś własnego. Pojadę wszędzie, gdzie go wyśle armia.

W jednym z pokoi domu w Georgetown stała choinka, obwieszona błyszczącymi bombkami, kolorowymi łaćkami i anielskim włosiem. Wokół stojaka leżało wiele wesoło opakowanych prezentów, czekających na otwarcie. Lecz Cappy stała przy oknie, wpatrując się w chmury na niebie.

Nie zauważyła, że Mitch wszedł do pokoju i podszedł do niej. Nie czuła jego obecności, dopóki nie objął jej ramionami. Szybko się odwróciła i uciekła, gdy pochylił głowę i musnął ustami jej wargi. Nic ponad to, ponieważ nagle moment wejścia rodzice.

- Grosik za twoje myśli - powiedział Mitch.

- Nie są tego warte - odpowiedziała.

Wsunął rękę w jej lewą dłoń i podniósł ją, jakby chciał się upewnić, że diamentowy pierścionek zaręczynowy nadal leży na jej palcu. Pocałował ją w rękę, z ciepłym i arliwym blaskiem w ciemnych oczach.

- Szczeliwa?

- Tak - powiedziała Cappy i wiedziała, że b d szczeliwa - gdy już przywykła do myśli, że ze wszystkich okien widać niebo.

Epilog

3 Listopada 1977 r.

Izba Reprezentantów, Waszyngton, D.C.

Czas zaleczył wiele ran. Siedziały obok siebie w galerii dla widzów Izby Reprezentantów w Kongresie. Eden Steele, znana w kręgach towarzyskich jako finansistka Hamiltona Steele, trzymała na kolanach futro z norek i w wieku pięćdziesięciu lat nadal była niezwykle atrakcyjną kobietą. Wśród jej rudych włosów pojawiły się srebrne pasma. Po prawej stronie siedziała Cappy Ryan, córka pułkownika Air Force Mitcha Ryana. Połyskujące siwe włosy współgrały z czysto niebieskimi oczami w oprawie gładkich, ciemnych rzęs. Dalej siedziała drobna białowłosa Mary Lynn Palmer, córka byłego pilota linii lotniczych Trans World, kapitana w stanie spoczynku Beau Palmera.

Wszystkie prowadziły intensywne życie, zaangażowane w różną działalność poza domem. Jednak żadna nie była zbyt zajęta, by przyjąć tego dnia i być świadkiem kolejnej bitwy w Izbie o ustawę, która dałaby status wojskowy WASP-om, akt uznania.

Przez lata wiele takich ustaw zostało przedstawionych w Kongresie, rzadko jednak otrzymywały one rekomendację komisji. Tym razem może na było nadzieję. Senator Barry Goldwater z Arizony był ordownikiem tej ustawy w Senacie, gdzie została przyjęta 19 października. Senator posiadał informacje z pierwszej ręki o znaczeniu WASP w czasie drugiej wojny światowej, ponieważ latał z nimi jako generał major rezerwy Air Force, kiedy stacjonował w New Castle, w stanie Delaware.

Teraz kompromisowa wersja miała przejść przez głosowanie w Izbie Reprezentantów. W przeszłości ci weterani tworzyli lobby przeciwne jakimkolwiek poprawkom, dającym wojskowy status i przywileje grupie, którą uważali

za grup cywilnych pilotów eskadrach.

Czekały na galerii z napięciem na zbliżającą się debatę, gdy miały nadzieję, że przyniesie im ona zwycięstwo. Chciały wygrać. Były członekami armii. Wiadzczyły o tym ich papiery: „Za wiadcza się, że Eden van Valkenburg z honorem służyła w służbie federalnej Armii Stanów Zjednoczonych”.

Za oknem w zimowy dzień zachodziło słońce. Eden dostrzegła na sali obrad znajomą szczupłą postać i wytrzymała wzrok, by lepiej widzieć. William Bubba Jackson był tam na dole, to pewne. Reprezentant z Teksasu należał do najwikszych zwolenników poprawki. Był popularną postacią polityczną w Waszyngtonie, o prowincjonalnym wyglądzie i poczuciu humoru. Po lubił ładną, piegowatą dziewczynę z Teksasu, która dała mu siedmioro dzieci. Eden spotkała ją około sześciu miesięcy temu - była to prosta osoba, idealna dla Bubby. Kongresman czy nie, w ogóle się nie zmienił. Podczas przesłuchania w komisjach w maju spotkała go po raz pierwszy po tylu latach. Zdarzyło się to na parkingu... a Bubba miał smar na rękach, ponieważ naprawiał samochód, który nie chciał zapalić.

To wciąż było - ta dawna magia - nieco zbladła, tak jak oni. Ale... Eden westchnęła. Ona i Ham przeżyli wiele dobrych lat i była z nim szczęśliwa. Nie, niczego nie szukała.

Kongresman Olin E. „Tiger” Teague podszedł do przewodniczącego Izby. Ten reprezentant z Teksasu od dawna był zagorzałym przeciwnikiem przyznania WASP statusu wojskowego i praw weteranów. Tego popołudnia jednak poprosił o jednogłośnie zgodną na przyjęcie H.R. 8701 z poprawkami. Zgodnie z procedurą parlamentarną, jeżeli nie ma sprzeciwów, zostanie ona przyjęta bez debaty i głosowania. Nikt się nie sprzeciwił. Uderzenie młotka zakończyło sprawę.

Po wszystkim. Opozycja skapitulowała bez walki, pozbawiając je chwały bitwy i zwycięstwa.

Popatrzyły na siebie oszołomione rozczarowaniem, potem wstały i wyszły z galerii. Długie, puste korytarze Capitolu kryły się w cieniach przygasającego blasku słońca, a ich kroki odbijały się pustym echem.

- Znowu nas tego pozbawili - mruknęła Cappy.

- Nie wiem jak wy, ale ja muszę zapalić. - Eden otworzyła torebkę od Gucciego i wyjęła złoty papieros.

- Mówiłam wam, że moja najmłodsza córka, Lily Anne, jest jedną z kobiet biorących udział w szkoleniu pilotów odrzutowców Air Force, uruchomionym w zeszłym roku? - poinformowała ją Mary Lynn z dumą. - Do wiadomości tych samych uprzedzeń i oszczerstw co my. Mówi czy nadal uważa, że kabina pilota nie jest miejscem dla kobiety.

- Podczas wojny wszystkie przekonałyśmy się, że jest wiele zawodów, na których, według mężczyzny, się nie znamy - powiedziała Cappy, potem uśmiechnęła się, a na policzkach pojawiły się dołki. - Od tamtej pory nic nie jest tak samo.

- Tak, prawdopodobnie ku wielkiemu żalowi mężczyzny - zgodziła się Mary Lynn z uśmiechem.

Ciszę zakłóciły ciche kroki. Kiedy się zbliżyły, Eden odwróciła się, by spojrzeć obojgą. Mężczyzna wyglądał elegancko w ciemnym wełnianym płaszczu. Bardzo przystojny, z wieloma siwymi włosami na skroniach w różdżkę atramentowo-czarnej czupryny, miał niezwykle niebieskie oczy. Kontrast między ciemnymi włosami i błękitnymi oczami odwieczył pamięć Eden. W tej samej chwili on spojrzał na Eden i zawahał się, jakby próbował sobie ją przypomnieć.

Zatrzymał się, lekko marszcząc brwi.

- Przepraszam, ale - omal się nie rozejmiał z wytartego frazesu - myślałem, że już się spotkaliśmy. Nazywam się

Zachary Jordan.

- Eden...

- Oczywi cie - wtr cił z ubolewaniem, e zapomniał. - Eden van Valkenburg.

- Teraz po m u Steele - powiedziała.

- Pani Steele. - Zachary Jordan po europejsku skłonił si do jej r ki. Jego galanteria była równa jego urodzie. - Niemo liwe, eby mnie pani pami tała. Spotkali my si na krótko... w kaplicy, gdzie odbyła si wojskowa msza ałobna za Rachel.

- Pami tam - zapewniła go Eden, a wszystkie zatarte wspomnienia nagle o yły. - Jak si pan miewa?

- Dobrze. Przyjechałem teraz do ambasady izraelskiej w Waszyngtonie.

Po wojnie wyemigrował do Izraela, potem do Palestyny, jak to planowali dawno temu razem z Rachel.

- Ja... wci pami tam wypadek Rachel. - Był to obraz, którego nie mogła wyrzuci z umysłu.

- S dz , e wspominała pani, e jej babcia była w jednym z obozów mierci na terenie Polski - powiedział Zach.

- Tak - przyznała Eden z zaciekawieniem. - Mówiła kiedy .

- Babcia Rachel prze yła O wi cim, Auschwitz - dodał niemieck nazw , bardziej znan Amerykanom. - Po wojnie udało mi si j odnale . Opowiedziała interesuj c histori o tym, jak Rachel przychodziła do niej w snach, otoczona płomieniami i zapewniała j , e nigdy nie zazna ognia. Babcia uwa ała to za bardzo dziwne... poniewa Rachel bardzo słabo znała hebrajski. We nie rozumiała ka de słowo. Cz sto si zastanawiałem... - Zach nie doko czył, tylko wzruszył znacz co ramionami. - Nigdy si nie dowiemy.

- Chyba nie.

Popatrzył w gór schodów w stron galerii dla go ci.

- Przyszła pani na debat ? Słyszałem, e ma si dzisiaj odby i pomy lałem, e przyjd popatrze . Czy ju si zacz ła?

- Ju si sko czyła - poinformowała go Eden i u miechn ła si , gdy zdała sobie spraw , e w jej głosie nie było podniecenia ani tryumfu. - Ustawa została przyj ta jednoło nie.

- To dobrze. - Ale te był zaskoczony i czuł, e czego zabrakło. - Rachel byłaby zadowolona z tego. - Rozejrzał si , troch zagubiony, jakby nie miał powodu tu dłu ej zostawa . - Gratuluj ... wam wszystkim. - Zwrócił si równie do Cappy i Mary Lynn.

- Dzi kuj .

- W takim razie musz wraca do ambasady. Do widzenia. - Znów uj ł jej r k i pocałował z europejskim gestem. - Mo e si jeszcze kiedy spotkamy.

- Mam nadziej .

Odszedł szybko, a w korytarzu rozległ si stukot jego butów o posadzk . Na zewn trz robiło si ciemno. Zgodnie ruszyły do wyj cia. Eden zarzuciła na ramiona futro, by si ochroni przed listopadowym chłodem. Kiedy wyszły z budynku, zatrzymały si na szczycie schodów.

Z cienia kolumny wyłonił si m czyzna.

- To ty, male ka - wymamrotał.

Mary Lynn a podskoczyła, słysz c leniwy, znajomy głos i gapiła si na Walkera, starego Walkera, którego ciało stało si wreszcie równie stare, jak spojrzenie. Jednak nadal czaił si w jego oczach błysk, pomimo licznych zmarszczek pokrywaj cych jego twarz. Blizny zbladły i niemal znikn ły.

- Walker - powiedziała ciepłym i jednocześnie nie smutnym głosem. Lata nie potraktowały go łagodnie. Wyglądał jak przysięgnięty pilot w znoszonej kurtce lotniczej i pod tej czapce oficerskiej. Ciemne włosy przysiadły, a klatka piersiowa się zapadła. - Co ty tutaj robisz?

- Czytałem publikacje o tej ustawie, którą zamierzała przyjąć, żebyście byli weteranami jak ja. - Uśmiechnął się krzywo

- Słyszałem, że przeszła.

- Tak.

- Szkoda, że Marty tu nie ma - powiedział w zamyśleniu

- Nie wiemy, gdzie ona jest - powiedziała Mary Lynn. - Próbowałyśmy się z nią skontaktować parę lat temu, kiedy organizowałyśmy nasze pierwsze spotkanie, ale jej rodzice zmarli, a ona nie utrzymywała z nami kontaktu, więc...

- Przykro mi - powiedział, marszcząc czoło. - Myślałem, że wiecie.

- Wiemy co?

- Po wojnie Marty... Marty i ja współpracowali, kupowali nadwyżki samolotów i latali nimi do Ameryki Centralnej i Południowej. Rozmawialiśmy o założeniu firmy transportu powietrznego. Potem... leciała C-47... straciła moc zaraz po starcie. Nie miała wystarczająco wysoko, żeby zawrócić na lotnisko. Jedyne otwarte miejsce było plac zabaw pełen dzieci. Wadkowie powiedzieli, że wyglądało to, jakby specjalnie skierowała się na zbocze wzgórza. Zginęła na miejscu, ale nikt więcej nie ucierpiał. Jeśli o mnie chodzi, to szlachetna idiotka.

Łzy popłynęły po policzkach Cappy, a Mary Lynn po prostu nie mogła przyjąć do wiadomości, że nie ma już gdzie tam odważyć się, szalonej Marty.

- Tak się skończyły dobre czasy dla mnie. Przynajmniej teraz mogą położyć flagę amerykańską na jej grobie. Myślałem, że cieszyłaby się - mruknął Walker. - Wygląda na to, że dobrze się miewasz, maleńka. Pewnie jesteś już babcią.

- Tak. A ty, Walker? Co z tobą?

- To samo co kiedyś. Pod płaszczykiem dumy nie ma nic. - Poruszył się skrępowany. - Chciałem jeszcze raz cię zobaczyć, maleńka. Lepiej już pójdź.

- Idź, Walker.

Podniósł rękę i odszedł samotnie.

Stały na schodach Capitolu, patrząc na szary zmierzch.

- Zostałyśmy tylko my trzy - powiedziała Mary Lynn.

- Nie wiem, jak wy to czujecie - powiedziała Eden ze ściętym gardłem - ale tamte dwa lata, kiedy latałyśmy po niebie, były najlepszymi latami w moim życiu.

Adna z pozostałych nie zaprzeczyła.